

Spis. 145. 070 (zakreślony)

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ...

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1954

№ 145. 070 (растроены)

11. 173. 825
11. 213. 054

**W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ...**

BIBLIOTEKA „KULTURY”

Tom VII

IMPRIME EN FRANCE

**Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).**

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ...

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1954

*Wszystkie prawa przedruku i adaptacji zastrzeżone.
Copyright by Stefan Korboński and „Kultura”,
Paris, 1954.*

*Poległym i żyjącym uczestnikom Walki Cywilnej
oraz konstruktorom, radiotelegrafistom, obser-
watorom i szyfrantom podziemnej łączności
radiowej poświęca w Dziesiątą Rocznicę
P o w s t a n i a W a r s z a w s k i e g o*

A u t o r.

PRZEDMOWA

Zachęcony życzliwym przyjęciem, jakiego doznały fragmenty mych wspomnień, umieszczone w „Kulturze” w latach 1948-1953, postanowiłem ogłosić ich całość w przekonaniu, że wniosą one pewną ilość nieznanych wiadomości do wiedzy o minionym podziemiu. Wydaje mi się to tym bardziej potrzebne, że do tego czasu sporo napisano o wojskowej, niewątpliwie ważniejszej stronie podziemia, a prawie nic o politycznej i cywilnej. A jeśli nawet, pisząc o pierwszej, wzmiankowano coś o drugiej, to raczej zdawkowo i bez zachowania właściwych proporcji. Zagubiło się w tych publikacjach nie tylko polityczne oblicze i ludzie minionego podziemia, ale, co ważniejsze, jego powszechność, która była najbardziej charakterystyczną i może najcenniejszą cechą, nadającą mu piętno ruchu narodowego. Z tego, co publikowano na emigracji, nie widać ani roli jaką grało polityczne kierownictwo podziemia, ani walki szarego człowieka z okupantem, walki tych milionów zwykłych ludzi, którzy, nie należąc formalnie do żadnej organizacji konspiracyjnej, mimo to brali udział w walce podziemnej. Ich mam na myśli, gdy piszę o masowych akcjach Walki Cywilnej. Jeśli zatem moje wspomnienia zdołają wypełnić chociażby częściowo istniejącą na tych dwóch odcinkach lukę, cel ich, w moim rozumieniu, zostanie osiągnięty.

Niezależnie od tego, piszę o różnych ludziach, walkach, przygodach i wydarzeniach, jednych smutnych, drugich

wesołych, słowem o wszystkim, co składało się na codzienne życie i atmosferę podziemia, a szczególnie nigdy niezapomnianej, walczącej Warszawy.

Piszę o wszystkim prawdę, w przekonaniu iż ona tylko nadaje wartość wspomnieniom. Piszę nie tylko o blaskach, ale i cieniach, wierząc, że wspaniałe i nieprzemijające wartości minionego podziemia brązu nie potrzebują i prawdy się nie boją. Kto zatem uważa, że o tych sprawach należy pisać w okularach, które eliminują nieprzyjemne widoki, no i koniecznie z patosem i uroczyście, niech czym prędzej odłoży tę książkę, a uniknie rozczarowania.

A u t o r.

I

POCZĄTKI POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO

Warszawa, w październiku 1939.

Jest połowa października 1939 roku i już kilka dni minęło od mego powrotu do Warszawy. Wzięty do niewoli sowieckiej pod Włodzimierzem Wołyńskim, uciekłem z transportu i odnalazłszy po drodze żonę w Kowlu, pół pieszo, pół końmi, dowlokłem się z powrotem do domu. Jestem ciągle jeszcze wytrącony z równowagi, ciągle jeszcze mam przed oczyma okropne obrazy ostatnich tygodni, ale czuję się już pewniejszy, bo przecież wśród swoich i na własnych śmieciach. Chodzę po Warszawie i oglądam dobrze znane widoki. Ale i miasto i ja znajdujemy się teraz w jakimś innym świecie. Niby ten sam obraz, a widzi go się inaczej. Wszystko zanurzone w jakiejś innej atmosferze. Miasto jak gdyby w żałobie. Przez gęsty welon kurzu ledwie widać jego rysy tak dla mnie zawsze miłe. Ani śladu dawnej elegancji i wesołości. Wszystko poszarzało — tu i tam zwalone przez bomby kamienice zwracają uwagę jak dziury w ubraniu. Okaleczone domy, o czarnych, pustych framugach okien, stoją jak rzędy ślepców. I wszędzie masa potłuczonego szkła, tej pierwszej ofiary wojny. Piszczy pod nogami, aż się dostaje gęsiej skórki. Na płytach tu i tam symetryczne rozetki wybuchów. I ludzie jacyś inni. Po-ubierani na szaro, wychudzeni, przesuwiają się bokiem. Ale to już znam. To już widziałem po tamtej, sowieckiej stronie. Jest to wygląd ochronny, który ma zabezpieczyć

przed okiem wroga. Idealna barwa — to kolor kamienic lub bruku, po którym się chodzi. Zasada — żaden szczegół w ubraniu i ruchach nie powinien zwracać uwagi. Ale nowy wygląd warszawskiej ulicy nadają przede wszystkim hałaśliwe postacie w szaro-zielonych mundurach, wyszczekujące głośno każde zdanie i wałęsające się wszędzie.

Spotkanie z byłym marszałkiem Sejmu, Maciejem Ratajem.

Odszukuję przyjaciół i znajomych i dowiaduję się już o pierwszych szczerbach, jakie wśród nich zrobiła wojna. Idę na Hożą czternaście, do mieszkania byłego marszałka Sejmu, Macieja Rataja, prezesa Stronnictwa Ludowego w okresie gdy Wincenty Witos przebywał na emigracji. Chcę się dowiedzieć, co się z nim i jego rodziną dzieje.

Na Hożej zastaję już marszałka Rataja. Skromne, czteropokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze, trochę zmierzonych mebli, parę dywanów, szafy biblioteczne wypełnione po brzegi, kilka obrazów, w tym piękny, duży portret zmarłej żony Rataja. W mieszkaniu króluje ukochana jedynaczka Hanka, która otworzyła mi drzwi i z typowo warszawskim — „kogo ja widzę!” — wprowadziła do ojca. Rataj wychudł, mocno posiwiiał przez te kilka tygodni i zapuścił brodę. Przyglądam się uważnie jego pięknej, postarzałej twarzy i po pewnym czasie spostrzegam lekkie, nieustanne drżenie głowy. Sadza mnie w wygodnym fotelu i opowiada. Opuścił z córką Hanką Warszawę, tak jak wielu, i pojechał na wschód. Zięć, Stankiewicz, mąż Hanki, poszedł do wojska i dopiero teraz mają wiadomość, że jakoś uniknął niewoli i zatrzymał się w rodzinnej wsi Rataja. Sam Rataj czuje się szczęśliwy, że wrócił do Warszawy, nie może jednak przyjść do siebie w obliczu tak strasznej klęski. I teraz Rataj przez parę godzin zaczyna mi wykladać swój pogląd na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Widać, że czuje potrzebę wypowiedzenia przed kimś tego, co się w nim nagromadziło. Ból i żal tryskają z każdego słowa gdy mówi o przeszłości, o polityce wewnętrznej sanacji, polityce zagranicznej Becka, o nieprzygotowaniu do wojny, o Rydzu Śmigłym i tak dalej. Sięga wspomnieniami daleko wstecz. Mówi nawet o zamachu ma-

jowym z dwudziestego szóstego roku i o swojej rozmowie wówczas z marszałkiem Piłsudskim w Komendzie Miasta, na Placu Saskim. Był to tak niezwykle fragment, że utrwaliłem go sobie w pamięci, jako wyraz wrażeń, jakie Rataj wyniósł z tego spotkania:

— „Walki uliczne trwały. Dowiedziałem się że marszałek Piłsudski jest w Komendzie Miasta i pojechałem tam natychmiast. Wprowadzono mnie do niego bez zwłoki. Zacząłem rozstrząsać istotę i skutki zamachu i robić marszałkowi wyrzuty. Wysłuchiwał ich bez słowa odpowiedzi. Robił na mnie wrażenie człowieka będącego w rozterce. Zapytałem wreszcie: „Panie marszałku, co będzie dalej, dokąd pan zmierza”? Odpowiedział: „Nie wiem”, i odniosłem wrażenie, że w tej chwili mówił prawdę”.

Na zakończenie rozmowy prosił Rataj, by go często odwiedzać: „Niech pan, panie Stefanie, przychodzi, kiedy ma pan ochotę. Trzeba będzie pomyśleć o przyszłości, pewno znajdą się jeszcze jacyś inni nasi ludzie, trzeba się z nimi trzymać razem”.

W kilka dni później odwiedziłem Rataja, tym razem w konkretnej sprawie. Nie mogłem pogodzić się z perspektywą bezczynnego oczekiwania na koniec wojny, urozmaiconego może pracą zarobkową, boć z czegoś przecież trzeba żyć. Przedsmak tego, co mnie czeka, już mam, wysiadując po godzinie policyjnej w domu, zawalonym gratami ze zniszczonych mieszkań i pełnym depczących sobie po piętach ludzi, martwiących się o każdy drobiazg. Czyż mam całą wojnę tak przesiedzieć? Oczywiście, myślałem już, jak tysiące innych, o akcji podziemnej przeciw Niemcom.

Już mamy wiadomości o rządzie, powstającym zagranicą, o organizowanej tam na nowo armii, o dalszej walce tych, którzy są na wolności, na szerokim świecie. Radio dopiero skonfiskują za kilkanaście dni, na razie słuchamy i wiemy, co się dzieje. Czy nie byłoby lepiej i pewniej pójść na Węgry i stamtąd jakoś do Francji? Cel jasny i prosty — trzeba iść do wojska. Jeśli chodzi o walkę, jestem jak tysiące mi podobnych, zupełnie niewyżyty i czuję, że zaspokojenie tego pragnienia jest absolutną koniecznością. Wszystko to dręczy i nie daje spokoju. Zdecydowałem się więc pójść do Rataja i zapytać go o radę.

Rataj spokojnie wysłuchał mych zwierzeń, oczy miał jakieś pełne ciepła, nieraz się uśmiechał, ale spoważniał natychmiast, gdy zacząłem mówić o konspiracji, jako o konieczności, do której nas pchają właściwości narodowe i względy polityczne. Gdy skończyłem, Rataj położył mi rękę na ramieniu (ręce miał wyjątkowo piękne, długie palce, żywe, nerwowe) i ściskając mocno, powiedział:

— „Dobrze się stało, że pan do mnie przyszedł przed podjęciem decyzji, Od tej chwili wszystko, co mówimy, jest najściślejszą tajemnicą”.

I przez jakieś dwie godziny, przejęty do szpiku kości, słuchałem Rataja, który wstając od czasu do czasu z fotela, i chodząc tam i z powrotem po pokoju, wtajemniczał mnie w szczegóły rodzącej się konspiracji. Jest w ścisłym kontakcie z Niedziałkowskim i planują zorganizowanie akcji podziemnej w skali krajowej. Nasza katastrofa wojenna jest także ostateczną katastrofą reżymu sanacyjnego. Kierownictwo podziemia winny ująć w swoje ręce partie opozycyjne, które przechowały ideały demokracji. Klęska powinna działać oczyszczająco, jak ogień. Partie powinny wyzbyć się tego, co przeszkadzało ich współpracy. „Nie wezmę udziału w żadnych gierkach i rozgrywkach — mówił Rataj. — Ruch podziemny musi być oparty o ideały demokratyczne, rząd na emigracji również. Z tego wyłoni się przyszła Polska wolna, praworządna i czysta”. Dał mi do zrozumienia, że na czele całej akcji podziemnej stanie on, Rataj, i Niedziałkowski, który nie opuścił ani na chwilę Warszawy i w czasie oblężenia wchodził w skład Obywatelskiego Komitetu Obrony Stolicy. Wymienił z wtajemniczonych Stanisława Dubois. Powiedział: „Pewno się pan ucieszy, jeśli panu powiem, że do naszych planów włączyliśmy pańskiego przyjaciela Staśka. Niech pan z nim utrzymuje stały kontakt”. W dalszym ciągu Rataj wyjaśnił, że z naszego stronnictwa zamierza prócz mnie, wciągnąć do roboty tylko nieliczne jednostki, nadające się, według jego oceny, do konspiracji, zatem zobowiązuje mnie do absolutnego milczenia także w stosunku do kolegów ze stronnictwa. Moje zwierzenia przyspieszyły wykonanie powziętej z Niedziałkowskim decyzji. Wreszcie zakończył przypuszczeniem, że w tych warunkach chyba zrezygnuję z wyjazdu zagranicę.

Natychmiast się z tym zgodziłem i wyszedłem uspokojony i zadowolony. Widziałem teraz wyraźny cel przed oczyma. Pozostanie w kraju miało swój sens, no i do tego wspinała perspektywa akcji podziemnej! Wszystkie troski i niepokoje ustąpiły w tym momencie na bok i po raz pierwszy od wybuchu wojny byłem po prostu i zwyczajnie wesoły. Byłem jeszcze na tyle młody, że sama walka, jej momenty sportowe, awantura, lub jak kto woli, Wielka Przygoda przez duże W i P, miały jeszcze dla mnie swój urok. Wszak całe pokolenie dojrzałe w niepodległości, zazdrościło starszym dawnej konspiracji. Owiana tajemniczością i bohaterstwem, w hierarchii walki o Polskę zajęła pierwsze miejsce. Być może, po takiej rozmowie należało być wstrząśniętym do głębi, na ponuro; być może należało zrobić się tajemniczym (co, jak to życie później wykazało, nie jest wcale równoznaczne z rzadko spotykaną w konspiracji trudną umiejętnością dochowania tajemnicy), być może, znalazłszy się u źródła konspiracji, należało „ważyć w sobie wielkie plany”. Ale nic z tego w tej chwili nie czułem, a po prostu wesoły jak szczygieł, kroczyłem do domu jeszcze wówczas legalnego.

Później, w konspiracji, jeśli idzie o zachowanie ludzi z podziemia, wytworzył się pewien fason, zresztą rozsądny. Obowiązywała powaga, ale nie koturny i żałoba narodowa. Uważaliśmy że można ją zachować na przykład przez pięć miesięcy, ale nie przez pięć lat. Ludzie dość naturalnie żyli, spiskowali i... ginęli. Bez pozy, bez wielkich gestów, a mimo to w cieniu wielkości. Zawodowi oficerowie nosili meloniki, kalosze i parasole, cywile — jakieś kurtki, czapki i wojskowe spodnie. Każdy uciekał od stroju, który nosił przedtem. Wojskowi chodzili pochyleni, jakby całe życie spędzili za biurkiem. Cywile — jak kij połknął. Pewne zwyrodnienie tego fasonu obowiązywało do wzniosłości w mowie i piśmie i stuprocentowej tajemniczości. Przewijały się postacie, jak z prowincjonalnej sceny: milczące, ponure, cedzące półsłówka, których chód i wygląd wołał do wszystkich: „jestem konspirator!”. Te śmieszne atrybuty nie przeszkadzały temu wcale, że w swej pracy codziennie igrali ze śmiercią i w razie potrzeby umierali jak bohaterowie.

Skoro mowa o „fasonach” konspiracyjnych, to trudno

nie wspomnieć o modzie, która wówczas nie tylko rządziła w Paryżu, Londynie i New Yorku, na tak zwanym „wolnym świecie”, ale w zimie 1939-1940 roku rządziła także w Warszawie. Któż nie pamięta młodych ziemian w lisich kołpakach i niedźwiedzich szubach do kostek, zamiatających polami błoto uliczne? Ubrani, jak na polowanie w Puszczy Białowieskiej, kroczyli od kawiarni do kawiarni, od baru do baru. A kelnerki w kawiarniach? Panie „z towarzystwa”, w większości żony, siostry, narzeczone wojskowych, pracowały z potrzeby. Część jednak pań — dla mody. Ta moda przeniknęła nawet przez mury Ghetta. (— „Wiesz co? W kawiarni... podaje Szereszewska; wiesz, ta córka bankiera. Wszyscy tam chodzą ją oglądać”). A męskie marynarki o wypchanych ramionach na plecach warszawianek? W szkocką kratę, w pepitę, zawsze za obeszne. A do męskich marynarek oczywiście męski krok i męskie ruchy! A moda na buty z cholewami? Chociaż nie na te piękne, lśniące, drogie, jedyne na świecie warszawskie buty z cholewami, z tradycją Kilińskich, Leszczyńskich, Strusiów i Kieliszków, ale w każdym razie na solidne, ciepłe, grube, długie buty. Ta moda przyszła dość późno, ale Niemcy w lot się zorientowali kto jej hołduje. Iluż to młodych chłopców poszło przez nie do więzienia! Niemniej młodzież w AK paradowała w nich od rana do wieczora i żadne ryzyko nie mogło jej od tego odwieść. Jeden z moich przyjaciół, siedzący zresztą obecnie w więzieniu w Polsce, został pewnego razu aresztowany przez cywilnego agenta na przystanku tramwajowym. Dopiero na korytarzu gmachu niemieckiego urzędu śledczego przy rogu Alei Ujazdowskich i Koszykowej, tam, gdzie jest obecnie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, udało mu się wykupić większą łapówką. Agent, widocznie folksdojcz, zapytany na pożegnanie o powód aresztowania, powiedział: „Po jaką cholere chodzi pan w butach z cholewami, i to w dodatku wpuszczonymi w nogawki? Nie wie pan, kto u was w długich butach chodzi, czy co?”

Utrzymuję teraz ciągły kontakt z marszałkiem Ratajem, ale sytuacja w jego mieszkaniu przestaje mi się podobać. Po prostu drzwi się przed gośćmi nie zamykają. Spotykam tam ludzi ze wszystkich partii i rozmaitych kierunków. Jest w tym wszystkim jakiś instynktowny pęd ludzi zagu-

bionych, szukających wskazówek i kierownictwa. Początkowo często asystowałem przy rozmowach na które trafilem, później zaczęliśmy tego unikać, by nie zwracać uwagi na bliski kontakt Rataja ze mną. Temat rozmów, z małymi odchyleniami, ten sam. Nieoczekiwanie szybka klęska, zupełne nieprzygotowanie do wojny, rząd na emigracji, Sikorski i potrzeba pracy dla przyszłej, innej, lepszej Polski. Orientuję się jak wielki autorytet polityczny i moralny reprezentuje Rataj dla swych rozmówców. O prezesie Witosie wiemy tylko tyle, że jest aresztowany i nieosiągalny — staramy się zebrać o nim jak najwięcej wiadomości. Rataj góruje zresztą wyraźnie nad swymi rozmówcami inteligencją i poziomem politycznego myślenia. Ma w sobie dużo entuzjazmu, promienieje z niego jakaś siła — wyczuwa się, że ma pewną wizję przyszłości, pewną koncepcję, dla której pragnie działać i organizować ludzi. Przed wojną znałem Rataja dość dobrze, mimo że w hierarchii partyjnej dzielił nas duży dystans. Obecnie, poznaję go jeszcze lepiej, zaczynam go bardzo cenić, a że w stosunkach osobistych jest bardzo miły, uprzejmy i delikatny, zaczynam go również bardzo lubić.

W czasie licznych rozmów omówiliśmy przyszłą strukturę partyjnej organizacji konspiracyjnej i dokonaliśmy przeglądu osób, które należałoby wciągnąć do roboty w ośrodkach prowincjonalnych. W opiniach o przydatność poszczególnych osób, Rataj łamał wszelkie zasady hierarchii partyjnej i był bardzo szczery. Jedyne kryterium, jakie uznawał, to przydatność do roboty podziemnej.

Zwróciłem w tym czasie uwagę Rataja na niebezpieczeństwo, związane z przyjmowaniem tak dużej ilości osób. Rozłożył na to ręce: „Sam sobie z tego zdaję sprawę. Ale jak tego uniknąć? Nie sposób trzymać cały dzień drzwi zamknięte. Chyba, żebym się wyprowadził, ale tego nie zrobię, bo zanadto przywiązałem się do tego miejsca”. Poparła mnie gorąco córka Rataja, Hanka, która orientowała się w tym, co się wokół niej działo i próbowała ograniczyć spotkania i wprowadzić pewną selekcję, ale rezultat tego był znikomy.

Dziś, gdy piszę te słowa, rozumiem, jak byliśmy wówczas naiwni i nieostrożni. Poza oficerami, którzy w ten czy w inny sposób uniknęli niewoli i wybitniejszymi polityka-

mi, związanymi z rządem, którzy obawiali się, iż Niemcy mogą ich aresztować pod takim czy innym pretekstem i z tego powodu ukrywali się, wszyscy inni pozostali w swych przedwojennych mieszkaniach lub powrócili do nich z wędrówki wojennej. Rozumowano w sposób następujący: „Jeśli my się zewnętrznie zastosujemy do przepisów prawa międzynarodowego i zachowamy spokój, to i Niemcy muszą odpowiedzieć podobnym”. Studiowano w prawie międzynarodowym wszystko to, co dotyczyło sytuacji kraju okupowanego i pocieszano się, że tego a tego Niemcy zrobić nie mogą. Sprawa organizującej się konspiracji — to co innego, ale była ona dla Niemców jeszcze tajemnicą, a pozory były zachowane. O mordach, dokonanych w Poznańskim, dochodziły dopiero pierwsze słuchy. Obawiano się prześladowań Żydów, ale o zbiorowej odpowiedzialności, o aresztowaniu bez dowodów winy, o „ludobójstwie” jeszcze wówczas nikt nie myślał. Łapanki, Pawiak, Oświęcim, Ghetto — w tej chwili była to jeszcze przyszłość. Pierwszy cios został zadany dopiero przez pobór zakładników w dniu 9 listopada 1939 roku, a drugi, wkrótce potem, przez słynną egzekucję w Wawrze.

Zakładnicy.

Rano obudziło mnie w domu walenie do drzwi i niemiecki okrzyk: „Otwierać!”. Włożywszy na siebie na pędce co było pod ręką, otworzyłem drzwi. Wszedł gestapowiec w towarzystwie dwóch żandarmów. Miał listę w ręku i zapytał o mnie, wymieniając nazwisko i zawód. Gdy odpowiedziałem twierdząco, usłyszałem rozkaz: „Ubierać się! Pójdzie pan z nami”. Zacząłem wolno się ubierać, starając się opanować szok. Żandarmi obchodzili mieszkanie pokój po pokoju. Ręce trochę drżą, po głowie latają myśli: „Jeszcze się prawie nie zaczęło, a już koniec?... Jak wykryli? Czy jakaś wsypa? Czy Rataj również aresztowany?” Gestapowiec stał przy mnie i naglił. Żona blada, ale spokojna, podawała mi najpotrzebniejsze rzeczy: ręcznik, mydło, bieliznę. Wreszcie wyszliśmy. Przed domem stał samochód ciężarowy, a w nim dwie skulone sylwetki. Błede twarze, jakieś znajome z sąsiedztwa. Przyszło zaraz otrzeźwienie: „to nie to, to jakaś inna historia”... Gdy po kilku-

nastu minutach żandarmi wprowadzili nas na wielką salę gmachu uniwersytetu na Krakowskim Przedmieściu, gdzie już było widać kilkadziesiąt takich jak my wystraszonych osób, zrobiło mi się jasno w głowie. To nie żadna wyspa, a jakaś akcja, związana z 11-tym Listopada. Za chwilę witałem się z Henrykiem Kołodziejskim i Emilem Breiterem, którzy potwierdzili moje przypuszczenia. W pół godziny potem oficer żandarmerii poinformował nas, że jako znani obywatele zostaliśmy wzięci na zakładników, dla zapewnienia spokoju w mieście w dniu 11 listopada. Jeśli by się wydarzyły jakieś rozruchy, zostaniemy rozstrzelani. A więc nie wyspa. Wrócił mi natychmiast dobry humor, objadłem się kaszy z konserwami, którą przynieśli żandarmi, a potem, leżąc na sienniku, gawędziłem długo w noc z Kołodziejskim i Breiterem, leżącymi obok. Dziwili się mej niefrasobliwości, której powodów nie mogłem im wytłumaczyć, ale powoli i im wrócił spokój. Gadaliśmy tak ze sobą przez następne dwa dni. Jedenastego listopada po południu, zadowoleni ze spokoju na mieście, Niemcy zwolnili nas. Przed bramą czekała już żona. Wróciliśmy szczęśliwi do domu, ale nie podobało nam się, że zostałem tak szybko przez Niemców „wyróżniony”.

Pierwsze aresztowanie marszałka Rataja.

Po kilku dniach, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość o aresztowaniu Rataja. Gestapowcy przyszli nad ranem i zabrali go szybko, nie pozwalając nawet wziąć ze sobą płaszcza i niezbędnych drobiazgów. Wszystko to opowiedziała mi blada, ale opanowana córka Rataja, Hanka, z którą spotkałem się na mieście, z zachowaniem wszelkiej ostrożności. A więc — uderzenie w samo serce powstającej organizacji! Byłem ogromnie przygnębiony, ale przede wszystkim starałem się zorientować co do przyczyn aresztowania. Po paru godzinach już wiedziałem, że Niedziałkowskiego nie aresztowano, ale że z miasta zabrano więcej osób. Naradzałem się z Dubois i doszliśmy do wniosku, że wystrzelono na ślepo i że dowodów jeszcze w ręku mieć nie mogą. Dubois, o doskonale zachowanej przedwojennej tuszy, w wiatrówce i „pumpach” grasował już po całej robotniczej Warszawie, bardzo przez wszystkich lubiany

i wszędzie mile witany. Zachował pogodny humor na codzienny użytek i spotkanie z nim było prawdziwym odprężeniem. Mieliśmy wiele wspólnych przeżyć i obiecywaliśmy sobie po wojnie pójść na wspinaczkę w Tatry z trzecim przyjacielem, Mieczysławem Thuguttem, który zawieruszył się gdzieś na szerokim świecie i którego nam bardzo brakowało.

Hanka wychodziła ze skóry, aby ojcu dostarczyć bieliznę i koc, ale nic jej nie wychodziło, nawet nie mogła się dostać do wnętrza gmachu przy Alei Szucha, który już zaczynał nabierać złej sławy. Postanowiłem zaryzykować i pójść samemu do jaskini lwa, w charakterze adwokata, zaangażowanego przez rodzinę dla obrony Rataja. Sam się z tego jeszcze dzisiaj śmieję, ale to były przecież początki! Hanka z moją żoną nadeszły z paczką przed gmach Gestapo z jednej strony, a ja, starannie ubrany, z piękną teczką w rękę — z drugiej. Patrzyliśmy na gmach dawnego Ministerstwa Oświaty i ocenialiśmy sytuację. Kilku żandarmerów stało przed nowoczesnym, lśniącym jasnymi płytami portalem. Przed nimi grupki osób, o twarzach pełnych niepokoju i oczekiwania — to rodziny aresztowanych. Kręcili się także jakieś podejrzanе indywidua, widocznie pośrednicy lub agenci Gestapo. Wkrótce groza, bijąca od tego gmachu wypłoszy wszystkich z Alei Szucha, a nazwa tej spokojnej dotychczas ulicy, stanie się synonimem zbrodni i mordu. W tej chwili jednak stosunki były jeszcze idylliczne i żandarmi przyglądali się wszystkim obojętnie.

Poszedłem pewnym krokiem wprost na nich. Stuknęli obcasami i przepuścili bez słowa. Dobry początek! Wzięli mnie za Niemca. Po gmachu wędrowałem jakąś godzinę, nie nagabywany przez nikogo. Czyste korytarze, ruch na nich duży. Oficerowie i szeregowi gestapowcy w szarych mundurach, w koszulach khaki, kręcili się tu i tam z teczkami i papierami w rękę. Tu żandarmi prowadzą jakiegoś blędego mężczyznę ze stosem książek na rękach, które z trudem dźwiga. Łapię po drodze jego spojrzenie — ma nieprzytomne, nic nie widzące oczy. Widać, że tylko co aresztowany. Tam jakaś grupa cywili z pistoletami maszynowymi w rękę, śmiejąc się głośno, wychodzi z pokoju. W dalszej wędrowce widzę jęczącą, pokrwawioną kobietę, z wywróconymi do góry białkami oczu, sprowadzaną, a

właściwie ciągniętą w dół po schodach przez dwóch gestapowców. Na mnie nikt nie zwraca uwagi. Tracę powoli spokój i pukam nerwowo do pokoju to tu, to tam i pytam moim kiepskim niemieckim, gdzie mógłbym się dowiedzieć o aresztowanym Macieju Rataju. Odpowiadają jedni uprzejmie, drudzy gburowato, że to nie tu. Wreszcie dostałem kartkę z numerem pokoju i zaczęłem jakiegoś nie dbale ubranego, starszego cywila, który na moje pytanie którejdy iść, odpowiedział po polsku: „A o kogo panu chodzi?” — „O byłego marszałka sejmu, Macieja Rataja”. — „Co, to pan Rataj aresztowany?” — dziwi się zaśliniony cywil. Opowiadam co i jak i widząc, że nazwisko Rataja zrobiło na nim wrażenie, proszę o pomoc. „A jak się pan tu dostał? Kto pan jest?” Na moje wyjaśnienia pokręcił głową z powątpiewaniem i zaprowadził do drzwi z napisem: *Schutzhaft*, niżej kartka z rangą SS i nazwiskiem Thiele. Zapukał i na gromki odzew wszedł, zgięty w ukłonie. Za chwilę drzwi się uchyliły i kiwnął na mnie palcem. Za biurkiem ujrzałem stojącego oficera Gestapo, olbrzymiego wzrostu, który patrzył na mnie ostro i nieprzychylnie. Twarz przystojna, rysy regularne. Jeszcze dzisiaj bez trudu wywołuję ten obraz na siatkówce oka. Wyjaśniłem, o co mi chodzi, poprosiłem o doręczenie paczki Ratajowi i o wiadomość, za co został aresztowany. Olbrzym wszedł i za chwilę wrócił z kartką z kartoteki w rękę. Z oczyrma wlepionymi w kartkę krótko oświadczył, że *Schriftsteller* Maciej Rataj znajduje się w więzieniu na Dzielnej, gdzie mogę zanieść paczkę i powołać się na to, że on, Thiele, zezwała na jej doręczenie. Usiadł i zrozumiałem, że rozmowa skończona. To jednak było za mało, by wrócić do czekającej na ulicy Hanki, wziąłem więc na odwagę i zapytałem: „Ale za co Maciej Rataj jest aresztowany i jak długo to potrwa?” Thiele spojrzał na mnie piorunującym wzrokiem, ale nim ryknął, już byłem na korytarzu. Uprzejmy cywil, który wypchnął mnie za drzwi, krzychał mi ze złością wprost w twarz: „Czyś pan zwariował! Za samo takie pytanie można pójść za kratę!” Zza drzwi dolatywało groźne mruczenie Thiego. Podziękowałem cywilowi, wskazał mi jeszcze drogę do wyjścia, przestrzegając przed zmyleniem i za chwilę opowiadałem wszystko dwóm kobietom, które od paru godzin spacerowały po ulicy, mod-

łąc się już tylko o to, bym wrócił cały. Hanka natychmiast poszła na Pawiak, lecz paczki jej nie przyjęli.

Spotkanie z Niedziałkowskim.

Dubois umówił mnie na spotkanie z Niedziałkowskim w kawiarni „Napoleonka”, na roku Nowego Świata i Wreckiej, na ósmą rano. Buntowałem się przeciw tak wczesnej godzinie, ale Staś uciał krótko, że „Mek” ma zwyczaj wstawać wcześniej i koniec. Punktualnie o ósmej wchodziłem już do kawiarni. Tylko co ją otworzono, zimno jak w psiarni. Po pustej sali i przy bufecie kręciły się dwie starsze, znane mi z widzenia aktorki-kelnerki, ustawiając popielniczki i poprawiając krzesła. Usiadłem w jednym kącie, drugi za chwilę zajął jakiś pan, który zaczął mi się dyskretnie przyglądać. Prócz nas w kawiarni nie było nikogo. Odpłacałem mu się pięknym za nadobne i tą wzajemną obserwacją przerwało dopiero wejście Niedziałkowskiego. Ucałował szarmancko ręce obu kelnerek, uklonił się po drodze nieznanemu i przysiadł do mnie. Znałem go dość dobrze z częstych wizyt u mego krewnego, dr Zygmunta Gralińskiego. Przyglądałem mu się jednak uważnie i nie spostrzegłem żadnych „śladów wojny”. Wyglądał bez zmian. Błyszczące binokle, czupryna zaczesana do góry, nawet śmieszny trochę, pełny podbródek ten sam. Przypatrywałem mu się z zaciekawieniem, usprawiedliwionym rolą, jaką odegrał w ostatnich miesiącach. Organizowanie baonów robotniczych w czasie oblężenia stolicy, działalność w Obywatelskim Komitecie Obrony, współpraca ze Starzyńskim — wszystko to wskazywało, że miałem przed sobą przywódcę, który zdał już egzamin praktyczny z tego, co innym zalecał na wiarę. Wymieniliśmy zwyczajowe zapytania, przy czym spytałem go o nieznanego, z którym wymienił ukłon. Otrzymałem tajemniczą odpowiedź: „Za chwilę go poznacie”.

Niedziałkowski szeptem, który zresztą w pustej sali słychać było w każdym kącie zapoznał mnie z sytuacją. Musiałem bacznie nasłuchiwać, gdyż mówił niewyraźnie i trochę seplenił. Poinformował mnie, że Rataj wymienił mnie jako wtajemniczonego, który na odcinku stronnictwa ludowego będzie spełniał funkcje identyczne z tymi, jakie na

odcinku P.P.S. sprawuje Dubois. Wobec tego, że Rataj jest aresztowany, powinienem zastępczo objąć jego funkcje i poprowadzić robotę w myśl ustalonych wytycznych. Był on zresztą zdania, że Rataj został wzięty bez związku z robotą i pewnością zostanie wkrótce zwolniony. Pod rygiem najściślejszej tajemnicy powiadomił mnie, że powstało już naczelne polityczne ciało konspiracyjne, w skład którego wszedł on — Niedziałkowski, jako przedstawiciel P.P.S. i przewodniczący, Rataj ze Stronnictwa Ludowego i dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Leon Nowodworski, jako osoba dokooptowana ze Stronnictwa Narodowego. Wymienił mi ponadto, jako kierownika roboty wojskowej, generała Tokarzewskiego i wskazując na siedzącego w roku samotnego mężczyznę, dodał: „To jest właśnie jego człowiek, który zapozna Was z systemem roboty wojskowej i skontaktuje z kim trzeba”. Za chwilę zostawił mnie z nieznanym. Przyjrzałem się z bliska uważnie nowemu towarzyszowi. Twarz rumiana, błyszczące wygolone policzki, włosy czarne, zresztą żadnych „oznak szczególnych”. Gdy wypowiedział pierwsze zdanie, widzę, że Małopolek. Był to Kortum z Komendy Głównej Służby Zwycięstwa Polski, później Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Siedzieliśmy w kawiarni i piliśmy podłą lurę. Wysłuchałem dłuższego wywodu, w którym Kortum określił postulaty wojska w podziemiu pod adresem partii politycznych. Wszystko oparte na założeniu, że przeszłość przekreślona i nigdy się nie powtórzy. Jedność w koncepcji, jedność w działaniu. Wyszedłem z rozmowy pod wrażeniem, że trzeba temu wyjść naprzeciw i podzieliłem się tym z kolegami ze stronnictwa. Nie jestem już teraz sam w Warszawie, bo odnalazł się Józef Grudziński, członek N.K.W. Stronnictwa Ludowego i przed przyjazdem Kazimierza Bagińskiego z emigracji, z Czech, sekretarz naczelny stronnictwa, oraz Stanisław Miłkowski, wiceprezes „Wici”. Nie widziałem innej rady jak wtajemniczenie ich we wszystko, zanim Rataj zostanie zwolniony i będzie mógł to sam zrobić. Rozmawialiśmy ze sobą cały dzień i zgodnie postanowiliśmy podjąć robotę w myśl wytycznych Rataja i informacji Niedziałkowskiego. Ułożyliśmy natychmiast plan wyjazdu Grudzińskiego do ludowych ośrodków prowincjonalnych dla nawiązania kontaktów, przeka-

zania niezbędnych informacji i zorganizowania komórek konspiracyjnych. Grudziński drobny, okrągły, rumiany i raczej nieśmiały, którego spotkałem przypadkiem na ulicy, był bardzo zadowolony, że się coś robi. Miał zamiar wyjechać na wieś, w lubelskie i tam się zagrzebać, gdy nagle nastąpił całkowity zwrot w jego planach. Żałował tylko, że nie zdążył się spotkać z Ratajem przed jego aresztowaniem.

Spotkanie z Roweckim.

Wkrótce, przez dobrze mi znaną łączniczkę ze Stronnictwa Ludowego, otrzymałem zaproszenie na rozmowę z szefem sztabu organizacji wojskowej. Gdzieś przy Koszykowej czy Pięknej spotkałem się z nią wieczorem. Było ciemno i ledwo rozpoznałem niską postać, stojącą w bramie. Schwyciła mnie za rękę i przez ciemne schody poprowadziła w górę. Zapukała do drzwi i szeptem wymieniła hasło. Za chwilę byłem już w słabo oświetlonym pokoju, gdzie na powitanie wstał z wyciągniętą ręką barczysty mężczyzna w średnim wieku, o przystojnej twarzy i ciemnych włosach świeżo odrastających, widać, że niedawno ściętych przy skórze. Milczeliśmy przez chwilę i przyglądaliśmy się sobie uważnie. Podobał mi się. Twarz energiczna, uśmiech miły, oczy, chociaż zimne, ale skierowane wprost na rozmówcę, głos mocny o przyjemnym brzmieniu. Znałem jego prawdziwe nazwisko, nic mi zresztą nie powiedziało, tak jak i jemu moje. Rozmawialiśmy parę godzin, przy czym raczej mówił mój towarzysz, a ja słuchałem. Temat — rozwinięcie poglądów i dezyderatów, o których mówił Kortum, tylko w bardziej określonej formie. Podziemne organizacje partyjne powinny stanowić zaplecze społeczne dla monopolicznej organizacji wojskowej, podległej rządowi. Skupiona w nich młodzież winna stopniowo wchodzić do szeregów podziemnego wojska. Ostateczne zorganizowanie zapoczątkowanego przez Niedziałkowskiego i Rataja ciała politycznego jest koniecznością. Wypowiedział pogląd, że powinno ono zacząć działać jak najszybciej. Należy też natychmiast skontaktować podziemną organizację partyjną na prowincji z działającymi tam ośrodkami wojskowymi...

W ten sposób, w ciemnym i zimnym pokoju, gdzieś na Pięknej czy Koszykowej, doszła do skutku znajomość, która zostawiła dużo śladów i wspomnień w moim życiu. Nie przeczuwałem wówczas, że siedzę przed jedną z najbardziej bohaterkich postaci przyszłej konspiracji. Rozmowa toczyła się swobodnie, w atmosferze dużej szczerości. Siedzieliśmy blisko siebie, twarzą w twarz i pod koniec mówiliśmy już o wszystkim, nawet o sprawach rodzinnych i osobistych. Gdy się żegnałem, byłem pod dobrym wrażeniem, które mnie nigdy w przyszłości nie opuściło. A późniejsze rozmowy nie wyglądały już tak idyllicznie. Nieraz się ścierały odmienne opinie i sprzeczne zdania. Nieraz podniesione głosy dochodziły do górnych rejestrów. A i pięści bijące w stół też sobie przypominam. Nie mniej pierwsze dobre wrażenie ze spotkania z pułkownikiem Roweckim — bo on to był właśnie — pozostało do końca.

Kontakt z generałem Tokarzewskim.

I tak, krocząc coraz wyżej, od szczebla do szczebla drabiny wojskowej, spotkałem się któregoś wieczoru z generałem Tokarzewskim, ówczesnym Komendantem Z.W.Z. Otrzymałem adres mieszkania i dokładny opis drogi. Wbiłem sobie wszystko w pamięć, bo notować nie wolno. Szedłem wieczorem po ulicy Rakowieckiej i powtarzałem w myśli raz po raz coś w rodzaju: „wejście przez stróżówkę, gdyby dozorca zapytał do kogo, powiedzieć, że do doktora, potem na podwórzu na prawo, trzecie wejście, pierwsze piętro po lewej stronie, zapukać dwa razy mocno, potem przerwa i raz jeszcze mocno. Otworzy starsza pani. Hasło — przyjechałem z Pragi. Odpowiedź — czekamy z kolacją”. Już się rodził system, którego naruszenie w przyszłości mogło nie tylko uniemożliwić spotkanie, ale doprowadzić do likwidacji lokalu, alarmów itd. „Pukał ktoś nieznamy, mówił, że to na pewno tutaj miał się z kimś spotkać, ale nie wymienił hasła. Wyglądał podejrzanie, był natarczywy, trzeba natychmiast się stąd wynosić”. Konspirator wysłany w drogę mógł w ten sposób utracić upragniony nocleg, mieszkanie i kontakt i dobrze było, jeśli tylko wrócił z niczym. Toteż mruczę pod nosem... „na prawo, trzecie wejście”... Myślę też po drodze o Tokarzewskim.

Nie wiele o nim wiedziałem, ale pamiętałem przedwojenny kongres Stronnictwa Ludowego w Krakowie. Rataj stoi na trybunie, ujmuje w rękę wiązanekę czerwonych róż i patetycznym gestem wskazuje je przepelnionej sali: „Te róże przysłał Kongresowi pewien generał”. Wybucho burza oklasków i gdzieś z kąta sali rozlega się okrzyk: „Niech żyje generał Tokarzewski”. Pokiwałem głową — tak niewiele czasu upłynęło, a tyle zmian! Ale byłem już na ulicy Fałata i wkrótce sprawdziłem, że pamięć mi dopisała. Stróżówka, podwórze, drzwi, schody, pierwsze piętro, znów drzwi. Stanałem, wciągnąłem oddech i zacząłem wybijać sygnały, jak na bębnie. Drzwi się zaraz otworzyły i nim odemknąłem usta, starsza pani milczącym gestem wskazała mi pokój w głębi mieszkania.

Rozmawialiśmy przez dłuższy czas. Generał Tokarzewski wykazał dużą znajomość zagadnień i stosunków politycznych. Absorbowała go przede wszystkim sprawa stworzenia dla organizacji wojskowej szerokiego zaplecza społecznego i uruchomienia naczelnego konspiracyjnego ciała politycznego, według znanych mu projektów Niedziałkowskiego i Rataja. To ostatnie zaczyna się jednak opóźniać z powodu trudności, powstałych w łonie Stronnictwa Narodowego.

Gdy skończyliśmy rozmowę, miałem już pierwszą serię spotkań z górą Z.W.Z. poza sobą i dość jasny pogląd na strukturę wojska polskiego w podziemiu i jego potrzeby.

Organizacja partyjna.

Zaczęliśmy już planować zasady współpracy naszej podziemnej organizacji partyjnej z wojskiem i nawiązaliśmy pierwsze kontakty. Wkrótce też wyłoniły się pierwsze trudności, wynikłe ze skrzyżowania dążeń wojska, zmierzających do wchłonięcia wszystkiego, z naszymi chęciami utrzymania samodzielności organizacyjnej. Jest nas już więcej, gdyż na naradzie z Grudzińskim i Miłkowskim, postanawiamy rozszerzyć koło wtajemniczonych ludowców. Organizujemy pierwsze większe zebranie w... małej kawiarence, przy Kruczej. Wszyscy niezmiernie przejęci skąpymi informacjami, których udzielam, z wyraźną radością zgłaszają akces do roboty. Żałujemy, że nie ma Bagińskiego,

który ma bogate doświadczenie konspiracyjne i bardzo by się teraz przydał. Nie ma o nim żadnej wiadomości, tyle tylko wiadomo, że w krytycznych dniach września opuścił Warszawę, udając się, tak jak tysiące innych, w kierunku wschodnim. Ustanawiamy lokal kontaktowy dla ludowców z prowincji w dawnej siedzibie stronnictwa, przy ulicy Książęcej 4, gdzie zostaje założona księgarnia. Ktokolwiek z naszych ludzi przyjeżdża do Warszawy, ten zawsze zagląda do dawnego lokalu, by zasięgnąć języka. Pelen za pału Grudziński podejmuje się objechać większe nasze ośrodki i wyjeżdża najpierw do Krakowa, a później do Lublina. Miłkowski bierze na siebie Kielecczynę, a ja nawiązuję kontakt z byłym posłem, Władysławem Pragą, przedwojennym sekretarzem zarządu wojewódzkiego w Białymstoku, którego byłem prezesem. Wkrótce udał się on na ten teren, by podjąć robotę i niebawem zapłacił za to życiem.

Aresztowanie Niedziałkowskiego.

W międzyczasie miałem kilka spotkań z Niedziałkowskim, któremu przedstawiłem wyniki i wrażenia z rozmów z wojskowymi, a poza tym poinformowałem go o postępie prac wewnątrz stronnictwa. Na moje pytanie, kiedy odbędziemy wspólne zebranie z przedstawicielami Stronnictwa Narodowego, Niedziałkowski ogólnikowo wyjaśnił, że z powodu powstałych trudności w łonie tego stronnictwa, nie zwołuje na razie posiedzenia przedstawicieli trzech stronnictw, ale ma nadzieję, że wkrótce uda się to zrobić. Niemniej żadne takie spotkanie z udziałem Niedziałkowskiego, przedstawiciela Stronnictwa Narodowego i moim w ogóle do skutku nie doszło. Powiadomił mnie też pewnego razu, że w wypadku gdyby został aresztowany, będzie go zastępował Dubois. Nie odniosłem jednak wrażenia, by się poważnie liczył z taką możliwością, gdyż nadal pozostał w swoim przedwojennym mieszkaniu.

A jednak w święta Bożego Narodzenia spadła hiobowa wiadomość. Niedziałkowski aresztowany! Przyniósł ją wstrząśnięty Dubois. Niedziałkowski, wzięty na przesłuchanie do Gestapo na Szucha, przed południem, w przeddzień wili, otrzymałszy po przesłuchaniu polecenie przy-

ścia nazajutrz, to jest w samą wilię Bożego Narodzenia, wytłumaczył gestapowcom, że wilia jest w Polsce dniem uroczystym, wobec czego prosi, by dokończyć przesłuchania tegoż dnia popołudniu. Gestapowcy byli bardzo uprzejmi i wyrozumiali. Zgodzili się szybko i oto Niedziałkowski, po krótkiej przerwie w południe, powrócił do Gestapo... by stamtąd nigdy już nie wrócić.

Byliśmy wszyscy zrozpaczeni. Więc już i Rataj i Niedziałkowski w więzieniu! Co to ma znaczyć? Czy wbrew naszym przypuszczeniom góra podziemna już jest rozszyfrowana? Zaczęliśmy badać sprawę na wszystkie strony, ale nie natrafiliśmy na żadne konkretne wskazówki. Wyglądało na to, że Niedziałkowskiego, tak jak i Rataja, aresztowano po prostu dlatego, że byli głośnymi politykami, a w dodatku Niedziałkowski socjalistą.

I tak płynął miesiąc za miesiącem, bez żadnej pewnej wiadomości, co było powodem aresztowania. Dowiedzieliśmy się tylko, że siedzi na Pawiaku i trzyma się wspaniale psychicznie i fizycznie. Wiadomości przynosili bądź zwolnieni (to się jeszcze zdarzało), bądź przesiąkały od polskich dozorców. Jednak w drugiej połowie 1940 roku, zaczęły się rozchodzić uporczywe wieści, że Niedziałkowski został z większą grupą osób rozstrzelany w Palmirach. Wkrótce już znaliśmy datę egzekucji — 21 czerwca 1940 roku.

Ujrzałem jeszcze Niedziałkowskiego, ale w sześć lat później, już w trumnie. Wydobyto ze zbiorowej mogiły w Palmirach dobrze zachowane zwłoki, przy nich fotografię żony, papierośnicę, nawet wizytówki. Potem fałsz i obłuda uroczystego pogrzebu „na koszt państwa”. Towarzysze pracy i walki, stojący gdzieś z boku, patrzą rozszereżonymi oczyma na tragiczne widowisko. Przy trumnie sylwetka żony w głębokiej żałobie, a obok ci, których Niedziałkowski najwięcej za życia nienawidził! Agenci policji tajnej, jawnej, mundurowej i cywilnej, polskiej Bezpieki i rosyjskiej N.K.W.D., wojsko z Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego — jedni z bronią w rękę, drudzy ukrytą, a wśród nich Bierut, „dygnitarze państwowi”, zabezpieczeni w ten sposób przed rzekomo wielbiącym ich tłumem robotników i chłopów, którzy masowo przybyli na pogrzeb. Stoją nad grobem Niedziałkowskiego przyjaciele i współpracownicy Niemców w chwili, gdy ci mordowali Niedziałkowskie-

go, z przybraną na twarze obłudną maską żałoby, a wśród nich świeci łąsą czaszką cyniczna twarz „wieprza z Chicago”, Cyrankiewicza. Niedziałkowski otrzymuje po śmierci z rąk Bieruta najwyższe odznaczenie — „Krzyż Grunwaldu”. Order, wrzucony w dół, na trumnę, trzasnął jak policzek.

*Pierwsze posiedzenie
Politycznego Komitetu Porozumiewawczego.*

W dniu 7 lutego 1940 roku, przemykałem się ulicami trochę podniecony na pierwsze posiedzenie przedstawicieli trzech stronnictw: P.P.S., Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Ludowego z Komendantem Związku Walki Zbrojnej, gdyż taką nazwę otrzymała teraz organizacja wojska w podziemiu. Rozglądałem się dyskretnie dookoła, by sprawdzić, czy nie jestem obserwowany. Z biegiem miesięcy i lat ten zwyczaj wejdzie mi w krew i stanie się po prostu czynnością mechaniczną, spełnianą przez oczy, jakieś komórki w mózgu i instynkt, najważniejszy ze wszystkich. Nieustanne ćwiczenie wyrobi zmysły do tego stopnia, że automatycznie rejestrują wszystko, co się dookoła dzieje i w odpowiednim momencie podsuwają potrzebny obraz. Na przykład, natychmiast poznaję nieznaną osobę, spotkaną na ulicy drugi raz tego samego dnia. Jeśli ktoś dłuższy czas idzie za mną, wyczuwam to w pewnej chwili. Działa tu jakiś „radar” ukryty w ciele ludzkim. Reaguję w takim wypadku zatrzymaniem się przy oknie wystawowym, skręceniem w boczną ulicę, przejściem na drugą stronę, lub skokiem w tramwaj, no i dalszą obserwacją. Każdy stara się poznać wszystkie przejściowe kamienice, to jest z wyjściem na dwie ulice. Jeśli idący po piętach agent o tym nie wie, to zatrzyma się przed domem do którego wszedł obserwowany i będzie czekał na jego wyjście aż do sądnego dnia.

Idąc tak z wszelkimi ostrożnościami na pierwsze posiedzenie, znalazłem się wreszcie w Alei Niepodległości, przed drzwiami wskazanego mieszkania. Otworzyła mi młoda pani w fartuchu lekarskim, uśmiechająca się porozumiewawczo. Wymieniliśmy hasła i za chwilę siedziałem już w poczekalni lekarskiej w towarzystwie generała Toka-

rzewskiego, pułkownika Roweckiego i pana, którego mi przedstawiono, jako „dyrektora”, a którym był Kruk-Strzelecki, późniejszy Szczepan, ówczesny szef wydziału polityczno-propagandowego Z.W.Z. Czekając na pozostałych, zabawialiśmy się rozmową, przy czym Tokarzewski powiadomił mnie, że ma wiadomość, iż P.P.S. delegowało Pużaka, zaś Stronnictwo Narodowe — byłego posła i więźnia brzeskiego, Aleksandra Dębskiego. Wkrótce nadszedł wysoki, trochę pochylony, siwawy Pużak. Rzucają się w oczy okulary o dużych, grubych szklach. Mówi z lekkim akcentem kresowym. Ostatni przychodzi Aleksander Dębski, szczupły, wysoki, też pochylony, też w grubych szklach, nerwowy i żywy. Nastrój wśród zebranych poważny, pełen skupienia. Przyglądamy się sobie wzajemnie. Wojskowi politykom, politycy — wojskowym. Zetknięcie rzeczywiście dość niezwykle. Trzej przedstawiciele partii opozycyjnych i trzej byli legionieści, reprezentanci wojska, tej alfy i omegi przedwojennej Polski. Wydaje mi się, że wszyscy w tej chwili zadają sobie pytanie: „Czy znajdziemy wspólny język? Co z tego wyniknie?”

Zagał zebranie gospodarz lokalu, generał Tokarzewski, zaproponował porządek dzienny i powołanie na przewodniczącego najstarszego wiekiem Pużaka. Po objęciu przewodnictwa, Pużak, zgodnie z przyjętym porządkiem, udzielił głosu pułkownikowi Roweckiemu i w ten sposób rozpoczęło swoje funkcjonowanie ciało, kierujące całą polską konspiracją przez około dwa lata. Obecni przyjęli pseudonimy, które z czasem uległy licznym zmianom. Pużak zamienił się na Bazylego, Dębski stał się Stachurskim, ja będąc odtąd zwał się Nowak. Tokarzewski — to „doktor”, także Michał. Roweckie — „inżynier”, później Rakoń, Tur, Jan, Grot. P.P.S. — to „koło”, Stronnictwo Narodowe — „kwadrat”, Stronnictwo Ludowe — „trójkąt”, Z.W.Z. — „Z”.

Pierwsze posiedzenie obracało się dookoła celów, jakie sobie stawiamy i organizacji kraju pod okupacją. Sformułowanie zadań wywołało krótkie, gorące, jednomyślne wypowiedzi: walka na śmierć i życie z Niemcami, prowadzona od zaraz. Nikt nie wysunął na przykład koncepcji biernego oczekiwania na wynik wojny, dostosowania się do warunków, przybrania barwy ochronnej lub szukania po-

rozumienia z Niemcami. Dziś, gdy piszę te słowa, bynajmniej się tym nie zachwycam, gdyż zagadnienia te zasługiwały w każdym razie na to, by je postawić i przedyskutować. Jeśli dyskusji nie było, to tylko dlatego, że wszyscy te sprawy już przetrawili i w sobie i we własnych zespołach organizacyjnych, a nieprzejednane nastroje społeczeństwa były też wszystkim dobrze znane. Uważaliśmy, że należy kontynuować walkę w podziemiu, chcieliśmy walkę w kraju uczynić elementem dalszej rozgrywki z Hitlerem, który alianci zmuszeni będą uznać i ocenić, pragniemy dopomóc do zwycięstwa i mieć możliwie poważną pozycję w aktywach ostatecznego bilansu. Nikt wybitny w kraju, prócz Studnickiego (bo trudno liczyć paru zbałamuconych górali), nie reprezentował odmiennej opinii, zaś polityka rządu na emigracji szła po tej samej linii. Obecnie, gdy nie z naszej zresztą winy, znaleźliśmy się „pod bilansem”, mogą budzić się zrozumiałe refleksje na temat, czy tak łatwo przyjęta koncepcja walki była słuszna, czy warto było przelać tyle krwi z tak nikłym rezultatem. Jeśli dziś mogą się rodzić wątpliwości, to wtedy jednak, w warunkach, w jakich pobieraliśmy decyzję, inna nie była do pomyslenia. Zresztą cała sprawa jeszcze nie jest zakończona. Trudno wyciągnąć ostateczne wnioski z historii bez ostatniego rozdziału.

W tej postawie kraj wytrwał do końca i nie wydał Quislinga. Czy były w okresie okupacji próby ze strony Niemców porozumienia się w kraju z Polakami? W tej formie, że Niemcy jednostronnie i bezosobowo chcieli oddziaływać na Polaków, by dawali robotnika do Niemiec, by dostarczali żywność, zachowali spokój i zaniechali konspiracji — tak. Wiele oświadczeń Niemców w tej mierze było puszczanych w obieg z Krakowa, z zarządu G.G., lecz natrafiały one na mur wrogości i nienawiści. Jeśli chodzi o utworzenie rządu, Niemcy zastanawiali się nad tą koncepcją i przeprowadzali próbne sondowania, których odgłosy dochodziły do władz podziemnych. Wynik tych akcji, być może przeprowadzanych na własną rękę przez niektórych dygnitarzy z G.G., musiał być jednak negatywny. Niewątpliwie wykazały one, że postawa Polaków jest najbardziej wroga ze wszystkich narodów okupowanych. Społeczeństwo polskie, wpatrzona w rząd na emigracji i posłuszne podziemnym władzom krajowym, o czym

Niemcy dobrze wiedzieli, odrzuciłoby każdą taką koncepcję. Być może obok tego podziałał trzeźwiąco nieudany eksperyment z Radą Regencyjną w 1916 roku, obliczony na utworzenie po stronie Niemców armii polskiej. Nie jest wykluczone, że przeważył pogląd, że każdy rząd, choćby powołany przez Niemców i całkowicie uległy, mimo to będzie symbolem państwa polskiego i przeszkodą przy planowanej polityce eksterminacji i „ludobójstwa”. Wreszcie, niedaleka przyszłość wykazała, że tylko ten kraj otrzymywał z ramienia Niemców rząd, który już przed wojną posiadał potencjalnego Quislinga, obojętnie czy się nazywał Laval, Pawelic, Degrelle, czy inaczej. Naturalny polski kandydat, niedowarzony Piasecki, z pochwałą trzeba to stwierdzić, wyrzekł się z miejsca brunatnych kuzynów z zachodu i znalazł się w szeregach konspiracji. Tę powściągliwość odbija sobie teraz z nawiązką, blisko współżyjąc z czerwonymi kuzynami ze wschodu. Inicjatywy tworzenia rządu z polskiej strony — nie było („Polska Quislinga nie wydała”). A najbardziej wystawiony na pokusy ośrodek krakowski (Rada Opiekuńcza) trzymał się i... był trzymany przez władze podziemne w granicach akcji charytatywnej.

Na czoło naszej dyskusji na pierwszym posiedzeniu wysunęły się zagadnienia polityczno-organizacyjne. Przedyskutowaliśmy projekt powołania Rady Obrony Narodowej, przy czym myślę — „Co za czasy!” — gdy „doktor” — Tokarzewski stwierdza, że tylko stronnictwa opozycyjne mają szanse skupienia wokół siebie zaufania zawiedzionego społeczeństwa. Jednakże zorganizowanie Rady uznało Stronnictwo Narodowe za przedwczesne, toteż zdecydowaliśmy się, nie rezygnując z tej koncepcji, szukać na razie innych, tymczasowych form dla reprezentacji społeczeństwa polskiego.

Dyskutowaliśmy także sprawę ustanowienia w kraju Delegata Rządu, przy czym starły się dwie koncepcje: jedna, by rząd mianował swym Delegatem osobę, znajdującą się już w kraju, ewentualnie zaproponowaną przez stronnictwa; druga, by rząd przysłał do kraju jednego z członków gabinetu.

W czasie obrad obserwuję uczestników. Bazyli poważny i skupiony, gdy argumentuje wpada w zapał, mówi z dużą siłą, często z sarkazmem. Ma wielkie doświadczenie po-

lityczne i konspiracyjne z czasów walki z caratem i ma za sobą osiem lat twierdzy w Schlisselburgu! Widać ze sposobu, w jaki się wszyscy do niego odnoszą, że jest on centralną osobą w naszym gronie. Dębski, mówiący bardzo żywo, inteligentnie, nie chce się zbyt angażować, jest najbardziej powściągliwy i ostrożny w koncepcjach. Tokarzewski, o ujmującym zachowaniu, robi wrażenie więcej polityka niż wojskowego. Przyczynia się do tego swoboda, z jaką obraca się wśród zagadnień politycznych i inicjatywa, jaką przejawia w tej dziedzinie, którą zresztą staramy się powściągnąć. Co do Roweckiego, to widać, że na terenie politycznym czuje się niepewnie. Zawsze w przyszłości będzie robił na mnie wrażenie człowieka, któremu „robienie polityki” nie leży w naturze. Co uderza mnie we wszystkich przemówieniach — to dążenie do zgody i pojednania oraz tendencja do stworzenia na czas wojny jedności narodowej. Doszedł tu widać do głosu zdrowy instynkt narodu w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Po zebraniu wyszliśmy kolejno, jeden w kilka minut po drugim. W ten sam sposób będziemy się zbierać na przyszłość, to jest jeden będzie przychodził w pięć minut po drugim, ściśle według rozkładu. Przybycie bowiem naraz sześciu osób mogłoby zwrócić uwagę, mimo, że się schodzimy u lekarki.

Pobył na Pawiaku.

Koło 20 lutego 1940 roku, nad ranem, budzi mnie już raz słyszane walenie we drzwi i głosy niemieckie. Mieszkamy jeszcze w Alei Róż 10, oficjalnie, tak jak prawie wszyscy. Ledwo ubrany otwieram drzwi. Wchodzi kilku gestapowców i żandarmów i znów słyszę własne nazwisko. Po kilkunastu minutach byłem już na ulicy, prowadzony przez Niemców. Wszędzie ciężarówki, pełno kręcących się gestapowców i żandarmów. Ze wszystkich domów wyprowadzają mężczyzn. Widzę, że to samo dzieje się na Koszykowej i Mokotowskiej. Odetchnąłem z ulgą. A więc znów jakaś zbiorowa akcja, a nie indywidualne aresztowanie. Przy wejściu do ciężarówki gruby żandarm pomaga mi kolbą. Siedzi tam już kilkanaście wystraszonych osób, na ławkach ustawionych wpoprzek. Wsadzają do nas po

chwili hr. Ronikiera, prezesa R.G.O. (Rady Głównej Opiekuńczej), którego legitymację i wyjaśnienia żandarmi całkowicie ignorują. Z kierunku, w jakim jedziemy, orientuję się, że na Pawiak. Tam nas ustawiają na podwórzu i wydzielają aresztowanych dozorców domowych w oddzielną grupę.

Rozglądam się z ciekawością właściwą skazańcom. Oko chwyta wszelkie szczegóły. Stoimy w szeregach na brudnym, zdeptanym śniegu, przeszło stu. Naokoło mury i zakratowane okna. Zimno piekielne, czuję je wszędzie, w całym ciele i w głowie. Przed nami kilku oficerów Gestapo i jakiś cywil, którego ktoś rozpoznaje jako Niemca z pochodzenia, docenta wyższej uczelni w Warszawie. Cywil ten staje przed nami i ogłasza po polsku, że zostaniemy tutaj pewien czas jako zakładnicy i gdyby w tym czasie wydarzyły się nieporządki na mieście, zostaniemy rozstrzelani. Już po raz drugi słyszę takie przemówienie. Na zakończenie, zwracając się do dozorców, powiedział: „A wy teraz wracajcie do domów i powtórzcie to wszystko, coście tu słyszeli. Niech wszyscy wiedzą, że od ich spokojnego zachowania zależy los tych zakładników”.

Dozorca z mego domu, mały, nieśmiały Stanisław, podbiegł do mnie, wepchnął mi w rękę zawiniątko z chlebem i szepnął: „Niech się pan nie martwi, wszystko będzie dobrze”. — „Niech pan, panie Stanisławie, zaraz idzie do żony i powie, że to tylko zakładnictwo”. — „Zaraz pójdę do pani i wszystko powtórzę”. Dozorcy odchodzili powoli, z ociąganiem, oglądając się za nami. Stanisław był jednym z tych kilku dozorców warszawskich, których do końca życia będę z wdzięcznością wspominał. Narażali oni nieraz swoje życie, by mnie kryć, orientując się tylko powierzchownie co do tego, że działam w podziemiu. Kiedy na przykład przeszedłem na stopę nielegalną, nie wymeldowałem się w porozumieniu z dozorcami z oficjalnych dwóch mieszkań. Liczyłem na to, że w razie poszukiwania mnie przez Gestapo, przyjdzie ono najpierw do mieszkania, gdzie byłem meldowany. Przewidywania te były trafne i do mego mieszkania przy Alei Przyjaciół Nr 1 kilkakrotnie w nocy zjeżdżali gestapowcy. Za każdym razem dozorca oświadczał, że mieszkam teraz na wsi, do mieszkania zaglądam tylko od czasu do czasu i nie zna mego adresu. Gesta-

powcy przystawiali mu rewolwer do głowy, grozili aresztowaniem i śmiercią, żądając podania adresu, lecz nieustraszony Jan, który zresztą został zamordowany w czasie powstania warszawskiego, robił głupkowatego i odpowiadał „nie mówił mi”. Tymczasem, nim jeszcze Gestapo odeszło, jego dziewięcioletni syn pędził do gmachu Prudentialu, na punkt alarmowy i za pół godziny wiedziałem już, że Gestapo podjęło na nowo poszukiwania. Muszę tu dodać, że bardzo na dobre wychodziła nam systematyczność Niemców, którzy rozpoczynając co parę miesięcy poszukiwania na nowo, zawsze rozpoczynali od oficjalnego, starego adresu.

Zostaliśmy umieszczeni w dwóch oddzielnych salach, których umeblowanie stanowiły metalowe łóżka i sienniki. Na środku stał stół, obok żelazny piecyk. Wszystko to brudne, odrażające i zimne. Ze ścian wilgoć ściekała strumykami. Z sali wyjście wprost do kłozetu. Ulokowałem się w środku między tą instytucją a oknem, skąd dochodziło świeże powietrze i stwierdziłem z zadowoleniem, że znalazłem się w miejscu, gdzie obydwie powiewy się neutralizują. Położyłem się na łóżku i zacząłem rozglądać po sali. Urzędnicy, kupcy, sklepikarze, adwokaci, lekarze, wszyscy z jednej okolicy. Tworzą się już grupki i nawiązują rozmowy. Jakiś chudy, wymizerowany mężczyzna opowiada: „Ja wcale nie mieszkam w Warszawie, tylko na wsi. Przyjechałem raniutko do lekarza na ulicę Szopena i zabrali mnie wprost z poczekalni. Nie chcieli wcale słuchać, że ja nie tutejszy”. Identyczny wypadek miał hrabia Ronikier, który po przyjeździe z Krakowa, zanocował na Szopena. Zwolnili go po paru godzinach, ale brat jego, milczący starszy pan, pozostał z nami do końca.

Moja sytuacja raz mnie złości, raz bawi. Siedzę tu jako zakładnik, a tam koledzy pracują. Licho wie, jak to długo może potrwać! Z drugiej strony śmieję się w duchu, gdy pomyślę, że Niemcy obdarliby mnie ze skóry, gdyby wiedzieli, jak sprawy stoją. W rezultacie jednak nudno, zimno i beznadziejnie.

Po kilku dniach dostaliśmy paczki z domu, które nam przynieśli polscy dozorczy, bo w roku 1940 jeszcze oni na szczęście pełnili służbę na Pawiaku. Zajadam bułkę i nagle się krztuszę. Czuję coś obcego w gardle. Okazuje się, że

gryps, w którym żona mnie zawiadamia, że zostaliśmy wzięci na zakładników z racji przyjazdu do Warszawy gubernatora Franka, którego umieszczono w dawnym poselstwie czechosłowackim, w pałacyku przy Szopena. Zakładników zatem wzięto z sąsiedztwa. Pocięsza mnie, że za kilka tygodni, gdy Frank odjedzie, będziemy zwolnieni.

Siedzieliśmy tak w podłym nastroju, gdy któregoś dnia dozorca wywołał mnie i mojego sąsiada z Alei Róż po paczki dla całej sali. Idziemy pod jego strażą, przy czym głowię się nad przyczyną wyróżnienia, jakie mnie spotkało. Przechodzimy przez bramy wewnętrzne i korytarze, wszędzie szczękają klucze i trzaskają żelazne drzwi. Wreszcie, idziemy przez małe podwórko, gdzie w kółko, jeden za drugim, spacerują więźniowie. Poznają wśród nich znanego szopenistę, profesora Konserwatorium, Lewickiego, i hrabiego Branickiego z Wilanowa. Idziemy do wartowni przy bramie na ulicę, która jest w tej chwili uchylona. Przez szparę zobaczyłem twarz żony, toteż puszczam kosz i podbiegam do bramy. Strażnik przy bramie odepchnął mnie gwałtownie. Proszę go: „Pozwól pan, tam jest moja żona”. Zaczął mi wymyślać, zaś ja, tracąc panowanie nad sobą, odpłacam mu się z nawiązką.

W tej chwili podszedł do nas mężczyzna w cywilnym, eleganckim palcie, z podniesionym kołnierzem i rozkazującym tonem, po niemiecku, polecił strażnikowi: otworzyć! Strażnik otworzył z pośpiechem furtkę w bramie i stanął na baczność. Niemiec wyszedł i w tym momencie zobaczyłem żonę w tłumie innych kobiet. Zauważyła mnie i zdążyła kiwnąć ręką, nim się furtka zatrzasnęła.

Ładujemy już kilka minut paczki na wartowni do koszyka, gdy nagle rozległy się wrzaski, gwizdy i zobaczyliśmy dwóch gestapowców i paru dozorców, pędzących do bramy. Słychać głosy: „Uciekł, uciekł!”. Robi się wielka awantura. Do wartowni dochodzą niemieckie pytania i przekleństwa. Widzimy przez okno, że strażnik przy bramie rozkłada ręce i coś tłumaczy. Nasz dozorca, Polak, mrugnął na nas okiem: „Szybko, panowie, znośmy się stąd”.

Za kilka godzin wiemy już wszystko od dozorca, którego zresztą, jak się okazało, moja żona przekonała litrem czystej, że ja najlepiej nadaję się do noszenia paczek z wartowni. Otóż dwóch gestapowców przywiozło autem męż-

czynnę, aresztowanego za posiadanie broni. Wjechali do środka Pawiaka i poszli do kancelarii. Tam, polecili urzędnicze więziennej, by spisała z więźniem personalia, a sami poszli do celi przesłuchiwać innego. Urzędniczka, czymś tam zajęta, kazała aresztantowi czekać w pokoju obok. Po pewnym czasie więzień wyszedł na korytarz, z najmniejszą krwią rozkazał po niemiecku strażnikowi na korytarzu otworzyć zakratowane drzwi, co ten bez chwili wahania uczynił, widząc go bowiem poprzednio wchodzącego z dwoma gestapowcami, wziął go także za gestapowca, tylko w cywilnym ubraniu. Ta sama procedura powtórzyła się na moich oczach, przy bramie i pomysłowy, odważny konspirator — uciekł. Jak mi później żona opowiedziała, po wyjściu z bramy puścił się pędem przed siebie, ku ogólnemu zdumieniu wyczekujących całymi dniami przed bramą kobiet. Gdy to dozorca nam opowiedział, ucieszyłem się, że moja awantura ze strażnikiem osłabiła jego czujność, ale mój sąsiad zmroził mnie uwagą: „Żeby nas tylko do tego nie przyczepili”. Toteż pytamy dozorcę: „A co się stało ze strażnikami na korytarzu i przy bramie?” — „Wzięli ich na badania, ale nawet palcem nie tknęli, gdy ci powiedzieli — a po czym mamy poznawać, kto więzień a kto Gestapo, jeśli nam nikt nic nie mówi, a Gestapo raz przyjeżdża w mundurach, a raz po cywilnemu?”

Po dwóch tygodniach, brudny i zarośnięty, wróciłem do domu i natychmiast wprowadzamy w życie decyzję, powziętą na Pawiaku. Za kilka dni mieszkamy już z żoną, nie meldowani, na Kolonii Staszica.

Organizacja Politycznego Komitetu Porozumiewawczego.

W międzyczasie, w dniu 26 lutego 1940 roku, odbyło się dalsze posiedzenie przedstawicieli stronnictw i Komentanta Z.W.Z., na którym zastąpił mnie „Walenty”-Grudziński. W protokole posiedzenia odnotowano. „Nieobecność Nowaka usprawiedliwiona”. Na posiedzeniu tym doszło już do wspólnych decyzji. Cel został sprecyzowany, jako „przywrócenie Krajowi niepodległości w drodze przygotowania zbrojnej walki z obu okupantami”. Środki działania: poparcie prac i zamierzeń Zetu, jako jedynej cen-

tralnej, powołanej przez rząd R.P., organizacji wojskowej, scalenie organizacji i wysiłków dla zrealizowania zadań i celów Zetu; dążenie do stworzenia właściwych warunków i ram dla powołania wspólnej reprezentacji politycznej: Rady Obrony Narodowej.

Przybrano dla obradującego ciała, w którego skład wszedł także Komendant Zetu, nazwę „Polityczny Komitet Porozumiewawczy” i zdecydowano, że członkowie P.K.P. będą przewodniczyli obradom każdy kolejno przez miesiąc, to jest systemem rotacyjnym. Wreszcie obecni złożyli przysięgę, według formuły Zetu, lecz z opuszczeniem słów, z których wynikał stosunek zależności od Zetu, a z pozostawieniem części dotyczącej obowiązku zachowania tajemnicy. Jedną w pierwszych uchwał było postanowienie o zgłoszeniu do dnia 23 marca 1940 roku i oddaniu do dyspozycji Zetu zespołów organizacyjnych typu wojskowego. Zdecydowano także wywrzeć wpływ na niereprezentowane w P.K.P. organizacje polityczne i społeczne, by podporządkowały Zetowi swe oddziały typu wojskowego.

W następnym posiedzeniu, wyznaczonym na dzień 4 marca 1940 roku w mieszkaniu przy ulicy Skorupki, wziąłem już udział. Byłem przedmiotem krótkiej, a serdecznej owacji, jako pierwszy w zespole w bieżącej okupacji „więzień z Pawiaka”. Bazyl-Pużak, patrzył na mnie z rozczuleniem i żartował: „To dopiero początek, Nowak. Pierwsze koty za płoty”. Miał prawo podkpiwać z paru niewinnych tygodni, mając za sobą osiem lat twierdzy w Schlisselburgu!

Łączność kraju z rządem już istnieje i otrzymaliśmy już pierwsze propozycje rządowe, dotyczące mianowania w kraju Delegata Rządu. Propozycje te przedstawiciele stronnictw nie zadowolili, nadawały one bowiem projektowanej Radzie Obrony Narodowej charakter ciała opiniodawczego, zaś całą władzę polityczną i administracyjną przekazywały mianowanym przez rząd delegatom, którzy mogli, lecz nie musieli zwracać się do R.O.N. o opinię, a w razie gdyby się zwrócili i opinię otrzymali, to nie posiadała ona dla nich mocy wiążącej. P.K.P. uważał, że projekt rządowy usuwa od konkretnego wpływu na prace rządu reprezentantów krajowej opinii publicznej i zaproponował jego korek-

tury w tym kierunku, by P.K.P., ewentualnie uzupełniony i związany tylko w istotnym zakresie z Zetem, stanowił dla rządu, a tym samym i dla delegatów, źródło obowiązującej informacji i opinii. Według propozycji P.K.P., otrzymywałby on dyrektywy rządu dla kraju i uzupełniony przez przysłanego do kraju Delegata Rządu, którego terenem działania byłyby obie okupacje, a nie tylko niemiecka, rozstrzygałby o tym, co według instrukcji rządu miało należeć wyłącznie do kompetencji Delegatów.

Oczywiście, P.K.P. nie wyobrażał sobie, by wszystkie sprawy mogły być wspólnie rozstrzygane przez P.K.P. i jego przyszłego członka — Delegata Rządu. Chodziło jedynie o współdecydowanie w zasadniczych sprawach, z pozostawieniem dla Delegata uprawnień politycznych, wynikających z charakteru jego funkcji oraz pełni władzy administracyjnej.

Zdecydowaliśmy się przedstawić nasz punkt widzenia rządowi, a na razie, dopóki trwa z rządem wymiana opinii, postanowiliśmy rozstrzygać o wszystkim zbiorowo, w składzie czterech osób, to jest trzech przedstawicieli stronnictw i Komendanta Zetu.

Dość gorące obrady w dniu tym zakończyły się wejściem właścicielki mieszkania, która wniosła wspaniałą czarną kawę. Odprężamy się zwolna i delektujemy specjalnie, o który w Warszawie było wówczas trudno. Przypomniało mi to, że mam spotkanie w barze kawowym na Wspólnej, toteż pożegnałem się szybko i wyszedłem.

Charakter P.K.P. i jego dalsze prace.

Zebrania P.K.P. odbywały się z reguły co tydzień. Byłem jego członkiem przeszło rok, do kwietnia 1941 roku. W tym czasie powstały zasadnicze zręby organizacji polskiego Państwa Podziemnego i wyklarował się wzajemny stosunek jego instytucji do rządu w Londynie. Rząd generała Sikorskiego uznał, że P.K.P. reprezentuje kraj wobec rządu i z drugiej strony reprezentuje tymczasowo rząd wobec kraju i jest jego organem wykonawczym. Ten stan pewnego przemieszania kompetencji, wywołany warunkami okupacyjnymi, trwał do czasu mianowania Delegata Rządu.

Kompetencje P.K.P. obejmowały wszystko, a więc zagadnienia charakteru politycznego, społecznego, gospodarczego, wojskowego, etyki, jaka ma obowiązywać pod okupacją itp. Wszystko, co życie pod okupacją nastroczało, znajdowało się na stole obrad P.K.P., którego decyzje były następnie rozprowadzane po kraju siecią organizacyjną partii politycznych i Zetu. Przy rozstrzyganiu spraw krajowych obowiązywała zasada jednomyślności, o którą w tym okresie czasu nie było trudno. W razie różnicy zdań co do opinii komunikowanych rządowi, lub żądań pod jego adresem, było przedstawiane rządowi stanowisko każdego ze stronnictw i Zetu. Kontakty z rządem nie były regularne i częste, toteż na ogół w sprawach krajowych P.K.P. decydował samodzielnie. Omówienie jednak całości tej poważnej pracy przekraczałoby ramy niniejszych wspomnień.

Jaki był stosunek P.K.P. do Zetu? Czy P.K.P. był instytucją doradczą i pomocniczą przy Zecie, jak to twierdzą niektórzy (czyli „P.K.P. przy Zecie”), czy też instytucją samodzielną? Niewątpliwie pogląd pierwszy jest błędny, gdy się zważy, że w stosunkach krajowych była w użyciu jedynie i wyłącznie nazwa P.K.P., bez żadnych dodatków, że w skład P.K.P. wchodził komendant Zetu, na równych prawach z przedstawicielami stronnictw i w okresie mego należenia do P.K.P., gen. Rowecki przewodniczył w kolejności jego obradom. Sprawa wzajemnego stosunku między P.K.P., a Zetem była dyskutowana na samym początku, między innymi przy okazji składania przysięgi przez członków P.K.P. Z formuły, przyjętej dla Zetu, usunięto wszystko to, co mogłoby wskazywać na zależność od niego. Wreszcie, sprawa cała została najlepiej wyjaśniona w piśmie do rządu z dnia 13 marca 1940 roku, w którym przedstawiciele stronnictw, składając rządowi propozycje odnośnie uprawnień P.K.P., stwierdzili, że jest on związany z Z.W.Z. tylko w istotnym zakresie, to jest o tyle, o ile ciało polityczne powinno być w warunkach okupacyjnych związane z robotą wojskową.

Charakter P.K.P. jako naczelnej politycznej instytucji utrzymał się przez cały okres jego istnienia, z tą tylko zmianą, że od chwili mianowania głównego Delegata Rządu, który wszedł w skład P.K.P. i objął jego przewodnictwo, komendant Zetu z P.K.P. się wycofał. W międzyczasie, sto-

sunki między politykami, a przedstawicielami wojska, do których wkrótce przestał należeć gen. Tokarzewski, układały się różnie — raz lepiej, raz gorzej. Różnice w podejściu do zagadnień nieraz znaczne, widać inne szkoły i metody myślenia. Wojskowi niekiedy z trudem naginają się do rozumienia politycznego punktu widzenia, zdradzają tendencje do ujęcia wszystkiego w swoje ręce, a co najmniej do kierowania wszystkim z ukrycia, politycy nie tylko, że nie chcą dać się prowadzić za rękę, ale słusznie pragną podporządkować Zet kierownictwu politycznemu P.K.P., przy czym są nieraz aż nadto podejrzliwi i wietrzą wszędzie „dwójkę”. Stąd częste spory i burzliwe dyskusje. Te dwie przeciwstawne tendencje charakteryzowały pierwszy okres konspiracji, niemniej obie strony starały się zdobyć na kompromis, wycucie polskiej racji stanu zwyciężało i wszystko powoli zmierzało do podziału władzy, rozgraniczenia kompetencji, a w całości — do konsolidacji. Wielokrotne, kilkugodzinne posiedzenia wytworzyły z czasem pewną zażyłość, zrodziły się sympatie, no i oczywiście antypatie, zaczęło dochodzić do wynurzeń. Już nie tylko przemawialiśmy do siebie, ale zaczęliśmy i mówić ze sobą. Rozmawiałem kiedyś z Roweckim, gdy już został Komendantem Głównym Z.W.Z. i generałem, na drażliwy temat: czy sanacja rządzi Zetem? Rowecki odrzucał od siebie takie posądzenie: „Czy mnie możecie uważać za sanatora? Z Legionów poszedłem do Wehrmachtu, za co jeszcze dzisiaj moi koledzy mają do mnie pretensję, później do wojska. Jak byłem dowódcą pułku piechoty w Lesznie Wielkopolskim, z radością żegnałem każdego oficera, który szedł do polityki, czy administracji cywilnej. Uważałem, że w wojsku powinien zostać tylko ten, kto ma do tego powołanie. Przed wojną objąłem brygadę pancerną. Nigdy nie byłem ani starostą, ani wojewodą, ani posłem, polityką się nie zajmowałem. Jakiż ze mnie sanator?” Wysunął wzamian tezę, że Zetem kierują legioniści — Piłsudzczyk.

Odejście Tokarzewskiego.

Na jednym z posiedzeń zawiadomił nas generał Tokarzewski, że otrzymał rozkaz objęcia dowództwa w okupacji sowieckiej, z siedzibą we Lwowie i wobec tego wkrótce

będzie musiał nas opuścić. Zdziwiła nas ta niespodziewana decyzja. Nie uważaliśmy jej za szczęśliwą, gdyż Tokarzewskiego, który był dowódcą okręgu wojskowego we Lwowie znało tam każde dziecko, więc z pewnością szybko wpadnie. Poza tym żyliśmy się jakoś, współpraca się ułożyła, więc po co ta zmiana? Nie była dla nas jeszcze jasna sprawa kierownictwa Zetu. A więc dwaj komendanci Zetu, jeden dla okupacji niemieckiej, drugi sowieckiej? Czyżby system decentralizacji roboty wojskowej? Postanowiliśmy zwrócić się do rządu z przedstawieniem naszych wątpliwości i wpłynęliśmy na Tokarzewskiego, by odwlekl swój wyjazd do czasu nadejścia odpowiedzi. Nie bez trudu udało go się namówić, ale nie na długo. Musiał wykonać rozkaz i wkrótce rozstał się z nami. Byliśmy o niego bardzo niespokojni i żegnaliśmy go ciepło. Mieliśmy już wiadomości z okupacji sowieckiej i wiedzieliśmy, że N.K.W.D. to nie przelewki. Tokarzewski był przy pożegnaniu wyraźnie wzruszony. Ścisnął nam ręce, życzył powodzenia w pracy. Potakiwaliśmy gwałtownie, lecz bez przekonania, gdy mówił: „Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy”.

W parę tygodni doszła nas wiadomość, że został aresztowany przez bolszewików zaraz przy przejściu granicy obu okupacji.

Pierwsi emisariusze Rządu.

Przeżywamy sensację, gdyż przybyli pierwsi emisariusze rządu: Władysław Gieysztor i Heller (pseudo). Odbywamy z nimi wielogodzinne posiedzenia. Przywieźli nam od rządu ocenę sytuacji międzynarodowej, sprawozdania polityczne i informacje. Sami mają za zadanie zebranie wszelkich informacji o kraju, o podziemiu, pragną poznać nasze życzenia, potrzeby itd. Przybyli dość łatwo przez Węgry. Heller, z którym się wkrótce bardzo zaprzyjaźniłem, małował mi w prywatnych rozmowach dość ponury obraz stosunków w Angers, dokąd już nie chciał wracać i rzeczywiście nie powrócił. Kłótnie, niesnaski, intrygi, walka o władzę i stanowiska. Starałem się spoza masy szczegółów dotrzeć do istoty zagadnienia. Stało się dla mnie niabawem rzeczą jasną, że zetknięcie się dwóch światów — rządzącego przed wrześniem, obarczonego odpowiedzial-

nością za błyskawiczną klęskę, i opozycyjnego, który po wielu latach walki politycznej w opozycji, ujął władzę w swoje ręce, — wytworzyło zjawisko podobne do zetknięcia się rozpalonej lawy z wodą (z zastrzeżeniem właściwych proporcji). Zjawisko, podobne do tego, które przeżywamy w miniaturze w P.K.P. Pocięszam się tym, że w każdym razie u nas lawa stygnie, a woda się ogrzewa. Jednakże głosy, jakie nas dochodzą później z zagranicy, wykazują że to porównanie w odniesieniu do stosunków emigracyjnych nie było trafne. Proces ten zagranicą poszedł w odwrotnym kierunku niż w kraju.

W jakiś czas potem konferujemy z emisariuszem Kar-skim, który referując sprawę przed P.K.P., zrobił duże wrażenie na wszystkich obiektywnością, z jaką przedstawiał wszystkie zagadnienia oraz doskonałą pamięcią, obejmującą nawet najdrobniejsze szczegóły. Po nim przybył „dyplomata” Borkowski (pseudo), inżynier Moskal ze Stron-nictwa Ludowego (Wojtek), Jerzy Lerski i w ten sposób rozpoczął się trwający przez całą wojnę „ruch wahadłowy” emisariuszy, kursujących między Warszawą a Angers, później Londynem.

Powrót Rataja z więzienia i ponowne aresztowanie.

Po kilkutygodniowym pobycie w więzieniu, Rataj został zwolniony! Wiadomość ta natychmiast obleciała całą Warszawę. Jest nie do wytłumaczenia szybkość, z jaką każda tego rodzaju wieść czy plotka dochodziła do wszystkich. Nie wiem, czy kto zbadał już tajemny mechanizm i prawa, rządzące tym zjawiskiem, ale wyniki musiały być bardzo ciekawe, a specjalnie formuła na szybkość, z jaką się taka wiadomość pod okupacją rozchodziła. O każdym ważniejszym wydarzeniu lub ciekawszej plotce mówiła po paru godzinach dosłownie cała Warszawa. Wiadomości radiowe z Londynu, powielane i kolportowane wówczas wśród stosunkowo nielicznych grup ludności, były znane całej jawnej Warszawie w ciągu tego samego dnia.

Cieszyli się wszyscy, szczególnie ludzie z góry konspiracyjnej. A więc tajemnica została utrzymana! W takim razie należy się spodziewać także zwolnienia Niedziałkowski-go. Idę na spotkanie, wyznaczone mi przez Rataja,

w stanie radosnego podniecenia. Zamieszkał z powrotem w domu przy ulicy Hożej 14 i tam będziemy rozmawiali. Zastałem Rataja jeszcze bardziej wychudzonego i postarzałego, ale rozpromienionego i zadowolonego z powrotu. Opowiadał obszernie o pobycie w więzieniu i o śledztwie: „Niczego nie byli mi w stanie udowodnić. Zorientowałem się, że uderzyli na ślepo, na chybił trafił. Jednak męczyli mnie badaniami przez parę tygodni. Wszystko ich interesowało. Cała moja przeszłość, poglądy...”

Rataj unosił się nad ludzkością i dobrocią Polaków-dozorców więziennych: „Trafiłem tam na kawałek Polski. Przynosili mi od siebie z domu bieliznę, jedzenie i wszystko czego potrzebowałem, nawet wiadomości z miasta. Czuliem ich opiekę na każdym kroku, ostrzegali mnie i pouczali jak się zachować”. (Wszyscy prawie dozorczy z Pawiaka zostali później wywiezieni do obozów koncentracyjnych, niektórych rozstrzelali gestapowcy na miejscu).

Rozkoszował się wolnością i nowymi wrażeniami: „Nie ma pan pojęcia, co to za uczucie, gdy się chwytą za klamkę, i, o dziwo — drzwi się otwierają...”

Rozpaczynam kilkugodzinne, drobiazgowe sprawozdanie z rozmów z Niedziałkowskim, Tokarzewskim, Rowec-kim, informuję o powstaniu P.K.P., jego uchwałach, decyzjach, o sprawie mianowania Delegata Rządu, o sytuacji w stronnictwie naszym i innych, słowem, o wszystkim. Rataj jest nieco zaskoczony moim sprawozdaniem i gdy skończyłem, pokręcił głową: „Widzę, że Niedziałkowski posunął sprawę bardzo naprzód, ale nie mam mu tego za złe, bo sytuacja tego wymagała”. Z dalszych wynurzeń Rataja mogłem wynioskować, że Niedziałkowski nadał określone formy pewnym pomysłom, które dopiero były w dyskusji pomiędzy nim a Ratajem. Skończyłem parogodzinne wyjaśnienia oświadczeniem, że rolę swoją w P.K.P. wobec wyjścia Rataja na wolność uważam za skończoną.

W rezultacie dalszych rozmów, Rataj zdecydował, iż mam pozostać w P.K.P. nadal. Byłem tym nieco zaskoczony, ale Rataj z miejsca wyjaśnił powody:

— „Widzi pan, nie wiadomo jeszcze jak praca w P.K.P. pójdzie. Ja nie mam wcale chęci wchodzenia w zadaw-nione spory i kwestie. Jeśli w P.K.P. miałyby się rozwinąć te czy inne rozgrywki z wojskiem, czy między stronnictwami,

to ja do P.K.P. nie wejdę. Z tego, co pan mówi, wynika, że załatwiliście tylko podstawowe sprawy, a w codziennej pracy dopiero szukacie wspólnego języka i ta współpraca dopiero zaczyna się układać. Wolę zatem zachować pewną rezerwę. Jeśli P.K.P. wytrzyma próbę życia, co się wkrótce okaże, to może wejdę w jego skład. Jeśli nie, to nie wiem, czy i pana w nim pozostawimy. Ułożmy się tylko między sobą w ten sposób, że tylko ze mną będzie pan omawiał sprawy, związane z P.K.P.”.

To ostatnie ostrzeżenie miało ten sens, że w sprawach P.K.P. nie będę się komunikował z „trójką”, którą marszałek Rataj powołał do kierowania poszczególnymi działami organizacji podziemnej Stronnictwa Ludowego.

W sprawie mianowania w kraju Delegata Rządu Rataj nie był zadowolony ze stanowiska rządu, który domagał się wskazania kandydata spośród osób, znajdujących się w kraju. Rataj uważał, że generał Sikorski powinien przysłać swego zaufanego człowieka z zagranicy, osobę poważną i dobrze zorientowaną w sytuacji międzynarodowej, która by przywiozła poza tym wyczerpujące informacje i wskazówki. Ponieważ jednak, stosownie do życzenia rządu, próbowaliśmy na P.K.P. wytypować kandydata z kraju, zatem bez porozumienia z Ratajem, wysunąłem jak gdyby próbnie, w dyskusji, jego osobę. Zgodzili się natychmiast wszyscy, z wyjątkiem Dębskiego z „Kwadratu”, który w wyszukanych słowach i bardzo kurtuazyjnie oponował, mówiąc, iż bez wysondowania opinii prezesa Witos, co w danej chwili nie było możliwe, gdyż Witos był aresztowany, jego stronnictwo nie mogłoby się wypowiedzieć za kandydaturą Rataja.

Gdy później relacjonowałem to Ratajowi, usprawiedliwiając się z popełnionej samowoli w ten sposób, że moim zdaniem, jest on właściwym i bezkonkurencyjnym kandydatem na Delegata i wyrażając przekonanie, że mimo słabych zastrzeżeń Stronnictwa Narodowego, kandydatura jego przejdzie, Rataj uprzejmie podziękował mi za wysoki o nim sąd, jednak kategorycznie odmówił:

— „Nie pragnę być Delegatem Rządu. Mam wątpliwości, czy pełniłbym dobrze tę funkcję. Nie bardzo bym się

nadawał tylko do wykonywania poleceń, a samodzielność — to zarodek konfliktu”.

Zaczęły się znów niekończące wędrówki do mieszkania przy Hożej 14. Bywało tam po kilkanaście osób dziennie. Ja stałem się chyba jednym z najrzadszych gości, mimo że miałem więcej od innych powodów do częstych wizyt. Ułatwiłem w tym czasie spotkanie z Ratajem członkom P.K.P. — Pużakowi i Dębskiemu. Większość jednak gości, to ci sami ludzie, co poprzednio. Toteż córka Rataja, Hanka i jej mąż, Tadeusz Stankiewicz, „trójka” z naszego stronnictwa i ja, żądamy kategorycznie od Rataja, by przerwał tę niebezpieczną gościnność, bo się ona źle skończy. Rataj czuł to sam i gdy najważniejsze sprawy zostały uregulowane, zgodził się na wyjazd w tajemnicy przed wszystkimi do Otwocka, do zakładu św. Józefa, prowadzonego przez księży. Nikt, prócz córki, zięcia oraz mnie nie będzie wiedział, gdzie przebywa. Miałem pewne stosunki z firmą Colgate-Palmolive w Warszawie, która jako własność amerykańska, posiadała własne auto, nie zarekwirowane przez Niemców. Któregoś dnia, rankiem, podjechałem tym autem pod dom Rataja i po dwóch godzinach był on już w Otwocku. Zamieszkał w drewnianej willi, w ogrodzie. Wszędzie metrowy śnieg, spokój i cisza. Można zapomnieć o wojnie i o całym świecie. Otoczony serdeczną opieką przez księży, przychodził tam Rataj powoli do siebie. Dojeżdżałem do niego od czasu do czasu, z informacjami i po wskazówki.

Po paru tygodniach przyjechał z Krakowa do Warszawy dr Władysław Kiernik. Przyjechał głównie, by się spotkać z Ratajem, który, powiadomiony o przybyciu Kiernika, zaproponował, bym go przywiózł do Otwocka, oczywiście z zachowaniem ścisłej tajemnicy. Gdy zakomunikowałem to Kiernikowi, łypnął na mnie okiem i odął się: „Jeśli ja mogłem przyjechać do Rataja z Krakowa do Warszawy, to on może przyjechać do Warszawy z Otwocka”. Żadne perswazje nie pomogły, wobec czego pojechałem z Hanką do Otwocka z niczym. Rataj rozłożył ręce: „No, widzi pan, to jest cały Kiernik. Dla niego jest to tylko kwestia prestiżu. Nie ma innej rady, pojedę z wami do Warszawy, a potem wrócę”. Ponowne perswazje Hanki i moje nie pomogły. Rataj już się nudził wśród spokoju

i ciszy zakładu św. Józefa, toteż może po cichu był rad, że znalazł się pretekst do wyjazdu. Wsiadliśmy więc w auto — małą półciężarówkę — i objając sobie boki, gdyż na szosie leżał olbrzymi śnieg, ledwo przetarty i pełen wyboi, dobrnęliśmy wieczorem do Warszawy. Potem już o powrocie Rataja do Otwocka nie było mowy.

Zorganizowałem spotkanie Rataja z Roweckim. Miałem do dyspozycji w gmachu Prudentialu dwa konspiracyjne pokoiki, w których zrobiłem coś w rodzaju biura. Półki z aktami, biurko i parę krzeseł. O godzinie czwartej popołudniu miałem w tym pokoju poznać Roweckiego z Ratajem. Komendant Z.W.Z. przyszedł punktualnie o czwartej i rozmawialiśmy sobie o tym i o owym. Po kilku minutach rozległo się umówione pukanie. Otworzyłem drzwi, lecz zamiast Rataja weszła łączniczka ze stronnictwa. Gdy spojrzałem w jej bladą i zmęczoną twarz, od razu tknęło mnie złe przeczucie. „A gdzie marszałek?” — „Dziś rano aresztowany. Niemcy obsadzili Hożą od Kruczej do Placu Trzech Krzyży i zabrali marszałka”. Nim ją zacząłem wypytywać wyprawiłem Roweckiego za drzwi, bo nic nie wiadomo. A może Rataj miał spotkanie i adres gdzieś zanotowane?

Sam byłem zupełnie złamany. Wracałem szybko do domu, umysł pracował gorączkowo. Tym razem aresztowanie wyglądało poważniej! Tak szybko po zwolnieniu! Teraz musieli jakąś nić chwycić! Po co było przyjeżdżać z Otwocka? Trzeba zarządzić alarm, bo chociaż Rataj na pewno nic nie powie, ale mogą mieć dalsze ślady. Majaczy mi przed oczyma twarz łączniczki, z której patrzyło nieszczęście. Ileż to takich spotkań miałem jeszcze przeżyć! Wszystkie prawie jednakowe. Znajome rysy łączniczki czymś zmienione, oczy rozszerzone przestraczem. Nim otworzy usta, wiem, że usłyszę za chwilę: „Wsypa... aresztowany... zabity...” Jak za naciśnięciem guzika sypią się zarządzenia i rozpoczyna działać aparat alarmowy. Likwidować lokale, zmieniać adresy i pseudonimy! Uprzedzić zagrożonych! Konieczność natychmiastowego działania usuwała ból na kilka godzin. Za to potem wracał z podwójną siłą. Z kolei krótki okres względnego spokoju i znów wchodzi blada łączniczka.

Wkrótce już Hanka miała grypsy z Pawiaka od ojca. Szły one przez dozorców więziennych. Można się było z nich zorientować, że sprawa wygląda poważnie. Wszystkie starania o pomoc dla Rataja zawodzą, prócz drogi na Pawiak, która funkcjonuje i pozwala na zorganizowanie czegoś na kształt widzenia z Ratajem.

Umówionego dnia, o określonej godzinie, Hanka i moja żona w jednej grupie, a ja oddzielnie, spacerujemy po Dzielnej. Nagle, w oknie szpitala na Pawiaku ukazała się wynędzniała twarz Rataja, który, wpatrzony w córkę, pożerał ją po prostu oczyma. Hanka stanęła na krawędzi chodnika i z uśmiechem zmieszonym ze łzami patrzyła na ojca. Przesunąłem się obok, Rataj mnie zauważył i dał to poznać skinieniem głowy. Staliśmy na chodniku z oczami wlepionymi w twarz, majaczącą za okratowanym oknem. Wreszcie Rataj rozkazującym gestem dał nam znak, że mamy odejść. Oddaliśmy się, ale jeszcze przez parę chwil widzimy bladą plamę twarzy za szybą. Hanka po cichu łka łzy. Widziała ojca po raz ostatni.

Pewnego dnia przyszła zapowiedź katastrofy. Zawsze panująca nad sobą Hanka, tym razem zapłakana i zrozpaczona dała mi do odczytania gryps. Mała, zmięta kartka wyrwana z notesu, a na niej charakterystyczne pismo Rataja. Przeczytałem uważnie i opuściłem bezradnie ręce. Nie było żadnej wątpliwości. Rataj wiedział już, że zginie i żegnał się z córką i zięciem na zawsze i przesyłał im swoje błogosławieństwo. Nie próbowałem ich nawet pocieszać.

W kilka miesięcy później mieliśmy już wiadomość, że został rozstrzelany 21 czerwca 1940 roku, w lesie, w Palmirach, razem z Mieczysławem Niedziałkowskim, Pohoskim, Kusocińskim, Wojnarem-Byczyńskim z Z.W.Z. i innymi.

Epilog tragedii Ratajów rozegrał się w czasie powstania warszawskiego. Któregoś dnia wpadła do mego lokalu łączniczka, osypana pyłem wybuchu od stóp do głów. Na twarzy wypisane nieszczęście: „Bomba zasypała w piwnicy na Hożej Hankę, Tadeusza, dziecko i służącą Bronię”. Pobiegłem jak wariat Kruczą w kierunku Alei Jerozolimskich. Nalot jeszcze trwał, bomby waliły jedna za drugą. Skręciłem w Hożą. Nie była to już ulica, tylko pagórki

i doły, w których stała żółta, brudna woda. Nad ruinami domu pod czternastym unosił się jeszcze tuman kurzu. Ludzie pokryci warstwą zmielonego przez ciśnienie tynku. Wpadłem na schody do suteryn — korytarz cały, ale przy wejściu do piwnicy, jak nożem uciął. Ściana gruzu, cegieł, połamanych desek. Zacząłem wołać: „Hanka, Tadeusz, odezwiście się!”. Odpowiedziało mi spod gruzów szczekanie psa. Jego też tylko udało się uratować. W piwnicy, prócz rodziny Stankiewiczów zginęło jeszcze kilkanaście osób.

Akcja Świętochowskiego.

P.K.P. miało już wkrótce swego „sobowtóra”. Ten bliźniak nie tylko legitymował się rzekomymi pełnomocnictwami generała Sikorskiego, nie tylko sam, gdzie się dało, przejmował korespondencję i przesyłki, idące do P.K.P. z zagranicy, ale zaczął także organizować własną akcję w społeczeństwie i w stronnictwach. Inicjatorem i duszą wszystkiego był Ryszard Świętochowski, który pozyskawszy współpracę mecenasa Borzęckiego, Tyczyńskiego z „Siewu” i innych, mienił się być reprezentantem generała Sikorskiego, na zażyłe stosunki z którym stale się powoływał. Współdziałał z nim także w tym czasie redaktor Kwieciński ze Stronnictwa Pracy, poza tym gromada karierowiczów, którzy w poszukiwaniu właściwej orientacji biegali raz do Świętochowskiego, drugi raz na Hożą do Rataja, gdy ten jeszcze przebywał na wolności. Wśród nich panował największy niepokój. Byle nie popełnić pomyłki i nie postawić na fałszywego konia!

Cała sprawa wyglądała niepoważnie, ale wyczuwało się, że ktoś tej akcji z zagranicy patronuje. Zanim ta „robotka” zapuściła korzenie, nastąpiło wyjaśnienie sytuacji. Generał Sikorski, powiadomiony o akcji Świętochowskiego, odciął się od niej zdecydowanie, wprowadzeni w błąd współpracownicy szybko się wycofali. Na Hożej ogonek zaczął rosnać.

Świętochowski, któremu grunt w kraju usunął się spod nóg, zdecydował się na wyjazd zagranicę do gen. Sikorskiego, zapowiadając, że wkrótce powróci z nominacją na delegata w rękę i obejmie „władzę nad krajem”.

Zabawa w delegata skończyła się jednak tragicznie. W parę miesięcy doszły nas głosy, że wyprawa, z jaką ruszył Świętochowski zagranicę, została schwyтана przez Niemców przy przejściu przez Słowację. Podobno grupa ludzi, wśród których znajdował się Świętochowski, prowadzona przez przewodników-Słowaków, zapadła na dzień w jakiejś leśnej kryjówce, by w nocy ruszyć dalej. Dręczeni pragnieniem, czy głodem, wysłali przewodnika do pobliskiej karczmy. Ilość nabywanych przez jednego człowieka produktów prawdopodobnie zwróciła czyjąś uwagę i w rezultacie, w ślad za przewodnikiem, zjawili się w kryjówce słowaccy żandarmi.

Świętochowski zginął bez śladu i pozostawiony przez niego ośrodek dostał się w ręce aferzystów politycznych. Z trudem tylko udało go się Delegatowi Rządu, po długim czasie, zlikwidować.

Projekt mianowania Komisarza Cywilnego.

Rząd nalegał na P.K.P., by ten zgłosił kandydaturę krajową na Delegata. Natrafiało to na trudności, gdyż niełatwo było znaleźć osobę, która by uzyskała poparcie możliwie wszystkich, a do tego P.K.P. zmierzał. W związku z tymi trudnościami rodziły się inne koncepcje.

Pewnego dnia otrzymałem zaproszenie na rozmowę od generała Roweckiego. Wyznaczona była w jego lokalu, jak zwykle starannie dobranym i pilnie strzeżonym w tym czasie przez uzbrojoną ochronę. Rowecki szybko tę ochronę skasował, gdyż, jak powiedział, doszedł do wniosku, że zwraca ona zbyt uwagę i skutek może być odwrotny. Na razie jednak, gdy przyszedłem, paru kręcących się po ulicy cywilów poddało mnie gruntownej obserwacji. Wszystko poszło jednak, jak z płatka i sprawdziwszy ostatecznie umówione znaki, dotarłem do celu. Przywitał mnie uśmiechnięty i pogodny Rowecki. Ciemne włosy już mu odrosły, nosił jakieś marne, cywilne ubranie i ciemną koszulę, a takich prawie wszyscy używaliśmy, gdyż były praktyczne i zastępowały często na przypadkowych noclegach piżamy.

Po wstępnych ceremoniach wyczułem, iż zanosí się na jakąś ważną rozmowę. Rozpoczęła się ona od tego, że Ro-

wecki zaczął utyskiwać nad powolnością, z jaką idzie załatwianie sprawy Delegata, podkreślał, że na tym cierpi robota wojskowa, wreszcie wyłożył na stół sprawę, dla której zaprosił mnie na rozmowę.

— Proszę was, Nowak, po co będziecie się upierali koniecznie przy Delegacie, który będzie instytucją nową i nieznaną, kiedy w naszym ustawodawstwie na wypadek wojny jest taka sytuacja przewidziana i uregulowana. Po prostu, trzeba mianować w kraju Komisarza Cywilnego i pragnę tę sprawę wnieść na P.K.P., ale przedtem chciałbym usłyszeć wasze zdanie.

Byłem tą propozycją zaskoczony, ale chciałem wyjaśnić wszystko do końca, więc zapytałem: „A komu, według was, generale, podlegałby Komisarz Cywilny?” — „Naczelnemu Wodzowi”. — „Któremu? Zagranicą czy jego odpowiednikowi w kraju?”

— Zagranicą to by nie miało sensu. Więc chyba odpowiednikowi w kraju — dość niepewnie odpowiada Rowecki. — „A więc wam, generale?” — „Tak, mnie”.

Zaoponowałem przeciwko temu kategorycznie i oświadczyłem, że mianowanie Komisarza Cywilnego, podległego Komendantowi Głównemu Zetu, byłoby równoznaczne z militaryzacją podziemia, na co stronnictwo, które reprezentuję w P.K.P., nigdy się nie zgodzi. Zresztą osoba Kosika-Biernackiego, mianowanego z chwilą wybuchu wojny Komisarzem Cywilnym, dostatecznie tę instytucję skompromitowała. Rowecki wystrzelił wówczas z najcięższej kolubryny.

— Mogę zrozumieć do pewnego stopnia wasze obawy, ale mam nadzieję, że natychmiast ustąpią, gdy wam oświadczę, że stanowisko Komisarza Cywilnego zaofiarujemy członkowi z waszego stronnictwa.

Mimo tej przynęty nie godziłem się w dalszym ciągu na propozycję, twierdząc, że osoba nie jest w stanie zmienić instytucji, zresztą akceptacja samej koncepcji oznaczałaby także zgodę na poddanie osoby Komisarza Cywilnego, choćby nim był członek Stronnictwa Ludowego, rozkazodawstwu Komendanta Zetu. Rowecki był tym wyraźnie zawiedziony i rozczarowany. Zapuściłem się wobec tego w długi dyskurs i w rezultacie zaczął on pojmować, że sprawa nie jest tak prosta, jakby się wydawała. Rozstali-

śmy się w zgodzie, z tym, że na pożegnanie Rowecki oświadczył mi, iż propozycji mianowania Komisarza Cywilnego na P.K.P. oficjalnie nie wniesie.

Trójka w „Trójkącie” w zupełności aprobowwała moje stanowisko i projekt ten na zawsze został pogrzebany.

Przyjazd tymczasowego delegata.

Aby sprawę mianowania Delegata Rządu posunąć na przód, „Trójkąt” zdecydował się wysunąć kandydaturę prezesa „Społem”, znanego spółdzielcy Rapackiego, ojca obecnego ministra rządu warszawskiego. Odwiedziłem go w biurach „Społem”, przy ulicy Grażyny 12. Starszy, poważny pan był uprzedzony, że przyjdzie do niego ktoś z podziemia, więc przyglądał mi się dość ciekawie. Poinformowałem go o celu wizyty i zapytałem, czy daje swą zgodę na kandydowanie. Rozłożył ręce: „Dziękuję bardzo za zaszczytną propozycję, którą naprawdę jestem wzruszony. Gdybym ją przyjął, musiałbym porzucić stanowisko prezesa „Społem” i przejść do podziemia. Wówczas okupanci na moje miejsce bez żadnej wątpliwości mianują Niemca i stracimy to ważne stanowisko, na którym mogę jeszcze bronić spółdzielczości przed tym, co z niej Niemcy pragną zrobić”. Rapacki miał na myśli tendencje Niemców, zresztą później zrealizowane, zrobienia ze „Społem” aparatu, służącego do magazynowania i odprowadzania do Rzeszy kontyngentów zbożowych, mięsnych, nabiałowych itd.

Także, w tym czasie, odmówił „Trójkątowi” kandydowania późniejszy Delegat, Jankowski. Wysoki, szczupły błądy mężczyzna o wygolonej czaszce i grubych szklach na nosie, bardzo opanowany, trochę oschły, o żywym, młodzieńczym głosie, wyjaśnił spokojnie: „Przed wojną odszedłem daleko od Stronnictwa Pracy, toteż wątpię, by moja kandydatura znalazła na emigracji odpowiednie poparcie. Myślę, że z tego powodu nie będzie ona także odpowiadała rządowi”.

Wreszcie P.P.S. i Stronnictwo Ludowe, przy opozycji Stronnictwa Narodowego, wskazały kandydata na Delegata emisariuszowi Karśkiemu, który po jakimś czasie wyruszył zagranicę. Wpadł jednak na Słowacji i przeszedł znane, fantastyczne wprost koleje. Wrócił do kraju nie wykonaw-

szy misji, a w międzyczasie przybył z zagranicy przysłany stamtąd przez rząd Tymczasowy Delegat Vogel (*). Poinformował nas o charakterze w jakim przybywa oraz o tym, że głównym jego zadaniem jest doprowadzenie do wyznaczenia kandydatury na Delegata, a ubocznym wprowadzenie do P.K.P. Stronnictwa Pracy. Vogel, starszy, siwy pan średniego wzrostu, pełen najlepszych chęci, uczciwy i sumienny, trochę naiwny, zabrał się do dzieła energicznie. Najpierw przejął zapoczątkowaną przez P.K.P. pracę i kierownictwo trzech już powstałych departamentów: politycznego, spraw wewnętrznych i oświaty. Następnie odbył szereg konferencji z konspiracyjnymi władzami stronnictwa w sprawie wprowadzenia do P.K.P. Str. Pracy. Natrafił jednak w tej akcji na opór w P.P.S., podczas gdy w Str. Ludowym zdania były podzielone. Konspiracyjny ośrodek Str. Ludowego w Krakowie wypowiedział się negatywnie, uzasadniając to brakiem wpływów podziemnego Str. Pracy na tamtejszym terenie, natomiast centrala „Trójkąta” zdecydowała się poprzeć Str. Pracy, na co wpłynęło także ubocznie przejściowe usunięcie się w tym czasie Dębskiego od udziału w pracach P.K.P. Były obawy, że Str. Narodowe może P.K.P. opuścić. Uważając podtrzymanie istnienia P.K.P. za konieczność państwową, pragnęliśmy go wzmocnić przez wprowadzenie Str. Pracy. Udało nam się przekonać P.P.S. o tyle, że już nie oponowało i pewnego dnia udałem się na spotkanie z przedstawicielem Str. Pracy redaktorem Kwiecińskim, by go powiadomić o przyjęciu Str. Pracy w skład P.K.P.

Rozmawialiśmy na szóstym piętrze domu na Tamce, gdzie nieraz później bywałem. Kwieciński, średniego wzrostu, o bujnych, siwawych włosach i „hiszpańskiej” bródce, w okularach, bardzo podniecony, siedział na kanapie i uważnie słuchał. Wypełniłem misję i poprosiłem o wydelegowanie przedstawiciela Str. Pracy do P.K.P., podając przy tym adres najbliższego posiedzenia i hasło. Kwieciński podziękował w przesadnie uroczystych słowach i oświadczył, że to on właśnie został wyznaczony przez Str. Pracy na członka P.K.P. Po pewnym czasie wrócił Dębski do P.K.P. i był zdecydowanie niezadowolony z no-

(*) Pułkownik Jan Skorobohaty-Jakubowski.

wego nabytku, ale przyjął go „z dobrodziejstwem inwentarza”, gdy ze swej strony zarzuciliśmy mu, iż odsunięcie się Str. Narodowego od prac w P.K.P. w pewnym stopniu przyczyniło się do takiego załatwienia sprawy.

Łapanka wrześniowa.

Mieszkałem z żoną w dalszym ciągu na Kolonii Staszica, w dwóch pokojach, wynajętych na inne nazwisko. Mały domek, ogródek, wokoło spokój i zieleń — słowem sielanka. Były to tylko pozory, bo cała Kolonia Staszica roiła się od konspiracyjnych lokali. Ale pozory były dobrze zachowane i nic nie wskazywało na to, że Kolonia Staszica pod względem lokali konspiracyjnych odgrywa tak wielką rolę w Warszawie. Obok niej wiodły później prym Mokotów i Śródmieście, dalej Żoliborz, a na szarym końcu Praga. Produkcja wojskowa ulokowała się w dzielnicach fabrycznych, pracownie naukowe w dawnych uczelniach wyższych — na czele ich kroczyła Politechnika ze swoimi warsztatami i laboratoriami. Mapa Warszawy pod względem rozmieszczenia konspiracji, wyglądałaby w ten mniej więcej sposób.

Sielanka prysła, gdy pewnego ranka, we wrześniu 1940 roku, kobieta przynosząca mleko poinformowała nas że cała Kolonia Staszica otoczona jest wojskiem i żandarmerią i że po naszej uliczce spaceruje tam i z powrotem żandarm. Ubrałem się w popłochu. Co za pech! Akurat moja żona z łączniczką pisały całą noc na maszynie, przepisując treść filmów, nadesłanych przez rząd z zagranicy. Maszyna stukła w pokoju, a żandarm od świtu spacerował przed domem! Powstał problem: czy zniszczyć filmy i materiał przepisany, czy go gdzieś schować? Może akcja niemiecka nie ma z nami nic wspólnego? Zdecydowaliśmy się wszystko schować na strychu i czekać na wyjaśnienie sytuacji. Nie długo trwało, jak przyszło dwóch żandarmów, którzy po prostu, bez pytania o nazwisko, zabrali mnie ze sobą. Dzień był piękny, jesienne słońce jasno świeciło, w powietrzu przyjemny chłodek. Na całej Kolonii Staszica wielki ruch. Odjeżdżają pełne ludzi auta ciężarowe, przyjeżdżają puste. Żandarmi ze wszystkich domów wyprowadzają grupki mężczyzn starych, młodych, nawet chorych.

Pomagam właśnie jednemu z nich, idącemu o kulach, wdrapać się do samochodu. Naładowanych jak śledzie, zawieźli nas za Łazienki, do koszar szwoleżerów. Tradycyjnie już odczułem ulgę, gdy spostrzegłem na wielkim podwórzu tłum ponad tysiąca osób. Opiekuję się nadal kulawym, którego wraz ze mną przepuszczają żandarmi poza kolejką. Idziemy wzdłuż tłumy i widzę w nim przekrój całej Warszawy: inteligenci, robotnicy, kupcy, rzemieślnicy, wszystko to stoi, oczekując z niepokojem na dalsze losy. Prowadząc chorego poza kolejką zrobiłem wielkie głupstwo, gdyż ominąłem pierwszą selekcję, na której Niemcy zwolnili wszystkich pracowników miejskich, elektrowni, wodociągów i innych urzędzeń użyteczności publicznej, a ja miałem przy sobie takie właśnie dokumenty, oczywiście, wydane „na lewo”.

W ogromnej sali stało około trzydziestu stolików z maszynami do pisania. Przed każdym ogonek takich, jak ja. Spisali z nas ewidencję, a potem bocznym wyjściem, grupami, zaprowadzili do ujeżdżalni szwoleżerów. Tutaj już panował ostry rygor. Setki ludzi leżało na trocinach, pokrywających ziemię. Nie wolno wstawać. W szerokim przejściu spacerowali SS-mani z bykowcami w ręku i raz po raz kogoś okładali. Srożył się jakiś SS-man na którego wołali, niestety, coś w rodzaju „Łodziewski”. Na bocznych galerijkach SS-mani z karabinami maszynowymi, skierowanymi w dół, w tłum.

Leżeliśmy tak drugi dzień, snując najrozmaitsze przypuszczenia. Góruje przekonanie, że wywozą nas na roboty do Niemiec. Było nas około półtora tysiąca. Dostaliśmy trochę chleba, ale wody z kranów nie było czym czerpać. Obok mnie leżał nauczyciel z rupturą, który licząc na to, że go zwolni komisja lekarska, prosił mnie, bym zaryzykował i zapytał któregoś SS-mana, kiedy będzie przegląd. Toteż, gdy SS-man wyprowadzał nas całą grupą do rowu kloaczego, zostałem w tyle i zapytałem: „Kiedy będzie komisja lekarska, bo mamy chorych?” SS-man obejrzał się naokoło i odpowiedział ściszym głosem: „Nie będzie wcale”. — „A dokąd pojedziemy, czy na roboty do Niemiec?” — „Pojedziesz tam, gdzie będziesz żałował, żeś się urodził”. Pokazał się niedaleko jakiś oficer i SS-man rozdarł się na całe gardło: *Schneller du!*...

Drugiego dnia, pod wieczór, weszli do ujeżdżalni jacyś umundurowani urzędnicy i grupa oficerów SS, a na ich czele prawdziwy olbrzym, w długich butach, z pejczem w rękę. Półtora tysiąca ludzi wstrzymało oddech. Zaczęło się wywoływanie nazwisk. Wywołanym kazano ustawić się z boku. Po jakimś czasie usłyszałem własne nazwisko i wyszedłem z tłumu, żegnany żałośnie przez przygodnych towarzyszy niedoli.

SS-mani wyprowadzili wywołanych w liczbie około stu na podwórzec, ustawili w dwurząd, kazali zdjąć nakrycie głowy i jakiś cywil, dobrze mi znany z ulicy warszawskiej sprzed wojny, wygłosił do nas po polsku przemówienie. Zawiadomił nas, że jesteśmy zwolnieni na skutek interwencji naszych pracodawców. Ma nadzieję, że wytężoną pracą okażemy wdzięczność za ludzkość, jaką nam władze niemieckie okazały. Zakończył apelem: „Jesteście mężczyźni, więc powinniście wiedzieć, że trzeba umieć milczeć o pewnych sprawach, jeśli się nie chce znaleźć tam skąd się nie wychodzi. Trzymajcie język za zębami. Możecie iść”. Po kilkunastu minutach telefonowałem już z rogu Koszykowej gdzie należy, zawiadamiając o zwolnieniu. Z wdzięczałem je pewnej polskiej instytucji, w której papiery byłem zaopatrzony. Zrobiła wszystko co mogła, aby mnie wydobyć i to się udało.

Wszyscy pozostali, w liczbie ponad tysiąc osób, zostali w nocy wywiezieni do Oświęcimia, gdzie większość z nich spotkał znany, straszny los.

Olbrzyma, oficera SS, jeszcze raz w moim życiu spotkałem. Wezwany jako były szef Kierownictwa Walki Cywilnej na świadka w procesie przeciwko gubernatorowi warszawskiemu, Fischerowi i innym, prowadzonym w Warszawie w 1946 roku, wszedłem na salę sądową i spojrzałem na ławę oskarżonych. W rysach jednego z nich dojrzałem coś znajomego. W czasie przerwy adwokat przyniósł mi jego fotografię w mundurze i czapie oficera SS. Poznałem — to ów olbrzym, który prowadził grupę oficerów SS w koszarach szwoleżerów. Teraz bez szlif i oznak wyglądał znacznie skromniej i nazywał się „oskarżony Meisinger”. Został on później wraz z Fischerem skazany na śmierć. Tak to fortuna kołem się toczy!

Zresztą, do przesłuchania mnie przed sądem nie doszło. Po ukazaniu się listy świadków w prasie, zostałem z niej natychmiast skreślony, ktoś zaś został srodze zbesztany za powołanie na świadka oskarżenia „pachołka reakcji”.

Nominacja delegata Ratajskiego.

Z inicjatywy Kwiecińskiego, w okolicznościach, których przedstawienie należy odłożyć do późniejszych i spokojniejszych czasów, wbrew woli P.P.S. i Str. Ludowego, nastąpiła nominacja na Delegata Rządu Cyryła Ratajskiego, byłego prezydenta Poznania i byłego ministra spraw wewnętrznych. Obiekcje wspomnianych stronnictw wobec osoby Ratajskiego miały charakter polityczny i jak gdyby techniczny. Wszyscy wysoko cenili patriotyzm i przeszłość Ratajskiego, który, wysiedlony przymusowo przez Niemców z Poznania, przebywał w Warszawie, ale uważali, iż należy pozostawić na stanowisku Tymczasowego Delegata Vogla i to do czasu, dopóki się nie znajdzie kandydatura odpowiednio przekonująca, a za taką nie uważano Ratajskiego, który, jak na kierownika podziemia był nieco za stary i bez żadnego doświadczenia konspiracyjnego.

W tym stanie sprawy „Trójkąt” i „Koło” (Str. Ludowe i P.P.S.) postanowiły zwrócić uwagę Ratajskiemu na to, że oba te stronnictwa oponują przeciwko jego nominacji, by umożliwić mu w ten sposób całkowite zorientowanie się przed powzięciem decyzji co do przyjęcia nominacji. Ta niewdzięczna rola przypadła w udziale właśnie mnie.

Pierwsze zebranie P.K.P. z Ratajskim odbyło się w gmachu przy Alejach Jerozolimskich, róg Placu Lindleya. Zebraliśmy się w jakimś pustym biurze, z oknami wychodzącymi na Aleje i tam poznałem osobiście Ratajskiego, którego zresztą pamiętałem świetnie z widzenia i opinii z moich studenckich czasów w Poznaniu, w okresie, kiedy Ratajski był prezydentem tego miasta i zyskał sobie duże uznanie dzięki swym talentom administracyjnym.

W tym miesiącu przypadło na mnie przewodniczenie w P.K.P., toteż otworzyłem posiedzenie i zawiadomiłem zebranych o nadesłanej przez rząd nominacji. Panowało głucho milczenie, gdy zwróciłem się do Ratajskiego w cha-

rakterze przedstawiciela „Trójkąta”, apelując gorąco, by tego, co za chwilę powiem, nie brał od strony osobistej, a jedynie politycznej i poinformowałem go o krytycznym stanowisku dwóch stronnictw wobec nominacji. Wyjaśniłem przy tym, że zostałem zobowiązany do przedstawienia mu tych okoliczności, zanim złoży oświadczenie o przyjęciu nominacji.

Ratajski, starszy, siwy, tęgi pan, robił wrażenie bardzo przejętego, lecz przygotowany widocznie na ewentualność takiego oświadczenia, odpowiedział bez namysłu: „Otrzymałem nominację z rąk generała Sikorskiego i jego rządu i zaufanie tych osób ma dla mnie decydujące znaczenie. Nominację przyjmuję i proszę o odebranie przysięgi”. Wobec takiego stanowiska Ratajskiego, które zresztą władze obu stronnictw przewidywały, nie pozostawało nic innego, jak wykonanie obowiązków przewodniczącego, toteż wezwałem obecnych do powstania i odebrałem przysięgę, którą Ratajski wypowiadał głosem łamiącym się ze wzruszenia.

Na następne posiedzenie P.K.P., Komendant Z.W.Z. Rowecki, już nie przybył. Wkrótce nadesłał wiadomość, iż wobec nominacji Delegata Rządu i postępującego rozgraniczenia kompetencji, wycofuje się ze składu P.K.P. i tylko w razie potrzeby prosi o wzywanie go na posiedzenia czy to dla udzielenia informacji, czy też dla innych celów.

W nowym stanie sprawy zdecydowaliśmy, mimo wszystko, wzmocnić delegata i powierzyć mu stałe przewodnictwo w P.K.P. Był on z tej decyzji bardzo zadowolony. Objął przewodnictwo P.K.P. i sprawował je, względnie jego następcą, aż do końca istnienia P.K.P.

Sojusz z P.P.S.

Ruch ludowy żywi tradycyjne sympatie dla ruchu robotniczego. Idea współpracy chłopsko-robotniczej, oczywiście nie w rozumieniu komunistów, jest wśród chłopów głęboko zakorzeniona. P.P.S. i Str. Ludowe miały już poza sobą bliską współpracę z okresu Centrolewu, współdziałały także ze sobą bezpośrednio przed wojną, gdy Witos, Bański i Kiernik powrócili z emigracji do kraju. Wreszcie, w pierwszych miesiącach wojny, pomiędzy Niedziałkow-

skim i Ratajem doszło do porozumienia najbardziej konkretnego, bo dotyczącego wspólnego organizowania ruchu podziemnego.

Oba stronnictwa, biorąc to wszystko pod uwagę, postanowiły zawrzeć formalny sojusz i dla przeprowadzenia pierwszych rozmów z P.P.S. na te tematy, wydelegowała „Trójka” ze swego grona Grudzińskiego i mnie.

Spotkaliśmy się gdzieś w okolicach Belwederskiej z Pużakiem i Zygmuntem Zarembą, który był zastępcą Pużaka w P.K.P. i pozostawał od początku w stałym z nami, ludowcami, kontakcie. Kiedy wiele razy spotykałem się wówczas z wysokim, szczupłym, czarnym „Marcinem”, który wkrótce ozdobił twarz piękną brodą, nie przeczuwałem jeszcze, że ta znajomość ze starszym i znanym politykiem przetrwa wiele lat i przygód, że przeżyjemy razem okupację niemiecką, powstanie warszawskie, porwanie „szesnastu”, czego Marcin cudem tylko uniknął, pierwszy okres podziemia pod okupacją sowiecką i wreszcie spotkamy się w 1948 roku w Paryżu, a w 1949 w Nowym Jorku i na „plantach” nad Hudsonem, tą naszą nowojorską Wisłą, będziemy wspominali nie tak dawne jeszcze ciężkie czasy, niepewni tego, co nam jutro przyniesie.

W wyniku rozmów postanowiliśmy działać wspólnie przez cały okres okupacji i po wojnie, w okresie przejściowym zdecydowaliśmy uzgadniać ze sobą stanowiska w każdej ważniejszej sprawie i występować jednolicie w P.K.P. W tym celu będziemy odbywać co pewien czas wspólne narady.

Zaremba wystąpił wówczas z propozycją, która nam po prostu zapałała dech w piersiach. Zaproponował on zlanie obydwu partii w jedną. Uchyliliśmy się od decyzji w tej sprawie, uważając, że przekraczałyby ona kompetencje podziemnych władz stronnictwa i że tylko Kongres, przeprowadzony w normalnych warunkach, miałby do tego prawo. Poza tym uważaliśmy, że decentralizacja roboty podziemnej lepiej ją zabezpieczy przed Niemcami.

W tej współpracy naszych partii w czasie okupacji niemieckiej były przyptywy i odpływy, niemniej siła wzajemnego przyciągania działała stale i dała współdziałanie w Krajowej Reprezentacji Politycznej, dalej w Radzie Jedności Narodowej w Kraju, wreszcie w roku 1947 w wybo-

rach 19 stycznia przybrała w kilku okręgach postać wspólnej listy ludowo-robotniczej.

Delegat Ratajski.

Stosunki i praca z Delegatem Ratajskim ułożyły się zgodnie z przewidywaniami „Trójkąta” i „Koła”. Kryształowej uczciwości i wielkiego patriotyzmu człowiek, ujmujący wszystkich swoim zapałem, lecz naiwny i nie rozumiejący wielu zjawisk, a przede wszystkim konspiracji, nie potrafił myśleć i działać konstruktywnie w tych specjalnie ciężkich i skomplikowanych warunkach. Był już człowiekiem w starszym wieku, ludzi poniżej czterdziestki uważał za niedojrzałych i dziwił się szczerze, skąd mogą zajmować w konspiracji odpowiedzialne stanowiska. Na początku pragnął wszystkim członkom P.K.P. złożyć oficjalne wizyty, tak jak za dobrych czasów pokojowych. Postaraliśmy się odwieść go od tych zamiarów tak, aby go nie urazić. Do mnie czuł pewien żal z uwagi na rolę, jaką odegrałem w czasie pierwszego z nim posiedzenia P.K.P., czemu się zresztą wcale nie dziwiłem. Wkrótce jednak, gdy mianował mnie swym pełnomocnikiem dla Walki Cywilnej i doszło między nami do częstszych spotkań, wyzbył się go, o czym mi otwarcie powiedział. Nadał mi wówczas nadzwyczajne uprawnienia, między innymi prawo wysyłania własnym szyfrem depesz informacyjnych do Londynu.

Po pewnym czasie nastąpiło przejście przez Ratajskiego agend Delegatury i objęcie politycznego kierownictwa ruchem podziemnym. Rola P.K.P. ograniczyła się wówczas do wyrażania opinii i postulatów czterech najpoważniejszych stronnictw, a więc większości społeczeństwa polskiego. Zresztą, Delegat uroczyście zadeklarował, że w sprawach krajowych uważać będzie opinie P.K.P. za wiążące. W ten sposób powstała dwójaka zależność delegata. Raz od rządu, raz od P.K.P. Ten stan rzeczy przetrwał do końca istnienia P.K.P.

Pod rządami Ratajskiego — co stanowi jego dużą zasługę — powstały departamenty: sprawiedliwości, na czele którego stanął Dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Leon Nowodworski, informacji i propagandy pod kierownictwem Dołęgi, który na tym stanowisku przetrwał od po-

czątku do końca delegatury; rolnictwa, przemysłu i handlu, skarbu, kolei, poczt i telegrafów i tak dalej. Powstała Naczelną Izba Kontroli, z prezesem, adwokatem Peszyńskim na czele — słowem Delegatura otrzymała te formy organizacyjne, które przetrwały do końca okupacji niemieckiej. Przede wszystkim jednak w dawniej już istniejącym Departamencie Spraw Wewnętrznych, rozpoczęło się organizowanie kadr przyszłej administracji państwa polskiego, które pod koniec okupacji liczyły wiele tysięcy fachowych urzędników.

Delegat utrzymywał nieustanny kontakt z Komendantem Z.W.Z., który od czasu do czasu był także zapraszany na posiedzenie P.K.P., dla omówienia spraw, związanych z robotą wojskową.

W przyszłości obawy, jakie żywiliśmy na wstępie do do umiejętności Ratajskiego kierowania konspiracją, sprawdziły się całkowicie. Nie mógł on sobie dać rady z problemami, które wymagały, prócz normalnych talentów administracyjnych, jeszcze zdolności do działania w konspiracji, no i końskich sił. Niezadowolenie w kołach podziemnych w kraju rosło i znalazło swój oddźwięk zagranicą. Ratajski otrzymał po rocznym przeszło urzędowaniu dymisję, a w uznaniu zasług i wykazanej odwagi — *Virtuti Militari*. Po dymisji pozostał w Warszawie, utrzymując kontakt z podziemiem, ale zaczął gasnąć w oczach i wkrótce zmarł. Został pochowany w Warszawie na Powązkach, pod przybranym nazwiskiem.

Wsypa.

Wkrótce P.K.P. poniósł pierwszą stratę. Wpadł w ręce Gestapo Aleksander Dębski, przedstawiciel „Kwadratu”. Zaalarmowany na czas wiadomością, że Gestapo go poszukuje, Dębski opuścił legalne mieszkanie przy Piękną, pozostawiając w nim resztę rodziny, a sam zamieszkiwał kolejno w różnych miejscach, między innymi na ulicy Francesco Nullo, gdzie parę razy go odwiedziłem. Któregoś dnia Dębski wpadł do domu na Piękną po czystą bieliznę i został natychmiast schwytany. Jasne się stało, że Gestapo trzymało mieszkanie cały czas pod obserwacją, licząc na to, że Dębski kiedyś jednak do domu, do rodziny zajdzie. Te kalkulacje, niestety, okazały się trafne.

Sytuacja w Kraju.

W połowie roku 1940 łapanki i aresztowania były już na porządku dziennym. O Pawiaku, Oświęcimiu, Oranienburgu krążyły po całym kraju straszne legendy. Zrozpaczone rodziny otrzymywały już małe skrzynki z prochami bliskich, rzekomo zmarłych na te czy inne choroby. Ta perfidia niemiecka przechodziła granice pojmovania Polaków, i po raz pierwszy zostało sformułowane pytanie, czy hitlerowcy są w ogóle ludźmi? Już każdy mieszkaniec Warszawy słyszał o Palmirach. Chłopi z tamtych okolic przywożą wiadomości o przepełnionych ciężarówkach, pędzących w nocy do lasu palmirskiego i o salwach, jakie się rozlegają na wielkiej polanie leśnej. Groza wisi nad miastem, po którego ulicach pędzą otwarte auta, pełne czap z trupimi główkami. Lufy pistoletów maszynowych spoglądają na przechodniów czarnymi otworami. Wszędzie patroli żandarmerii w zielonych mundurach. Przed godziną policyjną tłumy ludzi zmieniają na noc mieszkania. Z Żoliborza pędzą na Mokotów, z Mokotowa na Żoliborz. Istna wędrówka narodów! Każdy się czuje pewniejszy, gdy nocuje tam, gdzie nie jest meldowany. Po godzinie policyjnej głucho brzmią na wyludnionych ulicach kroki patroli. Za zasłoniętymi oknami miasto czuwa. Gdzie dzisiaj będą rewizje i aresztowania? Tutaj, czy gdzie indziej? Niepokój unosi się w powietrzu i spędza sen z powiek.

Ludzie, wytrąceni z normalnych trybów przez wojnę, jeszcze nie przyszli do siebie, dopiero urządzają się jako tako i zaczynają pracować i zarabiać. Toteż w roku tym, 1940, strach, terror, nędza i głód panują w stolicy niepodzielnie.

Ale już podziemie zaczyna działać i kęsać. Tu i ówdzie padają pierwsze strzały odwetu i zemsty i pierwsze czerwone plakaty z fotografiami „polskich bandytów” zaczynają płamić ulice. Nie zejdą już z nich do końca okupacji, coraz straszniejsze, coraz okropniejsze w swej treści.

Opuszczam P.K.P.

Dębskiego zastąpił adwokat Trajdos, starszy, siwy pan, doskonały obraz endeka dawnego typu. Spokojny i flegmatyczny, był antytezą wybuchowego, nerwowego Dębskie-

go, o którym na razie nie mieliśmy żadnej wiadomości. Ratajski bardzo go lubił i widać było, że ci dwaj ludzie bardzo sobie przypadli do serca.

Nastąpiła teraz w mych funkcjach poważna zmiana. Władze „Trójkąta” od dawna pragnęły mieć w Komen-dzie Głównej Z.W.Z. swego przedstawiciela. Wybór padł na mnie, jako najlepiej wprowadzonego w sprawy wojskowe spośród ludzi „Trójkąta”. W kwietniu 1941 roku opuściłem P.K.P. w ten sposób, że zamieniłem się na role z moim dotychczasowym zastępcą Grudzińskim, który wszedł do P.K.P. na moje miejsce, a ja zostałem jego zastępcą. Z tego tytułu jeszcze raz się zetknąłem z tą instytucją w sierpniu 1941 roku i przeżyłem wraz z pozostałymi członkami P.K.P. i Delegatem dość dziwną przygodę.

Grudziński zachorował, wobec czego, jako jego zastępca, udałem się na posiedzenie, wyznaczone w mieszkaniu na Marszałkowskiej, niedaleko Wilczej. Wchodząc do bramy, zauważyłem mężczyznę, który pilnie mi się przyjrzał. Nie czas było cofać się, więc wszedłem na schody z zamiarem ostrzeżenia zebranych. Na drugim piętrze, pod oknem na klatce schodowej stał drugi mężczyzna, który również bacznie mnie obejrzał. Nie było wątpliwości, że zebranie było obserwowane, pośpieszyłem zatem dalej, by zrobić alarm. W lokalu był już Delegat Ratajski, Dyrektor Departamentu Politycznego Piotrowski (pseudo) i Kwieciński. Zanim zdążyłem wyjaśnić o co chodzi, rozległy się dzwonki jeden za drugim i przysłała po kolei reszta członków P.K.P. Ci również spostrzegli obserwację i przyszli też po to, by ostrzec innych i odejść. Odroczyliśmy natychmiast zebranie i pierwszy z nas już zmierzał ku drzwiom, gdy rozległ się dwonek, i za chwilę wpadła przerażona gospodyni: „Niemcy! Wychodźcie tędy...” — i wskazała na boczne drzwi. Złapałem za klamkę — zamknięte. Za chwilę z drugiej strony rozległy się kroki, ktoś przekręcił z tamtej strony klucz i dwóch cywilów z teczkami i oznakami hitlerowskimi w klapach weszło do pokoju. Spojrzeli ostro po wszystkich, rozkazali pozostać na miejscu, bez ruchu, i zapytali po niemiecku, gdzie gospodarz. Na to Kwieciński rozpoczął długie jakieś i zawiłe wyjaśnienia, wyraźnie grając na zwłokę...

Już w pierwszej chwili znalazłem się za plecami przybyszów, wobec czego na palcach przedostałem się przez otwarte drzwi i sąsiedni pokój na korytarz. Manipulowanie przy zamku usłyszała gospodyni i bardzo przytomnie odryglowała mi drzwi. Wyszedłem szybko na schody i za parę sekund stanąłem twarzą w twarz z obserwatorem. Był widocznie zaskoczony moim wyjściem, ale nie ruszył się z miejsca, gdy go szybko mijałem. Ta sama historia powtórzyła się w bramie z drugim obserwatorem. Wydostałem się na Marszałkowską, a później Wilczą do Alei Ujazdowskich, nie ścigany przez nikogo.

Później, z opowiadań innych członków P.K.P. dowiedziałem się, że Niemcy ruszyli do telefonu i poinformowali kogoś, że przyłapali większą ilość Polaków na zebraniu. W czasie rozmowy telefonicznej udało się wszystkim umknąć po kolei kuchennymi schodami, podczas gdy Kwieciński zasłaniał odwrót, zajmując uwagę telefonujących Niemców rozmaitymi pytaniami. Wreszcie, gdy Niemcy zaczęli lustrować mieszkanie, umknął również i on. Wszystko to działo się w lokalu „nadanym” przez Kwiecińskiego, który też zachował się dzielnie, jak kapitan na tonącym statku.

Co to była za historia, do dziś dnia nie wiadomo. Osobiście jestem przekonany, że to nie był ani nalot niemiecki, dokonany na upatrzonego, ani żaden przypadek, a tylko jakiś wyczyn podziemnych gangsterów w rodzaju „muszkieterów”(*) czy im podobnych.

To było moje ostatnie zetknięcie z P.K.P., który w dalszym rozwoju wypadków zamienił się na Krajową Reprezentację Polityczną, a ta z kolei na Radę Jedności Narodowej w Kraju.

Los nie był łaskawy na członków P.K.P. z okresu mego uczestnictwa. Poza Ratajem i Niedziałkowskim, zamordo-

(*) „Muszkieterzy” stanowili nieliczną grupę podziemną, wykonyującą nieraz bardzo ryzykowne akcje przeciwko Gestapo, żandarmerii itd. W czasie akcji występowali w czymś w rodzaju umundurowania, np. skórzane płaszcze i buty z cholewami. Jednocześnie jednak, dla siebie tylko wiadomych celów, dokonywali dywersji wewnątrz polskiego podziemia i jak wykazało śledztwo, oni to na przykład przeprowadzili nalot na lokal Delegatury przy ulicy Żurawiej, zabierając dokumenty i pieniądze. Dowództwo tej grupy zostało wystrzelane z zasadzki, zorganizowanej przez Gestapo przy ul. Wareckiej.

wanymi w Palmirach, pierwszy aresztowany Dębski zginął także, zamordowany przez Gestapo. Zginął również później jego następca Trajdos, schwytyany przez Niemców. Ten sam los spotkał następcę Trajdosa, byłego posła Sachę, doświadczonego, rozważnego polityka, z którym miałem kilka spotkań i rozmów.

Dnia 19 stycznia 1942 roku został aresztowany i wkrótce rozstrzelany redaktor Kwieciński. Ciało jego zostało znalezione dopiero po wojnie w zbiorowej mogile w lesie Kabackim. Schwytyany przez Gestapo w szpitalu, gdzie leżał chory, męczony i torturowany, nie sypnął nikogo i umarł jak bohater.

Zginął również Józef Grudziński, mój następca w P.K.P., zamordowany przez Ukraińców w czasie powstania warszawskiego na Sadybie Oficerskiej.

Generał Rowecki zginął później, zaś Pużak zmarł już po wojnie w więzieniu komunistycznym w Warszawie. Nim się to jednak stało miałem z nimi obydwoma wiele do czynienia, o czym mowa w następnych rozdziałach.

II

ŁĄCZNOŚĆ RADIOWA LONDYN-WARSZAWA

Spotkanie z Ziułkiem.

Szedłem szybkim krokiem od Krakowskiego Przedmieścia w kierunku Mostu Kierbedzia, wdychając zimne powietrze, płynące od strony Wisły. Spieszyłem na spotkanie z człowiekiem, który miał mi dopomóc do zrealizowania ukrytego marzenia. Była nim własna łączność radiowa z rządem w Londynie, której brak tak bardzo odczuwaliśmy.

Wkrótce stanąłem na czwartym piętrze domu, przy ulicy Nowy Zjazd 4. Otworzył mi drzwi młodzieniaszek wysoki, blady i bez słowa poprowadził w głąb ciemnego korytarza. Za chwilę znaleźliśmy się w pokoiku, który z miejsca zrobił na mnie duże wrażenie. Półmrok, okna założone dyktą, tuż nad stołami ostre lampy w stożkowych abażurach. Wszędzie kable, wiele kontaktów, narzędzia, transformatory, lampy radiowe i mnóstwo drobiazgów nieznanymi z przeznaczenia. Słowem, pracownia techniczna w miniaturze, a w niej na raz tyle rzeczy zakazanych. Widząc moje ciekawe spojrzenia, gospodarz zaczął od wyjaśnień technicznych. Przeszkadzał mu w tym kot, wałęsający się po stole. Wziąłem go na rękę i głaskałem, a Ziułtek, gdyż takie imię miał mój nowy znajomy, opowiadał ze śmiechem, jak kot wszedł kiedyś na baterię i doznał takiego szoku, że aż mu poszły iskry z ogona. Widocznie jednak o tym zapomniał, gdyż znów łązi odważnie po

wszystkim. Pokaz skończył się na walizkowym patefonie, z zamaskowanym, wmontowanym w środek maszynerii radioodbiornikiem, po czym Ziutek zaproponował posłuchanie za parę minut Londynu. Przyglądałem mu się uważnie. Robił wrażenie dorosłego człowieka, spokojnego i zrównoważonego, dawał odpowiedzi krótkie i precyzyjne. Czyste, jasne oczy, ręce o długich palcach artysty. Bez żenady zapytałem go, ile ma lat. Odpowiedział, że siedemnaście i podał mi słuchawki. Usłyszałem Londyn po polsku. Odbiór był czysty, aparat działał doskonale.

Po tym wstępie przystąpiliśmy do rzeczy. Ziutek potwierdził wszystkie informacje, jakie otrzymałem. Dla łączności z Anglią wystarczy nadajnik o mocy kilkunastu watów. Są to rzeczy znane i wypróbowane przez krótkofalowców. Może jednak wykonać silniejszy i na wszystko będzie potrzebował dwa, trzy tysiące złotych. To nie było wszystko co chciałem wiedzieć, więc zapytałem: „Czy decyduje się pan obsługiwać radiostację i przez to wejść do podziemnej roboty”? „Całą rzecz przemyślałem i to się samo przez się rozumie” — odpowiedział Ziutek.

Ustaliliśmy, że dla zamaskowania zmontuje on nadajnik w kuble o podwójnym dnie, omówiliśmy szczegóły co do gotówki i zadowoleni z siebie pożegnaliśmy się. Zacząłem już wchodzić w swoją rolę, więc ściskając dłoń Ziutka, upomniałem go: „To wszystko nie może tak leżeć na wierzchu. Musi pan mieć schowek”. Ziutek uśmiechnął się: „Dobra jest, zrobi się” — i zatrasnął za mną drzwi.

Tego rodzaju moje rady miały go prześladować przez całe dwa lata.

Emisariusz Wojtek.

Ziutek pracował nad stacją po dniach i nocach i robota posuwała się szybko naprzód. Często zastawałem go w domu rano, nieumytego po nieprzespanej nocy, z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Douczał się przy tym Morse'a, gdyż pragnął być także telegrafistą, a nie tylko konstruktorem. Nie miał wprawy, ale nadając, sam będzie regulował tempo, zaś dla odbioru przygotowuje (o święta nasza naiwności!) automat z taśmą, poruszaną motorkiem elektrycznym. Odwiedzałem go co parę dni i prowadzi-

liśmy ze sobą niekończące się rozmowy. W technicznych — on był nauczycielem, ja uczniem. W organizacyjnych role się odwracały. Poznawałem go coraz lepiej i zaczęliśmy się przyjaźnić. Był to naprawdę dojrzały człowiek i tylko psie figle, jakie go się od czasu do czasu imaly, zdradzały, że miał siedemnaście lat. Wyczuwałem, iż jest wielkim patriotą, ale o tym nie mówiło się wcale. Był prawdziwym dzieckiem Powiśla z urodzenia, wychowania i języka, jakim się posługiwał. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że skończył tylko dwie klasy szkoły powszechnej, ale wkrótce błędy ortograficzne, jakie dość często robił, usunęły wszelkie wątpliwości. Wszystkie wiadomości techniczne zdobył własnym wysiłkiem. Jeśli tylko miał trochę gotówki, kupował natychmiast książki naukowe z zakresu radia. Widać, że w domu się nie przelewało, gdyż był mizerny i jadał byle co i byle kiedy.

W tym czasie szykował się do powrotu do Anglii pierwszy emisariusz Wojtek (*), który z Londynu drogą na Gibraltar, Kair, Cypr i Konstantynopol, przybył do kraju i między innymi przywiózł szyfry do korespondencji listowej. Spotkałem się z nim i poinformowałem o organizującej się łączności radiowej. Podałem mu elementy ruchu, a więc długość naszej fali zasadniczej (7.174 kilocykli), propozycje co do fali stacji rządowej w Londynie, obustronne znaki wywoławcze i termin, od jakiego zaczniemy wołać, który wyznaczaliśmy na 1 kwietnia 1941 roku, godzina dziewiętnasta naszego czasu. Wołać będziemy przez trzy dni. Wyznaczając ten termin, braliśmy pod uwagę domniemany czas powrotnej drogi Wojtka. Korespondencja będzie prowadzona przywiezionym przez niego szyfrem.

Wojtek słuchał, jak bajki o żelaznym wilku. Wreszcie, przejęty śmiałym pomysłem, wbił sobie w głowę wszystkie szczegóły. Gdy dotarł do Londynu, jego informacje wywołały entuzjazm i nadzieję na szybkie uzyskanie bezpośredniej łączności radiowej, której brak Londyn także bardzo odczuwał.

W międzyczasie, przez zaufaną współpracowniczkę, Cesię (**), starałem się skontrolować informacje technicz-

(*) Inż. Moskal, obecnie w Kanadzie.

(**) Inż. Celina Broniewska, obecnie w Indiach.

ne Ziutka. W tym celu wręczyłem jej rysunki i opis projektowanej stacji.

Przyniosła mi wkrótce opinię profesora Politechniki, według której moc aparatu budowanego przez Ziutka absolutnie nie wystarcza do komunikowania się z Anglią. Zaskoczony tym i pozbawiony własnego zdania, przeżywałem dość ciężkie chwile. Cała rzecz weszła mi już w krew i nie mogłem pogodzić się z myślą, że nic z tego nie wyjdzie. W rezultacie zdecydowałem się powtórzyć wszystko Ziutkowi, który z niezachwianą pewnością siebie zaczął z opinii po prostu kpić: „To pan nie wie, że profesorowie Politechniki to znane frajery, które nie mają pojęcia o krótkofalarstwie? Jeden z nich z kilkukilowatowej stacji nie uzyskał połączenia z Londynem, bo przy nadawaniu zapomniiał otworzyć lufcik!” Monolog trwał dość długo i nigdy w życiu nie słyszałem takiej ilości pomysłowych epitetów wypowiedzianych w soczystym języku Powiśla. Rozśmieszony i uspokoiony pewnością siebie Ziutka, postanowiłem cierpliwie czekać.

Aparat gotów.

Wreszcie Ziutek dał znać, że aparat gotów. Spotkaliśmy się pod katedrą św. Jana i poszliśmy na Rynek Starego Miasta, gdzie na parterze, w ciemnym, pustym sklepie, po zaryglowaniu drzwi i zapaleniu światła, Ziutek wyjął z nowego, błyszczącego kubła jakieś cacko z białego metalu, świecące od lakieru i różnokolorowych kabelków i z dumą mi je pokazał. Pierwszy raz w życiu oglądałem nadajnik. Spostrzegłem, że jest wykończony niezwykle starannie, po prostu artystycznie i domyśliłem się, że Ziutek musi być także utalentowanym rzemieślnikiem. Włączył aparat w sieć, lampy zaczęły się żarzyć, założył kwarc, pokręcił galką i oto rozbłysła ostrym światłem lampka kontrolna. Uśmiechnął się i stwierdził z zadowoleniem, że kwarc oscyluje, po czym przybliżył na odległość kilku centymetrów do rozwieszonej w pokoju anteny kółko z drutu z osadzoną na nim malutką żarówką i gdy ta zaczęła świecić, oznajmił, że wszystko jest w najlepszym porządku. Mną to wstrząsnęło i pozbyłem się resztek wątpliwości. Takiego eksperymentu, by lampka zapaliła się na odległość,

nigdy w życiu nie widziałem. Nie miałem pojęcia, jaki proces odbywał się na moich oczach, ale uwierzyłem nie tyle na słowo, ile na oko. Sprawiał to błysk małej lampki.

Wpadliśmy obaj w radosne podniecenie i dla uczczenia doniosłej chwili, udaliśmy się na kawę z ciastkami, których Ziutek był wielkim amatorem. Jadł jedno po drugim, czemu przyglądałem się z rozczuleniem, wyrósłszy już dawno z tego wieku kiedy ciastka przemawiają tak bardzo do podniebienia. Siedzieliśmy w kawiarni Żmijewskiego, na Krakowskim Przedmieściu i mówiliśmy o tym, jak wypadnie seans pierwszego kwietnia. Ziutek miał tylko do wykończenia odbiornik i automat do notowania odbieranych depesz, ale to już była fraszka.

Pierwsza próba.

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień. Dostaliśmy lokal w polu, na dalekim Grochowie, którego udzielił jakiś, jak mówił Ziutek, koleżka, człowiek murowany. Wciągnięta od początku do tej roboty moja żona, Zosia i jej pomocnica, Niusia (*), przewiozły tam popołudniu aparaty, transformatory i narzędzia. Wśród dużego podniecenia Ziutek zmontował stację, wyrzucił antenę przez okno na zewnątrz, gdzie powoli zapadał mrok i umocował drugi jej koniec na drzewie. Na dole patrolował koleżka, zaś Zosia z Niusią krążyły po okolicy, obserwując teren. Zdawaliśmy sobie sprawę, że grozi nam nie tyle niebezpieczeństwo przypadkowego najścia Niemców, gdyż byliśmy na odludziu, ile wykrycie przez aparaty pomiarowe względnie podsłuchowe, tzw. przez nas „gonię”, która, co wiedzieliśmy, pokrywała swoją siecią zdobytą przez Niemców Polskę.

Mieliśmy dość pobieżne informacje, według których cały kraj podzielony jest na trójkąty. W wierzchołkach trójkątów znajdują się stacje podsłuchowe, na których każdy pas, czyli zakres na przykład od 5 do 10 m. jest pod dwudziestoczterogodzinną obserwacją. Każda stacja, pracująca na danym obszarze i w danym pasie, jest znana nasłuchującym. Jeśli usłyszą oni jakąkolwiek inną stację, o której pracy nie są z góry powiadomieni, natychmiast o tym meldują. Jeśli

(*) P. Aniela Jachnik, obecnie w Londynie.

stacja nie jest znana, rozpoczyna się jej wymierzanie przy pomocy anten kierunkowych. Płaszczyzna anteny, w jakiej stacja jest najlepiej słyszana, wskazuje kierunek, w którym należy jej szukać. Skrzyżowanie dwóch linii, poprowadzonych od dwóch stacji podsłuchowych, wyznacza rejon, w którym stacja się znajduje. W rejon ten wysyła się samoloty lub samochody, albo jedno i drugie, oczywiście wyposażone w odpowiednie aparaty pomiarowe i te umiejscawiają stację dokładnie, no a Gestapo, żandarmeria lub wojsko przystępują do jej likwidacji. Jedyńy środek obrony — to częsta zmiana tak zwanych elementów ruchu, a więc znaków wywoławczych, długości fal i godzin pracy. Poza tym możliwie najczęstsza zmiana lokali, i staranna obserwacja, która pozwala jeszcze stacji umiejscowionej zamilknąć w porę, a załodze umożliwiał rozmontowanie stacji, schowanie jej i ucieczkę. Tak wyglądała sprawa w teorii. Jak w praktyce, będzie o tym mowa dalej.

Zbliżała się godzina dziewiętnasta i zdenerwowanie wzrastało. Ziutek skontrolował wszystko szczegółowo i widziałem, że był zadowolony. Patrzyliśmy na zegarki, wyregulowane według radia i punktualnie o godzinie dziewiętnastej Ziutek nacisnął klucz i zaczął wystukiwać przez parę minut znaki wywoławcze, po czym oznajmił kodem międzynarodowym, że przechodzi na odbiór. Poprawił teraz słuchawki na uszach i z natężeniem nasłuchiwał. Widziałem po twarzy, że odpowiedzi nie ma. Na fali, podanej Londynowi — cisza. Ziutek ponowił wołania i podał falę, na której słucha odpowiedzi i oto po pół godzinie zaczął ktoś odpowiadać. Włączyłem momentalnie automat, z którego zaczęła się wysuwać biała taśma, a na niej kropki i kreski, wybite przez znakownik. Ziutek dyktował mi literę po literze. Gdy skończył, z przerażeniem odczytałem... po niemiecku: *Sind Sie eine militärische Station?* (Czy jesteście stacją wojskową?).

Zrobiło nam się więcej niż gorąco. Błyskawicznie wyłączyliśmy aparaturę, wciągnęliśmy antenę, spakowaliśmy wszystko w torby i czym prędzej polami, wraz z Zosią i Niusią, pobiegliśmy do przystanku tramwajowego. Było już ciemno, zbliżała się godzina policyjna i minęliśmy już pierwszy nocny patrol żandarmów. Władowaliśmy się w ostatni tramwaj, ale widząc, że nie zdążymy na czas do

domu, wyskoczyliśmy przy Moście Kierbedzia i z całym bagażem wpakowaliśmy się na noc do znajomych, mieszkających w pobliżu. Ziutek do Nowego Zjazdu miał dwa kroki. Byliśmy speszzeni i przygnębieni, gdyż nie mając jeszcze połączenia, już byliśmy wykryci.

Ponowiliśmy próby drugiego i trzeciego kwietnia, z innych mieszkań, przy czym więcej nasłuchiwaaliśmy, niż wolaaliśmy. Rezultat żaden, tyle że stacja niemiecka więcej się nie zgłosiła.

Pomoc.

Wszystkie wątpliwości co do mocy aparatu odżyły we mnie. Wymyślałem sobie, że zlekceważyłem opinię profesora Politechniki. Ziutek chodził jak ciemna noc, niemniej twierdził, że aparaty są w porządku. Terminy minęły i nikt nas już nie nasłuchuje. Słowem — leżymy. Nim trafi się nowy emisariusz, przez którego podamy po raz drugi warunki, może upłynąć dużo wody.

Zacząłem rozmyślać nad sposobami wyjścia z impasu i przyszło mi na myśl zapytać o radę fachowców z wojska, to jest ze Związku Walki Zbrojnej (Z.W.Z.), o którym wiedziałem, że ma łączność radiową z Naczelnym Dowództwem, co było osłonięte zrozumiałą zresztą, najściślejszą tajemnicą. Pomogły prywatne, niemniej nawiązane w konspiracji stosunki i uzyskałem spotkanie z kierownikiem technicznym łączności wojskowej, Zarembą (*), zawodowym oficerem łączności, któremu wszystko wyłożyłem. Był to młody jeszcze człowiek, średniego wzrostu z przystrzyżonym wąsikiem. Robił wrażenie flegmatyka, gdy beznamytnie wyjaśniał, że automat do odbioru przy nawiązywaniu łączności to nonsens, że trzeba mieć do tego wprawnego i doświadczonego radiotelegrafistę, a nie początkującego samouka i że trzy seanse na połączenie to za mało i trzeba wyznaczyć codzienny, stały nasłuch. Zaoferował wypróbowanie naszych aparatów i podanie swoją drogą naszej, rządowej stacji w Anglii nowych elementów ruchu.

Byłem przygnębiony tą opinią, Ziutek, gdy się dowiedział, również. Widziałem teraz jasno naszą naiwność i nie-

(*) Major Konrad Bogacki, obecnie w Londynie.

zawinione zresztą błędy, ale zarysowało się także wyjście z sytuacji.

W ten sposób doszło do próby połączenia się z naszym aparatu ze stacją naczelnego dowództwa w Anglii, z mieszkania Ziutka na Nowym Zjeździe. Przybył Zaremba, jego łączniczka Halina, młoda przystojna dziewczyna, oraz telegrafista Wiesław. Ziutek, jak zwykle, zaczął sprzątać obrzędy nad aparaturą. Ja rozmawiałem z Zarembe, który opowiedział mi o nalocie ekipy goniometrycznej niemieckiej na ich radiostację na Żoliborzu, na szczęście bez żadnego wyniku. Roztrząsaliśmy środki zapobiegawcze, podczas gdy Halina, ulokowawszy się na balkonie, obserwowała ulicę. Niestety, naprzeciwno, w domu firmy Schicht, mieścił się niemiecki szpital wojskowy i rekonwalescenci w kitlech zaczęli ją przez ulicę zagadywać. Wytwarzała się o tyle nieprzyjemna sytuacja, że Halina nie mogła zejść z posterunku, a żołnierzy jej obecność pobudzała do coraz głośniejszych śmiechów i zaczepek. Nasunęła się obawa, by nie poczytywali jej pozostawiania na balkonie za zachętę do złożenia wizyty. Na szczęście do tego nie doszło i Halina siedziała nadal, zachowując olimpijski spokój. Przy całym naszym niepokojem, bawiła nas nieco groteskowość tej sytuacji. Tu radiostacja, która ma wołać Londyn, a o dwadzieścia metrów po drugiej stronie ulicy, dziesiątki żołnierzy niemieckich, patrzących w okna naszego lokalu!

Wiesław rozpoczął pracę i ku naszej wielkiej radości Londyn odpowiedział natychmiast, że słyszy, ale bardzo słabo. Po kilkunastu minutach fala zanikła i na tym pierwszy kontakt ze stacją wojskową w Londynie się skończył.

Podziękowałem serdecznie Zarembe za wypróbowanie aparatu. Ziutek promieniał gdy go ściszałem, gratulując udanej próby. Trzeba było kuć żelazo póki gorące, zatem poprosiłem Zarembe, by do czasu nim wystaram się o telegrafistę, wypożyczył nam Wiesława, który przez stację wojskową w Anglii przekaże stacji rządowej nasze nowe elementy ruchu i ewentualnie wprowadzi w robotę nowego telegrafistę. Zaremba zgodził się pod warunkiem, że damy swoje lokale i aparaty i że Wiesław będzie nadawał obok naszych także i wojskowe depeche. Po przeżytych nalocie gonii odczuwał brak lokali i chciał skorzystać

z naszych. W ten sposób weszliśmy w kontakt z Wiesławem, bardzo miłym, odważnym i kochającym swój fach radiotelegrafistą.

Pierwsza rozmowa.

I znów wędrowaliśmy pewnego pięknego letniego popołudnia na nową próbę. Pojechaliśmy tym razem tramwajem na Powązki, gdzie dostałem lokal w zakładzie kamieniarskim, w szopie. Aparat przywozła Zosia, zaś Wiesław, Ziutek i ja przybyliśmy po niej kolejno. Gospodarz, ni to współwłaściciel ni to dozorca, zasypał nas mnóstwem pytań i widać, że wścibski. Schował nas na razie w swojej izdebce, gdyż jeszcze z zakładu nie wyszli wszyscy robotnicy. Czekaliśmy tam, rozmawiając półgłosem z jego żoną i bawiąc się z dzieckiem, które było bardzo ożywione przybyciem tylu ludzi. Mieliśmy ze sobą coś niecoś do jedzenia, więc podzieliliśmy się z gospodarzami, u których bieda aż piszczała.

Wreszcie robotnicy wyszli, ale gospodarz tajemniczym szeptem zwierzył się nam, że w szopie na stryszku, gdzie mamy pracować, ma odbiornik radiowy. Na audycję z Londynu przychodzą czasami dwaj przyjaciele, więc trzeba ją przeczekać, gdyż oni nie mogą o niczym wiedzieć. Czekaliśmy więc i bardzo nas to męczyło, bo w małej izdebce było duszno i gorąco. Wreszcie skrzypnęła furtka i gospodarz wyskoczył na dwór, skąd z przybyłymi poszedł do szopy. Trwało dobre pół godziny nim nieproszeni goście odeszli. Zebraliśmy wówczas manatki i jeden po drugim cichaczem przemknęliśmy się do szopy. Było jeszcze dość widno. Mieliśmy ze sobą dużo sprzętu, gdyż Wiesław na wszelki wypadek przywiózł także swój aparat. Byliśmy już w ciemnej szopie, gdy wpadł gospodarz: „Chowajcie się, wracają!”. Wyskoczyliśmy z szopy na placyk, pełen pomników, płyt, bloków marmuru i piaskowca. Każdy chował się gdzie mógł. Leżałem obok płyty mając przed oczyma napis, jakim „nieutulona w żalu rodzina” żegnała zmarłego. Ktoś obok krztusił się od śmiechu. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Ziutek, leżący razem z Wiesławem, łaskocze go. Pogroziłem im pięścią, nakazując równocześnie wzrokiem śmiejącej się Zosi, by przestała rzucać w nich

kamykami. Ona, dla odmiany, stanęła za płaczącym aniołem i przybierała podobne pozy. Długi czas słysząc było plusk wody w basenie obok szopy, głosy, wreszcie wrócił gospodarz i wyjaśnił: „Wstawajcie, przyszli się wykapać, ale już poszli”.

Wdrapaliśmy się po drabince na bardzo ciasny i tak niski stryszek, że nie można było stać. Tam Ziutek i Wiesław złożyli każdy swój aparat. Kręcił się koło nich gospodarz, oglądając wszystko z wielką ciekawością i dokucając ciągłymi pytaniami. Tym razem bardzo długą antenę uwiesiliśmy ponad maszynami kamieniarskimi, wysoko w szopie, pod drewnianym dachem. Wyglądało na to, że lokal ma dobre warunki techniczne. Aparaty nastrojone czekały na umówioną godzinę. Na strychu zrobiło się tak gorąco, że pozdejmowaliśmy marynarki i koszule. Był już lipiec i męczaliśmy się nawiązywaniem łączności czwarty już miesiąc!

W końcu Wiesław zaczął wołać na swoim aparacie i po kilku chwilach otrzymał odpowiedź, że go słyszą na 1-2, co w skali określeń od 0-5, oznaczało „słabo”, porozumienie jednak było możliwe. Dobry początek! Wiesław zasygnalizował kodem: „Będę przeprowadzał próbę nowego aparatu” — i po otrzymaniu potwierdzenia, przełożył swój kwarc do stacji Ziutka i ponowił wołanie. Otrzymał natychmiast odpowiedź, że jest słyszany na 2-3, a więc o stopień wyżej. Wiesław był bardzo zdziwiony i przyczynę tego zaraz wyjaśnił: „Wasz aparat znacznie lepszy od mego”. Teraz z kolei dał znać, że ma do nadania depeszę alarmową, którą należy przekazać stacji rządowej. Otrzymał odpowiedź: „Jestem gotów do odbioru” — w ciągu kilkunastu minut nadał nasze elementy ruchu. Odetchnęliśmy z ulgą. Jeszcze jeden krok naprzód zrobiony. Jak się ma złą passę, to całymi miesiącami, wreszcie przychodzi taki kwadrans, w którym się wszystko odменя. Ziutek rozkrochmał się zupełnie, gdyż stacja działała doskonale. Siedzieliśmy na strychu pół nadzy, pot zalewał nam oczy, ale aparat brzęczał, światła kontrolne migały, w słuchawkach słysząc było świergot odbioru. Byliśmy szczęśliwi!

Z gospodarzem, małym, szczupłym człowieczkiem, działo się coś dziwnego. O ile montowaniu aparatu przyglądał

się spokojnie, robiąc sceptyczne uwagi, zdradzające iż nie bardzo wierzy, że to ma być połączenie z zagranicą, o tyle zorientowawszy się, że istotnie odbywa się rozmowa dwóch stacji, zaniepokoił się i zaczął pytać, jak to długo potrwa. Uspakajaliśmy go, że nie długo, ale nikt w to nie wierzył. Na lokalu byliśmy po raz pierwszy. Wiesław miał moc zaległych depeš i trzeba było grać tak długo, jak się da. Wyszedłem na dwór, gdzie Zosia, siedząc na płocie, obserwowała okolicę. Była piękna, pogodna, cicha noc, tyle tylko, że dochodził głos samochodów, przejeżdżających szosą powązkowską. Na cmentarzu krzyczały sowy. Wiał chłodny wietrzyk i z przyjemnością, siedząc obok Zosi, łykałem świeże powietrze. Razem już pilnie obserwowaliśmy okolicę i świt zastał nas na posterunku.

Zaszedłem do szopy. Wiesław zmęczony do ostateczności, wymieniał pożegnane formułki z telegrafistą w Londynie. Demontaż i pakowanie aparatów trwało kilkanaście minut, po czym wszyscy wyszli na świeże powietrze. Wiesław postanowił się umyć pod kranem. Nachylił się, coś mu wypadło z kieszeni i rozległ się dźwięk tłukącego się szkła. Porcelanowa figurka Matki Boskiej, którą zawsze stawiał przy aparacie, gdy pracował, rozleciała się w drobne kawałki. Bardzo się tym przejął, więc pocieszaliśmy go, jak kto mógł, ale każdy po cichu myślał, że to zły omen. Może przeczuwaliśmy już, że za kilka miesięcy wpadnie on w ręce Gestapo, pracując tak jak teraz z nami, na radiostacji wojskowej w Konstancinie.

Gospodarz coraz bardziej zdenerwowany, natarczywie zażądał, abyśmy się wynieśli natychmiast, gdyż wkrótce przyjdą robotnicy. Nie uwierzyliśmy, gdyż jeszcze nie było piątej rano, o której kończyła się nocna godzina policyjna, ale radzi nie radzi, musieliśmy się wynieść. Trzeba było czekać na pierwszy tramwaj na końcowym przystanku, na Powązkach. Było pięknie i świeżo, pełno zieloności i słońca. My, mimo niewyspania i zmęczenia, zadowoleni, jak nigdy. Teraz nie pozostawało nic innego, jak nasłuchiwać stacji rządowej w Londynie na podanych dziś elementach ruchu.

Po jakimś czasie tramwaj nadszedł i ulokowaliśmy się w dwóch grupach. Czekala nas jednak jeszcze niespodzianka. Tuż przed ruszeniem rozległy się głosy niemieckie i do

naszego wagonu wsiadło kilku żandarmów, wracających, jak widać, z nocnego patrolu. Nieprzyjemna chwila. Ale żandarmi, zmęczeni i niewyspani jak my, rzucili tylko na nas pobieżne spojrzenie, rozsiedli się wygodnie i zdjęli hełmy. Obie nasze grupy zachowały niewzruszony spokój, rozmawiając między sobą ani za głośno, ani za cicho. Grunt nie zwrócić na siebie uwagi czymś nienaturalnym. Aparaty, transformatory i narzędzia leżały w zwykłych torbach, jakich używają gospodynie, idąc na targ i były przykryte różnymi jarzynami. W wagonie byliśmy tylko my i żandarmi, ale po drodze przybyło parę osób. W śródmieściu żandarmi wysiedli i odetchnęliśmy z ulgą. Seans udał się pod każdym względem!

Nareszcie!

Przyjechał oczekiwany od dawna telegrafista Janek, którego udało mi się wynaleźć przy pomocy znanego w Warszawie prezesa Związku Krótkofalowców, Pokorskiego (zginął, powieszony przez Niemców). Spotkaliśmy się Ziutek, Janek i ja znów w kawiarni Żmijewskiego. Z twarzy Janka bił spryt, rozum i chłód. Milczał, słuchał i obserwował. Wiedział o co chodzi i godził się w zasadzie. Na moje natarczywe pytania, czy da sobie radę, odpowiadał niedbale, że nie ma żadnych obaw. Omówiliśmy na razie sprawę mieszkania i utrzymania, przy tradycyjnej lurze i ciastkach, wśród hałasu grających w sąsiedniej sali w bilard, po czym Ziutek zabrał Janka ze sobą, aby go we wszystko wtajemniczyć i gdzieś ulokować.

Po paru dniach, przenieśliśmy wszystko do Zielonki, pod Warszawą, gdzie w międzyczasie zostało wynajęte mieszkanie na stację. Zamieszkał w nim także Janek, który wobec właścicieli, miejscowych ogrodników, udawał ucznia, którego nie stać na mieszkanie w Warszawie i musi do szkoły dojeżdżać. Zosia przywiozła wszystko bez przegód pociągiem z Warszawy. Był to dość znaczny wysiłek, gdyż same transformatory ważyły kilka kilo.

Aparat został zmontowany w małym pokoiku, okno zasłonięte, antena wewnętrzna pod sufitem na kształt litery V. Próba aparatu — wszystko działa doskonale. Lampki kontrolne świecą ostro, kwarc oscyluje. Punktualnie o dzie-

więtnastej Janek ze słuchawkami na uszach podskoczył na krześle: „Są!” Zerwał słuchawki z uszu, podał Ziułkowi. Na twarzy Ziułka rozlewa się błogi uśmiech, oczy mu lśnią, zasłuchany kiwa głową i ręką, że „tak, że dobrze” — i od-daje słuchawki mnie. Nakładam je na uszy, słyszę świer-got, zwraca moją uwagę jego regularność. Janek, stojący obok, odczepił dla siebie jedną słuchawkę i tłumaczy zna-czenie sygnałów. Nie ulegało wątpliwości, iż to rządowa stacja w Londynie wołała nas.

Wreszcie rozległ się sygnał Londynu: „Przechodzimy na odbiór”. Zdenerwowanie osiągnęło punkt kulminacyjny. Było się jednak o co denerwować. Wszak chodziło o uzy-skanie łączności z rządem w Londynie, o co walczyliśmy bezskutecznie od czterech miesięcy. Janek blady i skupiony nacisnął na klucz i monotonna, wybijając starannie kreski i kropki, przez dwie minuty odpowiadał umówionymi zna-kami. Teraz ze swej strony zakończył sygnałem: „Przecho-dzę na odbiór” — i... nagle Janek, jak porażony prądem, zrywa się z krzesła, łapie się rękoma za słuchawki, potem siada, chwytając za ołówki, za blok i notuje.

Co za radość! Usłyszeli! Mało tego, słyszą doskonale! Jeszcze nie wierzą! Proszą o powtórzenie! I wśród niesły-chanej radości, nastąpiło trzykrotne wzajemne potwierdze-nie sobie znaków wywoławczych.

Teraz już nie ulegało żadnej wątpliwości, że bezpo-srednia łączność z rządową stacją w Londynie została na-wiązana. Nastąpiła wymiana pozdrowień i komplementów (ludzie żadnego zawodu nie wymieniają ze sobą przy pracy tyle uprzejmości, co radiotelegrafiści). Na bloku Janka mnożyły się znaki: „O.K., O.K., O.K.”.

Londyn nadał kodem, iż ma depezę alarmową. Janek zaczął odbierać i w ten sposób rozpoczęła się praca, trwa-jąca cztery lata. Stało się to 2 sierpnia 1941 roku.

Jeszcze jedna próba nerwów czy szyfr, którym depeze były zaszyfrowane, chwyci czy nie. Po paru godzinach os-tatnie wątpliwości zostały usunięte. Depesza została gładko odczytana.

Ukoronowaniem dobrej passy było moje spotkanie z emi-sariuszem Włodkiem (*), który swego czasu, gdy się wy-

(*) Inżynier Czesław Raczkowski, obecnie w St. Zjednoczonych.

czerpały pieniądze jakie zdobyłem na budowę stacji (a także i moje własne), dał mi od siebie 50 dolarów na dokończenie roboty. Włodek był zachwycony tym, że uzyskaliśmy upragnioną łączność i dał temu wyraz: „Chcę wam pomagać we wszystkim. Waszą pracę może ułatwić i skrócić posiadanie własnego, osobistego szyfru dla korespondencji z Londynem. Daję wam mój, chociaż działam na własną rękę i może mi za to tutaj łeb urwać”. W ten sposób uzyskałem możliwość porozumiewania się z Londynem przy pomocy szyfru, który prócz Włodka znała tylko Zosia i ja.

Pierwszy etap.

Długi czas chodziliśmy jak wniebowzięci. Mieliśmy już wiadomość, że stacja w Londynie niemniej radośnie przeżyła moment nawiązania łączności, a rząd uznał to za wydarzenie dużej wagi. Wszystkie trudy zostały zapomniane i obecnie skierowaliśmy całą uwagę na sprawność działania stacji, jej rozbudowę i bezpieczeństwo. Janek odebrał już plik depesz, zawierających drobiazgowo opracowany kod techniczny i przestaliśmy nareszcie korzystać z międzynarodowego, który każdy telegrafista niemiecki na stacji podsłuchowej doskonale rozumiał, gdyż jest to rodzaj esperanta krótkofalowców.. Praca w Zielonce szła gładko, depesza wychodziła za depeszą. Janek zaprzyjaźnił się z gospodarzami, chodził do nich na pogawędkę i nawet pił biber, którego zresztą nie znosił. Całe zmartwienie, że gospodarz miał ładną córkę, co nęciło żołnierzy niemieckich, kwaterujących w Zielonce. Zaglądali do niej od czasu do czasu na pogawędkę, prowadzone jakimś łamanym językiem, przyjmowani ze starannie ukrywaną nienawiścią. Urządziliśmy sobie jednego dnia piknik i zjechaliśmy do Janka z wałówką, w dobrych nastrojach. Było ciepło i słonecznie. Rozsiedliśmy się na trawie w ogrodzie, jedliśmy jajka na twardo, rzodkiewki i inne smakołyki, przygotowane przez Zosię. Ziutek, wesoły jak szczygieł, podkpiwał z Janka, ten zaś nie pozwalał sobie dmuchać w kaszę i tak na wesołych przekomarzaniach upływał czas. Nie podobało mi się jednak, że malutka izdebka Janka na parterze

musiała mieć prawie stale zamknięte i zasłonięte okno. Obawiałem się, że to może zwrócić uwagę właścicieli.

Dla Ziutka na warsztat wynająłem oddzielne mieszkanie na Rycerskiej, na Starym Mieście. Były to dwa pokoiki z kuchnią w rozkosznym, starym domu, bardzo miłe, w których z pośpiechem przeprowadziliśmy remont. Ziutek w międzyczasie urządził w mieszkaniu na Nowym Zjeździe obszerny schowek pod podłogą i na gwałt budował nowe aparaty. Pomagał mu w tym młody przyjaciel, Franek, śmieszny, puciołowaty, oberwany chłopak, także z Powiśla, zapatrzony w Ziutka, jak w obraz. Ziutek bardzo go lubił, ale traktował z góry i „sztorcował” na każdym kroku. Praca wrzała! Ziutka ogarnął szal zakupów i kupował wszystko, co mogło być kiedykolwiek potrzebne. Mówił z dumą: „Z tym, co mamy w schowku, możemy pracować pięć lat”.

Pewnego dnia, chichocząc, zapytał mnie: „Niech pan zgadnie, gdzie zamówiłem pierwszorzędne lampy?” — „Skąd mogę wiedzieć? Może u krótkofalowców w Krakowie?” — odpowiedziałem. „Nie... w Berlinie!” — oznajmił Ziutek z triumfem, śmiejąc się do rozpuku. Na moje zdumione spojrzenie wyjaśnił, że ma znajomego Polaka w firmie niemieckiej, który mu to załatwia „na lewo”. I rzeczywiście, wkrótce Ziutek pokazał mi większą ilość lamp w tekturowym pudle, z niemieckimi napisami i adresem na niemiecką firmę w Warszawie. Podniecała nas myśl, że będziemy rozmawiali z Londynem na lampach, sprowadzonych z Berlina. Ziutka to specjalnie bawiło i nie raz do tej kwestii powracał.

Mieliśmy już jednak nowe zmartwienie, gdyż stacja była teraz zasypywana depeszami, bez liczenia się z niewielką jej przelotnością i ryzykiem, jakim grozi zbyt długa, codzienna praca. Mieliśmy tylko dwa kwarce i wobec tego Janek mógł pracować na dwóch tylko falach, co bardzo zwiększało niebezpieczeństwo. Depesze były szyfrowane w ten sposób, że jedna litera tekstu była oznaczana dwiema cyframi, a to wymagało podwójnej ilości czasu, niż przy tekście otwartym.

Rozpoczęła się moja czteroletnia walka o oszczędność słów w depeszach Delegatury Rządu i stronnictw, o nie powtarzanie się, o rezygnację z przymiotników, kropek, przecinków, słowem o krótki, lakoniczny tekst. Żądałem od

osób, uprawnionych do zestawiania tekstów, by każdą depeszę układały tak, jak gdyby za każde słowo miały zapłacić sporą gotówkę i to z własnej kieszeni. Niewiele to jednak pomagało i rozpoczęły się na tym tle pretensje i nieprzyjemności. Józef Niećko z „Trójkąta” (niedawno zmarły członek komunistycznej Rady Państwa w Warszawie), który przyrzekał mi pomnik jeśli uzyskam łączność z Londynem, robił teraz wszystko, żeby zawładnąć stacją, wprowadzić na nią swoich ludzi i podporządkować wyłącznie sobie. Rozdałem jednak parę kopniaków i na jakiś czas był spokój.

Pierwsze niepokoje.

Pewnego dnia wpadł na Rycerską zziąjany i zdenerwowany Janek: „W Zielonce wielkie rewizje. Przyjechały auta z żandarmami i przetrząsają wszystkie domy”. Z dalszych jego słów wynikało, że do domku ze stacją nie dotarli, że oficjalnie szukali bimbrowni, ale z całej techniki rewizji było widoczne, że chodziło o radiostację. Wskazywało na to pilne badanie instalacji elektrycznych, a nawet zwykłych żarówek. Zarządziłem natychmiastowe zaprzestanie pracy w Zielonce i przeniesienie Janka ze stacją do sublokatorskiego pokoju na Górnoszląskiej, w Warszawie. Mieszkanie to jednak miało poważną wadę, gdyż mieściło się między Sejmem na Wiejskiej, a Domem Akademickim. W jednym i drugim kwaterowali żandarmi. Dało to powód Ziutkowi do wisielczego dowcipu: „Będzie Niemiaszkom stukało w odbiornikach, jakby kto kuł młotkiem!” Z drugiej strony pocieszailiśmy się, że nikomu z żandarmów nie przejdzie nawet przez głowę taka bezczelność, iż tajna radiostacja ulokowała im się tuż pod nosem. Na wszelki wypadek jednak Janek umówił się z Londynem na godziny nocne, kiedy nikt radia nie słucha. Miało to znów tę złą stronę, że nie można było wystawić ulicznej obserwacji, bo po godzinie policyjnej nikt po ulicy nie mógł się już kręcić. Nie mieliśmy jednak wyboru i Janek zaczął pracować na Górnoszląskiej. Zachodził tam do niego od czasu do czasu Wiesław, gdyż Zarembie nadal brakowało lokali. Pracowali więc na zmianę nocami, jeden ze stacją rządową w Londynie, a drugi ze stacją wojskową.

Sielanka trwała niedługo. I znów przybiegł zmęczony i wystraszony Janek: „Przyszedł ktoś nieznamy do moich gospodarzy i rozpytywał o mnie. Wobec tego, na wszelki wypadek zabrałem stację i moje rzeczy i zaniósłem do Ziutka. Dobrze się stało, gdyż po moim wyjściu przyszło Gestapo i wywiozło wszystkich”.

Nie pojmowaliśmy, co to mogło być. Janek nie był do tego czasu zdekonspirowany i cała sprawa wyglądała zagadkowo. Czy pytania o Janka łączyły się z aresztowaniem gospodarzy, czy nie? Na to nigdy nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Najbardziej prawdopodobną wydała nam się wersja, że gospodarze musieli być zaangażowani w jakiejś podziemnej robocie i wpadli. Nie sądziliśmy by to była praca gonii, gdyż wówczas Niemcy przysliby w czasie nadawania.

Na szczęście w tym czasie udało mi się wynająć mały, jednoizbowy domek w Leśnej Podkowie Głównej, przy ulicy Orlej, do którego Janek przeniósł się natychmiast ze stacją. Lokal ten miał dobre warunki techniczne i znów praca szła gładko. Janek był naprawdę znakomitym telegrafistą. Wytrzymywał każde tempo odbioru, sam mógł nadawać z rekordową szybkością. Miał przy tym świetną pamięć do liczb. Wreszcie, umiał konstruować aparaty i pomagał, gdy miał chęć, Ziutkowi. Jedyne przeszkody stwarzało częste wyłączanie prądu przez elektrownię w Pruszkowie i to zawsze nie w porę. Udało mi się jednak nawiązać kontakt z kim należy i Leśna Podkowa Główna stała się miejscem, o ile chodzi o prąd, uprzywilejowanym. Zostałem jednak ostrzeżony, że w okolicy naszej stacji przepalają się ciągle bezpieczniki na słupie, co zwracało uwagę reperujących monterów.

W tym czasie Niusia uzyskała posadę bileterki w jednym z teatrzyków na Nowym Świecie. Ponieważ siedziała w kasie prawie przez cały dzień, więc urządziłem tam skrzynkę i przestaliśmy się spotykać z Jankiem na mieście. Funkcjonowała ona doskonale, gdyż po południu przy kasie był duży ruch publiczności i nikt nie zwracał uwagi na przychodzących. Niusia wyświeżona, elegancka i jaskrawo oświetlona, królowała w okienku, obdarzając każdego z naszych miłym uśmiechem, gdy udając, że kupuje bilet, wręczał lub odbierał depeszę.

Janek przyjeżdżał teraz co dzień do Warszawy i zaglądał do kasy. Poznałem go już dość dobrze. Ten doskonały fachowiec i niewątpliwy patriota był jednak zimnym i wyrachowanym człowiekiem z takimi ambicjami, jak duże pieniądze, własne auto itp., o czym głośno marzył. Nie wyżywał się na skromnej funkcji telegrafisty i, według Ziutka, ciągle coś kombinował na boku. Stosunek nasz był pozbawiony serdeczności i raczej rzeczowy. Przeciwnieństwem tego były stosunki z Ziutkiem, którego po prostu wszyscy kochaliśmy. Janek był poza tym wielkim ciekawskim i nie mógł zaznać spokoju z tego powodu, że nie wiedział, jakie jest moje prawdziwe nazwisko i jaką mam funkcję w podziemiu.

Czasami u Niusi schodziliśmy się przypadkowo wszyscy, to jest Zosia, Ziutek, Janek i ja, a ponieważ całe towarzystwo miało sobie zawsze coś do powiedzenia, więc nie raz musiałem ich wprost rozpędzać.

Mieszkanie na Rycerskiej było bardzo przytulne i zagubione w masie kamieniczek Starego Miasta, więc czuliśmy się w nim bezpiecznie. Tak zwany dobry lub zły nos odgrywał w konspiracji dużą rolę i nie należy się z tego śmiać. Z mieszkania, w którym ktoś się źle czuł, powinien był natychmiast uciekać. Nie żądałem na przykład nigdy od telegrafisty, by pracował w lokalu, który mu się nie podobał, chociaż nie wiedział dlaczego. Ziutek przerobił blat okna w ten sposób, że go się wysuwało i pomiędzy nim a blaszanym dachem, opadającym skośnie od okna, urządził obszerny schowek. Niby miał w nim wszystko chować tak, żeby nic nie leżało na wierzchu, ale ile razy przychodziłem, tyle razy na stole pełno lamp, kabli, motorków, baterii, słowem — cały kryminał!

Zasadniczy magazyn był jednak wciąż na Nowym Zjeździe, pod podłogą, skąd Ziutek od czasu do czasu przynosił to, co mu było potrzebne do bieżącej produkcji. Miał tam około trzydziestu pudeł sprzętu radiowego.

Praca przy pomocy Franka szła na cały regulator i mieliśmy już nowe nadajniki, z których Janek łączył się z Londynem z Rycerskiej dla wypróbowania warunków technicznych lokalu. Były one dość dobre, ale ponieważ obowiązywała zasada, że gdzie jest warsztat, stamtąd nie można

pracować, zatem z tego lokalu dla nadawania nie korzystaliśmy.

Teraz mogliśmy już przystąpić do realizacji drugiego mojego pomysłu, a mianowicie budowy radiostacji fonicznej, czyli na głos. Od początku planowałem, że o ile uda się zorganizować łączność radiotelegraficzną z Londynem, to w następnym etapie trzeba będzie zbudować stację foniczną i nadawać z niej od czasu do czasu audycje dla kraju, a może nawet dla zagranicy. Ziutek zapalił się do tego pomysłu od razu i w dziesiątkach rozmów przedyskutowaliśmy każdy szczegół tego projektu. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że o regularnej, stałej pracy nie może być mowy. Groziłoby to oczywistą zgubą gdyż zostalibyśmy natychmiast wykryci. Przy fonii, gdzie moc musi być dużo większa, wykrycie jest o wiele łatwiejsze, niż przy telegrafii, opartej na znakach Morse'a. Doszliśmy do przekonania, że tylko od czasu do czasu będzie można „wyskoczyć w eter” z audycją. Ziutkowi, chociaż z wielkim trudem, udało się wyszperać potrzebne części, a przede wszystkim silne lampy nadawcze i mikrofon. Oznajmił mi z dumą, że jest w stanie wybudować stację foniczną o mocy trzystu watów, która przy dobrych warunkach powinna być słyszana w całej Europie. Wyjaśnił, że w czasie wystawy krótkofalowców przed wojną, z nadajnika o mocy kilkudziesięciu watów nadano audycję foniczną, którą nagrano w Anglii na płyty, a zatem cała impreza ma ręce i nogi.

Puściliśmy wodze fantazji na ten temat i na kredyt upaliśmy się wrażeniem, jakie taka audycja zrobi na Niemcach i pożytkiem, jaki można stąd osiągnąć dla podziemnej roboty. Ziutek cieszył się z góry, „że Niemców szlag trafi”. Dałem mu ostateczną aprobatę i rozpoczął pracę.

Spotkanie z Zarembami.

Weszliśmy z Zosią kiedyś do restauracji „Łowiczanka”, gdzie chcieliśmy zjeść obiad. Lokal był pewny, panie obsługujące przeważnie z konspiracji, więc chodziło się tam dość często. Ktoś nam się z kąta uklonił. Był to Zaremba z łączniczką Haliną. Przysiedliśmy się do nich i po paru chwilach zauważyliśmy, że są jacyś zgaszeni, widać, że ich coś gryzie. W czasie obiadu stało się to tak wyraź-

ne, że zapytałem Zarembę wprost: „Macie jakieś zmartwienie? Może moglibyśmy wam w czym pomóc?” — „Jest wsypa i Gestapo siedzi w naszym mieszkaniu. Nie mamy gdzie się podziąć i nawet zanocować”. Zosia porozumiała się wzrokiem ze mną i zaproponowała: „Chodźcie na kilka dni do nas. Mieszkamy niemeldowani na Kolonii Staszica. W międzyczasie znajdziecie sobie jakieś locum”.

I w ten sposób Zaremba z Haliną, która, jak się okazało, była jego żoną, zamieszkali u nas. Z punktu widzenia konspiracyjnego było to niedopuszczalne, ale cóż zrobić? Zarembom trzeba było pomóc, i w ten sposób kierownicy łączności wojskowej i cywilnej zamieszkali pod jednym dachem. Wstyd mi jest przyznać się, że ta z punktu widzenia reguł konspiracji „zbrodnia” trwała około roku! Żyliśmy sobie razem w zgodzie w dwóch małych pokojkach i bez końca wieczorami, po kolacji, rozmawialiśmy o łączności. Bał czasami nawet, założywszy na uszy po parze słuchawek, puszczailiśmy się w tany przy dźwiękach muzyki z radia londyńskiego. Trzeba było tylko uważać, by się nie zaplątać w druty, łączące słuchawki z odbiornikiem. Zarembowie byli już weteranami pracy radiowej i mieli za sobą kilka nalotów i wysp. Ostatnia była bardzo groźna. Pozbawiła Zarembę panu aparatów i zrewanżowałem mu się za pomoc, jaką nam kiedyś okazał, wypożyczeniem dwóch stacji roboty Ziutka. Teraz Janek i Ziutek chodzili na lokale Zaremby uczyć wojskowych obsługiwania naszych aparatów. Skutek tego był dość nieoczekiwany, gdyż Ziutek pewnego dnia ostrzegł mnie: „Wie pan, że chcieli panu zrobić grandę”. — „Jaką?” — zapytałem. „Jakiś facet, ale nie Zaremba, bo to porządny chłop, wziął mnie i Janka na bok i zaproponował, abyśmy puścili pana kantem, a dostaniemy lepsze warunki, no i będziemy pracować w wojsku, gdzie są awanse i odznaczenia, a nie w cywil-bandzie”. — „No i co pan na to odpowiedział?” — „Eee, nic. Śmiałem się tylko, ale Jankowi wpadło to w ucho i czuję, że będzie coś kombinował”.

Audycja foniczna.

Wreszcie aparat foniczny był gotów. Oglądałem go z nabożeństwem i stwierdziłem, że dotychczasowe stacje

wyglądają przy nim jak myśliwiec przy bombowcu. Próby wypadły dobrze i mogłem zawiadomić Londyn, że mamy gotową stację foniczną o mocy trzystu watów i proponujemy nadanie z niej audycji wigilijnej dla armii polskiej i rodaków na emigracji, którą brytyjskie radio (B.B.C.) może nagrać na płyty i transmitować, a w ten sposób dotrze ona wszędzie. Nasza oferta została przyjęta z pewnym niedowierzaniem, ale przyjęta, i termin ustalony na jeden z dni przedwigilijnych, na późną godzinę wieczorną, drugi termin rezerwowo w razie nieudania, na wczesne godziny ranne następnego dnia.

Teraz Zosia za kilkoma nawrotami przewiozła kolejką elektryczną do Leśnej Podkowy zasadniczą aparaturę. Resztę zabrali Ziutek i Janek. Ja przygotowałem przemówienie, które zawierało pozdrowienia wigilijne od rodaków w kraju dla Polaków na emigracji, życzenia dla wojska polskiego, wezwanie do walki na śmierć i życie z Niemcami, zapewnienie, że kraj walczy i walczyć będzie aż do zwycięstwa i informacje o sytuacji w Polsce.

Wieczorem, pewnego umówionego dnia, zjechaliśmy się w Podkowie Leśnej. Było ciemno choć oko wykol, gdy brnęliśmy po omacku na Orlą. Jednopoikojowe mieszkancko było starannie zaciemnione. Wnętrze zrobiło nawet na nas, obeznanych już z pracą radiową, duże wrażenie. Cały stół zastawiony częściami aparatury, w tym sześć transformatorów. Żarzą się różnokolorowe lampy, a szczególnie urzekają nas swoim wyglądem dwie lampy rtęciowe, świecące fioletowo, oraz trzecia największa, rzucająca światło różowo-pomarańczowe. W świetle tym, twarz Ziutka pochylonego nad aparaturą, wyglądała niesamowicie. Tym razem Ziutek nie dowcipkował, a pracował w skupieniu. Sceptycznie, jak zwykle, uśmiechnięty Janek także spoważniał i nie wiadomo dlaczego mówił szeptem, co udzieliło się wszystkim. Niemniej żołądek upomniał się o swoje prawa i Janek nastawił herbatę. Na wolnych brzegach stołu położyliśmy zapasy i szybko zjedliśmy kolację, spoglądając ciągle na zegarek.

Zbliżała się umówiona godzina. Aparatura wypróbowana, kwarc oscylował, przyrządy pomiarowe wykazywały, że wszystko działa dobrze. Byliśmy zdenerwowani, ale staraliśmy się tego nie okazywać. Wreszcie nadszedł termin

i Janek zaczął wołać. Londyn natychmiast odpowiedział, że jest gotów do próby fonii. Nastąpiło przestawienie aparatury z grafii na głos i Ziutek odezwał się do mikrofonu: „Jak mnie słyszycie?” — Londyn odpowiedział: „I am sorry, nie słyszę was wcale”. Konsternacja. Ziutek ponowił próbę, lecz otrzymał tę samą odpowiedź. Stało się jasne, że warunki w eterze są złe, co przy wewnętrznej, pokojowej antenie odbierało aparatowi właściwą moc. Daliśmy znać, że ponowimy próbę za dwie godziny i podupadli na duchu, położyliśmy się gdzie kto mógł, by się trochę prześpać. Zosia na łóżku, my na podłodze. Ta sama historia powtórzyła się za dwie godziny, wobec czego odroczyliśmy audycję do rana, do terminu rezerwowego, w przekonaniu, że warunki się polepszą.

O świcie wstajemy niewyspani, gnaty bóla, Janek błady ma nos dłuższy niż zwykle, Ziutkowi jak zawsze rano włosy sterczą na wszystkie strony. Ale czas się zbliżał, aparatura ponownie włączona, w końcu z zegarkiem w ręku Janek znów zawołał Londyn. Tym razem przyszła odpowiedź, że wprawdzie słabo, ale nas słyszą. Rozpoczęły się przeszło godzinne, wyczerpujące próby, gdzie Ziutek z jednej strony starał się jak najlepiej nastroić aparat i uzyskać najwyższą moc, z drugiej strony następowała stopniowa poprawa warunków w eterze. Poszliśmy na duże ryzyko i Janek wyprowadził już w biały dzień antenę przez okno na zewnątrz na ogród i przywiązał drugi jej koniec do pobliskiej szopy. Wreszcie Londyn dał sygnał: „O.K. rozpoczynajcie audycję. Jesteśmy gotowi do odbioru”. Z wielką treścią chwyciłem za mikrofon i głęboko wzruszony odczytałem przygotowane przemówienie. Ziutek czujny i skupiony kontrolował działanie aparatu i równocześnie podsłuchiwał mnie na małym aparacie odbiorczym. Wszystko było w porządku!

Skończyłem przemówienie i Janek zasiadł do odbiornika, by usłyszeć informację, jak audycja została odebrana. Gdy nałożył słuchawki na uszy, twarz mu się zmieniła momentalnie. Przywołał mnie ręką i oddał słuchawki. Usłyszałem w nim monotony, falujący ryk. Janek krzyknął mi do ucha: „Z niewielkiej odległości zagłusza nas stacja nadawcza niemiecka. Więcej natychmiast!” Ziutek posłuchał również i był tego samego zdania. Stacja nadaw-

cza, a więc i Niemcy, musieli być bardzo blisko. Nie było czasu na chowanie stacji, więc wyłączyliśmy aparaturę, przykryliśmy ją kocem i dwiema partiami czym prędzej opuściliśmy Orlą. Każda szła inną drogą i na dworzec w Leśnej Podkowie dostaliśmy się bez przeszkód, a potem spokojnie dojechaliśmy do Warszawy. Poszliśmy natychmiast na ulicę Rycerską i tam, o umówionej na stały nastuch godzinie, Janek połączył się z Londynem i już po kilku minutach odebrał depezę, która brzmiała: „Natychmiast po rozpoczęciu audycji zagłuszyła was silna stacja niemiecka, jednak słyszeliśmy pojedyncze zdania. Dziękujemy”. Zanalizowaliśmy na gorąco nasze postępowanie i doszliśmy do wniosku, iż Niemcy musieli słyszeć próby fonii, zorientowali się o co chodzi i przygotowali się z zupełną łatwością do zagłuszenia audycji.

Na drugi dzień mieliśmy już wiadomość, że po naszym wyjeździe z Leśnej Podkowy trwały przez cały dzień rewizje na E.K.D. (*) i w Podkowie, co wskazywało na dość dokładne umiejscowienie stacji. Toteż Janek przez parę dni obserwował tylko z daleka swój domek i dopiero, gdy nabraliśmy pewności, że nic nie grozi, wrócił do niego z powrotem.

Zebrałem teraz całą ekipę i zapytałem, czy czują się na siłach powtórzyć audycję przed Sylwestrem, z lokalu w Międzyzlesiu. Przeprowadziłem zmiany w przemówieniu i powtórzymy je, jako noworoczne. Wyjaśniłem, że stawam to pytanie dlatego, że wszyscy są przemęczeni ostatnimi przeżyciami i trochę nerwowo wyczerpani. Ale cały zespół zaciął się i wszyscy, bez wyjątku, zgodzili się na nową próbę. Londyn również przyjął moją propozycję, wobec czego Zosia z Frankiem przerzucili koleją cały sprzęt do Międzyzlesia w walizkach i paczkach, lawirując szczęśliwie wśród żandarmów i *Bahnschutzów*. Przebieg przygotowań i audycji był mniej więcej taki sam, jak w Leśnej Podkowie, tyle że rezultat gorszy. Na wielokrotne wołania, Londyn odpowiadał: „Sorry, nie słyszymy was wcale”. Zrezygnowaliśmy z dalszych wysiłków i całą aparaturę przerzuciliśmy z powrotem do Warszawy, na Rycerską, ja-

(*) Elektryczne Koleje Dojazdowe.

dąc całą gromadą, trochę na wariata, przemęczeni i zawiedzeni.

Pewną dla nas pociechą była wieczorna audycja B.B.C. z dnia 10 stycznia 1942 roku. W wygłoszonym w tym dniu przemówieniu, ówczesny wicepremier rządu generała Sikorskiego, Mikołajczyk, przemawiając do kraju, podziękował za ten „pierwszy głos, jaki z Polski doszedł do Anglii” (*). Cała impreza była otoczona ścisłą tajemnicą, toteż przemówienie Mikołajczyka wzbudziło w kołach konspiracyjnych ogólne zaciekawienie. Pułkownik Rzepecki, szef Biura Informacji i Propagandy Z.W.Z.-tu (B.I.P.), pokazał mi nasłuch audycji i zapytał, czy wiem coś o tej sprawie. Na marginesie nasłuchu spostrzegłem adnotację, uczynioną jego własną ręką: „To jakaś mistyfikacja”.

Zwolnienie Janka.

Spacerowałem po ulicy z Jankiem, który opowiadał: „Nocowałem w Warszawie i rano wróciłem do Podkowa by zagrać w Londynem o ósmej. Przychodzę, drzwi zamknięte, niby wszystko normalnie. Patrzę na stół, a tam groch z kapustą. Lampa się pali, choć to biały dzień, w łóżku wszystkie poprzewracane”. — „Mów pan od razu, czy co zabrane, czy nie? Co z kodami i depeszami?” — „Nie, niczego nie brak. Kody i depesze miałem ze sobą, ale stację ktoś ruszał. Rzeczy poprzewracane, ale niczego nie brakuje. Co pan o tym myśli?” — „Sądzę, że to złodziej złożył panu wizytę. Zorientował się jednak, że trafił na robotę konspiracyjną i Polak wziął w nim górę nad złodziejem, więc nic nie ukradł” — wytłumaczyłem Jankowi. „I ja tak myślę, tyle tylko, że bydlak zapalił światło a nie zaciemnił okna i to mogło w nocy sprowadzić patrol”. — „Czy pan zauważył od tej strony coś podejrzanego?” — „Nie”.

Dłuższy czas debatowaliśmy nad tym wypadkiem. Wobec tego, że jakaś trzecia osoba włączyła się w naszą tajemnicę, lokal został zdyskwalifikowany i opuściliśmy Orlą. Pracowaliśmy teraz dorywczo, gdzie się dało.

(*) Patrz podziemny *Biuletyn Informacyjny* z 21. I 1942.

Z Jankiem działo się coś niedobrego. Już dawno zauważyłem, że jest trochę zazdrosny o Ziućka. Janek był konstruktorem, miał maturę, a Ziućek, choć prosty chłopak, to jednak kierował całą naszą produkcją. Janek parę razy napomykał, że może robić to samo, co Ziućek, ale puszczaliśmy to mimo uszu. Już dawniej Ziućek mnie ostrzegł, że Janek coś kombinuje z wojskiem, to jest Z.W.Z. Zaczynał się spóźniać lub nie przychodził na spotkania i z pewnych obserwacji wnosiliśmy, że czymś handluje. Przeprowadziłem z nim zasadniczą rozmowę i postawiłem sprawę w ten sposób, że jeśli praca z nami przestała mu się podobać, to może odejść. Niech powie to wyraźnie, a ja znajdę sobie innego telegrafistę. Uprzedziłem go, że do zajmowania się handlem nie dopuszczę gdyż może przy szmuglu wpaść, zresztą warunki materialne ma znośne i dorabiać na boku nie potrzebuje. Na wszelki wypadek dodałem: „Przestrzegam pana przed pracą na dwie ręce. Ani u nas ani gdzie indziej nie będzie pan wtedy dobrze pracował, a możliwość wpadki zwiększa się o sto procent”. Janek uroczyście zapewnił, że nie handluje i gdzie indziej nie pracuje i przyrzekł na spotkania przychodzić punktualnie. Rozstaliśmy się w zgodzie, jednak po kilku dniach stało się jasne, że nic nie uległo zmianie i że Janka absorbuje coś innego niż praca na radiostacji. Podzieliłem się moimi obserwacjami i obawami z Ziućkiem, który je potwierdził: „Widzę to samo od dawna. Postaram się zbadać to dokładnie”.

Wkrótce Ziućek poinformował mnie, że Janek przyznał mu się, iż podjął się pracy także w Z.W.Z., przy zakupach sprzętu radiowego, że rozporządza teraz wielką gotówką, dużo zarabia i że... podkpiwa sobie z mej łatwości. Ustaliłem z Ziućkiem, że nie mówiąc nic Jankowi, rozpoczniemy poszukiwania za nowym telegrafistą. Dopomógł nam znów Pokorski i otrzymaliśmy kontakt na telegrafistę Stanisława. Był to mężczyzna po trzydziestce, średniego wzrostu, o wypukłych oczach i zadartym nosie, warszawiak z krwi i kości. Był zawodowym radiotelegrafistą i kwalifikacje jego nie ulegały wątpliwości. Rozpytywał o organizację pracy i interesował się bardzo warunkami bezpieczeństwa, co uważałem za dobry znak, gdyż lepsze to niż fanfaronada. Stanisław połączył się z Londynem

w tajemnicy przed Jankiem. Gdy to się dokonało, rozmówiłem się z Jankiem ostatecznie. Rozstanie odbyło się poprawnie. Przyparty do muru, przyznał się do roboty na dwie ręce, wyraził ubolewanie i uroczyście przyrzekł dotrzymać naszych tajemnic. Widoczne było, że zwolnienie szło mu na rękę. Spotykałem go później od czasu do czasu na mieście i wymienialiśmy ze sobą uprzejme ukłony.

Telegrafista Władek.

Zdawałem sobie sprawę, że jeden telegrafista to za mało. Jeśli zachoruje lub wpadnie, wówczas łączność leży. Jak zwykle, zwierzyłem się z tej troski Ziutkowi i obaj rozpoczęliśmy poszukiwania. Po pewnym czasie Ziutek przyprowadził na spotkanie blondynka o miłej twarzy i nieśmiałym zachowaniu, także zawodowego telegrafistę. Przeszedł w swoim życiu dużo, gdyż po klęsce wrzesniowej przedostał się do Francji, tam był na froncie i dostał się do niewoli niemieckiej. W ogóle nie był zdrow, więc przy pomocy symulacji udało mu się wmówić w Niemców ciężką chorobę i uzyskać zwolnienie ze Stalagu. Podjął się pracy u nas, gdyż za swój święty obowiązek uważał dalszą walkę z Niemcami. Wynajęliśmy dla niego domek w Józefowie pod Warszawą i Zosia przewiozła tam stację, z której Władek — bo takie imię miał nasz nowy nabytek — bez większego trudu nawiązał łączność z Londynem. Dostał własne elementy ruchu, a więc oddzielne godziny, fale, znaki wywoławcze i kod i mieliśmy w ten sposób już dwie stacje odizolowane od siebie i wypadka jednej nie mogła narazić drugiej. Robota szła dobrze, więc zaczął nas ponownie absorbować pomysł uruchomienia stacji fonicznej i planowaliśmy, aby to zrobić w Józefowie. W związku z tym Zosia przewiozła ją do Władka, a Ziutek zestawił, z zamiarem ponowienia prób.

Władek pracował, jak maszyna. Teraz prawie wszystkie depesze szły przez niego. Byłem z tego bardzo zadowolony i pochwaliłem Władka przy okazji, na co skromnie odpowiedział: „To nie jest moja zasługa, tylko aparatu. Pierwszorzędny, ale chyba musi mieć większą moc niż 300 watów”. — „Czyś pan oszalał?! Jakie trzysta watów? Najwyżej dwadzieścia”. — „Niemożliwe” — mówi spokojnie

Władek — „ja się na tym trochę znam”. Coś mnie tknęło i zapytałem: „A na którym aparacie pan gra?” „A na tym od fonii” — odpowiedział z flegmą Władek. Załamałem ręce. Okazało się, że pewnej nocy Londyn nie słyszał Władka na małym aparacie, wobec czego zestawił on duży i na nim od tego czasu wygodnie i z dużym rezultatem pracuje. Wrzasnąłem na niego: „Toż Londyn ma stację o mocy pół kilowata, ale to jest Anglia, a tu jest okupacja i dziwię się, że pan jeszcze żyje. Jest pan zawodowym telegrafistą, a nie rozumie pan tego, że przy takiej mocy ryzyko wypadki jest kilka razy większe?”

Przerwałem sielankę i to w samą porę, gdyż za kilka dni zestrachany Władek uciekł z Józefowa tak jak stał, mówiąc, że auta niemieckie ze znakiem błyskawicy przemierzają tę miejscowość wzdłuż i wszerz i wszędzie pełno żandarmów. Natychmiast jego lokal uspiłiśmy, przerzucając całą pracę z powrotem na Stanisława. Aparaty pozostały w schowku.

Wsypa na Nowym Zjeździe.

Byłem już od dawna poszukiwany przez Gestapo, które od czasu do czasu zaglądało na moje przedwojenne mieszkanie przy Alei Przyjaciół 1, skąd się umyślnie wraz z Zosią nie wymeldowałem. Za każdym razem dozorca Stanisław, wielki patriota i odważny człowiek, przez łańcuch osób dawał mi o tym znać. Ostatnio Gestapo było w gmachu Prudentialu, na Placu Napoleona i zrewidowało dwa pokoiki, jakie przez pewien czas miałem tam do swej dyspozycji. Deptali nam coraz więcej po piętach, więc na wszelki wypadek wynieśliśmy się z Zosią z Kolonii Staszica do przyjaciół na Saską Kępę.

Pewnego dnia o zmroku, zadzwonił telefon: „Niusia chce się z panem zaraz widzieć i czeka na Moście Poniatowskiego, od strony Pragi”. Wyszedłem natychmiast i za kilka minut znalazłem się na moście. Spod ciemnych filarów wyszła jednakże nie Niusia, lecz... Ziutek. Wziął mnie pod rękę i szybko poprowadził w dół po schodach, na Wał Miedzeszyński, szepcząc po drodze: „Wsypał Janek aresztowany, Gestapo na Nowym Zjeździe!” Struchlałem i mimowoli przyśpieszyłem kroku. Ziutek ubrany w jakąś za

dużą na niego marynarkę, drżąc cały opowiadał: „Poszedłem na Nowy Zjazd, bo musiałem wziąć ze schowka potrzebne lampy i różne drobiazgi. Wyciągnąłem spod podłogi pudła tekturowe i według spisu wybieram, co trzeba. Słyszę nagle pukanie do drzwi i gwizdanie umówionego dawniej z Jankiem sygnału. Myślałem, że to on i nie zamykając schowka, otworzyłem drzwi. Wskoczyło dwóch Gestapowców i krzyczą: *Hände hoch!* Janek wszedł za nimi. Zdebiąłem zupełnie. Prędej śmierci bym się spodziewał. Gestapowcy pchnęli mnie lufami rewolwerów w głąb korytarza i wprowadzili w otwarte drzwi pokoju rodziców. Do pokoiku na prawo z korytarza gdzie był otwarty schowek i na wierzchu leżały pudła, nie zajrzeli, ale jasne było, że za chwilę tam wejdą. Przejrzeli teraz pokój i kuchnię i pytają, kto jest jeszcze w mieszkaniu. Odpowiedziałem, że nikt, bo rodzice wyjechali do krewnych. Opuścili rewolwery i zaczynają rewizję. Stałem obok drzwi, widzę że krewa, więc wyskoczyłem na ciemny korytarz i przed siebie na schody. Drzwi otwarte, trzasnąłem nimi aż się rozległo i chodu w dół. Nim przelecieli ciemny korytarz, nim odemknęli drzwi z zatrasku, ja już o dwa piętra niżej. Zaczęli grać z maszyn z góry w dół klatki schodowej, tylko tynk pryskał. Wyskoczyłem przed bramę, a tu widzę auto, a w nim Gestapowiec pali papierosa. Nawet na mnie nie spojrział. Poleciałem na punkt kontaktowy, tam mnie wysłali do Niusi. Zwiąłem bez marynarki, w koszuli. Od niej dostałem tę kapotę i zawiadomiła pana. To wszystko”.

Trzęsiemy się z emocji. Pierwsza myśl to zabezpieczenie ludzi, których zna Janek. Nusia już wie, reszta trzeba zawiadomić, a tu już zbliża się godzina policyjna. Janek, niestety, zna także obecne nasze mieszkanie na Salskiej Kępie, więc trzeba z niego uciekać. Zabrałem Ziułka, który już wysłał kogoś do brata i do rodziców, przebywających istotnie poza Warszawą, i poszliśmy do naszych przyjaciół, u których w dodatku ukrywał się razem z nami Kazimierz Bagiński, tylko co przybyły z terenu okupacji sowieckiej. Rozpoczęła się gorączkowa bieganina i pakowanie gdy, siłąc się na spokój, powiedziałem: „Zabierać się wszyscy. Wpadł ktoś, kto zna to mieszkanie i sypie”. Zosi szepnąłem po cichu: „To Janek”. Wyszli-

śmy szybko wraz z gospodarzami i przemykając się cicho ciemnymi i pustymi już uliczkami Saskiej Kępy, dotarliśmy do innych znajomych, już po godzinie policyjnej. Ci nas chętnie przygarnęli, bo taka była wówczas solidarność między ludźmi, że jedni ryzykowali życie, by ratować drugich. Ulokowaliśmy się na noc, jak kto mógł, lecz nasze podniecenie udzieliło się wszystkim i nikt prawie tej nocy oka nie zmrużył.

Roztrząsaliśmy wszystko z Ziutkiem od początku. W jakich warunkach wpadł Janek? Dlaczego sypnął? Czy znaleźli przy nim adres mieszkania, czy też co innego? Wydało nam się najprawdopodobniejsze, że Janek, który po odejściu od nas od czasu do czasu przychodził do Ziutka na nocleg, o czym dopiero teraz Ziutek mi powiedział, schwytany przez Gestapo, podał lokal Ziutka, jako swoje miejsce zamieszkania. Byliśmy na Janka wściekli. Powtarzaliśmy wielokrotnie z obrzydzeniem najgorsze słowo konspiracji: „Sypnął!”

Na drugi dzień Ziutek nie wyszedł z domu, my zaś biegaliśmy po mieście, ostrzegając, kogo trzeba. Niusia wzięła błyskawicznie urlop z teatru i schowała się na dalekim Czerniakowie. Na trzeci dzień zaczęliśmy badać ostrożnie teren. Na lokalach, które znał Janek — spokój. Ziutek popołudniu wyszedł na miasto i wrócił bardzo przygnębiony. Rodzice zawiadomieni, cali i zdrowi, ale brat zlekceważył sobie ostrzeżenie, został na noc w swoim mieszkaniu na Starówce i Gestapo wzięło go. Niemcy oczywiście musieli odkryć schowek w parę minut po ucieczce Ziutka. Zrozumieli dopiero wówczas co za gagatek im uciekł!

Na lokalu Gestapo założyło kocioł i wpadł Franek, który mimo ostrzeżeń dozorczyń, że w mieszkaniu dzieje się coś złego, poszedł na górę. Wpadł także przyjaciel Ziutka, świeżo zwolniony z Oświęcimia. Gdy się zorientował, że jest w kotle, wyskoczył oknem z czwartego piętra na podwórze. Gestapowcy zbiegli po schodach i wzięli go żywego, z połamanymi nogami. Słowem — katastrofa. Trzeba szybko ewakuować warsztat na Rycerskiej, który znał i Janek i Franek. Ale gdzie to wszystko podziąć?

Na szczęście żaden z nich nie znał Stanisława i jego lokalu, więc praca nie uległa przerwie i depecze szły w tę i z powrotem. Natomiast Franek był u Władka w Jó-

zefowie i trzeba było też wszystko stamtąd wywieźć. Władek był tuż pod ręką w Warszawie. Powiedziałem mu, co się stało i wyraźnie się tym przestraszył. Jednakże wzięwszy na ambit, pojechał z Zosią do Józefowa. Odprowadzałem Zosię i na przystanku tramwajowym znalazłem różaniec, który jej dałem „na szczęście”. Ma go do dziś dnia. W Józefowie było już spokojnie, załadowali więc sprzęt w dwie walizy i powlekli się na stację kolejową. Ciężar Zosi był ponad jej siły, więc przystawała co parę kroków, wtedy kiedy Władek wrywał naprzód, jakby go kto gonił. W wagonach tłok, gdyż jechała masa szmuglerów z tłumokami żywności. Na walizce Zosi rozsiadły się jakieś dzieci i beztrosko zajadały. W Warszawie na dworcu, trzymając się doświadczonych szmuglerów, przemknęli się szczęśliwie, wymijając posterunki żandarmów. Ciągnęli cały majdan na Wilczą, pod Politechnikę, gdzie Zosia i ja ukrywaliśmy się u Cesi. Najpierw Zosia zaniósła walizkę na nowe nasze mieszkanie, zaś Władek czekał z drugą w bramie domu na Wilczej, gdyż nie chcieliśmy wobec niego zdradzać adresu naszej kryjówki. Gdy Zosia wróciła i Władek wręczał jej swoją walizkę, ta... otworzyła się i kompromitująca zawartość wysypała się na bruk. Władek bez ceremonii wziął nogi za pas i zostawił Zosię samą. Na szczęście na ulicy nie było Niemców, a przechodnie udawali, że nic nie widzą. Zosia, płacząc ze złości, zebrała wszystko, związała walizkę jakimś kablem i zaniósła na Politechnikę.

Ten przykład wykazał, że na Władka wsypa podziała więcej, niż można się było spodziewać. Martwiłem się tym, bo to był dobry chłopak, ale mu nerwy nie dopisywały. Jak mówił Ziutek, „miał boja”. Ale walczył ze sobą wytrwale, przewycieżał strach i tkwił nadal w robocie z własnej woli. Miałem dla niego z tego powodu dużo uznania. Wynajął już dla siebie mieszkanie w Leśnej Podkowie Wschodniej i tam pracował.

Ziutek ulokował się przejściowo na dalekim Grochowie. Spotykaliśmy się teraz na łąkach grochowskich, z dala od ludzi. Wylegiwaliśmy się na trawie, brzuchem do góry i patrząc w niebo układaliśmy plany. Ziutek bawił się rewolwerem, z którym się teraz nie rozstawał ani na chwilę. Zdobył parę lokali na dorywczą pracę i w tych stronach

zaczął grać teraz Stanisław. Biegaliśmy obecnie od lokalu do lokalu, nagabując dobrych znajomych, byle zdobyć mieszkanie dla pracy chociażby na jeden seans.

Przygoda Ziułka w Brwinowie.

Przy tym wszystkim nie wyrzekliśmy się fonii i chcieliśmy prowadzić dalsze próby z Leśnej Podkowy Wschodniej, tym razem znów u Władka. Przerzuciliśmy aparaturę z pewnym fasonem, gdyż oboje z Zosią ubraliśmy się możliwie najlepiej i z dwiema nowymi, eleganckimi walizkami, niosąc na rękach pledy, zajechaliśmy dorożką na przystanek E.K.D. na Nowogrodzkiej. Maskarada była oparta na doświadczeniu, że Niemcy mają pewien respekt dla ludzi zamożnie i dobrze wyglądających. Tam, z szumem władowaliśmy się do wagonu i bez przygód dojechaliśmy na miejsce. Władek mieszkał w samotnym, jednopiętrowym domku na uboczu, między lasem i zagajnikiem. Miał duży pokój i kuchenkę, gdzie prowadził swoje ubogie, kawalerskie gospodarstwo. Parę talerzy, szklanki, czajnik, maszynka elektryczna, chleb, cukier i sól w torebkach — to cały inwentarz. W pokoju nędzne posłanie, stół i parę krzeseł. Po nas zjechał tu Ziułek, który zdecydował się na przejściowe zamieszkanie u Władka. Władek nie lubił samotności, więc był zadowolony z towarzystwa, ale na ogół miał dość kwaśną minę i narzekał, że praca idzie mu ciężko i w ogóle... Gdy go rozpytywałem o przyczyny, wyjawiał mi pewne odkrycie: „Właściciele tego domu pędzą bimber, a także mają tajną piekarnię. Boję się, żeby przez nich nie wpaść. Biorą także prąd i napięcie wtedy tak spada, że nie mogę pracować. Ładna historia! W jednym domku radiostacja, bimbrownia i piekarnia — to trochę za dużo, jak na jedną budę. „W jakich godzinach pracują?” — spytałem. „W różnych, przeważnie jednak w nocy”. — „Niech pan stwierdzi to dokładnie i umówi się na takie godziny, kiedy napięcie jest najlepsze”. Trudno było jednak złapać takie godziny i w rezultacie, Ziułek musiał na poczekaniu wybudować specjalny transformator, wyrównujący spadek napięcia. Sprowadził sobie trochę gratów i coś niecoś majstrował. Nudził się przy tym, a że miał rower, więc jeździł dla rozrywki po najbliższej okolicy.

Jednego dnia, w Warszawie, otrzymałem pocztą alarmową żądanie natychmiastowego przyścia pod wskazany adres. Nie wiedziałem o co chodzi, ale pobiegłem natychmiast. Na miejscu zastałem Ziutka i Władka, jedzących śniadanie. Na stole, obok chleba i masła leżały rewolwery i zapasowe magazynki. Obydwaj mieli zmęczone twarze, a w oczach ślady jakiegoś przeżycia. Ziutek miał na nogach tylko skarpetki. Siadłem przy nich i, starając się opanować niepokój, zapytałem: „Widzę, że coś się stało? Czy może stacja wpadła?” — „Chyba nie” — mówi Ziutek — „ale niech pan posłucha, to pan sam oceni. Wie pan, że sami sobie robiliśmy jedzenie, ale to ciągle chleb z wędliną, jajka i herbata. Nic innego nie potrafimy zrobić. Toteż, jak byłem wczoraj na rowerze w Brwinowie, zaszedłem do jakiejś knajpy, żeby zjeść coś innego. Postawiłem rower pod ścianą, usiadłem za stolikiem i zamówiłem kotlet. W knajpie siedziało jakieś towarzystwo, pijące wódkę, w tym dwóch granatowych policjantów. Jedząc, zauważyłem, że szepcą i spoglądają na mnie, miałem się więc na baczności. Gdy skończyłem jeść i płaciłem, jeden z granatowych stanął przy bufecie tak, że miał mój rower pod ręką, a drugi podszedł do mnie i zażądał papierów. Zdecydowałem się natychmiast, prysnąłem przez drzwi i w nogi. Po paru chwilach słyszę, że gnają za mną. Gubię w tym momencie trzewik i zaczynam tracić na szybkości. Wyjąłem więc maszynę, stanąłem i wygarnąłem do nich cały magazyn. Stropili się i zatrzymali, a ja zrzuciłem drugi but i w skarpetkach wiałem dalej. Zgubiłem ich, trochę kłuczając przyleciałem do Władka i z miejsca skoczyliśmy na stację kolejki. Trafił nam się akurat pociąg do Warszawy, więc wsiedliśmy, ja boso, bo skarpetki zdjąłem. Butów drugich ani ja, ani Władek nie mieliśmy. Zauważył konduktor moje bose nosi i zaczął nas obserwować, a potem pokazał kontrolerowi. Nie było to groźne, ale na wszelki wypadek wyskoczyliśmy w biegu za Rakowcem. Pod wieczór doszliśmy do Warszawy, a wieczorem na punkt. Niech to diabli wezmą taką głupią przygodę!” — „Nie dobrze” — powiedziałem — ale czy pan jest pewny, że się pan od granatowych oderwał?” — „Na mur! Myślę, że im się odechciało gonitwy, jak zobaczyli, że mam broń. Na pewno jednak będą na mnie uważali”. — „Oczywiście, co do

Władka, to do niego nie mają żadnego dojścia?" — „No tak, to jasne jak słońce" — mówi Ziutek. „Nie ma co czekać, aż granatowi zaczną węszyć w Leśnej Podkowie. Panie Władysławie, daj pan klucze. Jutro pojedzie Zosia i wszystko wywiezie".

Na drugi dzień, Zosia z Heleną, nowo zaangażowaną obserwatorką, wysoką ładną dziewczyną, pojechały do Leśnej Podkowy i z wielkimi ostrożnościami podeszły do domu Władka. Wyczuły raczej, że jest wszystko w porządku, więc Zosia zaszła pod jakimś pretekstem do gospodarzy i powiedziała, że jest siostrą Władka, który musiał nagle wyjechać, przyjechała więc zabrać jego rzeczy. W tym momencie uprzytomniła sobie, że nie zna nazwiska, pod jakim Władek był zameldowany i zrobiło jej się niewyraźnie. Gospodarze uśmiechnęli się wprawdzie na słowo „siostra", nie sprzeciwili się jednak zabraniu rzeczy, gdyż widywali kilkakrotnie Zosię, jak przychodziła do Władka. Chcieli jednak wiedzieć, co zabiera. Zosia zrobiła obrażoną minę: „Co państwo sobie myślą? Czy mnie nie znacie, czy co?" Tupet zrobił swoje i w rezultacie, zabrała z Heleną wszystko. Obładowane, jak wielbłądy, dowoziły szczęśliwie walizy pod Politechnikę, do Cesi.

Rozmyślałem później nad wszystkim i widziałem, że znów przypadek spłatał nam figla. Widocznie taki już nasz los, że nie zaznamy w naszej robocie chwili spokoju.

Nowi ludzie.

Stanisław wciągnął do roboty swoją znajomą, Helenę, i od czasu do czasu pracował w jej skromnym mieszkanku, przy ulicy Srebrnej. Helena i jej przyjaciółka, sublokatorka, zostały obserwatorkami. Dwupokojowe, skromnie umeblowane lecz starannie utrzymane mieszkanko, mieściło się w podwórzu, a że dom był otoczony z zewnątrz kamienicami, więc liczyliśmy na to, że gonia może wymierzyć tylko blok domów i jedynie dłuższa blokada i rewizje mogłyby naprowadzić na mieszkanie Heleny. W takim wypadku Stanisław będzie miał dość czasu, by rozebrać i schować stację. Pracował tam chętnie i dość często przez całą noc. Sam też zaczął starać się o mieszkania i zdobył jedno w Milanówku, drugie na ulicy Muranowskiej, trze-

cie zaś u robotnika na Woli, Rafała, który z czasem stał się obserwatorem na jego stacji.

Władek teraz nie miał żadnych lokali, więc rad-nie-rad połączyłem obie stacje i poznałem go ze Stanisławem. W ten sposób zrezygnowałem z odizolowania obu stacji, ale wymagał tego nawał pracy, gdyż byliśmy bez ustanku zasypywani depezbami i trzeba je było wysyłać. Stanisław wziął Władka w swoje ręce i praca na tym zyskała.

Przy jakiejś okazji, Władek zwrócił się do mnie: „Nie wziąłby pan jeszcze jednego telegrafisty? Spotkałem kolegę, doskonałego fachowca i pewnego człowieka”. Ucieszyłem się: „Dawaj go pan, zawsze się przyda”. Władek poznał mnie z mężczyzną czterdziestoletnim, średniego wzrostu, o małych wesołych oczach. Rzucił się w ucho jego kresowy akcent. Robił wrażenie człowieka zrównoważonego i takim się w przyszłości okazał, kiedy jego solidna praca, uczynność i uprzejmość zjednały mu naszą sympatię.

Niebezpieczne próby.

Jednak aparat foniczny czekał i to nie dawało nam spokoju. Obok normalnej pracy, zaczęliśmy przygotowywać nową próbę fonii, zawiadomiliśmy o tym Londyn i umówiliśmy termin na pierwsze dni sierpnia 1942 roku. Wtajemniczyliśmy w nasze zamiary Stanisława, który jednakże potraktował całą imprezę bez entuzjazmu. Patrzył na mnie i Ziotka prawie z politowaniem i krytykował: „Czy to warto? Ryzyko cholerne, a pożytek mały”. Tłumaczyłem mu znaczenie polityczne i propagandowe takiej audycji, nadanej z kraju, znajdującego się pod straszliwym terrorem. Patrzył sceptycznie i odradzał: „Niech pan każe rozebrać ten grat, bo nic dobrego z tego nie wyjdzie”. — „Sprawa przesądzona, panie Stanisławie, potrzebujemy do pomocy telegrafisty i jak pan nie ma do tego serca, to trudno. Musimy się jakoś inaczej urządzić”. — „To znów inna sprawa. Jak telegrafista potrzebny, to ja się zgłaszam” — rozstrzygnął swoje wątpliwości Stanisław.

Tym razem znaleźliśmy lokal w Wesołej, pod Warszawą. Pojechalśmy tam wszyscy, a więc Zosia, Ziotek, Stanisław i ja — na oględziny. Przyjęła nas bardzo serdecznie cała rodzina, zamieszkała w skromnym, jednopię-

trowym domku. Był lipiec i nieznosny upał. Spotkaliśmy ludzi, żyjących trochę jak na innej planecie. Domek w ładnym ogrodzie, wszędzie zielono. Nasi gospodarze i ich dzieci w kostiumach kąpielowych, spokojni i pogodni. Zaprosili nas na herbatę i gdy pana domu wtajemniczyłem trochę w nasze plany, oświadczył z przejęciem: „Cały dom jest do waszej dyspozycji teraz i w ogóle, kiedy chcecie”.

Nadszedł umówiony dzień, przyjechałem do Wesolej i obejrzałem aparaturę, zmontowaną na strychu. Zosia i Helena przerzuciły ją koleją parę dni temu. Było tam tak gorąco, że Ziutek i Stanisław chodzili tylko w spodeńkach kąpielowych. Stacja działała doskonale i Ziutek pokazał mi wprowadzone w międzyczasie ulepszenia, o których mówił, że są to jego małe wynalazki. Nie było to przechwałką, gdyż Ziutek już poprzednio pokazywał mi dokumenty, wydane przed wojną przez Urząd Patentowy, stwierdzające zarejestrowanie kilku jego ulepszeń z zakresu elektrotechniki.

O wyznaczonej z Londynem godzinie, Stanisław zawołał i uzyskał odpowiedź: „Słyszemy was na trzy”. A więc warunki dobre. Spojrzałem uśmiechnięty na Ziutka a Ziutek na mnie i czułem, że jedna myśl przebiegła nam przez głowę: „Tym razem na pewno się uda!” Wyjąłem z kieszeni przygotowane przemówienie, a Stanisław nadał: „Jesteśmy gotowi do nadania audycji fonicznej”. Telegrafista londyński zarządził przerwę na kwadrans dla odszyfrowania naszej depeszy i zaszyfrowania swej odpowiedzi, po czym nadał: „Nie rozumiem, o co wam chodzi”. O mało szlag nas nie trafił! Sprawdziliśmy teksty depesz, ustalających dzień i godzinę dla audycji fonicznej i stwierdziliśmy, że z naszej strony nie zachodzi żadna omyłka. Może Londyn źle odczytał naszą depeszę? Powtórzyliśmy ją zatem jeszcze raz po to, by otrzymać odpowiedź: „O audycji fonicznej nic nie wiem. Mam do nadania kilka depesz. Czy jesteście gotowi do odbioru?”

Zbaranieliśmy zupełnie. Zaczęliśmy przeklinać Londyn, jego stację, brytyjskie radio, wreszcie cały nasz pomysł.

Zrezygnowany Stanisław nałożył słuchawki i rozpoczął odbiór zapowiedzianych depesz, ja zaś na gorąco zredagowałem telegram pełen oskarżeń, pretensji i wykrzykników.

z żądaniem wytłumaczenia, dlaczego tak lekceważą nasze wysiłki, bezpieczeństwo itd. Wysłaliśmy go i postanowiliśmy uzbroić się w cierpliwość i czekać na odpowiedź, a w międzyczasie Stanisław prowadził normalną pracę.

Po dwóch dniach dostałem wezwanie, bym natychmiast przybył do Wesołej. Nie zwlekając pojechałem i zastałem Zjutka i Stanisława, oczekujących w zdenerwowaniu na mój przyjazd. Stanisław, nim się przywitał, już wołał: „W promieniu nie więcej niż kilometr, musi być stacja podsłuchowa. Wymierzają mnie tak z bliska, że w słuchawkach skrzypi, jak w starych zawiasach. Rozmawiają także z inną stacją i w słuchawkach słyszę stukanie ich klucza. Muszą być bardzo blisko. Bez pana nie chcieliśmy nic decydować. Co mamy robić?” — „Rozebrać, spakować i ukryć aparat, a sami zaraz wyjeżdżajcie”. Widziałem po minie służbisty Stanisława, że podoba mu się ta decyzja i że pochwała ostrożność. Gospodarz, starszy już człowiek, wyniósł ze strychu rozebraną na części stację i gdzieś ją ukrył poza domem. Żegnając się z nim zapowiedziałem, że za kilka dni, jak Niemcy się trochę uspokoją i pogubią ślady, stację zabierzemy.

Wróciliśmy do Warszawy, zastanawiając się co będzie, jeśli Londyn w odpowiedzi na naszą depezę, da znać, że jest gotów. Trapiliśmy się na kredyt tą myślą, wreszcie Ziutek zaofiarował mieszkanie swego kolegi na jednej z bocznych ulic od Grochowskiej. Trzeba więc tylko przewieźć tam aparat z Wesołej, aby być gotowym każdej chwili.

Następnego dnia dostaliśmy stamtąd wiadomość, że po naszym wyjeździe, zjechały auta z żandarmerią niemiecką, która przeprowadziła masowe rewizje, aresztując wszystkie osoby, które nie mogły się wykazać zameldowaniem w Wesołej. Zorientowaliśmy się stąd, że Niemcy już wiedzą, iż nasza stacja jest swego rodzaju „Latającym Holendrem” i że nie została uruchomiona przez miejscowych. Jednak już zapanował spokój w Wesołej, tyle tylko, że na stacji kolejowej jest silna obserwacja ze strony cywilnych agentów Gestapo.

Jak przewieźć w tych warunkach stację, która wymaga dwóch waliz i kilku torb? Nie chciałem narażać nikogo z obsługi tym bardziej, że widziałem, że nikt się do trans-

portu zbytnio nie kwapi. Powiedziałem tedy krótko Ziutkowi, że jutro koło południa stacja będzie przewieziona na miejsce i z tym się rozstaliśmy.

Następnego dnia rano, ruszyłem z Zosią pieszo z ostatniego przystanku tramwajowego na Grochowie, w kierunku Wesolej. Droga była dość przyjemna i urozmaicona, gdyż prowadziła częściowo przez las, ale z drugiej strony długa, bo około siedmiu kilometrów, a upał na dworze nieznośny. Gdy przyszedliśmy na miejsce, gospodarz, z wyraźną ulgą zniósł nam walizki i torby. Zabraliśmy się w powrotną drogę bez zwłoki, niosąc każde po jednej walizce i po parę torb. Już po pierwszych paruśset metrach byliśmy złani potem i trzeba było przysiąść. Dalej rozpoczęła się prawdziwa męczarnia. Dźwigaliśmy walizy powoli, z wielkim wysiłkiem, odpoczywając co paruśset metrów i próbując rozmaitych sposobów, ale to ciężaru nic nie zmniejszało. Wreszcie zdjąłem z siebie pasek, związałem obie walizki i przełożyłem przez ramię. Zaledwie uszedłem kilka kroków, gdy pasek pękł i jedna waliza — na szczęście z transformatorami — spadła z trzaskiem na ziemię.

Dysząc ciężko, pchaliśmy się dalej i wyszliśmy w lesie na górkę. Widok, który ujrzeliśmy, odebrał nam resztę tchu. W naszym kierunku maszerował oddział Niemców, dowodzony przez oficera na koniu. Byli już w odległości kilkadziesiątu metrów. Nie było czasu, by skrócić w bok, lub się ukryć. Zresztą Niemcy już nas zauważyli. Resztką przytomności i sił podnieśliśmy walizki i poszliśmy naprzeciw kolumnie, narzekając do siebie na upał. Żołnierze przeszli o parę metrów od nas, przyglądając nam się obojętnie. Była to piechota, która prawdopodobnie wracała z ćwiczeń. Wzięli nas na pewno za szmuglerów, ale w tej chwili to nie była ich sprawa, lecz żandarmów, więc patrzyli bez zainteresowania i maszerowali dalej. Nieco ożywieni, powlekliśmy się przed siebie. Znalazłem gruby kij, więc powiesiliśmy na nim walizki i trzymając każde za jeden koniec, dotarliśmy do pierwszych domów Gocławka. Ja byłem bardzo wyczerpany, Zosia ledwo żyła. Wreszcie, ujrzeliśmy z daleka pętlę torów tramwajowych i... kilku żandarmów z psami, czekających na przystanku. Na szczęście jakiś sklepik był pod ręką, więc weszliśmy do niego i, pijąc lemoniadę, wypoczywaliśmy. Po kwadransie, żandarmi od-

jechali i pojechaliśmy następnym tramwajem. Gdy dochodziliśmy do domu, we drzwiach czekał już Ziutek. Odebrał walizki, usadowił nas na kanapie, znosił wodę i bardzo współczuł. Czekwała także depesza z Londynu, zapowiadająca ostateczną odpowiedź w sprawie fonii za dwa dni.

Drugiego dnia wieczorem pojechałem na Grochów, z zamiarem pozostania na stacji przez całą noc. Wszedłem we drzwi lokalu stacyjnego równo z uderzeniem godziny policyjnej. W zaciemnionym pokoju siedzieli już Ziutek ze Stanisławem i przygotowywali aparat na wypadek gdyby Londyn chciał audycję nagrać natychmiast. Obok stała normalna stacja. Ziutek uruchomił dużą stację, aby sprawdzić jej słyszalność. Mogło to zająć najwyższej kilka chwil i nie groziło większym ryzykiem. Stanisław zasiadł więc do dużego aparatu i zawołał. Otrzymał zaraz odpowiedź, że jest słyszany na trzy do czterech, po czym londyński telegrafista, nie pytając go wcale czy jest gotów do odbioru, zaczął nadawać swoje depesze. Stanisław zrobił rozpaczliwą minę ale złapał za ołówek i notował. Depesza szła za depeszą. Londyński telegrafista chciał się pozbyć swoich zaległości na siłę. Stanisław musiał się odzywać raz po raz, do późna w nocy. Byliśmy wściekli, gdyż Londyn narzucił nam pracę na lokalu, przeznaczonym tylko dla fonii, zamiast wszystko nadać Władkowi i nowemu telegrafście, kresowiakowi, Marcinowi. Ale stało się.

Wreszcie odbiór został skończony i trzeba się było zastanowić nad tym co robić. Na siódmą rano mieliśmy również wyznaczony stały nasłuch, więc zdecydowaliśmy czekać. Może zarządzą wreszcie audycję foniczną. Przedzremaliśmy ze trzy godziny w krzesłach i o siódmej Stanisław zasiadł znów do aparatu i zaczął pytać o fonie. W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych i za chwilę wpadła do pokoju Zosia, która miała przjechać na stację rano. Od pierwszych jej słów serce podeszło mi do gardła: „Podjechały was trzy samochody. Jeden stoi o sto metrów stąd, dwa na sąsiednich ulicach”. Stanęliśmy, jak wryci. Patrzymy na siebie i pierwszy odruch, to uciekać. Ale co ze stacją? Mózg zaczął pracować gorączkowo i wpadłem na pewien pomysł. Wołam więc do Stanisława: „Nadaj pan, ale kodem międzynarodowym, że zarządzamy przerwę w pracy na pół godziny”. Stanisław tylko błysnął

okiem na znak, że rozumie, nacisnął klucz i powtórzył trzykrotnie znane wszystkim telegrafistom na całym świecie sygnały. Zorientowałem się błyskawicznie, że skoro jeszcze nie atakuje żandarmeria, która na pewno czeka w pobliżu, to oznacza to, że nie jesteśmy dostatecznie dokładnie przez gonię umiejscowieni. Jeśli więc gonia podsłucha zarządną przerwę, Niemcy będą czekali spokojnie pół godziny, by dokończyć pomiarów i na nas uderzyć.

Londyn pokwitował odbiór sygnałów i nawet je powtórzył. Teraz Stanisław zerwał słuchawki z uszu, a Ziutek rzucił się do aparatu i porozkładał go prędko na części. Stanisław już łapał za czapkę, gdy dałem mu znak, by poczekał i poszedłem do ubikacji skąd był widok na ulicę. wyjrzałem oknem i rzeczywiście w nieznaczej odległości, na niebrukowanej piaszczystej uliczce, stał niemiecki samochód osobowy. Wróciłem szybko i zadecydowałem: „Zosia i Stanisław znoście się natychmiast pierwsi. Wyjdźcie spokojnie, jakbyście szli do pracy”. Stanisławowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wyszedł, a z nim Zosia. Obserwowałem ich znów z okna ubikacji, jak szli normalnym krokiem, rozmawiając ze sobą. Z ulgą stwierdziłem, że nikt ich nie zatrzymał. Stacja była już spakowana i Ziutek z koleżką wyniósł ją wraz z depeszami i kodami na podwórze, a stamtąd w sąsiednie ruiny. Poczulem wyraźną ulgę i napływ nowej energii. Z Ziutkiem musiało się dziać to samo, gdyż zaczął swoim zwyczajem dowcipkować i namawiać mnie: „Weźmy maszyny i podejźmy do auta. Zawsze warto zobaczyć, jak to z bliska wygląda”. Zgodziłem się, jakoś bez zastanowienia, i po sprawdzeniu i odbezpieczeniu rewolwerów, z rękami w kieszeniach na kolbach, wyszliśmy frontowymi drzwiami i poszliśmy w stronę stojącego na ulicy auta. Mijając je, zajrzałem do środka i zobaczyłem prócz szofera dwóch cywilów, palących cygara. U jednego leżały na kolanach słuchawki. A więc nasz podstęp się udał! Będą czekali z zegarkiem w ręku pół godziny, aż rozpoczniemy pracę na nowo. Po kilkunastu krokach zawróciliśmy i minęliśmy znów auto, tym razem oglądani już ciekawie przez Niemców. Poszliśmy w kierunku ulicy Grochowskiej. Ziutek się zaśmiewał: „A to głupie frajery, a tośmy ich nabrali! Siedzą, jak durnie i nie czują, jaka im się gratka z rąk wymknęła”. Zbli-

zaliśmy się już do Grochowskiej, gdzie z daleka, na rogu widać było Zosię i Stanisława, patrzących w naszą stronę. Nagle Zosia dała nam znak, wskazując ręką na coś poza nami i znikła wraz ze Stanisławem za zakrętem. Obejrzeliliśmy się w tył równocześnie. Oglądane przez nas auto pędziło pełnym gazem w naszą stronę. Skoczyliśmy z Ziutkiem w boczną uliczkę, biegiem w następną i jeszcze raz biegiem w sąsiednią. Tam wpadliśmy we drzwi jakiegoś domu, dalej po schodach na ostatnie piętro, wyjęliśmy rewolwery i czekamy. Łapiemy z trudem oddech, pot spływa po skroniach i nadśluchujemy. W domu cisza, tylko na ulicy słychać gwałtowny warkot auta. Przemknęło przed domem i przejechało. Nasłuchujemy w dalszym ciągu i słyszemy, jak warkot raz cichnie, raz zwiększa się, znów go słychać silnie i blisko. Ziutek dobrze ocenił sytuację: „Kraży obok po ulicach i szuka nas”. Wreszcie auto zacięło na dobre, więc mówię do Ziutka: „Wiejmy, bo teraz może przyjść obława”. Wychodzimy, trzymając odbezpieczone rewolwery w kieszeniach. Kluczemy bocznymi uliczkami w kierunku na Pragę i most Kierbedzia. Na niebrukowanej jezdni widzimy liczne ślady opon i bez słowa pokazujemy je Ziutkowi. Ten odpowiada: „Krażyli, dranie, przez całą noc i mierzyli. Chcieli podjechać pod same drzwi, ale im się nie udało”. Minęliśmy w pewnym oddaleniu Plac Szembeka i widzimy, że stoi tam auto, które nas goniło. Ziutkowi znów powrócił dobry humor: „Mogą tak stać do sądnego dnia. Może jeszcze raz ich obejrzymy?”. Byłem na siebie wściekły. Jak mogłem zgodzić się na taką defiladę, jaką urządziliśmy po wyjściu ze stacji! Ziutek jak Ziutek, młody chłopak i lekkomyślny, ale ja, stary koń, żeby dać się namówić na coś podobnego!

Niepokoiliśmy się o Zosię i Stanisława, ale Ziutek był pewny, że im się nic nie stało. Nie było zaraz obławy, więc na pewno bez przeszkód dostali się do domu.

I rzeczywiście. U siebie w mieszkaniu zastałem Zosię, która milcząc, z wściekłością podała mi tylko co odszyfrowaną depeszę. Przeczytałem ją i o mało krew mnie nie zalała. Depesza brzmiała: „Czy jesteście gotowi do fonii? Brytyjskie radio jest zapracowane i tylko dzięki naszej interwencji u ministra propagandy zgodziło się na półgodzinną próbę. Podajcie termin”.

Audycja ze Skolimowa.

Zwołałem znów całą ekipę i po przedstawieniu dotychczasowych wysiłków, odczytałem otrzymaną depezę. Zrobiła wrażenie piorunujące. Wszyscy klęli co się zmieści, nie wyłączając sceptyka Stanisława. Po ataku złości przyszło uspokojenie i wspólnie rozstrząsaliśmy nową sytuację. Postawiłem sprawę jasno: „Czy macie chęć jeszcze raz spróbować fonii?” — „Ja zawsze” — odpowiedział Ziutek. Stanisław namyślał się dość długo, wreszcie przyłączył się: „Mnie bierze cholera na to wszystko, ale tyle się włożyło roboty, że byłoby głupio tak skończyć na niczym. A ma pan jakiś lokal?” — „Jeśli zgoda, to wystaram się. Mam coś na oku”.

Po paru dniach pojechałem z Ziutkiem do Skolimowa by obejrzeć lokal, jaki mi dał do dyspozycji znajomy z konspiracji, razem ze swoją łączniczką, Burą, która w nim zamieszkiwała. Ziutek uznał, że lokal „obleci”, więc rozpoczął się dobrze znany kołowrotek. Asystowałem przy tym, jak Zosia, Helena i Bura ładowały się z walizkami na kolejkę wilanowską, na przystanku przy ulicy Belwederskiej. Ścisk ogromny, hałas i krzyk ludzi, tłoczących się z pakunkami przy wejściach do wagonu. Gdzieś tam mundurowi Niemcy, zmierzający spokojnie do przedziałów *Nur für Deutsche*. Dziewczyny wpakowały się jakoś do środka i pociąg ruszył.

Ustaliliśmy już z Ziutkiem dzień i godzinę audycji i podaliśmy ją Londynowi. Był już wrzesień i Ziutek uważał, że dla tej pory roku najlepsze godziny pracy są rano. W związku z tym wyznaczyliśmy audycję na siódmą.

Zjechaliśmy się w Skolimowie wieczorem, w dzień poprzedzający audycję. Drewniany domek w lesie, na krańcach osiedla, z dala od innych budynków. Dostaliśmy się do mieszkania po zewnętrznych, drewnianych chwiejących się schodkach, zbudowanych przy ścianie. Pokój obszerny, nędznie umeblowany, z jednej strony weranda, z drugiej strony strych. Po kolacji położyliśmy się pokotem na sennikach. Skoro świt byliśmy już na nogach. Ziutek szybko zestawił aparat i rozpoczął go stroić. Nagle, fioletowe lampy rtęciowe, urzekające mnie zawsze swym blaskiem, zgasły i aparat przestał grać. Ziutek przystąpił do badania

przyczyny, ale nie znalazł żadnego defektu. Coś go tknęło, zbliżył się do ściany i przekręcił kontakt. Żarówka, zwisająca z sufitu nie zapaliła się. Ogarnął nas niepokój, ale pocieszailiśmy się, że może to tylko spalił się bezpiecznik. Ziutek wyszedł, lecz wkrótce wrócił ze złą nowiną: „Prąd wyłączony”. Patrzyliśmy na siebie z osłupieniem. Co za pech! Tego już nie byliśmy w stanie przewidzieć, ani temu zapobiec.

Wszedł Stanisław, który zawsze na wszystko ma czas i przyjechał dopiero rano. Mówimy mu, co się stało, machnął tylko ręką i siadł bez słowa. Siedzieliśmy tak milcząc i nie chciało nam się nawet przeklinać.

Po pół godzinie żarówka rozbłysła i wszyscy podskoczyli, jak gdyby i przez nich przebiegł prąd. Zbliżała się siódma, więc w największym pośpiechu kończyliśmy przygotowania. Ziutek robił ostatnie pociągnięcia, Zosia i ja mruczemy pod nosem teksty przemówień. Tym razem, obok przemówienia do wojska i rodaków na emigracji, Zosia miała odczytać wezwanie w języku angielskim do kobiet anglosaskich o pomoc dla walczącej Polski. Mimo, że byliśmy już starymi końmi bojowymi, znów wszystkich ogarnęło podniecenie i nastrój oczekiwania. Burą wysłałem na obserwację i chociaż niczego się nie spodziewałem, gdyż lokal nie był zgrany, wyłożyłem na stół cztery rewolwery. Punkt o siódmej Stanisław zawołał i natychmiast otrzymał odpowiedź: „Słyszemy was na cztery. Jesteśmy gotowi do odbioru audycji. Zaczynajcie”. Zdenerwowanie osiągnęło punkt kulminacyjny. Stanisław zaczyna nadawać bez przerwy sygnał, poprzedzający fonię, z nagłą urywa, Ziutek włącza mikrofon i zaczynam czytać przemówienie. Ziutek, ze słuchawkami na uszach, kontroluje głos i bez ceremonii chwyta mnie za głowę, by ją ustawić w odpowiedniej do mikrofonu odległości. Mam tremę i w głosie wyczuwa się wzruszenie. Staram się jednak mówić wyraźnie i nie za głośno. Po mnie natychmiast mówi Zosia. Głos jej brzmi bardzo czysto. W czasie jej przemówienia, Ziutek odwołuje mnie na bok i gdy odchodzimy na palcach pod ścianę szepce: „W trakcie pańskiego przemówienia napięcie spadło. Widocznie jakieś bydlę w tym domu włączyło maszynkę”. — „Nic dziwnego, bo to pora śniadania” odpowiadam i znów przeszywa mnie obawa, że to może

zepsuć audycję. Zosia skończyła, Stanisław natychmiast przeszedł na odbiór i po chwili, zaglądając mu przez ramię, widzimy że notuje: „O.K., O.K.”. To dobry znak i padamy sobie wszyscy w objęcia. Stanisław odbiera już kodem jakąś depezę, wobec czego Ziutek stanął mu za plecami i odczytuje głośno cyfry spod ołówka, ja trzymam kod w rękę i dyktuję Zosi odszyfrowany tekst. Trzęsiemy się z emocji, gdy kolejno, słowo po słowie wychodzi: „Gratulujemy. Większa część audycji odebrana. Otrzymacie depezę w tej sprawie”.

Cieszymy się jak dzieci, chociaż sukces jest połowiczny. Nie wolno jednak marudzić, gdyż teraz jesteśmy w największym niebezpieczeństwie. Wprawdzie zaskoczeni Niemcy nie zdążyli audycji zagłuszyć, jednak nie ulega wątpliwości, że ją stacje podsłuchowe spostrzegły i naszą stację umiejscowiły. Obawiałem się, że za jakieś pół godziny może być na Skolimów nalot. Ściągnąłem Burą z obserwacji, w czasie której nic podejrzanego nie zauważyła i pakujemy do waliz i torb aparaturę oraz narzędzia. Wszystko to chowamy na strychu i po dodatkowym sprawdzeniu, że najbliższa okolica jest czysta, chowam tam także pod podłogę rewolwery. Jeśli bowiem Niemcy nie nakryli nas na gorącym uczynku, to lepiej gdy wyjdziemy nie mając przy sobie nic obciążającego. Wówczas o sto metrów od domu możemy udawać niewinne baranki. Bura także nas zachęcała, aby nic ze sobą nie zabierać i gdy Ziutek rozglądał się za swoim nowym, letnim płaszczem, przyrzekła mu, że płaszcz jutro przywiezie. Ziutek koniecznie jednak chciał płaszcz zabrać i znalazł go wreszcie na strychu.

Wyszliśmy dwiema partiami i powróciliśmy do Warszawy jedni przez Grójec, drudzy przez Konstancin. Ani po wyjściu, ani w czasie drogi nie było widać nic niepokojącego. Byliśmy weseli jak szczygły i mając za sobą bardzo niebezpieczne przeżycie, nie zwracaliśmy żadnej uwagi na kręcących się po pociągu i po stacjach żandar-mów. Obie partie zebrały się w cukierni na Puławskiej i tam odbyła się orgia ciastkowa, a i lody, mimo września, też były w robocie. Ziutek pobił tutaj, jeśli chodzi o ciastka, swój życiowy rekord.

Popołudniu odebraliśmy depezę: „Czy możecie nie nagrąną część przemówienia przetelegrafować? Wówczas zrobimy konieczne uzupełnienia i powtórzymy audycję przez kilkadziesiąt radiostacji alianckich”. Dałem natychmiast odpowiedź pozytywną.

Aparat znikł!

Na drugi dzień przyszedłem na spotkanie z Burą na ulicy Chałubińskiego, by omówić sprawę przewiezienia aparatu z powrotem do Warszawy. Spostrzegłem ją z daleka, gdyż prawie biegła w moim kierunku. Ledwo się zbliżyła, już zaczęła: „Stacja wpadła. Ja się cudem uratowałam. W nocy przyjechali Niemcy samochodami, obstawili cały dom i zaczęli się do mnie dobijać. Wtedy zjechałam po słupku werandy na dół i uciekłam w jednej koszuli. Jak pan mnie mógł tak narazić? Co ja teraz z sobą zrobię?!” i rozpoczęły się żale i utyskiwania. Byłem wstrząśnięty wiadomością, ale chciałem znać wszystkie szczegóły. — „Czy kto wpadł? Czy zabrali lokatorów z parteru?” — „Nie, nic im nie zrobili, ale ja ledwo uciekłam, wszystko straciłam, co miałam i to przez was”. — „Bardzo mi przykro i może pani liczyć na naszą pomoc. Może jednak stacji nie wzięli, bo była przecież dobrze schowana?” — „Byłam już w mieszkaniu i widziałam, że stacja i wszystkie moje rzeczy zabrane. Nie wiedziałam tylko, gdzie pan schował rewolwery, więc nie mogłam sprawdzić”. — „Na strychu, po prawej stronie, pod podłogą”.

Coś w słowach i zachowaniu Burej nie podobało mi się. Przyjrzałem jej się bacznie i zauważyłem, że jest ubrana w tę samą sukienkę, jaką miała na sobie w dzień audycji. A mówi, że uciekła w koszuli i że wszystkie jej rzeczy zabrano. Uderzyło mnie ponadto, że Bura natychmiast wróciła do mieszkania, podczas gdy każde dziecko w Warszawie wie, że Niemcy, po wykryciu konspiracyjnego lokalu, zakładają tam na szereg dni a nawet tygodni kocioł. Coś w całej sprawie cuchnęło. Poprosiłem Burą o szczegóły i zauważyłem, że to ją peszy. Już po paru minutach złapałem ją na sprzecznych odpowiedziach. Nagle przypomniałem sobie historię z płaszczem Ziutka, który go powiesił w pokoju na gwoździu, a znalazł schowany na

strychu. Olśniła mnie myśl, że to nie Niemcy, a Bura skradła aparat. Bura wyczuła narastające we mnie podejrzenia, ale brnęła dalej, mówiąc z tupetem: „Pan nie zastosował żadnych środków ostrożności, tak że ja musiałam sprowadzić swoich ludzi i oni nas pilnowali w czasie audycji”. — „Jakich swoich ludzi?” — „No, moich znajomych” — „Kto panią do tego upoważnił? Jak pani śmiała wtajemniczać w całą sprawę jakichś swoich znajomych, bez mojej zgody? Kto są ci ludzie?” W tej chwili zbliżyła się Zosia i Stanisław, wobec czego skorzystałem z okazji i zażądałem od Burej, by wszystko jeszcze raz powtórzyła w ich obecności, z najdrobniejszymi szczegółami. Bura zastosowała się do żądania i na zakończenie dodała: „Widzę, że mi nie wierzycie. No, to żeby was ostatecznie przekonać, stwierdzam, że oni was znają, gdyż jak szli po schodach, to mówili, że tu był ten wysoki blondyn i ona, ta z piegami!” Wprawdzie Zosia ma piegi, ale cała ta rzekomo podsłuchana rozmowa była zupełnym nonsensem. Bura zaczynała tracić głowę i gadała głupstwa. Zwróciłem się do Stanisława: „Jak się panu ta historia podoba?”. Stanisławowi nozdrza latały i oczy o mało nie wyszły z orbit, gdy krzyczał: „To bujda! Kogo ona chce nabrać? Nas?... My za stare wróble na takie plewy! Pani Bura, mów pani prawdę, bo może być „kuku”. Zosia nie wytrzymała (może to przez te piegi): „Jesteś zwyczajna złodziejka, jak możesz tak podle kłamać?” Bura wpadła w histerię: „Jak śmiecie mnie posądzać! O mało przez was nie zginęłam, a wy ośmielacie się mnie posądzać!”. W tej chwili zauważyłem, że wydzieramy się na ulicy i przechodzący od czasu do czasu żołnierze niemieccy z pobliskich koszar przyglądają nam się. Uciałem więc krótko: „Zbadam sprawę i jeszcze raz się z panią zobaczymy”. Odeszliśmy od płaczącej Burej, do której przyłączył się po naszym odejściu jakiś młody człowiek. „Niech pan patrzy, to jej współnik” — wściekał się Stanisław — „to drań baba, to swolocz. Ale nie przygotowała sobie dobrze tłumaczenia, a że nie trafiła na głupich, więc się zaplątała. Nie ma co gadać, to ona skradła z tymi przyjaciółmi, którzy nas „pilnowali”! Uderzyłem się w czoło: „A, do licha! Nie mogli znaleźć rewolwerów i Bura dzisiaj jeszcze ode mnie wyciągnęła, gdzie są schowane”. Byliśmy rozjątrzeni do żywego. Pierw-

szy przyszedł do siebie Stanisław: „A może to lepiej, że ten grat diabli wzięli. Czuję, że przy tej fonii, prędej czy później przenieslibyśmy się do Bozi”.

Następnego dnia wysłałem dwóch znajomych skoczków, komandosów, do Skolimowa, by zbadali sytuację. Obydwaj chłopcy z głowami na karku, którzy już dawno skoczyli do Polski, z wielu przygodami i trupami niemieckimi za sobą. Wyjaśnili oni sprawę bez reszty. Okazało się, że Bura po audycji pozostała nadal w swoim mieszkaniu i dopiero po awanturze ze mną zniknęła bez śladu. Rozmawiali z lokatorami z dołu, podając się za policję śledczą i ci stwierdzili, że istotnie w nocy, po audycji, przyjechały dwa samochody, ale byli w nich jacyś młodzi ludzie, mówiący po polsku, którzy przez parę godzin u Burej hałasowali i pili. Bura była przez cały czas razem z nimi i z nimi także pojechała do niedaleko położonej willi, gdzie obrabowali doszczętnie ukrywających się tam, zamożnych Żydów. A więc nie Niemcy, lecz jakaś banda kryminalistów zlikwidowała pierwszą podziemną radiostację foniczną.

Postanowiłem odszukać Burę, gdyż nie można było tego wszystkiego puścić płazem. Poinformowałem o wszystkim znajomego z podziemia, jej zwierzchnika. Ten jednak stracił z nią wszelki kontakt. Dalsze nasze wywiady też nie dały żadnego rezultatu.

Już po Powstaniu Warszawskim, pojechałem któregoś dnia do Komorowa na spotkanie z byłym Tymczasowym Delegatem Voglem. Skręciwszy w jakieś opłotki, stanąłem niespodziewanie oko w oko z Burą. Pod nią rzeczywiście i nie pod przenośnią ugięły się nogi, gdyż schwyciła się ręką za płot, jakby miała zemdleć. Musiałem na nią spojrzeć wilczym wzrokiem, bo trzęsa się ze strachu jak galareta. Przyjrzałem jej się uważnie i bez słowa poszedłem dalej. Pal ją sześć! Bura nosiła przed sobą wielki brzuch. Była w ostatnich miesiącach ciąży.

Nalot na Czeskiej.

Biegaliśmy znów jak kot z pęcherzem, z lokalu na lokal, by obok biejących depesz nadać także to, czego brakowało w przemówieniu. Raz, w czasie takiej bieganiny, natrafiłszy na inny odcinek polskiej tragedii. Rozwieszałem z Zo-

się antenę w nocy, w ogrodzie willi przy ulicy Zakopiańskiej, na Saskiej Kępie. Było już bardzo późno, gdy w świetle księżycy zbliżyła się do nas jakaś postać kobieca: „Jak się macie, moi kochani. Nie bójcie się niczego, jestem dyskretna, jak grób”. Przyjrzelśmy się uważnie i rozpoznaliśmy naszą dobrą znajomą, panią U. Znaliliśmy tragiczne losy jej całej rodziny i ostatnio niepokoiłiśmy się brakiem wiadomości o niej samej. Pani U. miała to nieszczęście, że jeden z jej przodków był Żydem, a to wystarczało, by każdy Niemiec mógł ją zamordować. Ukrywała się właśnie w tej willi, gdzie nam użyczono miejsca na pracę radiostacji. Gwarzyliśmy sobie na ławeczce, podczas gdy Stanisław pracował. Mówiliśmy o znajomych według znanego szablonu — zamordowany, zginął, wpadł, rozstrzelany... Postanowiłem więcej w willi nie pracować, by nie ściągnąć na nią Niemców.

Powędrowaliśmy któregoś wieczoru na Saską Kępę, na ulicę Czeską. Do aparatu zasiadł Władek, a że były dobre warunki, w ostrym tempie nadawał jedną depeszę za drugą. Praca szła doskonale i Londyn prawie nie żądał poprawek. Obserwowaliśmy okolicę wraz z gospodarzem z okien i z tarasu i nie zauważyliśmy nic podejrzanego. Na kilka minut przed godziną policyjną wyszedłem z Zosią, gdyż mieliśmy prowadzić przez noc dalszą obserwację z sąsiedniej ulicy, z innego lokalu i w razie czego alarmować Władka telefonem. Poszliśmy naprzelaj ogródkiem, oglądając się na prawo i na lewo. Na ulicach był zwykły ruch. Ostatni przechodnie śpieszyli do domów przed godziną policyjną.

Po przyjsciu ustawiliśmy się natychmiast w oknach. Jedno z nas obserwowało Wał Miedzeszyński, drugie patrzyło w kierunku Francuskiej. Po pewnym czasie, na Wał wjechało auto z zapalonymi reflektorami, zatrzymało się i zgasiło światło. Równocześnie kilka aut wjechało w ulicę Czeską i Walecznych i również zgasiło światła. Nie było ani chwili do stracenia. Zosia chwyciła za telefon i szybko nakręciła numer. Odezwał się gospodarz, któremu powiedziała najzwyczajniej w świecie: „Skończcie już tego brydża, bo późno i jutro będziecie zanadto zmęczeni”. — „Właśnie skończyliśmy. Dobranoc” — urwał tamten i położył słuchawkę.

W naszym mieszkaniu zgasiłiśmy światło i przez z lekka uchylone okna obserwowaliśmy gorączkowy ruch aut niemieckich, które krążyły po Czeskiej, Walecznych, w tę i z powrotem. W ciszy nocnej rozlegały się gardłowe głosy Niemców. Nie ulegało wątpliwości, że wymierzili stację przed godziną policyjną, a gdy ta wybiła, nadjechali autami, by dokończyć pomiarów, pewni, że teraz nasze uliczne posterunki już są ściągnięte i nikt ich nie zauważy. No, a jeśli ktoś po godzinie policyjnej wyjdzie z domu, to będzie to niewątpliwie uciekający pracownik podziemnej radiostacji.

Ruch trwał przez jakieś dwie godziny, czemu przyglądaliśmy się z zapartym tchem. Wykryli, czy nie wykryli? Zaryzykowałem telefon, ale usłyszałem sygnał „zajęty”. Co to ma znaczyć? Czyżby rozmawiali z kimś innym? Jeśli tak, to znaczy, że Niemców na stacji nie ma, bo gdyby byli odezwałby się jakiś obcy głos. A może to Niemcy rozmawiają donosząc o wykryciu radiostacji? Niepokój nasz jeszcze się zwiększył, gdy po godzinie Zosia stwierdziła, że telefon w dalszym ciągu zajęty. Wreszcie, auta odjechały i z powrotem zapanował spokój i cisza, tyle tylko, że z mostu Poniatowskiego dochodziły głosy przejeżdżających samochodów. Położyliśmy się w ubraniach, czekając co rano przyniesie. Około siódmej Zosia zadzwoniła i z radością usłyszała głos gospodarza: „Czuję się dobrze i zaraz do was przyjdę”.

Za kilka minut witaliśmy go jak cudem uratowanego. Uciszył nas gestem i opowiadał: „Zaraz po waszym wyjściu, zauważyłem z tarasu samochody, nadjeżdżające ze wszystkich stron. Władek błyskawicznie rozebrał aparat i schował do torby. Niemcy zamknęli wyloty naszej ulicy i zaczęli rewidować dom po domu, zbliżając się coraz bardziej do naszego. Ja miałem cholernego stracha, Władek też. Mówię więc do niego, żeby z tarasu wyrzucił stację w kartofle, które rosną na dole. Władek jednak choć dzwonił zębami odmówił, tłumacząc, że jest to jedyna stacja na chodzie, gdyż reszta nawaliła. Ostatniej stacji nie może niszczyć. Muszę powiedzieć, że dzielny chłopak i dobrze się stało, że mnie nie posłuchał. Schowaliśmy więc aparat w torbę z piachem do gaszenia bomb zapalających i będziecie tylko mieli trochę roboty z czyszczeniem. Wyłączyłem

też telefon, gdyż bałem się, że znów zadzwonicie, a to zwróci uwagę Niemców, którzy już byli pod sąsiednim numerem. Siedzieliśmy zupełnie zmartwiali i czekaliśmy jak na ścięcie. Władek spalił wszystkie swoje dowody osobiste i inne papiery. I wyobraźcie sobie, że Niemcy skończyli rewizję na sąsiednim numerze, pokręcili się trochę i odjechali! W naszym bloku jest kilka wejść i kilka numerów. Ten numer, gdzie ja mieszkam, jest bardzo mały i jakby przyklepiony do sąsiedniego. Myślę więc, że go nie zauważyli. A może to tylko nasze szczęście i los nie chciał, abyśmy wpadli”.

W jakimś roku później opowiadałem o tym wypadku jednemu ze znajomych działaczy konspiracyjnych, którego między sobą nazywaliśmy Heimorem, z uwagi na to, że w okresie naszego poznania przechodził zapalenie jam Heimora. Podskoczył na krześle: „A! To wy byliście! Wyobraźcie sobie, że tego wieczoru byłem na Czeskiej u znajomych na brydżu z noclegiem. Nagle typowo niemieckie walenie we drzwi, wchodzą żandarmi i jacyś Niemcy cywile. Przewrócili wszystko do góry nogami, łóżka, szafy, otomany, zaglądali nawet do garmków, a przede wszystkim opukali wszystkie ściany, sufit i podłogi. Ludźmi się mniej interesowali. Nie mogliśmy zrozumieć, o co im chodzi, ale teraz wszystko dla mnie jasne”.

Transmisja caput!

Wreszcie przetelegrafowaliśmy nie nagrane fragmenty przemówienia i czekaliśmy dzień po dniu na transmisję. Zamiast niej otrzymałem depeszę: „Zwróciliśmy się do Delegata Rządu i Komendanta z zapytaniem, czy godzą się na transmisję waszej audycji przez kilkadziesiąt stacji alianckich. Czekamy na ich odpowiedź”.

Depesza Londynu nie wzbudziła we mnie żadnych obaw, gdyż treść przemówienia została przedłożona Delegatowi Rządu, prof. Janowi Piekałkiewiczowi, który nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, a całą imprezę uznał za bardzo pożyteczną. Na najbliższym cotygodniowym spotkaniu z Delegatem zapytałem, czy w tej sprawie powziął już decyzję? Delegat, bardzo zadowolony, oświadczył na to: „Odpowiedziałem generałowi Sikorskiemu, że nie tylko

godzę się na transmisję audycji, ale bardzo o to proszę. Dopilnujcie tylko, by depesza ta szybko odeszła". — „Wyśle ją natychmiast, jako alarmową. A czy nie wie Pan Delegat, jakie stanowisko zajął Komendant?" — „Nie wiem, ale jakież mógł zająć? Zapytam go przy pierwszej okazji, lecz nie mam wątpliwości, że się zgodził".

Toteż było dla mnie prawdziwą niespodzianką, gdy doszła mnie wiadomość, że gen. Grot-Rowecki zamierza transmisji się sprzeciwić. Zaniepokojony, poprosiłem natychmiast o spotkanie i otrzymałem je. Zaraz po powitaniu, zapytałem Grot: „Czy nie moglibyście mi powiedzieć, Komendancie, jaką powzięliście decyzję w sprawie transmisji audycji?" — „A wy skąd wiecie, że mam coś decydować w tej sprawie, którą trzymaliście w takiej tajemnicy przede mną?" — „Trzymałem w tajemnicy, bo nie wiedziałem, czy się uda, a wiem, że macie powziąć decyzję, bo otrzymałem depeszę, że transmisja uzależniona od zgody Delegata i waszej, Komendancie. Czy mówił z wami już o tej sprawie Delegat?" — „Nie, ale to jest bez znaczenia, gdyż wysłałem już odpowiedź negatywną. Szef mojej łączności radiowej kategorycznie sprzeciwił się transmisji, gdyż rozwściekli ona Niemców i z podwójną gorliwością będą ścigali nasze stacje". — „Komendancie, ja się trochę w sytuacji waszej łączności orientuję. Niemcy nakryli już kilkanaście waszych stacji, wiedzą więc doskonale o ich istnieniu i tropią je bez litości. Transmisja niczego nie może pogorszyć, bo Niemcy na tym odcinku już działają na pełne sto procent swoich możliwości".

Rozmowa trwała dość długo. Używałem wszelkich możliwych argumentów, by generała przekonać i zdaje się, że mi się to w końcu udało, gdyż zakończył rozmowę w inny sposób, niż rozpoczął: „Może macie rację, ale zrozumcie dwie rzeczy. Raz, że nie mogę iść przeciw opinii mego szefa łączności w sprawach, na których się nie znam. Drugie, że trudno mi zmienić raz powziętą i zakomunikowaną Naczelnemu Wodzowi decyzję, bez nowych okoliczności faktycznych, a tylko na skutek waszych argumentów. Bardzo mi przykro, że tak się stało, ale nic się już na to nie da poradzić".

W ten sposób transmisja do skutku nie doszła. W czym nie przeszkodzili Niemcy, to utraciła zawiść rodaków.

Nastroju naszej ekipy nie będę opisywał. Powiem tylko tyle, że wzbogaciłem w tych burzliwych dniach mój zapas wymysłów i przekleństw o parę do tego czasu zupełnie mi nieznanych zwrotów.

A jednak audycja nasza podobno doczekała się transmisji przez stację zagraniczną. Stało się to jednak dopiero w rocznicę jej nadania ze Skolimowa. Nawet o tym nic nie wiedzieliśmy wówczas, a dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie.

III

PODZIEMNY WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI

Nominacja.

W kwietniu 1941 roku, na skutek porozumienia między „Trójkątem” a generałem Roweckim, wszedłem w skład sztabu Związku Walki Zbrojnej (Z.W.Z.), późniejszej Armii Krajowej. W związku z tym któregoś dnia doszło między mną a generałem Roweckim do spotkania, na którym miały być określone moje przyszłe funkcje. Rowecki, jak zwykle doskonale wyglądający, uśmiechnięty i przyjacielski, zagadnął mnie prosto z mostu: „Chcę was prosić o szczerą i otwartą odpowiedź na jedno pytanie. Jeśli nie będziecie mogli jej dać z jakichkolwiek względów, nie będę miał pretensji. Zgoda?” — „Pytajcie, generale. Postaram się odpowiedzieć tak, jak sobie tego życzyście”. — „Chodzi mi mianowicie o taką rzecz. Wiem, że wasze stronnictwo delegowało was do Komendy po to, byście nam patrzyli na ręce. Z tego względu pragnąłbym wiedzieć, czy chcecie być w Komendzie tylko czymś w rodzaju obserwatora, czy też chcecie prócz tego robić coś konkretnego?”

Rowecki z trochę zakłopotanym uśmiechem patrzył mi pilnie w oczy. Lubię jasne postawienie sprawy w ogóle, a ponieważ ten problem już przemyślałem, odpowiedziałem więc bez chwili wahania”. — „Słuchajcie, Komendancie, jeśli mi nie dacie zupełnie określonego zajęcia, a tylko tytularne czy fikcyjne stanowisko, natychmiast wracam do podziemnej roboty w stronnictwie. Ja chcę mieć

w Komendzie określoną funkcję i pracę, a nie tylko łażenie wam po piętach". Rowecki był wyraźnie zadowolony z odpowiedzi. Uścisnął mi mocno rękę: „Cieszę się z tego, że tak stawiacie sprawę. Naradzę się z szefem sztabu i obmyślimy coś, co by wam odpowiadało”.

Z tej rozmowy po paru tygodniach wyłoniła się moja nominacja na pełnomocnika Komendanta Głównego dla spraw Walki Cywilnej, którą to nazwę nadano dobrze mi znanym zagadnieniom, jakimi P.K.P. zajmował się prawie od początku swego istnienia. Mianem tym określono opór przeciwko okupantowi niemieckiemu na każdym odcinku życia społecznego, na każdym terenie i w każdy możliwy sposób. Opór miał być bierny (sabotaż rozporządzeń i praw okupanta) i czynny (na przykład likwidowanie agentów Gestapo, a więc akcje z bronią w ręku). Walka Cywilna miała objąć nie tylko organizacje podziemne, ale wychodząc poza ich ramy, całe polskie społeczeństwo.

Spotkanie z Komisją.

Pierwszą, najpilniejszą sprawą, jaką należało się zająć, było opracowanie przepisów, obowiązujących każdego Polaka pod okupacją. Narzuciła ona cały szereg sytuacji, których nikt nie przewidział, a każdy pragnął wiedzieć, czy np. wolno jest pracować w fabryce, której zarząd przejęli Niemcy, lub jak trzeba się zachować, gdy Niemiec narzuca się ze stosunkami towarzyskimi, czy np. wolno chodzić do restauracji dozwolonej dla Niemców, albo czy wypada chodzić do kina itp. W związku z tym, od pewnego czasu został wyłoniony przez Komendę Główną specjalny zespół ludzi, któremu zlecono opracowanie tych zagadnień. Kiedy zostałem mianowany pełnomocnikiem Komendanta Głównego, objąłem przewodnictwo tego zespołu i w ten sposób pewnego dnia doszło do mego z nim spotkania. Gdy wszedłem do zadymionego pokoju na Rakowieckiej i zastałem tam ponad dziesięć osób, byłem tym nieprzyjemnie zaskoczony. Wydarzyło się już parę wspaniałych zebrań, poza tym miałem dobrze w pamięci historię przyjęcia wielkanocnego na kilkadziesiąt osób, urządzonego w roku 1940 przez członka Delegatury dla przyjaciół z konspiracji, ze święconym, wódeczką, przemówieniami, całowa-

niem się z dubeltówki i toastami w rodzaju: „Słoneczko wyżej, Sikoreczka bliżej...” Kilkadziesiąt osób rozkonspirowało się przed sobą i późniejsze aresztowanie którejkolwiek z nich, alarmowało wszystkich pozostałych.

Przedstawił mnie zebranym, naturalnie tylko z funkcji i pseudonimu, funkcjonariusz Biura Informacji i Propagandy (B.I.P.) i równocześnie jeden z przywódców Stronnictwa Demokratycznego, inżynier Makowiecki, pseudo Malicki. Rozejrzałem się po twarzach i stwierdziłem, że poza Malickim, tylko znam jedną jeszcze osobę. Zabrałem głos i po wygłoszeniu referatu na temat zadań komisji, której członkowie — w tym jedna kobieta — otaczali mnie zwartym kołem, siedząc jak kto mógł, oświadczyłem cierpko na zakończenie, że już się więcej w tak licznym gronie nie zbierzemy, gdyż urąga to podstawowym zasadom konspiracji, i że poszczególne zagadnienia zostaną przydzielone do opracowania zespołom, składającym się z trzech osób. Na kilku twarzach spostrzegłem wyraz nieukrywanego zadowolenia. Malicki, inicjator tak licznych zebrań, był zadowolony. Gdy ścisnąłem wyciągnięte na pożegnanie dłonie, znajomy, starszy wysoki, szczupły pan, z grubymi szklami na oczach, szepnął mi na boku: „Nareszcie znalazł się ktoś rozsądny i zrobił porządek z tymi masówkami”. Tym starszym panem był późniejszy Delegat Rządu na Kraj, wicepremier (ściślej mówiąc w myśl dekretu Prezydenta R.P. z 26 kwietnia 1944 roku zastępca Prezesa Rady Ministrów w Kraju) Jan Stanisław Jankowski, wówczas jeszcze zwykły członek podziemia.

Przepisy Walki Cywilnej.

W ten sposób zostały opracowane i wydane przepisy dla każdej warstwy ludności lub zawodu, np. dla rolników, robotników, przemysłowców, urzędników, księży, lekarzy, adwokatów, sędziów, kolejarzy, kobiet, młodzieży itd. Podstawowym, powtarzającym się w każdej instrukcji, nakazem było stawianie oporu okupantowi zawsze i wszędzie, zachowanie wobec niego postawy nieugiętej, sabotaż wszelkich rozporządzeń i praw, przynoszących szkodę społeczeństwu polskiemu lub korzyść dla okupanta, kategoryczny zakaz zapisywania się na „Volkslisty”, zakaz utrzy-

mywania stosunków z Niemcami, wreszcie obowiązek posłuszeństwa wobec władz konspiracyjnych. Poza tym przepisy zawierały konkretne żądania w odniesieniu do pewnych kategorii osób, np. polecenie dla lekarzy, że mają obowiązek wydawania fałszywych zaświadczeń, gdy ma to dopomóc Polakowi do uchylania się od pracy przymusowej na rzecz Niemców; dla sędziów, że w zasadzie nie należy przekazywać spraw z sądu polskiego do niemieckiego itd. Przepisy te z biegiem czasu były uzupełniane odezwaniami i instrukcjami Walki Cywilnej, regulującymi zagadnienia, jakie się bieżąco wyłaniały w toku życia pod okupacją (*).

Walka Cywilna szczególnie zajęła się ochroną świata pracy. Zostały opublikowane w drugiej połowie 1942 roku wezwania do pracodawców, żądające od nich wykorzystania wszelkich możliwości w kierunku podwyższenia swym pracownikom płac i nakazujące użycie pozaustawowych sposobów podwyższania zarobków. Odezwa żądała, by każdy pracodawca dbał o interesy swych pracowników jak o swoje własne i zakazywała opierania rentowności przedsiębiorstw na płacach taryfowych, narzuconych przez okupanta. Zakazywała wyzyskiwania przepisów okupacyjnych, ograniczających prawa robotników, stwierdzając, iż stanowi to jeden z najbardziej łotrowskich sposobów wyzyskiwania koniunktury okupacyjnej przez nowopowstających milionerów wojennych. Został wydany zakaz przyjmowania posad werbowników na roboty do Niemiec, zabroniono wszystkim pracodawcom dokonywania spośród robotników wyboru tych, którzy mają być wywiezieni do Niemiec, jak również wydawania w tym względzie swoich opinii (**).

W dalszym ciągu zostały wydane wezwania i instrukcje, dotyczące np. bojkotu niektórych lokali, bojkotu zbiórki butów narciarskich, prasy gadzinowej w języku polskim (która zresztą była dla szerokiej mas ludności jedynym legalnym źródłem informacji prasowej) co najmniej w każdy piątek, bojkotu kin („tylko świnię siedzą w kinie”), bojkotu loterii wprowadzonej przez okupanta itd. Wydano

(*) Patrz „Dziesięć Przykazań Walki Cywilnej” w podziemnym Biuletynie Informacyjnym (B. I.), nr 18 z 7. V. 1942 i odezwę Kierownictwa Walki Cywilnej (K.W.C.) w B.I., nr 41 z 22.X.42.

(**) Patrz odezwy i wezwania K.W.C. w B.I., nr 28, z 16. VII. 1942, nr 32 z 13. VIII. 1942 i nr 39 z 8. X. 1942.

kategoryczny zakaz fałszowania produktów, sprzedawanych ludności polskiej na kartki (został zorganizowany specjalny zespół ludzi-fachowców, badających środki żywności i donoszących o nadużyciach), wyszła odezwa, żądająca spisowania danych o zbrodniach niemieckich i składania ich drogą organizacyjną władzom konspiracyjnym. Wydano urzędnikom polskim zakaz wymuszania łapówek od współobywateli itd. (*).

Wreszcie, został opublikowany cały szereg zarządzeń, dotyczących sabotowania przymusu pracy dla okupanta, jak np. służby budowlanej, wyjazdu na roboty do Niemiec, pracy młodocianych dziewcząt i chłopców, itd. W końcu, zagrożono karami funkcjonariuszom policji granatowej i urzędnikom urzędów pracy, którzy będą brali udział w łapanekach na roboty do Niemiec (**).

Oddzielny dział stanowiły zarządzenia, dotyczące sabotażu wszelkiego rodzaju kontyngentów, np. zbożowych, mięsnych, nabiałowych itp. oraz instrukcje dotyczące tepienia pijaństwa, likwidacji bimbrowni itd. (***)

Powyższe rozporządzenia i odezwy Walki Cywilnej, rozesłane w teren drogami organizacyjnymi, to jest przy pomocy prasy podziemnej, oraz wszystkich organizacji konspiracyjnych, które współpracowały z Walką Cywilną, zorientowały społeczeństwo w tym, czego od niego wymagają władze podziemne. Trafily na podatny grunt i były przestrzegane powszechnie.

Tylko niektóre z tych zasad obowiązywały na terenach byłego zaboru pruskiego, wcielonych do Rzeszy, a to z powodu niezwykłego nasycenia tych ziem przez nasłanych Niemców i masowego terroru, którego ucisk każdy Polak czuł każdej chwili i na każdym kroku. Warunki na ziemiach tych były na tyle odmienne i gorsze, że jedynie te zasady Walki Cywilnej, które dotyczyły zachowania odpornej i nieugiętej postawy, sabotażu rozporządzeń okupanta i tak zwanego „małego sabotażu” (np. niedbała obsługa maszyn w fabrykach, nadmierne zużywanie surowca) mogły

(*) Patrz B.I. z 23. X. 1941, nr 21 z 28. V. 1942 i dwa obwieszczenia K.W.C. w B.I., nr 48 z 10. XII. 1942.

(**) Patrz wezwanie K.W.C. w B.I. nr 24, z 18. VI. 1942 i odezwa K.W.C. w B.I. nr 12 z 25. III. 1943.

(***) Patrz odezwa K.W.C. w B.I. nr 38 z 1. X. 1942.

tam być przestrzegane. O akcjach tego typu, co w Generalnej Gubernii, przynajmniej niektórych, nie mogło być mowy.

Odezwa Delegata Rządu.

W międzyczasie Delegat Rządu mianował mnie również swym pełnomocnikiem dla spraw Walki Cywilnej, która z ten sposób stała się wspólnym organem Delegatury i Z.W.Z. W chwili gdy osiągnęła pełny rozkwit i okazała się skutecznym instrumentem walki z okupantem, nastąpiło oficjalne i szerokie określenie kompetencji Kierownictwa Walki Cywilnej, którą to nazwę przyjął pełnomocnik dla spraw Walki Cywilnej dla siebie i swego sztabu. Dokonało się to przez wydanie specjalnej odezwy do społeczeństwa polskiego, podpisanej przez Delegata Rządu, którym wówczas był profesor Jan Piekalkiewicz. Powiadała ona o powołaniu w swoim czasie do życia K.W.C. i określała jego kompetencje. Między innymi, zawierała ona następujący ustęp: „Wzywam całe społeczeństwo polskie do całkowitego podporządkowania się zarządzeniom, oświadczeniom i wezwaniom K.W.C.” (*).

Rozmowa z Leonem Nowodworskim.

Gdy ten Kodeks Praw i Obowiązków Dobrego Polaka i Obywatela został rozpowszechniony po całym kraju, K.W.C. przystąpiło do realizowania drugiej koncepcji. Miała ona nie tyle zapewnić przestrzeganie wydanych instrukcji K.W.C., gdyż tego najlepszą gwarancją była nieprzejednana postawa całego społeczeństwa, ile zapobiec ich łamaniu przez niesolidarne jednostki. Temu celowi miały służyć specjalne sądy podziemne. Ponieważ istniał już Departament Sprawiedliwości Delegatury Rządu, z natury rzeczy powołany do zajęcia się tą sprawą, na czele którego stał były dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Leon Nowodworski, udałem się więc do niego na rozmowę. Doszła ona do skutku gdzieś na Wspólnej czy Hożej. Nowodworski czekał już w gabinecie, umeblowanym

(*) Patrz B.I., nr 47 z 3. XII. 1942.

pluszowymi, czerwonymi meblami z takimiż kotarami, wysokimi stoliczkami na kwiaty, z kanapą o fantazyjnie wygiętym oparciu, co wszystko, gdy dziś piszę te słowa, robi na mnie wrażenie czegoś odległego i zarazem bardzo miłego. Przyjrzałem mu się uważnie, gdyż nie wiedziałem go z bliska od roku bodajże 1938, kiedy to Nowodworski, po wyborze do Rady Adwokackiej kilku nowych członków z listy ludowo-socjalistycznej, w tym również mnie, demonstracyjnie, na znak protestu, opuścił Radę. Przeszłość, jak stąd widać, nie nastroczała powodów do przyjemnej atmosfery dla rozmowy, no, ale byliśmy pod okupacją, a ta jeśli nie wymazywała przeszłości, to w każdym razie zawiesziała na okres wojny dawne urazy.

Wyłuszczyłem o co chodzi i przedstawiłem zasady, na jakich funkcjonowanie sądów podziemnych miałyby się opierać. Twarz Nowodworskiego, w miarę jak mówiłem, zaczęła się chmurzyć. Wkrótce polemizowaliśmy zawzięcie. Godził się on na przykład z potrzebą karania zdrajców, ale niektóre pomysły raziły poczucie prawne tego znanego jurysty. Dał temu dobitny wyraz: „Nie mogę sobie wyobrazić takiej sytuacji, by człowiek mógł być skazany na śmierć bez uprzedniego przesłuchania, a pan kolega twierdzi, że należy przewidywać, iż większość wyroków zapadnie zaocznie”. — „Panie dziekanie, jesteśmy w wojnie z Niemcami, a to stwarza specjalną i wyjątkową sytuację, przed którą zrozumiałe obietnice każdego prawnika muszą ustąpić. Nasz projekt przewiduje karę śmierci w zasadzie tylko w wypadkach zdrady stanu, czyli praktycznie w stosunku do tych obywateli polskich, którzy stali się agentami niemieckimi, przede wszystkim Gestapo. Czy pan sądzi, że można wezwać agenta Gestapo na przesłuchanie do podziemnego sądu?”. Nowodworski się obruszył: „Byłby to nonsens, ale moim zdaniem należałoby zastosować wobec nich nawet najsurowsze represje, bez uciekania się do pomocy sądów podziemnych”.

W tym momencie dziekan Nowodworski poruszył sprawę, która była kluczem zagadnienia i przedmiotem wielogodzinnych moich rozmów z Delegatem Rządu i Komentantem Z.W.Z. Toteż odparłem bez chwili namysłu: „Jak pan sądzi, panie dziekanie, czy więcej popełni się „Justizmordów”, jeśli się będzie ich likwidowało trybem admini-

stracyjnym, też bez przesłuchania, czy też jeśli o skazaniu na śmierć zadecyduje sąd podziemny, co najmniej z przewodniczącym zawodowym sędzią lub prawnikiem, po zbiciu dowodów, przy zastosowaniu metod postępowania sądowego a nie policyjnego i po wysłuchaniu obrońców z urzędu?" Nowodworski rozłożył ręce: „Może pan ma rację. Jeśli Delegat poleci mi organizowanie tych sądów, polecenie wykonam. Muszę jednak przyznać, że nie mam serca do tej roboty, poza tym wszystko w moim departamencie nastawiłem na pracę dla przyszłości, to jest na zorganizowanie przyszłego sądownictwa, w odrodzonej Polsce. Ze swej strony proponowałbym, by sądownictwo aktualnie zorganizowało K.W.C. we własnym zakresie, gdyż, o ile się orientuję, panów znów nie interesuje praca dla przyszłości, a tylko bieżąca walka. Chętnie natomiast pomogę przy opracowaniu regulaminów, instrukcji itd.”

Gdy dalszy przebieg rozmów wykazał, że Nowodworski rzeczywiście nie ma przekonania do podziemnego wymiaru sprawiedliwości, Delegat i Komendant zadecydowali powierzenie tego działu pracy K.W.C. z tym, że Z.W.Z. zorganizuje także oddzielne wojskowe sądy podziemne, których kompetencje obejmą między innymi własne środowisko, to jest żołnierzy Z.W.Z.

Spotkanie z Bukowieckim.

Niezależnie od pozytywnego rozstrzygnięcia sprawy przez Delegata i Komendanta, rozmowa z Nowodworskim pozostawiła we mnie pewien osad, który ostudził nieco zapał z jakim się zabierałem do tej pracy. Ale po paru tygodniach przyszła nieoczekiwana pomoc, która usunęła resztę wątpliwości. W poszukiwaniu przewodniczącego dla pierwszego jaki powstawał sądu specjalnego w Warszawie, udałem się do mieszkającego wówczas w Mokotowie prezesa Prokuraturii Generalnej, Bukowieckiego. Pracowałem niegdyś w tym urzędzie i z tego okresu zachowałem dla Bukowieckiego wprost uwielbienie, które, jestem pewien, dzieli ze mną większość osób, znających tego czystego jak łąza człowieka, bardzo wybitnego prawnika, a przede wszystkim wielki autorytet moralny, którego nadzwyczajnych właściwości duszy i charakteru ślepotą, jaką był od dłuższego

czasu dotknięty, nie tylko nie osłabiła, ale wręcz przeciwnie rozwinęła.

Gdy mnie przyjął w skromnie umeblowanym pokoju, zastawionym bibliotecznymi szafami, nie tylko że sobie mnie przypomniał ale zaczął nawet wypytywać o mego starszego brata, Stanisława, którego, jak mi powiedział, bardzo cenił, jako wyjątkowo zdolnego cywilistę. Wreszcie, zwróciwszy na mnie niewidzące oczy uprzedził, iż został z góry poinformowany, że treść rozmowy i nazwisko moje ma zachować w tajemnicy, czego przyrzeka dotrzymać i zapytał z wielką uprzejmością, czym może mi służyć.

Przedstawiłem całą sprawę szczegółowo, nie kryjąc złych stron zagadnienia i na zakończenie zapytałem, czy nie zechciałby przyjąć godności przewodniczącego sądu w Warszawie. W miarę jak mówiłem, na twarz Bukowieckiego zaczął występować lekki rumieniec, widać było, że go ogarnia pewne podniecenie. Gdy skończyłem, zaczął „głośno myśleć”, analizując z dużym przejęciem wszystko, co usłyszał, przede wszystkim jednak wyraził pod adresem władz podziemnych głębokie podziękowanie za zaszczyt, jaki go spotykał, na skutek zaofiarowania mu tak odpowiedzialnego stanowiska. Widać było, że był wdzięczny i ujęty tym, że nie uważa go się za kalekiego starca, którego przeznaczeniem jest tylko dożyć kresu własnych dni, a za człowieka, który może jeszcze brać udział w walce i służyć krajowi na eksponowanym stanowisku. Odmówił jednak przyjęcia zaofiarowanego stanowiska: „Bóg mi świadkiem, że nie chodzi mi o te nędzne resztki życia, jakie mi pozostały. Z radością bym je oddał krajowi. Ale jestem ślepy i wobec tego, nawet w normalnych warunkach nie mógłbym sądzić człowieka, a cóż dopiero w takich, gdzie na osobie sędziego spoczywać będą kilkakrotnie większe obowiązki. Nie może to być człowiek upośledzony, jak ja, a w pełni sił nie tylko duchowych, ale i fizycznych. Poza tym, ja się już bez przewodnika nie ruszam. Ślepy starzec, idący z opiekunem na posiedzenie podziemnego sądu, może bardzo łatwo ściągnąć uwagę Gestapo. Natomiast, jeśli dla władz podziemnych moja opinia ma jakieś znaczenie, to proszę powiedzieć komu należy, że zważywszy pro i contra całej sprawy, jestem zdania, że utworzenie podziemnych sądów jest słuszne, gdyż są one potrzebne. Ale,

jak widzę, prawie cała odpowiedzialność będzie spoczywała na sędziach, toteż dobierajcie ich bardzo starannie. Jacy to będą ludzie, takie będą te sądy. Niech Bóg wspomaga i kieruje ich krokami”.

Gdy mówił te i inne słowa o robocie podziemnej, o niezszczęściu, jakie spadło na kraj i o przyszłym, upragnionym wyzwoleniu, wpadł w uniesienie patriotyczne. Mówił, jak natchniony. Takiego Bukowieckiego nigdy nie widziałem. Byłem wzruszony nieziemskim wyrazem twarzy tego imponującego człowieka, gdyż tak jak w 1939 roku Rataj w rozmowie ze mną, tak on obecnie malował wizję walki i wyzwolenia. Ale cóż, wychodziłem z niczym i co gorsza świadom tego, że Bukowiecki ma rację i że nawet nie należało do niego przychodzić z taką propozycją, a przeciwnie, samemu dojść do wniosku, że człowiek ślepy nie może być przewodniczącym podziemnego sądu. Pozostał jednak jeden wielki zysk — błogosławieństwo Bukowieckiego dla podziemnego wymiaru sprawiedliwości.

Sądy specjalne.

I tak z biegiem miesięcy powstały w Polsce podziemne sądy specjalne, których ilość doszła pod koniec okupacji do około dziesięciu.

Pierwszą podstawę prawną dla nich stworzyła już dawno powzięta uchwała Komitetu Ministrów dla Spraw Kraju w Londynie z dnia 16 kwietnia 1940 roku, która brzmiała, jak następuje: „Wydawanie wyroków śmierci na przestawców, zdrajców, szpiegów i prowokatorów, należy do kompetencji specjalnych sądów...” Jeśli chodzi o stosowane przez te sądy przepisy materialne, to obowiązywało polskie prawo karne i rozporządzenia kompetentnych władz podziemnych, w szczególności K.W.C. W najczęstszym zastosowaniu były artykuły: 99-113 kodeksu karnego z roku 1932 i ustawy specjalne o szpiegostwie.

Jeśli chodzi o postępowanie przed sądem specjalnym, to obowiązywał tryb oparty na zasadach kodeksu postępowania karnego, określany przez sam sąd. Komplet sędzący składał się z trzech osób, w tym z reguły przewodniczący zawodowy sędzia lub osoba mająca kwalifikacje sędziowskie. Poza tym, w rozprawie przed sądem specjalnym powi-

nien był brać udział prokurator i obrońca z urzędu. Postępowanie mogło być zaoczne, to jest bez obowiązkowej obecności oskarżonego. Materiał dowodowy mogło stanowić wszystko co sąd uznał za posiadające wartość dowodową. W praktyce były to zeznania świadków, raporty władz podziemnych, fotografie, dokumenty itp. Orzeczenia były trojakiego rodzaju: uniewinnienie, przekazanie sprawy do rozpatrzenia właściwym sądom po wojnie i kara śmierci. Środków odwoławczych postępowanie nie przewidywało. Surogatem ich było konieczne zatwierdzenie wyroku przez okręgowego delegata rządu. W razie gdy go odmówił, w zależności od motywów jego decyzji, następowało przekazanie sprawy do ponownego rozpatrzenia, lub rozstrzygnięcia po wojnie.

Niezależnie od powyższego, w wypadkach wyjątkowo nagłych i nie budzących żadnej wątpliwości, kiedy wszelka zwłoka — w szczególności odczekanie na wyrok — groziła nagłym i wielkim niebezpieczeństwem, okręgowy kierownik Walki Cywilnej mógł zarządzić egzekucję osoby, ze strony której niebezpieczeństwo zagrażało, bez odczekania orzeczenia sądu. W takim razie, już po zgładzeniu danej osoby, sprawa szła do sądu specjalnego, który ją rozpatrywał, jak każdą inną. W razie wyroku uniewinniającego, kierownik okręgowy Walki Cywilnej mógł być pociągnięty do odpowiedzialności za nadużycie władzy. Pamiętam jeden tylko wypadek, w którym sąd specjalny wydał wyrok skazujący już po śmierci oskarżonego. Wójt pewnej gminy został zastrzelony w drodze do Gestapo, dokąd wiozł listę członków podziemia w jego gminie. Odgrażał się tym od dawna, ale wygadał się kiedy jedzie na dwa, trzy dni przedtem. Nie było czasu, by zwrócić się do sądu. Szczegółową listę znaleziono przy jego zwłokach i stanowiła ona, wraz z zeznaniami świadków, materiał dowodowy w późniejszym postępowaniu.

Jak z powyższego sumarycznego i z pamięci dokonanego opisu postępowania przed sądami specjalnymi wynika, wszystko właściwie sprowadzało się do swobodnej oceny sądu, który był w związku z tym, zgodnie z przewidywaniami prezesa Bukowieckiego i K.W.C., obarczony szczególną odpowiedzialnością. Dziś można stwierdzić z całą pewnością, że żaden z kompletów sądujących nie uchybił tej

zasadzie. Nic dziwnego, gdyż składały się one naprawdę z ludzi o wysokich kwalifikacjach moralnych i zawodowych. Dowodem zachowania szczególnej ostrożności przy wyrokowaniu jest po pierwsze fakt, że około dziewięćdziesięciu procent spraw, w których był chociażby cień wątpliwości, zostało przekazanych do rozstrzygnięcia po wojnie, a pozostałych około dziesięciu procent wyroków śmierci — co w całym kraju wyraziło się egzekucją mniej więcej dwustu osób — nikt po wojnie, kiedy te sprawy i skład personalny K.W.C. stał się jawny, nie zakwestionował. Dopiero w pięć lat po mojej ucieczce z kraju, w dniu 6 listopada 1947 roku, reżym komunistyczny rozpoczął kampanię przeciw dawnym sądom specjalnym, ale o tym później.

Wykonanie wyroków.

Gdy wyrok został zatwierdzony przez właściwego delegata okręgowego, sprawa wędrowała tam, skąd przyszła, to jest do okręgowego kierownika Walki Cywilnej, który ją oddawał do wykonania tak zwanej egzekutywie. Składała się ona bądź z własnych ludzi Kierownika W.C., bądź odkomenderowanych przez organizacje podziemne, powiązane z K.W.C. Dzieliła się ona na dwie ekipy: przygotowującą wykonanie wyroku i wykonywującą wyrok. Pierwsza, w skład której wchodziły także kobiety, roztaczała nad skazanym najdokładniejszą obserwację. Ustalała ze wszelkimi szczegółami jego tryb życia i wybierała sytuację jej zdaniem najlepszą dla wykonania wyroku. Z tą chwilą sprawa przechodziła do ekipy wykonującej wyrok, która nie była jednakże wiązana opinią ekipy pierwszej i na podstawie przedłożonego drobiazgowego raportu mogła uznać inne warunki za dogodniejsze.

Zespół wykonujący wyrok, składał się zwykle z trzech osób. W zasadzie jedna strzelała, dwie ją ubezpieczały, obojętnie czy wyrok był wykonywany w domu, gdzie osłona terroryzowała domowników, czy na ulicy, na wypadek gdyby nadbiegli Niemcy. O zachowanie przechodniów wykonawcy wyroku byli spokojni. Na ogół orientując się, że to działa Podziemie, przechodnie na przykład w Warszawie mijali szybko miejsce wykonania wyroku, udając, że nic nie widzą. Jeśli okoliczności pozwalały, wykonawcy

wyroku najpierw odczytywali skazanemu sentencję wyroku, rozpoczynając się od sakramentalnych słów: „*W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...*” Z reguły udawało się to gdy wykonanie wyroku miało miejsce w mieszkaniu, a czasami nawet na ulicy wykonawca zdążył wypowiedzieć przed oddaniem strzału tę sakralną formułę.

W skład ekipy wykonującej wyrok wchodziło zwykle młodzi mężczyźni. Nie wolno było używać do tych akcji harcerzy i to na mocy porozumienia K.W.C. z komendą Szarych Szeregów, następnie kobiet i niepełnoletnich. Z drugiej strony wydano zalecenie, by osoba, która brała udział w wykonaniu trzech wyroków, była zwalniana ze składu ekipy drugiej. K.W.C. uważało, że zabicie człowieka jest wielkim wstrząsem psychicznym dla wykonawcy, na którego częste powtarzanie nie wolno go narażać, poza tym pragnęło zapobiec wytworzeniu się grupy zawodowych wykonawców.

Ekipy egzekutywy warszawskiej czasami działały zbiorowo i w innych celach. Jej kierownik, Ambrozja, zorganizował na przykład śmiały wypad na szpital Jana Bożego, w którym Niemcy umieszczali chorych więźniów z Pawliaka. Wypad się udał i więźniowie zostali uwolnieni. Ambrozja nie mógł jednak zapewnić im po ucieczce żadnej pomocy, toteż wybiegli z łóżek wprost na ulicę. Opowiadał mi potem w zachwytem, że przechodnie, zorientowawszy się o co chodzi, oddawali uciekającym palta, by mogli pod nimi ukryć więzienne pasiaki. Podobnego wypadu na tenże sam szpital dokonała A.K.

W czasie Powstania egzekutywa warszawska stanowiła trzon kompanii, broniącej ulicy Emilii Plater. Któregoś dnia, już pod koniec Powstania, odszukał mnie w kwarterze na Kruczej stołeczny kierownik W.C. i imieniem dowódcy kompanii zaprosił na kolację. Chodziło o to, że członkowie egzekutywy pragnęli poznać szefa Walki Cywilnej. Zgodziłem się chętnie, bo i ja miałem również ochotę zobaczenia ludzi, o których robocie tyle wiedziałem, ale nigdy się z nimi, poza Ambroją, nie zetknąłem. Następnego dnia przyszedł po mnie wspomniany kierownik i po łatwym przeskoczeniu Marszałkowskiej, już wtedy pod ostrzałem, zapuściliśmy się w labirynt podziemnych przejść. Wszędzie koczowała masa ludzi, szukających po piwni-

cach schronienia przed stałym bombardowaniem z powietrza przez artylerię i granatniki, zwane „ryczącymi krowami” z powodu charakterystycznego głosu, jaki wydawały przy wystrzale. Przeciskaliśmy się przez tłumy biednych, brudnych, wygłodniałych ludzi, stłoczonych w ciemnych piwnicznych korytarzach, rzadko oświetlonych świeczką lub jakąś lampką. Podobnie musiały wyglądać katakumby pierwszych chrześcijan. Tymi piwnicami i korytarzami, przez wybite przejścia, można było przewędrować z jednego końca powstańczego miasta na drugi. Wszędzie pościel, koce, czasami w kącie łóżko, a na nim kilka osób z gatunku „piwnicznych”. Taka nazwa utarła się już dla tych, którzy psychicznie nie mogli znieść życia na powierzchni, pełnego ich zdaniem większych niebezpieczeństw i całymi tygodniami nie wychodzili z podziemi na światło dzienne. Ginęło ich po piwnicach więcej od tych, którzy śledząc plan według którego Niemcy systematycznie bombardowali miasto, znaleźli w sobie dość siły i odwagi, by się przenieść na inne miejsce, gdy widać było, że zbliża się kolej na ich kamienicę.

Przeszliśmy obok składu przy Hożej, gdzie nędznych resztek żywności strzegło zazdrośnie lokalne dowództwo i skąd dolatywał huk motoru benzynowego, zasilającego pompę bez przerwy wydobywającą wodę z odkopanej, starej studni. Nagle, o dziwo, wychynęliśmy z ciemnego, podziemnego przejścia na zalany słońcem ogród, pełen jeszcze zielonych drzew i krzewów. Bezwiednie zatrzymałem się, zachwycony widokiem. Zielone drzewa i skrawki murawy było to coś niezwykłego po gruzach i kurzu śródmieścia. Wybuchy dochodziły tutaj jakieś bardziej stłumione, a może po prostu nie chciałem ich słyszeć, oddając się urokowi tego zakątka. No, ale czas naglił, więc zagłębiliśmy się z powrotem w jakieś przejścia po to, by zakończyć drogę w szpitalu Św. Józefa. Tutaj już panował zgiełk koszar i czekał uśmiechnięty i wygolony Ambrozja, wystrojony w jakieś namiastki wojskowego munduru. Rozpoczęły się prezentacje, stukanie obcasami i ściskanie mocnych, zdrowych rąk. Naokoło młode, ogorzałe, mocno wychudzone twarze, przyglądające mi się z ciekawością. Weszliśmy znów do piwnicy i podziemnym przejściem pod ulicą Emilii Plater, dostaliśmy się do domu po przeciwnej stronie. Tu-

taj znów nowa niespodzianka. Okna prawie całe, drzwi się zamykają, meble bardzo porządne. Zagadnąłem Ambrożę: „Jak to się stało, że ta kamienica jest prawie nie-tknięta?” — „Powód jest bardzo prosty. Ten dom jest jedyny, jaki mamy w swym ręku po tej stronie Emilii Plater, która jest linią frontu. Z trzech stron są Niemcy. Mamy ich tutaj obok, za tą ścianą. Toteż nie bombardują nas tutaj i nie ostrzeliwiają artylerią, bo najmniejszy błąd i trafia w swoich. To jest najspokojniejsze miejsce w naszym ręku”.

Kolacja zapowiadała się interesująco. Mieć za ścianą grubości półtorej cegły Niemców, to było coś, nawet jak na nasze stępienie nerwy. Wkrótce jednak zapomniałem o sąsiedztwie oddany całkowicie konsumpcji jakiegoś konia, usmażonego z cebulką, której ostry zapach walczył o lepsze z lekkim odorkiem psującego się mięsa. Nie odjęło mi to bynajmniej apetytu, czego złożyłem dowód, konsumując następnie dużą ilość placków na parafinie i pijając to wszystko kawą. Po kilkunastu dniach żywienia się już tylko rozgotowaną pszenicą, była to prawdziwa uczta dla wygłodniałego żołądka. Nie brakowało nawet butelki bimbru, którego niebieski kolor trochę mnie niepokoił, jak się okazało później, całkiem niepotrzebnie. W czasie kolacji fason i nastrój kasynowy. Wszyscy tu sobie poruczniowali i kapitanowali. Najskromniej brzmiało sierżancie, a najszumniej pułkownikowi, którym to tytułem darzono ku memu zdumieniu stołecznego kierownika Walki Cywilnej. Poczuję się mały i nieważny, ale nie omieszkalem go zapytać o rodzaj broni: „W Państwowym Korpusie Bezpieczeństwa” — odpowiedział z niezmierną powagą, jak gdyby to chodziło o sztab generalny, a nie o przyszłą policję.

Rozpoczęła się parogodzinna rozmowa. Ja wypytywałem o akcje, o wrażenia i opinie, oni o politykę, rząd w Londynie, losy Powstania i przyszłość. Ot, taka typowa polska, wojenna rozmowa, przez którą przewija się wszystko — śmierć i bohaterstwo, cierpienia, zawody i pretensje, niepewność, żal i rozczarowanie. Słuchałem i obserwowałem pilnie współbiesiadników. Szukałem odpowiedzi na jedno pytanie, z którym przyszedłem i ją otrzymałem. W tym wszystkim, co mówili na temat swej niewdzięcznej roli wykonawców wyroków, nigdy nie zabrzmiała nuta cynizmu, przechwałki czy brawury, a dominowało poczucie wypeł-

nienia bardzo ciężkiego i przykrego obowiązku. A właśnie chodziło o to, by tak czuli, a nie inaczej. Opuszczając towarzystwo zadowolony ze spotkania, z kolacji, w ogóle ze wszystkiego. A gdy w dodatku pod koniec, szewc kompanijny przyniósł moje buty, które w międzyczasie podzelał (siedziałem przy stole w skarpetkach), nic nie było z stanie zachwiać tego dnia moim dobrym samopoczuciem.

Pierwsze wyroki śmierci.

Pierwsze dwa wyroki śmierci zostały wykonane w Warszawie prawie równocześnie. Został zastrzelony porucznik policji granatowej, Roman Leon Święcicki, zasądzony za udział w niemieckim sądzie policyjnym, skazującym na śmierć Polaków. Niezależnie od wiarygodnych dowodów, dostarczonych sądowi, fakt ten był dość szeroko znany. Mówił on sam za siebie i właściwie nie było kary, na jaką Święcicki zasłużył. O ile pamiętam, wywiad egzekutywy ustalił, że codziennie rano wychodzi on ze swego mieszkania na Saskiej Kępie i idzie na Rondo Waszyngtona, by tam wsiąść w tramwaj, którym jeździł do biura. Został zabity na Rondzie kilkoma strzałami z rewolweru. Zarówno wykonawca wyroku, jak i osłona, wycofali się bez trudu, mimo iż sporo osób, stojących na przystankach, widziało całą akcję.

Drugim zabitym był Izydor Ossowski, urzędnik niemieckiego Urzędu Pracy, który się mieścił w gmachu Ziemstwa Kredytowego, przy zbiegu Mazowieckiej i Placu Małachowskiego. Pracował on w referacie Polaków, uchylających się od pracy przymusowej w Rzeszy i ścigał ich z niezwykłą zaciętością i gorliwością. A według mojej depeszy do rządu w Londynie, z dnia 9 czerwca 1945 roku, dwanaście tysięcy sześćset osób było poszukiwanych wówczas w samej Warszawie z powodu uchylania się od pracy. Ossowski został zastrzelony w swym mieszkaniu, przy czym gdy mu odczytano wyrok, padł na kolana i błagał o litość, której jednak nie wolno mu było okazać.

W celu poinformowania społeczeństwa polskiego o rozpoczęciu funkcjonowania podziemnego wymiaru sprawiedliwości i dla odstraszenia osób, łamiących przepisy Walki Cywilnej, K.W.C. postanowiło nadać tym wyrokom szcze-

gólny rozgłos. Poza rozgłoszeniem ich przez radio B.B.C., którego słuchano potajemnie w całym kraju i poza specjalnym komunikatem K.W.C. ogłoszonym w podziemnej prasie (*), oba wyroki zostały rozplakatowane w Warszawie, miejscu ich wykonania. Było to przedsięwzięcie nielada. Zostały wydrukowane wielkie, czerwone plakaty, których tekst rozpoczynał się od słów: „W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...”, a kończył się podpisem: „Kierownictwo Walki Cywilnej”. W nienagannym stylu sądowym, z zachowaniem formuł przyjętych dla ogłaszania wyroków karnych sądów państwowych, plakaty oznajmiały, że sąd specjalny w Warszawie, po rozpatrzeniu w dniu tym i tym, spraw Święcickiego i Ossowskiego, oskarżonych o to i o to, uznawszy każdego z nich winnym popełnienia przestępstw z artykułów takich i takich, skazał ich na śmierć. Wyroki wykonano przez zastrzelenie w dniach tych i tych.

Dla rozplakatowania czerwonych płacht zostało zmobilizowanych około dwustu osób spośród członków organizacji podziemnych, powiązanych z K.W.C. Najwięcej osób dało podziemne harcerstwo, czyli Szare Szeregi. Miasto zostało podzielone na dokładne okręgi i te przydzielone poszczególnym grupom. Najtrudniejszą częścią całego przedsięwzięcia było samo rozlepianie aliszów, czego przecież nie można było dokonać za dnia, a tylko w nocy, a wiadomo, że o zmroku, o różnych porach w lecie i w zimie rozpoczynała się godzina policyjna, po której aresztowano każdą osobę, znaną na ulicy bez specjalnej przepustki. Zdarzało się także w okresach większego napięcia, że żandarmi po prostu strzelali po godzinie policyjnej do ludzi, których na oko rozpoznawali jako Polaków. Innymi słowy, rozlepianie było połączone z ryzykiem śmierci, tym bardziej że znalezienie przy schwytanym plakatów obciążało go bez reszty.

Cała akcja została przeprowadzona wyjątkowo sprawnie. Dwa tysiące plakatów pokryło czerwienią całe miasto i nie pamiętam, by z uczestników tej akcji ktokolwiek został schwytyany. Działo się to w nocy z 4 na 5 marca 1943 roku (wyroki zostały wydane znacznie wcześniej).

(*) Patrz B.I., nr 10 z 11. III. 1943.

Dnia tego rano, zaraz gdy minęła godzina policyjna, wyszedłem z domu profesorskiego Politechniki Warszawskiej, gdzie wraz z żoną ukrywałem się w mieszkaniu Cesi, wdowy po profesorze politechniki i byłym ministrze robót publicznych, Broniewskim, która w międzyczasie stała się jedną z najlepszych i najbardziej oddanych naszych pracowniczek. Postanowiłem objechać na rowerze miasto i sprawdzić, jak robota została wykonana. Ledwie zrobiłem parę obrotów pedałami, gdy zauważyłem na rogu Koszykowej grupę ludzi, stojących przy kiosku ogłoszeniowym, a nad ich głowami czerwoną płachtę plakatu. Zeskoczyłem z roweru i zbliżyłem się do czytających. Wlepili oczy w afisz w zupełnym milczeniu, ale wiele bym dał, by móc opisać te spojrzenia i uśmiechy, z jakimi odchodzili. Ludzie pod okupacją nauczyli się rozmawiać spojrzeniami, rozwinął się cały ich język. Błysk oka, mrugnięcie, spojrzenie z ukosa, skrzywienie brwi, wszystko to miało swoje znaczenie. Tym razem spojrzenia wyrażały zadowolenie i aprobatę dla tego co głosił afisz.

Wsiadłem na rower i pojechałem dalej. Wszędzie to samo. Grupy ludzi, czytających w milczeniu i rozchodzących się z wyrazem nieukrywanej satysfakcji na twarzach. Jeszcze lepiej było na Pradze i Woli. Tam, nędznie ubrani mieszkańcy, głośno komentowali wypadek. Padały uwagi: „Zasłużyli sobie”, „Każdy szpicel powinien dostać w czapę”, „Patrzcie, już są sądy!”.

Gdy po dwóch godzinach wracałem z objazdu, sytuacja już uległa zmianie. Wszędzie spotykałem grupy żandarmerii i policji granatowej, zachowujące się w jednaki sposób, widać na rozkaz dany z góry. Podjeżdżali cicho na rowerach do czytających i schwyciwszy jedną czy dwie osoby, kazali im zdzierać afisze. Widać, że Niemcom zależało na tym, by je niszczyły polskie ręce.

W ten sposób po paru godzinach plakaty w śródmieściu zostały zdarte, ale przedtem zdążyło je przeczytać tysiące ludzi i w całym mieście po prostu gotowało się od wrażenia. Na przedmieściach przetrwały one kilka dni i dłużej.

Któregoś dnia w roku 1947, wchodziłem z Powiśla na wiadukt po schodach wewnętrznych Mostu Poniatowskiego. Skręciłem z jednej kondygnacji schodów na drugą

i oto na murze spostrzegłem skrawek czerwonego afisza, ze słowami: „*W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej...*”. Nie jestem skłonny do łatwych wzruszeń, ale zrobiło mi się ciepło na sercu na widok tego weterana Walki Cywilnej, który przetrwał na posterunku przez cztery lata.

Dalsze wyroki.

Trzeci z kolei wyrok zapadł na Franciszku Rutkowskim, podmajorzym działu budowy wodociągów i kanalizacji Zarządu Miejskiego w Warszawie, notorycznym agencie Gestapo, który chwalił się tym przed innymi pracownikami, szantażując i terroryzując ich bez litości. Wyrok wykonali w dniu 18 marca 1943 roku dwaj skoczkowie spadochronowi, przybyli z Anglii, którzy przyłączyli się do egzekutywy W.C. (*). Jednym z nich był słynny z odwagi i odwagi Filip (**), młody chłopiec olbrzymiego wzrostu, który kiedyś przyszedł na spotkanie uliczne ze mną w mundusze niemieckiego szturmowca, obwieszony z tyłu i przodu rewolwerami. Został za to na miejscu srodze zbesztany, gdyż czułem się jak pod pręgierzem, kiedy mijający nas przechodnie, chwytając uchem polską mowę, patrzyli na nas z pogardą i nienawiścią. Drugim był młody chłopak z „Wici”, nieśmiały i miły blondynek. Filip opowiedział mi szczegóły wykonania: „Ekipa obserwacyjna poinformowała nas, że Rutkowski kieruje robotami kanalizacyjnymi na dalekim Grochowie. Pojechaliśmy tam dorożką i po drodze postanowiliśmy użyć podstępku. Miałem przy sobie fałszywą legitymację agenta Gestapo z moją fotografią. Odwoławszy na bok Rutkowskiego, pokazałem mu ją i powiedziałem, że jego szef chce się z nim widzieć w pilnej sprawie i ma zaraz z nami jechać. Rutkowski bez chwili wahania wsiadł do dorożki. W czasie jazdy powiedziałem mu, że mamy jeszcze kogoś po drodze aresztować i może jego pomoc będzie potrzebna. Zgodził się znów bez chwili wahania. Po drodze narzekał, że tak dobrze pracuje, a nawet jego dzieci nie chcą przyjąć do niemieckiej szkoły. Tego było już dla nas za dużo. Toteż gdy znaleźliśmy się na

(*) Patrz B.I., nr 12 z 25. III. 1943.

(**) Nazwisko Majer lub Mejer Jerzy, syn podpułkownika W.P.

jakimś pustym placu, zatrzymaliśmy dorożkę, wyciągnęliśmy rewolwery i odczytaliśmy z kartki wyrok. Padł na kolana, płakał i błagał, ale..." Filip nie kończąc pociągnął palcem wymaginowany cyngiel. „A nie mieliście później jakichś trudności?” — zapytałem. „Żadnych. Tyle tylko, że safata, jak zobaczył co się stało, dał kobyle parę batów i wiał, ile sił. Lecieliśmy za nim z „góralem” w rękę, bo chcieliśmy dobrze zapłacić za daleki kurs, ale gdzie tam! Jego by samochód nie dogonił!”.

A oto dalsze przykłady, które podaję nie dlatego, bym się lubował w rozpamiętywaniu tych ponurych spraw, a po prostu dla zorientowania czytelnika, za jakie przestępstwa wymierzano karę śmierci:

Sąd Specjalny w Krakowie: Michał Klimończuk, tramwajarz, skazany na śmierć za wydanie policji niemieckiej kilku osób, które uciekły z branki na roboty. Egzekucja przeprowadzona 2. 4. 43. Karol Bielicki, policjant granatowy — za zabicie Polaka i wysługiwanie się Niemcom. Egzekucja 2. 5. 43. Franciszek Bubny, komisarz ze wsi Dobczyce — za wydanie składu broni. Egzekucja 5. 6. 43. Walenty Pawlik, Walenty Dec, Wanda i Sławomir Madradowie — konfidenci Gestapo, którzy swoją działalnością spowodowali aresztowanie i śmierć wielu Polaków (*).

Sąd Specjalny w Warszawie: Seweryn Węgorzewski z Dyrekcji Tramwajów Miejskich w Warszawie — za spowodowanie aresztowania kilku tramwajarzy. Egzekucja 1. 3. 43. (**).

Wśród wyroków skazujących brak jest wydanych za zapisanie się Polaka na „Volkslistę”. Przyczyną tego był fakt, że ten problem, wbrew pozorom, był zbyt skomplikowany, by stosować mechanicznie za to odstępstwo od polskośći tak zwaną karę główną. Mówiąc w bardzo ogólnych zarysach, wyglądał on odmiennie w różnych dzielnicach Polski. Ślężacy na przykład, zaraz na początku akcji germanizacyjnej, w odruchu samoobrony postanowili przyjąć „Volkslistę”, co się stało, jak mniemam, bez uszczerbku dla ich polskośći i patriotyzmu. Na Pomorzu, po początkowych wysiedleniach do G.G., zapisano resztę lud-

(*) Patrz Obwieszczenie K.W.C. w B.I., nr 23 z 27.V.1943.

(**) Patrz Obwieszczenie K.W.C. w B.I., nr. 17 z 29.IV.1943.

ności przymusowo na tę listę, po czym nastąpił pobór młodzieży do armii niemieckiej. To samo powtórzyło się w Poznańskim. Ci żołnierze z przymusu, później uzupełnili szeregi Drugiego Korpusu we Włoszech. Tylko w G.G. nie stosowano wobec Polaków bezpośredniego nakazu zapisywania się na listę niemiecką. Toteż wypadki odstępstwa były tutaj rzadkie i sądy specjalne tymi sprawami się nie zajęły.

*Sprawa „księcia góralskiego”,
Wacława Krzeptowskiego.*

Wyroki były wykonywane z reguły przez zastrzelenie. Pamiętam tylko dwa wyjątki, a mianowicie: wykonanie wyroku przez zasztyletowanie na agencie Gestapo w Głownie, pod Łodzią, i przez powieszenie — na „księciu góralskim”, Wacławie Krzeptowskim.

Wiele osób ze świata politycznego, no i wszyscy działacze ludowi pamiętają tego rosnącego, pięknego górala, byłego posła na Sejm, który gdy włożył na siebie strój góralski, to po prostu rwał wszystkie oczy. Znałem go dość dobrze i widywałem nieraz w czasie pobytu w Zakopanem. Krzeptowski, jak wiadomo, z poduszczenia gubernatora Franka, wraz z renegatem Szatkowskim poszedł na organizowanie „narodu góralskiego” i podziemie od dawna miało na niego oko, szczególnie ludowcy. Byłby on niechybnie zginął zaraz na początku swej występnej działalności, gdyby nie to, że z Zakopanego i z Krakowa szły wiadomości, że Niemcy wyraźnie zapowiedzieli, iż w razie zabicia Krzeptowskiego zmasakrują w odwet całą ludność góralską, która w swej masie nie dała się pociągnąć „księciu góralskiemu”, jak Niemcy zwali Krzeptowskiego, i nie przyjęła Kennkart „Goralenvolku”. Ale pod koniec 1944 roku, kiedy porażka Niemców stała się oczywista i ich kontrola nieco zelżała, nadszedł czas na zmycie hańby, za jaką górale uważali działalność Krzeptowskiego. Okręgowe K.W.C. w Krakowie wyznaczyło dwie ekipy dla zgładzenia Krzeptowskiego. Jakimś siódmym zmysłem wyczuł on coś złego wokół siebie, gdyż uciekł na Słowację. Ekipy poszły za nim. Krzeptowski, opanowany szaleństwem strachu, rzucał się to tu, to tam, wreszcie wrócił do Zakopa-

nego. Tam go ujęto w nocy i powieszono na Krupówkach. W wykonaniu wyroku brali udział górale. Zdrajcę dosięgła kara z rąk tych, których chciał uczynić zdrajcami.

Cała akcja Krzeptowskiego, między innymi próby formowania legionu góralskiego, spaliła na panewce, a wśród górali była przedmiotem kpin i dowcipów. Utkwiła mi w pamięci następująca historia, opowiedziana w 1946 roku w Zakopanem przez znajomego górala.

Na jednego z najbardziej opornych, szanowanych starszych górali w Zakopanem, spadła nagle rewizja Gestapo. Przewrócili mu dom do góry nogami, a później przekopali cały ogród. Góral, pykając fajeczkę, przyglądał się temu z filozoficznym spokojem. Gdy rewizja dobiegała końca bez żadnego wyniku, góral, znający nieco język niemiecki jeszcze ze służby w armii austriackiej, zbliżył się do oficera Gestapo i z niezmaconą pogodą zapytał, czego tak zawzięcie poszukują. Oficer Gestapo, być może ujęty niemiecką mową, odpowiedział: „Doniósł nam Krzeptowski, że ty chowasz u siebie „Maschinengewehr” (karabin maszynowy). — „Mašingwer?” — zdziwił się góral — „czemuście mi od razu nie powiedzieli. Mam, czemu miałbym nie mieć. Chodźcie za mną, zaraz wam pokażę”. Zdumiony gestapowiec i żandarmi weszli za góralem do chałupy. Tam, podniósł on wieko od kufra, wyklejone od wewnątrz gazetą, i mówi: „Tu jest, patrzcie”. Niemcy nachylili się i zobaczyli w gazecie fotografię Krzeptowskiego sprzed wojny, gdy ofiarowuje marszałkowi Rydzowi-Śmigłemu karabin maszynowy, zakupiony ze składek góralskich, ze słowami: „Dajemy ci tę broń, Marszałku, byś nią bił tych drani Niemców”. Po chwili po Gestapo i żandarmach nie pozostało żadnego śladu. Natomiast twarz Krzeptowskiego nosiła przez kilka dni ślady rozmowy z niemieckimi protektorami.

Reakcja Warszawy na całą aferę góralską (no i mniejszą aktywność Krakowa w akcji podziemnej) wyraziła się iście po warszawsku, bo w złośliwym dowcipie, czyniącym aluzję do popularnej sztuki Bogusławskiego: „Jakie narodowości zamieszkują Generalną Gubernię? — Polacy, Krakowiaci i Górale”.

Samosądy.

Czy zdarzały się wypadki samosądów? Wychodząc z założenia, że tylko sądy specjalne były sądami państwowymi, a wszystko inne samosądem, przyznać trzeba, że niestety, takie wypadki miały miejsce. Podszywano się przy tym pod firmę K.W.C., co zmusiło mnie do wydania odezwy przeciwko zbrodniczemu nadużyciu tej nazwy (*). Później, gdy tak zwane Kierownictwo Walki Konspiracyjnej, będące kryptonimem Kedywu (Kierownictwo Dywersji A.K.) zostało połączone z K.W.C. i utworzono Kierownictwo Walki Podziemnej na czele z Komendantem A.K., w skład którego również wchodziłem, zostało wydane w dniu 15 września 1943 roku dodatkowe obwieszczenie, skierowane przeciwko samosądom. Stwierdzało ono między innymi, że wszystkie wyroki sądów podziemnych są publikowane w prasie konspiracyjnej i po tym można je odróżnić od samosądów (**).

Nie wyjaśniona z tego punktu widzenia pozostaje sprawa zastrzelenia pewnych osób, zanim powstały sądy specjalne. Taki wypadek miał miejsce ze znanym aktorem filmowym, Igo Symem, który stał się Volksdeutchem i urzędnikiem Wydziału Propagandy Dystryktu Warszawskiego. Mimo, że starał się oddawać pewne usługi swoim dawnym kolegom z teatru czy z filmu, co ci zawsze podkreślali na jego korzyść, został zastrzelony przez nieznaną K.W.C. osobę. Niewątpliwie spotkała go jednak zasłużona kara. Znając praktykę i orzecznictwo sądów podziemnych, gotów jestem zaryzykować opinię, że z pewnością zostałby skazany na śmierć, gdyby dożył chwili ich powstania, działając nadal na dotychczasowym stanowisku i w ten sam sposób. Zbyt był znanym aktorem i zbyt dużo szkody przyniosła jego zdrada, by na przykład odroczone jego sprawę do rozpatrzenia po wojnie.

Natomiast niewątpliwy wypadek samosądu zaszedł np. w odniesieniu do osoby znanego lekarza dr Wiczyńskiego, oraz w stosunku do słynnego aktora Junoszy-Stępowskiego. Obaj zostali zastrzeleni w czasie, gdy sądy już funkcjono-

(*) Patrz B.I., nr 20 z 20. V. 1943.

(**) Patrz B.I. z 23. IX. 1943 i książka gen. Bora-Komorowskiego pt. *Armia Podziemna*, str. 115.

wały i z tego samego powodu, to jest utrzymywania stosunków towarzyskich z Niemcami. Los ich ukarał za surowo, gdyż za samo utrzymywanie stosunków towarzyskich nie stawiano nawet przed sąd specjalny, tylko przed inną instancję, o czym dalej. Niewspółmierność tej kary z winą wyczuł sam Junosza, gdyż konając rzekomo wyrzekł te słowa: „Jestem winny, lecz ukarano mnie za surowo”. Według ogólnej opinii, został on wciągnięty w stosunki towarzyskie z Niemcami przez swoją żonę, która zajmowała się śliskim procederem „wykupowania więźniów”.

Komisje Sądzące Walki Cywilnej.

Dla rozpatrywania przestępstw mniejszej wagi, zostały powołane do życia Komisje Sądzące Walki Cywilnej, zasadniczo w składzie trzech obywateli polskich o nieskazitelnym przeszłości. Z biegiem czasu powstało ich kilkadziesiąt. Miały one charakter sądów obywatelskich i były uprawnione do orzekania kar infamii, nagany i upomnienia. O stosowaniu jednej z tych kar decydował rozmiar szkody, wyrządzonej interesowi polskiemu i stanowisko społeczne danej osoby. Kary infamii i nagany były publikowane w prasie podziemnej, upomnienie sporządzone na piśmie otrzymywał tylko skazany. O rodzajach przestępstw popełnionych najlepiej zorientuje czytelnika poniższe przykładowe wymienienie znanych mu zapewne osób i popełnionych przez nie wykroczeń.

Aktorzy: Samborski, Kondrat, Pluciński i Chodakowska — skazani na infamię za grę w filmie niemieckim, zohydżającym Polskę.

Dyrygent Dołżycki skazany na infamię za wystugiwanie się Niemcom.

Aktorzy: Dymsza, Perzanowska i Malicka — skazani na nagane za utrzymywanie stosunków z Niemcami (*).

W wypadku pierwszym aktorzy dali się użyć do gry w filmie niemieckim, występując w rolach Polaków, maltretujących Niemców. Były w nim sceny, gdzie np. polska

(*)Patrz B.I. nr 9 z 4. III. 1943, nr 41 z 14. X. 1943 i nr 28 z 13. VII. 1944.

policja bije Niemców. Prócz skazanych, Niemcy starali się zaangażować także innych aktorów, ci jednakże zdołali się jakoś od gry wykręcić, dając przez to dowód, iż leżało to w granicach możliwości.

Wypadek drugi był w Warszawie bardzo głośny. Dyrygent Dołżycki przypomniał sobie nagle, że jest ukraińskiego pochodzenia i zaczął tym Niemców kokietować. Nie przybrało to jednak takich rozmiarów, by podziemie musiało wkraczać, tym bardziej że Dołżycki zdołał odtworzyć w pewnym zakresie orkiestrę Filharmonii Warszawskiej i zapewnić jej członkom jakie takie przeżycie, dając koncerty w olbrzymiej cukierni Lardellego, przy zbiegu Polnej i Oleandrów. Była to jedyna wówczas prawdziwie kulturalna rozrywka, mimo że nie wolno było grać Szopena, Moniuszki, ani innych polskich kompozytorów. Sala była z reguły nabita po brzegi. Niemcy trzymali się środka, naprzeciw estrady i zachowywali się spokojnie i cicho. Ginęli wprost w masie polskiej publiczności. Na sali nastrój przyjemnego podniecenia, właściwy ludziom, których czeka kilka godzin miłego spędzenia czasu. Coś jak sala teatralna przed podniesieniem kurtyny. Między stolikami uwijają się młode, ładne panie, przeważnie tancerki z baletu opery warszawskiej. Nad wszystkim ma oko „Pa-juć” Chrzanowski, pełen energii i dobrego humoru (zabity w czasie Powstania). Na estradę wchodzi Dołżycki i potrząsając bujną czupryną, podnosi batutę. Za chwilę cała sala zapomina na jakiś czas o wojnie, terrorze, strachu i biedzie.

Jednak zaczynają krążyć o Dołżyckim coraz gorsze wieści. Są dowody organizowania przez niego prywatnych koncertów u gubernatora Fischera, bywania na przyjęciach niemieckich, wreszcie dopuszcza się on szczególnego wybryku. Któregoś dnia Dołżycki zwraca się przed rozpoczęciem koncertu do siedzących na sali Niemców i, mówiąc po niemiecku, oświadcza, że na dzisiaj przypada 25-letnia czy też 30-letnia rocznica jego pracy dyrygenckiej i robi mu to specjalną przyjemność, że może poinformować niemieckich gości, iż pierwszy raz dyrygował na koncercie w Berlinie. Niemcy dali mu huczne oklaski, polska część sali milczała. Stało się to przysłowiową kroplą i Dołżycki został skazany na infamię za to i cały szereg innych wykro-

czeń, co było równoznaczne z bojkotem jego dalszych koncertów u Lardellego.

W czasie Powstania Dołżycki został internowany i doszły mnie głosy, że był używany przez Powstańców do różnych robót w oblężonej na Powiślu elektrowni. Dodając nawiasem, w ten sam sposób został internowany w czasie Powstania na terenie Politechniki profesor Czochralski, podejrzewany jeszcze przed wojną o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Znany był jego proces na tym tle o zniesławienie z profesorem Politechniki, Broniewskim. Gdy Niemcy nagłym wypadem zdobyli Politechnikę, uwolnili go i wywieźli do Niemiec.

Jeśli chodzi o przykład trzeci, Malickiej i Dymszy, to narobił on Warszawie najwięcej złej krwi. Te dwie osoby, którym stolica dała wszystko — sławę, powodzenie i dostatek, odpłaciły się jej za te dobrodziejstwa w ten sposób, że Malicka nawiązała bliskie stosunki z jakimś oficerem niemieckim, a Dymsza brał udział w pijatykach Gestapo. Urządzał je również w swym mieszkaniu, w domu przy rogu Wilczej i Emilii Plater, nie domyślając się nawet, że każda orgia jest rejestrowana przez ludzi z Walki Cywilnej, mieszkających w sąsiedztwie. Widziano go także pijanego w dorożce w towarzystwie Niemców. Został skazany na naganą, co zaszkodziło jego powojennej karierze tylko na krótko. Po zajęciu Polski przez Sowiety, zakazano mu występować w Warszawie i grał tylko w Łodzi, gdzie jednakże jego nazwisko nie mogło figurować na afiszu i zastępowały je gwiazdki. Ale dalej sprawy potoczyły się zwykłym torem. Dymsza wstąpił do P.P.R., zaczął brać udział w masówkach partyjnych i maszerował w pochodzie pierwszomajowym pod sztandarem P.P.R. Z tą chwilą wszystko zostało przebaczone i zapomniane. Przynajmniej na razie.

Jak z tych przykładów wynika, większość kar dotyczyła zakazanych stosunków z Niemcami. Druga z kolei kategoria odnosiła się do innych rodzajów niewłaściwego prowadzenia się, np. chodzenia do niemieckiego Kasyna Gry w Warszawie, łamania bojkotu niemieckiego teatru miasta Warszawy, kin itd.

Kolaboracjonizm.

Krakowski ośrodek Rady Głównej Opiekuńczej (R.G.O.), na czele z hr. Adamem Ronikiem, był najbardziej narażony na niebezpieczeństwo politycznej współpracy z Niemcami, którzy próbowali od czasu do czasu użyć go dla swoich celów, w szczególności dla zabezpieczenia sobie posłuchu wśród polskiej ludności i spokoju w kraju. Ronikier, pozostający w kontakcie z władzami podziemnymi i ostrzegany przez nie, trzymał na uwięzi swój nieprzeciętny temperament polityczny, no i ambicję odegrania większej roli niż prezesa R.G.O., i nie poszedł na śliską drogę współpracy politycznej. Od niego pochodzi powiedzenie: „Wolę dostać kulą w łeb od Niemców, niż od Polaków”. W rezultacie, R.G.O. od początku do końca nie wyszło poza granice akcji charytatywnej.

Najuczciwiej, ale najmniej poważnie wyglądała akcja podeszłego już wiekiem Studnickiego, od niepamiętnych czasów zwolennika przyjaźni i współpracy polsko-niemieckiej. Ten składał Niemcom liczne memoriały, w których wytykał zbrodnie niemieckie i piętnował głupotę polityki okupacyjnej, domagając się jej zmiany. Nie bał się nawet chodzić do Gestapo, skąd go często gęsto wyrzucano za drzwi, ostrzegając dobrotliwie, że za następnym razem już go nieodwołałnie zamkną.

Jeśli chodzi o głośną w 1940 roku i przykrą sprawę pisarza Ferdynanda Goetla, oskarżonego o współdziałanie z wydziałem propagandy dystryktu warszawskiego przez nakłanianie literatów do rejestrowania się w tym wydziale i podporządkowania się jego zarządzeniom, to została ona odłożona do rozpatrzenia po wojnie. Główną tego przyczyną był fakt, że w momencie powstania podziemnego wymiaru sprawiedliwości należała ona już do przeszłości i nie przynosiła aktualnej szkody.

Po raz drugi ukazał się Goetel na widowni życia okupacyjnego po ujawnieniu przez Niemców grobów pomordowanych w Katyniu. Wówczas to Niemcy zorganizowali wysłanie samolotem do Katynia delegacji i w skład jej, obok Emila Skińskiego i oenerowskiego działacza księdza Trzeciaka, wszedł także Goetel. Fakt ten rozgłosiła prasa

gadzinowa, podziemie zaś przyjęło go jako dowód dalszych bliskich stosunków Goetla z okupantami.

Co się tyczy Feliksa Burdeckiego i wspomnianego już Skiwskiego, to nawiązali oni współpracę z niemiecką firmą „Wydawnictwo Polskie”, założoną przez Niemkę Ohlenbusch, żonę szefa propagandy dystryktu warszawskiego i redagowali periodyk propagandy niemieckiej pt. „Przełom”. Byli za to potępieni przez podziemie i atakowani przez jego prasę. Czy jednak i jakie wyroki na nich zapadły, nie pamiętam.

Ostatnim wypadkiem kolaboracjonizmu, zasługującym na wzmiankę, jest sprawa Józefa Mackiewicza, współpracownika gadzinówki niemieckiej, wydawanej w Wilnie, pod nazwą „Goniec Codzienny”. Jeden z redaktorów „Gońca” Ancerewicz, został zastrzelony z wyroku sądu podziemnego i, o ile mnie pamięć nie myli, również jakieś orzeczenie w stosunku do Mackiewicza zostało wydane i następnie ogłoszone w zimie 1942-1943 roku, w jednym z numerów „Niepodległości”, organu wileńskiego okręgu A.K. Rad będę, jeśli ktoś z podziemią wileńskiego te moje niekompletne wiadomości uzupełni i wyjaśni sprawę do końca.

Dlaczego te przykre fakty, może już trochę zapomniane, teraz odgrzebuje? Otóż po prostu dlatego, że nie mogę pogodzić się z myślą, by sprawy dla których wyświechtania ludzie z podziemnego wymiaru sprawiedliwości nie raz ginęli, poszły kiedykolwiek w niepamięć i by opinia Kraju co do nich była tak lekceważona.

Kara chłosty i strzyżenia włosów.

Niezależnie od postępowania przed sądami specjalnymi i komisjami sądzącymi, istniał jeszcze trzeci tryb postępowania, dla którego nie widzę innej nazwy, jak doraźny czy administracyjny. Ale nie o nazwę chodzi, a o to, że sprowadzał się on do kary chłosty i strzyżenia włosów. To ostatnie zwykle w stosunku do kobiet, przebywających w towarzystwie Niemców. Stosowano te kary w wypadkach, gdy sprawa nie była na tyle poważna, by ją kierować do sądów specjalnych z jednej strony, a z drugiej nie było szans, że kara infamii czy nagany podziąła odstrasza-

jąco. Ocena danego wypadku i zarządzenie wymiaru kary leżało w rękach lokalnego kierownika Walki Cywilnej, który kierował się wydanymi instrukcjami. Karę chłosty stosowano np. na wsi, za udział w zabawie niemieckiej, za wyrąb państwowego lasu, za przywłaszczenie majątku ruchomego rodaków itp. (*). Wypadki stosowania tych kar były zresztą bardzo rzadkie.

Znam jeden wypadek zastosowania obu kar na raz. Miało to miejsce w pewnym teatrzyku warszawskim, poświęconym muzyce bardziej niż zwykle podkasanej. Wiadome było, że niemiecki wydział propagandy obniża rozmyślnie poziom tych teatrzyków, popierając w pierwszym rzędzie najgorszego gatunku pornografię. Chodziło o deprawację polskiej młodzieży, chciwiej, jak każda młodzież, wesołej rozrywki. Władze podziemne patrzyły przez palce na istnienie tych teatrzyków, z uwagi na to, że dawały one możliwość przeżycia licznym aktorom, zgromadzonym w Warszawie prawie z całej Polski. Wymagały jednak od kierowników artystycznych tych teatrzyków i reżyserów przeciwstawiania się zarządzeniom niemieckim, zmierzającym konsekwentnie do obniżenia poziomu repertuaru. Odpowiedni dział K.W.C. był w stałym kontakcie ze Stefanem Jaraczem, który składał codzienne dowody, że był wielkim Polakiem i patriotą. Szedł on dalej nawet, niż K.W.C., bowiem propagował całkowite odsunięcie się świata aktorskiego od teatru, słowem zaniechanie gry. Na przeciwnym stanowisku stała Perzanowska. Ogromna większość aktorów, a przede wszystkim ci ze „szkoły Jaracza” szli za mistrzem, bojkotowali teatr i przeważnie pracowali jako kelnerzy.

W konkretnym wypadku i kierownik teatru i reżyser nie tylko że się nie stosowali do instrukcji K.W.C., ale wykazywali nawet nadmierną gorliwość w wykonywaniu zaleceń niemieckich. Nie pamiętam powodu, dla którego władze stołeczne K.W.C. wybrały karę chłosty i ostrzyżenia włosów dla winnych, zamiast skierowania sprawy do komisji sądzącej, ale wiem, że była to impreza, której wykonanie wymagało dużego organizacyjnego wysiłku i ryzyka. A trzeba pamiętać, że wykonanie kary chłosty lub

(*) Patrz B.I. nr 28 z 13. VII. 1944.

ostrzyżenia włosów było poniekąd trudniejsze, niż wykonanie wyroku śmierci, gdyż osoby, które kara spotkała, mogły zaalarmować policję, zrobić doniesienie itd.

Pewnego dnia, w momencie gdy się rozpoczęła próba, do teatryku wtargnęło kilkunastu uzbrojonych ludzi. Poobsadzali wszystkie wejścia, okna itp., po czym kilku weszło na scenę. Wywoławszy z grona przerażonych aktorów właściwe osoby i przeczytawszy im litanie ich uchybień, jednej z nich na miejscu, w świetle kinkietów wymierzili przepisaną ilość batów, drugiej ostrzygli włosy na zero. Wykonawcy, na których czele stał prawnik, zachowali, tak jak to było zalecone, niezmaconą powagę. Jeden tylko wyłamał się spod nakazanej dyscypliny. Był to zaimprovizowany fryzjer, który zbliżywszy się do swej ofiary z maszynką w ręku, zapytał z umizgiem: „Czy mam szanownego pana zrobić na polkę, czy z przedziałkiem?”. Ponury jak noc delikwent wykazał pełne wyczucie momentów dramatycznych roli, jaką miał odegrać, gdyż głosem nabrzmiałym od bólu odparł: „Nie szydź pan, a czyń swoją powinność!” I tak się stało, tyle tylko, że „fryzjer” został zwymyślany za obniżenie powagi aktu, w którym brał tak wybitny udział.

Obraz nie byłby pełny, gdybym nie dodał, że wiadomość o tej represji rozeszła się szeroko w świecie aktorским i zapewniła lepszy posłuch dla zarządzeń podziemia. Poza tym, że jedna z osób poszkodowanych znalazła natychmiast skuteczne remedium na cios, jaki ją dotknął. Już następnego dnia można ją było oglądać w peruce, do złudzenia przypominającej bujną czuprynę, która padła ofiarą karzących nożyc.

Pokazowy proces warszawski.

W drugiej połowie grudnia 1951, odbył się w Warszawie pokazowy proces Pajora, Ojrzyńskiego, Nienaftowskiego i Czystowskiego, na którym przypuszczono atak na K.W.C. i sądy specjalne. Oto wyjątek z aktu oskarżenia, w którym zresztą pomyłono K.W.C. z K.W.P. (według „Życia Warszawy z 14 grudnia 1951 i dalszych):

„W celu zahamowania wzmagającej się walki narodowowyzwoleńczej, Delegatura powołała nową organizację, tak

zwane Kierownictwo Walki Podziemnej. Na czele tej organizacji stanął... Stefan Korboński... W ramach KaWuPe, na miasto stołeczne Warszawę, działało szereg wytrawnych dwójkarzy, skierowanych z PeKaBe, a w tej liczbie Lechowicz (*), oskarżony Nienałtowski i inni. Według wytycznych udzielonych... przez głównego pełnomocnika K.W.P., Korbońskiego, zasadniczym zadaniem K.W.P. było rozpracowanie działaczy lewicy i kierowanie spraw przeciwko nim do specjalnie zorganizowanego w tym celu „sądu”, pod nazwą CeBeEs (cywilny sąd specjalny)”.

A oto wyjątek z dialogu między świadkiem Kurczewskim, a reżymowym prokuratorem:

Świadek Kurczewski: „Kierownictwo Walki Podziemnej został powołane przez Delegaturę w kraju na polecenie rządu londyńskiego. Był to aparat, który swoje wysiłki skierował na odcinek komunistyczny, na odcinek lewicy.”

Prokurator: „A w jaki sposób KaWuPe realizowało swoje zadania walki z lewicą?”

Św. Kurczewski: „Przez rozpoznanie, a następnie przez likwidację pewnych osób z tego odcinka.”

Prokurator: „Co się miało stać z ludźmi, których dotyczyły te wyroki?”

Św. Kurczewski: „Ci ludzie byli skazani na karę śmierci, w następstwie miały być przeprowadzone egzekucje które istotnie miały miejsce w późniejszym czasie”.

Wreszcie zeznania świadka Zborowskiego zawierają taki ustęp:

„KaWuCe, zorganizowane w 1942 roku, było oficjalnie skierowane przeciwko elementom przestępczym. Jednak był to tylko szyld zewnętrzny, za którym kryła się działalność, skierowana przeciw lewicy zgrupowanej w P.P.R. i w organizacjach jej pokrewnych. Głównym kierownikiem K.W.C. był Stefan Korboński, występujący pod pseudonimem Zieliński”.

Nie sądzę, aby te wymuszone przez Bezpiekę na świadkach zeznania wymagały odpowiedzi, ale myślę, że warto

(*) Były minister rządu Cyrankiewicza, obecnie w więzieniu.

w paru zdaniach zdemaskować samo kłamstwo komunistyczne. Otóż reżym komunistyczny i Bezpieka wiedziały od początku swego istnienia o podziemnym wymiarze sprawiedliwości i o działalności sądów specjalnych. Wszelkie wątpliwości na ten temat muszą zniknąć, gdy stwierdzę, że jeszcze przed moją ucieczką z Kraju, bo w lipcu 1946 roku, opisałem w głównych zarysach działalność sądów podziemnych w piśmie Polskiego Stronnictwa Ludowego, „Gazecie Ludowej” w Warszawie, z dnia 28 lipca - 3 sierpnia 1946, nr 205-211. Z opisu tego cenzor komunistyczny nie skreślił ani słowa, ani też po ukazaniu się artykułów nie wysunięto przeciw działalności tych sądów ani w prasie komunistycznej ani w inny sposób jakichkolwiek zarzutów. Stałoby to się niechybnie, gdyby np. jakakolwiek osoba, należąca do rodziny straconego, zwróciła się do Bezpieki z oskarżeniem, iż wyrok był wyrazem walki politycznej, rozrachunków z komunistami itp. Pole do zemsty było bardzo szerokie. Że jednak taki wypadek nie miał miejsca, jest to najlepszy dowód, iż wyroki były wydane za przestępstwa w nich określone, to jest przede wszystkim za zdradę stanu, poza tym że były sprawiedliwe i uzasadnione i że w istocie ani propaganda komunistyczna ani Bezpieka nie miały nic do zaczepienia w działalności sądów specjalnych. Dopiero w kolejnym rozwoju akcji zohydzenia minionego podziemia i po szeregu procesów, skierowanych przeciwko podziemnym organizacjom partyjnym, Delegaturze Rządu i Armii Krajowej przysłała kolej na K.W.C. i sądy specjalne. Nie może to jednak w niczym zmienić faktu, że w opinii Kraju sądy specjalne pozostały tym, czym w istocie były, to jest legalnymi organami wymiaru sprawiedliwości Polskiego Państwa Podziemnego, uprawnionymi do wydawania wyroków: *W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.*

IV

WALKA O UTRZYMANIE ŁĄCZNOŚCI

Warsztat na Muranowskiej.

Ziutek był ciągle bez własnego mieszkania i warsztatu. Szukaliśmy czegoś odpowiedniego, ale bez rezultatu. Po pewnym czasie dopiero, Stanisław zrobił następującą propozycję: „Wie pan co? Zapytałem tę gospodynię z Muranowskiej, czy nie zgodziłaby się na to, że zamiast na stację, lokal jej pójdzie na warsztat. Ta baba jest trochę trzaśnięta, ale bardzo morowa i zgodziła się. Mówi, że jej jest wszystko jedno”. W ten sposób Ziutek zainstalował się w domu przy ulicy Muranowskiej, w lokalu na pierwszym piętrze, z widokiem na Plac Muranowski. Ulica była przedzielona murem, za którym kryło się ghetto. Z okien widać było nieraz, co się w tym piekle działo i nienawiść do Niemców zamieniała się w nas w jakąś ponurą pasję. Jedyna rzecz, jaką można było zrobić, to ciągle wysyłanie depezo o tym, co się w ghetcie dzieje. Powoli przeczuliśmy na Muranowską wszystkie potrzebne materiały i Ziutek zaczął na nowo produkować aparaty. Przeniesienie każdej paczki kosztowało trochę nerwów, bo trzeba było przejść obok kilku wartowników Łotyszów w hełmach i czarnych mundurach, którzy łańcuchem posterunków otaczali całe ghetto i strzelali do każdego, kto wychylił się zza muru, lub kto z aryjskiej strony zanadto się do muru zbliżył. Nam przyglądali się bez zainteresowania, gdyż do ich obowiązków nie należało kontrolowanie przechodniów. Jednak było nieprzyjemnie ich mijać.

Poznałem bliżej właścicielkę lokalu, który był obszer-ny ale brudny i zaniedbany. Była to kobieta w średnim wieku, robiąca wrażenie zasuszonej, zawsze z papierosem w ustach, niezmiernie żywa i rozmowna. Przekonałem się wkrótce, że była ona także uosobieniem wszelkiego ryzyka i fanfaronady, a do tego wszystkiego, bardzo odważna i go-rażąca patriotka. Wszystko to razem, w różnych proporcjach dziwnie pomieszanę. Już przy naszym poznaniu przygwoź-dziła mnie do krzesła potokiem wymowy: „Nie potrzebuje mi pan mówić kim pan jest, bo ja dobrze wiem. O, proszę pana, ja siedzę w robocie po uszy i mam stosunki. Mój mąż jest wyższym oficerem w armii generała Sikorskiego, więc pan rozumie...” Tu zapuściła w moje oczy głębokie spojrzenie i obsypała mi kolana popiołem z papierosa. Za-rzuciła mnie mnóstwem informacji i różnego rodzaju po-ufne zwierzenia sypały się jak z rękawa. Zaleciał mnie jakiś zapaszek i doszedłem do wniosku, że moje vis-à-vis jest pod lekkim gazem. Jak się później okazało, ten stan był chroniczny i nasza gospodyni stale funkcjonowała, jak mówił Ziutek, „na małych obrotach”. Ponieważ nazwisko jej męża brzmiało identycznie z nazwiskiem jednego z ge-nerałów, więc ktoś z nas nazwał ją „generałową” i tak już zostało.

Pewnego dnia Ziutek zwierzył mi się tonem, na dnie którego leżało uznanie: „Nasza generałowa to herod baba. Wie pan, ona handluje bimbrem i przez to tak gazuje. Co ciekawsze jednak, w ostatnim pokoju przechowuje także Żydów”. — „O, niedobrze” — zmartwiłem się — „znów za dużo rzeczy zakazanych na raz. To trochę tak wygląda, jak u Władka w Leśnej Podkowie”. — „To jeszcze nie ko-niec. Tu przychodzą także jacyś dozorczy z Pawiaka i gene-rałowa z nimi gazuje. Coś mi się zdaje, że pośredniczy ona w przesyłaniu grypsów na Pawiak”. Słuchałem tego z niekłamanym podziwem, ale nie kryłem przed Ziućkiem niepokoju. W zbyt wielu kierunkach generałowa była czyn-na i z tego musi coś wyjść. Zdecydowaliśmy zatem, że na razie Ziutek pozostanie na miejscu, bo nie mamy innego wyjścia, będziemy jednak szukali pewniejszego lokalu.

Kto inny jednak rozwiązał zamiast nas tę niebezpieczną sytuację, która przetrwała parę miesięcy. Wybierałem się kiedyś na imieniny, na które się bardzo cieszyłem. Z przy-

jemnością myślałem o tym, że się oderwę na parę godzin od naszych kłopotów. Przedtem jednak, dla uspokojenia sumienia, zająłem do Ziutka, chociaż właściwie nie miałem do niego żadnej sprawy. Przywitał mnie złą wiadomością: „Dobrze, że pan przyszedł. Generałowa mówi, że ją ktoś szantażuje, ale niech lepiej ona sama panu to opowie”. Sprowadził generałową, a ta, rozsiadłszy się i zapaliwszy papierosa, zaczęła: „W tym domu mieszka z rodziną jeden łobuziak. Nie wiadomo co robi i z czego żyje, więc wszyscy lokatorzy trochę go się boją. Ze mną był zawsze bardzo grzeczny, bo ja z ludźmi potrafię postępować. Ale przyszedł do mnie wczoraj i mówi: ja wiem, co pani ma w mieszkaniu i co u pani robi ten wysoki chłopak. Jestem dobry Polak i będę trzymał język za zębami, ale żona mi ciężko choruje i nie mam za co jej leczyć. Potrzebuję pięć tysięcy złotych i myślę, że mi je pani pożyczysz. Pan rozumie, zaklełam się od razu, że u mnie w mieszkaniu nic zakazanego się nie robi, no i że skąd ja mogę wziąć pięć tysięcy złotych? Ten drań kazał mi się jednak namyśleć i powiedział, że jutro przyjdzie po odpowiedź”.

Cała rzecz wybitnie mi się nie podobała. Generałowa jakoś nie miała miny zastrachanej i widziałem, że po prostu oczekuje, że wyjmę z kieszeni pięć tysięcy złotych i jej dam. Nasunęły mi się różne przypuszczenia, ale wszystko, co na ten temat myślałem, sprowadzało się do jednego wniosku: trzeba natychmiast stąd się wynosić. Byłem przekonany, że nawet gdybym zdecydował się dać pięć tysięcy złotych, to na tym się nie skończy, a przeciwnie, szantażystę — ktokolwiek by nim był — zachęci to do stawiania dalszych żądań. Zwróciłem się więc do Ziutka: „Niech pan pakuje kwarce, cenniejsze lampy, fotocelę i narzędzia. Ja je zabiorę z sobą. Resztę na razie zostawimy na miejscu, ale w najbliższych dniach wszystko będzie zabrane. Panie Ziutku, niech pan bierze swoje rzeczy i wychodzimy”. Na generałowej ta szybka decyzja zrobiła piorunujące wrażenie: „Co pan w takiej gorącej wodzie kąpany? Nie ma się czego tak śpieszyć. Ja z tym łobuzem pogadam i potarguję się z nim, może co opuści. Jest czas, przecież nie polecisz zaraz do Gestapo!” — „Nie możemy ani chwili ryzykować. Mieszkanie nadal sobie rezerwujemy i niech je pani trzyma do naszej dyspozycji”. Zabraliśmy paczki i pożegna-

liśmy generałową, która była wyraźnie speszona i miała dość niemądrą minę. Dźwigaliśmy wszystko na przystanek tramwajowy, a Ziutek mruczał pod nosem: „Coś w tej sprawie śmierdzi...” — „Czy widział pan jakie inne wyjście z tej sytuacji?” — „Żadnego” — odpowiedział zły jak lichy Ziutek — „diabli wiedzą, co w takim towarzystwie może się zdarzyć, toteż lepiej, że się wynosimy”.

Rozstaliśmy się. On poszedł już nie wiem po raz który na miasto szukać noclegu u kolegów, ja z paczkami i z bronią pojechałem na imieniny. Zmartwiony i myślami gdzie indziej, nie byłem tego wieczoru w wesołym gronie pożądanym towarzyszem.

Warsztat na Marszałkowskiej.

Udało mi się otrzymać lokal w dużej kamienicy na Marszałkowskiej, blisko Placu Unii Lubelskiej. Ziutek dostał duży, wysoki pokój, z wielkim oknem i widokiem na Pole Mokotowskie. Umeblowanie iście spartańskie. Duży stół na krzyżakach, żelazne łóżko i dwa krzesła. Całe mieszkanie wkrótce zawałone sprzętem, gdyż Ziutek lubił mieć wszystko pod ręką i tylko niewiele rzeczy trzymaliśmy na schowaniu w Politechnice, w suchej piwnicy. Urządził sobie najpierw odpowiednią sygnalizację. W futrynę drzwi wejściowych była wbita szpilka i gdy naciskało się jej główkę, w mieszkaniu Ziutka odzywał się brzęczyk. Na inne dzwonki Ziutek nie reagował.

Powoli produkcja rozkręciła się na cały regulator, tudzież zakupy. Udało nam się kupić agregat benzynowy, który zdeponowaliśmy na Starym Mieście. Liczyłem się z tym, że możemy w przyszłości znaleźć się na terenie walk, gdzie nie będzie prądu z sieci. Wróciliśmy do dawnego konika — fonii, gdy udało mi się zdobyć lampę nadawczą o mocy jednego kilowata i Ziutek rozpoczął budowę nowego aparatu. Wreszcie, Ziutek nabył przyrząd do nagrywania głosu na płyty. Miałem zamiar, po wybudowaniu aparatu fonicznego, nadać audycję z przemówieniami Delegata Rządu i Komendanta, nagranych uprzednio na płyty. Cieszyliśmy się z góry na myśl, jakie miny zrobią koledzy ze stacji londyńskiej, gdy znów zaproponujemy próby fonii.

Zdobyłem też lokal na Mokotowskiej, który bardzo nam się podobał, a jeszcze więcej jego właściciele. Powoli wciągnęliśmy ich do roboty, w pierwszym rzędzie młodą, sympatyczną Jadzię, z zawodu krawcową, która ciężko pracowała na utrzymanie starych rodziców i młodszego brata, uczniaka Bolka. Byli to prości, mili i dobrzy ludzie. W mieszkaniu tym wytwarzały się nieraz dziwne sytuacje, gdy na przykład w jednym pokoju Jadzia przymierzała klientce suknię, a z drugiego Władek nadawał depesze.

Otrzymaliśmy dopiero teraz, i to w dość nieoczekiwany sposób, pierwsze radiostacje pochodzące ze zrzutów spadochronowych. Któregoś dnia wybrałem się z Ziułkiem na punkt rozładunkowy zrzutów przy ulicy Hożej, aby odebrać zapowiedzianą paczkę kwarców, których brak stale odczuwaliśmy. Na punkcie zastaliśmy parę osób, odbierających przesyłki. Funkcjonariusz, dokonywujący podziału, naglił do pośpiechu, gdyż o drugiej musiał zwinąć lokal. Ciągłe przy tym na kogoś czekał i był wyraźnie zakłopotany. Wreszcie zwrócił się do mnie: „Miał tu przyjść jeden gość i zabrać dla siebie dwie radiostacje. Jest już druga i lokal muszę natychmiast zwinąć, bo wracają do mieszkania niewtajemniczeni sublokatorzy. Co do licha mam z tymi stacjami zrobić? Nie mam gdzie ich podziać”. Wymieniliśmy z Ziułkiem porozumiewawcze spojrzenie i zaproponowałem wyjście: „Jak ich nie macie gdzie podziać, to my je możemy wziąć do siebie”. Po chwili wahania odpowiedział: „A to zabierajcie. Jak z tego wyjdzie jakaś historia to spóźnialski sam sobie będzie winien”. Mrugnąłem na Ziułka okiem, sprawdziliśmy rewolwery, radiostację zawinęliśmy w gazety i szybko w drogę, aby „spóźnialski” przypadkiem jeszcze nie nadszedł. *Beatus possidens!* Jako szczęśliwemu posiadaczowi stacyj, udało mi się wytargować je dla nas.

Wkrótce zrzuty sprzętu nadchodziły już w takich ilościach, że bez trudu otrzymaliśmy przydział dalszych aparatów, które nad krajowymi, własnej produkcji, miały tę przewagę, że były małe i wszystko, to jest nadajnik, odbiornik, transformatory itd., mieściło się w jednym blaszanym pudle. Aparatom tego typu nadaliśmy nazwę „Nelka” a telegrafisci nazywali je „pipsztakiem”. Gdy uruchomiliśmy

pierwszy z nich, z dumą stwierdziłem, że na aparatach Ziutka, pracowaliśmy około dwóch lat!

Ziutek nie ustawał w pracy i pomysłach i, jak mówił, „w wolnych chwilach” budował dwa aparaty radio-telefoniczne, na fale ultra-krótkie. Jeden miał u siebie, a drugi był u mnie, na Politechnice. Wieczorem, przeprowadzaliśmy próby i chociaż dość ciężko, to jednak rozmawialiśmy ze sobą. Przerwałem jednak szybko te wyczyny, gdyż nie wierzyłem zapewnieniom Ziutka, że rozmawiamy na tak krótkich falach, że są one dla gonii nieuchwytnie.

Pierwsze aresztowanie.

Nie mogłem już pogodzić innych zajęć konspiracyjnych z kierownictwem organizacyjnym łączności radiowej. Zaproponowałem więc to stanowisko Stanisławowi, który był zrównoważonym człowiekiem i doskonałym fachowcem. Swoim zwyczajem postawiłem na człowieka i dałem mu zupełną swobodę w organizowaniu pracy, zastrzegając dla siebie tylko dwie rzeczy: zasadnicze zmiany w systemie i metodach wymagają uprzedniego uzgodnienia ze mną i wydajność stacji nie może ulec zmniejszeniu. Eksperyment trwał dwa miesiące i nie udał się. Stanisław, przy wszystkich swoich zaletach, nie miał daru improwizacji koniecznego wówczas, kiedy praca ciągle się rwie skutkiem najrozmaitszych przeszkód. Poza tym, był to dość zblazowany fachowiec, który pracował dokładnie i solidnie, ale praca go nie porywała i nie miał inicjatywy. Brak było w jego robocie iskry Bożej. Wróciliśmy więc do dawnego systemu i znów biegałem razem ze wszystkimi po mieście. Mówię „biegałem” dlatego, że element nieustannego ruchu po ulicach i lokalach, odgrywał w naszej robocie dużą rolę.

Pewnego ranka otrzymałem kartkę: „Stanisław dziś w nocy aresztowany na noclegu, w mieszkaniu żony”. Jak się okazało, przed przyłączeniem się do nas, Stanisław należał do jakiejś podziemnej organizacji, którą opuścił. W organizacji tej wydarzyła się wyspa, schwytano jakąś listę członków, ktoś do tego zaczął sypać i w ten sposób doszli do Stanisława.

Zebrałiśmy się na naradę, zmartwieni do głębi. Wspominaliśmy wspólną pracę i przejścia i unosiliśmy się nad

Stanisławem. Wszystkie nieporozumienia zostały zapomniane i każdy myślał o nim z czułością i jak najlepiej. Cała pociecha była w tym, że nie schwytali go u nas, przy robocie, więc może chociaż wykaraska się od śmierci. Co teraz robić? Zna nasze lokale na Muranowskiej, na Srebrnej, w Milanówku i inne. Jeśli je wszystkie zamrozimy, praca stanie. Zdecydowałem nic nie zmieniać, kierując się następującym rozumowaniem, którym podzieliłem się głośno z obecnymi: „Jestem zdania, że jeśli schwytali Stanisława nie przy robocie radiowej, a tylko na skutek sypnięcia, to wiedzą tylko tyle, że Stanisław należał do jakiejś organizacji podziemnej, a nie to że pracował u nas. W najgorszym więc razie Stanisław przyzna się jedynie do tego zarzutu. Na temat roboty u nas po pierwsze nikt go się nie będzie pytał, bo nie wiedzą, a po drugie Stanisław sam nie piśnie ani słowa, bo oznaczałoby to dla niego murowaną śmierć”.

Wszyscy zgodzili się z tym, więc zarządziłem tylko na wszelki wypadek trzydniową przerwę i opuszczenie na ten czas zagrożonych lokali, po czym praca potoczyła się normalnie. Nad rodziną Stanisława roztoczyliśmy z ukrycia opiekę.

Po paru tygodniach, przez wywiad na Pawiaku dostaliśmy wiadomość, że Stanisław został odesłany do Majdanka i, o grozo czasów okupacyjnych, ucieszyliśmy się tą wiadomością, jak rzadko. A więc nie został rozstrzelany!

Wpadka na E.K.D.

Władek doniósł, że aparat w Milanówku nawalił. Zaczęło się coś śwędzić, potem błysk, dym i przestał działać. Ziutek wcale się tym nie przejął: „To głupstwo, jakieś spięcie. Trzeba przywieźć nadajnik na Marszałkowską, to się zaraz naprawi”.

Była to sobota popołudniu, więc poleciłem Władkowi, by zabrał w niedzielę ze sobą Helenę, która przywiezie nadajnik do Warszawy. Kazałem jechać w niedzielę, gdyż wówczas na kolejkach są mniejsze rewizje w poszukiwaniu szmuglu. W poniedziałek, wpadłem do Ziutka i gdy ten mi powiedział, że aparatu jeszcze Helena nie dostarczyła, pojechałem na Srebrną dowiedzieć się co się stało.

Tam mi sublokatorka powiedziała, że Władek wcale nie przyszedł w niedzielę, a tylko dzisiaj, w poniedziałek wcześniej rano i że Helena pojechała z nim do Milanówka i jeszcze nie wróciła. Spojrzałem na zegarek. Była godzina piąta. „O której wyszli z domu?” — „O siódmej rano” — „No, to coś się musiało stać. Przyjdę jeszcze przed godziną policyjną”. Byłem bardzo zaniepokojony. Czyżby po Stanisławie poszła Helena? Wierzyłem w prawo serii i obawiałem się nowej wpadki. Z drugiej strony jednak pocieszałem się, że może to jakieś niedociągnięcie w pracy, które trzeba będzie ukrócić. Wróciłem na Srebrną z Zosią, o wpół do ósmej. Otworzyła nam drzwi przestraszona sublokatorka: „Heleny jeszcze nie ma i bardzo się o nią boję”. Teraz już była prawie pewność, że stało się coś złego i zaczęliśmy snuć rozmaite przypuszczenia. Po cichu jednak każde z nas miało jeszcze trochę nadziei. A może zachorowała? Może poszła spać do znajomych, bo obliczyła, że nie zdąży do domu przed godziną policyjną? A może jeszcze przyjdzie w ostatniej minucie? Było już jednak dziesięć minut do godziny policyjnej i tylko z wielkim pośpiechem mogliśmy zdążyć do domu. Wyszliśmy, zostawiając na wszelki wypadek polecenie dla Heleny, aby natychmiast jutro z nami się skomunikowała.

Na drugi dzień wpadliśmy wcześniej rano do Ziutka, gdyż u niego powinna była Helena zostawić pierwszy ślad. Ale Ziutek zaraz przy drzwiach zapytał: „Co z Heleną?” — „Nic i zbieraj się pan, gdyż Helena zna ten lokal, więc lepiej jeśli wyjdziemy stąd i naradzimy się wspólnie”.

Poszliśmy w kierunku Srebrnej, rozumiejąc jednak, że w mieszkaniu Heleny może już być kocioł. Trzeba jakoś to zbadać. Na ulicy Lindleya trafił nam się stary, przedwojenny posłaniec, w czerwonej czapce, tak zwany w popularnej gwarze warszawskiej „gil”. Mimo wczesnego ranka buchał od niego bimber i staruszek był w doskonałym humorze. Nie mieliśmy innych możliwości, napisałem więc jakąś nic nie znaczącą kartkę do sublokatorki, wręczyłem posłańcowi spore wynagrodzenie i kazałem mu wrócić z odpowiedzią do pobliskiej kawiarni. „Gil” ruszył żwawo przed siebie, z lekka się zataczając, a my za nim tak, aby go nie stracić z oczu. Gdy wszedł do domu Heleny, schowaliśmy się do bramy po przeciwnej stronie ulicy, czekając co z tego

wyjdzie. Robiłem sobie tylko wyrzuty, że może naraziłem posłańca, ale trudno, stało się.

Już po paru minutach wyszedł z bramy, czerwony na twarzy jak jego czapka i prawie biegiem zmierzał w kierunku Lindleya. Obserwowaliśmy z ukrycia bacznie, czy kto za nim nie wyjdzie, lecz nikt się nie ukazał i posłaniec zniknął za zakrętem ulicy nie śledzony. Poszliśmy „gęsiego” za nim i widzieliśmy, jak stanął przed kawiarnią i rozglądał się na wszystkie strony. Ja się schowałem, a Zosia go zaczepiła: „Panie starszy, kogo pan szuka?” — „A takiego jednego wysokiego gościa, co mnie wysłał”. — „On nie mógł czekać, więc przysłał mnie”. — „A niech go diabli wezmą za taką posyłkę. Tam Gestapo! Otworzyli drzwi, odebrali kartkę, przeczytali, dali mi w mordę, kopniaka i ze schodów. Myślę, paniusiu, że zarobiłem jeszcze na „setkę”. Zosia dała mu pośpiesznie parę złotych i posłaniec znikł w pobliskiej knajpie.

Gdy nam powtórzyła rozmowę z nim, byliśmy zupełnie złamani. Więc już druga ofiara! Taka dzielna, odważna dziewczyna! Głowiliśmy się, jak mogła wpaść i czy wpadł także Władek. Z ciężkim sercem powędrowaliśmy na punkt kontaktowy, gdzie jednak zastaliśmy Władka, który o niczym nie wiedział i zrobił wielkie oczy. Nie był u Heleny w niedzielę, bo przyjechał do niego jakiś znajomy, więc wybrał się w poniedziałek rano. (Spojrzeliśmy na siebie: nie znajomy, a znajoma. Spokojny Władzio kochał się teraz w jakiejś wdowie, która mogła być jego matką). Dojechał z Heleną bez przeszkód do Milanówka, skąd zabrała aparat i wyszła z lokalu przed dziesiątą rano. Gdy opowiedzieliśmy Władkowi, co się stało, zbladł i zmaliał w oczach. Stało się jasne, że Helena wpadła w drodze. Gdy robiłem Władkowi wyrzuty, że nie zastosował się ściśle do polecenia i nie pojechał w niedzielę, wpadł w takie przygnębienie, że dałem mu spokój.

I znów ten sam przeklęty problem co przy wpadce Stanisława. Czy likwidować lokale, które zna Helena, czy nie? Złapano ją ze stacją, więc mają wyraźny ślad, że chodzi o robotę radiową. Z drugiej strony każdy ją znał jako bardzo twardą dziewczynę i wyczuwaliśmy, że raczej zginie na torturach, niż coś powie. Największą wartość przedstawiał dla nas Ziutek i warsztat, więc ostatecznie

zdecydowałem, że Ziutek wyniesie się na jakiś czas z Marszałkowskiej, a materiał i sprzęt wyewakuujemy do nas, na Politechnikę. Bez zwłoki wynająłem jakiś wózek i w dwóch nawrotach przewiozłem z Zosią w biały dzień, ulicą Polną, góry walizek i pudeł do Cesi. Ziutek wyniósł się do znajomych i produkcja ustała.

Za kilka tygodni otrzymałem z Pawiaka gryps od Heleny, małą karteczkę zapisaną mikroskopijnymi literami. Dotarła do mnie przez podziemną komórkę, utrzymującą kontakt z Pawiakiem. Helena pisała: „Kochani. Wysiadając z E.K.D. na rogu Żelaznej, wpadłam na rewizję. Tłumacząc się w ten sposób, że przewoziłam paczkę od nieznanej osoby za grubym wynagrodzeniem, nie wiedząc o jej zawartości. Miałam ją wręczyć na przystanku przy Żelaznej mężczyźnie, znanemu tylko z opisu, za wymienieniem hasła. Nic nie powiedziałam i nie powiem, mimo że mnie biją. Wiem, czego się obawiacie ale pracujcie spokojnie na starych lokalach i nie martwcie się o mnie”.

Kartka ta rozczuliła nas do łez. Myślała przede wszystkim o nas, o robocie, a nie o sobie. Władek, czując się trochę winny, chodził jak ścięty. Mieliśmy do jej słów zupełne zaufanie wobec czego odtransportowaliśmy cały sprzęt z powrotem do Ziutka, na Marszałkowską.

Po dalszych kilku tygodniach wśród nadesłanego przez wspomnianą komórkę spisu osób wywiezionych z Pawiaka na Majdanek widniało nazwisko Heleny. I znów powtarzaliśmy makabryczne słowa pociechy: „Chwała Bogu, do stała tylko obóz. Mamy szczęście w tym nieszczęściu”.

Powrót Franka.

Nacisnąłem główkę szpilki i po chwili Ziutek otworzył mi drzwi. Miał minę tajemniczo uśmiechniętą, gdy wpuszczał mnie do pokoju. Wszedłem i oczom swoim nie wierzyłem. Na sienniku leżał Franek! Ten Franek, który wpadł w kocioł na Nowym Zjeździe. Był to jednak jakiś inny Franek, bo głowa zgolona, twarz biała, spuchnięta i we wrzodach, ale przecież ten sam prosty i śmieszny chłopak. Powitałem go z prawdziwą radością: „Skąd pan się tutaj wziął, panie Franku?!”. — „Uciekłem z transportu do Majdanka” — zaczął długą historię, wzruszając się w mia-

rę opowiadania. Zdawał się wszystko przeżywać po raz drugi.—„Gdy wszedłem do mieszkania, już Ziutka nie było i Gestapowcy byli przy rzeczach wyjętych ze schowka. Rzucili się zaraz na mnie z wściekłością. Ja się tłumaczyłem, że Ziutek jest mój znajomy i przyszedłem go spytać, czy rodzice nie kupiliby masła, bo mam na sprzedaż. Bili mnie gdzie popadło, ale trzymałem się tego mocno do samego końca śledztwa. Wsadzili mnie na Pawiak i tam siedziałem wiele miesięcy. Co tam widziałem i przeżyłem trudno opowiedzieć. Niech pan wie, że tam psy gestapowskie zagryzają ludzi na śmierć, a ludzie na rozkaz udają psy. Straszne rzeczy! Z daleka parę razy widziałem Janka, który miał jakąś funkcję więzienną. Parę dni temu przygnali z miasta całe tłumy ludzi. W celach był taki ścisk, że ludzie umierali z uduszenia. Zaczęli szybko wysyłać transporty i mnie też wsadzili do jednego. Zapchali nas do bydłowych wagonów, jednego przy drugim, jak śledzie. Stał przy mnie jeden swój chłopak z Warszawy, to zacząłem z nim po wyjeździe kombinować. Macaliśmy ściany, widzimy, że jedna deska lichy siedzi. Ktoś z tych z miasta miał jeszcze schowany nóż, więc zaczęliśmy deskę rznąć i podważać. Obluzowała się i w nocy odsunęliśmy ją w bok i po jednym, kto chciał, to uciekał. Trafiłem do wsi, do dobrych chłopów, mówię że uciekłem z transportu, dali jeść i jakieś łachy, w których przywlokłem się do Warszawy”.

Uściskałem go i zapewniłem, że się nim zajmujemy. Niech się o nic nie martwi, tylko stara jak najprędzej przyjść do zdrowia. Trzeba go było jednak gdzieś umieścić. Do matki, biednej wdowy zarabiającej praniem, nie mógł wrócić, bo go na pewno będą u niej szukali. Trzeba więc przeprosić się z generałową i ulokować Franka u niej, na Muranowskiej. Generałowa okazała się na poziomie i przyrzekła zająć się Frankiem jak rodzona matka. Sielanka nie trwała jednak długo, gdyż po kilkunastu dniach generałowa zażądała spotkania i zaczęła wylewać na moje łono różne żale: „Ja nie mogę już nastarczyć gotować dla tego głodomora. Kupuję mu wszystko, co chce. Ma masło, smalec, jaja, ale przecież na szynkę to mi tych pieniędzy, które pan daje, nie wystarcza. A on choruje na szynkę. Gotuję mu całe wiadra zupy, daję do tego mięso, a on ciągle woła, że mało i że chce szynki. Nie mogłam sobie dać rady, więc

ugotowałam mu raz cały krowi łeb i niech pan sobie wyobrazi, że oporządził go za jednym posiedzeniem! Ciągłe się ze mną awanturuje o jedzenie i nie mogę go niczym zaspokoić. Musi pan to załatwić, bo ja już nie mam siły ani cierpliwości”.

Musiałem naradzić się z Ziułkiem, któremu strasznie się podobał krowi łeb jako potrawa: „Panie Ziułku, czy pan mówił o tych sprawach z Frankiem? Jak ta rzecz wygląda?” — „Mówiłem. Rzeczywiście skarżył się, że nie dostaje szynki, ale mu powiedziałem, kiedyś ty, łachudro, w swoim życiu jadał szynkę, że teraz się bez niej obejść nie możesz? I zaraz się uspokoił. Ale on mówi, że za te pieniądze, co pan dał, to ona sobie robi befsztyki, a jemu daje krowie łby. To dobry kawał ten krowi łeb. Już inaczej teraz do Franka nie mówię, jak „ty krowi łbie”. I Ziułek, zadowolony z nowego powodu do żartów, śmiał się do rozpuku. Już taki był, że dla dobrego kawału brata by sprzedał.

Przygoda na Szopena.

W toku naszej codziennej pracy, która się rozwijała coraz bardziej, poznałem nowego, swego rodzaju ciekawego człowieka. Był nim Krzysztof, młody mężczyzna około trzydziestki, o śniadej, męskiej, bardzo przystojnej twarzy, przenikliwym spojrzeniu i dużej pewności siebie. Ubrany zawsze z przesadną elegancją donżuana z przedmieścia. Dał nam do dyspozycji swoją kawalerkę na Szopena i opowiadał niedbale o „akcjach”, jakie przeprowadził: „W zeszłym miesiącu zahaczyłem Niemcom pięćset litrów spirytusu i opylilem na boku. Skombinowałem pierwszorządne lewe papiery na przydział i moi ludzie zwyczajnie zajęchali samochodem na składnicę, a te głupie szkopy wszystko im wydali. Panie, co to za głupi naród! Byle być tylko pewnym siebie i mieć papierek z pieczęcią, to im się wszystko wmówi. Ja jadam tylko w Bristolu, na niemieckie kartki i za obiad z winem płacę tylko dwadzieścia złotych”.

Długo opowiadał o rozmaitych wyczynach anty-niemieckich typu „handlowego”, wreszcie zaproponował: „Niech mi pan wydrukuje niemieckie kartki na tłuszcz, a ja jednego dnia ze swoimi chłopakami obiorę wszystkie sklepy

niemieckie". Zbyłem milczeniem tę propozycję i ograniczyliśmy się tylko do wykorzystania kawalerki Krzysztofa raz na tydzień. Był to pokój na ostatnim piętrze, pod dachem, z jedynym oknem, wychodzącym na ulicę Szopena. Wzdłuż całego piętra szedł szeroki gzyms z balustradą od ulicy, która tworzyła coś w rodzaju balkonu wzdłuż całego piętra.

Któregoś dnia Marcin i obserwatorka Cesia, wprowadzeni przez Krzysztofa, zabierali się do rozpakowania aparatu, gdy od zamkniętego okna padł na pokój cień. Za oknem, na gzymsie, stał w słońcu żandarm i dawał znaki, aby mu okno otworzyć. Krzysztof nie stracił ani na chwilę przytomności. Jak stał w palcie, podszedł do okna, zasłaniając sobą pokój i szepcząc w tył: „Zabierajcie wszystko i uciekajcie, ja go zatrzymam”. Żandarmowi pokazał na migi, że okna nie może otworzyć i że trzeba obejść naokoło do drzwi. Ta niema rozmowa trwała dość długo i Marcin z Cesią mieli dosyć czasu, by włożyć z powrotem aparat do torby i wyjść. Natknęli się zaraz we drzwiach na mnie i Ziutka. „Zawracajcie, bo za minutę będą tu Niemcy”. Bez słowa ruszyliśmy z Ziutkiem w przeciwną niż Marcin i Cesia stronę korytarza. Zmierzaliśmy ku drugiemu wyjściu, które pamiętaliśmy gdyż przed rozpoczęciem pracy, zaprowadzonym od początku zwyczajem, każdy z nas nauczył się na pamięć rozkładu wszystkich korytarzy i wejść. Nie natrafiliśmy na nikogo ani my, ani Marcin i Cesia, których spostrzegliśmy już na ulicy. Dałem im znak, by się ulotnili, a sam z Ziutkiem stanąłem na rogu Mokotowskiej i Szopena, aby zobaczyć co się stanie z Krzysztofem.

Po pół godziny wyszło z bramy domu paru żandarmów i cywilny Niemiec. Krzysztofa z nimi nie było. Nie ryzykowaliśmy jednak powrotu i czekaliśmy dalej na ulicy. Po kilkunastu minutach, Krzysztof wynurzył się z bramy i idąc ku nam, uśmiechał się z daleka: „Chodźcie gdzieś w bok, bo muszę wam oddać resztę rzeczy, jakie zostawiła Cesia”. Weszliśmy na jakieś schody, gdzie Krzysztof wyjmował po kolei z palta słuchawki, sznur, jakieś radiowe drobiazgi i opowiadał: „Tu nie chodziło wcale o stację, a o coś zupełnie innego. W tym domu mieszka Niemka, którą jakiś złodziej okradł. Oczywiście zawiadomiła żandarmów i ci rozpoczęli śledztwo. Ktoś im powiedział, że moja kawa-

Ierka jest pusta i zamknięta i tylko czasami przychodzą tam jacyś ludzie. Powstało więc podejrzenie, że jest to melina złodziejska i że tam trzeba szukać ludzi, którzy okradli Niemkę. Żandarmi, tuż przed naszym przyjściem dobijali się do drzwi, a ponieważ nikt nie otworzył, więc jeden poszedł ze stróżem przez strych na dach, a z dachu na gzyms, żeby zajrzeć, kto i co jest w pokoju. Reszta czekała w mieszkaniu u Niemki. Jak mu dałem znak przez okno, żeby wrócił do drzwi, to nim się wgramolił z powrotem na dach a stamtąd na strych i zeszedł na korytarz, mieliście czas uciec. Marcina i Cesi wcale przez okno nie spostrzegł. Drobiazgi zdążyłem pochować po kieszeniach i do pieca i jak do mnie wszedł, potraktowałem go z góry i pokazałem moje papiery, które są bardzo mocne. Widać z nich, że gdyby nie ja, to by całą produkcję wojenną Niemiec diabli wzięli. W rezultacie, żandarm nie zrobił żadnej rewizji, sam mi opowiedział, o co chodzi, dostał cygaro i wyszliśmy razem w najlepszej zgodzie". I Krzysztof śmiał się z pobłażaniem. Przyglądałem mu się z podziwem, nie widząc na jego twarzy żadnego śladu przeżytej przed chwilą niebezpiecznej przygody. Miał żelazne nerwy i powiedziałem mu to. Spojrzał na mnie raczej zdziwiony: „To głupstwo, nie takie sztuki się z Niemcami odstawiało”. Z łokalu jednak zrezygnowałem, bogatszy o jedno więcej doświadczenie, a mianowicie, że przychodzenie do niezamieszkałego pokoju w kilka osób zanadto zwraca uwagę.

Krzysztofa widziałem jeszcze kilka razy, zamożnie ubranego, zawsze o doskonałym samopoczuciu, wreszcie gdzieś znikł. Ostatni raz spotkałem go na Marszałkowskiej w roku 1946. Wyglądał jak zwykle dobrze, lecz w minie nie było dawnej pewności siebie. Zagadnął mnie w przelocie ni to z żalem, ni to z wyrzutem: „No i co wyszło z całego waszego tyrania?... g....!”. Nie czekając odpowiedzi, uściśnął mi mocno rękę i poszedł przed siebie.

Nasze prywatne życie.

Przeżyłem w tym czasie serię rozmaitych przypadków, trochę niebezpiecznych, trochę zabawnych.

Mieszkaliśmy z Zosią zameldowani na nazwisko mego ciotecznego brata, zamordowanego przez Niemców, Igna-

cego Bujnickiego, byłego prezydenta miasta Kalisza, u Cesi Broniewskiej, w domu profesorskim na Politechnice. Mieszkanie było urządzone bardzo pięknie, pełne kilimów i starej broni. Pewnego ranka obudził nas tupot butów na kamiennych schodach i głosy Niemców. Wskoczyliśmy z łóżka na równe nogi i nasłuchiwaaliśmy. Głosy minęły nasze piętro i słyhać je było już wyżej. Wpadła do nas Cesia: „Rewizja o dwa piętra wyżej, u profesora Smoleńskiego. Auto stoi przed bramą i gestapowcy pilnują furtki od Koszykowej!” Co za fatalny przypadek! Mieliśmy akurat w mieszkaniu sporo materiałów konspiracyjnych, depesz i szyfrów, za ważnych aby je spalić. Rewizja mogła się rozszerzyć na mieszkanie Cesi i co wtedy? Nie było czasu do namysłu, gdyż na schodach trwał ruch Niemców, wobec czego zrobiłem ze wszystkiego paczkę, zawiązałem w gazety i w trzewikach na gołe nogi, w zwisających spodniach i koszuli, okryty tylko letnim płaszczem, wyszedłem kuchnią z paczką pod pachą na dwór. Miałem zamiar, jeśli się uda, wyjść z terenu Politechniki furtką od ulicy 6-go Sierpnia i zanieść paczkę na Kolonię Staszica. W kieszeni trzymałem kurczowo zrzutowego Colta. Zaraz po wyjściu zauważyłem na chodniku od ulicy Koszykowej przy samochodzie dwóch gestapowców, którzy także mnie spostrzegli. Mogłem skręcić w prawo i innym chodnikiem dojść do wyjścia na ulicę 6-go Sierpnia. Ale instynktownie wybrałem kierunek na Koszykową. Doszedłem do gestapowców spokojnym krokiem i mijałem ich obrzucony ostrymi spojrzeniami. Nie zatrzymali mnie jednak. A więc wielokrotne doświadczenie sprawdziło się jeszcze raz: nie wolno się ani przez chwilę zawahać, trzeba pewnie iść na Niemców, a wtedy ma się jeszcze szansę. Po powrocie dowiedziałem się, że Gestapo zabrało całą rodzinę profesora Smoleńskiego, a mieszkanie doszczętnie obrabowało. Poza tym do nikogo więcej nie weszli i nikogo nie zatrzymywali. Tym trzeba tłumaczyć fakt, że mnie nie zaczepili.

Inną przygodę przeżyłem z Zosią w kawiarni Fuchsa, na Mokotowskiej. Chodziłem teraz stale z bronią, gdyż Gestapo dotarło już nawet do naszego konspiracyjnego mieszkania na Kolonii Staszica, gdzie swego czasu mieszkaliśmy z Zarembami i pytało o mnie. Poza tym, w mych dawnych pokoikach w Prudentialu, odbyła się najpierw

nocna rewizja, a później zostawiono w zarządzie tego gmachu wezwanie do mnie, bym się stawił w Gestapo, w oznaczonym dniu i godzinie wraz z żoną i papierami osobistymi, w celu zbadania nas w charakterze świadków w sprawie jakiejś firmy. Ten ostatni chwyt ubawił nas nadzwyczajnie. Brak inteligencji Niemców w takich sprawach był wprost niezwykły. Ziutek, z dowcipnym zmrużeniem oczu, snuł różne przypuszczenia: „A może to jakiś pański przyjaciel pracuje w Gestapo i chce w ten sposób ostrzec, że jest pan stale na rozkładzie?” Toteż zdając sobie sprawę z tego, że co u innych nie raz ganiłem i uważałem za przesadę, sam praktykuję, nie rozstawałem się teraz z Coltem, dla którego Zosia wszyła mi w spodniach, zamiast wyprutej kieszeni, płócienny, mocny futerał.

Po wizycie na stacji, wstąpiłem do kawiarni Fuchsa na spotkanie z Zosią. Siedziałem wychylony do niej, szepcząc coś poufnego. W pewnym momencie wychyliłem się więcej i... mój Colt, z wdzięcznym szmerem wysuwa się z kieszeni i z głośnym stukiem ląduje na środku sali, na czerwonym, kokosowym chodniku. Zmartwieliśmy na chwilę. W kawiarni zapadło grobowe milczenie. Schwyciłem szybko rewolwer z podłogi i nie chowając, rozejrzałem się po sali. Mógł przecież trafić się na niej jakiś zabłąkany Niemiec. Nikt się jednak z miejsca nie ruszył. Schowałem więc broń do kieszeni nie wypuszczając jej jednak z ręki. Śmiejąc się trochę nerwowo, dopiliśmy szybko kawę i zapłaciliśmy. Kelnerka wzięła pieniądze i wydała resztę z nieukrywaną odrazą. Ze zdziwieniem zapytałem Zosię, czy to zauważyła. Wyjaśniła bardzo przekonująco: „Wzięła cię za Niemca”. Spotkaliśmy ją zresztą po Powstaniu w znajomym domu, w Leśnej Podkowie. Poznała mnie natychmiast i była bardzo zaskoczona. Gdy gospodarz nas przedstawił, jako parę swoich dobrych znajomych, wykrzyknikom i wspominkom nie było końca.

Prowadziłem jak gdyby podwójne życie. Z jednej strony obracałem się w górze konspiracyjnej, jako szef K.W.C., z drugiej strony codziennie dawałem nura w doły konspiracji, bezpośrednio kierując łącznością radiową i stykając się z właścicielami mieszkań, telegrafistami i obserwatorami. Muszę stwierdzić, iż K.W.C. dawało mi większą satysfakcję, ale z całą pewnością więcej wrażeń dostarczała

robota radiowa. Co za dziwna mieszanina ludzi, rzeczy i sytuacji. Począwszy od andrusa z Powiśla, pomocnika Ziułka, a skończywszy na obserwatorce z arystokracji. Cała ta gromada utworzyła po pewnym czasie jedną radiową rodzinę. Przyjaźnili się ze sobą, kłócili, nawet kochali, a w końcu często razem ginęli.

Poznałem teraz dopiero Warszawę i jej przedmieścia, a przede wszystkim zakamarki Starego Miasta i Powiśla, ukochanych dzielnic Ziułka. Dopiero teraz poznałem, co to są Bielany lub daleki Grochów i zetknąłem się z ludźmi, którzy tam mieszkają, szarymi, zwyczajnymi warszawskimi ludźmi, którzy ryzykowali swoje i swoich bliskich życie, dając nam mieszkania na pracę radiostacji.

Podziemna Warszawa.

Oto ulica warszawska, której urocza melodia tak doskonale się wiąże ze wspomnieniami najlepszych lat. Wprawdzie wówczas nosiła ona skromne miano ulicznego hałasu, ale dzisiaj brzmi w stęsknionym uchu, jak rozkoszna symfonia. Biega po niej po dawnemu jej król-gazeciarz, z wypchaną pachą, ruchliwy i obdarty, który swym głosem jak tenor w chórze nadaje gwarowi ton zasadniczy. Ale w ruchach jego brak dawnej swobody, a słynny dowcip nabrał nowych, nieznanych przerośnięć, które jednak ulica rozumie doskonale. I coś w jego głosie brzmi inaczej i obco. To już nie znajome tytuły, to już nie „ABC”, „Robotnik” lub „Gazeta Polska”, a jakiś „Warschauer Zeitung” czy „Nowy Kurier”, który polskim językiem mówi po niemiecku.

Kopyta dorożkarskich koni nadal wybijają rytm tej melodii, ale raz po raz łoskot podkutych butów narzuca inny takt. Dzwonki tramwajowe nadal wymyślają nieostrożnym przechodniom, ale milkną ze strachu, gdy im przetnie drogę szara kolumna, mieniąca się łuskami stalowych hełmów. Raz po raz rozbrzmiewa w chórze ulicy, jak w koncercie Jankiela, jakaś fałszywa nuta, jakiś okropny zgrzyt. To bije ponad dachy obcy, gardłowy śpiew, którego ulica słucha, zastygła z przerażenia. Słyszała go już kiedyś, przed laty, ale zanikł wymazany z pamięci śpiewem trzeciomajowych tłumów i wiwatami listopadowych defilad. Dzisiaj słyszy

go znów, ten stokroć groźniejszy od nuty targowickiej, głos okupacji. Skazana jest, by go słuchać przez długich pięć lat.

Jak woda, uderzona rozpedzonym kołem, odpływa tłum pod ściany domów. Środkiem pędzi długie, otwarte auto, najeżone lufami pistoletów, a w nim wielkie czapy z trupimi czaszkami i stryczkami czarnych krawatów, zaciśniętymi na żółtych koszulach. Spojrzenia sztyletują przechodniów. Tłum odpowiada falą nienawiści za falą. Stają, wyskakują, strzelają. Za chwilę opustoszała warszawska ulica tuli do siebie trupy swych dzieci. Szlochając wspomina, gdy niezdarne i słabe stawiały pierwsze kroki na jej bruku. Gdy podrosły, troskliwie prowadziła je swymi chodnikami do szkoły, karcąc rozbitym nosem czy kolanem, gdy były niesforne. Gdy wreszcie dojrzały, z dumą dźwigała na sobie ich ciężar, nie przeczuwając, że wkrótce patrzeć będzie na ich nagły, okrutny zgon. O doło, ciężka doło warszawskiej ulicy!

Matka w kuchni gotuje kolację. Czarny żelazny garnek zapomniał już smaku mięsa i perkoce ze złości na głupie, zawsze zadowolone ze siebie kartofle, które mu objijają boki. Matka patrzy przed siebie, na ścianę ślepymi od łez oczyma. Z jej twarzy pozostały już tylko zmarszczki. Ta gruba na czole wyrosła przez jedną noc, gdy przyszła wiadomość, że ukochany syn, Andrzej, zginął pod Kutnem. Ta druga, zaraz pod nią, rośnie z dnia na dzień ze strachu o Janka, którego ostatni raz widziano w Karpatach, gdy przekraczał węgierską granicę. Biję się z pewnością na obcej ziemi o swoją. Te dwie nowe, na policzkach, które nocne łzy obrały sobie za drogę, to od Bolka i Helenki, ostatnich dzieci w domu na Dobrej. Są dzisiaj czulsze i lepsze dla matki, ale coraz mniej ma ich w domu. Chodzą jakimiś swoimi drogami, poważne i zamysłone. Matka więcej czuje, niż wie. Więcej płacze, niż pyta, ale nie broni. Ustępuje przed siłą, która jej dzieci zabiera, a może zabierze na zawsze. A imię tej siły Polska Podziemna.

Tysiące matek przeżywa to samo. W Poznaniu, w Wilnie, w Krakowie i Lwowie, w mieście i na wsi, jak Polska

długa i szeroka. Tysiące ukochanych Andrzejów zaślą swymi grobami pokaleczoną ojczystą ziemię, tysiące Janków walczą na obcej ziemi za swoją, na lądzie, morzu i w powietrzu. I tysiące Bolków i Helenek zapadło w walczące Podziemie, którego ojcem jest człowiek, a matką warszawska kamienica, w której przyszło na świat.

Warszawska kamienica dużo widziała w swym życiu i nie łatwo jest ją zadziwić. Jeśli ma za sąsiada Kolumnę Zygmunta, to pamięta jeszcze dreszcz podziwu, jaki przenikał jej mury, gdy galopowały królewskie karoce, a chrzęst skrzydeł husarskich płoszył gołębie z jej dachów. Pamięta, jak lśniły ze szczęścia jej szklane oczy, gdy brzmiały okrzyki: „Król z narodem, naród z królem!”, a z pobliskiej katedry dochodził głos „Te Deum Laudamus”. Cierpiała, gdy strzały Insurekcji dziurawiły jej mury i trzęsła się z oburzenia, gdy w latach sześćdziesiątych trzecich dzikie koczactwo galopowało pod jej ścianami z krzykiem i gwizdem.

Młodsza jej rodzina, z Hożej czy Kruczej, nie może się poszczycić przeżyciami prababki ze Starego Miasta. Jednak choć wyrosła w niewoli, lecz świadoma z nią pokrewieństwa, zasłaniała okna, by nie oglądać carskich galówek. Huk bomb, wystrzały rewolwerów i buntownicza melodia „Czerwonego Sztandaru” dały jej w dziewięćset piątym przedsmak tego, co ją czekało w przyszłości. A krótki karnawał niepodległości ubrał ją po raz pierwszy od góry do dołu w biało-czerwone kolory.

Najmłodsze pokolenie, na Żoliborzu, Saskiej Kępie i Mokotowie, inne, piękniejsze i zdrowsze, wyrosło już w beztrójce lat dwudziestych, dumne, iż przysparza stolicy nowego uroku i przestrzeni. Gdy spadł na nie fatalny wrzesień, okazało się godne tradycji wielkiego miasta, którego było strażą przednią. Rzuciwszy wpoprzek ulic ramiona barykad, zatrzymało wówczas pędzące tanki ze znakiem splugawionego krzyża na czole.

Dziś warszawska kamienica na Starym Mieście, Hożej czy Kruczej, na Mokotowie czy Żoliborzu, zastygła w skupieniu. Nie wyleczyła jeszcze ran, zadanych przez wrzesień i zionie oczodołami wybitych okien i ranami rozbitych

murów. Ale już w swym wnętrzu kryje coś nowego i tajemniczego. Ciałem jej wstrząsają uderzenia kilofów, wykuwających w murach przemysłne schowki, a fundamenty gościnnie przyjmują broń i amunicję, którą troskliwe ręce składają w ich zakamarkach. Piwniczna ziemia, kryjąca już w swym łonie rodzinne skarby i klejnoty, tłumi wystrzały sprawdzanych rewolwerów, a płaskie dachy, łącząc przyjaźnie swoje krawędzie, wspierają ucieczkę ściganych. Rywalizują z nimi piwnice, nie przeczuwając, że w parę lat później, gdy dachy będą płonąć w ogniu Powstania, na nie spadnie jeszcze bardziej odpowiedzialna rola. W ich bowiem labiryncie znajdzie schronienie cała ludność powstańczego miasta.

Ale dzwonnkowi przy bramie przypadło najpoważniejsze zadanie. Dzisiaj nie wzywa on swego pana i władcy, stróża warszawskiej kamienicy, śpiącego w zaduchu komórki przy bramie z miotłą u wezglowia, symbolem jego władzy, by zapóźnionemu lokatorowi otworzył bramę, lecz głosem swym ostrzega, że przed bramą stanęli wrogowie. Pan jego zresztą stał się ostatnio innym człowiekiem. Już nie pyta w przejściu „kogo pan uważa?”, ale bez słowa wpuszcza w głąb swego królestwa obcych, nieznaną ludzi, szczególnie gdy o zmroku wślizgują się do bramy, by w jego domu spędzić noc spokojnie. Książka meldunkowa straciła już dawny jego szacunek. Nie wierzy jej więcej i wzrusza ramionami, gdy widzi w niej nazwiska osób, które nie przekroczyły nigdy progów, jakich strzeże, lub gdy z jej rubryk znikają mieszkańcy, którzy nigdy domu nie opuścili. Za to gdy w nocy jęknie brama pod ciosami okutych butów, choć lufa „szmajsera” przytknięta do czoła odświeża mu pamięć, kłamie bez zająknięcia, by chronić swoich przed obcymi. Wie, jak zwykle, wszystko co się w kamienicy dzieje. A że milczy, pilnuje i ostrzega, staje się — choć szary i nieznaną — prawdziwym Żołnierzem Polski Walczącej, której litery, skreślone nocą przez nieznaną rękę, nosi z dumą, jak order na piersi, jego kamienica.

V

KIEROWNICTWO WALKI CYWILNEJ

Organizacja K.W.C.

W miarę rozwoju kierownictwo W.C. przybrało następującą postać: Kierownik, którym byłem od początku do końca, mój zastępca Krajewski oraz wydziały — sądowy, sabotażowo-dywersyjny, rejestracji zbrodni niemieckich, informacji radiowej, uzbrojenia, chemiczny i delegalizacyjny — o zadaniach, określonych przez same nazwy. Jak z tego widać, K.W.C. nie stanowiło ciała kolegiального, lecz było zbudowane na zasadach hierarchicznej zależności. W skład K.W.C. wchodził poza tym delegat sztabu głównego Z.W.Z. (później A.K.) Piotrowski, który wiązał K.W.C. z wszystkimi działami pracy wojskowej.

W stosunku do wszystkich organów Delegatury K.W.C. otrzymało prawo kierowania do nich żądań, dotyczących prowadzenia akcji walki cywilnej na terenie, objętym kompetencją i działalnością danego organu, np. Departamentu. W razie różnicy zdań rozstrzygał Delegat Rządu, na niższych szczeblach właściwi delegaci okręgowi lub powiatowi, przy których funkcjonowali kierownicy walki cywilnej okręgowi i powiatowi. Działy pracy na szczeblu okręgu pokrywały się na ogół z podziałem w Centrali, zaś na szczeblu powiatu minimalnie obejmowały wymiar sprawiedliwości oraz rejestrację zbrodni niemieckich, sabotaż i dywersję.

W stosunku do rządu w Londynie, K.W.C. otrzymało od Delegata Ratajskiego prawo wysyłania własną siecią

radiową depezę, informujących o sytuacji w kraju, specjalnie o terrorze i o akcjach przeciw okupantowi, z wyłączeniem depeż o charakterze politycznym, co było zastrzeżone wyłącznie dla Delegata i Politycznego Komitetu Porozumiewawczego.

O ile chodzi o Z.W.Z., to K.W.C. — czyli ściślej mówiąc Pełnomocnik Komendanta Głównego dla Spraw Walki Cywilnej — posiadał teoretycznie te same uprawnienia, co w stosunku do organów Delegatury. Przy wykonywaniu współdziałał Delegat Sztabu Głównego przy K.W.C., Piotrowski. Praktycznie, w pierwszej fazie walki, sprowadzało się to do współpracy z Biurem Informacji i Propagandy Z.W.Z.-tu (B.I.P.-em), w drugiej fazie natomiast powstała ponadto ścisła współpraca z Kierownictwem Dywersji (Kedywem), czyli tą częścią Z.W.Z., później A.K., która została wyłączona dla celów bieżącej walki z okupantem z ogólnej organizacji A.K., sformowanej w dywizje, pułki i odpowiednie sztaby.

Cały zespół ludzi wchodzących w skład K.W.C. utworzył z czasem zwartą całość, spotykającą się regularnie w lokalach Centrali, niezależnie od tego, że każdy wydział posiadał własne. Naturalnie były to lokale, udzielane przez dzielne rodziny warszawskie, stosunki z którymi łączyły wszystkie przyjęte reguły. Poza pierwszą osobą, która taki lokal następczała i którą właściciele mieszkania znali, wszystkie inne były dla nich obce. Żadnych przedstawień, rozmówek, pytań, czasami zdawkowa uprzejmość po drodze od drzwi do pokoju. Nikt nie starał się podsłuchiwać, czy wiedzieć co robimy. Otaczała nas atmosfera życzliwej uwagi i czujności, ponieważ z reguły, gdy znajdowaliśmy się w lokalu, któryś z członków rodziny stał na czatach i obserwował czy to na ulicy, czy tylko siedząc przy oknie. Przeszedłem w ciągu pięciu lat przez dziesiątki takich mieszkań i główne wrażenie, jakie we mnie pozostało, to milcząca powaga, jaka cechowała te kontakty. Pukało się do drzwi w umówiony sposób, rozlegał się szcęk zatrzaśku i przez uchylone drzwi wyglądały uważne oczy. Za chwilę brzęk łańcucha i uśmiech, który mówił: „Poznaję cię”. „Dzień dobry”, lub przy wyjściu „Do widzenia” i na tym się te stosunki kończyły.

W pokoju zwykle czekał mój zastępca, sekretarz oraz któraś z łączniczek, poza tym od czasu do czasu przychodził ktoś bardzo zaufany z jakąś sprawą. Zwykli śmiertelnicy z konspiracji nie byli dopuszczani do lokalu Centrali. Toteż wybuchła burza pewnego razu, gdy któraś z zaufanych osób przyprowadziła do lokalu Centrali młodzieńką dziewczynę wiejską z Zamojszczyzny, która z dziecięcym uporem postanowiła pracować w Walce Cywilnej. Pojechała biedaczka z powrotem do Zamościa, ale już z adresem i hasłem do lokalnego kierownika W.C.

Na stole, przed Krajewskim, mnóstwo papierów i podziemnej prasy — powód mojej ciągłej irytacji. Dwie, trzy godziny rozmów, raporty, decyzje, później szybkie do widzenia i dalszy ciąg codziennej lataniny po mieście.

Lokale nasze były różnego rodzaju. Poczawszy od pralni, gdzie się przychodziło razem z innymi klientami i wsuwało się do bocznego pokoiku pełnego wilgoci i pary, skończywszy na klasztorze, gdzie natychmiast po przekroczeniu furty ogarniała atmosfera ciszy i spokoju. Milczący przewodnik w habitcie prowadził przez labirynt korytarzy i pokoiów, przykłękając przed każdym ołtarzykiem. Od czasu do czasu inna taka sama postać przesuwała się bezszelestnie po lśniących, wywoskowanych korytarzach. Cisza aż w uszach dzwoni. Moje podkute buty hałasują, więc czuję się trochę zażenowany. Czapkę ściskam w garści, jak za dobrych uczniowskich czasów, gdy penetrowałem zakątki Jasnogórskiego Klasztoru. Jakiś inny świat, niż ten zostawiony za furką. Można tu zapomnieć na chwilę o wojnie, konspiracji i wszystkich troskach. Ale wreszcie otwierają się drzwi i widzę znów Krajewskiego wśród znajomej sterty tak zwanego drukowanego słowa. Ten widok przywraca mnie rzeczywistości i burczę: „Nie mógł pan rozłożyć tego więcej? My kiedyś wpadniemy przez tę przeklętą makulaturę”. I jeszcze dziś sędzę, że miałem rację. Prasa podziemna była chlubą konspiracji, ale trzeba też przyznać, że chorowaliśmy na jej przerost. Własne pismo było jak gdyby świadectwem dojrzałości dla najmniejszej nawet organizacji, gdyż dawało jej legitymację i pozycję w świecie podziemnym. Stąd nawet kilkunastoosobowe grupy starały się wydawać własne pismo.

W parę miesięcy po Powstaniu, wspomnienia pociągnęły mnie w stronę pralni i do klasztoru. Zostałem gruzem i tę śmiertelną po-powstańczą ciszę, przerywaną tylko ćwierkaniem rzadkich ptaszków. Próżno bym starał się ją opisać. Może mnie zrozumieć tylko ten, kto sam szedł przez pusty Plac Napoleona, ścieżką wydeptaną wśród pagórków gruzu i dolów, pełnych wody.

Musieliśmy się niezwykle pilnować, gdyż Niemcy, co meldował nam wywiad Delegatury, szukają K.W.C. zawzięcie, szczególnie że z prasy podziemnej, którą Gestapo starannie studiuje, znają już odezwę Delegata Rządu, nadającą nam szerokie kompetencje i uważając K.W.C. za specjalnie niebezpiecznego wroga. Ale los nas oszczędza i jakoś prosperujemy. Nawet wypadki udaje nam się szczęśliwie likwidować, bo wraca do zdrowia kierownik działu chemicznego, który przez jakieś eksperymenty zakaził się swymi ukochanymi bakteriami. Utkwiła mi tylko w pamięci nazwa tych potworów, przypominająca raczej kwiat, niż śmiertelne istoty: „gronkowiec złocisty”. Dostał serię zastrzyków przeciw nim i znów grzebie w swoich próbkach. Mieści się w nich straszna groźba dla Niemców i... dla nas, gdyż przygotowuje on w kapsułkach truciznę, którą każdy z nas nosi przy sobie na wypadek schwytania.

Niemcy dobrali nam się do skóry pierwszy raz dopiero w końcu 1943 roku, kiedy udało im się schwytać kierownika wydziału sądowego, adwokata wysiedlonego z Pomorza do Generalnej Gubernii. Gestapo schwytało go na noclegu i został zamordowany. Niestety, nie pozostał mi w pamięci nawet jego pseudonim.

Komisja Główna Walki Cywilnej.

Główna Komisja Walki Cywilnej składała się z przedstawicieli stronnictw, reprezentowanych w P.K.P. (stał popularnie zwano Komisję „małym P.K.P.”). Po pewnym czasie została włączona w jej skład Społeczna Organizacja Samoobrony (S.O.S.), jednocząca około dwudziestu mniejszych ugrupowań podziemnych. W Komisji tej zasiadali w rozmaitych okresach czasu Kazimierz Bagiński, z ramienia Trójki, Urbański z ramienia Rombu, Leszek Raabe z Koła. Kazimierz Bagiński opracował wraz z Win-

centym Bryją dla użytku Walki Cywilnej szczegółowy kodeks kar cielesnych (chłosta itp.) za przestępstwa mniejszej wagi. Kary te były specjalnie szeroko stosowane na terenie wiejskim. Główna Komisja W.C. była z jednej strony organem inicjującym i opiniującym poszczególne akcje W.C., z drugiej strony organem wykonawczym w ten sposób, że przekazywała drogami organizacyjnymi stronnictw i S.O.S-u wszystkie instrukcje i polecenia K.W.C., co zapewniało ich dotarcie wszędzie tam, gdzie istniała konspiracja. W związku z tym K.W.C. korzystało z potężnej sieci łączności, dochodzącej do każdego zakątka kraju w tak zwanej G.G. i do wszystkich większych ośrodków konspiracyjnych na ziemiach, wcielonych do Reichu i położonych na wschód od G.G., a zajętych przez Niemców po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej.

Poza tym, K.W.C. korzystało poprzez Główną Komisję W.C. z aparatu stronnictw, jako egzekutywy, wykonywującej rozporządzenia, co odegrało wielką rolę przy tak masowych akcjach, jak np. sabotaż kontyngentów i niszczenie bimbrowni.

Komisja duchownych.

Dla celów specjalnych zostały powołane komisje duchownych, kobiet i młodzieży. Były one organami W.C. na terenie danego środowiska. Niezapomnianą postacią będzie przewodniczący komisji duchownych, przeor Ojców Pallotynów z klasztoru przy ulicy Długiej. Wprowadził mnie do niego były premier, Ponikowski. Wygląd ascety i typowego gruzlika. Zapadnięte policzki i oczy, z których wyglądała gorączka. Często zastawałem go w łóżku. Tylko praca konspiracyjna trzymała go przy życiu. Żył walką, mając koło siebie do pomocy kilku młodszych księży. Udało mu się zorganizować sieć konspiracyjną wśród duchowieństwa, przez którą przekazywał instrukcje K.W.C. Sieć ta miała poważne znaczenie, chociaż bowiem księża nie mogli nawoływać wprost z ambony do oporu przeciw okupantowi, to jednak alegorie i półsłówka, ten czy inny ton lub cytata ze Starego czy Nowego Testamentu, mogły odpowiednio nastawiać parafian. A poza tym prywatne kontakty, w których zaufanym można powiedzieć to czy owo.

Ogół księży, wpatrzony we wspaniałą, już dzisiaj historyczną postać Kardynała Sapiehy, zachował się z punktu widzenia Walki Cywilnej bez zarzutu. Sam Kardynał utrzymywał ścisłą łączność z podziemiem, w szczególności z każdym z Delegatów Rządu. Odmówił złożenia wizyty gubernatorowi Frankowi i jakichkolwiek pro-niemieckich oświadczeń, a wręcz przeciwnie, przy każdej okazji nieustraszenie protestował przeciw temu, co się w Polsce działo. Przede wszystkim jednak instruował odpowiednio kler i naciskał Watykan, żądając interwencji i potępienia zbrodni hitlerowskich. W krótkim czasie stał się przedmiotem uwielbienia całego polskiego społeczeństwa.

Komisja kobiet.

Komisja Kobiet miała na celu rozpowszechnienie instrukcji W.C. wydanych specjalnie dla kobiet, przede wszystkim matek i żon. Wobec zamknięcia przez okupanta szkół średnich i wyższych, oraz ograniczonego początkowego nauczania („Polacy mają dostarczyć siły roboczej, więc wystarczy, jeśli będą umieli tylko czytać i pisać” — słowa gubernatora Franka), instrukcje te żądały zdwojonej opieki nad młodzieżą i zachęcania jej do samokształcenia względnie tajnego nauczania. Poza tym, wskazując na wspaniałą rolę, jaką kobieta polska odegrała w okresach niewoli, instrukcje apelowały by z każdego domu czynić twierdzą oporu przeciw okupantowi.

Rola kobiet w konspiracji czeka jeszcze na swego historyka, któremu — jestem pewien — zbraknie superlatywów, gdy będzie na ten temat pisał. Podchodząc do niego tylko od strony Walki Cywilnej, muszę stwierdzić, że powszechny opór całego społeczeństwa nie byłby tym czym był, gdyby nie odwaga, patriotyzm i poświęcenie polskich kobiet każdej warstwy społecznej.

Z zachowaniem należytego dystansu z tym, co wyżej zostało powiedziane, pragnąłbym kilka słów poświęcić tak wstydliwemu tematowi, jak prostytutka. Kwitnie ona z reguły w czasie wojny i jest pierwszym polem „bratania się” zwycięzcy ze zwyciężonym. Wręcz przeciwnie było w Polsce, czego efektowny dowód stanowiły ulotki, rozdawane przejeżdżającym żołnierzom niemieckim na dworcach kole-

jowych w Polsce. Ostrzegały one: „Unikaj polskich dziewczyn, bo cię wciągną w zasadzkę, gdzie stracisz broń, a nawet życie”. Wiele prostytutek służyło w podziemnym wywiadzie, pracując w ten sposób dla wspólnej sprawy. Dla pełnego obrazu, trzeba temu dać także świadectwo.

Komisja Kobiet zajmowała się nadto problemami opieki społecznej, między innymi pomocą dla wysiedlonych z Zamojszczyzny, a w zakresie prac przyszłych planowaniem opieki nad matką i dzieckiem, w związku z reewakuacją, czyli powrotem po zwycięskiej wojnie rodaków z Rosji i emigracji (nasz optymizm pod tym względem był wrzuszający). Skoro mowa o Zamojszczyźnie, trudno nie wspomnieć o wzorowym przykładzie solidarności narodowej, którą tak konspiracja rozwinęła. Któregoś dnia w Warszawie rozeszła się wiadomość, że przez stołeczne stacje kolejowe idą do Niemiec transporty dzieci z Zamojszczyzny. Stolicę po prostu ogarnęła histeria. Tysiące ludzi pobiegło na stacje, tory, skrzyżowania, by dzieci w jakikolwiek sposób wydobyć. Ludzie, którzy sami swoich dzieci nie byli w stanie wyżywić, gotowi byli porwać, wykupić czy odbić chłopskie dzieci z Zamojszczyzny. Znam jedną instytucję użyteczności publicznej, w której wszyscy pracownicy, począwszy od dyrektorów, a skończywszy na robotnikach, mimo ostrej kontroli niemieckiego Treuhändler'a i jego urzędników, porzucili pracę i w firmowych samochodach objeżdżali stację po stacji, poszukując zamojskich dzieci. A wszystko to działo się na oczach tysięcy żandarmów niemieckich, wojsk S.S. i Gestapo, w mieście, gdzie salwy na ulicach były chlebem tak codziennym, jak gdzie indziej głos dzwonów kościelnych. Ta samorzutna, nie zorganizowana akcja ludności Warszawy w jakiś dziwny sposób wybiła się na czoło spontanicznych manifestacji solidarności narodowej, jakie miały miejsce pod okupacją. Źródła jej należy poszukiwać gdzieś na dnie duszy polskiej, tak skłonnej i łatwej do wybuchu, gdy ktoś lub coś naciśnie właściwą, gdzieś tam głęboko ukrytą sprężynę.

Z osobą kierowniczką zespołu kobiet wiąże się w mojej pamięci dość szczególna historia.

Jeden z moich znajomych, mieszkający — pamiętam doskonale — przy Alei 3-go Maja 2, poprosił mnie, bym się spotkał z nadleśniczym z lasów koło Mińska Mazowiec-

kiego, który pragnie powierzyć komuś odpowiedzialnemu z konspiracji jakąś ważną wiadomość. W umówionym dniu, w mieszkaniu znajomego, poznałem ogorzałego młodego człowieka, który zrobił mi nader pociągającą propozycję: „Do naszych lasów od czasu do czasu przyjeżdża na polowanie gubernator Fischer i różni dygnitarze cywilni i wojskowi. Jestem uprzedzany o tym na tydzień, dziesięć dni naprzód, by wszystko przygotować, co jest potrzebne do polowania. Są to często polowania z nagonką. Ja rozstawiam myśliwych na stanowiskach. Mogę pana powiadomić z góry, kiedy będzie najbliższe polowanie i ukryć w lesie waszych ludzi. Możecie Niemców wystrzelać co do jednego”. Zapaliłem się z miejsca do tego projektu, ale po paru minutach przyszła do głosu rozważa: „Dobrze, ale w takim razie Niemcy pana posiekają na drobne kawałki”. — „Co to, to nie, bo uciekłbym z waszymi ludźmi”. — „Widzę, że panu zaszkodzi mocno za skórę. Czy stało się coś specjalnego?” Nadleśniczy zacisnął tylko pięści: „Nie, nic, ale już tego nie mogę wytrzymać”. — „No dobrze, pan ucieknie, ale co będzie z nagonką lub ludźmi z Nadleśnictwa? Przecież na drugi dzień Niemcy zjadą na miejsce i zmasakrują wszystkich”. Na to mój rozmówca już nie znalazł argumentu. Zaczęliśmy więc szukać innych rozwiązań, ponieważ jednak taka akcja leżała w kompetencji Kedywu, zatem po udzieleniu aprobaty przez właściwą władzę, Kedyw delegował do niej swego oficera i już następnym razem spotkaliśmy się we trzech i ułożyliśmy inny plan. Jak został on wykonany, opowiedział mi o tym jeden z uczestników akcji: „Zasadzkę zrobiliśmy nie w tym lesie, gdzie polowano, a w innym, przez który idzie szosa do Warszawy, którą Fischer i myśliwi musieli wracać. Postanowiliśmy przeciągnąć wpoprzek niej linę stalową od sosny do sosny i w ten sposób zatrzymać samochody, a później je ostrzelać z pistoletów maszynowych. Niestety, szosą szły bardzo często kolumny niemieckich samochodów wojskowych, które trzeba było przepuszczać, toteż linę umocowaliśmy mocno tylko po jednej stronie i czekaliśmy. Był już wieczór, gdy z bocznej drogi wyszły na szosę światła samochodów Fischera i jego gości. Mijała nas akurat kolumna samochodów wojskowych. Gdy przeszła, nasi ludzie przeskoczyli szybko z liną przez szosę na drugą stronę, ale nie

zdążyli jej już zawiązać wokół sosny, a tylko okręcili parę razy i koniec trzymali w ręku. Już pierwszy samochód, idący z dużą szybkością, zerwał linę z drzewa i poszedł dalej. Chłopców odrzuciło. Otworzyliśmy piekielny ogień z pistoletów, ale jakoś udało im się przejechać. Później, przy wycofywaniu, znaleźliśmy paręset metrów dalej dwa opuszczone samochody, z przestrzelonymi oponami. Musiał jednak ktoś z nich dostać”.

W parę dni po tej akcji, spotkała się ze mną kierowniczka zespołu kobiet. Była rozpromieniona: „Proszę, niech pan przekaże podziękowanie władzom podziemnym od kilkuset polskich pracowników instytucji, w której pracuję. Nasz Treuhändler, widocznie przestraszony klęskami Niemców, postanowił się zbliżyć do polskich pracowników i urządzić dla nich Choinkę, pod którą miał wygłosić przemówienie. Polscy pracownicy postanowili to zbojkotować, zgodnie zresztą z instrukcjami Walki Cywilnej, ale szykowali się już na represje i aresztowania. Tymczasem Niemiec sam odwołał tę hecę, bo, jak ktoś z nich się wygadał, polscy „bandyci” przestrzelili mu nogę, gdy wracał z polowania”. Tak więc z nieoczekiwanej strony przyszło potwierdzenie, że akcja częściowo się udała. Później doszło jeszcze do mnie, że zginął w niej jakiś generał, bawiący w Warszawie przejazdem, którego Fischer zaprosił na polowanie. Sam Fischer wyszedł obronną ręką. Były nawet pogłoski, że na polowaniu w ogóle nie był, gdyż w ostatniej chwili musiał z niego zrezygnować z powodu nagłych zajęć służbowych.

Komisja młodzieżowa.

Komisja młodzieżowa skupiała w swym gronie przedstawicieli młodzieży, zrzeszonej w odpowiednich organizacjach stronnictw, wchodzących w skład P.K.P. Komisja ta po pewnym czasie została przeze mnie rozwiązana gdyż, jak się okazało, reprezentowane w niej młode pokolenie, działało i wyżywało się całkowicie we własnych partyjnych, a przede wszystkim wojskowych organizacjach, powiązanych już z K.W.C. na innym torze i lepiej go było od tego nie odrywać. Z problemem młodzieży najwięcej wiązała się sprawa tak zwanej „żałoby narodowej”. Już P.K.P.

zaczął zajmować się tą kwestią. Sprowadzała się do tego, czy należy na cały czas wojny ogłosić żałobę narodową, co byłoby równoznaczne z zakazem wszelkich rozrywek, czy też nie. Doszliśmy do wniosku, że nie należy tego czynić z wielu względów. Uważaliśmy, że zakaz wszelkich w ogóle rozrywek osłabi siły psychiczne społeczeństwa, szczególnie młodzieży, która musi w godziwej rozrywce znaleźć pewne wyrównanie tragicznej rzeczywistości i odprężenie. Można trwać w żałobie narodowej przez parę miesięcy, ale nie przez parę lat. W konsekwencji został wydany zakaz rozrywek, związanych w jakikolwiek sposób z imprezami propagandy niemieckiej a więc np. kinami, loterią, kasynem gry, uroczystościami niemieckimi itp. Natomiast były dozwolone wszelkie rozrywki w obrębie ogniska domowego, jak imieniny i święta, dalej koncerty w kawiarniach, sporty, uczęszczanie do teatrzyków, ale nie np. do teatru miasta Warszawy, gdzie — dodając nawiasem — występowała wbrew zakazowi K.W.C. Lucyna Szczepańska.

Przy okazji roboty na tym odcinku zetknąłem się z młodzieńcem, który może służyć za klasyczny przykład tego, dokąd może zaprowadzić chora ambicja. Podsunął go Malicki z B.I.P.u, niewątpliwym jego protektorem. Młodzieniec miał dwadzieścia kilka lat, szczupły, wysoki, w binoklach, o twarzy poznaczonej ospą i nosił pretensjonalne pseudo „Arpad”. Czy go Malicki zapewnił, że będzie przewodniczącym Komisji Młodzieżowej, czy też sam jako prezes czy komendant jakiejś oddzielnej, protegowanej przez B.I.P. organizacji miał taką ambicję, dość że uczuł się dotknięty, gdy go ten zaszczyt ominął. Były z tego kwasy z Malickim, obrazy, jakieś demonstracyjne podawanie się do dymisji, no ale Komisja wkrótce została rozwiązana i z Arpadem kontakt się urwał. Parę lat później miałem w rękach akta sprawy sądu wojskowego A.K., który skazał Arpada dwukrotnie na karę śmierci za zadenuncjowanie do Gestapo swego kolegi organizacyjnego, na tle rywalizacji o jakiś urząd czy godność. Pierwszy wyrok nie został zatwierdzony przez Komendanta A.K. i sprawa odesłana z powrotem do ponownego rozpoznania. Sąd wojskowy ponownie wydał wyrok śmierci i Arpad, jak mnie doszły wieści, został postrzelony przez ekipę egzekucyjną, po czym się ukrył.

W 1946 roku, w Warszawie, idący naprzeciw mnie Marszałkowską młody, elegancki podpułkownik z armii Żymierskiego, szarmancko i z daleka zaczął mi salutować. Oczom własnym nie wierzyłem, uchylając kapelusza. Był to Arpad we własnej osobie! Z taką przeszłością jest już chyba dzisiaj generałem!

Spółeczna Organizacja Samoobrony.

Wśród organizacji współpracujących z K.W.C., wysunęła się z czasem na czoło Społeczna Organizacja Samoobrony (S.O.S.), mająca swego przedstawiciela w małym P.K.P. Wśród dwudziestu mniejszych organizacji konspiracyjnych, z których się składała, najpoważniejszymi były: „Pobudka”, na czele z adwokatem Witoldem Rościszewskim z przedwojennego O.N.R., „Raclawice”, będące odpowiednikiem sanacyjnej organizacji młodzieży wiejskiej „Siew”, kierowane przez Marszałka z Banku Rolnego, „Front Odrodzenia Polski”, z Kossak-Szczucką i „Polski Związek Wolności”. Powstanie tej koalicji należy głównie zawdzięczać dwóm faktom. Pierwszym była chęć małych organizacji konspiracyjnych uzyskania swego przedstawicielstwa w P.K.P., względnie późniejszej Krajowej Reprezentacji Politycznej. Nie mogąc wejść w jego skład pojedynczo, z powodu małej reprezentatywności, utworzyły organizację pod nazwą S.O.S. i zażądały już jej imieniem członkostwa. Drugim była inicjatywa Z.W.Z.-tu, zmierzająca do stworzenia konkurencyjnego w stosunku do P.K.P. (względnie K.R.P.) ciała politycznego. Dla niektórych zamaskowanych polityków w Z.W.Z., starających się inspirować generała Roweckiego, rola i pozycja P.K.P. była solą w oku. Działała tu bez wątpienia chęć powrotu do przedwojennych metod rządzenia i supremacji czynnika wojskowego nad politycznym, tym razem — o zgrozo — reprezentowanym przez przedwojenne partie opozycyjne. Stąd w Z.W.Z. zrodził się pomysł utworzenia ciała politycznego pod wpływami Z.W.Z., które by można było przeciwstawić P.K.P. Ten manewr jednak nie powiódł się. Delegat, na którego próbowano wywrzeć nacisk, między innymi sugerując fuzję P.K.P. i S.O.S., nie tylko że nie chciał o tym słyszeć, ale nawet odmówił wprowadzenia do P.K.P.

czy K.P.R. przedstawiciela S.O.S., wychodząc ze słusznego założenia, że S.O.S. nie ma ani jednolitego oblicza ideowego ani politycznego. Natomiast całą rzecz skierował na właściwy tor, wskazując S.O.S.-owi Walkę Cywilną, jako odpowiedni teren działania i wiążąc go z K.W.C. (*). Wyrodziła się z tego dość ścisła i owocna współpraca, która poszerzyła zakres działalności Walki Cywilnej, niemniej wyczuwało się u kolejnych prezesów S.O.S., dyrektora Bileka z Banku Gospodarstwa Krajowego i „Jakuba” (pseudonim), pewien żal do Delegata i P.K.P. z powodu zlekceważenia politycznych aspiracji S.O.S.-u. „Jakub” twierdził na przykład w rozmowach ze mną, że całą konspiracją winien kierować triumwirat w składzie: Delegat, Komendant i on, Jakub, a nie jakieś inne ciało. Cała rzecz była typowym przykładem wkraczania czynnika wojskowego w życie polityczne Podziemia. Ta tendencja przewijała się stale przez pierwsze lata konspiracji, zwalczana przez kolejnych Delegatów i P.K.P.

Po pewnym czasie, w S.O.S.-ie zaczęło się rzucać w oczy dziwne zjawisko. Kolejno ginęli wszyscy czołowi ludzie, jeden po drugim, jak Bilek, Marszałek, Jakub, sekretarz S.O.S.-u adwokat Jarczyk z Warszawy, wreszcie — sam Rościszewski. Ten ostatni wypadek dał pewne wytłumaczenie. Wiązał się on z najbardziej fantastyczną historią jaką można sobie wyobrazić.

Agent Gestapo w Centrali Podziemia.

W skład zarządu S.O.S.-u wszedł prezes ugrupowania pod nazwą „Organizacja Zjednoczenia Słowian”, przystojny, wysoki mężczyzna o oliwkowej cerze i kruczych włosach. Widywałem go regularnie na wspólnych posiedzeniach z zarządem S.O.S.-u, poświęconym zagadnieniom W.C. Od początku uderzyła mnie duża ilość wiadomości jaką posiadał o Gestapo, jej metodach pracy, sieci konfidentów itd., o czym chętnie i dużo mówił. Kładłem to jed-

(*) Nieco odmiennie brzmi oficjalna wersja, podana w wydawnictwie Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, pt. *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, tom III. *Armia Krajowa*, str. 457. Będę się jednak upierał przy tym, że moja wersja jest bliższa rzeczywistości.

nak na karb prężności organizacyjnej jego grupy i przyznać się muszę, że to mi nawet imponowało.

Na skutek nalegania zarządu S.O.S.-u, doszło do spotkania z Delegatem Rządu, profesorem Janem Piekalkiewiczem. Po przedstawieniu przeze mnie obecnych, rozwinęła się dłuższa dyskusja na temat działalności S.O.S. Toczyła się gładko i składnie i przedstawiciele S.O.S.-u wyszli ze spotkania widocznie zadowoleni. Z kolei zostało przygotowane spotkanie zarządu S.O.S.-u z Komendantem Grottem-Roweckim. Zanim jednak do tego doszło, prezes Organizacji Zjednoczenia Słowian (O.Z.S.) wystąpił na jednym z naszych zebrań z propozycją, która mocno mnie zdziwiła. Otóż zaproponował mi mniej ni więcej a tylko zorganizowanie większej akcji podziemnej przeciw Niemcom, ale tak, by stworzyć pozory, że została wykonana przez Ukraińców, na których naturalnie spadną represje niemieckie. Niezły projekt, jak na zjednoczyciela Słowian! Zwróciło to moją specjalną uwagę na przystojnego bruneta, a że w międzyczasie Grot wyznaczył spotkanie i wezwał na nie także pułkownika Rzepeckiego, więc podzieliłem się z nim moimi spostrzeżeniami. Rzepecki był również zdziwiony i szedł na spotkanie już z pewnym nastawieniem.

Wieczorem, a działo się to na jesieni, zeszliśmy się w niewykończonym domu, na Pradze. Trzeba było wchodzić po murarskich schodach, to jest po deskach, zaopatrzonych w poprzeczne, drewniane listwy. W źle oświetlonym pokoju zeszło się liczne towarzystwo: Roweckie, Rzepecki, ja i cztery osoby z S.O.S.-u. Rozmowa toczyła się według utartego szablonu: przedstawienie, coś w rodzaju referatu Jakuba na temat postulatów S.O.S.-u, później pytania Roweckiego i te czy inne sprawy, podniesione przez poszczególnych członków zarządu S.O.S.-u, bo jak konspiracja konspiracją nie zdarzyło mi się być obecnym na zebraniu, na którym ktoś z uczestników nie zabrałby głosu. I on sam i inni uznaliby to za coś w rodzaju dowodu ubóstwa umysłowego. Gadulstwo panowało nieopisane. Przystojny brunet nie omieszkał wyłożyć swego ulubionego projektu, to jest prowokacji na rachunek Ukraińców. Uważnie i bez słowa słuchający go Rzepecki wymienił ze mną porozumiewawcze spojrzenie, po czym z widoczną —

przynajmniej dla mnie — ironią w głosie zapytał: „Przepraszam pana, a jakiej organizacji jest pan prezesem?” — „Zjednoczenia Słowian” — jak najbardziej naturalnym głosem odparł zapytany.

Tak się jakoś złożyło, że Rowecki był więcej rozmowny niż zwykle i zaczął mówić o planach roboty na przyszłość. Delegaci z S.O.S.-u słuchali z zaciekawieniem i z pewnym nabożeństwem, właściwym pierwszym spotkaniom przy wielkim ołtarzu.

Gdy wyszli, zostaliśmy jeszcze z Roweckim i Rzepecki, już z pewnymi podejrzeniami zasianymi w duszy, zwrócił uwagę Roweckiemu, że może niepotrzebnie tak dużo mówił o planach przy ludziach mniej znanych, którzy mogą to rozgadać. Roweckiego to poirytowało, gdyż może czuł się trochę winnym, ale zarzut odparł: „Jeśli wy mi przyprowadzacie ludzi na spotkanie, to mam prawo sądzić, że zasługują na zaufanie”. Sprawa jednak wymagała wyjaśnienia, toteż spotkałem się z Rościszewskim (pseudo Trzebiński) i z wszelkimi ostrożnościami, gdyż mowa była o jego organizacyjnym koledze, poinformowałem go o złym wrażeniu, jakie robi projekt prezesa O.Z.S. i zapytałem, kim on był przed wojną i jaka jest jego przeszłość. Od pierwszych słów poznałem, że trafiłem w czułe miejsce. Rościszewski najpierw poprosił o zupełną poufność, a później dokonał szczerego przyznania: „Niestety, nikt z nas w S.O.S. nie wie, kim ten człowiek właściwie był i jest”. Zdumiało mnie to: „Jak, na miłość boską, mogliście przyjąć go wraz z jego grupą w skład S.O.S., nic o nim nie wiedząc? Jak to się stało?”. Rościszewski nie umiał tego wytłumaczyć: „Ktoś, gdzieś poznał go z kimś z konspiracji i tak, szczebel po szczeblu, doszedł do zarządu S.O.S.-u”. Nadszedł czas, by mówić zupełnie szczerze, więc zapytałem wręcz Rościszewskiego, czy nie rzuciło mu się w oczy, że prezes O.Z.S., jak na głowę małej i nieznanej organizacji, ma za dużo wiadomości o Gestapo. Rościszewski, coraz bardziej zdenerwowany, odparł, że tak i że to wzbudziło w nim już dawno pewne podejrzenia, które boi się wprost wypowiedzieć. Pod koniec rozmowy prosił, by nic w tej sprawie nie robić na własną rękę, gdyż on, Rościszewski, już rozpoczął śledzenie przystojnego bruneta i sądzi, że

wspólnymi siłami wywiadu A.K. i Delegatury dojdzie do tego, co się za prezesem O.Z.S. kryje.

Niedługo czekałem na rezultat. Po kilkunastu dniach dostałem kartkę od Rościszewskiego, że musi się ze mną natychmiast zobaczyć. Gdy się z nim witałem w pokoiku na Chmielnej, czułem w powietrzu coś złego. Rościszewski, zakławszy mnie, bym dochował absolutnej tajemnicy, odkrył karty: „Stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że jest on agentem Gestapo”. We mnie, jak piorun trzaśł. Jakieś niedopowiedziane myśli snuły mi się po głowie, jednak potwierdzenie najgorszych przypuszczeń było prawdziwym szokiem: „Ładna historia! Agent Gestapo konferował z Delegatem Rządu i Komendantem Z.W.Z., nie mówiąc, że z nami wszystkimi także. Dajmy z góry na mszę żałobną za nasze dusze. Co proponujecie, kolego?”. Rościszewski miał już gotowy plan: „Wy, Zieliński, nie róbcie nic. My w S.O.S., a właściwie ja, załatwimy to we własnym zakresie”. — „Jak?” — zapytałem. Rościszewski przyłożył palec do skroni: „Tak”.

Za kilka dni otrzymałem wiadomość, że prezes O.Z.S. został zastrzelony na tejże ulicy Chmielnej, podobno przez samego Rościszewskiego.

Pozostało jednak bez odpowiedzi pytanie, czy i jakie wiadomości i adresy zdołał zastrzelony przekazać przed swoją śmiercią do Gestapo i co wiedzą pozostali przy życiu jego pod-agenci. Wcześniejsze i późniejsze aresztowania w S.O.S. wskazywały, że ta organizacja została już rozpracowana. Jeśli jednak chodzi o Delegaturę, K.W.C. i Komendę Z.W.Z., żadne aresztowania nie nastąpiły. Być może pomogły tu zastosowane natychmiast środki ostrożności, ale także nie można wykluczyć, że prezes O.Z.S. pragnął rozpracować całość góry konspiracyjnej i dlatego nie przekazywał Gestapo fragmentów wiadomości.

Finałem całej sprawy było porwanie Rościszewskiego. Po zabójstwie prezesa O.Z.S., ukrył się bardzo starannie i zawiesił nawet kontakty z K.W.C. Toteż prawdziwym zaskoczeniem była wiadomość, że Gestapo wzięło go z konspiracyjnego mieszkania, którego adresu nie znali nawet najbliżsi współpracownicy. Agenci czekali, aż przyjdzie mleczarka i gdy na jej głos drzwi się otworzyły, los Rościszewskiego był przypieczętowany. Płotka mówiła, że

był to akt osobistej zemsty narzeczonej zabitego prowokatora, agentki Gestapo, tancerki Mannówny.

W ten sposób zginął jeden z najbardziej aktywnych członków podziemia, człowiek stojący ideowo na przeciwnym niż ja biegunie, jednak jeden z najbliższych współpracowników K.W.C. Rościszewski, sam człowiek nieustraszonej odwagi, i „Pobudka”, były to dwa filary, na których K.W.C. zawsze mogło się oprzeć, gdy chodziło o wykonanie jakiegoś trudnego i niebezpiecznego zadania.

Uderzenie na kina i loterię niemiecką.

Do organizacji, związanych z K.W.C., które nie przystąpiły do S.O.S., należał Związek Syndykalistów Polskich i „Zryw”, będący podziemną ekspozyturą tego odłamu Stronnictwa Pracy, na czele którego stał Felczak i Widy-Wirski. Pierwszy wiązał dość oderwaną od rzeczywistości konspiracyjnej ideologię z ożywioną akcją propagandową, drugi podejmował się zadań, przy realizacji których broń grała pewną rolę.

Jak wiadomo, K.W.C. ogłosiło bojkot kin, które wyświetlały wyłączenie filmy, dostarczone przez wydziały propagandy odnośnego dystryktu. Z reguły służyły one celom niemieckim. Z tego powodu były podejmowane różne akcje, na przykład napisy na murach kin i ulicach: „Tylko świnię siedzą w kinie”, rozsypywanie po kinach ulotek anty-kinowych, substancji śmierdzących, a nawet niszczących odzież, no i odpowiednia propaganda w prasie podziemnej. Miało to duży skutek, jednak kina działały i nie solidarni, czy też niedostatecznie zorientowani do nich uczęszczali nadal. W tym stanie sprawy, K.W.C. postanowiło dokonać w Warszawie i gdzie się da uderzeń na kina, celem zniszczenia w nich aparatur. Podjął się tego zadania „Zryw” i tego samego dnia i o tej samej godzinie, uzbrojone ekipy „Zrywu” wpadły do kin warszawskich i sterroryzowawszy operatorów, podpaliły czy uszkodziły w inny sposób aparatury. Akcja powiodła się w sześciu kinach (w innych natrafiono na jakieś przeszkody). Kina te zostały na jakiś czas unieruchomione (*).

(*) Patrz podziemny *Biuletyn Informacyjny* z 26 sierpnia 1943.

Także w związku z ogłoszonym przez K.W.C. bojkotem niemieckiej loterii w G.G., te same ekipy dokonały w Warszawie, w dniu 28 października 1943, uderzenia na kolektury i w sześciu punktach zniszczyły książki handlowe i zabrały bilety.

W kilka dni później, ludność Warszawy ze zdziwieniem patrzyła na pędzący z ogromną szybkością po głównych ulicach samochód, z którego jacyś ludzie wyrzucali w powietrze pęki ulotek. Rozchwytywano je, wietrząc w tym jakąś akcję podziemną. Istotnie, były to bilety niemieckiej loterii, zaopatrzone po drugiej stronie w napis, wzywający Polaków do jej bojkotu.

Wykonywując dla K.W.C. ryzykowne akcje, „Zryw” wymagał dla siebie już nie tylko słownego uznania, ale i pieniędzy na zakup broni z różnych źródeł, przede wszystkim od samych Niemców. Taki handel istniał i rozwinał się szczególnie wówczas, gdy szala w sposób widoczny przechyliła się na stronę aliantów. Zdemoralizowani Niemcy sprzedawali wszystko, ale największym popytem cieszyła się broń. Handel nią w Warszawie koncentrował się wówczas w okolicach Głównego Dworca kolejowego oraz Chmielnej i Zielnej. Żądanie „Zrywu”, by zwiększyć zasilki na zakup broni, zmusiły mnie poniekąd do zbadania sytuacji na tym rynku. Ubrawszy się więc odpowiednio, to znaczy, by nie zwracać strojem uwagi w tłumie handlarzy i klientów, zagłębiłem się w Chmielną od strony Marszałkowskiej. Od razu otoczył mnie gwar i ruch. Mężczyźni i kobiety stali na chodnikach i na jezdni, trzymając w ręku różny towar: jakieś stare ubrania, buty, palta, naczynia, ręczniki, płótno itp. Pod ścianami siedziały przekupki, jak kokosze, opatulone w mnóstwo spódnic, bluzek i swetrów, gdyż było zimno. Odgradzały je od publiczności olbrzymie kosze z pieczywem lub galanterią. Wśród tego wszystkiego wędrowali kupujący, obmacując i oglądając pod światło towar i targując się zawzięcie. Gdzieś tam przesuwali się milczący niemieccy żołnierze, najważniejsi na tym terenie klienci. Ten sam widok, tylko w zwiększonych rozmiarach, można było oglądać w kilku punktach Warszawy, przede wszystkim na słynnym Kercelaku. Wszędzie od czasu do czasu Niemcy robili obławy, zabierali ludzi i konfiskowali towar.

Skreśliłem w ulicę Zielną i rozglądając się bacznie dookoła, spokojnie kroczyłem naprzód. W pewnym momencie chwyciłem spojrzenie jakiegoś mężczyzny, później drugiego. Za chwilę jeden z nich przysunął się do mnie i idąc równolegle rozpoczął rozmowę: „Co pan tu uważa?” — „A tak rozglądam się za towarem” — „Jeśli szanownemu panu chodzi o twarde lub miętkie, to pan się tu źle wybrał. To na Brackiej i Placu Napoleona”. Mój towarzysz o mordzie, która może się przyśnić, nie powiedział mi nic nowego. Istotnie, na Brackiej i na Placu Napoleona każdy mógł oglądać przez cały dzień mężczyzn, stojących w pewnych odstępach, jak kołki w płocie, mrużących od niechcenia pod nosem, niby to tylko do siebie: „Twarde, miętkie, kupuję, sprzedaję...” Był to zagrożony śmiercią handel złotymi i papierowymi dolarami, tudzież złotymi rublami. — „Nie, panie, to nie o to chodzi”. Mój towarzysz zajrzał mi głęboko w oczy: „To może o rurki?”. — „A ma pan?” — „Czemu nie? A jakie by pan chciał?” — „A co pan ma?” — „Mogą być Waltery, Visy i Parabela”. — „Nowe?” — „Przecież nie prosto z fabryki, ale dobre”. — „Można widzieć?” — „Jest pan sam?” — „Sam”. — „To idź pan na schody, na pierwsze piętro tu naprzeciwko i czekaj pan”.

Poszedłem na schody bez żadnej obawy. Miejsce było pewne. Gdyby się znalazł prowokator nie z branży handlarzy bronią, zginąłby niewątpliwie z ich ręki. Wykluczone też było, by obrabowali klienta lub wydali Gestapo. To pierwsze gdyby się rozniosło, położyłoby cały handel na obie łopatki, to drugie było wykluczone, bo byli to przecież Polacy nie gorsi od innych.

Po paru minutach przedsiębiorca przyszedł w towarzystwie innego, którego przed tym nie widziałem. Stanęliśmy na platformie schodów. Nieznany nowoprzybyły bez słowa wyciągnął z kieszeni rewolwer: „Nie ma kuli w lufie, możesz pan obejrzeć”. Obejrzałem Waltera w dobrym stanie i zapytałem: „Ile?” — „Osiem górali” — odparł. „A po czemu Visy?” — „Po sześć tysięcy”. — „A parabellum?” — „Pięć, sześć — zależy w jakim stanie”.

Dowiedziałem się w ten sposób o bieżące ceny, co było istotnym celem wędrowki. Kupiłem jednak dla niepoznaki Waltera z dwoma magazynkami i na pożegnanie zapy-

tałem: „A macie Colty?”. Chodziło mi o to, by sprawdzić, czy amerykańskie rewolwery ze zrzutów nie są przypadkiem w handlu. Spojrzeli na mnie z nowym zainteresowaniem: „Tego towaru nie mamy, ale dobrze za niego zapłacimy”. Roześmiałem się, powiedziałem do widzenia i opuściłem lokal dwuosobowego przedsiębiorstwa na schodach. Dobięło mnie jeszcze wołanie: „Gdyby pan potrzebował więcej, to my są zawsze na Zielnej”. Przepraszam, firma liczyła trzech wspólników, gdyż trzeci stał na dole, w bramie, na czatach.

Szeffa „Zrywu”, Felczaka i jego prawą rękę, Widy-Wirskiego spotkałem ostatni raz w czasie Powstania Warszawskiego, gdy stali na warcie, jako żołnierze A.K., przy furcie Politechniki od ulicy Noakowskiego. Po „wyzwoleniu” w 1945 roku były to już „grube szyszki”. Felczak został wojewodą pomorskim, a Widy-Wirski poznańskim. Obaj oddali się całkowicie na usługi reżymowi komunistycznemu.

Socjalistyczna Organizacja Bojowa.

Bardzo bliska była współpraca K.W.C. z Socjalistyczną Organizacją Bojową (S.O.B.), a moja osobista z jej kierownikiem, Leszkiem Raabe, z którym bardzo się zaprzyjaźniłem. Sytuacja S.O.B. w podziemiu i w P.P.S. początkowo nie była wyraźna. Praktycznie wyglądało to w ten sposób, że główna osoba w P.P.S., Kazimierz Pużak (Bazyli), ignorował jej istnienie. Łączyło się to niewątpliwie z rozłamem wśród socjalistów, jaki się dokonał w konspiracji, a mianowicie na P.P.S.-Wolność, Równość i Niepodległość (W.R.N.), na czele z Pużakiem i Zygmuntem Zarembą oraz Polskich Socjalistów, z Markowskim, Wachowiczem, Raabem, Chudobą, Osóbką i innymi. Poprzeczki je rozdzielił w innym kierunku między Pużakiem i Zarembą z jednej strony a Zygmuntem Żuławskim i Stanisławem Dubois z drugiej strony. W pewnym momencie P.P.S.-W.R.N., reprezentowana przez Pużaka, opuściła P.K.P. i na jej miejsce weszli Polscy Socjaliści, reprezentowani przez Markowskiego. Wówczas to Leszek Raabe wszedł z ich ramienia do Komisji Głównej Walki Cywilnej, ale stało się to już po rozstaniu z Wachowiczem, Chu-

dobą i Osóbką, zerkającymi już wówczas bardzo na lewo i na wschód. W tym czasie S.O.B. miała poparcie nestora socjalizmu polskiego, Tomasza Arciszewskiego, który wdział w niej kontynuację walki, ducha i tradycji organizacji bojowej z 1905 roku.

Niejasną sytuację S.O.B. ilustruje najlepiej następujący wypadek. Delegatura udzielała poszczególnym organizacjom pomocy finansowej na zakup broni, łączność, rozjazdy itp. W stosunku doorganizacji, związanych z Walką Cywilną, działo się to przez K.W.C. Omówiwszy z Leszkiem potrzeby S.O.B. i przedłożony przez niego budżet, zreferowałem go następnie Delegatowi Jankowskiemu z pozytywnym wnioskiem. Delegat, przeglądając kartki wyglądał na nieco zająpotanego i tak rzeczywiście było: „Widzi pan, nie chciałbym dać swej aprobaty bez opinii Bazylego. Wie pan przecież, że w P.P.S. są zagmatwane stosunki i nie chciałbym zrobić jakiegoś fałszywego kroku”. Zgodziłem się z tym w zupełności, więc sprawa poszła w odwłokę. Po kilkunastu dniach jednakże budżet został zatwierdzony. Komunikując mi o tym, Delegat uśmiechał się pod wąsem: „Pokazałem Bazylemu budżet S.O.B. i zapytałem, czy chciałby go przejrzeć i wydać opinię. Wie pan, co mi odpowiedział?” — „Nie”, wtrąciłem, „ale jestem bardzo ciekaw”. — „Otóż odpowiedział mi, że nie zna w ogóle takiej organizacji”. Zaniepokoiłem się: „Jak to nie zna? Co to ma znaczyć? Ale jaka jest decyzja pana Delegata?” — „Bardzo prosta. Jeśli Bazyli nie zna takiej organizacji, tym samym mamy wolną rękę. Budżet zatwierdziłem”.

S.O.B. specjalizowała się w sabotażu kolejowym i w jego propagandzie wśród kolejarzy. Miała na tym polu doskonałe wyniki, raportowane z drobiazgową dokładnością. Była to prawdziwa satysfakcja czytać ich sprawozdania. Miejsce, data i dokładna godzina, numer lokomotywy lub wagonu zniszczonego czy uszkodzonego (np. wytopione panewki), nazwa towaru, w którym założono ładunek zapalający, dokładne miejsce zniszczonej zwrotnicy lub uszkodzonego semaforu. Wszystko to, niestety, od czasu do czasu potwierdzane przez represje niemieckie. Wyniki sabotażu i dowody skuteczności tej akcji były przeze mnie

komunikowane Londynowi. Cytuję, jako przykład, dwie depesze.

„Pierwszy październik, 1943. Pismo niemieckie „Kolejowiec” narzeka, że polscy kolejarze źle umieszczają na wagonach pojazdy mechaniczne, źle zabezpieczają towar przed wstrząsami, źle rozmieszczają go na podłodze, przez co przeciążają oś. Stąd liczne wypadki i niszczenie tabo-ru”.

„Dziewiąty listopad, 1943. Dziennik urzędowy Krakowskiej Dyrekcji Kolei podaje spis 500 wagonów i 200 cystern zaginionych z towarem oraz nagrody dla kolejarzy, którzy je odnajdą”.

Była to poza tym organizacja mająca stały kontakt z ghettem warszawskim. Udzielali oni tej czy innej pomocy towarzyszom-socjalistom i bundowcom, zamkniętym w ghetcie i wiem, że zorganizowali ucieczkę całego szeregu osób i grup, między innymi także pod koniec powstania w ghetcie.

Przy jakiejś okazji zwróciłem się do Leszka z zapytaniem, czy nie ma on wśród swych ludzi jakiegoś filmowca, gdyż K.W.C. chciałoby nakręcić film z życia pod okupacją i wysłać go do Londynu. Uważałem, że byłby to kolosalny sukces, gdyby się na przykład udało sfilmować jakieś akcje bojowe, lub sceny z ghetta, które okropnością swą przekraczały granice ludzkiej wyobraźni, w co Zachód nie bardzo chciał wierzyć. Leszek bardzo się do tej myśli zapalił i już po paru dniach odpowiedni ludzie zostali zorganizowani w specjalną komórkę. Z dużym trudem udało się zdobyć aparat filmowy i rozpoczęto robienie zdjęć w Warszawie, chwytając pewne sceny na gorąco. W tym celu uruchomiono jakąś starą ciężarówkę z budą, wykrojono w budzie małe okienko i filmowano co było godnego uwagi. Pewnym curiosum był fakt, że do zespołu filmującego należał Polak niemieckiego pochodzenia w pierwszym pokoleniu, którego rodzony brat był znanym Volksdeutschem, robiącym ogromne interesy na nielegalnym handlu. Nie potrzebuję chyba dodawać, że nie tylko robienie zdjęć, ale samo posiadanie aparatu filmowego groziło śmiercią.

Byłem na pokazie tego filmu urządzonym na Żoliborzu. Zasłonięto starannie okna, napięto na framudze jakieś czyste prześcieradło i za chwilę oglądałem zatłoczone wejście do ghetta, pilnowane przez żandarmów, za którymi widać było tłum nędzarzy w opaskach, dalej łapankę na Żoliborzu, filmowaną z okna, zza poduszki, której koniec ciągle wchodził w obiektyw, zasięki druciane i bunkry przed urzędami niemieckimi, wreszcie robienie przez członków S.O.B. napisów „PW” (Polska Walcząca) na chodnikach i murach.

Wszystko to było niezłe, ale za mało, by pokazać zagranicą. Zacząłem się głowić, jakby tu zrobić coś nadzwyczajnego. Sposobność się wkrótce nadarzyła, a było nią Święto Ludowe, połączone z promocją podchorążówki Batalionów Chłopskich, ćwiczącej, lub jeśli kto woli studiującej, w lasach Zamojskich. Pojechał na tę uroczystość operator ze wszystkim co trzeba i dokonał szeregu zdjęć, np. podchorążówki w szyku i defiladzie przed gośćmi z Warszawy, generałem z AK, oraz Kazimierzem Bagińskim i Komendantem Batalionów Chłopskich, Franciszkiem Kamińskim. Sfilmowano także mszę polową, wspólny obiad z gośćmi, chłopami, których masa najechała z okolicznych wsi itp. Wszystko to w pięknym lesie, na polanie zalanej słońcem, wśród alarmów spowodowanych przez nadlatujące od czasu do czasu niemieckie samoloty wywiadowcze, które coś jednak w lesie zwęszyły.

Kierownicy uroczystości byli zachwyceni myślą, że film zostanie wysłany zagranicę i tam wyświetlony. Każdy pragnął coś do niego dodać, ale pobiła wszystkich oferta młodego, wiejskiego chłopca, dowódcy partyzanckiego z okolicy, który zaproponował operatorowi, że urządzi dla niego wysadzenie pociągu z wojskiem niemieckim i to w biały dzień, by była gwarancja, że zdjęcia się udadzą. Temu nie trzeba było takiej propozycji dwa razy powtarzać. Zaraz po uroczystości wsiedli na furmanki i wyruszyli w kilka osób w nocną drogę, w stronę gdzie operował oddział młodego dowódcy. Jadąc w zupełnych ciemnościach, zostali nagle na skrzyżowaniu dróg zaszypani salwami z karabinów maszynowych. Padł jeden zabity, reszta z trudem uciekła poprzez pola i rowy. Była to zasadzka Niemców, którzy zorientowali się, że tego dnia w lasach dzieje się coś nie-

zwykłego. W zamieszaniu zginął starannie opakowany aparat wraz z wykonanymi zdjęciami. Nie jest wykluczone, że Niemcy go odnaleźli. Jeśli tak, to film istotnie znalazł się zagranicą, ale nie tam, dokąd był przeznaczony.

Nie mogliśmy przeboleć tej straty i ciągle w czasie spotkań wracaliśmy do tego tematu. Szczególnie cierpiał z tego powodu operator, młody, szepleniący trochę chłopak. Nawet gdy go spotkałem po Powstaniu na zatłoczonych ulicach Milanówka, kiedy te sprawy dawno już poszły w niepamięć, nie mógł się powstrzymać, by nie przypomnieć: „A tego filmu, proszę pana, to wielka szkoda!”. Mnie jednak interesowało co innego. Chłopiec miał obie ręce obandażowane po łokcie: „Co panu jest?” — „Mam dłonie spalone przez „ryczącą krowę” i nie wiadomo, czy co z nich będzie”.

Leszkowi „zawdzięczałem” także wybór asystenta uniwersytetu lwowskiego, Ostrowskiego, na okręgowego kierownika Walki Cywilnej we Lwowie. Młody, inteligentny, robił dobre wrażenie, odznaczał się tylko za dużą pomyślnością jeśli chodzi o akcje anty-komunistyczne. Nie było większego wroga komunizmu od niego i trzeba go było stale hamować. Wprawdzie prowadziliśmy wyteżoną akcję propagandową anty-komunistyczną, to jednak odnosiliśmy się krytycznie na przykład do akcji N.S.Z.-tu, który propagował wprost likwidację polskich komunistów (także z pewnym dodatkiem nie-komunistów). Wspomniany Ostrowski został z kolei mianowany okręgowym delegatem rządu we Lwowie, do czego przyczyniłem się również, popierając jego kandydaturę. Tymczasem, w czasie Powstania doszła nas wiadomość, że Ostrowski w zajętych przez wojska sowieckie Lwowie oddał się natychmiast do dyspozycji rządu Osóbki, a w następnym roku piastował już godność wojewody krakowskiego. Odznaczył się na tym stanowisku dwoma postępami: naciskiem na chorego Wincentego Witosa, by poszedł na współpracę z reżymem lubelskim oraz kradzieżą resztek mebli z Wawelu, którymi umebłował swoje mieszkanie. Gdy w listopadzie 1947 roku uciekłem wraz z żoną do Szwecji, poinformowano mnie tam miarodajnie, że rząd warszawski wnosi ostre protesty przeciw udzieleniu nam prawa azylu. Przedstawiał je, nie szczędząc osobistych inwektyw... ambasador reżymowy

w Sztokholmie, tenże sam Ostrowski. Że też nie zламаłem ręki, zanim podpisałem jego nominację na kierownika W.C.! Jest to jedyna ciemna plama na moich wspomnieniach o Socjalistycznej Organizacji Bojowej.

W pewnym okresie czasu miałem umówione spotkania z Leszkiem, co tydzień, tego samego dnia i godziny, na rogu Żłotej i Zielnej z tym, że jeśli ktokolwiek z nas się nie stawi, należy czekać w tym samym miejscu następnego dnia. Przyszedłem, jak zwykle na uliczne spotkanie, punktualnie co do minuty. Ale mimo, że czekałem przeszło kwadrans, Leszek nie przyszedł. To samo na drugi dzień. Zaniepokoiłem się nieco i pocztą podziemną posłałem kartkę z zapytaniem, co się stało i dodatkowym terminem spotkania. Zamiast Leszka przyszedł jego zastępca Kaczanowski, jakiś roztrzęsiony i zaaferowany. Nim otworzyłem usta, usłyszałem złą nowinę: „Leszek zaginął bez śladu. Ostatni raz widziano go wieczorem, w „Koniku”. Była to kawiarenka na Hożej, prowadzona przez znanego sportowca, Trojanowskiego, do której Leszek miał zwyczaj wpadać od czasu do czasu na kawę i spotkania. Znów spadł nowy cios! Taki wspaniały chłopak! „Co to może być?” — zapytałem — „musicie sprawdzić przez wywiad, czy jest w Gestapo na Szucha, czy na Pawiaku”. — „Już to puściliśmy w ruch, ale jeszcze nie ma żadnej wiadomości”.

Kaczanowski, szczupły, czarny i trochę przygarbiony, był zupełnie złamany. Głowiliśmy się nad tym, co mogło się stać. Nie było w zwyczaju Niemców, by działać tak cicho i ukradkiem. Lubili wszystko załatwiać z krzykiem i hałasem. Robili naloty wprost na kawiarnie, jeśli mieli w nich kogo aresztować, a nie czekali grzecznie nim wyjdzie.

Po jakimś czasie przyszła wiadomość, że Leszka nie ma ani na Szucha, ani na Pawiaku, z tym tylko zastrzeżeniem, że na Pawiaku jest kilka cel, gdzie siedzą pojedyncze osoby, których nazwiska są trzymane w absolutnej tajemnicy i nie są wciągnięte do rejestrów więziennych. Może Leszek jest jedną z nich? Tajemnica się pogłębiała.

Ostatecznie nie zostało wyjaśnione, jak zginął Leszek Raabe. Ale w miarę upływu czasu zaczęły narastać poszlaki, że wpadł on w gorsze ręce... N.K.W.D., które już wówczas działało w podziemiu na terenach, okupowanych

przez Niemców. Trzeba pamiętać, że z punktu widzenia Osóbki, Chudoby, Wachowicza i całej tej grupy socjalistów, którzy poszli na współpracę z Sowietami, Leszek był odszczepieńcem. Herezję tę trzeba było zlikwidować.

Leszka zastąpił w prowadzeniu S.O.B. Kaczanowski, z którym współpracowałem do wybuchu Powstania Warszawskiego. Przeżyliśmy razem trochę niebezpieczną, trochę śmieszłą przygodę. Spotkałem się z nim i jego nowo-mianowanym zastępcą w lokalu przy ulicy Marszałkowskiej, blisko Placu Dąbrowskiego. Szybko omówiliśmy sprawy, gdyż obu nam się śpieszyło. Wyszedłem pierwszy i zbiegłem szybko ze schodów... wprost na „rozpylacz” żandarma, który stał niezauważony przeze mnie w sieni na dole. Usłyszawszy szablonowe *Hände hoch!*, podniosłem ręce i drugi żandarm zaczął mnie obmacywać od dołu do góry. Zrobiło mi się nijako, chociaż bowiem tym razem nie miałem wyjątkowo broni przy sobie, to jednak w lotniczym tygodniku niemieckim „Adler”, pomiędzy dwiema zaklejonymi stronicami przenosiłem depesze. Żandarma jednak „Adler” nie zainteresował i jasne było, że szukał broni. W tym momencie zbiegł Kaczanowski i powtórzyła się z nim ta sama historia. Ustawili nas w sieni i kazali czekać, a sami zajęli się dalszymi osobami, wychodzącymi i wychodzącymi z domu. Czuliśmy, że to pachnie zabranieniem na badanie, więc korzystając z tego że żandarmi stali do nas tyłem, wyjąłem „Adlera” z kieszeni i położyłem na skrzynkę od listów. Nie było go tam widać i odetchnąłem z ulgą. Kaczanowski rozejrzał się dookoła i szepnął mi do ucha: „Z podwórza jest wyjście na ulicę Szkolną”. — „Spróbujmy zwiąć” — zaproponowałem — „prowadźcie”. — „Dobrze, idźcie za mną”. Spokojnie, krok za kroczkiem, posuwaliśmy się w głąb sieni, przeciwko czemu żandarmi nie protestowali, zajęci zatrzymywaniem coraz to nowych osób. Wysunęliśmy się na podwórze i przez chwilę nasłuchiwaaliśmy, czy nie rozlegnie się *halt!* Było jednak cicho, więc szybko przez podwórze, wyjście na Szkolną wolne i w nogi! Ludzie na ulicy patrzyli na nas, jak na wariatów, ale nikt nie zatrzymywał. Stanęliśmy dopiero na Szpitalnej i zaczęła mnie gnębić sprawa depesz, zaklejonych w „Adlerze”. Kaczanowski znów obawiał się o los zastępcy, który został na miejscu. Zdecydował się więc

zatelefonować do niego. Rozmawiali ze sobą, jak gęś z prosięciem: „Jak się masz, tu Włodek. Jak się czujesz, co u ciebie słychać?” — „Jak się mam czuć? Czyś oszalał? Przecież widziałeś mnie przed chwilą!” — „No dobrze, dobrze, ale czy nie masz u siebie jakichś gości?” — „Jakich znów gości? Nikogo nie ma, siedzę w domu i czytam”. — „W takim razie mam do ciebie prośbę. Mój towarzysz poprawiał sobie but w sieni i położył „Adlera”, wiesz taki lotniczy tygodnik, na skrzynce od listów. Schodź ostrożnie i jeśli można, zabierz go, bo go nie zdążył przeczytać. On go później odbierze. Zadzwoń do ciebie za parę minut”. Za parę minut Kaczanowski zadzwonił ponownie: „No, masz Adlera?” — „Mam”. — „No, a co w domu?” — „Co ma być? Nic, czyś oszalał?” — „Nie dogadamy się. Przynieś „Adlera” do nas, czekamy na rogu Szkolnej i Świętokrzyskiej”. W pięć minut przyszedł zastępca i wyjaśniło się, że w ogóle nie wiedział o tym, że dom był obsadzony i ludzie rewidowani. Gdy wyszedł po „Adlera”, Niemców już nie było.

Końcem S.O.B., jako większej jednostki, było Powstanie Warszawskie. W chwili wybuchu, atakując w kilka plutonów Niemców na Żoliborzu, zostali po prostu wybici do nogi. Kaczanowski padł jeden z pierwszych.

Stanisław Dubois.

Zmierałem kiedyś w godzinach południowych ulicą Ordynacką w kierunku Tamki, do baru „Kazik”, gdzie spodziewałem się zastać mego przyjaciela, Staśka Dubois, z którym od pierwszych dni konspiracji pozostawałem w ścisłym kontakcie. Tak jak mnie Rataj, tak jego Niedziałkowski wyznaczył swym zastępcą na wypadek aresztowania. Ponieważ Niedziałkowski zakomunikował mi o tym oficjalnie, zatem gdy nastąpiło jego aresztowanie, w pamiętny dzień przedwigilijny 1939 roku, zawiadomiłem o tym górę konspiracji. Podziemny P.P.S. jednakże nie uznał tej decyzji Niedziałkowskiego i w P.K.P. znalazł się jako przedstawiciel P.P.S.-u Kazimierz Pużak. Daję tutaj świadectwo prawdzie, nie dziwiąc się bynajmniej tej zamianie osób. W dalszym rozwoju wypadków, Stasiak, oparłszy się o swoich zwolenników, zorganizował coś w ro-

dzaju opozycji w podziemnej P.P.S. i zaczął wydawać własne pismo pod tytułem „Barykada Wolności”. Później grupa jego znalazła się głównie w podziemnej Rewolucyjnej Partii Polskich Socjalistów.

Cieszyłem się na spotkanie, gdyż pogodny i niefrasobliwy Stasiak, roztaczający dookoła czerstwy zapach czystej wyborowej, był doskonałym towarzyszem w takich ciężkich czasach. Ganiłem nieco jego zwyczaj jadań obiadów w barze „Kazik” przez dłuższy czas, ale rozumiałem, że grał tu rolę kredyt, jaki Staśkowi otworzył właściciel baru, jego dobry znajomy (wszyscy właściciele barów w Warszawie byli to dobrzy znajomi Staśka). A Stasiak, z uwagi na nieugaszone pragnienie, jakim go obdarzyła matka-natura, takiego kredytu od czasu do czasu potrzebował. Ale oto stanąłem przed skromnymi drzwiami baru „Kazik”, które niczym nie zdradzały, jakie rozkosze kryją się za nimi i wszedłem do środka.

Uderzyła mnie dziwna pustka. Za bufetem stał właściciel, a poza tym w barze nie było żywego ducha. Zbliżyłem się do bufetu i spytałem starszego mężczyznę, który czegoś bacznie mi się przyglądał: „Czy był tu dzisiaj pan redaktor?” Zamiast odpowiedzi usłyszałem pytanie: „Pan jest przyjacielem pana redaktora? Zdaje się pan Stefan?” — „Tak jest”. Właściciel wybiegł z bufetu i nachylając mi się do ucha, mimo, że nikogo w barze nie było, gorączkowo szeptał: „Gestapo wzięło go stąd kwadrans temu, razem z Imbusiem (*) i jakimś panem i dwiema paniami. Redaktor przyszedł, jak zwykle, na obiad i w towarzystwie. Już jedli, gdy weszło dwóch ludzi w cywilu i usiadło przy drugim stoliku. Zamówili piwo i siedzieli. Jak tylko redaktor i towarzystwo skończyli jeść, ci dwaj wyjęli rewolwery, podeszli do stolika i zabrali wszystkich do auta, które czekało na ulicy. Lepiej niech pan stąd idzie, bo mogą jeszcze wrócić”.

Rada była dobra, więc natychmiast wyszedłem. Ruszyłem w kierunku Tamki i po paru krokach natknąłem się na młodą pepesiaczkę, Genachow, i krępego chłopca w skórzanym palcie, nazwiskiem Ferszt, oboje żydowskiego pochodzenia. Dobrze ich znałem jako współpracowników

(*) Redaktor Borski z „Robotnika”.

Staśka, ukrywających się w aryjskiej dzielnicy. Zatrzymałem ich i spytałem, dokąd idą. Odpowiedzieli: „Do „Kazika”, na spotkanie ze Staśkiem. — „Stasiak kwadrans temu aresztowany u „Kazika”, właśnie stamtąd wyszedłem. Chodźcie w dół, na Powiśle”. Znów na twarzach ta sama, dobre mi znana reakcja. Oczy nagle wpadnięte, twarz blada, rysy twarzy się zaostwiają. Chłopak pomacał się po kieszeni. Miał broń przy sobie.

Powtórzyłem jeszcze raz opowiadanie właściciela baru. Nie dawało ono żadnej wskazówki jak Gestapo doszło do Staśka. Rozeszliśmy się szybko, by zaalarmować, kogo należy. Wędrowałem z jednego miejsca na drugie i myślałem o Staśku. Obraz przesuwiał się za obrazem. Stasiak, najmłodszy poseł w Sejmie; Stasiak ze mną i naszym przyjacielem, Mieczysławem Thuguttem, na włóczędze w Tatrach i na nartach w Zakopanem; Stasio na wiecu robotniczym z setkami oczu wpatrzonymi w niego z podziwem; Stasiak na ławie oskarżonych w procesie brzeskim; wreszcie ze mną nielegalnie w Pradze Czeskiej, na spotkaniu z Wincentym Witosem i Kazimierzem Bagińskim, które akurat przypadło na dzień pogrzebu Massaryka, prezydenta Czechosłowacji. W obie strony przekraczaliśmy granicę polsko-czeską nocą i lasem. I tak szła scena za sceną, obraz za obrazem. A co pukam do drzwi i podaję wieść hiobową, wszędzie ta sama milcząca rozpacz i strach. Żony nie zawiadomiłem, nie miałem już sił. Niech to zrobi kto inny.

Po jakimś czasie mieliśmy wiadomość z Pawiaka, że Staśka badają i torturują. Nic nie sypnął i po paru miesiącach wywieźli go do Oświęcimia. Stamtąd wozili go jeszcze raz czy dwa na badania do Warszawy na Pawiak i Szucha. Były to dla niego najcięższe chwile, bo przechodził nowe tortury. Ostatecznie jednak wrócił do Oświęcimia. Tutaj się okazał tym, czym był przez całe życie, to jest prawdziwym mężczyzną. Gdy Kostek Jagiełło, jego oddany współpracownik, zorganizował mu ucieczkę z Oświęcimia, Stasiak odmówił, nie chcąc towarzyszy niedoli z tego samego baraku narazić na represje. Jak mówią byli więźniowie Oświęcimia, stanął on tam na czele podziemnej, obozowej organizacji. Któregoś dnia SS-mani wyprowadzili go na plac straceń i rozstrzelali.

Śmierć Adama Próchnika.

Otrzymałem wiadomość, że przywódca P.P.S., Adam Próchnik, pragnie ze mną mówić i proponuje spotkanie na Bagateli, w kawiarni Dakowskiego, o godzinie 10 rano. Należał on wówczas do opozycji w stosunku do Pużaka i można było przewidzieć, że rozmowa będzie się w ten czy inny sposób z tym wiązała. Wchodząc do pustej zupełnie kawiarni, zauważyłem przy jednym ze stolików w ogrodzie Zygmunta Żuławskiego z P.P.S. i Michała Strzeleckiego oraz trzeciego mężczyznę, w którym domyśliłem się tylko Adama Próchnika, gdyż go nigdy przed tym nie widziałem. Z Żuławskim miałem już poprzednio spotkanie w ubogim mieszkaniu tramwajarza, na Woli. Przyjrzałem się wówczas dokładnie temu wybitnemu przywódcy robotniczemu, który przyjechał, naturalnie konspiracyjnie, do Warszawy z Krakowa. Co za piękna postać i twarz! Żuławski, nie wiadomo dlaczego, nabrał do mnie od pierwszego spojrzenia pewnej sympatii, której odgłosy później często mnie dochodziły. Z Michałem Strzeleckim byłem już blisko zaprzyjaźniony.

Przysiadłem się do stolika i jakiś czas rozmawialiśmy ze sobą o bieżących sprawach podziemia, po czym Próchnik zaproponował mi przeniesienie się do innego stolika, gdyż pragnął porozmawiać ze mną w cztery oczy. Zgodnie z przewidywaniami, rozpoczął od narzekania na dyktaturę Bazylego w P.P.S. i poinformowawszy mnie o akcji opozycji w P.P.S., domagającej się reorganizacji podziemnego kierownictwa tej partii, prosił o przyjęcie tego samemu do wiadomości i poinformowanie o tym również władz Trójkąta.

Gdy temat zdawał się być wyczerpany i omawialiśmy sposób kontaktowania się na przyszłość, zauważyłem, że z Próchnikiem coś się dzieje. Twarz zaczęła mu się mienić i dostał drgawek, które jednak szybko minęły. Poczekałem nieco i widząc, że się uspokoił, zaproponowałem: „Możebyśmy wrócili do tamtego stolika?” Próchnik nic nie odpowiedział i patrząc gdzieś przed siebie, zaczął obmacywać, jak gdyby badać, swe nogi i ciało. Zaniepokoiłem się: „Zdaje się, że panu jest niedobrze, czy chciałby pan czego może? Może przynieść szklankę wody?”. Próchnik

skinął głową, że tak. Pobiegłem do bufetu, nie mówiąc nic Żuławskiemu i Strzeleckiemu, zajętem o parę stolików rozmową. Po chwili byłem z powrotem i postawiłem szklanke wody przed Próchnikiem. Wziął ją w trzęsącą się rękę, ale nie był już w stanie donieść do ust. Krzyknąłem do sąsiedniego stolika: „Chodźcie szybko, z Adamem coś się stało”. Przyskoczyli natychmiast. Próchnik patrzył na nas, nie mogąc wyrzec ani słowa, tylko jedną ręką w dalszym ciągu obmacywał nogi i ciało. Michał zaczął nim potrząsać: „Adam, na miłość boską, co ci jest? Powiedz!”. Próchnik na żadne pytania już nie odpowiadał, przeciwnie, patrząc coraz mniej przytomnie, osuwał się bezwładnie w fotel. Żuławski pierwszy się zorientował: „On ma atak apoplektyczny. Ja to znam, sam to przechodziłem”. Energetyczny Strzelecki wziął kierownictwo w swoje ręce: „Panie Zygmuncie, zostańcie z Adamem, my polecimy po doktora”. Żuławski był nastawiony sceptycznie: „Idźcie, ale jeśli to jest atak, to niewiele on tu na miejscu pomoże”.

Wybiegliśmy na Bagatelę, ale co za pech! Nigdzie w okolicy nie zastaliśmy żadnego lekarza w domu. Michał zdecydował, żeby wracać. Gdy wbiegliśmy do wciąż pustego ogrodu Dakowskiego, Próchnik, już nieprzytomny, leżał w fotelu, a zdenerwowany Żuławski wołał: „Trzeba go stąd zabrać do domu, bo tu może umrzeć. Idę po dorożkę, a wy go nieście stąd na ulicę”. Wziąwszy się z Michałem za ręce i podłożywszy jedno pod nogi, a drugie pod plecy, wynieśliśmy ciężkiego Próchnika na ulicę, przeprowadzani zdziwionymi spojrzeniami milczących kelnerów i bufetowych. Tam, ułożyliśmy go w dorożce i pożegnawszy bardzo zdenerwowanego Żuławskiego, pojechaliśmy Alejami Ujazdowskimi w kierunku Nowego Świata. Ja usiadłem na przedniej ławeczce, Michał z Próchnikiem pod budą, którą kazaliśmy podnieść. Próchnik ukrywał się na Żoliborzu i mieliśmy przed sobą daleką drogę. W Alejach już wszędzie mijaliśmy Niemców, jadących autami i spacerujących po chodnikach, gdyż dzień był wyjątkowo pogodny i piękny.

Nieoczekiwanie Próchnik dostał torsji i zaczął okropnie wymiotować. Dorożkarz przyhamował konia i protestował. Ja zeskoczyłem z ławeczki na stopień. Zwracało to uwagę przechodniów, no i naturalnie Niemców, którzy pa-

trzyli na dorożkę, na wychylonego wymiotującego mężczyznę i na mnie, stojącego na stopniu. Sytuacja robiła się nieprzyjemna, szepnąłem więc dorożkarzowi, wskazując okiem na Niemców: „Jedź pan, to chory a nie pijany. Może być niedobrze. Szkody pokryjemy”. Dorożkarz coś niecoś zrozumiał, dał bata szkapie i pojechaliśmy szybko naprzód. Próchnikiem wciąż miotały torsje. Gdy dojeżdżaliśmy do Placu Trzech Krzyży, Michał rozstrzygnął sprawę: „Ty tu już więcej nie jesteś potrzebny. Ja znam jego melinę i tam go zawiozę. Bywaj zdrow”. Zeskoczyłem ze stopnia i poszedłem przed siebie.

Na drugi dzień, Adam Próchnik, nie odzyskawszy przytomności po ataku apoplektycznym, zmarł.

Emisariusz Michał Strzelecki.

Wspólne przeżycie z Próchnikiem jeszcze więcej mnie zbliżyło do Michała. Nie wiem, gdzie się on urodził i wychował, ale dla mnie był typem warszawskiego robociarza, wyrobionego i oblatanego, który nie z jednego pieca jadał chleb. Wesoly, hulaka, trochę blagier, czuł się w podziemiu, jak ryba w wodzie. Został zrzucony pod Łowiczem na spadochronie, jako emisariusz rządu i stąd zażywał w kołach podziemnych pewnej powagi. A że cały zrzut został dokonany z omyłką, gdyż na terenach włączonych do Rzeszy, zamiast w G.G., Michał wraz z resztą spadochroniarzy, m. in. z Celtem, przeszedł przez ciężkie tarapaty, zanim się dostał do Warszawy. Przechodząc granicę między Rzeszą a G.G., zabili oni kilku strażników, stąd Niemcy rozpoczęli zaraz pościg i rozlepili plakaty, wzywające do schwytania „bandytów spod Łowicza”. Dodało to Michałowi jeszcze nimbu pewnego bohaterstwa, czego ofiarą padała często gęsto płeć piękna z podziemia, na której wdzięki Michał był bardzo wrażliwy.

Zaprzyjaźniliśmy się szybko, mimo że nie traktowałem poważnie jego misji politycznej. Może to jest przyczyną, że nic z niej nie pamiętam. Natomiast utkwiło mi w pamięci ze spotkań z Michałem parę zabawnych epizodów.

Kiedyś, na wspólnym noclegu u znajomych, w małym mieszkanku, gdzie z trudem wszyscy nocujący się pomieścili, odnalazłem nad ranem Michała w łazience. Spał

snem sprawiedliwego w... wannie. Gdy go obudziłem i przystąpiłem do porannych ablucji, zauważyłem, że ściera z siebie jedną po drugiej jakieś cztery, pięć koszul. Michał spostrzegł moją zdziwioną minę i wyjaśnił rzeczowo: „Choć mam stałą melinę, to jednak rzadko do niej zaglądam i właściwie nigdy nie wiem, gdzie będę nocował. Toteż noszę na sobie na zapas parę zmian bielizny”. — „Ale jak ty to robisz, żeby mieć jednak od czasu do czasu czystą koszulę?” — „Bardzo prosto. Jak się koszula z wierzchu zbrudzi, to ja ją kładę na sam spód, a druga z kolei wychodzi na wierzch. I tak do końca”.

Michał bardzo się przejmował moją łącznością radiową, gdyż nie raz wysyłałem do Londynu swoim szyfrem jego poufne raporty do rządu. Znając trudności lokalowe, przyrzekł mi znaleźć mieszkanie na radiostację. W czasie jednego spotkania oświadczył mi z triumfem, że mieszkanie jest, ale... w tym miejscu zawsze pełen tupetu Michał wpadł w pewne zakłopotanie: „Widzisz, mój drogi, mieszkanie to jest u pewnej przystojnej pani, która mi się bardzo podoba. Ja jej chciałem troszkę zaimponować, więc powiedziałem, że to jest moja własna radiostacja, na której rozmawiam z rządem w Londynie. Wobec tego, jak przyjdiesz ze mną do niej, to bardzo cię proszę, nie mów mi „ty” (tu się Michał z lekka zarumienił) a tak jakoś, żeby ona wiedziała, że ja jestem twoja władza. Co ci to szkodzi? Przecież tobie chodzi o mieszkanie, a nie o fasony”. Michał miał rację. Mnie chodziło o mieszkanie na radiostację, a reszta była fraszka.

I już na drugi dzień, w pięknej willi na dalekim Mokotowie, chodziłem z czapką w rękę po bogato urządzonej mieszkanie w towarzystwie naprawdę pięknej pani i Michała i bez zająknięcia odpowiadałem na każdą jego bzdurę techniczną gdy oglądaliśmy dom: „Tak jest, panie szefie!... Nie, panie szefie!... Rozkaz, panie szefie!...” A mieszkanie co było, to było.

Zanosilo się już na jego powrót do Anglii, więc kilku nas, przyjaciół Michała z podziemia, postanowiło urządzać mu pożegnanie. Wybraliśmy stołówkę Banku Gospodarstwa Krajowego na Brackiej, gdzie schodzili się sami swoi i można się było względnie bezpiecznie spotkać. Zeszliśmy się w południe, z paniami, w osobnym pokoju, przy nie-

źle zastawionym stole. Michał, posadzony na honorowym miejscu, dwoił się i troił bawiąc panie, prawiąc komplementy i sypiąc dowcipami na prawo i lewo.

W pewnej chwili wstałem i uderzywszy nożem w kieliszek, dałem do zrozumienia, że pragnę przemawiać. Wszyscy umilkli i wlepili we mnie oczy. Michał przybrał na twarz wyraz skupienia i powagi. Zacząłem podniosłymi słowami żegnać Michała, wypominając jego chwalebne czyny, począwszy od „mordu pod Łowiczem” a skończywszy na brawurze, z jaką obraca się w pełnej Niemców Warszawie, mimo że wie, iż jest od dawna poszukiwany przez Gestapo. Wreszcie dodawszy głosowi specjalnie uroczystego brzmienia, zakończyłem:

— Drogi Michale! A teraz pragnę Ciebie i wszystkich tu obecnych powiadomić, że otrzymałem z Londynu szczególnie zaszczytne dla mnie zlecenie, które pragnę wypełnić. Imieniem najwyższej naszej władzy, mam zaszczyt udekorować cię oznaką, ustanowioną dla skoczków spadochronowych, zrzuconych do kraju. Jesteś pierwszym, którego spotkało to wielkie wyróżnienie.

Ruszyłem z miejsca i zbliżywszy się do Michała, przypiąłem mu do piersi okrągły, brązowy medal. Wszyscy bardzo wzruszeni zerwali się z miejsc i otoczywszy kołem Michała, ściskali go i całowali.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Michał nie wytrzymał swej roli do końca. Ryknąwszy gromkim śmiechem, zaczął opowiadać zaskoczonym gościom, że godzinę temu siedł ze mną ulicą i obaj postanowiliśmy zrobić im kawał, zobaczywszy na wystawie jednego z niezliczonych sklepów, w których głodujący warszawiacy wyprzedawali się ze wszystkiego, dyndający mu obecnie na piersi medal. Natychmiast kupiliśmy go, a resztę to już wiedzą sami.

Cała wściekłość zebranych skierowała się przeciwko mnie. Wytrzymałem pierwszy atak, a że przyniesiono z kuchni coś do zjedzenia, a na stole było jeszcze coś do wypicia, więc powoli wszyscy się jakoś uspokoili. Rozpoczęła się natomiast dyskusja, której towarzyszyły złe spojrzenia, rzucane w moim kierunku, czy całą rzecz można uważać za dowcip, czy też należy uznać za świństwo i tym podobne chamstwo. W miarę, jak się towarzystwo uspakajało, przeważało zdanie, że gdyby Michał sam nie

był uczestnikiem spisku i był nabrany przeze mnie, byłoby to świętstwo rzadkiego gatunku, ale ponieważ Michał brał udział w organizowaniu kawału, to można całą rzecz uznać za dowcip, ale naturalnie marny, bo: „Stefana nie stać na lepszy”; „bo od Stefana trudno wymagać czegoś lepszego”; „bo wedle stawu grobla”, nie mówiąc już o tym, że „nie ma dla niego nic świętego!”. Gdy wreszcie fala opadła całkowicie i zaczęto oglądać medal, śmiech wrócił do oddzielnego pokoju w stołówce na Brackiej. Na medalu widniał hełm strażacki w otoczeniu kilofów, siekier i innych utensylii, tudzież dumne słowa: „W dwudziestopięcioletnią rocznicę założenia Straży Pożarnej” w Psiej Wólce, czy gdzieś tam.

Tak wyglądała wesoła strona mych stosunków z Michałem. Niech nie razi ona nikogo, zestawiona z tragiczną okupacyjną rzeczywistością, która — co należy ciągle pamiętać — była tłem, na jakim rozgrywały się opowiedziane historyjki. Trzeba rozumieć, że śmiech ratował nas przed szaleństwem. Gdybyśmy się od czasu do czasu nie poświęcili, nie przetrwalibyśmy pięciu okropnych lat okupacji. Nigdy w kraju dowcip tak nie kwitnął, jak w czasie wojny. Zebrano go później i wydano w kraju w stukilkudziesięciostronicowej książce, opracowanej przez Stanisława Dzikowskiego. Zaryzykowałbym zdanie, że jak długo Polacy się śmieją i dowcipkują, tak długo nie można ich pokonać.

Na kilkanaście dni przed swym wyjazdem do Anglii, Michał został schwytany przez Gestapo i wywieziony do Berlina. Od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Gestapo doszło do jego meliny, mieszkania rodziców pierwszej żony Cyrankiewicza, o ile pamiętam nazwiskiem Munk, lecz dziwna rzecz, nikomu tam włos z głowy nie spadł. Ta sprawa czeka jeszcze na wyjaśnienie.

VI

„ŚWIT” — TAJEMNICA NACZELNEGO WODZA

Tajemnicza depesza.

Któregoś dnia, w jednym z naszych tajnych lokali, Zosia podniosła głowę znad obszernego stołu, założonego arkuszami papieru, na których odszyfrowywała otrzymaną tylko co z Londynu depeszę i powiedziała podnieconym głosem: „Przeczytaj, to coś ciekawego”.

Pochyliłem się nad kolumnami cyfr, z którymi Zosia wyrabiała jakieś dziwy dla wydobycia tekstu i odczytałem mniej więcej, co następuje: „Czy słyszycie tajną radiostację, pracującą na fali 31 metrów, o godzinie ósmej rano i siódmej wieczór, w języku polskim?”

Byłem zdumiony i zaskoczony. O istnieniu takiej radiostacji nic nam nie było wiadomo. Jedyłą dobrze nam znaną radiostacją, używającą polskiego języka, było B.B.C., które wobec skonfiskowania przez Niemców radioaparatów, słuchane było potajemnie, na odbiornikach nie oddanych, lub wybudowanych w konspiracji. Na długo przed siódmą czatowaliśmy, Zosia, Ziutek i ja, w lokalu Ziutka na Marszałkowskiej. Punktualnie o godzinie siódmej, odezwał się głos mocny i czysty, widać, że stacja na wysokim technicznym poziomie. Już z pierwszych słów tekstu było widoczne, że stacja jest antyniemiecka i że mówi z kraju, z okupowanej Polski. Zaczęliśmy sobie łamać głowy. Kto to mógł zrobić? Zналиśmy dobrze konspiracyjne środowi-

sko radiowe i jego możliwości, toteż cała sprawa wydała nam się nie do wiary. Ale nasz zwariowany pomysł został przez kogoś zrealizowany i tajna radiostacja krajowa mówi przecież, i to doskonale!

Wysłałem natychmiast depeszę do Londynu, podającą bardzo pochlebne techniczne uwagi o nieznannej stacji. Zarazem podałem, że nic o niej nie wiemy. Chodziliśmy w dalszym ciągu zaintrygowani, słuchając regularnie zagadkowych audycji.

Wyjaśnienie nie kazało na siebie długo czekać. Pewnego dnia otrzymałem własnym szyfrem depeszę, zastrzegającą niezwykłą tajemnicę, bo przed wszystkimi w Polsce, bez wyjątku, włączając w to władze podziemne. Informowała ona, że tajna radiostacja o nazwie „Świt” znajduje się w kraju alianckim i jej zadaniem jest udawanie stacji krajowej, gdyż to z jednej strony wzbudzi na zachodzie większe zaufanie dla wiadomości przez nią podawanych, a z drugiej będzie to dobra dywersja i propaganda antyniemiecka. Depesza podkreślała, iż powierzono nam tajemnicę najwyższego rzędu, bo Naczelnego Wodza, który wziął na siebie odpowiedzialność za jej dochowanie. Następnie depesze podkreśliły z naciskiem, że cała ta koncepcja może się załamać, jeśli nasza organizacja radiowa nie będzie w stanie stale zaopatrywać „Świtu” w świeże, możliwie codzienne wiadomości z Polski. One tylko mogą pozwolić „Świtowi” na odgrywanie z powodzeniem roli radiostacji krajowej.

Pomysł bardzo się nam spodobał. Wpadliśmy w nastrój radosnego podniecenia i zaczęliśmy na wyścigi dyskutować możliwości robienia Niemcom różnych kawałów. Rozumieliśmy przy tym doskonale doniosłość tej koncepcji z punktu widzenia akcji antyniemieckiej. Oczywiście na czoło wybijała się konieczność dostarczania „Świtowi” jak najwcześniej i jak najwięcej wiadomości z okupowanego kraju. Z tego znów wyłonił się pomysł, by umożliwić „Świtowi” podawanie wiadomości o wydarzeniach w Warszawie z tego samego dnia. Było to możliwe, gdyż nasze radiostacje były na miejscu, w Warszawie, a główna szyfrantka Zosia, zawsze pod ręką. Z tego wszystkiego wyłonił się system, stwarzający nieraz karkołomne sytuacje.

Praca i pomysły.

Wychodziłem wcześniej na miasto, rozglądając się pilnie, czy nie jestem obserwowany, lub by nie natknąć się na Niemców, łapiących po ulicach ludzi na roboty. Rozpoczywałem w ten sposób polowanie za jakąś sensacyjną wiadomością, która by dała „Świtowi” temat do audycji tego samego lub następnego dnia. Jeśli nieszczęście chciało, że Niemcy w nocy na przykład rozplakatowali listę osób, rozstrzelanych z tego czy innego powodu (duże, rzucające się w oczy czerwone afisze, dobrze znane każdemu mieszkańcowi Warszawy z tego okresu czasu) lub rozlepili jakieś rozporządzenie, lub też w ogóle coś się stało, o czym całe miasto mówiło, wówczas wracałem do kryjówki i po ułożeniu tekstu i zaszyfrowaniu go przez Zosię, depesza wędrowała na stację tak, by zdążyć na rozpoczęcie pracy z Londynem.

Gdzieś na Ogrodowej czy na Chłodnej, obserwatorski kręcące się po ulicach, wymieniają z Zosią, która niesie depeszę, porozumiewawcze spojrzenia: „Wszystko w porządku, możesz iść”. Rzut oka na okno. Firanka odchyłona, czy też doniczka z kwiatami ustawiona w umówiony sposób. Znaczy to — droga wolna. Teraz pukanie do drzwi według systemu ustalonego na dany okres czasu. Drzwi się uchylają. Przy stole siedzi ze słuchawkami na uszach jeden z naszych telegrafistów, i „łapie Londyn”. Telegrafista ma twarz skupioną, wpatrzony gdzieś przed siebie. Ręce miarowo wystukują: „tu woła stacja nr 50...” Sygnał idzie raz po raz w powietrze, a po tym: „przechodzę na odbiór...” Ręka telegrafisty odskakuje od klucza i cały zamienia się w słuch. Za chwilę rozjaśnia mu się twarz, kiwa głową z zadowoleniem i wyciąga rękę po depeszę. W Londynie słyszą go i to dość dobrze. Wkrótce Londyn zaczyna odbierać wiadomości dla „Świtu”.

Wieczorem słyszymy je nadane przez „Świt”, rozbudowane i skomentowane. Słyszą je tysiące Polaków, słuchających w kraju radia potajemnie, nie bacząc na grożącą im za to karę śmierci. Nie słyszą ich tylko Polacy w... Anglii, gdyż dzięki specjalnym urządzeniom technicznym, „Świt” nie jest tam słyszany.

Niemiecka gazeta „Nowy Kurier Warszawski” wydana w języku polskim, wychodzi na miasto około pierwszej po południu. Zalana jest obrzydliwą, niemiecką propagandą, ale ma zawsze jakiś materiał, nadający się dla „Świt”, którego zadaniem jest także zwalczanie tej propagandy. Jednak przygotowanie i wysłanie depeszy zajmuje parę godzin i „Świt” nie byłby w stanie cytować „Nowego Kuriera Warszawskiego” tego samego dnia. Ale czasami udaje się na to znaleźć sposób.

Oto któregoś dnia, wcześniej rano, stoję czujny i baczny na to co się wokół dzieje, na rogu ulicy Marszałkowskiej i Placu Zbawiciela, niedaleko miejsca, gdzie się drukuje „Nowy Kurier Warszawski”. Po paru minutach z tramwaju wyskakuje znajoma postać. Oczy zaspane, twarz nieogolona. Wchodzimy, rozejrzawszy się starannie naokoło, do pierwszej lepszej bramy, a stamtąd na schody. Nasłuchujemy — nikt nie idzie. Mój towarzysz wyciąga z kieszeni zwitek papieru, wpycha mi w rękę i ze słowami „do widzenia”, zbiega ze schodów.

Śpieszę do naszego lokalu, zadowolony jak zawsze, gdy coś idzie gładko. Rozwijamy z Zosią paczkę i oto przed nami leżą mokre jeszcze płyty „Nowego Kuriera”, na kilka godzin przed wypuszczeniem go na miasto. Udało nam się pozyskać pracownika redakcyjnego i ten, gdy tylko okoliczności mu pozwolą, będzie nam dostarczał wcześniej rano pierwsze odbitki NKW, robione dla korekty. Nasz łącznik dostał już dzisiaj od niego pierwszą porcję. Przejrzenie tekstu, znalezienie materiału, ułożenie depeszy wraz z dodaniem wskazówki takiej, jak „wykpijcie” lub „pogróżcie”, to tylko kwestia kilku kwadransów. Więcej czasu zabiera przewiezienie i nadanie depeszy, zależnie od warunków w eterze. Ale na ogół, po paru godzinach depesza jest w Londynie, a wieczorem, nasz przygodny kontroler audycji „Świt”, Józef Wierusz-Kowalski, Polak, obywatel szwajcarski, mający z tego powodu prawo posiadać oficjalnie odbiornik, słucha w swym mieszkaniu na kolonii Staszica:

„Tu mówi „Świt”... Dzisiejszy „Nowy Kurier Warszawski” przynosi rozporządzenie Gen. Gubernatora Franka, podwyższające normy tłuszczu dla ludności polskiej w tak zw. Generalnej Gubernii. Głupi Niemiec myśli, że Po-

lacy dadzą się pozyskać kilkoma gramami słoniny..." i tu następują dalsze kpiny z Niemców.

Wierusz-Kowalski nie wie, że „Świt” jest poza krajem, a że mu mówię z góry, co ma w audycji sprawdzić, więc jest może najbardziej ze wszystkich przekonany, że „Świt” jest w kraju.

Nasz wywiad donosi, że Niemcy się wściekają i szukają „Świtu” zawzięcie. Nic nie może nam sprawić większej satysfakcji!

Spotykam się w małej kawiarence, jakich było wtedy w Warszawie bez liku, z moim znajomym, redaktorem tajnego pisma podziemnego. Pytam go: „Kiedy wypuszczasz najbliższy numer?” — „W czwartek”. Dziś jest poniedziałek, więc jest dosyć czasu na zrealizowanie nowego pomysłu. Pytam: „Czy podasz jaką ważną wiadomość?” — „Tak. Sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą”.

Następnego dnia idzie o tym depeza do Londynu, z dodatkiem: „Podajcie to w czwartek”. I w czwartek rano „Świt” mówi: „Podziemna gazeta... z dnia dzisiejszego donosi, że sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą”. A dalej następuje komentarz, omawiający znaczenie tego faktu.

Z nasłuchów B.B.C. dowiadujemy się, że ta właśnie konkretna wiadomość obleciała prasę i radio całego świata.

W ten sposób nie tylko zagranica, ale i ludzie z polskiego Podziemia, na przykład w Warszawie, z jednej strony słuchający „Świtu”, a z drugiej czytający prasę podziemną, widząc, że „Świt” podaje wiadomość, zawartą w podziemnej gazecie z tego samego dnia, daliby się posiekać w kawałki, że „Świt” jest w kraju.

Cały system już chwycił i funkcjonuje, toteż czas było postawić kropkę nad „i”. I oto w całej prasie podziemnej ukazał się komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej, donoszący o istnieniu tajnej radiostacji „Świt” i podający

godziny jej pracy oraz fale, na jakich należy jej słuchać. Komunikat nie stwierdzał, że „Świt” jest w kraju, ale stwarzał takie domniemanie, w każdym razie łączył z nim K.W.C. (*). Stał się on sensacją dnia w podziemnej Warszawie.

Pogróżki i komunikaty.

W ten sposób zaczynamy przy pomocy „Świtu” nie tylko informować świat o wydarzeniach w Polsce, ale też terroryzować Niemców, pilnie zresztą kontrolujących audycje „Świtu”. Zwracamy się specjalnie do tych, którzy dopuszczają się okrucieństw. „Świt” wymienia ich zbrodnie i grozi. Ponieważ nie rzucamy pogróżek na wiatr, o czym Niemcy dobrze wiedzą, zatem zdarza się, iż niektórzy z nich łagodzą postępowanie, inni starają się o przeniesienie do Rzeszy, wreszcie Kreishauptmann powiatu warszawskiego, Richter, stara się wytłumaczyć przed ruchem podziemnym przy pomocy przywołanego pod pretekstem choroby lekarza polskiego i, przyrzekając poprawę, prosi o litość. Oto przykład pogróżek:

„Dwudziesty kwietnia 1943 roku. Pogróżcie komendantowi niemieckiej policji w Kielcach, Geyerowi, który podczas ekspedycji odwetowej w Samsonowie osobiście zabił żonę i dwie córki sekretarza gminy i dwóch urzędników gminy. Pogróżcie gestapowcowi Witkowi, w Łagowie Kieleckim, za zamknięcie w oborach i spalenie żywcem kilku rodzin i urzędnikowi kolejowemu Vogtowi w Jędrzejowie, który bez powodu zastrzelił pasażera i kolejarza Kudere”.

„Piętnasty października 1943. Po południu podali Niemcy przez megafony nazwiska dalszych czterdziestu zakładników. Ogółem wzięli stu. Podajcie i powtarzajcie następującą zapowiedź: w ostatnich dniach Gestapo rozpoczęło nową falę terroru w formie masowych łapanek niewinnych ludzi oraz brania i rozstrzeliwania zakładników, jak to miało miejsce w Warszawie, w dniach 13 i 14 października br. Polacy nie dadzą się zastraszyć taką bezmyślną

(*) Patrz B.I. nr 24 z 17. VI. 1943.

i okrutną akcją. W odwet za tego rodzaju akty terroru zostaną wykonane dodatkowe uderzenia dywersyjne i represyjne”.

„Świt” ogłasza wykonane przez K.W.C. wyroki śmierci na agentach Gestapo, podaje do wiadomości ludności polskiej zarządzenia sabotażowe K.W.C., apeluje do aliantów o odwet za okrucieństwa niemieckie, nawet podaje dowcipy antyniemieckie, stając się skutecznym narzędziem w walce z okupantem. Oto przykłady tego rodzaju depeesz:

„Dwudziesty drugi czerwiec 1944. Ogłoszcie o rozstrzelaniu z wyroku Sądu Specjalnego okręgu Kraków: Walentego Pawlika, Walentego Deca, Wandy i Sławomira Madradów, konfidentów Gestapo, oraz Sądu Specjalnego w Warszawie: Antoniego Pietrzaka, kaprała policji granatowej, za współpracę z Niemcami w tropieniu Żydów”.

„Dwudziesty trzeci kwietnia 1943. Dziś rozlepiono w Warszawie odezwę burmistrza Leista, wzywającą do dobrowolnego zgłaszania się do pracy w Rzeszy i w G.G., pod groźbą zastosowania środków przymusowych. Zapewnia on wyżywienie takie, jak dla Niemców, opiekę księży, dobre mieszkanie itd. Wezwijcie imieniem Kierownictwa Walki Cywilnej do oporu”.

„Dwudziesty drugi czerwca 1944. W Krakowie, przy kościele Św. Wojciecha przewrócono słup z megafonem, na którym napisano: kłamałem cztery lata, idę do spowiedzi”.

Emisariusz Nowak.

Pewnego dnia dostałem wiadomość, że emisariusz rządu polskiego, który przybył do Polski, pragnie się ze mną widzieć. Wyzaczyłem spotkanie na Placu Małachowskiego, obok skwerku. W piękny, słoneczny dzień przyszedłem punktualnie na miejsce i wśród nielicznych przechodniów rozpoznałem szybko emisariusza. Opis się zgadzał, więc zagadnąłem go umówionym hasłem. Uśmiechnął się porozumiewawczo i odpowiedział. Wyciągnąłem do niego rękę — wszystko w porządku.

Emisariusz Nowak (*), młody człowiek z wąsikami i szramą na twarzy, przyglądał mi się ciekawie: „Mam informację, że pan jest kierownikiem „Świtu”? Spojrzałem na niego złym okiem. Takich pytań, zadawanych przez ludzi z konspiracji, miałem powyżej uszu: „A dlaczego pan o to pyta?”. I za chwilę z trudem musiałem kryć zakłopotanie. Nowak przemykał się do Polski drogą przez Szwecję i tam się zetknął z polską placówką, która go ekspediowała dalej. Przy tej okazji dowiedział się, że polska kolonia w Szwecji słucha „Świtu”, ale zdania wśród niej są podzielone. Jedni twierdzą, że to jest niemożliwe, by tajna radiostacja foniczna mogła przemawiać dwa razy dziennie w kraju, okupowanym przez Niemców. Ci upierają się przy zdaniu, że już po paru audycjach Niemcy by ją zlikwidowali. (Pomyślałem z uznaniem, że muszą to być niezłe fachowcy). Drudzy, zapaleni zwolennicy „Świtu”, utrzymywali na podstawie audycji, omawiających wydarzenia z Warszawy z tego samego czy poprzedniego dnia, że stacja musi być w Polsce i to blisko Warszawy, inaczej nie mogłaby podawać tak świeżych wiadomości. W rezultacie Nowak przyrzekł, że gdy dotrze do kraju, wyjaśni sprawę w ten sposób, że jeśli stacja jest w Polsce, to nada umówione z rodakami w Szwecji hasło.

Gdy Nowak skończył i patrzył na mnie pytająco, odpowiedziałem: „To się da zrobić. Jakie hasło trzeba nadać?”. Usłyszałem w odpowiedzi coś w rodzaju: „Janek pozdrawia Stasię”.

Obliczyłem szybko w myśli: dziś jest poniedziałek, jutro wysłę depezę, w środę będą mogli już hasło nadawać. Zwróciłem się do Nowaka: „Zafatwione. Od środy „Świt” będzie nadawać hasło przez trzy dni”.

Nowak był zadowolony i zaczął rozplływać się nad wspaniałą organizacją „Świtu” i bohaterstwem ludzi w nim pracujących, którym przecież każdego dnia grozi straszne niebezpieczeństwo. Słuchałem tego bez żadnego zażenowania. Istotnie, nasi telegrafisci i obserwatorzy to byli bohaterowie, narażający swe życie każdego dnia dla należytej obsługi „Świtu”.

(*) Jan Nowak, kierownik Radia Wolnej Europy w Monachium.

Odpowiednia depesza została wysłana i od środy wysłuchiwaaliśmy, jak „Świt” wołał: „Uwaga, uwaga! A teraz nadamy ważne hasło: Janek pozdrawia Stasię”.

Jak sądzę, wątpliwości placówki polskiej w Szwecji zostały rozchwiane, ale pozostał jeszcze swego rodzaju dług, zaciągnięty wobec Nowaka, z którym spotkałem się znacznie później, gdy już tajemnica „Świtu” była mu znana. Na szczęście brał wszystko na wesoło: „Ależ pan mi zrobił kawał! Nie mam jednak pretensji, gdyż tajemnica „Świtu” tego wymagała. Niech pan sobie wyobrazi, że gdy przedostałem się z Polski z powrotem do Anglii, to nawet wobec wtajemniczonych przysięgałem na wszystko, że „Świt” jest w Polsce i że nawet rozmawiałem z jego kierownikiem”.

Pretensje.

A oto inne, podobne sytuacje.

Któregoś dnia przyszedłem na rozmowę z wyższym funkcjonariuszem Delegatury Rządu, związanym z działem propagandy i informacji, który naturalnie nie orientował się wówczas, że „Świt” jest zagranicą. Mój rozmówca był wyraźnie wzburzony i z miejsca przystąpił do rzeczy:

„Świt” kompetencyjnie należy do naszego Departamentu i dołożę wszelkich starań, by Delegat nakazał oddanie go w nasze ręce”.

Oświadczyłem na to, że „Świt” jest przede wszystkim instrumentem Walki Cywilnej, na której czele stoję, i nie mam zamiaru pozbywać się tego środka działania. Rozmówca mój nieco złagodniał.

„To w każdym razie liczę na to, że pan weźmie do zespołu „Świtu” naszych pisarzy i odda pan nam do wyłącznej dyspozycji kilka audycji tygodniowo”.

Odparłem na to, niewiele zresztą rozmiijając się z prawdą, że „Świt” ma skompletowaną ekipę i nie może organizacyjnie być w dyspozycji dwóch różnych ośrodków redakcyjnych. Mój rozmówca wówczas wybuchnął:

„Jeśli pan się nie godzi na moje propozycje, to w takim razie w ciągu trzech miesięcy uruchomię własny „Świt”. — „Wątpię, by się to panu mogło udać”. — „Mogę się z panem o to założyć, że w trzy miesiące będę mówił

z własnej stacji". — „Byłoby to nieuczciwością z mojej strony, gdybym taki zakład przyjął, bo wiem, że to niemożliwe". Mój nowoupieczony konkurent zatriumfował: „A widzi pan, boi się pan zakładu! Zobacz pan za trzy miesiące”.

Nie zobaczyłem nic, ani za trzy miesiące, ani za sześć, ani za rok, bo nie mogłem zobaczyć. Konspiracyjna radiostacja foniczna w okupowanym kraju, mówiąca dwa razy dziennie, o tych samych godzinach i na tych samych falach, o wielkiej mocy, pracująca na tak zwanej fali ciągłej, niezmiernie łatwej do wymierzenia — byłoby to szaleństwo. W granicach możliwości leżały tylko krótkie, rzadkie i nieregularne audycje, takie jakich próbowaliśmy w 1941 roku. Jeśli chodzi o „Błyskawicę”, uruchomioną w Warszawie w czasie Powstania Warszawskiego, to trzeba pamiętać, że pracowała ona w warunkach zupełnej swobody.

Kiedy indziej spotkałem się z jednym z przywódców własnego Stronnictwa Ludowego. Ten z kolei był zaszępiiony, przygryzał nerwowo wargi i przestępował z nogi na nogę — nieomylny znak dla tych, którzy go znali, że ma coś przykrego do powiedzenia. Tym razem wyglądało to w sposób następujący:

„Moi drodzy, w tym waszym „Świcie” uwzględnicie wszystko, prócz spraw ludowych. Czytam jego nasłuchy i nic w nich o wsi nie znajduję, a tylko wszystko związane z A.K.”.

Zaoponowałem gorąco, gdyż nieraz czerpałem materiał do depeesz z agencji „Wieś” i podziemnej prasy ludowej. Kolegi partyjnego jednak nie przekonałem i rozstałem się dość oziębło.

Trzeba trafu, że z tego spotkania pomaszerowałem wprost na widzenie z pułkownikiem Rzepeckim, szefem Biura Informacji i Propagandy A.K. Siedziała przede mną żywa kopia poprzedniego rozmówcy. Twarz zaszępiiona itd. Bez dłuższego wstępu wyłożył „kawę na ławę”: „W tym waszym „Świcie” nie ma nic prócz demagogii ludowej. Kontroluję jego audycje i myślę, że zaniedbanie spraw A.K. jest skandaliczne”.

Wpadłem w doskonały humor. Obie pretensje wza-

jemnie się znakomicie kasowały i można było machnąć na nie ręką.

Jednakże mnożące się na tym tle konflikty stworzyły konieczność wtajemniczenia we wszystko generała Roweckiego. Reakcje jego były mieszane. Był z jednej strony wściekły na Londyn na nie poinformowanie go z góry, z drugiej strony rzecz całą uznał za sensowną i śmiało się przy tym z kawałów, jakie robiliśmy Niemcom przy pomocy „Switu”. Do mnie zaś powiedział: „Mam do was trochę żalu, że jako mój pełnomocnik, nie wtajemniczyliście mnie od razu, ale pał sześć! Robota dobra, więc szczęść Boże!”

W rezultacie rozładowywał konflikty, dochowując do końca tajemnicy, nawet w stosunku do najbliższych współpracowników.

Zbrodnia w Zbydniowie.

Ogólnie znana była w Polsce w tym czasie straszna zbrodnia, dokonana przez Niemców w Zbydniowie, majątku ziemskim Horodyńskich, dokąd Gestapo wpadło w czasie wesela i wymordowało wszystkich gości i służbę, prócz państwa młodych, Wańkowiczów, którzy wyjechali do sąsiedniego miasteczka do fotografii i dwóch młodych Horodyńskich, Zbigniewa (Inia) i Andrzeja, którzy zdążyli dostać się do schowka na strychu. „Świt”, w obszernych audycjach, podał na podstawie naszych depeesz przebieg potwornej zbrodni, nazwiska pomordowanych i zapowiedział śledztwo oraz karę na winnych. Słuchacze „Świtu” byli wstrząśnięci tym niezwykłym nawet na warunki okupacyjne, zbiorowym morderstwem. Wszyscy czekali na odwet podziemia.

Po paru miesiącach zapowiedź się spełniła. Konspiracyjne śledztwo wykazało, że inicjatorem mordu był dygnitarz hitlerowski z Krakowa, o ile pamiętam, nazwiskiem Fuldner, który chciał zabrać majątek Zbydniów dla siebie, co też po dokonany morderstwie zrobił. Niedługo się jednak nim cieszył. Pewnego dnia, gdy odbywał konferencję we dworze, w Zbydniowie, z dwoma urzędnikami hitlerowskimi, którzy przybyli z Krakowa, dotknęła go ręka podziemnej sprawiedliwości. Do dworu wtargnęła grupa uz-

brojonych ludzi, prowadzonych przez Inia Horodyńskiego i jego przyjaciela Horocha, i po sterroryzowaniu obecnych Niemców, odczytali struchlałemu Fuldnerowi wyrok śmierci, po czym go zastrzelili na oczach przybyłych z Krakowa urzędników, którym polecili odjechać i zawiadomić generalnego gubernatora Franka o tym, co widzieli.

Przedepeszwaliśmy „Świtowi” dokładny opis tej egzekucji, wraz ze wskazówką: „Nadajcie wiadomość o tym w sobotę wieczorem. Słuchać jej będą wykonawcy wyroku”.

W sobotę, w mieszkaniu Wierusz-Kowalskiego, uprzednio wspomnianego naszego współpracownika, gdzie za drzwiami, oznaczonymi szwajcarskim krzyżem można było zaznać trochę spokoju, zebrało się zaufane grono osób. Rozmawiano półgłosem, oczekując na audycję „Świtu”. Gospodarz manipulował przy odbiorniku. Coraz to ktoś nadśluchiwał, czy nie nadchodzą Inio Horodyński i Horoch, dla których audycja miała specjalne znaczenie. „Świt” odezwał się, jak zwykle punktualnie i nadał wstrząsającą audycję o wymierzeniu sprawiedliwości zbrodniarzowi zbydniowskiemu. Audycja kończyła się słowami: „Wiemy, że słuchają nas dziś wykonawcy tego sprawiedliwego wyroku. Cześć im, bohaterom Polskiego Podziemia”.

Wszyscy byli wzruszeni, kobiety ocierały łzy. Ale ci, dla których przeznaczone były te słowa, nie przybyli. Nie wrócili na czas z jakiejś akcji „Kedywu”. Później, gdy ich spotkałem, żałowali bardzo, że ich ta audycja ominęła.

Na Zbydniowie nie skończyła się jednak tragedia rodziny Horodyńskich. Bracia Zbigniew i Andrzej i ich przyjaciel Horoch zginęli wkrótce po tym, wszyscy razem, gdy jako żołnierze „Kedywu” mieli osłaniać ucieczkę grupy więźniów z Pawiaka. Rzekoma ucieczka była prowokacją i wszyscy trzej, wpadłszy w zasadzkę wraz z innymi żołnierzami A.K., otoczeni przez oddziały SSmanów, znaleźli śmierć w walce na cmentarzu Powązkowskim.

Alarmy.

Nasze stacje w Warszawie są coraz częściej podjeżdżane przez Niemców i muszą wstrzymywać pracę i zmieniać lokale, o które zawsze bardzo trudno. Przecież po

pierwsze, właściciel mieszkania musi być osobą jak najbardziej zaufaną, po drugie rzadko kto godzi się na udzielenie swego mieszkania na pracę tajnej radiostacji, po trzecie mieszkanie musi mieć odpowiednie warunki techniczne. W czasie takich przerw, kiedy nie jesteśmy w stanie dostarczyć „Świtowi” świeżego pokarmu, urządza on prawdziwe „przedstawienie”. W trakcie audycji, speaker „Świtu” przerywa w pół słowa, po czym „Świt” nie odzywa się przez parę dni. Wszyscy słuchacze przerażeni sądzą, że „Świt” wpadł. Jestem zasypywany przez górę konspiracyjną zapytaniami, ale muszę uspakajać wszystkich, że to tylko przejściowe trudności. Jeśli znajdzie się ciekawski, który pyta jakie, muszę robić tajemniczą minę, lecz ta zabawa porządnie mi dokucza.

Po paru dniach „Świt” odzywa się na nowo. Speaker mówi: „Przepraszamy słuchaczy za przerwę, spowodowaną nieprzewidzianymi okolicznościami, których jednakże nie możemy wyjaśnić”.

Wszyscy się cieszą, że „Świt” uniknął wpadki i mówi dalej. Powoli powstaje wokół „Świtu” atmosfera tajemniczości i niebezpieczeństwa, która nie jest pozbawiona prawdziwego podłoża, gdyż często przyczyną przerw „Świtu” jest bezpośredni atak Niemców na nasze radiostacje. Wszak „Świt” jest naszym głosem, gdy podaje nasze depeche, a my jego oczami w kraju.

Histeria też przychodzi do głosu, bo oto pewnego dnia otrzymujemy pocztą alarmową następującą wiadomość: „Helena z komórki X ostrzega, że wedle uzyskanych przez nią wiadomości, siedziba „Świtu” została przez Niemców wykryta i schwywanie radiostacji jest kwestią najbliższych dni”.

Tajemnica „Świtu”.

Kiedy tajemnica „Świtu” została w kraju szerzej ujawniona? O ile mi pamięć dopisuje, radio „Kościszko”, nadające z Sowietów, bardzo szybko zaczęło twierdzić, że „Świt” nie jest w Polsce, ale temu nikt w kraju nie wierzył, bo to mówiła stacja bolszewicka, co było ogólnie wiadome. Niemcy długi czas zdawali się nie orientować. Wydaje mi się, że dopiero na początku 1944 roku „Nowy Ku-

rier Warszawski" zaczął pisać, że „Świt” jest w Anglii. Temu też ludność nie wierzyła, uważając to za trick propagandy niemieckiej.

Jeśli chodzi o władze podziemia, tajemnica pękła w jakiś czas po śmierci generała Sikorskiego. Wówczas to nadeszła do kraju drogą wojskową wiadomość o miejscu pracy „Świtu”, jego organizacji, zatargach polsko-angielskich itd. Jak długo żył generał Sikorski, tajemnica „Świtu” była utrzymana. Była do chwili jego śmierci — mówiąc słowami drugiej depechy — prawdziwą tajemnicą Naczelnego Wodza, który w stosunku do nas wziął na siebie pełną odpowiedzialność za ten wojenny podstęp.

VII

WALKA CYWILNA

Sabotaż kontyngentów.

W planach niemieckiej gospodarki wojennej tereny okupowanej Polski miały odegrać wielką rolę, w pierwszym rzędzie jako śpichlerz, z którego Niemcy będą czerpać zboże, mięso, nabiał, drzewo itd. To miało zresztą obowiązywać także na przyszłość, po zwycięstwie. K.W.C. postawiło sobie bardzo ambitne zadanie obrócenia tych planów w niwecz i przystąpiło do organizowania bojkotu i sabotażu wszelkiego rodzaju przymusowych kontyngentów, nakładanych przez okupanta na polskiego rolnika. Zostały wydane odpowiednie odezwy i rozpoczęto odpowiednią propagandę (*). Głównym wykonawcą tej akcji był podziemny Ruch Ludowy, jego bogata prasa, a przede wszystkim jego zbrojne ramię, Bataliony Chłopskie, z którymi zresztą byłem w początkowej fazie ich organizacji dość ściśle związany, na pamiątkę czego pozostała mi ranga majora B.CH. Zostały wydane szczegółowe instrukcje sabotażu kontyngentów zbożowych, mięsnych, nabiałowych, itp., które wszelkimi możliwymi drogami rozpowszechniono na terenie wiejskim. Obowiązywało hasło: „Jak najmniej, jak najpóźniej i jak najgorsze”. Rzecz oczywista, nie można było wydawać całkowitego zakazu dostawy kontyngen-

(*) Patrz odezwa K.W.C. w podziemnym *Biuletynie Informacyjnym*, nr 38. z 1. X. 1942.

tów. Byłoby to szaleństwem, które kosztowałoby wieś morze niepotrzebnie wylanej krwi. Niemcy na tyle panowali nad krajem, że całkowity bojkot byłby niechybnie złamany straszliwymi represjami. Został on ogłoszony dopiero w przeddzień Powstania Warszawskiego, w odniesieniu do terenów po prawym brzegu Wisły (*), a w czasie Powstania, w stosunku do reszty terenów, jakie jeszcze były w posiadaniu Niemców. Starannie przygotowane instrukcje uczyły także wieś, jak należy ukrywać i zabezpieczać artykuły żywnościowe przed zepsuciem. Staraliśmy się zapobiec powstaniu kwasów między wsią, której jak zwykle w czasach gdy brakuje artykułów żywnościowych powodziło się lepiej, a miastem pełnym bezrobotnej biedy miejskiej, przez stałe wzywianie wsi do szybkiego i naturalnie nielegalnego dostarczania do miast żywności po tanich cenach. Jak najmniej wrogowi, a jak najwięcej polskiej ludności miejskiej (**). Została przeprowadzona akcja terroryzowania urzędników, ściągających kontyngenty, na przykład wielu „kolczykarzy”, którzy rejestrowali i znakowali bydło, otrzymało karę chłosty. K.W.C. zalecało zanieczyszczanie magazynów zbożowych i wagonów np. naftą oraz otwieranie wagonów w czasie transportów i wysypywanie ziarna. Zostało zarządzone w pewnych punktach, nadających się do tego, wręcz uderzanie zbrojne na transporty i odbijanie np. wywożonego bydła. Oto przykład moich depesz dla „Świt” o takich akcjach:

„6 październik 1943. Na kolei Kocmyszyn-Czyżyny zatrzymano pociąg i wypuszczono bydło kontyngentowe, wiezione do Niemiec. Na linii Warszawa-Siedlce otwarto wagony ze zbożem kontyngentowym i wysypano je. Zachęćcie do tej akcji”.

„6 październik 1943. Na kolei Kocmyszyn-Czyżyny za-Przeworska, egzekutywa K.W.P. rozpedziła komisję przeglądu bydła, zastrzeliła przewodniczącego *Volksdeutscha* i rozbroiła żandarma. Podajcie tę akcję, jako wzór do naśladowania”.

(*) Patrz *Biuletyn Informacyjny*, nr 32 z 30. VII. 1944.

(**) Patrz B.I., nr 38 z 1. X. 1942.

Wieś polska dorosła całkowiec do sytuacji i odpowiedziała na wezwanie K.W.C. na sto procent. Celowali w tym przede wszystkim chłopi, których trudniej było Niemcom skontrolować, niż majątki ziemskie, które musiały prowadzić książki i rachunki i gdzie nieraz zarządcą był *Volksdeutsch*. Pomysłowość, wykazywana przy obmyślaniu różnych sposobów uchylania się od dostaw, była nadzwyczajna. Przekupywanie urzędników i dostarczanie tego samego zboża po kilka razy, fałszowanie kwitów na rzekomo dostarczone zboże i bydło, ukrywanie bydła przed rejestracją a później fałszywe kolczykowanie ukrytych sztuk — to tylko najbardziej szablonowe sposoby sabotażu. Gdy oddziały partyzanckie zaczęły operować po kraju, utarł się nowy proceder. Partyzanci np. zabierali z dworu dwie świnie, a wystawiali kwit na sześć. Niemcy, zgrzytając zębami, honorowali te pokwitowania i w ten sposób wilk był syty i koza cała. Właściwie nie tylko cała, ale i wzbogacona, bo właściciel majątku mógł wtedy cztery świnie albo zabić dla siebie albo sprzedać „na lewo”.

Niemcy próbowali wszelkich sposobów, włącznie z represjami, podczas których palono całe wsie i mordowano chłopów, ale nie miało to w skali krajowej odpowiedniego skutku. Sabotaż był tak powszechny, że Niemcy byli bezsilni. Były też i z naszej strony zbrojne kontrakcje. Sytuację najlepiej malują następujące moje depeche do rządu, lub z instrukcjami do „Świtu”, jakie wskazówki ma nadawać.

„26 sierpnia, 1943. Podkreślajcie, że nie wolno palić zboża w stogach, stodołach itp., ani niszczyć młockarni u producentów, lecz niszczyć dostawy kontyngentowe na punktach zbornych niemieckich”.

9 października, 1943. Ściąganie kontyngentów, zwózka i dostawa odbywają się w całej G.G. pod ochroną oddziałów wojska, żandarmerii i uzbrojonych urzędników cywilnych niemieckich. Niemcy zmobilizowali wszystkie siły”.

„20 października, 1943. W gminie Samsonów, powiat Kielce, żandarmi niemieccy ściągnęli wszystkich sołtysów i komisje kontyngentowe i pobili ich ciężko za niedostarczanie na czas kontyngentów. W końcu września Niemcy otoczyli miasto Skaryszew, powiat Radom i za nie dostar-

czenie kontyngentów zabili pięć osób, bili i rabowali ludność i zabrali 150 krów”.

„26 czerwca 1943. Pogróżcie Kreishauptmanowi w Sochaczewie, dr. Schönowi, który sam podpała gospodarstwa za niedostarczenie kontyngentów”.

„5 listopad, 1943. Komunikat K.W.P. z 30. X. Dnia 13 września, we wsi Szarpsko, powiat Opoczno, oddziały nasze zniszczyły całkiem ekspedycję karną, złożoną z dziesięciu żandarmów, która zagarnęła kontyngenty i pastwiła się nad ludnością”.

Ukoronowaniem akcji sabotażu kontyngentów było zniszczenie aktów kontyngentowych na terenie G.G., a poza nią gdzie warunki pozwalały. Akta te były przechowywane w urzędach gminnych i stanowiły podstawę wymiaru kontyngentów. K.W.C. rozumiało, że jeśli te akta zostaną zniszczone, powstanie ogólne zamieszanie i miesiące upłyną, nim uda się Niemcom akta odtworzyć. Słowem, zniszczenie aktów kontyngentowych zapowiadało na tym polu kompletną dezorganizację. Został ułożony szczegółowy plan, w którym położono specjalny nacisk na konieczność oszczędzania innych dokumentów, np. tabel gruntowych, które dla ludności wiejskiej były dowodami własności posiadanego gruntu. Jednakże instrukcja zezwalała na spalanie urzędu gminnego tam, gdzie w inny sposób nie dało się aktów kontyngentowych zabrać czy zniszczyć. Zostało nakazane możliwie równoczesne uderzenie na urzędy gminne, tak by Niemcy nie zdążyli zaopatrzyć ich w specjalne uzbrojone załogi.

Jako akcję uzupełniającą, nakazało K.W.C. palenie tartaków i gorzelni, oraz unieruchamianie mleczarni, by w ten sposób zapobiec wyniszczaniu lasów, przeróbce zboża na spirytus dla Niemców i wywożeniu polskiego masła do Rzeszy. W toku akcji, gdy już odpadł moment zaskoczenia Niemców, zażądałem rozpowszechnienia tego nakazu przez „Świt” i B.B.C., słuchane w kraju powszechnie, przez wysłanie następującej depechy:

„26 sierpnia 1943. Podkreślajcie, że należy palić tartaki i gorzelnie, a mleczarnie unieruchamiać przez zabranie i ukrycie precyzyjnych części, niszczyć w ostateczności”.

Cała akcja przeciągnęła się jednak na okres paru tygodni. Została przeprowadzona w ten sposób, że w danej okolicy miejscowy komendant B.CH. czy A.K. zorganizował tyle uzbrojonych grup, ile na jego terenie było urzędów gminnych i uderzył na nie tej samej nocy. Terroryzowano kogo trzeba i zabierano akta kontyngentowe, a gdzie to nie było możliwe, palono cały urząd ze wszystkim. W późniejszych tygodniach, w wielu miejscach trafiono już na ochronę w postaci żandarmów i policji granatowej. Zdobywano wówczas urząd gminny ze stratami po obu stronach. Akcja rozlała się bardzo szeroko i dała zamierzony rezultat. O jej rozmiarach świadczą najlepiej depesze, wysłane przeze mnie do Londynu, informujące o wynikach. Donosiły one równocześnie o rezultatach drugiej akcji, zarządzanej przez K.W.C., a mianowicie o paleniu Urzędów Pracy w ramach bojkotu przymusu pracy, o czym dalej.

„21 maja 1943. W wykonaniu ogólnego zarządzenia K.W.C. spalono w większości gmin powiatu Puławy akta i kartoteki kontyngentowe. Inne ukryto. Po tej akcji, dwadzieścia urzędów gminnych zgrupowali Niemcy po kilka, w Puławach, Nałęczowie, Opolu i Kurowie”.

„7 czerwca 1943. W wykonaniu zarządzeń K.W.C. spalono względnie ukryto kartoteki, spisy i akta potrzebne okupantowi do branki na przymusowe roboty i do ściągania kontyngentów, nieomal w całości gmin powiatu puławskiego i w dużej ilości gmin powiatów lubartowskiego, janowskiego, lubelskiego, krasnystawskiego, oraz w niektórych gminach powiatów siedleckiego, radzyńskiego, sokołowskiego, węgrowskiego, włoszczowskiego, kieleckiego i powiatu Nisko. Nadto zostały zniszczone akta i kartoteki w kilku urzędach pracy powiatu warszawskiego, Jędrzejowie, w Łosicach, powiatu Siedlce oraz spalony tartak przy stacji kolejowej w Puławach. Akcja jest nadal w toku”.

„10 czerwca 1943. Niszczenie kartotek w gminach rozszerzyło się na powiaty: Łuków, również urząd pracy Biała Podlaska, również starostwo i urząd pracy w Radomsku”.

„16 lipca 1943. Komunikat K.W.C. z 13 bm.: W wykonaniu zarządzeń K.W.C. akcja niszczenia spisów i akt kontyngentowych rozszerzyła się na urzędy gminne w na-

stępujących powiatach — Tarnów, Ilża, Opatów, Sandomierz, Stopnica, Pińczów, Piotrków, Radomsko, Łañcut, Kraków, Jędrzejów, Warszawa, Garwolin, Wysokie Mazowieckie (*)”.

Wydaje mi się, że udana akcja sabotażu kontyngentów, aczkolwiek mniej efektowna od walki z bronią w rękę, była bardzo poważnym, chociaż niedocenionym dotychczas, naszym wkładem w walce z Niemcami. Zaryzykuję opinię, że w ostatecznym bilansie wojny, był on z pewnością wart to samo, co walka na froncie kilku dywizji.

Zaopatrywanie miast.

Odwrotną stroną medalu było zaopatrzenie miast w żywność i wymiana towarów między wsią a miastem. Okupant wyznaczył dla Polaków racje głodowe. Nie można było przy nich umrzeć, a trudno było żyć. Wartość odżywcza produktów kartkowych w Warszawie wynosiła według naszych obliczeń w styczniu 1941 — 863 kalorie, w styczniu 1942 — 1.119 kalorii, w marcu 1942 — 552 kalorie, w kwietniu 1942 — 468 kal., zaś wskaźnik płac taryfowych dla pracowników umysłowych przyjmując lipiec 1939 za 100, wynosił nominalnie 92, faktycznie—6; dla fizycznych — nominalnie 135, faktycznie 9. Śmiertelność wzrosła czterokrotnie, liczba urodzin spadła poniżej cyfry zgonów (**).

W dniu 22 września 1943, okupant ogłosił nowe normy przydziału żywności dla Polaków. Według nich, normalny spożywcza miał otrzymać od 1 października 1943 roku miesięcznie 9 kg. chleba lub zamiast 1 kg. chleba — 750 gr. mąki, środków odżywczych 200 gr., kawy zbożowej 125 gr., cukru 300 gr., marmolady 500 gr., mięsa do 400 gr., ziemniaków rocznie do 100 kg. Dzieci do lat 14-tu — 4,5 kg. chleba i środków żywnościowych 500 gr. miesięcznie. (Moja depesza z 29. IX. 1943).

Łukę między normalnymi potrzebami ludzkiego organizmu a normami wyznaczonymi przez okupanta, wypełniał polski

(*) Patrz również komunikaty K.W.C. w B.I., nr 24 z dnia 17. VI. 1943 i z 22. VII. 1943.

(**) Patrz B.I., nr 28 z 16. VII. 1942.

szmugler i to tak dobrze, że zasłużył sobie na wspaniały pomnik. Nie będę usiłował przedstawić wszystkich sposobów, jakie wynalazł jego geniusz, by żywić miasta i zaopatrywać wieś w towary. Na to potrzeba całego tomu. Muszę jednak wspomnieć legendarną już świnię, przewożoną w wagonie kolejowym w ubraniu kobiety wiejskiej, z chustką, osłaniającą martwy ryj, która nawet u pozbawionych poczucia humoru żandarmów wywołała homerycki wybuch śmiechu. Muszę też złożyć hołd przekupkom warszawskim, które zaopatrywały miasta w mięso, czyli w „rąbankę”, w świeże pieczywo, wypiekane w okolicy miasta według obliczeń niemieckich przez 2.000 nielegalnych piekarń. Nie przeżyłbym sam okupacji, gdyby nie ich matczyzna pomoc. Poruszały się jak kolumny, przenosząc i przewożąc tony żywności w workach, powszywanych w spódnice, bluzki itd. Nigdy nie widziałem tak bogatych biustów, jak wówczas w Polsce. A gdy żandarm się zbliżał, te same kolumny mknęły chyżo, jak jelenie, bijąc wszystkie rekordy szybkości. Smuga mąki na bruku lub rozbite jajko były jedynym śladem błyskawicznej ucieczki. Czasami odwaga tych kobiet dystansowała najwaleczniejszych żołnierzy podziemia. Sam widziałem na tak zwanych „Koszykach”, jak jedna taka amazonka koszem z jajami wyrznęła w łeb żandarma, który chciał jej zabrać towar. Rycząc przekleństwa, odszedł czym prędzej, widząc, że szwadron innych śpieszy towarzysze na pomoc. Niechby tak kto inny spróbował to samo zrobić z żandarmem! Dodając nawiasem, każdy z nich z czasem poznał co najmniej dwa polskie powiedzonka okupacyjne: „Na lewo”, to jest nielegalnie, wymawiane przez nich „na lejwo” i „lipa”, to jest fałszywe. Było to dość zabawne, gdy przy tej czy innej okazji żandarm wstawał w tyradę słów niemieckich te dwa najbardziej typowe dla okupacji słowa.

Został mi w pamięci jeden z najbardziej wyrafinowanych sposobów, w jaki Niemcy zostali nabrani. Opowiedział mi o nim w głodnych dniach Powstania młody, tęgi mężczyzna, nazwiskiem Wiktor Lipiński: „Handlowałem czym się dało i na szeroką skalę, używając do tego ciężarówek, zarejestrowanych na firmy z niemieckim zarządem. A że byłem w A.K. więc przewoziło się przy okazji broń ze zrzutów i to i owo. Wszystko to było jednak za ryzy-

kowne, mimo że miałem niemieckie przepustki, prawdziwe i fałszowane. Postanowiłem wymyśleć coś extra i to się udało. Odpowiednia komórka wykonała dla mnie nowy typ przepustek niemieckich dla przesyłek ekspresowych; miały one zielony pas na ukos, co nadawało im bardzo wiarygodny wygląd, i dziurkowane odcinki, które miały być odrywane przez posterunki żandarmerie, przez jakie towar będzie przechodził. W odpowiedniej chwili został wyprodukowany przez tę samą komórkę okólnik Generalnego Gubernatora, informujący żandarmerię, że transporty posiadające ten typ przepustki, której wzór był załączony, są pośpiesznymi i nie wolno ich rewidować, a przeciwnie należy im ułatwić szybki przejazd. Okólniki, powielone na odpowiednich blankietach G.G., zaopatrzone w doskonałe podrobione podpisy i pieczęcie, zostały rozesłane do właściwych komend żandarmerii w Lubelskim.

Po jakimś czasie puściłem próbną ciężarówkę z mąką, zaopatrzoną w nowy typ przepustki, z Lublina do Warszawy. Pomysł chwycił! Gdziekolwiek żandarmi zatrzymywali wóz po drodze, zwalniali go natychmiast po okazaniu przepustki, udzielając jeszcze szoferowi życzliwych informacji co do stanu dróg i bezpieczeństwa. Następne transporty wiozły już, prócz towaru, broń i amunicję. Żadna wyspa nigdy się nie wydarzyła. Zaniechałem używania tych przepustek dopiero wówczas, kiedy zbliżał się wyznaczony w okólniku termin odesłania odcinków przepustek do niemieckiej centrali”.

Ten sam Lipiński odpowiadał w roku 1946 przed reżymowym sądem wojskowym w Warszawie, za podjęcie na fałszywe papiery kilkunastu ton cyny, jakie nadeszły do Gdyni dla reżymowego przemysłu. Indagowany przez prokuratora o motywy tego czynu, nie usprawiedliwiał się ani prosił o łaskę, a stwierdził po prostu: „Uprawiałem sabotaż gospodarczy przeciw jednemu okupantowi, a teraz robiłem to samo przeciw drugiemu”.

Został skazany na śmierć i prasa komunistyczna doniosła o wykonaniu wyroku.

Najlepszym świadectwem jak sprawy wyglądały w G.G. było sprawozdanie z referatu, który wygłosił pewien ekonomista niemiecki w Krakowie przed gubernatorem Frankiem i dygnitarzami z rządu Generalnej Gubernii. Miałem

je w rękę i czytając, pękałem ze śmiechu. Ten nie pozbawiony poczucia humoru badacz gospodarki niemieckiej w G.G., twierdził otwarcie i wyraźnie, że urzędowa gospodarka niemiecka na tym obszarze obraca się w świecie fikcji. Jeśli oficjalny bilans wykazuje roczne obroty w wysokości kilkuset milionów marek, to nie oficjalne czarnorynkowe obroty przekraczają go kilkakrotnie. Wszystko, co urzędowe, jest fikcyjne: ceny, płace itd. Skromny handel legalny jest tylko przykrywką dla potężnego handlu nielegalnego. Referent twierdził, że wszystkimi środkami komunikacyjnymi, a więc kolejami, samochodami i niezliczonymi furmankami, idą, obok oficjalnych, nielegalne, większe od tych pierwszych transporty, zwykle zaopatrzone w prawdziwe niemieckie dokumenty. Wszystko to konsumuje nielegalnie ludność polska G.G. Zwrócił uwagę, że w dzień powszedni na ulicach miast Rzeszy panuje pustka, bo wszyscy pracują, kiedy w G.G. roi się na nich od młodych mężczyzn i kobiet. Ale gdy się którego z przechodniów zaczepi, będzie on w stanie wykazać się niemieckim dokumentem stwierdzającym, że jest zajęty w fabryce czy biurze pod niemieckim zarządem. Rzeczywistą walutą w G.G. jest dolar lub złoty carski rubel. Na pierwszym opierają się poważniejsze, nielegalne transakcje. Oficjalna waluta G.G. — złoty — jest tylko posiłkowym środkiem obiegowym.

Referent zakończył swój szczerzy, lecz dla słuchaczy przykry wywód stwierdzeniem, że obok podziemia politycznego istnieje w G.G. podziemie gospodarcze, zadające gospodarce wojennej Rzeszy niepowetowane szkody.

Była to niewątpliwie prawda. I na tym odcinku trwała zażarta walka z okupantem, potęgująca się coraz bardziej w miarę rozkładu ekonomicznego Niemiec. Był w niej zaangażowany specjalny typ człowieka. Nazwałbym go według naszych przedwojennych kryteriów typem amerykańskim. Odważny, ze zdolnością do dużego ryzyka, o swoim patriotyzmie i z umiejętnością służenia dwóm bogom na raz: własnemu krajowi i złotemu cielcowi.

Sabotaż przymusu pracy.

Według planów gospodarki wojennej Niemiec, drugim obok żywności towarem jakiego miały dostarczyć tereny Polski, była siła robocza tak potrzebna dla wojennej produkcji. Do rekwizycji tego towaru zabrano się z całą bezwzględnością. Wydano szereg rozporządzeń, wprowadzających generalny przymus pracy na rzecz okupanta i to nie tylko na terenie Polski, lecz również w Rzeszy. To ostatnie łączyło się z przymusowym wywozem robotnika do Niemiec. Utworzono sieć specjalnych urzędów, tak zwanych *Arbeitsamtów*, których zadaniem było przepompowanie siły roboczej z G.G. do Niemiec. Do dyspozycji tych urzędów oddano zarówno żandarmerię niemiecką, jak i policję granatową.

K.W.C. przypadło w udziale przeciwdziałanie tej akcji, o której ogromnym znaczeniu dla Niemiec nie ma potrzeby się rozwodzić. Wystarczy stwierdzić, że każdy robotnik wywieziony z Polski do Rzeszy zwalniał z fabryki czy z warsztatu rolnego dla wojska jednego młodego Niemca. K.W.C. rozpoczęło od generalnej propagandy bojkotu każdego rodzaju pracy przymusowej w Rzeszy, wydając cały szereg odezw, oświadczeń i instrukcji, wskazujących metody, jakie należy stosować. Zostały one rozpowszechnione po całym kraju znaną drogą, to jest przez „Świt” względnie B.B.C., prasę podziemną i drogą organizacyjną wszystkich ugrupowań podziemnych.

K.W.C. wezwało na przykład do całkowitego bojkotu tzw. pracy budowlanej (*Baudienst*) (*) i ostrzegło pracodawców, by nie stosowali tzw. „niemieckich ordynacji taryfowych”, obniżających o 20-30% głodowe normy robotników, które były obliczone na to, by ich zmusić do zgłaszania się na wyjazd do Rzeszy (**). K.W.C. zakazało pod karą przyjmowania posad werbowników na roboty do Niemiec(***), oraz zakazało pracodawcom dokonywania spośród robotników wyboru tych, którzy mają być wywiezieni do Niemiec i wydawania w tym względzie opinii. Poza tym, K.W.C. zagroziło funkcjonariuszom policji granato-

(*) Patrz odezwa K.W.C. w B.I., nr 24 z 18. VI. 1942.

(**) Patrz wezwanie K.W.C. w B.I., nr 28 z 166 VII. 1942.

(***) Patrz B.I., nr 32 z 13. VIII. 1942.

wej i urzędów pracy represjami na wypadek brania przez nich udziału w łapanekach na roboty (*). Wydało ono wreszcie specjalną odezwę o sabotażu wywożenia do Rzeszy dziewcząt od lat osiemnastu, a chłopców od siedemnastu.

A oto depesze, na skutek których „Świt” i B.B.C. wzywały do bojkotu różnych lokalnych akcji.

„23 kwietnia 1943. Dziś rozlepiono odezwę burmistrza Leista, wzywającą do dobrowolnego zgłaszania się do pracy w Rzeszy i G.G., gdyż inaczej środki przymusowe. Zapewnia on wyżywienie jak dla Niemców, opiekę księży, dobre mieszkanie itd. Wezwijcie imieniem K.W.C. do oporu”.

„4 czerwca 1943. Doręczono mi afisz, rozlepiony przez dowódcę policji i S.S. na okręg białostocki, z odezwą do ludności, stwierdzającą nie stawianie się zmobilizowanych do pracy i aresztowanie z tego powodu stu osób. Odpowiedzialne, jeśli zmobilizowani nie stawią się przez tydzień. Odezwa wzywa ludność do uwolnienia się od teroru Kierownictwa Walki Cywilnej, które szerzy niepokój i kłamstwa. Wyrażcie od K.W.C. ludności tej uznanie”.

„8 maja 1943. Ostrzeżcie okręg lubelski, że zostaną powołane do pracy według zasad wojskowych roczniki od 18-20 włącznie. K.W.C. zakazuje stawiania się. To samo dotyczy lwowskiego i białostockiego. Poufne. Mamy w ręku afisze, przygotowane przez Niemców w Lublinie”.

„26 czerwca 1943. Pogróżcie Stadthauptmanowi Kremerowi w Krakowie, który zmusza przedsiębiorców polskich do osobistego przyprowadzania 20% swych pracowników do obozu przy ulicy Wąskiej, celem wysłania ich do Rzeszy. Chodzi on stale z eskortą”.

Przyszły także do głosu nasze sądy specjalne i represje przeciwko funkcjonariuszom urzędów pracy i policji granatowej, które zapoczątkowało wykonanie kary śmierci na Izidorze Ossowskim, o czym była mowa poprzednio.

Natomiast K.W.C. tolerowało pracę w fabrykach, przedsiębiorstwach i instytucjach, objętych przez Niemców na terenie Polski, wychodząc z założenia, że porzucenie w ogóle pracy i, nazwijmy to, „narodowe bezrobocie” jest nie do

(*) Patrz B.I., nr 39 z 8. X. 1942.

ureczywistnienia. Tutaj bojkot pracy został zastąpiony propagandą „małego sabotażu”, akcją „żółwia”, to jest zwolnionego tempa pracy itp. Zostały wydane instrukcje, zalecające niszczenie maszyn przez zło i niedbałe obchodzenie się z nimi i niedostateczne smarowanie, zużywanie większych ilości surowca, niż trzeba, niszczenie i wynoszenie surowców i gotowego towaru z fabryki, jeśli to tylko można zrobić bezkarnie. Wydano wskazówki, jak należy dezorganizować pracę, transport itd. Słowem — jak sypać piasek w tryby maszyny wojennej okupanta. Wszystko to trafiało na podatny grunt i na przykład z kosztownych, lekkich metali, przeznaczonych na budowę samolotów, produkowano na lewo zapalniczki, cygarniczki i różne ozdoby czy świecidełka, które były w masowej sprzedaży na terenie G.G., lub z cennej stali wyrabiano dla A.K. pistolety maszynowe.

Bojkot pracy w Rzeszy przybrał masowy charakter i Niemcom od kwietnia 1940 do kwietnia 1942, to jest w ciągu dwóch lat, udało się wywieźć do Rzeszy tylko 68 tysięcy ludzi (*). W samej Warszawie urzędy pracy ściagały w tym czasie 12.600 osób, uchylających się od pracy. Praktycznie uchylał się każdy, kto tylko miał jakiegokolwiek możliwości. Mieszkało bez zameldowania po miastach, fałszowano wiek na dokumentach, produkowano masowo „lewe” dowody zatrudnienia, używano fałszywych świadectw lekarskich, stwierdzających niezdolność do pracy, i tak bez końca.

Na wsi, obok tych sposobów, stosowano kompletne i absolutne ignorowanie wezwań niemieckich. Cała podziemna machina pracowała nad tym, by bojkot był skuteczny. Jak zwykle, dowcip też był na usługach podziemia. Idąc raz Nowym Światem, zerknąłem na znajomy niemiecki napis pod wielką fotografią robotników, szykujących się na wyjazd do Niemiec: „Jedźcie z nami do Niemiec”. Jakiś nieznany sprawca wdrapał się na wysokość pierwszego piętra, skreślił literę „z”, zaś „n” przerobił na „s”. Obecnie napis głosił: „Jedźcie sami do Niemiec”. Te przeróbki napisów dawały niezłe rezultaty. Gdy kiedyś ukazały się afisze, donoszące o egzekucjach z podpisem

(*)Patz B.I., nr 28 z 16. VII. 1942.

dowódcy S.S. i policji, von Moder, ludzie z podziemia dopisali wszędzie nad „o” dwa przecinki i wstawili literę „r”. Wyszło z tego „Mörder” (morderca) i Niemcy czym prędzej afisze te pousuwali.

Okupant odpowiedział wszelkiego rodzaju represjami począwszy od karnych ekspedycji na wsie, podczas których masakrowano i rozstrzeliwano ludzi, a skończywszy na masowych obławach na uchylających się od pracy po miastach i tak zwanych „łapankach”, to jest zabieraniu wszystkich ludzi wprost z ulic miejskich i z wiosek i wywożeniu ich do Niemiec. To znów z kolei wywołało ucieczkę młodzieży do lasu, co ogromnie wzmogło w całym kraju akcję partyzancką.

Ale trzeba było postawić kropkę nad „i”, wobec czego K.W.C. zarządziło równocześnie z akcją przeciw urzędom gminnym także uderzenie na *Arbeitsamt*'y, nakazując palenie ich bez wyjątku i ze wszystkim. Akcja ta była znacznie trudniejsza, gdyż urzędy pracy mieściły się na ogół w miastach lub miasteczkach. Przeprowadzona większymi oddziałami i z większym ryzykiem, dała mniejsze, mimo to zadawalające rezultaty, które wyraziły się spalaniem kilkunastu urzędów pracy i zdeorganizowaniem na dłuższy czas ich funkcjonowania przez zniszczenie kartotek i spisów, będących podstawą poboru.

Nie udało się natomiast spalić urzędu pracy w Warszawie, który mieścił się w gmachu Ziemstwa Kredytowego, przy rogu Mazowieckiej. Nieudana akcja miała przebieg fatalny.

Pewnego dnia o zmroku, już po zamknięciu urzędu, rozległo się pukanie do drzwi. Dyżurny strażnik niemiecki wyjrzał przez „judasza” i zobaczył gestapowca, w towarzystwie jakiegoś cywila. Drzwi zostały natychmiast otwarte i za chwilę gestapowiec nienagannym niemieckim wypytywał się, kto jest jeszcze w urzędzie. Gdy się okazało, że tylko jeden czy dwóch urzędników, kazał się do nich zaprowadzić i gdy wszyscy znaleźli się w komplecie, wyjął rewolwer i sterroryzowawszy obecnych odebrał broń strażnikowi i kazał wszystkim położyć się na podłodze. Powierzywszy leżących opiece uzbrojonego cywila, sam udał się na tyły budynku.

W międzyczasie kilkanaście osób, zaopatrzonych w bańki z benzyną, przedostało się na podwórze budynku wejściem od Mazowieckiej i tam, ukrywając się po kątach, oczekiwało na otwarcie drzwi, prowadzących z podwórza do środka budynku. Wiedzieli, że ma je otworzyć ktoś z wewnątrz budynku, ale nie wiedzieli kto. Po paru minutach drzwi rzeczywiście się otworzyły i stanął w nich rosły gestapowiec, który gromko po niemiecku zaczął wzywać ukrytych zamachowców, by się zbliżyli. Napięte nerwy nie wytrzymały. Nie uprzedzeni, że drzwi otworzy gestapowiec, usłyszawszy w dodatku niemiecki język, sądzili że to zdrada, więc wydobywszy rewolwery, zasypali go strzałami, po czym, pozostawiając bańki, wszyscy zbiegli. Rościszewski, który kierował całą akcją, zdołał tylko ciężko rannego „gestapowca”, członka „Pobudki” wsadzić do auta, czekającego na Placu Małachowskiego i uciec. W momencie, gdy go ładowano zbliżyli się jacyś żołnierze niemieccy, pytając, co się stało. Uspokojono ich oświadczeniem, że to ranny w walce z „polskimi bandytami”, więc odeszli.

Rościszewski, który mi to opowiadał, prawie płakał z rozżalenia. Winił słabe nerwy grupy podpalającej, ale przyznawał, że rzekomy gestapowiec dał się ponieść brawurze i niepotrzebnie w dalszym ciągu grając tę rolę, odezwał się po niemiecku. Gdyby to zrobił po polsku, wypadek nie miałby miejsca. Był to Poznańczyk czy Pomoranin, który wkrótce zmarł z odniesionych ran.

Spotkanie z Jędrusiem Nr 2.

Akcja anty-kontyngentowa i przeciwko przymusowi pracy wiąże się nierozłącznie w mej pamięci z osobą Jędrusia Nr 2, Józefa Wiącka, następcy zabitego pierwszego dowódcy partyzanckiego na Kielecczyźnie, Jędrusia (Władysław Jasiński z Mielca), którego pseudo stało się nazwą, jaką ludność nadała partyzantom, a mianowicie „Jędrusie”

Jakiegoś poranka dostałem wiadomość, że Jędrus Nr 2 przyjechał do Warszawy i chce się koniecznie zobaczyć z szefem K.W.C. Zgodziłem się chętnie, gdyż byłem ciekaw, jak ten słynny partyzant wygląda. Umówionego dnia

wszedłem do Parku Ujazdowskiego wejściem od Pięknej i poszedłem w lewo, licząc ławki. Była piękna, słoneczna pogoda, ale ludzi w parku niewiele, być może wskutek wczesnej godziny. Gdy się zbliżałem do piętnastej z kolei ławki, podniósł się z niej młody człowiek, lat około trzydziestu, typowy okaz polskiego blondyna, ogorzały i zdrow na oko, jak rydz. Utkwił mi w pamięci czyściutki kołnierzyk u koszuli à la Słowacki. Poznał mnie z opisu. Zaczęliśmy mówić, jak to zwykle na wstępie, o niebieskich migdałach. Przyglądałem mu się z pewną zazdrością. To był człowiek z prawdziwej wolności, a nie jak my, tu w Warszawie, skazani na ciągłe oglądanie Niemców i życie pod strachem. Wkrótce Jędrus przeszedł do rzeczy. Przyjechał po to, by oddać siebie i oddział do dyspozycji K.W.C., gdyż ta robota mu odpowiada. Nie chce bić Niemców luzem jako dziki oddział, a w ramach zorganizowanej walki. Na początek przywiózł dokładne raporty o tym, czego dokonał, no i rachunek zdobywczy na Niemcach i wydatków na oddział, które prosił, aby K.W.C. skontrolowało. Byłem zaskoczony tą ofertą, bardzo skądinąd pociągającą, ale czułem, że za tym coś się kryje. Zacząłem ostrożnie wypytywać Jędrusia, jakie są jego stosunki z miejscową A.K. i dlaczego tam nie szuka kierownictwa. Trafiłem dobrze, gdyż Jędrus wyjaśnił mi bez zwłoki, że z lokalną A.K. jest raczej w złych stosunkach. Próbował włączyć się w jej organizację, ale tam go potraktowano z góry jako podoficera i postawiono za pierwszy warunek, że musi ustąpić dowództwa oficerowi, wyznaczonemu przez A.K. Jego oddział i on sam wyśmiali taki początek. Jędrus kpił z tego w żywe oczy: „Partyzantki nie można się nauczyć z książek ani w szkole wojskowej. To trzeba przejść samemu, krok po kroku, od początku. Niedoświadczony dowódca może cały oddział zgubić w ciągu paru dni”.

Po cichu przyznawałem mu rację. Cała dyscyplina w podziemiu polegała na umowie żołnierza z dowódcą, na dobrowolnym podporządkowaniu się, a nie na martwym nakazanym rygorze. Dla ochotników-partyzantów Jędrusia nie było obojętne, czy ich dowódca zna się na prowadzeniu oddziału w terenie, czy umie się obracać wśród pól i lasów oraz współżyć z ludnością wiejską, co jest kardy-

nalnym warunkiem istnienia i operacji każdego oddziału partyzanckiego.

Dla zyskania na czasie rozpytywałem go o organizację oddziału i jego akcje. Miał przy sobie w lesie stałą grupę ludzi, coś w rodzaju trzonu oddziału. W razie potrzeby powiększał go o członków, mieszkających po wsiach i żyjących normalnie. Stawiali się na każde wezwanie. Oddział miał dostateczną ilość broni maszynowej, zdobytej na Niemcach, nawet samochody i motocykle. Każdego partyzanta wyćwiczył w ten sposób, że umiał się w tym wszystkim obchodzić. Rozbijali oddziały żandarmów na rekwiizycjach, uśmiercali gestapowców gdzie i kiedy się dało, niszczyli transporty z kontyngentami, odbijali więźniów itp.

Powoli wróciłem do tematu i oświadczyłem Jędrusiowi, że przyjmuję jego ofertę, ale tylko w zakresie kompetencji K.W.C. Natomiast doradzam mu, by się dogadał z Komendą Główną A.K. w czasie pobytu w Warszawie, gdyż jest to prawdziwe wojsko polskie i ja mu w tym dopomogę. Jędrus się zgodził i przy pomocy Piotrowskiego sprawa została załatwiona. Jędrus został mianowany podporucznikiem i zatwierdzony jako dowódca oddziału z tym, że posłano mu do pomocy i na przeszkolenie dwóch podchorążych.

Wreszcie doszło do ostatniego naszego spotkania. Powiedziałem Jędrusiowi pół serio, pół żartem, że chętnie posiedziałbym w lesie razem z nim przez parę dni, by trochę odpocząć od zjadającego nerwy życia w Warszawie. Jędrus do tej myśli bardzo się zapalił: „Niech pan koniecznie przyjedzie. Mamy dom w lesie, będzie pan mieszkał, jak u Pana Boga za piecem”. — „Ale jak ja się do was dostanę? Przecież mnie Niemcy gdzieś złapią po drodze?”. Jędrus się roześmiał: „Od chwili, gdy pan wysiądzie z pociągu, gwarantuję, że włos panu z głowy nie spadnie. Przyjadę sam po pana bryczką na stację. Nie będzie na niej ani po drodze do lasu ani jednego Niemca”. — „A jak pan to zrobi?” — „Zwyczajnie. Zabronię żandarmom pobytu na stacji i w rejonie naszej drogi przez dwa dni”. — „Wątpię, czy się pana posłuchają”. — „Jakto? Przecież ja im wyznaczyłem godzinę policyjną, po której żaden z nich nie śmie być na wsi, bo kula w łeb. Tylu ich natłukłem, gdy się początkowo nie stosowali, że dzisiaj pa-

trole żandarmskie przed wyznaczoną godziną ściągają na swe posterunki w miasteczkach i nikt z nich do rana nosa nie wychyli. W nocy rządźmy my!”

Na zakończenie wtajemniczyłem go w arkana sabotażu kontyngentów i przymusu pracy, prosząc, by się tym zajął. Mina, z jaką mi odpowiedział, że postara się zrobić co można, wiele obiecywała. Przynależenia dotrzymał, o czym świadczy następująca depecha do rządu.

„10 czerwca 1943. Oddział partyzancki Jędrusia w wykonaniu zarządzeń otrzymanych bezpośrednio od K.W.C., spalił jednej nocy kartoteki we wszystkich gminach powiatu sandomierskiego, następnie opanował Busko, gdzie spalił starostwo i urząd pracy”.

W roku 1946 przyszedł do mnie w Warszawie krewny Jędrusia ze smutną nowiną: U.B. aresztowało Jędrusia i w żaden sposób nie można go z więzienia wydobyć. Była to sowiecka nagroda za jego walkę z Niemcami.

Delegat Rządu, profesor Jan Piekalkiewicz.

Wiadomość, że Delegat Piekalkiewicz został aresztowany, obleciała w roku 1943 lotem błyskawicy konspiracyjną Warszawę. Przerazenie ogarnęło podziemie na myśl, że Gestapo udało się schwytać polityczną głowę polskiej konspiracji. Był to bardzo ciężki cios, który wywołał w górze podziemia lawinę środków zabezpieczających, zmianę lokali i pseudonimów, co w takich wypadkach było już ustaloną regułą. Badanie wykazało, że wszedł on do tramwaju na Rakowieckiej, udając się na spotkanie na Piękną czy Koszykową, lecz tam już nie dotarł. Po drodze zniknął z tramwaju bez śladu. Resztki słabej nadziei rozwiały się, gdy nadeszła z wywiadu wiadomość, że jest na Szucha, że trzyma się dobrze na badaniach i torturach, a między innymi że nie zgodził się, by inni więźniowie polityczni uprzętałi jego celę i wynosili „paraszę”. Po jakimś czasie przyszła wiadomość, że zmarł na torturach, nie wydawszy nic i nikogo. Znałem go dość dobrze sprzed wojny, jako mało aktywnego politycznie członka Stronnictwa Ludowego. Spokojny i skromny profesor statystyk nie

odgrywał w Stronnictwie większej roli. Jako Delegat Rządu stał się bardzo skupiony i bardziej jeszcze milczący niż zwykle. Przygniatał go ciężar odpowiedzialności. Widać było, że swoją funkcję uważał za niezwykle wyróżnienie i starał się do niej doróść, co, sądzą, że mu się w pełni udało. Za jego czasów dokonana się dalsza rozbudowa i konsolidacja podziemia, w czym było dużo jego osobistej zasługi.

Nominacja profesora Piekalkiewicza na Delegata Rządu wiąże się z... ponowną próbą Józefa Nieckiego o władnięcie łącznością radiową z Londynem, co, moim zdaniem, zasługuje na krótką wzmiankę.

Po zdymisjonowaniu Delegata Ratajskiego, zostałem zaproszony przez Nieckiego na rozmowę. Wybił się on na czoło w konspiracyjnych władzach „Trójkąta”, mimo iż formalnym przewodniczącym był kto inny. Starszy już, siwy, krępy Niecko, swoim zwyczajem zaczął podchodzić do nieznanego jeszcze celu rozmowy z daleka i gdzieś „od kuchni”. Znałem go dobrze, więc spokojnie rozmawiałem na obojętne tematy, wiedząc z góry, że są to tylko manewry i że jeszcze sporo czasu upłynie, nim Niecko odkryje karty. Taki już był. Po jakiejś godzinie, rozmowa zeszała na dymisję Ratajskiego, nad którą Niecko ubolewał, ale trochę ją usprawiedliwiał, przytaczając jako powód jego dość podeszły wiek i trudność dostosowania się do życia w konspiracji. Gdy wreszcie bąknął od niechcenia, że trzeba by było upatrzyć na nowego Delegata kogoś młodszego i energiczniejszego, nadstawiłem uszu. W trawie zaczęło coś piszczeć. Niecko jednak niedbałym zwrotem zwrócił się na łączność radiową, rozpytując jak pracują moje radiostacje, czy nie czujemy się zagrożeni i doradzając, by ich pilnować jak oka w głowie, bo to ważna rzecz mieć własną łączność z Londynem. Puszczając w odpowiedzi przez zęby nic nie znaczące informacje, czekając cierpliwie, co z tego wszystkiego wyniknie. Wreszcie Niecko, jak gdyby mimochodem, wyłożył o co chodzi: „Nasze Stronnictwo ma zgłosić kandydata na Delegata i znając sytuację w P.K.P., mam pewność, że właśnie nasz przejdzie. Rozglądam się naokoło kogo by zaproponować, ale nie widzę nikogo odpowiedniego. Myślałem o was, ale wy robicie dobrą robotę i byłoby szkoda was od niej odrywać”. Niec-

ko zatrzymał się i patrzył na mnie pytająco. Milczałem, czekając na dalszy ciąg. Znając reguły tego rodzaju rozmów, wiedziałem, że byłoby błędem okazanie w tym momencie jakiegokolwiek zainteresowania. Niecko milczał także, ale nie mogąc się doczekać żadnej z mej strony reakcji, z wyraźnym niezadowoleniem w głosie ciągnął dalej: „Ciężka, bardzo ciężka sytuacja. Mimo wszystko, ja wysunąłbym waszą kandydaturę, tylko musielibyśmy to jakoś ułożyć między sobą, żebyście nie byli tacy sami, gdy trzeba będzie decydować o ważnych sprawach. A poza tym, nie moglibyście się bezpośrednio zajmować radiem, bo to zanadto niebezpiecznie, no i nie wypadałoby. Mógłbym wam też i w tym dopomóc”.

Uśmiechnąłem się w duchu. A więc jeszcze jedna próba Niecki o władnięcie łącznością radiową z Londynem. Kilka razy już tego próbował, ale za każdym razem udało mi się zakusy odeprzeć. Teraz, jednym strzałem chciał ubić dwa zające, to jest dostać w swoje ręce łączność radiową i rządzić Delegaturą zza kulis. W dalszym ciągu rozmowy Niecko zaproponował mi pewien układ. On wysunie moją kandydaturę na Delegata Rządu, a ja wzamian przyjmę jego nad sobą kierownictwo polityczne i przekażę łączność radiową z Londynem jemu osobiście do rąk i nikomu innemu.

Gdy w ten sposób sprawy się wyjaśniły, z niezmałym spokojem oświadczyłem Niećce, że nawet pod jego doświadczoną opieką nie czułbym się na siłach pełnić tak odpowiedzialnych funkcji, jak Delegata Rządu, poza tym Walka Cywilna i łączność radiowa całkowicie moje aspiracje zaspakajają, więc nie pragnąłbym żadnej zmiany.

Rozstaliśmy się dopiero po dalszej pół godzinie, gdyż obrzęd wymagał, by odwrót od nieudanej rozmowy odbywał się z użyciem zasłon dymnych.

Została wysunięta kandydatura profesora Piekalkiewicza, która przeszła. Gdybym się dogadał z Niecką, pewno mnie, a nie Piekalkiewicza, ekshumowano by i grzebano pewnego ponurego poranka na cmentarzu na Bródnie w Warszawie.

Czy Piekalkiewicz poddał się warunkom Niecki? Jeden fakt wskazywałby, że nie. Było to głośne zajście między Delegatem Piekalkiewiczem a Janem Domańskim (wy-

wieziony samolotem w 1943 z Polski do Anglii, stał się tam członkiem Rady Narodowej, jako Bartnicki. W 1945 wrócił do kraju i obecnie jest jakimś dygnitarzem reżymowym). Domański został dyrektorem Biura Prezydialnego Delegatury, a więc człowiekiem, stojącym tuż koło Delegata. Po paru tygodniach, ten zdrowy jak byk człowiek, podał się nagle do dymisji, z powodu pewnych niedomagań. Rozumieliśmy, że poza tą elegancką formą, zapożyczoną ze świata wyższej polityki, kryje się co innego. I cóż się okazało? Otóż ni mniej ni więcej, tylko taktowny Domańsio oświadczył na wstępie swego urzędowania Delegatowi Piekalkiewiczowi, że wprawdzie formalnie jest on Delegatem, ale dla braku odpowiedniego wyrobienia politycznego powinien kierować się jego, Domańskiego, wskazówkami, boć reprezentuje on tutaj samego „Tatę” (tak zwano Nieckę w kołach „Trójkąta”). Delegat na to stwierdził, że od tej chwili stało się w Delegaturze za ciasno dla nich obojgu. Niecko na tyle rozumiał sytuację, że nie wywołał z powodu Domańskiego przesilenia na stanowisku Delegata i Domański ustąpił. Po jakimś czasie zaczął rzeczywiście kwękać i leczyć się. Tak to jego własne zdrowie zemściło się za to, że je wmieszał w brzydką aferę, która nawet nie zasługuje, by ją nazwać polityczną.

Cała ta zabawa odbywała się w kraju pod straszną okupacją, gdzie trzaskały nieustannie salwy plutonów egzekucyjnych, dymiły piece krematoriów, płonęły wsie i osiedla, niszczone w akcjach pacyfikacyjnych. Obraz byłby jednostronny, gdybym nie dodał, że tego rodzaju gry i gierki nie były przywilejem tylko jednego środowiska. W innych było to samo. Ludzie w podziemiu, tak jak wszyscy inni, rywalizowali ze sobą o pierwsze miejsce. Często na szubienicy.

Po Piekalkiewicz, nowym Delegatem został Jan Janowski i podziemie otrzymało wreszcie takiego kierownika, jakiego potrzebowało i na jakiego zasługiwało. Doskonale wyrobiony politycznie i myślący niezależnie, z wielkim doświadczeniem i dużym charakterem, był w ogóle kimś. Potrafił sobie stworzyć pozycję i zdobyć autorytet, szczególnie w stosunkach z A.K., co nie było rzeczą łatwą. Stał się on prawdziwą głową Polskiego Państwa Podziemnego.

VIII

ŚMIERĆ ZIUTKA

Cios w samo serce.

Ziutek otrzymał wyraźny dowód, że Gestapo nie zrezygnowało bynajmniej z jego osoby i sprawa wyspy na Nowym Zjeździe nie jest ukończona. Liczni jego znajomi z Powiśla i Grochowa ostrzegli go, że Gestapo zwolniło z Pawiaka jednego z młodych chłopców, dobrze znającego Ziutka, który odwiedza teraz wszystkich wspólnych znajomych i stara się dowiedzieć, gdzie się Ziutek obraca. Podziało to na Ziutka w ten sposób, że zamiast jednego rewolweru nosił teraz dwa. Było jasne, że jego koleżka otrzymał zwolnienie z więzienia za cenę „wystawienia” Ziutka, który z góry postanowił, że nie da się wziąć żywcem. Niestety, Ziutek natknął się raz niespodziewanie na koleżkę i został przez niego zauważony, ale udało mu się wskoczyć w przejeżdżający tramwaj i w ten sposób oderwać od szpicla. Wzmogło to jeszcze jego czujność i starał się jak najmniej chodzić po mieście.

Pewnego wczesnego poranka obudził nas telefon do Zosi. Gdy wróciła, widziałem, że znów coś się stało. I tak też było: „Ziutek miał dziś nocować na Dobrej i nie przyszedł wcale. Nie nocował także na Marszałkowskiej”. — „Trzeba w tej chwili skomunikować się z Marszałkowską i dowiedzieć, kiedy wyszedł i czy nie zostawił jakiejś wiadomości”. Na Marszałkowskiej wyjaśnili, że Ziutek wyszedł z domu wczoraj popołudniu i żadnej kartki ani ustnego

zlecenia nie zostawił. Co gorsze jednak, dzisiaj, wczesnym rankiem, był na lokalu granatowy policjant i sprawdził, czy Ziutek jest tam zameldowany, podając fałszywe nazwisko Tomaszewski, używane przez Ziutka. Gdy go właścicielka mieszkania zapytała o co chodzi nie chciał nic powiedzieć, tylko zrobił niewyraźną minę i wyszedł.

Ścisnęło mnie za serce złe przeczucie. Bałem się wyraźnie sformułować obawę, która gdzieś z głębi przedostawała się do świadomości. Czułem jednak, że w powietrzu wisi nieszczęście.

Skomunikowałem się natychmiast z oficerem Z.W.Z., pełniącym na zlecenie organizacji służbę w granatowej policji, w randze komisarza. Przeszedłem do niego do komisariatu policji granatowej, do pokoju urzędowego, zastawionego obrzydliwymi, biurowymi gratami. Opowiedziałem komisarzowi, co się stało i zapytałem, co może oznaczać ranna wizyta granatowego. Komisarz mnie uspokoił: „Na pewno Tomaszewski jest zatrzymany i zaraz się o tym dowiemy. Jeśli przez policję granatową, to go jakoś wyciągniemy”. Złapał za słuchawkę i dzwonił po kolei do różnych komisariatów. Przysłuchiwałem się pilnie pytaniom, na które kilka komisariatów nie mogło dać żadnych wyjaśnień. Wreszcie: „Czy to jedenastka? Tu komisarz J. Czy nie macie tam u siebie jakiegoś chłopca nazwiskiem Józef Tomaszewski? Dobrze, poczekam”. Komisarz odwrócił się do mnie: „Zaraz sprawdzą i powiedzą”. Czekał z telefonem przy uchu, ja drżałem z obawy i niecierpliwości. W końcu: „Tak! tak! Słucham! Co?! Zabity?... Gdzie? W jaki sposób?” Komisarz słuchał, patrzył na mnie zdumionym wzrokiem i powtarzał otrzymywane informacje: „Wczoraj, o dwudziestej pierwszej, na rogu Kopernika i Ordynackiej. Strzelanina z Niemcami. Są także inni zabici”.

Siedziałem jak sparaliżowany. Czułem od początku, że wiadomość może tak wyglądać, ale co innego przeczucie, a co innego pewność. Ziutek nie żyje. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Jaki straszny cios! I znów, jak tyle razy, serce wali młotem, a w głowie pustka. Ale komisarz nie pozwolił mi pogrążyć się w rozpacz. Wziął pas, czapkę, mnie pod rękę i wyszliśmy: „Niech pan przyjdzie do mnie

za godzinę. Pojadę do jedenastki, dowiem się szczegółowo o wszystkim”.

Poszedłem na spotkanie z Zosią i widziałem z daleka, jak idzie naprzeciwko z wyrazem oczekiwania na twarzy: „Zosiu, przygotuj się na ciężką wiadomość”. — „Mów, co się stało, nie owijaj w bawełnę. Co z Ziułkiem?” — „Ziułek zabity”. Wziąłem ją pod rękę i poszliśmy bez słowa i bez celu przed siebie. Zosia panowała nad sobą, ale mimo to łzy jedna za drugą spływały po policzkach. Gdy się uspokoiła, opowiedziałem jej czego dowiedział się komisarz i chodziliśmy tak przez dobrą godzinę po ulicach, zrozpaczeni bez granic. Na szczęście, już nowe troski odrywały nas od bolesnych rozpamiętywań. Na czoło wysunęło się pytanie: „Czy warsztat na Marszałkowskiej wpadnie, czy nie?”

Po godzinie byłem u komisarza, który opowiadał: „Na Ordynackiej, blisko rogu Kopernika, jest restauracja dla Niemców. Tuż przed godziną policyjną wyszedł z niej SSman, który zwrócił uwagę na biegnącego od Nowego Świata młodego człowieka. Pośpiech jego wydał mu się podejrzany, więc stanął na drodze i krzyknął *halt!* Młody człowiek nie zatrzymał się, lecz wyjął w biegu dwa rewolwery i zaczął strzelać. SSman odpowiedział również strzałami i poparli go zaraz Niemcy, którzy na odgłos wystrzałów wyskoczyli z knajpy. Rozpoczęła się obustronna strzelanina, w której Polak został zabity na miejscu, także jeden Niemiec i jacyś przechodnie zostali ranni. SSman cały i to, co mówię, opiera się na protokóle jego zeznań”.

— Dziękuję, panie komisarzu, a teraz niech mi pan powie, czy Niemcy interesują się osobą zabitego, a specjalnie jego mieszkaniem?

— Jeśli ktoś był zabity w ulicznej strzelaninie, to na ogół nie. Jeśli miał broń przy sobie, to mogą się zainteresować, ale nie zaraz. Zostawiają trupa i załatwienie formalności policji granatowej, a dopiero później, gdy ta prześle akta do żandarmerii, przeglądają sprawę i zdarza się, że badają ją ponownie i robią rewizję. Jednakże najwcześniej policja granatowa prześle akta za dwa dni.

— W mieszkaniu zabitego mamy różne rzeczy, które trzeba wynieść.

— To macie na to dwa dni czasu. A nawet, jeśli pan da mi znać, to będzie można sprawę w policji przetrzymać. Jak mi mówili, do tego czasu nikt z Niemców w policji tej sprawy nie badał.

— A co będzie, panie komisarzu z ciałem zabitego?

— Zawiozą je do kostnicy przy ulicy Oczki i jak się po nie nikt z rodziny nie zgłosi, pochowa je miasto na swój koszt.

A więc trzeba było żale odłożyć na bok i zająć się ratowaniem warsztatu i to za wszelką cenę. Zosia sprowadziła mi skoczką, komandosa Filipa, o którym już wspomniałem poprzednio. Zadałem mu ciężkie pytanie:

— Czy może pan ze swoimi ludźmi wyewakuować nasz warsztat? Zachodzi możliwość, że siedzą już w nim Niemcy. Lokal jest bardzo blisko Alei Szucha i w razie czego walka będzie bardzo ryzykowna. Poza tym sprzętu jest tyle, że trzeba mieć samochód.

Filip orientował się w rodzaju naszej pracy, toteż na odpowiedź długo nie czekałem: „Już się robi. Będę gotów za dwie godziny. Załatwimy to tak szybko i składowanie, że Gestapo w Alei Szucha się nie zorientuje i z pomocą nie przyjdzie. Cieszę się z wyprawy, bo ludzie się nudzą i trochę ruchu dobrze im zrobi”.

Ustaliliśmy zbiórkę na godzinę piątą, na rogu Polnej i Szóstego Sierpnia. Było to 10 maja 1943 roku.

Czas się nieznośnie dłużył i nie wiedziałem, jak go zabić. Wróciłem do Zosi i chodziliśmy po ulicach, wstępowałyśmy na kawę, staraliśmy się czytać gazety, ale to wszystko na nic się nie zdało. Nie mogliśmy usiedzieć na miejscu i znów wracaliśmy do włóczęgi po ulicach. Nic jeszcze tego dnia nie miałem w ustach prócz czarnej kawy, ale ze wstrętem myślałem o jedzeniu.

O wpół do piątej poszedłem sam obejrzeć okolice domu na Marszałkowskiej i stanąłem jak wryty! Z daleka widzę, że przed domem roi się od gestapowców, żandarmów i cywilnych agentów. Znoszą dobrze mi znane walizki, pudła, toboły i ładują na ciężarówkę. Z jednej i z drugiej strony domu stoją samochody i w bliższym z nich spstrzegam lufę karabinu maszynowego, skierowaną w głąb ulicy Marszałkowskiej. Domyśliłem się, że karabin maszynowy musi być także w drugim samochodzie i że kierunek

do Placu Unii i Polnej jest również przez Niemców ubezpieczony.

Cofnąłem się i poszedłem szybko na miejsce zbiórki. W tych warunkach odbijanie warsztatu byłoby samobójstwem. Z daleka widziałem już Filipa i grupki młodych chłopców po dwóch, trzech, z zawiniątkami i teczkami. Nieopodal, na przystanku, stała wymizerowana Zosia. Odwołałem Filipa i poszliśmy Polną w kierunku Placu Unii:

— Panie Filipie, rezygnuję z akcji. Na lokalu i przed domem pełno Niemców i dojsście do budynku ubezpieczone przez dwa karabiny maszynowe. Stracimy ludzi, a sprzętu, który już wynoszą, nie odbijemy.

— Dlaczego? Damy radę! Ludzie się palą do roboty. Jest ich dziesięciu, mamy trzy peemy, reszta broń krótka, niezawodną, rzutową i granaty. Samochód też już stoi. — „A skąd go macie?” — „Zwyczajnie. Stał szofer z wozem, podeszło do niego dwóch moich chłopców z maszynami, kazali mu jechać ze sobą i teraz tu czeka”. Odwrócił się i pokazał palcem. Przy chodniku stał duży samochód osobowy, z nieruchomym szoferem przy kierownicy. Na stopniu siedział młody chłopak i palił papierosa. Usłyszeliśmy nagle za sobą głos: „Filip, zaczynają się koło nas kręcić jakieś typy. Nie ma co marudzić, czas zaczynać”.

To usunęło ostatnie wahania. Podziękowałem Filipowi i zaleciłem natychmiastowe rozejście się. Filip, z widocznym rozczarowaniem, pośpieszył na miejsce zbiórki, mówiąc na odchodnym: „Może na pociechę porwiemy na rogu któregoś z tych szpiclów!”

W jakiś czas potem, idąc na spotkanie na ulicę Miodową, spostrzegłem kordon żandarmów, zamykający wyłot Miodowej na Krakowskie Przedmieście. Od ulicy Długiej dobiegały pojedyncze strzały i serie pistoletów maszynowych. „To już tak trwa dwie godziny” — szepnęła do mnie z tyłu jakiś starszy, dobrze ubrany pan. Gdy strzelanina trwała, zrezygnowałem ze spotkania.

W kilka dni później dowiedziałem się, że zginął w niej Filip, blondynek z „Wici” i trzeci spadochroniarz, którzy poszli na jakąś akcję do restauracji *Volksdeutscha* na Długiej. Udało im się sterroryzować wszystkich obecnych, ale nie spostrzegli, że służąca wydostała się na ulicę oknem od piwnicy i krzykiem „Bandyci!” — zaalarmowała poli-

cje. Wymiana strażaków trwała kilka godzin, z fatalnym wynikiem.

Ale nie na tym koniec. Po dalszych paru dniach spotkał się ze mną znajomy komisarz policji granatowej. Miał pewien problem: „Niech pan sobie wyobrazi”, powiedział, „w strzelaninie na Długiej zginął najlepszy człowiek z naszej policyjnej podziemnej roboty, starszy przewodnik L. Poszedł z innymi z komisariatu, gdy przyszedł alarm, że bandyci napadli na restaurację na Długiej. Jak pan wie, bandytów zgodnie z instrukcjami władz podziemnych, tępiemy tak, jak przed wojną. Co za nieszczęście! L. zginął na miejscu, w strzelaninie. Obecnie dowiedziałem się, że była to jakaś akcja podziemna, a nie napad bandycki. Przecież to straszne, by człowiek z podziemia ginął z rąk podziemia! Trzeba coś obmyśleć, by temu zapobiec na przyszłość”.

Mój rozmówca miał rację. Istotnie, władze podziemne wydały rozkaz tępienia szerzącego się bandytyzmu, gdyż o dziwo, w roku 1943 Gestapo wpadło na pomysł roztoczenia opieki nad bandytami i popierania napadów rabunkowych. Kryła się za tym chęć skompromitowania podziemia przez zapisanie akcji bandyckich na jego rachunek i zohydzenia go w ten sposób w oczach społeczeństwa. To też została utworzona specjalna komórka do walki z bandytyzmem i wykonano cały szereg wyroków śmierci na bandytach (*).

Stosunek władz podziemnych do granatowej policji był negatywny, gdyż jako całość stała się ona narzędziem w ręku policji niemieckiej, jednakże niektórzy policjanci, jak wspomniany oficer, należeli do podziemia i często wykonywali bardzo niebezpieczne prace. Granatowa policja wiedziała, że władze podziemne nakazały likwidowanie bandytyzmu i na takie akcje szła z rzeczywistą ochotą.

Niemniej rozłożyłem ręce. Nie widziałem możliwości znalezienia środka, który mógłby zapobiec podobnym tragediom, jak wypadek na Długiej. W warunkach konspiracji, gdzie wszystko jest otoczone tajemnicą, trudno kogo-

(*) Patrz B.I., nr 35 z 2. IX. 1943 o likwidacji czterdziestu bandytów i nr 29 z 20. VII. 1944 o zastrzeleniu w Warszawie bandyty, Henryka Plenzera.

kolwiek uprzedzać z góry o zamierzonych akcjach, by je odróżnić w ten sposób od zwykłych napadów.

Pogrzeb Ziutka.

A więc Ziutek nie żyje! Zginął wspaniały, utalentowany chłopiec, któremu przepowiadałem wielką przyszłość. Myślałem o tym, że kiedyś, po wojnie, w wolnej Polsce, Ziutek zacznie się kształcić i rozwinie swoje wielkie zdolności techniczne. Byłem przekonany, że zostanie uczonym i wynalazcą. Tymczasem jeden strzał SSmana zakończył wszystko.

Dlaczego Ziutek biegł? Powody mogły być dwa. Jeden — to obawa, że nie zdąży przed godziną policyjną na nocleg; drugi, że uciekał przed szpiegującym go kolegą. Jak było w istocie, nie wiem do dziś dnia.

Dlaczego Niemcy, wbrew opinii komisarza, przyszli na Marszałkowską natychmiast? Mogę przypuszczać, że zainteresowanie ich wzbudził wspaniały, zagraniczny chronometr, który przywiózł dla mnie z Anglii skoczek Filip i który dałem do noszenia Ziutkowi, widząc, że mu się strasznie spodobał. Ziutek nigdy się z nim nie rozstawał, nosząc go na rękę.

Nie mogliśmy się pogodzić z myślą, że ciało Ziutka zostanie pochowane przez Zakład Oczyszczania Miasta, ot tak, byle jak. Z drugiej strony byłem przekonany, że Gestapo z pewnością zarządziło przy trupie, na Oczuki, obserwację, w słusznym przypuszczeniu, że Ziutka zechcą po śmierci obejrzeć towarzysze pracy i walki. Znane mi były wypadki aresztowań na pogrzebach, więc wydałem kategoryczny zakaz chodzenia do kostnicy, chociaż trudno mi było samemu pogodzić się z myślą, że już więcej Ziutka nie zobaczę.

Pomogły nam w tych troskach dwie młode kobiety, wydelegowane przez podziemie do pełnienia w kostnicy: jedna makabrycznej roli posługaczki, druga funkcji protokółantki, oraz zakład pogrzebowy, wciągnięty do jedynej chyba na świecie podziemnej organizacji, mającej na celu wykupywanie od Niemców trupów pomordowanych ludzi i ich grzanie. Odbywało się to w ten sposób, że Niemcy brali łapówkę i wydawali potrzebne papiery, zakład zaś

sprowadzał trumnę, urządzał pogrzeb i załatwiał wszystkie formalności z zarządem cmentarza.

Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Niemcy nie starają się dojść przez zakład pogrzebowy, kto zainteresował się ciałem, ale właściciel zakładu pytanie Zosi na ten temat zbył bardzo krótko: „Albo ja wiem, kim pani jest? Ja się pani wcale o to nie pytam. Gdyby Niemcy do mnie przyszli, podam im to nazwisko, na jakie pani każe wystawić sobie kwit. Ale na pewno nie przyjdą”. Jednak Zosia komunikuje się z nim z wszelkimi ostrożnościami, gdyż od posługaczek z Oczki otrzymała ostrzeżenie: „Niech nikt nie przychodzi do kostnicy, bo jest obserwacja”.

Po paru dniach zakład zawiadomił, że pogrzeb odbędzie się następnego dnia rano. Nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek z nas poszedł na pogrzeb, wobec czego rozstawiliśmy się na jego trasie, jeden z dala od drugiego i w ten sposób zegnaliśmy Ziutka, który na samotnym karawanie odbył swą ostatnią drogę po ulicach Warszawy, w której się urodził i zginął. Patrzyliśmy na pogrzeb i każdy myślał: „Kto z nas następnym?”

Zwierzyłem się Zosi, jak mi ciężko na duszy z tego powodu, że nie widziałem Ziutka po śmierci. Ale zrobiło mi się łzej, gdy usłyszałem jej odpowiedź: „Bardzo mi przykro, że złamałam zakaz, ale byłam na Oczki i widziałam go. Wyglądał bardzo spokojny i bez śladu cierpienia na twarzy. Dostał strzał w samo serce i musiał zginąć natychmiast. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi, gdyż było wiele trupów i udawałam, że szukam kogoś i każdemu przyglądałam się z jednakową uwagą. Leżą, biedacy, jeden przy drugim, pokrwawieni i postrzelani, w ciemnej ponurej sali, a obok nich snują się zapłakani i przerażeni ludzie. Nie zapomnę tego widoku do końca życia”.

Ziutek został pochowany na Powązkach, jako Józef Tomaszewski, ale do trumny została włożona zalakowana butelka z jego prawdziwym nazwiskiem: Józef Stankiewicz. Sądzę, że wielu sędziów i adwokatów warszawskich pamięta starszego, głuchawego, z wielkimi sumiastymi wąsami, sekretarza Sądu Najwyższego, Stankiewicza. To był jego syn.

IX

WÓDA! WÓDA! GORZAŁA!

Motto: „*My młodzi, my młodzi,
Nam bimber nic nie szkodzi.
Pijemy go litrami,
Kto z nami? Kto z nami?*”

*My starzy, my starzy,
Nam z bimbrem jest do twarzy.
Pijemy go litrami,
Kto z nami? Kto z nami?!”*

Kraj pod okupacją pił więcej, niż przed wojną. Ludzie zalewali robaka jak kto mógł i czym kto mógł. Chęć odezwania się od ponurej rzeczywistości, niepewność jutra, świadomość tego, że dziś żyję a jutro mnie nie będzie, wytwarzała nastrój pewnej beznadziejności, a wiadomo, że dobry trunek na frasunek. Do tego dochodził brak wszelkich rozrywek, a szczególnie u ludzi z konspiracji, życie w ciągłym napięciu i niebezpieczeństwie, które wymagało od czasu do czasu odprężenia. Konieczną przeciwagę dawał alkohol. Toteż przy wysokiej jego konsumpcji nie wystarczała już wódka, wyrabiana przez okupacyjny monopol i w całym kraju powstawały niezliczone tajne, no i naturalnie nielegalne, gorzelnie, zwane bimbrowniami, gdyż ich płynny produkt został ochrzczony, nie wiadomo przez kogo i z jakiego powodu dźwięcznym mianem bim-

bru. Trzeba przyznać, że brzmienie tego słowa nie jest brzydkie, coś jak brzęk trącanych kieliszków. Musiał je wynaleźć jakiś muzykalny pijak.

Bimber różnił się bardzo w gatunku. Począwszy od błękitnego, mętnego płynu, od którego czasem ludzie ślepli, a skończywszy na prawie czystym chemicznie alkoholu, produkowanym przez przedwojennych specjalistów, przy pomocy najbardziej „nowoczesnych” urzędzeń, na jakie stać było genialną wprost polską okupacyjną pomysłowość.

Zwiedzałem dwa takie zakłady produkcyjne. Jeden mieścił się w pokoju bez okien, w gmachu Prudentialu, na Placu Napoleona. Na dużym stole wybudowano gorzelnię w wydaniu kieszonkowym. Rurki szklane, miedziane i gumowe, palniki gazowe, jakieś bulgotanie w wysokiej pod sufity „kolumnie”, no i zapaszek, ten największy wróg tajnej gorzelni. Całość wyglądała raczej na uniwersyteckie laboratorium, brakowało tylko ludzi w okularach i białych kitlach, z piętnem nauki, wrytym na myślących twarzach. Właściciel, który z wyrazem dumy na przepitym obliczu, objaśniał mi funkcjonowanie aparatu, dodał skromnie pod koniec, że wydajność jego nie jest wielka, ot tak, na potrzeby domowe i grona najbliższych przyjaciół, po czym zaproponował spróbowanie na miejscu „taty z mamą”, to jest mieszanki bimbrowa pół na pół z sokiem malinowym. Trudno było odmówić. Spróbowałem i smakowało nie najgorzej. Coś jak wiśniówka Potockiego z Łańcuta, do której ktoś przez pomyłkę dołał trochę nafty.

Drugą bimbrownię oglądałem już po Powstaniu, w Grodzisku. Mieściła się ona w piwnicach willi i była przedsiębiorstwem na dużą skalę, poniekąd zalegalizowanym, gdyż opłacającym regularny haracz w naturze miejscowym żandarmom niemieckim. Ci ten podatek częściowo tylko konsumowali, wysyłając resztę do Rzeszy, gdzie wódka była na wagę złota. Po wejściu przez zamaskowane drzwi, znalazłem się w prawdziwej podziemnej fabryce, wybudowanej jak gdyby w proroczym przewidywaniu wojny atomowej. Wielkie kadzie z zacierem, banie, rury, filtry i ogromne palenisko z buzującym płomieniem, no i kilka osób obsługi, przyglądających mi się w milczeniu. Tutaj, produkcja szła w setki litrów i była wysokiej klasy, co zgodnie ze zwyczajami panującymi w przedsiębiorstwach

tej branży, musiałem sprawdzić na miejscu. Smak tym razem przypominał bułgarską śliwownicę.

Ilość bimbrowni w całej G.G. szła w tysiące. Na wsi towar konsumowano na miejscu, bądź sprzedawano „na wynos”. Po miastach roilo się od restauracji i barów, gdzie również go podawano gościom. Był jednak cały szereg zakładów gastronomicznych i barów w Warszawie, gdzie poczytywano by sobie za obrazę, gdyby ktoś poprosił o bimber, lub rzucił takie niecne podejrzenie na podawaną mu monopolówkę, starkę „radziwiłłowską”, „Cieleśnicę” czy „z koniczynką”. W tych lokalach można było dostać do zjedzenia i wypicia prawie wszystko, naturalnie za wysoką cenę i z naruszeniem niezliczonych zakazów okupacyjnych, za którymi często gęsto stała kara śmierci. Niedostępny dla Polaków były tylko Hotel Bristol, Hotel Europejski i Adria, zarekwirowane wyłącznie dla Niemców.

Dziwne były te restauracje i bary minionej okupacji. Może nawet trzeba by było poszukać dla nich innej niż zawodowa nazwy. Atmosferę nie restauracyjną nadawali im przede wszystkim przygodni właściciele czy kierownicy, którym nigdy w życiu chyba się nie śniło, że będą prowadzili restaurację. Były to osoby znane w Warszawie i popularne. Chodziło się tam nie tylko po to, by zjeść i wypić, ale także by pogapić się na nich. Jeśli się szło do „Aktorek” na Piusa, róg Alei Ujazdowskich, a później w pałacyku na Mazowieckiej, to także po to, by zobaczyć Ćwiklińską i Romanównę roznoszące kawę, herbatę i ciastka. Rządziła na sali „Ćwikła”, bez ceremonii narzucająca gościom, gdzie mają siedzieć i co mają zamawiać. Jeśli się wędrowało do „SIMu”, to po to, by zobaczyć i posłuchać Maszyńskiego, którego żona stała obok za barem, a także by uraczyć uszy doskonałą muzyką Panufnika i Lutosławskiego, grających na dwa fortepiany. Stara gwardia chodziła „Pod Kasztany”, w podwórzu Zakładu Głuchoniemych, by odświeżyć wspomnienia dawnych, dobrych, jeszcze carskich czasów w rozmowach z Messalką, która słynęła również jako znakomitość gastronomiczna. Złota młodzież, której chyba nigdy żadna okupacja nie wypleni, wędrowała do „Fregaty”, gdzie mnóstwo ładnych pań-

kelnerek stwarzało atmosferę raczej towarzyskiego przyjęcia, niż restauracji. Zupa stygła, a flirt kwitnął!

Stamtąd niedaleko było do „Nektaru” na Świętokrzyskiej, znanego w sferach konspiracyjnych z tego, że przekupieni gestapowcy wpadli tam kiedyś na przekąskę z więźniem R., przewożonym z Gestapo na Pawiak i pozwolili mu zbiec drzwiami na podwórze. Gdy miałem tam pewnego razu spotkanie, zwróciła moją uwagę grupa 4-ch mężczyzn, siedzących w kącie i popijających w milczeniu jakiś trunk. Zachowanie ich odbijało od otoczenia, przynajmniej dla doświadczonego oka, toteż dyskretnie spytałem znajomą kelnerkę: „Co to za jedni?” Usłyszałem w odpowiedzi: „To Anglicy, którzy zbiegli z niewoli niemieckiej i ukrywają się w Warszawie”. Nie zdziwiłem się zbytnio, gdyż sam kiedyś na przyjęciu wielkanocnym u znajomych, trafiłem na lotnika Australijczyka, który zbiegł z niewoli niemieckiej i był ukrywany przez podziemie w Warszawie. Nauczył się nawet mówić znośnie po polsku. Podziemie w Warszawie ukrywało kilkudziesięciu zbiegłych jeńców alianckich i nawet, w celu roztaczania opieki nad nimi, została zorganizowana specjalna komórka. Niestety, zdarzyło się, że jeden czy dwóch zostało schwytanych przez Niemców i sygnęli ludzi i lokale, gdzie byli ukrywani. W rezultacie, zginęła prawie cała rodzina Olszewskich, odgrywająca w tej komórce dużą rolę.

Pragnąłem dowiedzieć się od kelnerki czegoś więcej, więc zapytałem: „A mówią po polsku?” — „Nie, trochę tylko rozumieją”. — „No to przecież ryzykują niesłuchanie, wysiadując w restauracji, gdzie każdej chwili może ich ktoś zaczepić”. — „Naturalnie, ale nie można ich utrzymać w domu, bo się nudzą, więc przychodzą tutaj i popijają za pół ceny, bo taką mają u nas zniżkę”.

Po drodze z „Fregaty” do „Nektaru” mijało się bar „Za Kotarą”, który stał się kiedyś widownią ponurej sceny. Rzekomo założony przez Gestapo, stał się miejscem spotkań agentów i osób wciąganych w sieć szpiegowską. Gdy to podziemie wykryło, rozprawa była krótka. Pewnego dnia kilku młodych gości wyciągnęło spod palt pistolety maszynowe i wystrzelało całą obsługę. Niestety, w strzelaninie zginął także przypadkowy gość, wysiedleńiec z Poznania, członek znanej tamtejszej rodziny bankierskiej.

Z „Nektaru” pod „Złotówkę” na Marszałkowskiej było tylko parę kroków. Tu gwar i ruch, jak za najlepszych czasów. Menu, jak przed wojną. Stoły uginały się pod ciężarem nakryć i potraw. Woda się lała strumieniami. To była knajpa nowobogackich, płacąca tak jak niektóre inne, gruby haracz Niemcom, by patrzyli przez palce co się w niej podaje do stołu. Tu wojenni milionerzy, przy akompaniamencie kieliszków, robili interesy idące w krocie, naturalnie „na lewo”. O ile w „Złotówce” panował hałas i rozgardiasz, o tyle „U Grzędzika”, na Żórawiej, było cicho i spokojnie. Tu się schodzili smakosze, wydający resztki zasobów przedwojennych, by dogodzić podniebieniu. W czasie Powstania tak Grzędzik jak i Grzybowski na Ordynackiej, zachowali się wspaniale. Otworzyli kuchnię dla wszystkich i karmiąc setki ludzi bezpłatnie, rozdali wszystkie swoje zasoby.

Tutaj, czy gdzieś w okolicy, z pewnością trafiało się na zawsze pijaną żebraczkę, znaną całemu śródmieściu Warszawy, która zgięta w pół, podbiegała gdzieś z boku i przejmującym głosem wołała: „Ja błaaagam na kawałek chleba dla moich dzieci!” Otrzymawszy datek, odwracała się na pięcie i udawała się bez zwłoki do najbliższego baru na „kieliszek chleba” dla siebie. Wszędzie też po drodze widać było sylwetki mężczyzn w paltach, podejrzanie grubych w pasie, szepczących ochryplym głosem: „woda... woda...gorzała!” To uliczni sprzedawcy bimbru zalecali swój towar.

Przekroczywszy Aleje Jerozolimskie, wchodziło się w dzielnicę barków kawowych. „U Zuzanny” na Wspólnej, „Maragogyne” po przeciwnej stronie, „Pod Konikiem” na Hożej, „U Fuchsa” na Mokotowskiej, „Pod Palmą” na Bolesława Prusa, „U Marca” na Placu Trzech Krzyży — i tak by można było wyliczyć jeszcze z jakiegoś parę tuzinów tych lokali, nieraz urządzonych z dużym smakiem, a zawsze zaopatrzonych we wspaniałe torty, z „Fedorą” na czele.

Mój Boże! Bar kawowy, czarna kawa... jakież to wszystko jest nieodłącznie związane z konspiracją w Warszawie. Ileż to obrazów nasuwa się przed oczy. Warszawa nie miała jeszcze co jeść, gdy bary kawowe zaczęły rosnać,

jak grzyby po deszczu. Przytulne i miłe, stały się miejscem spotkań wszystkich. Słysząc zamówienia: „Duża czarna, mała czarna, mała czarna w dużej...” To ostatnie jest obliczone na to, że mała porcja będzie nalana do dużej filiżanki „protekcynie”. Dowcipnisie zamawiają: Duża „mała” czarna. Kawa jest droga, więc każda kropla ma swoją cenę. Bary kawowe stają się powoli instytucją konspiracyjną. Są one często skrzynkami pocztowymi, ale przede wszystkim miejscami spotkań i rozmów. Kelnerki i zarządzające to zwykle żony, siostry lub narzeczone wojskowych. Mężowie, bracia lub narzeczeni w niewoli lub zagranicą. Wszyscy zorientowani w tym, co się dookoła dzieje, w większości „swoi ludzie”. Panuje szczególny nastrój. Wszyscy mówią szeptem, obserwują się wzajemnie, ale na ogół znają się chociażby z widzenia lub ze słyszenia. Czasami pod stolikami krążą jakieś papierki. To wymiana korespondencji i komunikatów radiowych. Naokoło sami stali bywalcy. Każda obca osoba zwraca natychmiast uwagę. Ileż to razy kelnerka nachylała się nad stoliczkiem i, rozstawiając kawę, mówiła szeptem: „Uwaga na stół w kącie, na prawo”. Powstawały nieraz zabawne sytuacje. Pułkownik Horak z Z.W.Z., „urzędujący” jakiś czas po kilka godzin dziennie przy stoliku w barku kawowym na Sienkiewicza 3, zyskał sobie u kelnerek opinię wielkiego uwodziciela. Zwały go między sobą „Sinobrodym” tylko dlatego, że każdego dnia odwiedzało go tam kilka łączniczek. „Z każdą z nich” — powiedziała mi jedna z kelnerek — „szepce czule, wpatrzony w nią, jak w obraz”.

Mieliśmy dość dużo konspiracyjnych lokali, ale bardzo oszczędzaliśmy je. Służyły do stałych, regularnych kontaktów. Człowiekowi, którego się widywało raz na kilka miesięcy, nie dawało się adresu. Lepiej było spotkać się z nim w kawiarni, w parku, na skwerku, lub wprost na ulicy. Stosowałem chętnie ten system i spotykałem się na przykład w „Simie”, gdzie siadywali także oficerowie niemieccy z pobliskiej Komendy Placu (*Für Deutsche Erlaubt*). Lokal nie był objęty naszym bojkotem, a Niemcy mieli za mało wyobraźni, by przypuszczać, że obok przy stoliku siedzą konspiratorzy i omawiają na przykład teksty depeesz, jakie mają być wysłane do Londynu, lub wykonanie wyroku śmierci.

Po pewnym czasie jednak Niemcy zaczęli się orientować w tym, co się dzieje w barach kawowych. Rozpoczęły się „naloty”, sprawdzanie dokumentów, rewizje, lub wygarnianie „do budy”. W ten sposób wygarnęli gestapowcy bar kawowy na Placu Napoleona i zabrali z niego działacza Stronnictwa Narodowego, adwokata Jaźwińskiego z Kalisza. W nalocie zaś na barek przy Filtrowej wpadł były poseł Sacha ze Str. Narodowego i inni.

W dalszym ciągu trwania okupacji, szerzący się coraz bardziej alkoholizm stał się poważnym zagadnieniem, którym musiały się zająć władze konspiracyjne. Wydarzyło się już kilka wsep na tle wygadania się po pijanemu, co przyspieszyło odpowiednią kontrakcję. W pierwszym rzędzie zostało wydane zarządzenie wewnętrzne, wprowadzające zakazy i ograniczenia w spożywaniu trunków dla członków podziemia. Byłem obecny na zebraniu, gdzie dyskutowano ten problem. Przypominało ono posiedzenie Towarzystwa Walki z Alkoholizmem, a nie groźne kierownictwo podziemia. Poza tym, K.W.C. podjęło akcję likwidowania pijaństwa na wsi, gdzie przyjęło ono jeszcze większe rozmiary, niż w miastach. Na wsi cała rzecz przestała już być tylko zagadnieniem zdrowia fizycznego i moralnego ludności wiejskiej, a stała się sprawą bezpieczeństwa konspiracji, która na tym terenie miała charakter masowy, gdyż na przykład były powiaty, gdzie do Batalionów Chłopskich należało po kilka tysięcy młodych chłopców. Zagrożenie powstało stąd, że Gestapo, wiedząc dobrze, że bimbrownie stały się na wsi czymś w rodzaju ośrodka towarzyskiego, gdzie ludzie się spotykają przy kupnie bimbrowu i popijając, plotkują, zaczęło wokół nich organizować sieć swych agentów.

Zdecydowaliśmy, że propaganda prasowa i szeptana przeciwko alkoholizmowi nie wystarczy i że tak, jak przy bojkocie kontyngentów rolnych i przymusu pracy, trzeba ją uzupełnić uderzeniem na bimbrownie i zniszczyć je. Takie uderzenie zostało przygotowane i w ustalonym terminie oddziałki B.CH., które były doskonałym wykonawcą zarządzeń K.W.C. na terenie wiejskim, a także i grupy A.K. przystąpiły na terenie całej G.G. do akcji likwidacyjnej. Odbywało się to w ten sposób, że z reguły w nocy do właściciela bimbrowni przychodziło kilku nieznanym mu

młodych uzbrojonych ludzi, którzy niszczyli urządzenie bimbrowni. O ile właściciel protestował i opierał się, niszczyli wszystko i często wymierzali mu karę chłosty. Jeśli zachowywał się spokojnie, wyłączała te części aparatury, które mogły być przydatne w gospodarstwie domowym, na przykład beczki i kotły i zostawiali je nieuszkodzone, a resztę niszczyli. Akcja została przeprowadzona nader gładko i prawie bez strat, gdyż tylko w kilku wypadkach doszło do walk z żandarmami, którzy byli w pobliżu.

Byłem obecny, gdy na kwaterze K.W.C. dokonywano ostatecznego zestawienia wyników akcji, na podstawie nadesłanych raportów. Gdy odpowiedni referent podniósł głowę znad arkusza i triumfującym głosem oznajmił: „Okolo dwóch tysięcy bimbrowni zlikwidowanych!” — zapanało ogólne zadowolenie. Takiego dobrego wyniku nikt z nas nie przewidywał. Ale gdy następnie, zacierając ręce, zaproponował, by dla uczczenia tego sukcesu udać się natychmiast „na jednego”, wszyscy smutnie pospuszczali głowy. Tym razem, niestety, nie wypadło. Tak już jest to życie głupio zbudowane, że nigdy nie ma róży bez kolców.

X

ŻYDZI POD OKUPACJĄ

Depesze i ostrzeżenia.

Zacząłem się od tego, że wysłałem do Londynu kilka depesz, jedna po drugiej, zawiadamiających o rozpoczętej 22 lipca 1942 roku likwidacji ghetta. Ładowano do wagonów towarowych na ulicy Stawki po 7.000 osób i wywożono na wschód, do Majdanka, gdzie wszystkich gazowano. Zdziwiło mnie ogromnie, że wbrew dotychczasowej praktyce, B.B.C. nie zrobiło z tych depesz żadnego użytku i o tych wiadomościach nie wspomniało ani słowem. Wysłałem więc oddzielną depeszę, w której domagałem się wyjaśnienia powodów tego milczenia. Zdziwienie moje wzrosło, gdy również i na tę depeszę nie udzielono mi żadnej odpowiedzi. Nie dawałem za wygraną i wskoczywszy na stację dałem polecenie telegrafistom, by przy każdym połączeniu z Londynem żądali odpowiedzi na wszystkie wspomniane depesze. Ta zabawa trwała kilka dni i widocznie na skutek codziennych alarmów stacji londyńskiej, rząd nareszcie odpowiedział. Depesza niewiele tłumaczyła. Brzmiała ona dosłownie: „Nie wszystkie wasze depesze nadają się do publikowania”.

Zachodziłem w głowę, co to miało znaczyć. Tutaj wywożą i mordują po 7.000 osób dziennie, a Londyn uważa, że to nie nadaje się do opublikowania! Na głowę poupadali, czy co? Dopiero po miesiącu B.B.C. podało wiadomość, opartą na naszych informacjach, a wiele miesięcy później

wyjaśnił mi całą rzecz emisariusz rządu, który został zrzucony do kraju na spadochronie: „Depeszom pana nie uwierzone. Nie uwierzył rząd, nie uwierzyli Anglicy. Mówiono, że trochę przesadziliście w propagandzie anty-niemieckiej. Dopiero, gdy Anglicy otrzymali potwierdzenie tego ze swoich źródeł, zapanowała konsternacja i B.B.C. podało wasze wiadomości”.

Gdy akcja likwidacji Żydów w Polsce była w pełnym toku zasypywaliśmy rząd w Londynie depeszami na ten temat, a także donosiliśmy o zwożeniu do Polski Żydów z krajów bałkańskich, z Węgier, z Holandii itd. Prosiłiśmy, aby ostrzegać przez radio Żydów z tych krajów, by za wszelką cenę unikali wywiezienia do Polski, bo tam im grozi śmierć. Tym razem B.B.C., a później radiostacja „Świt” powtarzały nasze ostrzeżenia. Jednak, gdy pociągi z tych krajów nadchodziły w dalszym ciągu i tu i ówdzie udało się polskim kolejarzom szepnąć ostrzeżenie, nie wierzono im i wyśmiewano informacje, szczególnie w tych pociągach osobowych, w których Żydzi jechali z walizami, ubraniami i pościelą. Byli oni przekonani, że jadą na roboty i że pracując, uda im się wojnę przetrzymać.

W końcu lipca 1942 roku, zostałem wezwany na spotkanie z osobą, która mi miała przekazywać wiadomości idące podziemnymi kanałami od Żydów. Czerpałem je dotychczas z własnych obserwacji i ze źródeł K.W.C., ale brak mi było ich bezpośrednio ze środowiska żydowskiego. Na spotkanie poszedłem chętnie.

Gdy na Kolonii Staszica zapukałem do drzwi dużego domu, otworzyły się natychmiast i ktoś, stojący w ciemnym korytarzu, wskazał mi ręką drogę do pokoju. Wszedłem, spojrzałem na stojącego pod oknem człowieka i... roześmiałem się. Nieznanym Kowalskim, o którym mówiła kartka, okazał się mój dobry znajomy, radca Prokuraturii Generalnej w Warszawie, Woliński, szatyn, średniego wzrostu o przyjemnej twarzy myśliciela. Patrzył na mnie przez grube okulary, również uradowany i wzruszony: „A więc to wy, kolego, jesteście tym tajemniczym Nowakiem, który ma łączność z Londynem. Jakże się cieszę z tego, że to właśnie wy! Ale cóż to za strój?” — i okręcił mną całym, podziwiając buty z cholewami, robotniczą kurtkę i czapkę pracownika Elektrowni. Byłem bardzo zadowolony, bo

lubiłem Wolińskiego. Zawsze to przyjemnie w takich ciężkich czasach spotkać przedwojennego, sympatycznego znajomego, którego się dawno nie widziało i przekonać się że żyje.

W ten sposób rozpoczęła się nasza współpraca. Woliński był pracownikiem referatu żydowskiego w B.I.P.-ie i dostarczał mi bieżących wiadomości, które ze swej strony otrzymywał podziemną drogą od żydowskich organizacji z ghetta warszawskiego i innych. Ja układałem z nich depesze, segregując i skracając cały materiał. Oto ich próbki:

„20 czerwca 1944 roku. Zaczęło się od 15 maja w Oświęcimiu masowe mordowanie ludzi. Pierwsi idą Żydzi, potem jeńcy sowieccy i tak zwani chorzy. Masowo przywozi się Żydów węgierskich. Na dobę przybywa trzynaście pociągów, po 40-50 wagonów. Ofiary przekonane, że idą na wymianę jeńców, lub na osiedlenie. Komory gazowe czynne bez przerwy. Trupy palą w krematoriach i na powietrzu. Zagazowano już ponad 100.000”.

„19 lipca 1944. Akcją mordowania Żydów w Oświęcimiu kieruje komendant tegoż, Hoess — czytaj Hess — i jego adiutant, Grabner”.

Odezwy K.W.C. i wyroki.

We wrześniu 1942 roku, K.W.C. wydało odezwę, poświęconą sprawie likwidacji Żydów. Została ona opublikowana przez całą prasę podziemną, ponadto, powtórzyły ją radiostacje alianckie, nadające w języku polskim. Oto jej treść.

„Obok tragedii, przeżywanej przez społeczeństwo polskie, dziesiątkowane przez wroga, trwa na naszych ziemiach od roku blisko potworna, planowa rzeź Żydów. Masowy ten mord nie znajduje przykładu w dziejach świata, błędną przy nim wszelkie znane z historii okrucieństwa. Niemowlęta, dzieci, młodzież, dorośli, starcy, kaleki, chorzy, zdrowi, mężczyźni, kobiety, Żydzi-katolicy, Żydzi wyznania mojżeszowego, bez żadnej przyczyny innej, niż przynależność do narodu żydowskiego, są bezlitośnie mordowani, truci gazami, zakopywani żywcem, strącani z pięter

na bruk, przed śmiercią przechodząc dodatkową mękę wolnego konania, piekło poniewierki, udręki, cynicznego pastwienia się katów. Liczba ofiar zabitych w ten sposób przewyższa milion i wzrasta z każdym dniem.

Nie mogąc czynnie temu przeciwdziałać, K.W.C. w imieniu całego społeczeństwa polskiego protestuje przeciw zbrodni, dokonywanej na Żydach. W tym proteście łączą się wszystkie polskie ugrupowania polityczne i społeczne. Podobnie jak w sprawie ofiar polskich, odpowiedzialność fizyczna za te zbrodnie spadnie na katów i ich wspólników.

Kierownictwo Walki Cywilnej" (*).

W sześć miesięcy później, K.W.C. wydało drugie oświadczenie, głównie skierowane przeciw tym występnyom jednostkom ze środowiska polskiego, które współpracowały z Niemcami przy prześladowaniu Polaków, ukrywających Żydów i samych Żydów. Brzmiało ono, jak następuje:

„K.W.C. komunikuje: społeczeństwo polskie, mimo iż samo jest ofiarą okropnego terroru, ze zgrozą i głębokim współczuciem patrzy na mordowanie przez Niemców resztek ludności żydowskiej w Polsce. Założyło ono przeciwko tej zbrodni protest, który doszedł do wiadomości całego wolnego świata, zaś Żydom, którzy zbiegli z ghetta lub z obozów kaźni, udzieliło tak wydatnej pomocy, że okupant opublikował zarządzenie, grożące śmiercią tym Polakom, którzy pomagają ukrywającym się Żydom. Niemniej znalazły się jednostki wyzute ze czci i sumienia, rekrutujące się ze świata przestępczego, które stworzyły sobie nowe źródło występnego dochodu przez szantażowanie Polaków, ukrywających Żydów i Żydów samych.

K.W.C. ostrzega, że tego rodzaju wypadki szantaży są rejestrowane i będą karane z całą surowością prawa, w miarę możliwości już obecnie, a w każdym razie w przyszłości (**).

(*) Patrz B.I., nr 37 z 17. IX. 1942.

(**) Patrz B.I., nr 11, z 18. III. 1943.

Równocześnie z odezwą K.W.C. wydało zarządzenie, nakazujące stosowanie kary śmierci w tego rodzaju wypadkach. Na tej podstawie i innych, sądy specjalne wydały szereg wyroków śmierci, które następnie wykonano. Oto niektóre nazwiska straconych: Bogusław vel Borys Piłnik w Warszawie, Jan Grabiec w Krakowie, Tadeusz Stefan Karcz w Warszawie, Antoni Pajor w Dobranowicach koło Wieliczki, Janusz Krystek w gminie Grempków powiat Węgrów-Sokołów, Jan Łapiński w Warszawie, Bolesław Szostak i Antoni Pietrzak, kapral policji granatowej w Warszawie (*).

Na tym, co zostało wyżej powiedziane, nie zamyka się jednakże problem opieki, jaką Polacy i podziemie rozłożyło nad Żydami w Polsce. Omówienie całokształtu tych spraw wykraczałoby jednak poza ramy niniejszych wspomnień. Ograniczę się tylko do stwierdzenia, że jeśli około trzystu tysięcy Żydów, którzy zaryzykowali i nie poszli dobrowolnie do ghatt na stracenie zdołało przeżyć masakrę hitlerowską, to zawdzięczają to pomocy społeczeństwa polskiego. A trzeba pamiętać, że okupant wydał zarządzenie, o którym mówiła odezwa K.W.C., grożące karą śmierci każdemu Polakowi, który ukrywa Żydów lub udziela im jakiegokolwiek pomocy.

Znajomy z ghetta.

Pewnego dnia, jeszcze przed rozpoczęciem likwidacji ghetta, wybrałem się do Sądu Grodzkiego na Lesznie, który był jedynym miejscem w Warszawie, gdzie Polacy i Żydzi mogli się spotykać przy załatwianiu spraw sądowych. Miał on z jednej strony dostęp od aryjskiej dzielnicy. Była to tylko jezdnia, odgrodzona wysokim płotem od chodników i kamienic, należących już do ghetta. Z drugiej strony było wejście od dzielnicy żydowskiej. Znalazłem się od razu w tłumie ludzi, którzy załatwiali wszystko, tylko nie sprawy sądowe. Przede wszystkim kwitł handel kosztownościami. Piękny, nowy, znany mi dobrze gmach, zabru-

(*) Patrz B.I. z 16. IX. 1943; nr 35 z 2. IX. 1943; nr 49 z 9. XII. 1943; nr 10 z 9. III. 1944; nr 13 z 30. III. 1944; nr 27 z 6. VII. 1944.

dzony i zaśmiecony do niepoznania. Korytarze zatłoczone i wszędzie pary, rozmawiające szeptem, z pochylonymi głowami, pilnie baczące, czy nie nadchodzi żandarm. Prawie z reguły, jedna z osób z gwiazdą Dawida na opasce, druga bez. Polacy komunikowali się z Żydami. Niespodziewanie mignęła mi znajoma twarz. To adwokat Rozensztat, z którym zasiadałem razem w Radzie Adwokackiej w Warszawie. Złapałem go za rękę: „Jak się macie, kolego?” — „O, to wy, kolego Korboński! Jakże się cieszę, że jeszcze mogę was zobaczyć!” Odciągnąłem go na bok i wtuleni gdzieś we framugę, przegadaliśmy ze dwie godziny. Rozensztat widział trzeźwo sytuację i trafnie przewidywał koniec. Był zrezygnowany i nie zamierzał uciekać, na co go namawiałem cytując przykłady kolegów Żydów, ukrywających się z powodzeniem w dzielnicy polskiej. O Niemcach nie mówiliśmy wcale. Na ten temat nie mieliśmy sobie do powiedzenia nic nowego. Natomiast mówił wiele interesujących szczegółów o stosunkach wewnętrznych żydowskich:

— Wyobraźcie sobie, żyjemy między dwoma biegunami. Z jednej strony grupa zwariowanych szowinistów, którzy twierdzą, że po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat Żydzi odzyskali coś w rodzaju niepodległości, z własnym rządem i terytorium, chociaż pod protektoratem obcego państwa. Ci się wyżywają w samorządzie ghettowym i w instytucjach prowadzonych przez Żydów i wydaje im się, że są bliżej państwa żydowskiego. Z drugiej strony panoszą się kanalie najgorszego rzędu, myślące realistycznie i wietrzące rychłą klęskę. Specjalnie policja żydowska gotowa wydać Niemcom ojca i matkę, by tylko przeżyć i mieć jakieś widoki na uratowanie. W środku — masa zrezygnowanych i nędzarzy, zdychających codziennie setkami z głodu i chorób.

Pożegnanie było smutne. Starałem się Rozensztata pocieszyć obrzędowym niejako „do zobaczenia po wojnie”. Zaprzeczył głową: „Nie na tym świecie, kolego, już nie na tym świecie”. I miał rację.

Dzieci żydowskie.

Któregoś wieczoru wróciliśmy z Zosią do naszej kryjówki na Kolonii Staszica. Kładąc się spać, usłyszeliśmy przez okno głośny płacz dziecka: „Mame, mame...” Mimo mrozu uchyliłem okna i zaczęliśmy nadsłuchiwać. Z werandy sąsiedniej, opuszczonej willi, oddzielonej od naszego domu ogrodem i żywopłotem, rozlegał się przytłumiony płacz i drugi głos także dziecka: „Bądź cicho, bo przyjdzie Niemiec...” Upomnienie jednak nie skutkowało i głos: „Mame, mame...” zmieszany z płaczem, rozlegał się dalej. Domyśliliśmy się bez trudu, że to żydowskie dzieci, które zbiegły z ghetta. Dziesiątki ich krążyły po mieście, żebrząc i kryjąc się przed policją. Zosia wychyliła się przez okno i psyknęła. Płacz i głos ucichły, jak nożem uciął. Zosia zaczęła wołać cichym, łagodnym głosem: „Dzieci, posłuchajcie mnie, dzieci...” Nikt się nie odezwał, aż dopiero po kilku wołaniach, przestraszony głos zapytał: „A kto mówi?” — „Nie bójcie się nic. Za chwilę przyniesie wam ktoś coś do jedzenia i okrycia. Nic się nie bójcie, dobrze?” Tym razem słaby głos odpowiedział: „Dobrze, proszę pani”.

Zosia czym prędzej zebrała wszystko, co było w kuchni pod ręką. Ja wziąłem wojskowy, amerykański koc, jeszcze z Pierwszej Wojny Światowej, z gatunku tych nie do zdarcia i prześlizgnąłem się cicho przez drzwi wejściowe, by nie budzić właścicielki, śpiącej na parterze, która nie domyślała się nawet, jakie ptaszki u niej zimują. Z uwagi na nią oraz w naszej sytuacji, nie mogło być nawet mowy o zabranii dzieci do domu. Było już po godzinie policyjnej, toteż przesuwalem się, jak cień wzdłuż zaciemnionych domów, obchodząc cały blok dookoła.

Gdy doszedłem do furtki, zapytałem półgłosem: „Dzieci, jesteście tutaj?” Z drugiej strony furtki usłyszałem: „Tak, proszę pana”. Gdy wszedłem na palcach na werandę, zastałem tam czworo małych dzieci, z których najstarsze mogło mieć około dziewięciu lat, a najmłodsze pięć. Stały obok siebie, drżąc z zimna. Zapytałem: „Jesteście z ghetta?” — „Tak, proszę pana”, odpowiedział najstarszy chłopiec. — „A co z rodzicami?” — „Są w ghetcie. Nas wysłali, żebyśmy sobie trochę pojedli”. — „A co potem?” — „Jak dostaniemy trochę żywności, zaniesiemy rodzicom”

Uwierzyłem, gdyż dzieci rzeczywiście chodziły w tę i drugą stronę, przechodząc jakimiś dziurami przez mury ghetta. „Tu macie jedzenie, a tu koc. Owińcie się i śpijcie. Jak dłużej tu będziecie, będę wam wieczorem wynosił jedzenie”. Usłyszałem już więcej głosów: „Dziękujemy, proszę pana...”

Wczesnym rankiem rozległ się znów cichy głos: „Proszę pani! Proszę pani!” Zosia wyjrzała przez okno: „Czego chcecie, dzieci?” — „Czy nie moglibyśmy dostać trochę gorącej wody? A może troszkę mleka?” Drugi głos się oburzył: „Ty zwariowałeś! Możebyś chciał jeszcze gorące kakao?”. Zosia spojrzała na mnie: „Mam jeszcze gdzieś resztkę kakao i mleko. Zaraz je zrobię”.

Gdy Zosia po kwadransie wróciła, płakała jak bóbr: „Nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku. Żebyś ty widział, jak one piły to kakao i jak dziękowały!”

W ciągu paru dni widywaliśmy tę gromadkę, krążącą dalej po Kolonii Staszica. Najmłodszy chodził okryty olbrzymim kocem, który się włókł za nim po ziemi. Po paru dniach jednak koc zniknął. Zagadnałem najstarszego: „Co się stało z kocem? Mały marźnie”. Chłopak bardzo się zawstydił: „Zanieśliśmy do ghetta rodzicom na sprzedaż, bo głodni”.

Później nie przychodzili na nocleg, ale po kolonii krążyli po staremu, jacyś weselsi i lepiej wyglądający. I znów w przejściu zapytałem: „Dlaczego nie śpicie w willi?” Starszy trochę się zmieszał. Chciał odpowiedzieć, ale coś go powstrzymywało, wreszcie bąknął wymijająco: „Jest nam teraz lepiej”. Zosia przypadkiem wykryła tajemnicę polepszenia. Dziećmi zaopiekowała się bezdzietna sklepikarka z Filtrowej w ten sposób, że na noc chowała je w sklepie i odkarmiała. W dzień musiały sobie same dawać radę.

Kiedys jednak Zosia wróciła ze sklepu strasznie wzburzona: „Wyobraź sobie, sklepikarka się zapłakuje. Wczoraj, w biały dzień, dzieci natknęły się na patrol niemiecki i na miejscu zostały zastrzelone!”.

Powstanie w ghetcie.

19 kwietnia 1943 roku wybuchło powstanie w ghetcie. Cała Warszawa, mimo straszego terroru, jaki nad nią wisi i mimo, że każdego dnia giną w niej setki Polaków, zelektryzowana, wstrząśnięta, bezsilna i — dumna. Po całym mieście krąży wiadomość: nad murami walczącego ghetta powiewa sztandar polski i żydowski.

Staramy się dotrzeć jak najbliżej ghetta i organizujemy specjalną obsługę informacyjną powstania. Powoli koncentrują się w K.W.C. wiadomości ze wszystkich źródeł, dotyczące walk w ghetcie i depeche idą jedna za drugą. Jedna z naszych stacji pracuje w kamienicy na Marszałkowskiej, z otwartym widokiem na Pole Mokotowskie. Z dachu widać dymy i ogień nad ghettem i słychać huk wystrzałów. Wyglądamy z dymnika, Zosia, żyjący jeszcze wówczas Ziutek i ja, po czym wysyłamy depeche: „Z miejsca, gdzie pracuje radiostacja widać ogień i dymy nad ghettem i słychać kanonadę artyleryjską. Robi to straszne wrażenie”.

Za kilka godzin słyszymy, jak „Świt” nadaje audycję opartą na tej depeche, skonstruowaną w ten sposób, że speaker mówi o swych wrażeniach, gdy patrzy z okna radiostacji na płonące ghetto i widzi dymy oraz słyszy wystrzały. Gdy kontrolujemy tę audycję, jesteśmy sami wzruszeni dramatyczną opowieścią speakera, który — poznajemy to po głosie — jest także głęboko przejęty tym, co mówi. Patrzmy na siebie w milczeniu, ze smutną satysfakcją. Przerwywa je Zosia:

„Chyba jest im tam lżej umierać, gdy wiedzą, że o tym wie cały świat”.

Wszystkie załogi stacji mają w tym czasie szczególną świadomość swej odpowiedzialności. Cały mechanizm działa sprawnie i z poświęceniem. Zimne rachuby jednak mówią, że nadużywamy pracy i że Niemcy muszą nas wykryć i schwytać. Ale przychodzi z pomocą przysłowiowy „łut szczęścia” i kończy się tylko na „zamrożeniu” dwóch czy trzech lokali, do których Niemcy dotarli zbyt blisko samochodami goniometrycznymi, spostrzeżonymi na szczęście w porę. W rezultacie „Świt” jest w stanie podawać dzień po dniu wiadomości o przebiegu walk i doskonale opracowane przez ekipę zagraniczną apele i protesty.

Oto próbki depeesz, których tragicznej wymowy nie chcę popsuć żadnym komentarzem.

„21 kwietnia 1943. W ghetcie opór trwa. Całą noc sły-
chać strzały, wybuchy, miejscami pożary”.

„28 kwietnia 1943. W ghetcie walka trwa. Niemcy palą
dom za domem”.

„7 maja 1943. „Rzeczpospolita” z 6 bm. zawiera oświad-
czenie Pełnomocnika na Kraj, które piętnuje zbrodnie nie-
mieckie w ghetcie. Wyraża szacunek i współczucie dla Ży-
dów, którzy walczą i wzywa Polaków do pomagania tym,
co uciekli”.

„15 maja 1943. Od trzech tygodni trwa straszliwa ma-
sakra resztek ghetta warszawskiego. Ghetto pod przewod-
nictwem Żydowskiej Organizacji Bojowej broniło się bo-
hatersko z bronią w rękę i Niemcy użyli w walce artylerii
oraz broni pancernej. Bojowcy żydowscy zabili przeszło
trzystu Niemców, ranili około tysiąca. Niemcy wywieźli
i zamordowali lub spalili żywcem dziesiątki tysięcy Ży-
dów”.

„22 maja 1943. Wśród Niemców jest plotka, że odwo-
łany szef Gestapo w Warszawie, doktor von Sammern, zo-
stał skazany na śmierć za kompromitację Niemców przez
opór zbrojny w ghetcie”.

„9 czerwca 1943. Tajny Biuletyn Gospodarczy z 15 ma-
ja podaje, że w ghetcie w Warszawie spalono i wysadzo-
no sto tysięcy izb mieszkalnych, dwa tysiące lokali przemy-
słowych, trzy tysiące handlowych i kilkanaście fabryk. We
wrześniu 1939 zniszczono tylko 78 tysięcy izb mieszkal-
nych w całej Warszawie”.

„29 czerwca 1943. Wymordowano całkowicie ghetta
w Stanisławowie, Łukowie, Węgrowie i Żółkwi. W War-
szawie, po piwnicach i gruzach dogorywa dwa tysiące Ży-
dów. W nocy są jeszcze potyczki. Żydów z zagranicy Niem-
cy witają na stacji w Sobiborze z orkiestrą”.

W okresie powstania w ghetcie udałem się, jak zwy-
kle, na co tygodniową konferencję z Delegatem Rządu, wi-
cepremierem Janem Jankowskim. Szedłem do głowy Pol-

skiego Państwa Podziemnego z zachowaniem szczególnych ostrożności. Drogę na tak ważne spotkanie rozpoczyna konspirator zwykle od tego, że na przykład gdzieś na zakęcie ulicy, gdzie tramwaj zwalnia biegu, wskakuje w taki wóz, który idzie w przeciwnym niż trzeba kierunku. Wskoczwszy, obserwuje pilnie, czy kto inny nie zrobił tego samego. Jeśli nikt go nie śledzi, uspokojony zmienia tramwaj na inny, idący we właściwym kierunku, przy czym nie raz te czynności powtarza jeśli cokolwiek wydaje mu się podejrzane. Dużą rolę odgrywa tu jego samopoczucie w danym dniu. Nikt nie jest tak przesądny i wrażliwy na przeczucia, jak konspirator. Być może działa w nim instykt samozachowawczy, który często ratuje go przed aresztowaniem lub śmiercią.

Zastosowawszy cały przepisany arsenał ostrożności, dotarłem do mieszkania w podwórzu, przy ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Placu Zbawiciela. Delegat Rządu przywitał mnie, jak zwykle, ze spokojną życzliwością. Słuchał uważnie, gdy składałem raport z tygodniowych czynności K.W.C. Gdy po omówieniu bieżących spraw podniosłem się do wyjścia, coś sobie przypomniał:

„Ale, ale... Mam dla pana pewną wiadomość. Otrzymałem od przedstawicieli żydowskich organizacji podziękowanie za audycje „Świtu” o walkach w ghetcie. Przekazuję je więc pod właściwym adresem”.

Na stronie 7 swej bardzo znanej w Stanach Zjednoczonych książki „The Wall”, opisującej dzieje ghetta warszawskiego, John Hersey wspomina zagadkowo o podziemnej radiostacji „Świt”. Hersey zastanawia się nad tym, dlaczego bohater powieści, Levinson, na którego rzekomych pamiętnikach jest oparta książka Hersey'a, nic o tej stacji nie wspomina. Oto właściwy ustęp:

With all his thoroughness, Levinson must have had some prejudices or blind spots. How else account for some of the omissions from his notes? For instance, he never mentions the underground radio transmitter, which broadcasts even at the beginning of the final battle in the

ghetto under the call letters SWIT. He must have known about it. He must not have wanted to write about it. Why?

Z użycia przez Hersey'a „underground radio transmitter” wynika, że powodem jego zdziwienia było przeświadczenie, że „Świt” był w Polsce, zatem Levinson, rzekomy kronikarz ghetta, powinien był o nim wiedzieć i pisać.

Gdy w roku 1950 wyszła książka Hersey'a i przeczytałem cytowany ustęp, przesłałem mu do przejrzenia szkic opowiadania o „Świcie”. Odpowiedział listem z 14 czerwca 1950 roku, co następuje:

Dear Mr. Korbonski. Many thanks for sending me your article about SWIT, which I read with much interest. I certainly was under the impression—and many people still are—that this underground station was inside Poland.

Jak z powyższego wynika, benedyktyńska praca, jaką włożył Hersey w badanie olbrzymiego materiału, na którym oparł swą książkę, nie naprowadziła go na odkrycie tajemnicy „Świtu”. Natomiast potwierdziła, że „Świt” był słuchany w czasie powstania w ghetcie.

XI

P.P.R. — PŁATNE PACHOŁKI ROSJI

Hitler, Stalin dwa bratanki...

Tuż na samym początku okupacji, Stasiak Dubois przyniósł mi ciekawą nowinę: „Wanda Wasilewska jest w Warszawie! Jeździ po mieście luksusowym samochodem niemieckim, w towarzystwie eleganckich oficerów Gestapo. Stara się nawiązać kontakt z dawnymi znajomymi z P.P.S., ale jej się to nie udaje, bo po pierwsze, prawie wszyscy przeszli na „lewe” papiery i kryją się, a po drugie nie chcą jej widzieć. Odnalazła tylko paru ze starszego pokolenia, znajomych ojca, i od nich jest ta wiadomość”.

Nie byłem jednak nią tak podniecony jak Stasiak. Jak się oglądało w „Berliner Illustrierte” wspólne fotografie Stalina i Ribbentropa, lub sowieckich oficerów, ściskających dłonie hitlerowskich, gdzieś nad Bugiem, przy rozgraniczaniu zdobytych terenów, to mało co mogło człowieka zdziwić. Ciekaw jednak byłem bezpośredniego celu wizyty. „Ale po co konkretnie przyjechała? Rezedę wachać?”. Stasiak był dobrze poinformowany: „Cel wyraźnie handlowy, bo sprzedaż kamienicy po ojcu, czy coś takiego, i w ogóle sprawy spadkowe. W załatwieniu ich pomagają Niemcy”.

Po paru dniach już cała Warszawa mówiła o tym dowodzie przyjaźni sowiecko-hitlerowskiej. W sposób dla tego miasta tak bardzo typowy, ukuto z miejsca powiedzenie oparte na fakcie, że ojciec Wandy Wasilewskiej był prze-

wodniczącym Komisji Delimitacyjnej, która wraz z delegacją sowiecką przeprowadziła po Traktacie Ryskim wytyczenie granicy polsko-sowieckiej: „Co ojciec zdobył, córka oddała”.

Powoli komuniści zaczęli się ruszać, ale raczej niemrawo i w sposób, wskazujący na brak dobrej organizacji i kierownictwa. Widocznie dokonane przed wojną rozwiązanie polskiej partii komunistycznej zlikwidowało rdzeń partii i trzeba było wszystko zaczynać od początku. O pierwszych objawach ich działalności donieśli kolejarze. Ci, w wielu wypadkach starzy i doświadczeni działacze robotniczy, szybko się zorientowali, że to komuniści a nie kto inny propagują wśród nich hasła sprawnego transportowania dostaw, głównie ropy i żywności, idących z Rosji do Niemiec. Spekulowano na radykalizm kolejarzy i lansowano pogląd, że wojnę wywołali imperialiści i kapitaliści zachodni, by ujarzmić Niemcy i użyli do tego naiwnych Polaków. Hasło to jednak nie chwyciło, a wręcz przeciwnie, coraz więcej kolejarzy wchodziło w służbę polskiego podziemia i uprawiało słynny sabotaż kolejowy, na przykład, zakładanie po wagonach czasowych ładunków zapalających obliczonych tak, by pożar wybuchł wtedy, gdy transport znajdzie się już na terenie Rzeszy.

Z kolei, od dozorców więziennych z Radomia i innych miast przyszły jeszcze ciekawsze wiadomości: „Gestapo lokuje przejściowo w więzieniach transporty więźniów, idące z Rosji do Niemiec. Ludzie ci, mówiący między sobą po niemiecku, szukają kontaktu ze światem zewnętrznym i nie kryją tego, że są komunistami niemieckimi, którzy po przewrocie hitlerowskim uciekli z Niemiec do Rosji, a teraz ich Sowiety wydają Hitlerowi”.

Muszę się przyznać, że tej wieści nie chciałem wierzyć. Wiedziałem z podziemnego wywiadu, że między NKWD. i Gestapo została zorganizowana ścisła współpraca, między innymi wymiana informacji i materiałów, dotyczących polskiego podziemia a także aresztowanych, ale wydanie komunistów przez komunistów, to było zupełnie co innego. Jednak Stasiak, moje główne w tych sprawach źródło informacji, łatwo mnie przekonał: „Sam byłeś w Wiedniu i spotkałeś ludzi z dawnego *Schutzbandu*. Ci z nich, co uciekli do Rosji, zostali tam prawie wszyscy zlikwidowani.

To samo stało się z wieloma innymi zagranicznymi komunistami. A komunistyczny poseł do naszego sejmu, Dąbał, zgładzony w Rosji? A przecież na początku jego imieniem nazywano tam ulice! Jeśli ich stać na takie wyczyny, to dlaczego mieliby nie wydawać Hitlerowi niemieckich komunistów? To taki przekonywujący dowód przyjaźni!”

Że te pogłoski były oparte na prawdzie, dowiodły tego lata powojenne. Jakimś cudem uratowało się takich paru komunistów z piekła koncentraków i więzień i w prasie oraz książkach dali świadectwo prawdzie. Cały świat zdumiał się, dowiedziawszy się o tych kainowych wyczynach. Ale dziś, po likwidacji Berii, nie zdziwiłby się chyba wcale, gdyby się dowiedział np., że Malenkow, członek partii, zamordował Malenkowa premiera!

Pod koniec 1940 roku i w pierwszej połowie 1941, szepciana propaganda komunistyczna, szermująca już teraz sloganem wzajemnego wyniszczenia się świata faszystowsko-kapitalistycznego, działała na pełnych obrotach, przybierając również charakter propagandy przeciw polskiemu podziemiu, związanemu z „faszystowskim” rządem polskim w Londynie.

Wybuch wojny sowiecko-niemieckiej, w dniu 22 czerwca 1941 roku, całą tę akcję zastopował. Po układzie z 30 lipca 1941 roku, między rządem polskim i sowieckim, zaplanowało coś w rodzaju zawieszenia broni w akcji propagandowej przeciw polskiemu podziemiu. Komuniści dokonali zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni i rozpoczęli robotę antyniemiecką. Odrodziła się w tym czasie polska partia komunistyczna, pod nazwą Polskiej Partii Robotniczej (P.P.R.), która rozpoczęła organizację własnego antyniemieckiego podziemia. Było ono jednak niezwykle słabe i niezdolne do żadnych większych akcji. Wystarczy powiedzieć, że P.P.R. uznała za swój główny wyczyn bojowy w ciągu całej okupacji rzucenie granatu z ulicy, ze spacerującego tłumu, przez okno do kawiarni Café Club w Warszawie, na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, w której siedzieli żołnierze niemieccy nad szklankami piwa i kawy. Naturalnie, rzucający granat nic więcej nie ryzykował, niż dziesiątki przechodniów, wśród których zresztą natychmiast się ukrył bezpiecznie. Nie znam takiej akcji A.K., która byłaby zaplanowana w ten sposób, że całe jej ryzyko spadnie na

przechodniów. Tymczasem akcja na Café Club była i jest gloryfikowana przez komunistów do tego stopnia, że zrobiono z niej coś w rodzaju symbolu odwagi i bohaterstwa, podczas gdy w rzeczywistości była przedmiotem kpin podziemnej Warszawy.

Spotkanie z „marszałkiem” Żymierskim.

W okresie powstawania podziemia komunistycznego, zwrócił się do mnie przyjaciel ze Stronnictwa Ludowego z interesującą propozycją: „Czy nie chcielibyście spotkać się z generałem Żymierskim? Pragnąłby on przyłączyć się do naszego podziemia i chce na ten temat z wami porozmawiać”. W związku ze znaną w Polsce aferą, nie miałem zbyt wysokiego sądu o tym generale i wcale tego przed przyjacielem nie kryłem. Przedstawił na to gotowy argument: „Myślicie o sprawie „Protektu” i wyroku na Żymierskiego? Machnijcie na to ręką! Żymierski parę miesięcy temu poprosił trzy znane osobistości, by utworzyły sąd obywatelski i rozpatrzyły ponownie jego sprawę. Wydali oni orzeczenie całkowicie Żymierskiego oczyszczające. Uznali, że sąd państwowy działał pod naciskiem wrogiej mu sanacji i wyrok nie był niezależny”. Mimo to spotkania odmówiłem i rzecz cała poszłaby w zapomnienie, gdyby nie to, że w r. 1946 byłem u Żymierskiego wraz ze wspomnianym przyjacielem, by go prosić o wciągnięcie paru adwokatów-ludowców na listę obrońców wojskowych, aby mogli w ten sposób bronić członków własnego stronnictwa, sądzonych za „przestępstwa polityczne” przez sądy wojskowe, jedynie kompetentne w tych sprawach. Aby ratować ludzi, trzeba się było zmusić do pójścia.

Przybyliśmy na Klonową, do gmachu dawnego Generalnego Inspektoratu, lśniącego wprost po tylko co ukończonym remoncie. Wszędzie posterunki, mnóstwo kręcących się oficerów w mundurach, pretendujących już do pewnej elegancji, wtedy gdy komunistyczny fason obowiązywał do niedbałości, błyszczące posadzki, dywany, nawet jakieś obrazy i stara broń na ścianach. Rozejrzawszy się lepiej, doszedłem do wniosku, że wszystko to szaber z ziem odzyskanych. Gdy młody adiutant zameldował nasze przybycie, drzwi do gabinetu „marszałka” otworzyły się natychmiast

i najpierw wydefiniowało trzech „generałów”, z Zawadz-
kim, szefem departamentu personalnego na czele, a za nimi
ukazał się sam Żymierski w mundurze marszałka, witając
nas serdecznie i zapraszając do środka.

Gdy mu przedstawiłem naszą prośbę i złożyłem listę
proponowanych adwokatów, zgodził się natychmiast na
wszystko, prosił sprawę uważać za załatwioną i rozpoczął
rozmowę polityczną. W toku jej mój towarzysz, dla zre-
wanżowania się za szybką i pomyślną decyzję, ku memu
niezadowoleniu obdarzył Żymierskiego uprzejmym komple-
mentem, a mianowicie, że ruch ludowy żywi dla pana mar-
szałka przyjazne uczucia i jest pewien że pan marszałek
je odwzajemnia. Żymierski aż podskoczył na fotelu: „Zaw-
sze je miałem dla was i mam. A nie pamiętacie, jak się
zgłaszałem do waszych Baonów Chłopskich? Nie chcieli-
ście mnie wtedy przyjąć, a nawet widzieć się ze mną.
Nie chcieli także inni. Cóż miałem robić, ja, generał, w cza-
sie wojny, gdy kraj mój walczy z wrogiem? Poszedłem do
P.P.R. i to mnie zaprowadziło tutaj”. Żymierski szerokim
gestem ogarnął dawny gabinet marszałka Rydza Śmigłego.

Tak wyglądało najbardziej autorytatywne wyjaśnienie,
w jaki sposób P.P.R. uzyskała jednego ze swych czołowych
przywódców, a armia ludowa ukochanego wodza „legen-
darnego generała Rolę”.

A adwokatów ludowców, jak nie wpisano na listę ob-
rońców wojskowych, tak nie wpisano. Okazało się, że Ży-
mierski w tych sprawach nie miał nic do gadania. Decy-
dowało wyłącznie Ministerstwo Bezpieczeństwa.

Katyni.

Sytuacja zmieniała się radykalnie na wiosnę 1943 roku,
kiedy fala zwycięstwa przechyliła się na szalę Sowietów
i plany zagarnięcia przez nich całej Polski nabrały rumień-
ców. Teraz wypadki potoczyły się szybko naprzód. W dniu
1 marca 1943 powstał w Moskwie Komitet Patriotów Pol-
skich, jako przeciwwaga dla rządu w Londynie. W dniu 13
kwietnia 1943 roku radio niemieckie ogłosiło o odnalezie-
niu w Katyniu grobów pomordowanych oficerów polskich.
Krajem wstrząsnęła groza i rozpacz. Tysiące ludzi, kwiat
inteligencji polskiej, zamordowanych w bestialski sposób!

Całą Polskę ogarnęła żałoba i jak kraj długi i szeroki rozlegał się płacz.

Natychmiast zrodziło się pytanie, kto to zrobił? Niemcy wychodzili ze skóry, by dać na nie jak najszybciej i jak najbardziej przekonywującą odpowiedź. Zawieziono do Katynia delegacje z obozów jenieckich różnych narodowości, zawieziono z Polski ludzi, aby mogli groby obejrzeć, wreszcie publikowano dzień po dniu w polskich gadzinówkach wiadomości o odkrywaniu coraz to nowych grobów. Wszystko to wyglądało dość wiarygodnie, ale przecież mówili to Niemcy, a tym z reguły nie należało wierzyć. Wysyłałem wówczas do Londynu jedną depezę za drugą, podając wszystko, co ogłosili Niemcy, między innymi nazwiska osób, które z Polski zawieziono do Katynia i ich oświadczenia po powrocie, drukowane w gadzinówkach. Mimo, że wszystko odbywało się z inicjatywy i pod kontrolą niemiecką, zestawienia wiadomości, pochodzących od rodzin, z którymi jeńcy urwali w pewnym terminie korespondencję, określenie terytorialnego stanu posiadania wojujących stron w tym terminie itp., wszystko to wskazywało, że zbrodnię popełnili Rosjanie. Brak jednak było w dalszym ciągu zupełnie pewnych wiadomości. Natomiast nasuwała się wątpliwość: a nuż jest to genialnie zrobiona propaganda niemiecka?

W czasie mojej rozmowy z Delegatem zapadła decyzja, bym sam dotarł do jednej z osób, które były w Katyniu i zebrał wiadomości z pierwszej ręki. Dokonaliśmy przeglądu tych, którzy byli w Katyniu i postanowiliśmy wybrać taką osobę, która dawałaby gwarancję prawdziwości, bezstronności, no i bezpieczeństwa. Wykluczaliśmy z miejsca Józefa Mackiewicza i Ferdynanda Goetla, znanych z proniemieckich sympatii. Wybór padł na Kazimierza Skarżyńskiego, generalnego sekretarza Polskiego Czerwonego Krzyża. Został on zawieziony przez Niemców do Katynia w związku z tą jego urzędową funkcją.

Znajomy Skarżyńskiego i mój, Józef Wierusz-Kowalski, wziął na siebie zorganizowanie spotkania i na drugi czy trzeci dzień, w Banku na Jasnej, w pokoju biurowym, dokąd przyszedłem jako interesant, doszła do skutku rozmowa z wysokim, szpakowatym, świetnie prezentującym się mężczyzną.

Nie będę się silił na odtworzenie jej przebiegu. Powiem tylko, że obszerna, beznamiętna i obiektywna informacja, oparta na zaobserwowanych faktach, nie nastroczała żadnych wątpliwości: mordercami byli Rosjanie. W obecności Skarżyńskiego i innych, odkopywano nowe groby, w miejscach wyraźnie nietkniętych od długiego czasu. Przy nich wyjmowano z mundurów listy, nawet pamiętniki. Treść ich wskazywała, że do ostatniej chwili jeńców polskich mieli w swych rękach Rosjanie. Słuchałem opowiadania wstrząśnięty do głębi. Nie było przekleństwa, którego bym wówczas nie rzucił na Sowietów.

Po rozmowie pobiegłem najpierw do Delegata. Spodziewał się, że mój raport tak będzie wyglądał, jak został złożony, jednak łamał palce z hamowanej pasji, rozpacz i żalu, gdy powtarzałem zdanie po zdaniu otrzymane informacje. Gdy skończyłem, prosił mnie, by nadać do Londynu tyle wiadomości, na ile bezpieczeństwo radiostacji pozwala.

Od Delegata pobiegłem na stację. Tam już czekała Zosia, telegrafista i obserwator, uprzedzeni, że mogą być tego dnia alarmowe depesze. Patrząc prawie pół przytomnym (jak mi później powiedziano) wzrokiem, krzyknąłem: „W Katyniu mordercy Rosjanie! Rozmawiałem z człowiekiem, który tam był. Do roboty! Bez względu na ryzyko musimy dziś nadać depeszę ze sprawozdaniem”.

Tego i następnego dnia poszły depesze jedna za drugą. Na ich podstawie odezwał się spod Londynu „Świt” i oskarżył Rosjan po raz pierwszy o popełnienie zbrodni katyńskiej. Po zwróceniu się rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie o zbadanie morderstwa w Katyniu, w dniu 26 kwietnia 1943 roku Sowietów zerwały stosunki dyplomatyczne z rządem polskim.

Dla moich wspomnień epilogiem tej sprawy były zeznania Kazimierza Skarżyńskiego, złożone przed Komisją dla zbadania zbrodni katyńskiej, wyłonioną przez Izbę Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych, w których powołał się na złożone mi sprawozdanie.

Teraz nastąpiło na rozkaz sowiecki całkowite przestawienie się P.P.R. na walkę z „wrogiem wewnętrznym”, podziemiem „londyńskim”. Od tej chwili wszelkie akcje przeciw Niemcom prowadziła już tylko partyzantka sowiecka, zasilana zrzutami ludzi i broni z powietrza i kilkusetosobowe grupki Gwardii Ludowej, późniejszej Armii Ludowej. Natomiast P.P.R., jako partia i podziemna organizacja, otrzymała za zadanie walkę o wpływy na polskie społeczeństwo, słowem o jego duszę. Była ona prowadzona przez podziemną prasę komunistyczną, propagandę szeptaną itp., przy pomocy ogromnych środków pieniężnych i technicznych oraz wyszkolonych w Rosji instruktorów, wszystko to albo zrzucone do Polski na spadochronach, albo przetrzymane przez ruchomy front.

Z drugiej strony, zlecono P.P.R. spenetrowanie na wyłot polskiego podziemia i sporządzenie kartotek jego członków, organizacji itd. Kierowała tym specjalna komórka N.K.W.D., operująca już wówczas w okupowanej przez Niemców Polsce. Pod jej nadzorem cel został osiągnięty do tego stopnia, że w chwili wkroczenia na ziemie polskie armii sowieckiej, posuwające się za nią N.K.W.D. miało już lub otrzymało natychmiast do ręki cały materiał, umożliwiający aresztowanie tysięcy członków podziemia.

Jako przykład powiem, że pierwszy cios spadł na K.W.C. nie z rąk Niemców a N.K.W.D. Delegatura Rządu miała swój wywiad, który starał się spenetrować tajemnice Gestapo i administracji okupacyjnej, tak jak wywiad A.K. starał się zdobywać tajemnice wojskowe. Wywiad ten zresztą miał do mnie pretensję, że za dużo widać mnie na ulicach. Stąd prorokował szybkie aresztowanie. Nie godziłem się z tą opinią i twierdziłem, że znacznie więcej ludzi Gestapo aresztuje w lokalach konspiracyjnych, niż na ulicy.

Któregoś dnia, osiemnastoletnia łączniczka, Ela, miła, trochę jękająca się blondynka, niesłychanie pracowita i oddana robocie, poszła na lokal „Kulawego” z wywiadu Delegatury, przy ulicy Poznańskiej, i zginęła bez śladu, a z nią wszystkie osoby, które tam tego dnia poszły, z wy-

jątkiem jednej. Ta opowiadała później, iż po zapukaniu w umówiony sposób, drzwi się otworzyły i... znalazła się wobec wymierzonych rewolwerów. Przy drzwiach stało paru uzbrojonych cywilów, którzy ją zaprowadzili do pokoju, gdzie siedział „Kulawy”, Ela i parę innych osób. Została następnie zaprowadzona do innego pokoju i tam zrewidowana oraz poddana dłuższym badaniom. Zdumienie jej nie miało granic, gdy się przekonała, że cywile nie byli Niemcami, a badający mężczyźna mówił z towarzyszami po rosyjsku. Jakoś udało jej się nadać swemu przyjściu charakter przypadkowy, a że nic przy niej nie znaleziono, po paru godzinach badań została wypuszczona. Wszystkie inne osoby, w tym moja łączniczka Ela i „Kulawy”, zniknęły bez wieści, niewątpliwie wywiezione za miasto i zamordowane.

Późniejsze badania wykazały, że była to akcja rosyjskiego N.K.W.D. podjęta w chwili największego napięcia naszej walki ze wspólnym niemieckim wrogiem.

Komórka „A”.

Jaka była nasza kontrakcja i ile jest prawdy w zarzutach komunistycznych, że nasze podziemie mordowało komunistów? Każdy, kto spędził lata okupacji w Polsce, ten wie, że nasza anty-komunistyczna akcja, to jest tego podziemia, które uznawało władzę Delegata Rządu, ograniczała się wyłącznie do prasowej kontr-propagandy, napisów i nic więcej. Wszyscy pamiętamy wielkie litery, malowane na murach i płotach: „P.P.R. — płatne pacholki Rosji!” (Zresztą wyjątkowo udany slogan, który się wszędzie przyjął). Dopiero w połowie 1943 roku, a więc w czwartym roku okupacji, postanowiła Delegatura powołać do życia specjalną komórkę anty-komunistyczną, tak zwaną komórkę „A”, by koordynowała tę akcję. Stał na jej czele Franciszek Białas, którego przy tej okazji poznałem. Byłem obecny na kilku pierwszych posiedzeniach, na których były dyskutowane metody jakie należy stosować. Gdy ktoś podniósł kwestię likwidowania komunistów w odwet za współpracę komuny z Gestapo w pierwszym okresie, czego ofiarą padli Polacy, jeden głos w dyskusji wypowiedział się „za”, reszta (w tym również i mój) przeciw, i środek ten został odrzucony, jako „walka bratobój-

cza". W wyniku dalszych obrad postanowiono nastawić się na akcję propagandową, szczególnie na ulotki, których kilka rzeczywiście się ukazało. Tak wyglądało naprawdę „mordowanie” komunistów przez polskie podziemie!

Dziś, gdy rozpatruję te sprawy, nie żałuję, że nasze stanowisko było takie a nie inne. Udało nam się przynajmniej uniknąć walki wewnętrznej, która nie zmieniłaby w niczym przyszłości. Że to co piszę nie są czcze słowa udawadnia następujący przykład.

W czasie Powstania Warszawskiego wszyscy wybitni komuniści, poza Bierutem i tymi, co znaleźli się w Lublinie względnie udali się do Moskwy, byli w naszym zasięgu, ściśle mówiąc na naszej łasce i niełasce. Nikt chyba nie będzie kwestionował tego, że w mieście panowała niepodzielnie A.K. i Delegatura, które mogły ich wszystkich aresztować i zlikwidować bez śladu i bez obaw represji. Nikomu to jednak nawet do głowy nie przyszło i P.P.R., występując oficjalnie i jawnie, cieszyła się pełną swobodą.

Jakby w takim wypadku postąpili komuniści w stosunku do swoich przeciwników? Cele i podwórca więzień w Wilnie, Lwowie, Łucku i innych miastach polskich dały na to odpowiedź. Wszędzie w nich cofające się przed Niemcami N.K.W.D. wymordowało wszystkich więźniów politycznych!

XII

NOWI LUDZIE I PRACA

Konstruktor Ryszard.

Na Marszałkowskiej utraciliśmy wszystkie aparaty, zwieczione do naprawy, około trzystu lamp różnego rodzaju, nowy aparat foniczny w robocie, przyrząd do nagrywania płyt, narzędzia — słowem wszystko, prócz stacji przechowywanych w miejscach pracy i sprzętu, zatrzymanego na Politechnice. Stacje były na biegu i zapewniały nam nieprzerwaną łączność z Londynem. Często jednak powstawały w nich defekty, które trzeba było usuwać. Musiał się tym zająć jakiś fachowiec. Ziutek rozwiązywał te trudności znakomicie. Miał taką szczęśliwą rękę, że czasami tylko pszytknął palcem w aparat i ten zaczynał działać.

Rozglądałem się więc za innym konstruktorem i dostałem kontakt na inżyniera Ryszarda, pracującego w miejscach wodociągach i kanalizacji. Odwiedziłem go w biurze na Lindley'a i tam poznałem siwego, starszego pana po sześćdziesiątce, jednak w pełni sił, o uderzająco bladej, jakby woskowej twarzy. Ruchy energiczne i bardzo żywe, młode spojrzenie. Był uprzedzony, o co mi chodzi, toteż bez dłuższych wstępów doszliśmy do porozumienia. Najwięcej mnie interesowała produkcja aparatów, więc zapytałem go bez żadnych obłonek, czy potrafi sam zbudować radiostację i czy ma do tego odpowiednie warunki i narzędzia. Odpowiedział, że tak, przy pomocy znajomego technika. Peszył mnie trochę pobłażliwy uśmieszek, z jakim dawał wyjaśnienia. Niemniej pytałem dalej: „A gdzie pan

inżynier pracował przed wojną?" — „Różnie, w Ameryce Południowej, w Indochinach, także w Afryce”. Byłem tym zaskoczony, co widząc inżynier dodał: „Kształciłem się we Francji i Anglii i prawie całe życie budowałem elektrownie z ramienia wielkiej, zagranicznej firmy, w różnych częściach świata. Do Polski przybyłem na krótko przed wojną”.

Inżynier Ryszard rozpoczął pracę i już po paru tygodniach dostarczył pierwszą radiostację swojej produkcji. Nazywałem ją „Rysią”. Była niewielkich rozmiarów, o mocy około 50 watów i, jak twierdzili telegrafści, konstrukcja jej i obsługa były nader proste.

Po pewnym czasie skonstatowałem z zadowoleniem, że inżynier Ryszard jest pełen inicjatywy i nie potrzeba go popędzać. Poza tym, że jest punktualny, co w konspiracji było niezmiernie cenną zaletą. Niepunktualność w podziemnej robocie, to po prostu zbrodnia.

Przy ciągłych spotkaniach poznaliśmy się bliżej i z rozczuleniem stwierdziłem, że inżynier Ryszard traktuje mnie, a przede wszystkim Zosię trochę po ojcowsku. Wyczuwaliliśmy, że nas bardzo polubił. Odplącaliśmy mu się tym samym. Troszczył się ciągle o nasze bezpieczeństwo i upominał: „Bądźcie ostrożni i pamiętajcie o tym, że wy musicie doczekać wolnej Polski. Trzymajcie się mnie. Ja przynoszę ludziom szczęście”.

Nowy człowiek stwarza nowe możliwości, więc Ryszard wkrótce nadał radiotelegrafistę, Mirka, studenta Politechniki, młodego, mizernego blondynka, średniego wzrostu, o niezwyklej wprost odwadze i brawurze, którą musiałem stale temperować. Mirek zorganizował sobie własne lokale i założył swą główną bazę w mieszkaniu, przy ulicy Dolnej. Pracował z Londynem, jako stacja nr 71. Robota szła mu ciężko, gdyż był początkującym telegrafistą-amatorem, jednak zapał i poświęcenie wyrównywały braki.

Poznałem także w tym czasie młodego, trochę nieopanowanego w ruchach i nerwowego człowieka, o miłej, łagodnej twarzy, który błagał mnie prawie o wzięcie do roboty podziemnej: „Niech mi pan da jakąkolwiek pracę. Będę robił wszystko, co pan każe. Mogę być łącznikiem, posłańcem, posługaczem, w ogóle każdego rodzaju popychadłem. Ja tak zawsze chciałem się dostać do roboty

konspiracyjnej i nie mogłem na nikogo trafić, kto by mnie mógł wprowadzić!". Nie miałem serca mu odmówić, więc został poszukiwaczem lokali. Miecio, gdyż takie dostał pseudo, był bardzo przejęty tą funkcją i z zapałem zabrał się do biegania po mieście. Już po kilku dniach miał dla mnie dobrą wiadomość: „Mam mieszkanie! Ale wie pan u kogo? U fachowego telegrafisty!” — „A czy nie chciałby on u nas pracować?” — „Marzy o tym, ale nie śmiałem tego nawet proponować”.

Dostaliśmy więc i nowego telegrafistę, którego ochrzciłem imieniem Gienio. Był to wysoki mężczyzna, blondyn w średnim wieku, o szczupłej, wychudzonej twarzy, tak jak Miecio nerwowy i pobudliwy. Palił się ogromnie do roboty i pragnął jak najszybciej pracować. Gdy go połączyliśmy z Londynem, siedział po całych nocach przy stacji, która otrzymała nr 50. Krytykowałem tę jego nadmierną gorliwość, ale wkrótce pogodziłem się z tym, gdyż stacja na której pracował Władek i Marcin, miała tylko trzy lokale, zaś początkujący Mirek pracował na zmianę tylko z dwóch. A w tym właśnie czasie spadło na Polskę wielkie nieszczęście. Generał Władysław Sikorski zginął w tragicznej katastrofie w Gibraltarze. Na odcinku radiowym objawiło się to niezwykle napływem depech w jedną i drugą stronę. Załatwił to przeważnie Gienio, który wręczał pliki odebranych lub wysłanych depech z niezmiernie zadowoloną miną.

Objawił nam się w tym czasie nowy talent. Był nim już wspomniany poprzednio robotnik Rafał, człowiek w średnim wieku, o miłych, szlachetnych rysach twarzy. Ten znów był spokojny i opanowany. Wyczuwało się w nim wielką solidność i bardzo głęboki stosunek do tych wszystkich zagadnień, które każdy przeciętny Polak musiał w czasie okupacji sam sobie rozwiązać. Wprowadzony do roboty, jako obserwator, tak się nią przejął, że zaczął z własnej inicjatywy szukać lokali, dopomagał mi w innych sprawach i nawet roztaczał swego rodzaju opiekę nad Władkiem i Marcinem, którzy byli ludźmi obcymi w Warszawie i nie zawsze dawali sobie ze wszystkim radę. Zaprzyjaźnił się z nimi bardzo i tworzyli razem zgraną trójkę pracującą bardzo wydajnie. Ocenilem to odpowiednio i po dyskretnym wybadaniu Marcina i Władka,

mianowałem Rafała kierownikiem stacji, która otrzymała nr 43.

Mieliśmy więc obecnie nowy warsztat u Ryszarda i trzy stacje, odizolowane od siebie całkowicie. Ludzie z jednej stacji nie znali pracowników z drugiej i na lokale jednej stacji nigdy się drugiej nie wprowadzało. Cały zespół pełen zapału, wszyscy dobrzy Polacy i patrioci, pragnący walczyć z Niemcami. W tym okresie uzyskaliśmy najwyższy poziom organizacyjny i sprawność techniczną, które utrzymaliśmy, mimo dalszych ciosów, do Powstania Warszawskiego. Ocenił to również Londyn, który w nadesłanych drogą zrzutową uwagach na temat łączności radiowej, stwierdził: „Najlepszą stacją z jaką pracujemy jest nr 43”.

Praca na stacji.

Atmosfera stacji miała w sobie zawsze coś podniecającego. Nie byłem technikiem i możliwość natychmiastowego skomunikowania się przy pomocy małego pudełka i kawałka drutu z miejscem, odległym o tysiące kilometrów, w którym koncentrował się jeden z głównych ośrodków dyspozycji politycznej i wojskowej w toczącej się wojnie, było to coś, co mnie urzekało. Chętnie przebywałem na stacji, tym bardziej, że działało to dobrze na telegrafistów, którzy przy pracy nie lubili być sami w pokoju. Wyczuwałem zawsze napięcie, gdy zbliżała się godzina pracy i gdy, po nastrojeniu aparatu, telegrafista nakładał słuchawki i kładł rękę na klucz. Denerwowałem się tak jak on, gdy nie słyszał wołania, ani odpowiedzi stacji londyńskiej. Przeklinałem razem z nim, gdy odwracał się do mnie i ze złością krzyczał (wszyscy telegrafiści ze słuchawkami na uszach pokrzykują, choć im się zdaje, że mówią normalnym głosem): „Ten drań znów się spóźnia. Nie ma go jeszcze”.

Nasze stacje były punktualne co do minuty. I bardzo rzadko się zdarzało, że telegrafista londyński się spóźniał, albo pracował z inną stacją i nie odzywał się do naszej. Jeśli się to jednak zdarzyło, nasz po prostu się wściekał: „Poszedł łobuz na wódkę, lub z dziewczynką do kina i się spóźnia! Przyjdzie potem, zdejmie rękawiczki (ta ostatnia wyimaginowana czynność zawsze najwięcej go obu-

rzała), siądzie do aparatu i odwali swoje parę godzin, a ty się, człowieku, męcz bez końca! Najgorsza rzecz to taki urzędnik, co pracuje za pensję". Ale oto Londyn wołał i złość natychmiast zniknęła. Oczywiście, kolega z Londynu w wyszukany sposób i bardzo gorąco tłumaczył powody opóźnienia. „No, dobrze już dobrze...” — mruzczał pod nosem nasz, całkowicie udobruchany i rozpoczynał pracę. Ale niech tylko londyńczyk zapomniał o przeprosinach! Biada mu wówczas! Pierwsze, co usłyszał, było pytanie: „Dlaczego się spóźniłeś? Proszę o punktualne rozpoczęcie pracy!...” i za tym szły w eter jakieś niecenzuralne skrót.

Nadawanie była to ciężka i żmudna praca. Telegrafista miał przed sobą kolumny cyfr uszeregowane w grupy, po pięć cyfr każda. Ileż to razy musiał część depezy, a nawet całość powtórzyć dwukrotnie lub nawet trzy razy, nim Londyn ostatecznie pokwitował odbiór. A w międzyczasie zgrzytało mu w słuchawkach i wołał: „O, słyszę, jak mnie gonia wymierzał!” Bardzo się przejmowałem nastrojem telegrafistów przy pracy. Byli zawsze podnieceni robotą, a gdy czuli, że ich gonia mierzy, dołączała się do tego obawa, od której żaden chyba człowiek nie byłby na ich miejscu wolny. Męczyli się bardzo, gdyż praca wymagała dużego skupienia i nie raz wstawali od aparatu mokrzy od potu.

Musiałem baczyć, by stacje nie pracowały za długo. Praktyka nasza poszła w tym kierunku, że przeciętne trwanie seansu wynosiło dwie godziny, w ciągu których telegrafista nadawał dwieście do trzystu grup i odbierał znacznie większe ilości. Gdy o tych sprawach mówiłem po wojnie z fachowcami, łapali się za głowy ze zdziwienia, mówiąc, że radiostacje podziemne francuskie miały dozwolone tylko kilka, co najwyżej kilkanaście minut pracy. Mała nasza przelotność nie zaspakajała zapotrzebowania władz podziemnych i na tym tle powstawały scysje i pretensje. Chroniłem jednak łączność, jak mogłem, mając to głębokie przeświadczenie, że gdybyśmy wysyłali tyle depezy, ile od nas żądano, wszystkie stacje wpadłyby w ciągu jednego tygodnia. Przeciętny człowiek z podziemia wiedział coś niecoś o niebezpieczeństwie grożącym radiostacjom, ale w gruncie rzeczy nie zdawał sobie sprawy z tego jak może być ono nagłe i wielkie. Zmuszałem się więc w tych spr-

wach do bezwzględności, ostro występując przeciwko niepotrzebnemu gadulstwu. Na szczęście każdy z Delegatów to rozumiał i udzielał mi swego poparcia.

Było jednak rzeczą zrozumiałą, że wszystkie ograniczenia musiały odpaść, gdy jakaś depeza była niezwykle pilna lub dużej wagi. Wówczas szliśmy na wszelkie ryzyko, do utraty stacji i ludzi włącznie. W takich razach informowałem z góry pracowników o konieczności wysłania depezy bez względu na niebezpieczeństwo i sam szedłem na stację a Zosia na obserwację uliczną.

Dużym ułatwieniem naszej pracy było zorganizowanie przez Londyn tzw. „nadawania w powietrze”. Londyn, o umówionym co do minuty terminie, rozpoczynał nadawanie depezy na aparacie o dużej mocy, telegrafując każdą grupę w wolnym tempie, po dwa razy. Warszawa uruchamiała tylko odbiornik i nie odzywając się wcale, odbierała depeze. Na najbliższym, normalnym seansie, Warszawa kwitowała odbiór depezy, po ewentualnym zażądaniu poprawek, jeśli nasz telegrafista nie usłyszał jakiegokolwiek części depezy. Oczywiście przy odbiorze z powietrza, żadne niebezpieczeństwo ze strony gonii nam nie groziło.

Jeśli aparat nie miał defektu, jeśli słyszalność była jaka taka, jeśli obserwatorzy nie wszczęły alarmu, jeśli w Londynie siedział przy pracy dobry telegrafista, a nasi rozróżniali dobrze w garniturze londyńskim wykwalifikowanych od początkujących (O, psiakrew! Dzisiaj siedzi ten żółtdziób, któremu trzeba wszystko powtarzać dwa razy!), słowem — jeśli się spełniły te cztery „jeśli”, wówczas co najpilniejsze depeze zostały wysłane i odebrane.

Po skończonej pracy, telegrafisci się żegnali i we wszystkim co mówili teraz londyńczycy, nasz pracownik wyczuwał serdeczną troskę o niego, uznanie dla jego pracy i odwagi. Widziałem, jak im się twarze rozjaśniały i jak rozbrojeni zupełnie, notowali na bloku, ocierając spocone czoła: „Dziękuję ci bardzo, doskonale mi się dzisiaj z tobą pracowało. Pozdrawiam cię serdecznie... wywołam cię jutro o tej samej godzinie”.

A kiedy nadchodziły święta Bożego Narodzenia, Nowy Rok lub Wielkanoc, nasze załogi otrzymywały z Londynu tak czułe depeze z życzeniami, tyle wyrazów uznania, że trudno było ludziom opanować wzruszenie. Pierw-

szy zwykle w takich razach przychodził do siebie Marcin i mówił swoim kresowym akcentem: „Nie ma co mówić, to są porządne chłopaki. Chodźmy na jednego, trzeba wypić ich zdrowie!”

Depesze.

Stacje nasze obsługiwały Delegaturę Rządu, Stronnictwo Ludowe, a na żądanie także inne stronnictwa i organizacje. Otrzymywaliśmy od nich depesze, zaszyfrowane własnym ich szyfrem, który nie był nam znany i przekazywaliśmy im odebrane. Inny zupełnie charakter posiadało obsługiwane przez naszą komórkę Kierownictwa Walki Cywilnej. Ponieważ funkcje kierownika W.C. i kierownika organizacyjnego naszej łączności radiowej pełniłem ja sam, zatem nic dziwnego, że nasza komórka obsługiwała przede wszystkim K.W.C. Ponieważ przy tym ta koncentracja funkcji w jednym ręku skracala i upraszczała kontakt K.W.C. ze stacją, pozwoliło to nam na błyskawiczne informowanie Londynu, a przez to całego świata, o wydarzeniach w stolicy i w Polsce.

Typowym przykładem takiej informacji były depesze, wysłane w południe w dniach 15, 16 i 17 stycznia 1943 roku z Warszawy, które dały możność rządowi polskiemu codziennego informowania korespondentów pism londyńskich i zagranicznych o odbywających się w tych samych dniach łapanek w Warszawie, na Pradze i na Saskiej Kępie. Oczywiście i radio brytyjskie i „Świt” nadawały tego samego wieczoru nasze informacje na cały świat, a my słuchaliśmy tego z całą satysfakcją w Warszawie.

Nasz rekord szybkości, obejmujący odebranie depeszy z Londynu, rozszyfrowanie, ułożenie odpowiedzi, zaszyfrowanie jej i nadanie, wyniósł godzinę czasu i został osiągnięty w następujących okolicznościach.

Stacja nasza dnia tego pracowała w domu blisko skrzyżowania ulic Tamki i Kopernika. Londyn rozpoczął nadawanie depeszy alarmowej, wobec czego obecna na stacji Zosia odpisywała natychmiast kolumny cyfr spod ołówka odbierającego depesze telegrafisty i zaraz je odszyfrowywała. Alarmowa depesza zawierała pytanie, czy skoczkowie spadochronowi, a wśród nich kurier rządowy,

Bronek, już dotarli do Warszawy. Londyn nie otrzymał bowiem z właściwej komórki wojskowej żadnych w tej sprawie wiadomości, a ponieważ skoczkowie byli zrzućeni w Polsce kilka dni temu, więc obawiał się o ich los.

Tak się złożyło, że tego samego dnia rano miałem już spotkanie z Bronkiem, który tylko co przybył do Warszawy wraz z resztą skoczków wojskowych. Niezwłocznie poddyktowałem odpowiedź: „Bronek cały i zdrow, jest już wraz z resztą skoczków w Warszawie”. Depesza została w ciągu kilku minut zaszyfrowana, a w ciągu następnych kilku wysłana. Jeszcze tego samego dnia odebraliśmy podziękowanie za błyskawiczną wiadomość.

Z tych względów byliśmy na swój sposób uprzywilejowani wśród ludzi z konspiracji. Oglądaliśmy bowiem, a właściwie wysłuchiwalismy prawie natychmiast rezultatów naszej pracy. Dlatego też, gdy prasa i radio alianckie podawały wiadomości oparte na depeszach K.W.C., ogarniało naszych pracowników uczucie głębokiego zadowolenia. Telegrafisci, orientując się, że to oni nadali odpowiednie depesze, zacierali ręce: „Podoba nam się ta robota. Cały świat wie, co się tutaj dzieje. Szkopów cholera bierze, muszą się wściekać!”

Depesze K.W.C. to najlepsza kronika całej okupacji. Zyskały one sobie wiarę i zaufanie zagranicy i były powtarzane przez radio i prasę całego świata, który wstrząsał się od grozy i oburzenia na wieść o tym, co się w Polsce dzieje. Mam prawo przypuszczać, że miały one pewien wpływ na rozpoczęcie przez aliantów rejestracji zbrodni niemieckich. Informowaliśmy o niezliczonych aktach terroru i to zarówno publikowanych przez Niemców przy pomocy plakatów, jak również dokonywanych w tajemnicy. Wiadomości o tych ostatnich uzyskiwało K.W.C. drogą konspiracyjną, np. z Pawiaka i obozów w Oświęcimiu i Majdanku. Podawaliśmy wiadomości o niezliczonych aresztowaniach, rozstrzeliwaniach, morderstwach i torturach. Straszliwa masakra, przeprowadzona przez Niemców przy pomocy publicznych egzekucji, w miesiącach od października 1943 do marca 1944, kiedy to kilka tysięcy ludzi zostało rozstrzelanych na ulicach Warszawy, czerwonych od plakatów zawierających długie listy z nazwiskami pomordowanych — to oddzielny dział w pracy naszej ko-

mórki. W ciągu przeszło czterech lat wysłaliśmy wiele tysięcy depesz, odebraliśmy znacznie więcej. Najbardziej utkwily mi w pamięci trzy depesze.

Jednego poranka Cesia wręczyła mi list od kobiety-więźnia z Ravensbrück. Z uczuciem nabożeństwa wziąłem do ręki prawie zwęglone na skutek podgrzewania kartki papieru, na którym wystąpił atrament „sympatyczny”. Z trudem odczytywałem ukryty tekst i włosy stanęły mi na głowie z przerażenia. Donosił on w spokojny i rzeczowy sposób o doświadczeniach, przeprowadzanych na kobietach i podawał nazwiska ofiar. Natychmiast poszła depesza o „królikach” z Ravensbrück, a list został przekazany Delegaturze dla wysłania zagranicę.

Innym razem spotkał się ze mną pracownik Elektrowni w Pruszkowie i opowiedział o podsłuchanej, telefonicznej rozmowie, jaką przeprowadził *Treuhändler* Elektrowni, *Obergruppenführer* S.A., nazwiskiem Führer (stąd je tak dobrze pamiętam), z jakimś nieznanym niemieckim przyjacielem. Brzmiała ona bardzo interesująco: Führer mówił: „Pożycz mi na jutro swego samochodu, bo mój się zepsuł”. — „A na jak długo?” — „Chyba na dwa dni, bo muszę pojechać w kierunku północno-wschodnim jakieś trzysta kilometrów, a tam są złe drogi”. — „Nie jest mi to na rękę”. — „Musisz mi pożyczyć, bo jadę do *Führerhauptquartier* (kwatery głównej Hitlera) w ważnej sprawie”. — „Jeśli tak, to dobrze”.

To mi wystarczyło. Przedepeszowałem cały tekst rozmowy, bez zmian, Londynowi i otrzymałem podziękowanie. Po wojnie, można było w Polsce oglądać miasto bunkrów w lasach pod Kętrzynem, w kierunku i odległości od Warszawy, podanych w depeszy.

Wreszcie, drogą organizacyjną Walki Cywilnej, dostałem wiadomość kilkakrotnie z biegiem czasu potwierdzaną, że w pewnej okolicy, częściowo wysiedlonej, spadają pociski, które wybuchają z fantastyczną siłą. Po wybuchu zjeżdża żandarmeria i zbiera wszystkie odłamki i resztki. Zachowanie się Niemców wskazuje, że są to ich własne pociski, z którymi robią doświadczenia.

Wysłałem kilka depesz w tej sprawie, ani na chwilę nie przypuszczając, że chodzi tu o pocisk raketowy „V-1” który odgrywał taką rolę w planach niemieckich.

XIII

JEDNOŚĆ W WALCE

Kierownictwo Walki Podziemnej.

Zacząłem się od tego, że na jesieni 1942 roku przeczytałem w „Biuletynie Informacyjnym” komunikat o pewnej akcji anty-niemieckiej, podpisany „Kierownictwo Walki Konspiracyjnej”. Byłem tym nieprzyjemnie zaskoczony. Rzuciło się w oczy podobieństwo nazwy z K.W.C. Różnica między „walką cywilną” a „walką konspiracyjną” nie była zbyt uchwytna. Nowa nazwa przez swe podobieństwo z K.W.C. wyglądała wyraźnie na tak zwaną „nieuczciwą konkurencję”. Po paru godzinach wiedziałem już, że komunikat był wydany przez Komendę Główną A.K. i firmował akcję Kedywu.

Z tego powodu powstało i w sferach podziemnych i w społeczeństwie, które czytało prasę konspiracyjną pewne zamieszanie. Dlaczego obok istniejącego od roku K.W.C., nagle wyłonił się nowy ośrodek kierowniczy? Gdy nadto ukazał się komunikat o wykonaniu wyroku śmierci, wydanego przez podziemny sąd, podpisany przez Kierownictwo Walki Konspiracyjnej (K.W.K.), zamieszanie pogłębiło się jeszcze bardziej. W tej samej prasie figurowały obecnie komunikaty o wykonaniu wyroków śmierci, noszące dwa różne podpisy: K.W.C. i K.W.K. Do tego jeszcze trzeba dodać, że dla Delegata, Delegatury i dla mnie, wyłonienie się nowego ośrodka i nazwy było zupełną niespodzianką.

Należało rzecz całą wyprostować i zacząłem wobec tego od generała Roweckiego, któremu przypomniałem, że najpierw byłem przez niego mianowany pełnomocnikiem dla spraw Walki Cywilnej, a dopiero później przez Delegata Ratajskiego i że K.W.C. jest tak samo organem A.K., jak Delegatury oraz że w tych warunkach należało w pierwszym rzędzie konsultować Delegata samego, a w każdym razie uprzedzić mnie. Rowecki był wyraźnie zaambarasowany. Początkowo dawał wymijające odpowiedzi, lecz gdy nie ustępowałem, żądając wyjaśnień, uderzył w ton zupełnej szczerości: „W moim sztabie mam bunt z powodu K.W.C. Przyznaję, że narodziło się ono, jako wspólny organ A.K. i Delegatury, ale wy właśnie ucywilniliście je do tego stopnia, że nawet ludzie którzy z A.K. poszli do K.W.C. stracili kontakt duchowy z macierzystą formacją i stali się entuzjastami K.W.C. (Tu Rowecki wymienił kilka nazwisk). „Mam duże uznanie dla waszej roboty, ale rozgłos, jakiego ona nabrała, powiększany przez wasze komunikaty, ogłaszane w prasie podziemnej i radio alianckim, psuje krew dowódcom Kedywu, którego akcje przechodzą niespostrzeżone i nieznanne ogółowi. Z tego względu powołałem do życia K.W.K., które będzie odąd kierowało akcją Kedywu i ją firmowało”.

Nie zostałem tym bynajmniej przekonany i zarzuciłem, że Komenda Główna jako taka mogła ogłaszać i podpisywać odpowiednie komunikaty i nie było wcale potrzeby nadawania Komendzie Kedywu nowej nazwy, wyraźnie skierowanej przeciw K.W.C. Bez żadnej ceremonii oświadczyłem, że widzę w tym chęć pomniejszenia K.W.C. przez stworzenie jak gdyby konkurencyjnego ośrodka, co wszystko jest podyktowane ambicją Komendy Głównej zmonopolizowania całości podziemnej walki. Generał Rowecki zaprzeczał i tłumaczył, lecz jakoś mu to nie wychodziło.

Gdy z kolei przedstawiłem sprawę Delegatowi Jankowskiemu, zgodził on się całkowicie z moją oceną, a że dalsze trwanie dwoistości, to jest K.W.C. i K.W.K. obok siebie, mogło wyrządzić poważniejsze szkody, postanowił zażądać od generała Roweckiego zlikwidowania K.W.K.

Po pewnym czasie zostałem wezwany do Delegata na rozmowę. Od razu zauważyłem, że jest nieco zasepiony.

Przystąpił z miejsca do rzeczy: „Z rozmowy z Grottem wyniosłem wrażenie, że pan ma rację. Niestety, Grot odmawia kategorycznie likwidacji K.W.K., natomiast proponuje fuzję K.W.C. i K.W.K. w jedno ciało, pod jego osobistym kierownictwem. Składałoby się ono z pięciu osób, w tym pan, jako mój przedstawiciel i zarazem Kierownik Walki Cywilnej, która przybrałaby nazwę Oporu Społecznego. Prowadzilibyście nadal swą działalność bez żadnych ograniczeń, tyle tylko że w ramach i pod firmą nowego ośrodka, który by przybrał nazwę Kierownictwo Walki Podziemnej (K.W.P.). Jak się pan na to zapatruje?” Odpowiedziałem bez namysłu: „Pan Delegat zdaje sobie sprawę, że z organizacji wchodzących w skład Delegatury, bezpośrednią walkę z Niemcami prowadzi tylko K.W.C., tak jak w A.K. — Kedyw. Jeśli pan Delegat odda K.W.C. pod kierownictwo Komendanta A.K., będzie to oznaczało całkowitą militaryzację i monopolizację aktualnej walki przez wojsko. Czy pan myśli, że nasze masowe podziemie, które śmiało możemy nazwać narodowym, dobrze na tym wyjdzie, jeśli wszystkie sukcesy w walce zapisze sobie na dobro tylko Komenda Główna? Pomyślmy też trochę o przeszłości i przyszłości”. Delegat przytaknął: „Godzę się z tym. Mimo to jednak ja chcę przyjąć propozycję Grota, by kosztem ustępstw w sprawach mniej ważnych w hierarchii, uzyskać załatwienie po mej myśli spraw dla Delegatury i przyszłości ważniejszych. Jak pan wie, od samego prawie początku podziemia, wojsko zaczęło organizować tak zwaną administrację zastępczą, to jest kadry cywilnych urzędników, którzy obejmą administrację całego kraju po uwolnieniu. Od wielu miesięcy żądam od Grota, by tę administrację przekazał Delegaturze, gdyż to nie należy do kompetencji Komendy Głównej, a poza tym Delegatura organizuje własne kadry przyszłej administracji i sądownictwa. I tutaj powstała szkodliwa dwoistość, którą pragnę zlikwidować. Niestety, toczące się dłuższy czas pertraktacje, nie dały rezultatu. Ja myślę, że niebezpieczniejszą dla naszej przyszłości będzie zmilitaryzowana cywilna administracja rządząca krajem po wyzwoleniu, niż zmilitaryzowanie walki przeciw Niemcom. Chcę więc zaproponować Grotowi, że wzamian za przekazanie Delegaturze administracji zastępczej, zgodzę się na oddanie pod jego ko-

mendę K.W.C. Nie chciałem jednak tego zrobić bez porozumienia się z panem”.

Cóż miałem robić? Delegat miał rację. Kto po wyzwoleniu będzie miał w swym ręku administrację kraju, ten będzie rządził, a przede wszystkim organizował wybory. W ten sposób „stryjek zamienił siekierkę na kijek” i po przyjęciu przez Grotą propozycji Delegata, powstało Kierownictwo Walki Podziemnej, o czym społeczeństwo zostało poinformowane łączną odezwą Delegata i Komendanta, z 5 lipca 1943 roku.

Tak wyglądały kulisy wydarzenia, którego zewnętrzną fasadę pięknie pokrył bronzem, ale tak niedokładnie przedstawił tom III wydawnictwa Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej, pt. *Armia Krajowa*. Pytam teraz siebie, czy dobrze robię odsłaniając te kulisy? Myślę, że rzucą się na mnie ci wszyscy, którzy uważają, że wszystko, co związane z historią podziemia musi być drukowane tylko złotymi czcionkami. Ja sądzę jednak, że podziemie polskie odegrało tak wspaniale swoją rolę w teatrze minionej wojny, że nic mu nie zaszkodzi wzmianka o tym jak aktorzy zachowywali się w garderobie, przed wyjściem na scenę. A prawda o podziemiu zyska na tym wiele i tylko ona ma wartość istotną. Ważne jest to, że rywalizując ze sobą w walce z okupantem — jakże często o miejsce przed plutonem egzekucyjnym — byliśmy w stanie osiągać porozumienie i bić jeszcze mocniej wroga.

Działalność K.W.P. ()*

Znalazłem się w ten sposób w ciele, które istotnie trzeba nazwać mózgiem całej naszej walki przeciw Niemcom od połowy 1943 roku. Składało się ono z pięciu osób. Na czele stanął generał Bór-Komorowski, gdyż Grot-Rowecki, ku niewymownemu nas wszystkich żartowaniu, został schwytany przez Gestapo w dniu 30 czerwca 1943, w jednej ze swych kryjówek przy ulicy Spiskiej 14 i natychmiast wywieziony do Berlina. Niemcy obawiali się bowiem, że

(*) Tom III Wydawnictwa *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej* pt. *Armia Krajowa* opisuje organizację i akcję K.W.P. na stronie 459 i dalszych. Czyni to również generał Bór w swej książce pt. *Armia Podziemna* na str. 115 i dalszych.

zdesperowane podziemie pójdzie na wszelkie szaleństwa, by go odbić. Odczułem ten cios osobiście bardzo, gdyż polubiłem ogromnie męskiego, odważnego i prostego w stosunkach Grota, którego karierę podziemną obserwowałem od samego początku do końca. Często znajdował on się w sytuacjach bardzo trudnych, na przykład gdy ukrywający się w Warszawie, marszałek Rydz-Smigły zażądał od niego spotkania. W Grocie ważyło się uczucie lojalności w stosunku do nieszczęsnego Naczelnego Wodza, ze świadomością, że takie spotkanie może popsuć stosunki między nim a Naczelnym Wodzem, generałem Sikorskim i podważyć jego zaufanie do A.K. Poszedł za głosem rozsądku i spotkania odmówił, za co, moim zdaniem, nie powinien być potępiany. Jak głosi legenda, Rydz-Smigły krążył niepoznawany całymi dniami po mieście, rozpytując przygodnych ludzi o samego siebie. Opinie, które otrzymywał rzekomo go zabiły. Umarł w Warszawie, pochowany tam konspiracyjnie. Straszny to obraz, gdy były naczelnny wódz błąka się w przebraniu po ulicach zniszczonej stolicy, wędrując od jednego miejsca dawnej sławy do drugiego. Może czuł za sobą cień Piłsudskiego, szepczący oskarżenia? Ta postać i jej dramat w okupowanej Warszawie, po ucieczce z Rumunii, czekają na swego Żeromskiego.

Generała Bora poznałem już w 1940 roku w Krakowie, w czasie jednej z mych rzadkich wycieczek do tego miasta. W skromnym ubraniu, szary i nie zwracający uwagi, niczym się nie różnił wyglądem od tych ludzi, na lokalu których pierwszy raz go spotkałem. W K.W.P. był spokojnym i taktownym przewodniczącym, nigdy nie tracącym równowagi i z niezawodnym instynktem wybierającym z kilku propozycji właściwą.

Po nim z kolei szedł szef sztabu A.K. i zastępca Komendanta Głównego, generał Pełczyński (pseudo Grzegorz), postać w A.K. dotychczas niedoceniona. Doskonały organizator, szef sztabu już za Grota, współtwórca A.K., umysł jasny o żywej inteligencji, najłatwiej rozumiał moje „cywilne” podejście, które prawie z reguły było inne niż wojskowych, i najlepiej się z nim dyskutowało.

Dalej szedł w hierarchii generał Nil (pseudo), dowódca Kedywu, śniady, o kruczych włosach i pięknych rysach twarzy górala, milczący i małomówny, oczekujący raczej

na rozkazy. Zastąpił go wkrótce ppłk. Radosław (Jan Mazurkiewicz), jeden z najdzielniejszych dowódców, jakich poznałem w podziemiu.

Następnym był płk. Jan Rzepecki, dobry organizator, inteligentny, z wyraźną żyłką polityczną, raczej typ wojkowego-polityka niż żołnierza.

W końcu muszę wymienić siebie, jedynego cywila w tym gronie wojskowych, traktowanego z tą uprzejmością, jaką stosuje dobrze wychowane i zgrane ze sobą towarzystwo do człowieka obcego. Tak było na początku, później jednak prawie cotygodniowe spotkania i wielogodzinne posiedzenia wprowadziły w te stosunki dużo ciepła i stały się nawet zawiązkiem przyjaźni, które przetrwały do dziś dnia.

To grono podejmowało najważniejsze decyzje, które zamienione na rozkazy przekazywane Kedywowi i „Oporowi Społecznemu” dawały wspaniałe rezultaty, powiększające ogromnie dystans między wkładem Polskiego Państwa Podziemnego, już od dawna przodującego w walce z Niemcami, a innych krajów okupowanych. Nie jest moim zadaniem pisanie historii walczącego podziemia, którego akcją od połowy 1943 roku kierowało niepodzielnie K.W.P. Ograniczę się tylko do przykładowego stwierdzenia, że planowanie i decyzje K.W.P. dotyczyły np. dywersji kolejowej, to jest wysadzań pociągów z wojskiem, z bronią, mostów kolejowych itp. Np. w listopadzie 1943 wykolejono i ostrzelano w akcji odwetowej dziesięć pociągów, niszcząc sześć parowozów i 26 wagonów. Straty Niemców — około 1.000 zabitych i rannych. W lutym 1944 roku, wykolejono w związku z akcją odwetową 17 pociągów i 78 wagonów. Straty Niemców — 540 zabitych i 1.000 rannych (*). Poza tym, K.W.P. postanowiło w odwet za wysiedlanie polskich wsi, szczególnie na Zamojszczyźnie, uderzyć na niemieckie osiedla w G.G. W wyniku tej akcji, osiedla te palono i osadników niemieckich likwidowano (**). Jedną z akcji, zarządzonych przez K.W.P., była masowa likwidacja agentów Gestapo i żandarmerii, co od lipca 1943 do 30 czerwca 1944 wyraziło się cyfrą 1.616 zabitych Niemców.

(*) Patrz tom III. *Armia Krajowa*, str. 469.

(**) Patrz, jak wyżej, str. 478.

Ukoronowaniem jej było nakazane przez K.W.P. zabicie w dniu 1 lutego 1944 w Warszawie, generała policji i S.S. Kutschery, szefa policji i Gestapo dystryktu warszawskiego. Stało się to w odwet za egzekucje uliczne w Warszawie i innych miastach polskich, rozpoczęte w październiku 1943 i poprzedzone wydaniem przez Niemców rozporządzenia o „Zabezpieczeniu dzieła odbudowy w G.G.”. W egzekucjach tych rozstrzelano w całej Polsce na ulicach miast, na oczach całej ludności, parę tysięcy Polaków, większość z nich schwytych przypadkowo. Wreszcie należy wymienić akcję odbijania więźniów, w toku której z kilkudziesięciu więzień odbito paruset aresztowanych i akcję likwidacji bandytów. W końcu pragnę wspomnieć tylko o dziesiątkach indywidualnych decyzji, dotyczących poszczególnych osób. Oto przykłady odpowiednich depeesz.

„11 października 1943. Komunikat K.W.P. nr 16. Dnia 1 bm., o godzinie 12,05 w Warszawie został zastrzelony SS-Sturmmann, Ernst Wepels, kat i oprawca w więzieniu kobiecym na Pawiaku”.

„21 czerwca 1944. W czasie od 2 do 10 bm. z rozkazu K.W.P. rozstrzelano w Województwie Warszawskim, Lubelskim i Kieleckim 136 agentów i konfidentów Gestapo, w tym Holze Willi, Gering August i Kammertentz”.

„22 czerwca 1944 r. Z rozkazu K.W. P. zastrzeleni na rogu Żórawiej i Trzech Krzyży: 12 bm. Peschel i Leitgeber, a 15 bm. na Żoliborzu — Jung i Hoffman”.

„19 lipca 1944. Z rozkazu K.W.P. zastrzeleni w Rzeszowie 25 maja gestapowcy: Pottebaum i Flaschke, wyjątkowe zbiry”.

K.W.P. stawało nieraz w obliczu niezmiernie doniosłych decyzji. Podstawowe założenie polskiego podziemia, to jest nieustanna walka z Niemcami, nigdy nie uległo żadnej zmianie. Natomiast ulegała zmianom i fluktuacjom taktyka walki z Niemcami, uzależniona od sytuacji międzynarodowej i krajowej. Wytworzyło się z czasem swego rodzaju błędne koło. W odwet za bestialstwa niemieckie, spełniane od początku okupacji, podziemie podjęło akcje odwetowe, w rezultacie których Niemcy ponieśli straty

w zabitych i rannych. Teraz z kolei Niemcy odpowiadali wzmożonym terrorem na nasz odwet, potem znów my, później oni i w rezultacie terror wzrastał i setki ludzi ginęły w egzekucjach, których największe nasilenie przypadło na październik 1943-luty 1944 rok. Mógłby ktoś zadać dzisiaj pytanie, czy był w tym po naszej stronie jakiś sens? Mogę ze spokojem stwierdzić, że ten problem, jak również całe zagadnienie terroru jako metody walki z Niemcami, zaprzętało od początku okupacji umysły kierowników podziemia, a później K.W.P. Były podjęte pewne próby, które miały dać odpowiedź na pytanie, czy Niemcy zelżą terror, jeśli podziemie wstrzyma na jakiś czas akcję odwetową, czy też nie. Życie dało bardzo szybko odpowiedź negatywną. Niemcy, zdążając konsekwentnie do obranego na początku okupacji celu, jakim było zniszczenie jądra narodu polskiego, to jest z jednej strony jego mózgu — inteligencji, z drugiej elementów narodowego oporu, skoncentrowanego przede wszystkim w miastach, zalewali je morzem krwi, mordując tysiące ludzi bez żadnego powodu. Gdy się eksperyment nie udał, doszła już w pełni do głosu zasada „oko za oko, ząb za ząb”.

Zjazd Kierowników Walki Cywilnej.

Zwołałem do Warszawy na 30 i 31 lipca 1943 zjazd okręgowych kierowników Walki Cywilnej. Przybyli wszyscy, bez wyjątku, między innymi kierownik W.C. na delegaturę łódzką, Bolesław Sciborek, zamordowany przez U.B w 1946 roku, oraz kierownik W.C. na delegaturę lwowską, Ostrowski, obecnie dyplomata reżymowy i inżynier Wojciech Winkler (*), kierownik W.C. na okręg warszawski. Mieliśmy do swej dyspozycji na dwa dni samotną willę i w niej dokonaliśmy podsumowania wyników dotychczasowych akcji oraz omówiliśmy plany na przyszłość. Poza moim zasadniczym referatem, w którym problemy wojny wiązały się z poszczególnymi akcjami Walki Cywilnej (względnie Oporu Społecznego), każdy z kierowników działów Centrali referował własne sprawy, po czym z kolei kierownicy okręgowi składali sprawozdania z sytua-

(*) Obecnie w Stanach Zjednoczonych.

cji na ich terenie i przedstawiali własne uwagi i żądania. Obecni się nie znali ani z nazwiska, ani z pseudonimu, toteż jeden drugiemu przyglądał się z ciekawością i słuchali się nawzajem z rzadko spotykaną na zebraniach uwagą. Z całości referatów wyłaniał się obraz poważnej walki, prowadzonej z dużym sukcesem.

Pierwszego dnia obradowaliśmy przez cały dzień, odżywając się na miejscu. Troska o wikt spoczywała na naszych łączniczkach. Rozeszliśmy się dopiero przed godziną policyjną na noclegi, każdy w inną stronę.

Drugiego dnia czekała zjazdowiczów niespodzianka. Nie mówiąc o co chodzi, wyprawilem na pewną godzinę wszystkich uczestników zjazdu na Nowy Świat, z poleceniem spacerowania na określonej przestrzeni. Sam również tam się udałem. Natychmiast przyłączył się do mnie Ostrowski, przypochlebny i nadskakujący. Zасыpywał mnie pytaniami, każde okraszone jakimś jawnym czy ukrytym komplementem. Po raz pierwszy wówczas spojrzalem na niego krytycznym okiem.

O godzinie pierwszej popołudniu zadudnił nagle megafon na słupie i rozległ się jakiś polski, dobrze znany marsz. Przechodnie, w tym moi towarzysze, zaczęli zwałniać kroki i ze zdziwieniem nadstawiać ucha. Wkrótce melodia ucichła i młody, czysty głos rozpoczął patriotyczne przemówienie, wzywające do walki z Niemcami na śmierć i życie. Na ulicy działy się już dziwne rzeczy. Coraz więcej przechodniów przystawało i skupiało się koło megafonów i tam zamieniali się w słuch. Strzygli tylko oczyma, czy nie nadlatuje „łapanka” lub patrol. Naokoło rozjaśnione oczy i śmiejące się twarze. Nieliczni niemieccy przechodnie przyglądali się narastającym grupom ze zdziwieniem, nie rozumiejąc o co chodzi. W końcu, po nadaniu bieżących wiadomości z frontu, rozległy się dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła”. Cała ulica, jak jeden mąż, obnażyła głowy i zamarła w skupieniu. Dopiero teraz Niemcy się zaniepokoiili i zaczęli rozglądać się na prawo i lewo, widocznie za żandarmami czy wojskiem. Nikt z nich jednak nie odważył się sam wystąpić przeciw tłumowi. Nim ktokolwiek się zjawił, hymn się skończył i tłum, rozradowany i podniecony, śpiesznie się rozszedł.

Po godzinie zesłaliśmy się na końcową sesję. Kierownicy okręgowi byli zachwyceni tym, co widzieli i słyszeli. Dziękowali za audycję, która została zorganizowana na ten dzień przez specjalistów z „Szarych Szeregów”, na prośbę K.W.C., w związku ze zwołanym zjazdem. Każdy z nich zapalił się do myśli, by to samo urządzić u siebie. Najbardziej gorączkował się Ostrowski i błagał, by przysłać natychmiast takich specjalistów do Lwowa. Nie z uwagi na jego natarczywość, a ze względu na znaczenie Lwowa, zgodziłem się poprosić o to „Szare Szeregi”. Los zdarzył, że mała kartka, związana z tą imprezą, o mało nie zaważyła na mym życiu.

XIV

EMISARIUSZ „SALAMANDRA”

Najpierw przeczytałem w tygodniowym raporcie naszego wywiadu: „Gestapo poszukuje emisariusza rządu, pseudo Salamandra”, a później dopiero spotkałem go i poznałem. Pan dobrze po pięćdziesiątce, który skoczył na spadochronie do okupowanego kraju, zaimponował mi samym wyczynem, tym bardziej gdy mi ktoś obecny przy skoku opowiedział, że Doktor („Salamandra” — doktor Józef Rettinger) choruje na kurzą ślepotę i po skoku w nocy trzeba go było wziąć pod obie ręce i prowadzić, jak ślepego. Kiepskie kwalifikacje, jak na cicho-ciemnego, ale dowód nieprzeciętnej odwagi. Na widzenie szedłem z uczuciami mieszanymi. Wiedziałem o bliskich stosunkach, jakie łączyły „Salamandrę” z generałem Sikorskim, ale do tego doszły plotki, krążące w podziemiu co do charakteru, w jakim „Salamandra” przybył do kraju. Żeby mieć jasny obraz, wysłałem do Londynu depezę: „Uważa się tutaj Salamandrę zarówno za waszego emisariusza, jak i za wysłannika rządu angielskiego. Wyjaśnijcie”. Mimo upływu paru tygodni odpowiedź nie nadeszła, co, jak łatwo się domyśleć, nie przyczyniło się do wyklarowania sytuacji. Dziś, gdy piszę te słowa, wiem, że moja depeza, zanim dotarła do adresata, musiała przejść przez kontrolę brytyjską. Czy jednak przeszła?

Gdy pierwszy raz spotkałem „Salamandrę”, natychmiast oceniłem wszelkie zalety jego wyglądu. Średniego wzrostu (złośliwi powiedzieliby niskiego), szczupły i jakiś

szary, w starannie dobranym w Anglii „krajowym” garniturku, nie zwracał na siebie uwagi, a to już było bardzo wiele. Uderzył od razu w moją czułą stronę, rozpytując o łączność radiową i wyrażając się o niej z uznaniem. Gdy zapytał o nasz budżet miesięczny i otrzymał wyjaśnienie, zdumiał mnie powiedzeniem: „Cała wasza komórka kosztuje miesięcznie tyle, ile wynoszą pensje dwóch woźnych z B.B.C.”.

Duże wrażenie zrobiły na „Salamandrze” raporty z działalności sabotażowej, które miałem przy sobie i pokazałem. Dostał w ręce surowy materiał, nadesłany z terenu, jeszcze nie opracowany i to właśnie nadawało raportom piętno autentyczności i prawdziwości.

Poprosił mnie o zorganizowanie spotkania z dr Henrykiem Kołodziejskim, byłym dyrektorem Biblioteki Sejmowej, wybitnym masonem, tak przed wojną jak i w czasie okupacji „szarą eminencją” polskiego życia publicznego („tworzył i obalał gabinety”). Prośba ta wcale mnie nie zdziwiła. Zaglądałem sam często do Kołodziejskiego, człowieka dużej inteligencji, chociaż, jak lata okupacji sowieckiej wykazały, małej duszy, by posłuchać jego zawsze trzeźwych i mądrych opinii. Zaglądali do niego wszyscy i sam natknąłem się w jego mieszkaniu na Polnej na takich luminarzy podziemia, jak np. Pużak i Józewski. Pod koniec okupacji doszła mnie zdumiewająca wiadomość. Kołodziejskiego odwiedziło Gestapo i po rozmowie odeszło. Rzecz niezwykła, jak na ówczesne stosunki i rzucająca jaskrawe światło na międzynarodowe wpływy masonerii.

Gdy wprowadzałem „Salamandrę” do mieszkania Kołodziejskiego, nie mogłem przypuszczać, że dożyję takiej chwili jak otwarcie sejmku warszawskiego w zimie 1947 roku, kiedy to w pięknie odnowionej sali sejmowej, pod czujnym okiem ambasadora sowieckiego, Lebediewa, nie kto inny a tylko Kołodziejski zgłosi kandydaturę Bolesława Bieruta na prezydenta Rzplitej Polskiej. Co za czasy!

Spotkanie „Salamandry” z Kołodziejskim wypadło bardzo blado. Ni to, ni owo. Rozmowa się wyraźnie nie kleiła. Chciałem odejść, by ją ułatwić, ale skorzystał z tego „Salamandra”, pożegnał się i wyszedł razem ze mną.

Zaczęliśmy się spotykać częściej i lepiej, to jest nie po podziemnych lokalach a w przytulnych, pół-konspiracyj-

nych restauracyjnych. Pokusa była silna, a kompan doskonała. Wydaje mi się, że w czasie pobytu „Salamandry” w Warszawie przeciętna spożycia alkoholu na głowę wzrosła w stolicy o jakieś parę procent. Był to rzeczywiście człowiek bez strachu, ze skłonnością do bawienia się ryzykiem. Kiedyś, gdy mu opowiadałem o wspaniałych akcjach Kedywu, poprosił mnie całkiem poważnie, by mu umożliwić obejrzenie wysadzenia w powietrze pociągu z Niemcami. Przedstawiłem jego prośbę na K.W.P., które się na to zgodziło i „Salamandra” miał być zabrany na taką ekspedycję.

W umówionym dniu i godzinie, spacerowałem z młodym oficerem Kedywu po ulicy Pierackiego, dokąd miał przyjść „Salamandra”. Chodziliśmy w tę i z powrotem, denerwując się czekaniem coraz bardziej. Przy spotkaniu ulicznym reguły podziemia wymagały absolutnej punktualności. Po pół godziny rozeszliśmy się. „Salamandra” nie przyszedł, ale tejże nocy, pod Celestynowem, pociąg z wojskiem niemieckim wyleciał w powietrze.

Po paru dniach, na spotkaniu z Delegatem Jankowskim, zostałem przez niego zbuczany: „Niech pan nie organizuje żadnych ryzykownych wypraw z „Salamandrą”. Przypadkiem tylko wygadał się przede mną, że jedzie na wysadzenie pociągu i zabronił mi kategorycznie brać w tym udział, a nawet iść na spotkanie z panem, by go nie wzięła w ostatniej chwili pokusa. Jeszcze trzeba by było tego do szczęścia, żeby mu się na tej wyprawie coś stało! Kto by za to odpowiadał? Przed rządem ja, i nie mógłbym tego w żaden sposób usprawiedliwić”.

Przyznałem Delegatowi rację i wyrzekłem się raz na zawsze wszelkich wypraw z „Salamandrą”, wyjąwszy w najbliższą okolicę, to jest do „Cyranki” lub „Grzędzika”.

Któregoś dnia, po czułym pożegnaniu, „Salamandra” odjechał na bazę, skąd go miał zabrać z powrotem do Anglii samolot aliancki, lądujący na tajnym lotnisku. Misję swoją, jaką moim zdaniem było sprawdzenie na miejscu sytuacji w kraju i w podziemiu, już ukończył i czas było wracać.

Jakież było moje zdumienie, gdy po paru tygodniach zostałem wezwany do jednego ze szpitali warszawskich i tam, w oddzielnym pokoju i pod przybranym nazwiskiem,

zostałem „Salamandrę”. Leżał, jak Łazarz, w łożku. postarzały, wynędzniały, zmarnowany. Na stoliku obok stały butelki z lekarstwami i nie lekarstwami. Wykrzyknąłem żartobliwie: „Kogóż widzą moje oczy, kogóż, na załączonym obrazku?! Czy pan nie jest przypadkiem dziadkiem mojego znajomego, doktora Salamandry, który odleciał niedawno temu do Anglii?”. „Salamandra” nie był w nastroju do żartów. „Przestań pan, panie Stefanie, a chodź pan bliżej. Sprawa jest poważna”.

Usiadłem w nogach łożka. „Salamandra” wlał sobie do szklanki jakieś lekarstwo, ja zażyłem leku z innej butelki, o bardziej obiecującej etykiecie. „Co się stało?” — zapytałem, naprawdę zaciekawiony. „Salamandra” poprawił się na poduszce i rozpoczął długą opowieść.

Pojechał na bazę A.K. i tam cierpliwie czekał na przylot samolotu, co, jak wiadomo, było operacją trudną i ryzykowną. Wreszcie, któregoś dnia został nagle zaalarmowany i wsadzony na bryczkę, która popędziła w kierunku lotniska, gdzie samolot miał lada chwila lądować i natychmiast wracać z powrotem, gdyż tego wymagały względy bezpieczeństwa. Gdy zbliżali się do miejsca przeznaczenia, oczom „Salamandry” ukazał się upragniony widok, ale ze zmienioną kolejnością obrazów, coś jak film, kręcony w odwrotnym kierunku. Zza drzew wychylił się samolot, ale nie do lądowania, a wręcz przeciwnie, i poszybował w przestworza, niestety, bez „Salamandry”. Towarzyszący mu oficer A.K. był bardzo zmartwiony: „Spóźnił się! A niech to diabli wezmą!”. Bryczka zawróciła, a że złe rzeczy idą zawsze w parze, więc oddalając się jak najszybciej od lądowiska, dokąd każdej chwili mogła nadejść ekspedycja niemiecka, bryczka wywróciła się do rowu i „Salamandra” został skąpany w lodowatej wodzie. Ciało jego nie przyzwyczajone do tego rodzaju kontaktów z płynami, zareagowało zapaleniem nerwów i oto mieliśmy go z powrotem w Warszawie, ciężko chorego i w fatalnym nastroju.

Koniec rozmowy nie był pozbawiony momentów dramatycznych. „Salamandra” powątpiewał by spóźnienie na samolot i wywrócenie się bryczki było przypadkowe i to, wraz z chorobą, było przyczyną dość czarnych myśli. Wyciągnął spod poduszki grubą kopertę i wręczając mi ją,

powiedział: „Prócz pana, nie mam w tej chwili tutaj nikogo, komu bym mógł zaufać. W tej kopercie jest list do generała Sikorskiego. Opisuję w nim wszystko, co widziałem i stwierdziłem. Jest w nim także coś w rodzaju mego testamentu. Czy może mi pan przyrzec, że go pan doręczy Generałowi, gdybym zmarł lub zginął?”

Sprawa istotnie wyglądała dość poważnie, więc list wziąłem, po czym, rozpytawszy „Salamandrę” o szczegóły nieudanej wyprawy, wniosłem sprawę na najbliższe posiedzenie K.W.P. Przedstawivszy wszystko, jak wyglądało od strony „Salamandry”, poprosiłem o wyjaśnienie. Komendant i inni członkowie nie mogli udzielić żadnych, poza tym, że odlot „Salamandry” nie udał się z powodu spóźnienia się jego na lądowisko. Postanowiłem rzecz przejawskrawić i powiedziałem pół serio, pół żartem: „Jeśli dojdziemy tutaj do przekonania, że powrót „Salamandry” z naszego punktu widzenia nie byłby pożądany, to raczej trzeba go tutaj gdzieś zamknąć i trzymać do końca wojny. Ale nie ma sensu wyrabiać z nim najpierw takie hocki klocki, jak spóźnianie się na samolot lub stosowanie kuracji wodnej księdza Kneippa, a potem wysyłać go do Anglii. Wyobrażam sobie, jak on nas tam obgada!”. Wówczas z ust Komendanta padło oświadczenie, będące całkowitym dowodem dobrej wiary z jego strony: „Salamandra odleci najbliższym samolotem, jaki wylądaje. Przyrzekłem już to Delegatowi”.

I tak się wkrótce stało. Jeszcze nie wyleczony i nie mogący chodzić „Salamandra”, został wniesiony do zarezerwowanego przedziału w zatłoczonym pociągu *Nur für Deutsche* i przewieziony w pobliże tajnego lądowiska. Było to swego rodzaju arcydzieło organizacyjne, wymagające sporządzenia szeregu fałszywych dokumentów, łapówek itd. Wszystko się jednak udało i zagraniczny emisariusz, poszukiwany od miesięcy przez Gestapo, w dodatku chory i na noszach, jechał wygodnie w niemieckim pociągu, jak jaki dygnitarz hitlerowski, wtedy, kiedy przedstawiciele „narodu panów” tłoczyli się w zapchanych przedziałach i korytarzach, spoglądając z szacunkiem na zamknięte drzwi z napisem „zarezerwowany”.

Tym razem „Salamandra” doleciał na miejsce przeznaczenia. List postanowiłem zachować i zwrócić mu po

wojnie. Przetrwiał on Powstanie i różne perypetie, wreszcie został spalony przez mnie w 1945 roku, wraz z częścią mego archiwum, w momencie gdy U.B. zaczęło obstawiać tę okolicę w Leśnej Podkowie, w której się ukrywałem.

Z rumieńcem wstydu na twarzy muszę przyznać, że listu tego, który przeleżał u mnie parę lat, nie przeczytałem. Mając już za sobą kilka lat życia politycznego na emigracji, wiem, że popełniłem kryminal! A nuż dałoby się z poufnego raportu „Salamandry” do generała Sikorskiego zdobyć jakiś materiał przeciwko komuś? A może przeciw samemu generałowi Sikorskiemu? Była to z mej strony okropna lekkomyślność. Muszę przerwać pisanie na ten temat, bo czuję, że znów się rumienię ze wstydu.

UDERZENIE W ŁĄCZNOŚĆ

Ostatnia przygoda Władka.

Na jednym z periodycznych posiedzeń K.W.P. zwrócił się do mnie ktoś z obecnych z zapytaniem: „Przedstawcie nam organizację waszej łączności radiowej, szczególnie sposoby jej zabezpieczenia, gdyż pragniemy porównać je z naszymi”. Wyjaśniłem w obszernym referacie wszystkie, bez wyjątku, arkana naszego systemu. Poważne grono wyższych oficerów, skupione wokół okrągłego stołu, słuchało z uwagą, po czym z ust szefa sztabu, Grzegorza, padła opinia: „Wasze metody prawie wcale nie różnią się od naszych. Jednak prawie wszystkie nasze stacje, pracujące na terenie Warszawy, wpadły”. Byłem zaskoczony tym wyznaniem i pragnąłem dowiedzieć się szczegółów: „Czy przez rozpracowanie, czy przez gonię?” — „Niewątpliwie przez gonię. Stacje były nagle z bliska zaskakiwane i, mimo że aresztowani nie znali innych stacji, jedna wpadała za drugą”.

Zastanowiło mnie bardzo to przykre przyznanie i nie mogłem sobie wytłumaczyć, dlaczego naszym stacjom stosowane środki bezpieczeństwa, przede wszystkim obserwacja uliczna, wystarczają, a wojskowym nie. Skłaniałem się do przypuszczenia, że bardzo rozbudowana w porównaniu z nami łączność A.K. bardziej zwraca na siebie uwagę w eterze. Poza tym, łatwiej ją rozpracować przez wywiad, a to na skutek wielkiej ilości czynnych jednostek, zatrudniających wielu ludzi. Byłem jednak bardzo przejęty otrzy-

maną wiadomością, wobec czego wezwałem po kolei kierowników stacji i poinformowałem ich o wszystkim, zalecając zdwojenie uwagi i ostrożności. Tak samo się przejęli jak ja, ale również nie mogli się zdobyć na jasny pogląd w tej sprawie.

W miesiąc później, dokładnie dnia 10 listopada 1943 roku, wieczorem, śpieszyłem z Zosią na spotkanie z Rafałem, który miał przynieść, jak co dzień, odebrane depeze i zabrać inne do nadania. Byliśmy w dobrych humorach, gdyż odwiedziła nas tego popołudnia córka marszałka Rataja, Hanka Stankiewiczowa z mężem i razem spędziliśmy przyjemnie kilka godzin. Padał deszcz, było ciemno i bacznie wpatrywaliśmy się w przechodniów. Rafał urzędował zawsze na odcinku Hożej, między Poznańską a Marszałkowską, po stronie numerów parzystych.

Po chwili z ciemnej bramy wynurzyły się dwie postacie. Rozpoznałem w nich Rafała i Marcina. Rafał pociągnął mnie naprzód: „Nieszczęście! Władek wpadł przed kilkoma godzinami”. Zdrętwiałem. Cios zawsze przychodzi, kiedy się go człowiek najmniej spodziewa. Pierwsza myśl — przyszła wreszcie na nas kolej. I druga — biedny Władek, tak się ostatnio zachowywał, jakby przeczuwał co go czeka! Rafał i Marcin, drżący ze wzruszenia, odciągnęli nas w boczną ulicę i Rafał, wśród westchnień Marcina, opowiadał: „Władek pracował dziś na Okopowej. Obserwacja, jak zwykle, na ulicy od frontu, z krążeniem po sąsiednich i z mieszkania. Właścicielka lokalu, obserwująca z okna, zeszła w pewnej chwili w szlafroku i pantoflach na podwórze, aby coś kupić w sklepiku. Wychodzi, a tu „Ręce do góry!”. Na podwórzu stoi gromada uzbrojonych cywilów, mówiących między sobą po polsku, którzy tylko co włamali się przez drewniany płot z sąsiedniej posesji, leżącej już na innej ulicy i zatrzymują każdego, kto się na podwórzu pokaże. Właścicielka stanęła pod ścianą z innymi lokatorami, patrzy a tu część cywilów, z których jednemu z ucha wisi sznurek, idzie na schody do jej mieszkania. Kobieta widzi, że to koniec, więc zaryzykowała i myk do sieni z tyłu za sobą. Stamtąd do sklepiku z jarzynami, a ze sklepiku na ulicę. Ulica zupełnie czysta, patrolują na niej spokojnie nasze obserwatorki, nic nie wiedząc, co się w domu dzieje. W ten sposób gospo-

dyni uciekła tak jak stała i zaalarmowała męża, żeby po pracy nie wracał do domu, a obserwatorce mnie. Poszedłem zaraz w tamtą stronę, ale już było po wszystkim. W domu spokój i blokada zdjęta. Rozpytałem się ostrożnie, jak to było. Sąsiedzi naszego lokalu opowiedzieli, że ci uzbrojeni cywile walili we drzwi mieszkania i otworzył im sam Władek. Zaraz zaczęli go przesłuchiwać, po tym skuli i wyprowadzili do auta. Władek widocznie miał słuchawki na uszach i przypuszczał, że to wraca gospodyni, której pukania nie słyszał, tak że musiała głośno walić we drzwi. I otworzył je bez obawy. Najgorsze to, że z pewnością nie schował aparatu ani kodów i tak wszystko przepadło”.

Rafał i Marcin jęczeli po cichu i rozpaczali nad Władkiem i utratą stacji. My, mimo przygnębienia, byliśmy bardzo zaskoczeni opowiedzianymi szczegółami. Jakto? Cywile! Mówiący po polsku?! Ani śladu mundurowego Niemca?! Co to może być? A może to ci sami ludzie, którzy ukradli aparat foniczny? Może to jakaś dywersja wewnętrzna? W takim razie życiu Władka nie powinno grozić niebezpieczeństwo. Zaczęła mi świtać iskierka nadziei. Zapytałem więc Rafała: „Czy jest pan pewien, że to byli Niemcy? Przecież to niespotykana dotychczas rzecz, żeby cywile mówiący po polsku likwidowali stację!” — „Sąsiedzi mówili, że to na pewno Niemcy. Chociaż gadali ze sobą po polsku, mieli buty z cholewami, oraz cyklistówki i kapelusze i wyglądali, jak ludzie z organizacji, to jednak tak się zachowywali jak Niemcy. Pan wie, pewni siebie, nie kryli się przed nikim i wsiedli później do samochodu”. — „Nie jest to dla mnie jasne, panie Rafale. Musimy to jeszcze zbadać. Oczywiście, Władek znał resztę waszych lokali?” — „Znał wszystkie”. — „No to zawieście pracę od zaraz, lokale uśpić i sami nie pokazujcie się w ich okolicy”. — „Musimy coś pomóc właścicielce mieszkania i jej mężowi. Ona została bez butów i sukienki, a on tak, jak poszedł do pracy. Schowali się na razie u krewnych”. — „Zosiu, czy uda ci się szybko coś pomóc?” — „Na jutro postaram się dla niej o wszystko, co trzeba” — odpowiedziała Zosia. „W takim razie dobrze. Jutro spotykamy się o jedenastej. Przyniosę trochę gotówki, Zosia ubranie, a pan niech jeszcze na jutro zbierze jak najwięcej szczegółów”.

Już zbliżała się godzina policyjna i rozstaliśmy się w pośpiechu, gdyż mieliśmy jeszcze na sąsiedniej ulicy spotkanie z Mirkiem, ze stacji nr 71. Przyszedł, jak zwykle, punktualnie, z jakąś paczką pod pachą i opowiedziałem mu wszystko. Chociaż Władka nie znał, bardzo go żałował, ale nad całą sprawą kręcił głową. Uprzedziłem go, że jutro będzie musiał nadać depezę alarmową, na co spokojnie odpowiedział: „Będę gotów na czas”.

Wróciliśmy na nocleg do naszego pokoiku, przemoczeni, zziębnięci i na wpół żywi ze zmartwienia. Niezależnie od tego co spotka Władka, wpadła stacja, kwarce, kody i depeze. Niemcy, czy rodzima dywersja? Na to pytanie nie mogłem jeszcze znaleźć odpowiedzi, ale większość oznak wskazywała na Niemców. W każdym razie stacja wpadła i ktokolwiek ją zlikwidował, trzeba jak najszybciej unieważnić kody, kwarce i elementy ruchu. Zachodziła obawa, że ci, którzy stację zlikwidowali, mogą się pod nas podszyć i posiłkując się kodem, narobić zamieszania, unieważniając elementy ruchu innych stacji, zmieniając godziny pracy itp. Słowem, mogą dokonać niebezpiecznej dywersji. Przygotowałem zatem odpowiednią depezę, którą, bez względu na ryzyko, zdecydowałem wysłać nazajutrz ze stacji Mirka na ulicy Dolnej, pracującej z Londynem co dzień, o pierwszej popołudniu. Stacji Gienia nie brałem w rachubę, gdyż miała ona przejściowe trudności lokalowe i następnego dnia pracować nie mogła.

Rozmowa z Rafałem nazajutrz nie wniosła nic nowego. Również i on został zachwiany w przekonaniu że to byli Niemcy. Jednak ostatecznie rozstrzygnęliśmy tę kwestię w ten sposób, że dla systemu organizacyjnego przyjmujemy że to byli Niemcy i wyciągniemy stąd odpowiednie wnioski.

Wpadka na Dolnej.

Dnia 11 listopada 1943 roku, o godzinie dwunastej pojechałem na ulicę Dolną. Stacja nasza znajdowała się na ostatnim piętrze domu, na prawo od schodków z Puławskiej. Wysiadłem na pobliskim przystanku i chociaż do rozpoczęcia pracy było jeszcze około godziny, zacząłem badać Puławską, Dolną i okolicę, ale nic podejrzanego nie

zauważyłem. Kwadrans przed pierwszą przysła Zosia, z obserwatką Ireną. Rozstawiły się na ulicy, a ja poszedłem do lokalu stacji Mirka, aby obserwować z okna. Mirek siedział już przy aparacie i stroił go. Podeszedłem do okna. Wychodziło na tyły kościółka przy Puławskiej i dawało obszerny widok na puste place czy łąki obok. Obserwowałem przez chwilę okolicę i także nie spostrzegłem nic niepokojącego. Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczyłem na stoliczku pod ścianą dwa rewolwery i granaty. A więc Mirek jest nastawiony na niebezpieczeństwo i ewentualność walki. To dobrze. Odwołałem go od aparatu i wręczyłem depeszę: „Panie Mirku, depesza ta unieważnia elementy ruchu stacji, która wczoraj wpadła. Trzeba ją nadać dziś za wszelką cenę”.

Mirek spostrzegł widocznie moje podniecenie i niepokój, gdyż powiedział uspokajająco: „Niech pan się niczego nie obawia. Jeśli będą jakie takie warunki, to się wszystko załatwi w pół godziny”.

Była już pierwsza i Mirek spokojny i skupiony zasiadł do aparatu i zaczął wołać. Londyn natychmiast odpowiedział, że jest gotów do odbioru i Mirek rozpoczął nadawanie depeszy, ja zaś wróciłem do okna.

Po jakichś dwudziestu minutach spostrzegłem, że w odległości około kilometra idzie od strony Wisły w kierunku na Okęcie samolot, wyglądający z daleka na Junkersa. Gestem nakazuję Mirkowi przerwanie pracy i przywołuję go do okna. Gdy mu pokazałem samolot, wzruszył ramionami: „Tutaj chodzi ich masa i to przez cały dzień, na Okęcie. Nie ma to żadnego związku z nami”.

Uspokoilem się, gdyż był to rzeczywiście kierunek ze wschodu na Okęcie. Wyglądałem jednak dalej oknem i w pewnym momencie spostrzegłem pod ogrodzeniem kościółka dwie głowy, tuż przy ziemi. Wołać Mirka czy nie? Na wszelki wypadek odwołuję go od aparatu. Wstał z ociąganiem ale uważnie obejrzał głowy.

— „Ech to te łobuzy co tu przychodzą grać w karty. Siedzą tam i pewnie łupią w oczko. Ja ich znam”. „Czy ma pan jeszcze dużo do nadania?” — „Nie, już ostatnie grupy i jeszcze poprawki”.

Wróciłem znów do okna i spostrzegłem, że głowy zniknęły. Zbliżał się koniec pracy i napięcie zwolna zaczęło

ustępować. Nie chciałem jednak niczego zaniedbać, obserwowałem więc nadal i... nagle odskakuję od okna i zrywam rękę Mirka z klucza. W tym momencie, tuż nad dachem rozlega się ryk samolotu. Wypadł nagle zza kościółka, tuż nad jego dachem i przeskoczył nad naszym domem. Serce we mnie zamarło. Mirek zbladł, jak ściana. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to niemiecki samolot gonimetryczny, który nas dokładnie wymierzył i że wkrótce otoczą nas samochody pomiarowe, będące w stałym kontakcie radiowym z samolotem. Byliśmy wytropieni!

W tym momencie rozlegają się trzy dzwonki. To Zosia! Mirek podskoczył do drzwi. Twarz Zosi wyrażała najwyższe napięcie. Starła się zapanować nad głosem: „Przyjmijcie spokojnie to, co powiem. Na ulicy kręcą się grupki cywilów, wyglądających na Niemców i zauważyłam, że jeden z nich schował się za mur i przyłożył coś do ucha. Zaraz popędziłam do was i na schodach minęłam się z jednym z tych cywilów, którego przed tym widziałam na ulicy. Wygląda to bardzo podejrzanie”.

„Już skończyłem depezę” — mówi Mirek. — „Panie Mirku, daj pan ją i kody Zosi. Resztę zostawić, bo nie zdążymy rozmontować i schować. Wychodzimy, nie ma chwili do stracenia. To Niemcy”. — „Już, tylko włożę buty, bo jestem boso. Wyjdźcie pierwsi, ja was dogonię. Poczekajcie na rogu Puławskiej. Nawet będzie lepiej, jak nie wyjdziemy całą gromadą”.

Muszę się z tym zgodzić, że lepiej iść w rozsypce. Wychodzimy więc na klatkę schodową, ale zaledwie stanęliśmy na pierwszym stopniu schodów, gdy idąca przede mną Zosia mówi z przerażeniem: „Jezus Maria, idą!”.

Patrząc przez okno klatki schodowej na ogród od frontu i widząc sznur ludzi cywilnych, idących gęsiego jeden za drugim, z pistoletami maszynowymi lub rewolwerami w rękę. Czoło ich musi już być w kamienicy, bo na dole słychać tupot.

Zosia rzuca się do bocznych drzwi i gwałtownie puka. Otwierają się natychmiast i widzimy w pokoju kilka przerażonych kobiet, które widocznie spostrzegły przez okno to, co i my. Zosia błaga je: „Gdyby się ktoś pytał, co tu u was robimy, to powiedzcie, że szukamy mieszkania”. Z grupy kobiet podeszła do nas młoda dziewczyna i ze złością

odmówiła: „Wynoście się stąd natychmiast! Ja widziałam, że pani tu od godziny kręci się przed domem. Wynoście się!”

Zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Nie mamy wyjścia i zaczynamy schodzić w dół. Wita nas gromkie: *Hände hoch!* Podnosimy ręce i stajemy. Pod nami, na schodach około dziesięciu mężczyzn, kierujących na nas peemy i rewolwery. Jeden ze stojących na przodzie woła: „Oni wyszli stąd!” i wskazuje ręką na drzwi mieszkania, skąd nas wypędzono. Kilku wchodzi tam natychmiast i za chwilę wszystkie kobiety wychodzą na platformę schodów z podniesionymi rękami. Patrzymy na wszystko, jak urzeczeni. Wpadliśmy. To już koniec. I na nas przyszła kreska. W ustach sucho. Oczy nasze fotografują wszystko i wszystkich. Przede wszystkim cywilów z bronią w pogotowiu. Na czele ich stoi młody, przystojny blondyn. Gdy spojrzałem na jego ruchy, nie miałem już wątpliwości: to Niemiec, oficer i dowódca. Patrzy na nas bacznie, ręką pokazuje, że mamy stanąć pod ścianą. Cywile pukają do drzwi wszystkich mieszkań na tym piętrze, wchodzą i z każdego wyprowadzają na platformę schodów grupki osób z podniesionymi rękami. Nie otwierają się tylko drzwi Mirka. Słyszemy głos po polsku: „Nie podchodzić do okien, bo śmierć. Nie ruszać się”.

Dowódca zbliżył się do mnie i pyta: „*Sprechen Sie Deutsch?*” Kiwam głową, że nie i w tej samej chwili uprzytamniam sobie że mam w kieszeni dzisiejszy „*Warschauer Zeitung*”.

Dowódca przywołuje do siebie jednego z cywilów, mówi mu coś, ten podchodzi do mnie, obmacuje mnie od góry do dołu, zdejmuje mi kapelusz z głowy i bacznie ją ogląda. (Dopiero wiele dni później domyśliłem się, że szukał odcisku pałaka słuchawek na włosach). Korzystam z tego i mówię: „Co panowie od nas chcą? Mamy papiery w porządku. Proszę”. Cywil włożył mi kapelusz na głowę, odtrącił rękę, w której trzymałem autentyczny, choć na fałszywe nazwisko, dowód pracy w Elektrowni, z wszystkimi „ptaszkami”, z fotografią, z zaliczeniem do przemysłu wojennego, i mówi po polsku nienagannym akcentem: „To nie o to chodzi”.

W tym samym czasie Zosia bardzo przytomnie podnosi głos: „Co tu się dzieje? Czego panowie od nas chcecie? My tu nie mieszkamy, przyszliśmy tylko szukać mieszkania. Co tu się stało?” Robi to doskonale i przyłączam się do jej jęśliwych pytań, udając zresztą bez najmniejszego wysiłku przestraszonego człowieka z ulicy. Drugi z cywilów odepchnął Zosię w kąt ze zniecierpliwieniem i mówi także po polsku: „Bądź pani cicho, to lepiej pani na tym wyjdzie. Tu nie o was chodzi”.

Wszyscy lokatorzy już wyprowadzeni, tylko drzwi Mirka wciąż milczą. Podchodzi do nich dwóch Niemców i walą kopytami w zamek. Słychać trzask, zamek puszcza i w tej samej chwili rozlega się gdzieś z zewnątrz głośna seria z pistoletu maszynowego. Niemcy z przerażeniem odskakują na boki i kierują automaty i rewolwery w wywalone drzwi Mirka. Zapanowała zupełna cisza. Po chwili, dwóch Niemców, skradając się krok za krokiem, z wysuniętymi peemami wchodzi do mieszkania Mirka. Napięcie niesamowite. Czekamy na wybuch granatu i salwę Mirka. Zamiast tego, po paru sekundach rozlega się stamtąd radosny i podniecony krzyk Niemców: *Alles ist hier! Er ist tot!*

Na schodach wśród cywilów odprężenie. Wszyscy pakują się do mieszkania Mirka, a dwaj zapędzają naszą gromadę do mieszkania na prawo, do kuchni, a sami także natychmiast wychodzą. Dobiegają nas tylko z lokalu stacji gardłowe głosy niemieckie.

W kuchni znaleźliśmy się wśród kilkunastu osób, nieprzytomnych z przerażenia. Patrzą na nas bez słowa, młoda dziewczyna wręcz wrogo. Nie mam wątpliwości, że gdy dojdzie do badania, natychmiast wskaże na nas. Już przyszedłem do siebie po pierwszym szoku i widzę, że to samo jest z Zosią. Stało się. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Cztery lata nam się wszystko udawało, widocznie przyszedł kres. Bez słowa zaczynam przeglądać swoje kieszenie, a Zosia torbę. Wyjmuję jeden papier po drugim, także legitymację elektrowni, którą na siłę wpychałem w rękę Niemca. Otwieram ją i widzę w środku kartkę: „Dwa tysiące złotych na wyjazd ekipy megafonowej do Lwowa otrzymałem. Henryk”. Było to pokwitowanie, wystawione przez kierownika grupy „Sza-

rych Szeregów", która włączyła się w sieć megafonów niemieckich w czasie zjazdu kierowników Walki Cywilnej. Grupa ta miała się udać do Lwowa, by znów tam urządzić pod egidą Walki Cywilnej taką imprezę. Kwit wkładam natychmiast do ust, żuję i łykam. Ładnie bym wyglądał, gdyby Niemiec zajął do legitymacji! Zosia ze swej torby wyjęła plik depesz, kody i konspiracyjną korespondencję. Rozejrzała się naokoło i zbliżyła do kuchni. Jakaś starsza kobieta bez słowa odsunęła garnek i zaczęła pomagać w paleniu papierów. Wszystko to odbywało się na oczach kilkunastu osób, obserwujących wielkimi oczyma czynności Zosi. Wreszcie, co było obciążającego spalone i zaczynamy się ze sobą żegnać. Nie mamy wątpliwości, że jako obcych w kamienicy, wezmą nas i za chwilę rozdziela. Trzymamy się o tyle w garści, że pożegnania odbywa się spokojnie. Teraz już wszyscy patrzą na nas życzliwie, a starsza kobieta wręcz ociera łzy z oczu. Na ulicy i na schodach ożywiony ruch. Zajeżdżają samochody, słysząc stuk butów. Podnoszę się na palcach i widzę przez okno, jak przez ogród idą niemieccy oficerowie w mundurach lotników. Z mieszkania Mirka, co widzę znów przez szparę między drzwiami a futryną, wynoszą jakieś pakunki. To pewno radiostacja. W pewnej chwili trącam Zosię i patrzymy oboje, jak z mieszkania wynoszą kształt ludzki, owinięty w białe prześcieradło. Zaczynamy się modlić po cichu, gdy nagle w kuchni pokazuje się dowódca i dwóch cywilów, którzy dotychczas się nami zajmowali. Dowódca potoczył wzrokiem po obecnych. Zapadła martwa cisza. Wszyscy rozumieli, że ważą się ich losy. Wzrok jego zatrzymał się na nas. Pokazał nas palcem: „A ci, co za jedni?” — „Ach, oni znaleźli się tu zupełnie przypadkowo” — mówi niedbale jeden z cywilów, z lekceważącym machnięciem ręki. Dowódca odwrócił się bez słowa i wyszedł. Dwaj cywile poszli w jego ślady. Patrzymy na siebie w osłupieniu. Czyżbyśmy byli uratowani?

Na schodach ruch widocznie maleje. Jest coraz mniej ludzi, wreszcie przez szparę we drzwiach widzę granatowego policjanta i słyszę głos znajomego cywila: „Pilnować mieszkania, żeby nikt nie wchodził. Trupa zaraz zabiorą”.

Po chwili wszedł do kuchni granatowy policjant: „Już

po wszystkim, możecie wrócić do swoich mieszkań". W tłumie zawrzało. Wszyscy rzucili się naraz ku nam: „Uciekajcie, uciekajcie natychmiast!” Starsza kobieta rzuciła się Zosi na szyję i obsypuje ją pocałunkami: „Bóg was uratował, ale uciekajcie, na miłość boską, uciekajcie!” Zwróciłem się do obecnych: „Pozwólcie państwo, że jeszcze trochę poczekamy. Nie bardzo wierzę, żeby się to tak skończyło z nami”. Jakiś chłopak wyskoczył na schody i po paru chwilach wrócił: „Uciekajcie, na schodach i w podwórzu nie ma nikogo!”

Wziąłem Zosię pod rękę i oszołomieni, nie wierząc temu, że jesteśmy wolni, schodzimy szybko po schodach, z uwagą napiętą do ostateczności. A nuż rozlegnie się *Halt!* Nie ma jednak nikogo, kroczymy więc szybko do bramy, przy której także nikt nie stoi.

Po drodze mijamy leżący na ziemi martwy kształt, owinięty w prześcieradło. Zosia żegna się i mówi: „To Mirek”.

A zatem w ciągu dwóch dni dwie stacje zlikwidowane. Władek w rękach Niemców, Mirek zabity. Ciężkie, bardzo ciężkie ciosy. Wysyłam ludzi na zwiady i już na drugi dzień wiemy, że nim Niemcy weszli do domu na Dolnej, obstawili go ze wszystkich stron i gdy Mirek, w momencie wyłamywania drzwi, wyszedł na balkon, aby uciec po wystęпах muru przy rynnie na dół, co sobie zawsze planował, został zastrzelony serią z pistoletu maszynowego przez Niemca, stojącego na tyłach kościółka na Puławskiej. Zrozumiałem teraz ostrzeżenie cywila, aby nie wyglądać przez okno, bo to śmierć i wiem, czyje to głowy widziałem przez okno.

Ciało Mirka jest już w kostnicy na Oczki i Zosia znów załatwia sprawę jego pogrzebu z zakładem, który konspiracyjnie grzebał Ziutka. Przyjmują ją tam z dyskretnym współczuciem i traktują z zaufaniem, gdyż to już jest „stały klient”. Po paru dniach Mirek został pochowany na Powązkach pod przybranym nazwiskiem Arciszewski, a my otrzymujemy z zakładu pogrzebowego jego wiatrówkę i zdjęcie dokonane po śmierci. Dostał serię od karku przez cały bok. Pokrwawiona wiatrówka jest postrzelana jak sito.

Twarz na zdjęciu nie zdradza cierpienia i jest jak gdyby zamysłona. Musiał zginąć na miejscu jak jak Ziutek.

Analizuję nasze postępowanie i dochodzę do wniosku, że wszyscy troje nie mogliśmy się uratować. Minuta opóźnienia, a Niemcy zastają nas u Mirka i wtedy koniec także z nami. Z drugiej strony niemożliwe było, aby Mirek zdążył włożyć buty i wyjść z nami na schody przed nadejściem Niemców. Nawet gdyby zdążył, Niemcy zatrzymaliby na schodach całą trójkę i zidentyfikowałiby Mirka, jako zameldowanego właściciela mieszkania, w którym znaleźliby broń i sprzęt. Gdybyśmy zaczęli rozmontowywać radiostację i chować sprzęt Niemcy zastaliby nas przy tej robocie. Było jasne, że ich człowiek, spotkany przez Zosię pod drzwiami, umiejscowił stację na ostatnim piętrze, gdyż na niższych Niemcy nawet się nie zatrzymali. Bezsprzecznie Zosię i mnie uratowało to, że Niemcy nie zauważyli nas w momencie, gdy wychodziliśmy z mieszkania Mirka, a dopiero gdy wychodziliśmy z mieszkania kobiet obok. W związku z tym potraktowali nas, jak innych lokatorów. O ratunku zdecydowały po prostu sekundy.

XVI

SPOTKANIE Z MIŃCZUKIEM

Na jakimś spotkaniu w 1943 roku, Delegat polecił mi udać się do jednego z hotelików na Chmielnej, gdzie się zatrzymał podziemny wysłannik z Wileńszczyzny i odbyć z nim rozmowę w jego zastępstwie. Otrzymałem dokładne dane i informacje, że wysłannik przyjechał z Wilna legalnie, to jest na prawdziwe nazwisko i dokumenty, toteż bez trudności i ryzyka odnalazłem właściwy numer na nędznym i ciemnym korytarzu i zapukałem. Otworzył mi drzwi czterdziestoparoletni mężczyzna, który powitał mnie, jak starego znajomego. Z miejsca uderzył mnie niczym nie skalany, kresowy akcent i zaskoczyło ciepło, z jakim mnie traktował. Usadawił mnie w wygodnym fotelu, częstował czymś i proponował, by coś zjeść. Robił przy tym tak ujmujące wrażenie, że rozgrzał mnie całkowicie nim zamieniliśmy jedno zdanie na właściwy temat. Po wyjaśnieniu mu charakteru, w jakim przybyłem, zagadnąłem: „Co tam u was słychać na Wileńszczyźnie?” Odpowiedź po prostu zbiła mnie z nóg. — „Ja, panie, nie z Wileńszczyzny, a z Mińszczyzny. Mińczuk jestem, panie. Teraz, jak Mińszczyzna jest pod okupacją niemiecką, może ona nawiązać nareszcie kontakt z Ojczyzną. Ja przyjechałem tutaj, jako przedstawiciel starodawnej ziemi Mińskiej, prosić rząd podziemny, by o niej nie zapomniał i by ziemia Mińska po skończonej wojnie mogła wrócić do Macierzy. To polska ziemia od wieków i gdzie pan się ruszy, widzi pan wszędzie tego dowody. Polacy tam do dziś mieszkają i tęsknią

do połączenia. A i Białorusini marzą o Polsce, jako o wybawicielce z piekła sowieckiego..." Mówił tak do mnie, oniemiałego, jakąś godzinę. Pochodzę z zachodniej części Polski, z Kaliskiego, kresów wschodnich nie znam, toteż słuchałem śpiewnego głosu Mińczuka z uczuciem człowieka, na oczach którego wraca do życia historia. Znałem wypadki, kiedy Polacy z terenów Rosji Sowieckiej, zajętych przez Niemców, przemykali się całymi rodzinami do Polski. Ale delegat ziemi Mińskiej, to było coś zupełnie innego. Poczułem, że nie jestem właściwym partnerem do rozmowy i że w tej sprawie nie wypada nikomu zastępować Głowy Podziemia. Nagadawszy Mińczukowi masę serdeczności poinformowałem go, że naszą rozmowę ma uważać za wstępną, a wkrótce zobaczy, kogo należy.

Wyszedłem bardzo wzruszony. Polskość nagle objawiła mi się jako siła, której potęgi do tej chwili nie doceniałem. Ale cóż, nie ziemią Mińską połączyła się z Macierzą, a Macierz z ziemią Mińską, pod wspólnym sowieckim jarzmem. Biedny Mińczuk!

WSYPA W K.W.C.

Mieliśmy w centrali młodego człowieka, Poznańczyka, średniego wzrostu, o rudawych włosach, milczącego i pilnego, ubranego zawsze bardzo starannie. Z zawodu, zdaje się, prawnik — student czy aplikant. Nie zdarzyło mi się, bym w czasie mego pobytu na tej czy innej naszej kwaterze nie zastał go zawsze na miejscu, czujnego i gotowego do usług. Był czymś w rodzaju sekretarza K.W.C. Nazywałem go w rozmowach z innymi po prostu „Rudy”. Pseudona i nazwiska nie pamiętam.

W początkach 1944 roku nasza centrala mieściła się na ulicy Zgoda, blisko Chmielnej, w mieszkaniu docenta botanika Wiszniewskiego, a właściwie jego teścia „białego” Rosjanina, przed wojną redaktora rosyjskiego emigracyjnego pisma w Warszawie. Otwierał on mi nieraz drzwi, ale nie zamieniliśmy ze sobą przez cały czas ani jednego zdania. Wiszniewski z czasem zaczął dla nas pracować, między innymi chował nasze papierki w swoich zielnikach. Parę tysięcy teczek z zasuszonymi roślinami leżało na drewnianych półkach w jego pokoju i w nich zrobiliśmy przejściowo nasze archiwum. Wiszniewski opowiadał mi, że jego teść nie tylko że trzyma się z daleka od tych białych Rosjan i ich organizacji w Polsce, które poszły na współpracę z Niemcami, nieraz jedynie dla lepszych kartek żywnościowych, ale przeciwnie uważa, że korzystając przez tyle lat z gościnności polskiej, Rosjanie nie powinni na terenie Polski prowadzić polityki przeciwnej interesom gos-

podarzy. Może wchodziły tu w grę i inne racje, np. niechęć do wspólnej akcji z Niemcami przeciw Rosji — nawet sowieckiej, dość, że mieliśmy do naszej dyspozycji mieszkanie u Rosjanina.

Któregoś dnia poprosił mnie na bok „Rudy” i poinformował, że niespodziewanie spotkał na ulicy swego dawnego znajomego, Polaka, L., obecnie notorycznego agenta Gestapo. L. natychmiast się do niego przyczepił, rozpytując, co robi w Warszawie i jak się urządził. Z trudem się od niego oderwał, ale od chwili spotkania czuje się zagrożony, tym bardziej, że ma „lewe” dowody, gdyż od dwóch lat jest poszukiwany przez Gestapo, jako członek podziemnej organizacji, która się wysypała na samym początku swego istnienia. Jest pewien, że L. robi wszystko, by go rozpracować i „wystawić”. Zasepiłem się. Wprawdzie wszyscy, bez wyjątku, byliśmy poszukiwani i Gestapo ciągle robiło naloty czy to na moje przedwojenne mieszkanie, przy Alei Przyjaciół 1, czy też na pokoiki w Gmachu Prudentialu, a wreszcie na mieszkanie na Kolonii Staszica — na szczęście w parę miesięcy potem, jak je opuściłem — niemniej to niedobrze że agent Gestapo chwycił bezpośredni kontakt z pracownikiem centrali. Ale ponieważ rola L. jako agenta Gestapo była ustalona, namysł był krótki a decyzja szybka i, powiedziałbym, w tych czasach szablonowa: „Trzeba dać znać gdzie należy i sprzątnąć L. jak najszybciej. Niech pan przygotowuje odpowiednią kartkę do podpisu i najlepiej sam ją zawiezie. Od jutra niech pan tu nie przychodzi i możliwie wyjedzie z Warszawy, a w każdym razie zmieni melinę. Niech pan poza tym utrzymuje kontakt z nami tylko przez łączniczkę. Damy panu wszelką pomoc, jakiej zmiany wymagają”.

„Rudy” zniknął i tylko co kilka dni łączniczka Dusia donosiła, że cały i zdrow. Pewnego dnia kontakt się urwał i „Rudy” przepadł bez śladu. Natychmiast oczyściliśmy i uśpiliśmy wszystkie znane przez niego lokale. Zrobiło się z tego café piekło, gdyż „Rudy” wiedział wszystko. Wywiad ustalił, że „Rudy” wyszedł z nowego mieszkania i nie wrócił. Rozmówiłem się z Wiszniewskim i zażądałem, by wszyscy opuścili mieszkanie, przynajmniej na jakiś czas i ukryli się. Zaoferowałem pomoc pieniężną, fałszywe dokumenty itp. Wiszniewski jednak odmówił, twierdząc po

pierwsze, że jeśli „Rudy” aresztowany, to i tak nic nie powie, bo jest twardy i z charakterem, po drugie, że jego teść i żona stanowczo odmówili opuszczenia mieszkania, po trzecie, że lokal jest wyczyszczony do ostatniej nitki i Gestapo nic w nim nie znajdzie.

Kiwałem głową na to wszystko z powątpiewaniem. Nie ręczyłbym za nikogo, również za siebie, jeśli chodzi o tortury. Skąd można wiedzieć? Ale trudno! Nie chcą, to nie. A może „Rudy” nie aresztowany, a tylko zwiął na prowincję? Miałem głowę zajętą już mnóstwem innych spraw, związanych ze zniknięciem „Rudego” i o mieszkaniu na Zgoda przestałem myśleć.

Za kilka dni przyszła zła nowina. Gestapo najechało w nocy na lokal i zabrało wszystkich. Równocześnie zrobili nalot na dawny lokal przy ulicy Leszczyńskiej, na Powiślu, gdzie aresztowali starą kobietę, właścicielkę mieszkania, a syn uciekł przez okno na dach i tak się uratował.

Stępieliśmy już w czwartym roku wojny na tego rodzaju sprawy i nikt ich tak żywo już nie odczuwał, jak na początku okupacji. Nawet stereotypowa pociecha, „dzisiaj, jutro my”, przestała robić wrażenie. Trudno, bierzemy udział w wojnie, więc są polegli. Jednak prawie że się załamane, gdy przebiegając oczyma jakiegoś poranka czerwony afisz z nazwiskami osób rozstrzelanych w publicznej egzekucji, natknąłem się na nazwisko Wiszniewskiego i jego teścia. Spojrzałem raz i drugi, nie chcąc wierzyć własnym oczom. Mimo wszystko nie byłem przygotowany na tak szybki koniec. Nie było jednak wątpliwości. Wielkie, czarne litery na czerwonym tle głośno wyrażnie: „Wiszniewski”.

Tak zginął młody, obiecujący uczonec, a wraz z nim, na marginesie naszej walki z Niemcami, szlachetny Rosjanin. O „Rudym” zaginął wszelki ślad.

XVIII

ZABAWA W CHOWANEGO

Alfred i Emilka.

Odbyłem narady z Ryszardem, Rafałem i Gieniem, na którego teraz spadł cały ciężar pracy i który bez przeszkód wysłał depezę o wpadce stacji Mirka i unieważnieniu jej elementów. Wytrąceniu z równowagi i zdenerwowaniu roztrząsaliśmy po raz nie wiem który szczegóły obu wpadek. Stało się teraz jasne dlaczego powpadały stacje wojskowe w Warszawie, jedna za drugą. Niemcy przeszli na zupełnie nowy system: ludzie, tropiący stację, są tak dobrani, że mówią dobrze po polsku, ubierają się jak młodzież z konspiracji i mają kieszonkowe aparaty podsłuchowe. Wszystko to dla nas zupełna nowość. To już nie samoloty i samochody, które łatwo zauważyć i z którymi dawaliśmy sobie radę.

Wydałem następujące instrukcje: poinformować dokładnie wszystkie obserwatorki i skierować ich uwagę nie tylko na samochody i samoloty, ale przede wszystkim na ludzi; ograniczyć pracę do minimum, przy najczęstszej zmianie lokali i elementów ruchu; szukać nowych telegrafistów, wreszcie, wywiadywać się na własną rękę o miejsce, gdzie jest ulokowana niemiecka ekipa goniometryczna.

Udało mi się dotrzeć do zawodowego telegrafisty, mężczyzny średniego wzrostu, dobrze po czterdziestce, nieśmiałego i bardzo skromnego w obejściu. Nie pracował dotychczas w konspiracji, a bardzo tego pragnął. Poręczono mi nie tylko za jego fachowość, ale także za jego dyskrecję, odwagę, słowem za wszystkie przymioty, jakie powinien mieć

konspirator. Przyjąłem go z miejsca, chrzcząc imieniem Jan. Nie przypuszczałem wówczas, że z tą chwilą wszedł do naszej pracy prawdziwy as, który stanie się filarem naszej łączności w najkrytyczniejszych momentach. Jan wynalazł sobie jakieś lokale u znajomych w Warszawie i grał na zmianę to tu, to tam.

Poznałem także telegrafistę nazwanego przeze mnie Alfredem, który pracował w zniemczonej firmie radiowej w Warszawie jako technik. Ten znów był przystojnym młodym chłopakiem o kruczych włosach i, na moje oko, o zacięciu sportowca. Trochę nonszalancki, zdawał się traktować robotę dość lekko. Niemniej potrafił nie tylko obsługiwać stację, ale również usuwać wszystkie defekty w aparacie. Postanowiłem zorganizować przy jego pomocy oddzielną stację i Alfred podjął się wynaleźć dla siebie co najmniej trzy lokale, a także zgłosił jako obserwatorkę swoją narzeczoną. Spotkałem się z nią i zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie. Emilka, gdyż takie miała imię, była wysoką blondynką, zdradzającą w rozmowie dużą inteligencję. W widoczny sposób górowała nad narzeczonym, który w jej obecności raczej milczał i z zadowoleniem potakiwał. Była bardzo poważna, odpowiedzi dawała krótkie i jasne. Wyczuwało się, że ona będzie główną osobą na stacji i instynktownie zwracałem się raczej do niej gdy wspólnie z Alfredem omawialiśmy nasze sprawy. Wobec tego, że Warszawa była przeciążona naszymi stacjami, zgodziłem się chętnie na założenie nowej bazy w Piasecznie, gdzie oboje mieszkali. W ten sposób łuki zostały szybko wyrównane i praca szła dalej. Opłakiwaliśmy jednak nadal zabitego Mirka i schwytanego Władka, co do którego mieliśmy teraz pewność, że spotka go takiż sam los. Nie byłem więc zaskoczony gdy któregoś dnia, na czerwonym afiszu wyczytałem z kolei prawdziwe nazwisko Władka, który pochodził z Kielecczyny, Miechowa czy Pińczowa: Władysław Różalski.

Spotkanie ze „znajomymi”.

Poszedłem na ulicę Krochmalną w godzinach pracy Jana, aby sprawdzić, jak działa obserwacja. Minąłem komisariat policji i zbliżałem się do Wroniej. Z daleka spo-

strzegłem, że obserwatorka idzie w moim kierunku, wdzięcznie się uśmiechając. Ale co gorsze, spostrzegłem także, że za jej plecami, nad dom, w którym Jan pracuje, schodzi bezszelestnie, z wysokości kilkuset metrów, mocno przechylony na skrzydło samolot. Ukłoniłem się uprzejmie obserwatorce i szepnąłem jadowicie: „Zamiast szczerzyć zęby, niech pani lepiej uważa, bo samolot schodzi nad dom”. Odwróciła głowę, spojrzała w górę, krzyknęła: „Ach!” i zniknęła w bramie domu, gdzie był nasz lokal. Obejrzałem się dookoła, ale w ruchu ulicznym nie było widać nic podejrzanego. Oddaliłem się od domu, skręciłem we Wronią i na rogu Chłodnej ujrzałem widok, który mi zmroził krew w żyłach. O sto metrów ode mnie, przy chodniku, stały dwa długie auta, a obok nich... znajomi Niemcy z Dolnej. W tył zwrot i wróciłem z powrotem na Krochmalną. Skręciłem w kierunku Żelaznej i widzę, że Jan wyszedł właśnie z domu i idzie ku mnie. Obserwatorce już nie było. Nim doszedłem do Żelaznej, wyjechało z niej jedno z zaobserwowanych aut i wolniutko posuwało się w kierunku naszego domu. Mimo, że byłem inaczej ubrany niż na Dolnej, strach chwycił mnie za włosy i nie śmiałem nawet spojrzeć na przejeżdżający samochód. Tyle że równym krokiem szedłem naprzód. Stałem w końcu na rogu i tam zbliżył się do mnie Jan. Pokazałem mu wzrokiem auto: „To oni, Niemcy z Dolnej”. Jan patrzył ciekawie, wprost pożerał auto oczyma. Schowaliśmy się w bramie, tak jednak by widzieć co Niemcy robią. Auto jechało wolniutko, przejechało bez zatrzymania koło naszego domu, zawróciło, stanęło znów, pojechało dalej, znów zawróciło — słowem, defilowało po Krochmalnej przez pół godziny. Wreszcie, dało gazu i szybko odjechało. Odetchnęliśmy z ulgą, a Jan zauważył: „Prawie mnie wymierzili. W samą porę pan nadszedł. Miałem szczęście!”

Natychmiast poinformowałem wszystkie stacje o nowym chwycie Niemców, to jest że samolot wzbija się w górę w odległości kilku kilometrów od stacji, a potem ze zgaszonym motorem, by nie płoszyć obserwacji, zbliża się do niej lotem ślizgowym. A to sprytni dranie!

Rozpracowanie gonii.

— Mamy ich!!! — wołał Miecio, ściskając mi rękę. Na policzkach miał wypieki, oczy błyszczały mu podnieceniem, nogi nie mogły ustać w miejscu. — „Kogo?” — zapytałem, czując w powietrzu coś ważnego. — „Gonię! Już wiem wszystko. Mieszkają w Y.M.C.A. na Bolesława Prusa, tam mają garaże i stamtąd wyjeżdżają na likwidację stacji”. — „Siadaj pan i mów pan spokojnie i szczególnie od początku. Skąd pan ma te wiadomości?” Miecio nie mógł jednak usiedzieć na miejscu. W miarę jak opowiadał, podniecał się coraz bardziej i raz po raz zrywał się z krzesła: „Mam jedną znajomą, która pracuje w Y.M.C.A. jako bufetowa. Trzeba panu wiedzieć, że chociaż w Y.M.C.A. mieszkają sami Niemcy, to jednak posługaczki, kelnerzy i obsługa jest polska. Tyle tylko, że muszą umieć trochę po niemiecku. Zacząłem moją znajomą podpytywać, kto też w Y.M.C.A. mieszka, a ona mi opowiedziała, że różni Niemcy, oficerowie i urzędnicy, a od jakiegoś czasu także kupcy. Tylko to są jacyś dziwni kupcy, bo chociaż tak są zameldowani i do niektórych przyjechały żony, to jednak często wyjeżdżają z bronią autami na cały dzień. Samochody ich garażują w budynku Towarzystwa Ubezpieczeń Riunione Adriatica di Sicurta, a z wyjazdów wracają bardzo zmęczeni. Raz przyjechał na inspekcję jakiś generał niemiecki, kazał dać sobie listę lokatorów i bardzo się awanturował, że w Y.M.C.A. mieszkają kupcy, bo to gmach nie dla nich. Przyszedł jednak do niego jeden z tych kupców, wziął go na bok, pokazał jakieś papiery, szeptał trochę, potem generał ścisnął mu rękę, salutował, widać, że go przeproszał.

Jak mi to opowiedziała, kazałem jej żeby podpytała którą z żon, jak przyjdzie z miasta odwiedzić męża. Znajoma, sprytna kobietka, poczęstowała taką Niemkę w bufecie dobrym likierem i zaczęła ubolewać nad tym, że jej mąż ma tak dużo pracy, bo często wraca zmęczony, ale pewnie za to dobrze zarabia. Musiała trafić w czułe miejsce, bo podpita Niemra odpaliła z miejsca, że mąż nie zarabia tak, jak ci z partii, których żony mają brylanty i po kilka futer. A nie zarabia dlatego, bo jest na ciężkiej służ-

bie. Znajoma zrobiła zdziwione oczy i mówi, że przecież kupcy pracują na siebie. A Niemka na to, że oni nie są żadni kupcy, tylko Gestapo i specjaliści z jednej fabryki niemieckiej, którzy łapią polskie radiostacje. Znajoma nie pokazała nic po sobie, że to ją interesuje i teraz są z Niemką w przyjaźni. Trochę ze sobą handlują”.

Ucieszyłem się niezmiernie. Może minęła zła passa i lepsze gwiazdy zaczynają nam przyświecać. Co za szczęśliwy, choć niewiarygodny przypadek, że jeden z naszych ludzi wywachał, gdzie się gnieźdzą nasi najniebezpieczniejsi wrogowie! — „Panie Mieciu, nie ma pan pojęcia, jaką pan oddał przysługę naszej robocie. Czy pańska znajoma to pewna osoba?” — „Murowana. Dobra Polka, zrobi, co każemy”.

Namyślałem się dłużej czas. Jeden pomysł przychodził za drugim. Sprawa znacznie się uprościła. Miecio milczał, patrzył i czekał. Wahałem się, nie mogąc się zdecydować na nic konkretnego. Wreszcie przyszła mi do głowy pewna myśl. Wynikała z niej pewność zlikwidowania Niemców, ale środek jakiego należało użyć, budził wątpliwości. Walczyłem ze sobą, lecz doszedłem do przekonania, że nie można mieć żadnych skrupułów. Oni nie przestrzegają żadnych zasad walki, chodząc w cywilnych ubraniach i udając Polaków. Czyż my w tych warunkach mamy obowiązek walczyć po rycersku? Zresztą Oświęcim, Majdanek, Palmiry, Ghetto... Nie ma co się wahać. Zdecydowałem się: „Jak pan sądzi, nie dałoby się ich otruć?” — „To dobra myśl, zapytam się”. — „Podziękuj pan znajomej i poproś pan o numery aut i godziny wyjazdów, a także ilu ich jest, jak się nazywają, gdzie mieszkają żony. W ogóle proszę o wszystko, co ich dotyczy”.

Po kilku dniach Miecio wręczył mi kartkę z wszystkimi danymi, jakich żądałem. Był rozradowany i opowiadał: „Tablice z numerami samochodów są zmieniane co dwa, trzy tygodnie. Poza tym te samochody, które wyjeżdżają na dłużej, pewno za Warszawę, zakładają inne numery. W samochodach są aparaty pomiarowe i garaż jest bardzo pilnowany, a koło Y.M.C.A. stoi warta dzień i noc. Jest ich około trzydziestu i pracują na dwie zmiany. Godziny wyjazdów są dość regularne. Gdyby się coś zmieniło, możemy dostać telefoniczną wiadomość. Na kartce są także

adresy niektórych żon i przyjaciółek. Wszystko to wywyższyła moja znajoma, która popija teraz z ich kobietami i obserwuje pilnie wyjazdy i wszystko, co robią. Co najważniejsze jednak, niektórzy z nich przebierają się teraz za kolejarzy i księży. Inni znów na wyjazd kładą pilotki, lub obwiązują twarz tak, jakby ich zęby bolały. Pod pilotką lub chustką mają coś w uchu, od czego idzie przewód za kołnierzyk i do kieszeni. Znajoma, jak jej powiedziałem o co tu chodzi i że jej wiadomości to dla nas kwestia życia lub śmierci, tak się zapaliła do roboty, że aż muszę ją hamować. Myślę jednak, że się nie wysypie, bo tam wszyscy tym kupcom się przyglądają i nawet postugaczki między sobą wzruszają ramionami na te maskarady. — „A jak z możliwościami otrucia?” — „Wykluczone! Piwa nie wolno podawać odkorkowanego, ani wódki. Znajoma na próbę poczęstowała jednego cukierkiem, to grzecznie podziękował, ale nie wziął. To samo jedzenie co oni dostaje polski personel biurowy. Musiały się niemiaszki gdzieś sparzyć i teraz bardzo uważają. Co innego z ich kobietami. Te zdrowo i chętnie popijają z moją znajomą”.

Wiadomości Miecia zapierały po prostu dech w piersiach. No, teraz się zabawimy! Może się uda pomścić Władka i Mirka. Przede wszystkim jednak należało sparaliżować naprawdę inteligentny i pomysłowy nowy system, trzeba to powiedzieć zupełnie nie niemiecki, ekipy goniometrycznej. Natychmiast przekazałem otrzymane informacje A.K. i kierownikom naszych stacji. Każdy z nich dostał kartkę z numerami samochodów i z godzinami wyjazdów. Słuchali ze zdumieniem, chłonąc każde słowo. Kończyłem odprawę zawsze tymi samymi słowami: „Uważać na księży, kolejarzy, ludzi z obwiązaną twarzą, na wszystkie czapki zasłaniające uszy i podniesione kołnierze!” Wszyscy reagowali jednakowo. Błyszczące oczy, uśmiechnięte twarze i nowa ochota do walki i pracy. Szanse nasze się polepszyły i gra dopiero teraz rozpoczynała się na dobre.

Chodziłem w tych dniach, jak odrodzony. Mózg pracował jakoś lepiej i pomysły przychodziły łatwiej. Trzeba zrobić generalne uderzenie na niemiecką ekipę i wykończyć ją doszczętnie. Nie opłacało się likwidować tego czy innego u żony lub kochanki, bo zorientowaliby się, że są

rozszyfrowani i zmieniliby kwaterę, a co gorsza także system. Może na krańcach miasta, w jakimś osobnym domu dać dobrą osłonę radiostacji i zagrać na wabia? Ściągnąć ekipę pod stację, otoczyć z zewnątrz i wystrzelać co do nogi? A może lepiej uderzyć w nocy na Y.M.C.A.? Czulem jednak, że egzekutywa K.W.C., którą rozporządzałem w Warszawie, ma za mało doświadczenia w tego rodzaju akcjach i postanowiłem zwrócić się do dowódcy Kedywu, pułkownika Radosława.

Przedstawiłem sprawę najpierw na K.W.P., gdzie zapadła decyzja zlikwidowania gonii. Wykonanie poruczone Kedywowi i z tego powodu jego dowódca, płk. Radosław, poznał mnie z oficerem Kedywu, młodym, dwudziestokilkuletnim chłopcem, wyznaczonym na dowódcę tej akcji. Miałem z nim kilka spotkań i rozmów, w czasie których przedyskutowaliśmy wszelkie możliwości. Obejrzelismy również przyszły plac boju, najpierw z ogrodu za zakładem głuchoniemych, a później od strony Frascati. Wszędzie naokoło dużo wolnej przestrzeni i możliwość wycofania się oddziału na ulicę Rozbrat w razie uderzenia na Y.M.C.A. Chodziliśmy w tę i z powrotem, ale warta przed Y.M.C.A. nie zwracała na nas żadnej uwagi. Oficer zastanawiał się, mówił coś do siebie, obliczał, wreszcie zdecydował: „Wykończymy ich tutaj, w budynku. Tak będzie najlepiej”.

Gra w ciuciubabkę.

Jan pracował teraz od czasu do czasu na naszym dobrym, starym lokalu na ulicy Pawiej. Mieszkanie należało do wysiedlonego Pomorzanina, dawnego marynarza wojennej floty niemieckiej. Był to starszy już człowiek, oblatany po świecie, wielki gaduła i zawsze, gdy się pokazałem w lokalu, wyciągał mnie na dyskusje o polityce. Mówił świetnie po niemiecku i tym usypiał czujność żandarmów, kręcących się koło murów ghetta na Pawiej, podzielonej murem wzdłuż na dwie części — aryjską i żydowską.

Marynarzowi nadałem pseudo Pawiński i wraz ze swoją skromną i cichą żoną pełnił on funkcje obserwatora, gdy stacja pracowała w jego mieszkaniu. Widywałem stamtąd od czasu do czasu z okien wszystkie okropności ghetta.

Strzelanie do ludzi, egzekucje, pogoń za uciekającymi i tym podobne wyczyny „supermenschów”. Najstraszniejszy był jednak widok zwariowanego, starego Żyda, zarośniętego po białka oczu, który wydostał się jakimś cudem na najwyższe piętro zrujnowanego domu i tam, niedostępny dla Niemców, kiwał do przechodniów po aryjskiej stronie, wykrzywił się i zawodził coś godzinami. Ten okropny widok trwał parę tygodni i wreszcie któregoś dnia Żyd zniknął. Pewno umarł z głodu.

Innym razem — sielanka. Żandarmi z Pawiej zniknęli, jak kamfora, a na murze zjawił się tłum wynędzniałych żydowskich wyrostków. Po pewnym czasie z aryjskiej strony podjechała platforma, załadowana workami, a na niej kilku mężczyzn o typie wybitnie z Kercelaka. I oto górą przez mur przejeżdża z ghetta wśród krzyku i gwałtu wspaniały, czarny fortepian i jakieś kosztowne meble, a z platformy do ghetta wędrują worki. Po kwadransie platforma odjeżdża, Żydzi z workami znikają i nie wiadomo skąd pojawiają się znów żandarmi.

Pocziwa Pawińska i jej mąż mieli swoisty sposób obserwacji. Zamykali telegrafistę z zewnątrz na wielką kłódkę, wiszącą na skoblu i to miało upewnić każdego, że wewnątrz mieszkania nie ma nikogo. Pawińska siadała teraz przed bramą i gwarzyła z sąsiadkami, lub kręciła się po ulicy, wybiegając od czasu do czasu na sąsiednie, gdzie patrolowały inne obserwatorki. Pawiński w tym czasie prowadził nie kończące się rozmowy z tym czy innym żandarmem.

Któregoś dnia zgrzytnął klucz w kłódce i zadyszana Pawińska zaalarmowała Jana: „Na sąsiedniej ulicy stoi samochód z takim numerem, jaki mam na kartce”. Jan momentalnie odskoczył od aparatu, schował go do skrytki w piecu i wyszedł na ulicę. Wzięła go ciekawość, jak samochód niemiecki wygląda, więc poszedł w jego kierunku. Ledwo zrobił parę kroków, gdy trafił na... księdza, który z „Nowym Kurierem Warszawskim” w ręku, chodził od domu do domu, patrzył na numery i porównywał z gazetą tak, jakby czegoś szukał.

W Janie, który był dobrze poinformowany o nowych trickach Niemców, ksiądz ten z miejsca wzbudził podejrzenie. Ale chciał on przede wszystkim obejrzeć samo-

chód, co do którego miał pewność, że to była gonia. Pospieszył na sąsiednią ulicę Zegarmistrzowską i rzeczywiście ujrzał samochód z zakazanym numerem, a w nim siedzących cywilów. Gdy jednak spostrzegł, że do samochodu wsiada ten sam ksiądz, którego widział z gazetą na Pawiej, zdumienie jego nie miało granic. Bo informacja informacją, ale pewność to pewność. Co innego słyszeć o tym, że Niemcy przebijają się za księży, a co innego zobaczyć takiego na własne oczy.

W ten sposób szybko sprawdziliśmy rzetelność otrzymanych informacji i nastawiliśmy się szczególnie ostro na księży. Wkrótce jednak mieliśmy już wiadomość, że Niemcy zarzucili ten strój i przebijają się tylko za kolejarzy. Zapobiegło to wspaniałemu stacji Rafała, który z przejęciem o tym opowiadał:

„Moja żona, Kazia, często w czasie obserwacji siedzi u jednej znajomej, w budce z żywnością i stamtąd patrzy na okolicę, bo z budki dobrze ją widać. Zachodzi też do niej, dla niepoznaki, o innej porze, żeby nie przychodzić zawsze o tej samej godzinie. Siedzą tak parę dni temu i rozmawiają, a tu przychodzi polski kolejarz i prosi o kielich bimbru i kawałek kielbasy. Wódkę wypił, je kielbasę i pyta się kobiet: „Czy nie wiedzą panie o jakim wolnym mieszkaniu w tej okolicy? Podoba mi się tu bardzo i chciałbym tutaj zamieszkać”. Kazia, kobieta nie w ciemnię bita, pyta: „A pan szanowny skąd przybywa, że mu się takie budy podobają?” — „Byłem na robocie w Rzeszy, jestem wysiedlony Poznaniak, bez dachu nad głową i tu chciałbym doczekać końca wojny”. I niech pan pomyśli! Łachudra wyjął chustkę i niby z oczu łyzy ociera! Kazia mu na to: „Tu będzie trudno, mieszkań wolnych nie ma, ale niech pan przyjdzie jutro o tej samej porze, to może mąż będzie coś wiedział”.

„Na drugi dzień przyszedłem z Kazią do budki zawczasu, a po chwili przyszedł także kolejarz. Obejrzałem go sobie dobrze. Kolejarz, jak to kolejarz. Nic takiego nie zauważyłem. Co do mieszkania, to mu powiedziałem, że nie znamy w tej okolicy żadnego wolnego.

„I co pan na to? Po dwóch dniach widzę z daleka tego drania, już nie w kolejarzkim ubraniu, ale w porządnym garniturze, w pumpach i pończochach, jak łązi po ulicach

i przygląda się domom. Teraz, po wszystkim było widać, że to Niemiec. Łaził tak z godzinę, potem poszedł. Poleciałem za nim i niech pan sobie wyobrazi, na trzeciej ulicy wsiadł w auto niemieckie, które tam czekało!”

I znów Miecio dał znać, że Niemcy przestali się przebieierać za kolejarzy i chodzą teraz ubrani, jak zamiatacze ulic. Już w kilka dni po tym ostrzeżeniu, stałem za węglem domu na Mokotowskiej z obserwatorką i przyglądałem się takiemu słudze magistrackiemu, jak w brezentowym płaszczu, z podniesionym kołnierzem i obwiązaną gębą, stał na środku ulicy, obracając ramionami raz w lewo, raz w prawo. Miotła i wózek stały przy chodniku, a on sterczał w miejscu, okręcając się wolno na wszystkie strony. Stacja już była zaalarmowana, więc nie bardzo się tym przejmowałem, w przeciwieństwie do obserwatorki, która cała się trzęsła z emocji, rozpytując: „Czemu on się tak kręci, jak fryga?” — „Prosta rzecz. Ma wszytą w ramiona antenę kierunkową, a ponieważ nasza stacja nagle zamilkła, więc myśli, że zgubił fałę i chce ją na nowo schwytać. Tym razem mu się nie uda”.

Pojedynek Rafała z gonią.

Ulubiony lokal Rafała znajdował się w budynku fabrycznym, gdzie na parterze mieściły się biura, a na piętach mieszkania służbowe. W jednym z nich pracowała stacja, a na niej zwykle Marcin, dla którego udało się wyrobić jakieś zajęcie w fabryce. Cały kompleks fabryczny był ogrodzony, a u bramy stała niemiecka warta, gdyż fabryka była *wehrwichtig* (ważna dla celów obrony) i miała zarząd niemiecki. Lokal posiadał tę kolosalną zaletę, że dla gonii i żandarmów budynek, z uwagi na wartę, musiał uchodzić za niemiecki i był poza podejrzeniami.

Zbliżała się codzienna godzina pracy i Marcin kończył zestawianie aparatu, Rafał zaś rozwieszał antenę. Wtem ktoś zapukał do drzwi. Rafał nie uważał tego za nic szczególnego, więc odpowiedział „zaraz”, zamknął drzwi do pokoju Marcina, a sam wyrzwał na korytarz. Stał tam jego znajomy, który szepnął mu do ucha: „Przyjechali jacyś Niemcy i w biurze dyrekcji, na dole, rozstawiają na stole aparaty. Chodź, zobacz co to może być”. — „Poczekaj”

odpowiedział tknięty złym przeczuciem Roman i wrócił do Marcina. — „Chowaj stację. Zdaje się przyjechała tutaj gonia”. Marcinowi nie trzeba było tego powtarzać dwa razy. Schował aparat, ściągnął antenę, a Rafał poszedł na dół. Wziął do ręki jakieś papiery i wraz ze znajomym poszli wolno, wzdłuż biur dyrekcji na parterze.

— Patrz — szepnął przyjaciel Rafała i wskazał okienko we drzwiach. Rafał zerknął i zobaczył grupę cywilów wokół stołu, na którym stał jakiś aparat. Jeden z nich miał słuchawki na uszach i manipulował gałkami. Pod Rafałem ugięły się nogi. Nie było wątpliwości, że to gonia, która już nasłuchiwała, bo godzina pracy z Londynem nadeszła. Znajomek patrzył na niego jakimś domyślnym i życzliwym okiem, gdy szybko, nie spostrzeżeni przez nikogo, opuścili korytarz. Rafał wrócił do Marcina, ocierając zimny pot z czoła: „No, Marcin, to już chyba cud, żeśmy nie wpadli!” — i opowiedział, co widział na parterze. Marcin najpierw otworzył szeroko oczy, wnet jednak przyszedł do siebie, a że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, więc zaprosił Rafała na wódkę, dla wzmocnienia nadszarpniętych nerwów. Gdy spotkali się ze mną wieczorem, byli obaj pod dobrym gazem. Rafał uzupełnił jeszcze: „Marcin zaraz potem wyszedł i nikt go w bramie nie zatrzymał. Znaczy to, że na nasz budynek nie mają podejrzenia, a tylko chcieli sobie w nim urządzić podsłuch. Zajrzałem jeszcze raz na parter i dopiero miałem satysfakcję! Stali, nachyleni nad tym ze słuchawkami, a on nic tylko kręci gałkami i trzęsie głową. Widać denerwował się, że nic nie słyszy. Teraz zostało tylko dwóch. Jeden dalej siedzi przy aparacie, a drugi śpi w hotelu. Reszta wyjechała”.

Z opinią Rafała zgodziłem się całkowicie: „Nie ma co mówić. Dokładnie was wymierzili, ale Niemcom nawet do głowy nie przyszło, że w budynku, przed którym stoi niemiecka warta, może pracować radiostacja. Na takie podejrzenia mają za tępe mózgi. Jednak słusznie przypuszczali, że stacja pracuje tuż, tuż i że z waszego budynku będzie ją można wymierzyć co do metra. Czekaj pan, mam myśl! Jak daleko od tego budynku jest drugi lokal?” — „Tak mniej więcej o jeden kilometr”. — „A może pan zaraz przenieść tam aparat?” — „Jutro jeszcze bym się bał, ale pojutrze to tak. Wartownicy z *Werkschutzu* już

są „zrobieni” i nas nie rewidują”. — „To w takim razie po jutrze zaczniecie grać z nowego lokalu, a wtedy Niemcom wszystko się we łbie pokielbasi”.

Tak się też stało. Marcin rozpoczął pracę na drugim lokalu, pilnie strzeżony przez obserwatorki, a Rafał na starym miejscu podglądał gonię i konał ze śmiechu, widząc podniecenie Niemców, gdy usłyszeli stację i ich kłótnie między sobą, gdy stwierdzili, że pracuje na innym kierunku i w innej odległości.

Na tym jednak nie był koniec. Po paru tygodniach stacja Rafała wróciła na dawne miejsce i pracowała nadal, zaś Kazia patrolowała po starym ulice, zaglądając do znajomej budki. Cała jej uwaga była skoncentrowana na ulicę, natomiast nie zwracała wcale uwagi na tę stronę, gdzie w polu pracowali ludzie na działkach, w ogródkach. Żaden samochód tamtędy nie mógł przejechać i każdy człowiek był z dala widoczny. Toteż jedynie przypadkowo spoglądała w tamtą stronę, widząc za każdym razem pochylone grzbiety działkowiczów oraz błysk motyk i szpadli.

Naraz jednak pokazało się tam dwóch mężczyzn z tyczkami w rękach. Ruchy ich z daleka wskazywały, że przeprowadzają pomiar działek. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ale Kazia, doskonale wyszkolona obserwatorka, uważała, że nie może ich spuścić z oka dopóki się nie upewni, że to miernicy. Po chwili spostrzegła, że jeden z nich raz po raz wyjmuje coś z kieszeni, podnosi rękę i wypuszcza z niej rodzaj metalowego węża, błyszczącego w słońcu. Obraca się przy tym wolno na wszystkie strony. Kazi to wystarczyło. Zwolna wyczołgała się i zaalarmowała stację. Gdy wszystko było schowane, stanęli z Rafałem przy oknie i przypatrywali się z daleka ruchom dwóch mężczyzn, które z chwilą gdy Marcin zdjął rękę z klucza, nabrały dziwnej nerwowości. Wyglądało to, jak gdyby opędzali się od os. Kręcili się wokoło i wystawiali w różnych kierunkach ręce z błyszczącymi węzami. Trwało to kilkanaście minut, wreszcie rzucili tyczki i, depcząc po działkach, wymyślani przez ich właścicieli, poszli naprzecią w kierunku ulicy.

Rafał wysunął się z bramy i poszedł za nimi. Minęli kilka ulic, wyszli na plac i... po Rafale przebiegł zimny dreszcz. Na placu stało otwarte auto z cywilnymi Niem-

cami, do których przyłączyli się dwaj obserwowani mężczyźni. Za autem dwa ciężarowe samochody, wyladowane żandarmami w hełmach na głowie i z karabinami w ręku.

Otrzymałem w ten sposób jeszcze jedno potwierdzenie dawnego przypuszczenia, że system niemiecki polega nie tylko na wymierzeniu domu, gdzie stacja pracuje, ale po prostu mieszkania. Niemcy dobrze wiedzieli, że na aparaty są schowki, a telegrafisci mają dobre, nieraz autentyczne papiery. Jeśli stacji nie zaskoczą przy robocie, a na przykład otoczą kilka domów, lub nawet jeden, to najdokładniejsza nawet rewizja nie da rezultatu, a stację spłoszą z tego miejsca raz na zawsze. Tropili więc nas bez żadnej ostentacji, jak gdyby konspiracyjnie i jeśli nie doszli do drzwi lokalu, wycofywali się tak dyskretnie, by nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Przekonałem się także już nie wiem po raz który, że do obserwacji najlepiej jest używać członków rodziny telegrafisty, lub właścicieli lokalu. W razie niebezpieczeństwa, nie zawiodą nigdy i chociaż z największym ryzykiem, to jednak zaalarmują stację. Klasycznym tego przykładem była Kazia.

Że Niemcy uwzięli się na stację Rafała i że w stosunku do niej wrócili do dawnych metod, gdy nowe zawodły, widzieliśmy to z Zosią któregoś dnia na własne oczy. Bałem się teraz szczególnie o losy tej stacji i bardzo często kontrolowałem jej obserwację, gdy pracowała. Rafał i Marcin czuli się jednak dobrze, pracy nie chcieli przerywać, widać, że się zawzięli. Popijali tylko częściej, niż przedtem i już Zosia nie spotykała się z nimi na ulicy, ale przeważnie w skromnym barze przy Marszałkowskiej, gdzie odprężali nerwy po ciężkich przejściach dnia. Przy padli sobie obydwoj bardzo do serca, zaprzyjaźnili się i prawie że się nie rozstawali.

Wybrałem się kiedyś z Zosią na inspekcję obserwatorów tej stacji, gdy pracowała na Królewskiej. Zbliżając się do rogu Marszałkowskiej i Królewskiej, zauważyliśmy kręcącą się w pobliżu Kazię. W tej chwili rozległ się huk motoru i znad ruin gmachu Giełdy wyskoczył samolot, który poszedł wprost na dom Rafała. Nim Zosia dobiegła do Kazi, ta już zniknęła w bramie. W tej samej chwili, z Ogrodu Saskiego wypadła otwarta limuzyna, a w niej

ujrzeliśmy... znajomych drabów z ulicy Dolnej, trzymających w ręku pistolety maszynowe i rozglądających się pilnie po ulicy. Limuzyna zwolniła, a my błyskawicznie odwróciliśmy się tyłem do ulicy i zaczęliśmy pilnie przyglądać się wystawie. Niemcy przejechali, nie poznając nas. Popatrzyliśmy w ślad za nimi. Stanęli przed kantyną w budynku I.P.S.-u. Gdy Kazia wróciła z zaalarmowanej stacji, posłałem ją na Plac Marszałka Piłsudskiego, by zobaczyła, co Niemcy robią. Wróciła po kilkunastu minutach: „Jeden siedzi w samochodzie ze słuchawkami na uszach, a reszta poszła do kantyny”. Tymczasem nadszedł ze stacji Rafał. Był spokojny i pogodny, gdy opowiadał: „Brzęczało mi ciągle w uszach i czułem, że to samolot gdzieś krąży. W związku z tym dziś wyjątkowo więcej uważałem na niebo, niż na ulicę. I nim nadleciał nad dom, przerwałem pracę. Jak Kazia weszła, aparat był już schowany”.

Uśpiłem na jakiś czas stację Rafała, żeby nie przeciągać struny, ale gdy reszta stacji nie mogła sobie dać rady z nawałem depeesz, wrócił on po raz trzeci na stałą bazę i zaczął tam pracować, ale już tylko w nocy. Zrezygnowaliśmy z ulicznej obserwacji i wszystkie środki ostrożności sprowadziły się do tego, że Rafał siedział w nocy na dachu, skąd w ciszy nocnej doskonale słyszał nie tylko przejeżdżające samochody, ale nawet kroki ludzkie. Gdy widział coś podejrzanego, to... ciągnął mocno za sznurek, który Marcin miał przywiązany do ręki, pracującej na kluczu.

Ten system, to jest parcia sznurek contra najbardziej nowoczesne niemieckie aparaty pomiarowe, funkcjonował znakomicie i zdał doskonale egzamin życiowy. Stacja Rafała w ten sposób pracowała nocami, bez żadnych przeszkód, aż do wybuchu Powstania.

Skarb Państwa płaci długi.

Przyszedł znów alarm, ale z innej strony. Przybiegł zatroskany Rafał i spowiadał się z nowego zmartwienia: „Niemcy, zdaje się, trafili na ślad Jakuba, tego, pan wie, właściciela mieszkania, gdzie wpadł Władek. Ukrył się u znajomych, gdy dostał od nas lewe papiery i stałą pomoc, bo do pracy chodzić nie może. Przyszła po niego policja

granatowa, ale na szczęście nie zastała go w domu. Teraz znów tuła się gdzie indziej i nie wiem, naprawdę, jak z tym sobie dać radę". — „A nie dałoby się na to poradzić gotówką? Może by kto dotarł do granatowych, dowiedział się o co chodzi i w razie czego posmarował?" Rafał westchnął: „Trzeba będzie popróbować. A jeszcze temu Jakubowi dziecka się zachciało, bo żona w ciąży! Jak łobuz nie pracuje w fabryce, to chociaż w domu. Ale gdzie my ich podziejemy, jak się dziecko urodzi?" — „Ma pan jeszcze czas o to się martwić. Jeszcze, panie Rałale, będzie pan podawał do chrztu dwojaczki". Żart żartem, ale byłem niespokojny. Nieraz udawało się wyplątać z ciężkiej sytuacji, a innym razem z drobnych trudności powstawały ciężkie wyspy.

Po jakimś czasie, Rafał podejrzenie wesoły i zalatujący bimbrem, raportował: „Właśnie wracam z wódki ze starszym przodownikiem. To całkiem głupia i zwariowana sprawa. Jakub był winien jednej babie dwa tysiące złotych i jak zwiął po wyspie, to ta herod-baba zaprzysięgła sobie, że go odnajdzie i że chociaż z gardła, to mu te pieniądze wydrze. I znalazła go! Jak się dowiedziała, że on ma nowe nazwisko, to kropnęła donos do granatowej policji, że Jakub zrobił to po to, żeby się przed nią ukryć i nie oddać długu. To swoją drogą głupie babsko! Ta musi kochać pieniądze! Przodownik nie jest zły chłop. Podlałem go dobrze i chce iść Jakubowi na rękę. Zdaje się, czuje, że zawadził o konspirację. Mówi, żeby babie zwrócić pieniądze, a on już tak robi, że donos cofnie. Nazwiskiem Jakuba się nie interesuje, bo mówi, że to nie jego rzecz. Co pan na to wszystko?"

Przede wszystkim chciało mi się śmiać i nie odmówiłem sobie tej przyjemności. Śmiał się także Rafał, ale na babę pomstował. — „Jutro pan dostanie dwa tysiące złotych, no i jeszcze coś, by pan mógł pójść z przodownikiem jeszcze raz na wódkę". — „To nigdy nie zawadzi, bo Jakub mieszka w jego rewirze i przodownik może być potrzebny".

Wkrótce Rafał wręczył mi z triumfem skrypt dłużny Jakuba na dwa tysiące, zwrócony przez herod-babę przodownikowi.

Czy na tym koniec? Wcale nie. Podziemna Izba Kontroli uznała wydatek na wódkę z przodownikiem, ale nie aprobowwała zapłaty prywatnego długu Jakuba. Przedstawienie długotrwałego sporu na ten temat z tą wielce szanowaną instytucją podwoiłoby objętość niniejszego opowiadania, muszę więc z tego zrezygnować. Sprawa wreszcie oparła się o samego Delegata i ten rozstrzygnął ją na moją korzyść. Nie chciał, by dla dwóch tysięcy złotych łączność radiowa z Londynem została nawet w najmniejszym stopniu zagrożona.

Tragedia w Piasecznie.

Kierownik stacji i w jednej osobie telegrafista, Alfred, miał już sieć lokali i próbował „Rysię” aparat produkcji inżyniera Ryszarda. Alfred chodził jak na sprężynach i gdy go spytałem o powody tak dobrego nastroju, wyjaśnił z rozradowaniem: „Zenię się z Emilką pojutrze. Nareszcie mamy takie warunki, że możemy się pobrać”. Złożyłem mu serdeczne życzenia, z przyjemnością patrząc na jego rozpromienioną twarz. Po paru dniach miałem okazję złożyć je również Emilce, obecnie już szczęśliwej pani Alfredowej. Młoda para spędzała miodowy miesiąc przy kapryśnej „Rysi”. Pracowali w Piasecznie i łączniczką między nimi a centralą była kuzynka Emilki. I ona to właśnie, z zapłakanymi oczyma, przyniosła złą wiadomość:

— „Wczoraj wzięli Alfredów. Emilka była w domu, a Alf wyszedł na miasto, po kapustę. Gdy tylko wrócił, zaraz nadjechali Niemcy, obstawili dom dookoła, część z nich weszła do środka i rozpoczęli rewizję. Niestety, aparat i wszystkie papiery były ukryte w kołyszce, pod dzieckiem gospodyni, u której Alfredowie mieszkali. Dziecko podnieśli i aparat znaleźli. Z radości zaczęli wiwatować i na miejscu urządzili pijatykę. Potem zabrali Alfredów i odjechali do Warszawy”. Łączniczce łzy polały się z oczu strumieniem: „Już przepadli, przepadli na zawsze! A tylko co się pobrali!”

I znów tragedia i strata miłej, szczęśliwej pary. I stacji. Ale cóż robić? Taki był nasz los. Jak zwykle, zacząłem badać okoliczności, w jakich nastąpiła wpadka. Rzuciło się w oczy, że Alfredów nie wzięli przy pracy. Czyżby ich

przedtem wymierzili z taką dokładnością? Ale w takim razie czemu nie uderzyli na stację od razu, w czasie pracy? Może to denuncjacja, albo rozpracowanie z innej strony?

Podzieliłem się tymi spostrzeżeniami z łączniczką, którą gnębiły te same wątpliwości. Postanowiła badać sprawę na własną rękę i już po paru dniach poinformowała Zosię, że podejrzenia skupiają się koło niemieckiej firmy, gdzie Alfred poprzednio pracował. Są pewne poszlaki, że ktoś z jej personelu, osobisty wróg Alfreda, Niemiec, zorientował się po jego dość nieostrożnym zachowaniu, że odciąga go od pracy w firmie coś zakazanego. On to prawdopodobnie Alfreda zadencjonował. Były to jednak tylko poszlaki i żadnych innych dowodów w tej sprawie nie udało się zdobyć. Zaświtała jednak pewna nadzieja, którą przyniosła Zosia po rozmowie z łączniczką: „Wiesz, kuzynka Emilki dotarła do jakiejś Niemki, dość ustosunkowanej, którą zna sprzed wojny jako przyzwoitą osobę i ta kategorycznie zobowiązuje się uzyskać dla Alfreda obóz koncentracyjny, zamiast śmierci. Co do Emilki, to oczywiście pójdzie ona do obozu, tak czy inaczej. Niemka żąda na koszt pięćdziesiąt tysięcy złotych, płatne z dołu”. W żadne interwencje, płatne z góry, nie wierzyłem. Ale Niemka żądała pieniędzy z dołu, a był już rok 1944 i z Niemcami działy się różne cuda. Delegat zgodził się od razu na zapłatę tych pieniędzy, gdy otrzymam dowód, że Alfred jest w obozie koncentracyjnym. Nie upłynęło parę tygodni, jak kuzynka miała wiadomość od Niemki, że Alfred jest już wysłany do obozu. Mimo wątpliwości, cieszyliśmy się tym na kredyt. Dotkliwe uderzenie spadło z innej strony. Była nim wiadomość od kuzynki, że Emilka została rozstrzelana. Była to zupełna i tragiczna niespodzianka. Alfred — kierownik i telegrafista — w obozie, a obserwator rozstrzelana?! Coś się tutaj kłóciło. Wyjaśnił wszystko dopiero konspiracyjny raport z Pawiaka. Przyjechał do Warszawy szef S.S. i Gestapo, Himmler, i na jego rozkaz zostało rozstrzelanych kilkadziesiąt bardziej obciążonych kobiet. Niemka opowiadała kuzynce z uznaniem: „To był lew, a nie kobieta! Całą winę wzięła na siebie. W zeznaniach oświadczyła, że jest inteligentką, a Alfred rzemieślnikiem. Że miała nad nim całkowitą przewagę, tym bardziej, że był w niej zakochany. Że ona

go wprowadziła do organizacji i ona go namówiła do pracy na radiostacji, mimo że się wzbraniał. Słowem — robiła, co mogła, żeby Alfreda uratować. Ale to właśnie ją zgubiło!”

Po paru miesiącach kuzynka przyniosła kartkę pocztową. Wziąłem ją do ręki i czytając, nie wierzyłem własnym oczom. Kartka na formularzu obozu koncentracyjnego Stutthof, a na niej słowa: *Bin gesund und fühle mich wohl. Ich küsse meine liebste Frau und Verwandte und bitte um die Nachricht. Władysław Fox*”. (Jestem zdrow i czuję się dobrze. Całuję moją najukochańszą żonę i krewnych oraz proszę o wiadomość).

Niemka dotrzymała słowa, my w stosunku do niej również. Ale ta kartka, to był ostatni ślad po lekkomyślnym, przystojnym i zakochanym Władysławie Fox. Takie było prawdziwe nazwisko Alfreda.

Stacja leśna.

Gienio stawał się coraz bardziej nerwowo i zaczął widywać obok prawdziwych także urojone niebezpieczeństwa. Przerzywał wówczas niepotrzebnie pracę i denerwował obserwatorki zbędnymi wymaganiami i uwagami. Skutek był taki, że stacja ledwo pracowała i jej wydajność była bardzo mała. Znalazło się jednak wyjście, gdyż Bolesław Ściborek, kierownik łódzkiego okręgu Walki Cywilnej, oddał mi do dyspozycji niewielki oddział partyzancki, doskonale uzbrojony w broń zrzutową, operujący w lasach koło Skierniewic. Skorzystałem z tej okazji i wysłałem tam niezwłocznie Gienia, który w kilka dni nawiązał łączność z Londynem na nowych warunkach, przy pomocy radiostacji, zasilanej przez ręczną prądnicę. Byłem z tego bardzo zadowolony, gdyż zlikwidowanie stacji leśnej, to już dla Niemców nie taka prosta sprawa. Gonią może tu zawieść, gdyż drzewa fałszują odbicie fali i stację można nakryć tylko przy pomocy obławy, przy użyciu znacznych sił. Tymczasem oddział ma swój wywiad w okolicy i nie da się ani otoczyć, ani zaskoczyć.

Gienio chętnie zgodził się na wyjazd do lasu, bo mu pobyt w Warszawie niezbyt dobrze robił na płuca. I w ten sposób sprawa została załatwiona. Łączność ze stacją leś-

ną miał utrzymywać stary, emerytowany kolejarz, który nawet przy zamknięciu ruchu kolejowego dla Polaków, zawsze i wszędzie będzie mógł dojechać przez swe kolejarские stosunki i sposoby. Emeryt był zdecydowanym bigotem i nie rozstawał się z książką do nabożeństwa i różańcem, który nosił owinięty na przegubie ręki. Nie odstraszało mnie to wcale. Przeciwnie, gdy przyglądałem się temu siwemu kandydatowi do rajy, a równocześnie amatorowi podziemnej roboty, jednego byłem niezbitcie pewny, a mianowicie, że żaden Niemiec nie posądzi go, że jest podziemnym kurierem, przewożącym depesze. Udzieliłem mu pouczeń i wskazówek, a Gienio, mrugając do mnie okiem, instruował go, jak ma szukać skrzynki w Skierniewicach: „Najpierw idź do kościoła. Jak się trochę pomodlisz i wyjdiesz, to będziesz miał przed nosem sklep i tam jest skrzynka. Do powrotnego pociągu trzeba czekać ze dwie godziny. Poleżysz sobie krzyżem w kościele, to ci jakoś czas zejdzie”. Emeryt rady brał poważnie i powtarzał je słowo za słowem.

Cały system funkcjonował jak zegarek. Emeryt był niezwykle sumienny i punktualny. Jeździł do Skierniewic co drugi dzień i tam, na punkcie kontaktowym, oddawał i odbierał depesze. Z drugiej strony, goniec oddziału utrzymywał kontakt między lasem a skrzynką. Później, obaj spotykali się już pod miastem i bezpośrednio przekazywali sobie materiał. Odbiór depesz „z powietrza”, jako zupełnie bezpieczny, przerzuciłem na stacje warszawskie, a prawie wszystkie depesze, prócz alarmowych, pchaliśmy na Gienia, który młócił na aparacie dwa razy dziennie po parę godzin i, mimo tego wysiłku wyraźnie tył, gdyż pobyt w oddziale bardzo mu służył.

Oddział został wzięty przez K.W.C. na stały etat, co od razu odbiło się korzystnie na wyżywieniu ludzi. Ulokowałem w nim brata obserwatorki Jadzi, wysokiego, chudego uczniaka Bolka, o którego siostra i rodzice bardzo się w Warszawie bali. Poznałem też dowódcę i lekarza oddziału, którzy przyjechali do Warszawy, aby omówić ze mną różne jego bolączki i potrzeby. Słowem sielanka, której dodawały urozmaicenia pewne pomysły Gienia.

Poszedł on po rozum do głowy i zaczął porozumiewać się ze mną... via Londyn. Znarowił się przy tym do tego

stopnia, że nie tylko zawiadamał mnie depeszą, nadaną o szóstej rano z lasu do Londynu, którą Londyn o ósmej przekazywał Warszawie, że chce się ze mną widzieć tego samego dnia, o trzynastej, w ulubionym miejscu na rogu Koszykowej i Marszałkowskiej, ale zaczął mnie zarzucać tą drogą depeszami w rozmaitych drobnych sprawach, np. że nie może się doczekać na przyrzeczony skórzany płaszcz! Może to zresztą pomogło, bo płaszcz otrzymał, chociaż nie taki, jaki sobie wymarzył, a używany.

W okresie cofania się armii niemieckiej, w czasie Powstania Warszawskiego, do lasu pod Skierniewicami przyszły znaczne siły niemieckie i cały oddział wraz ze stacją, cofnął się do lasów pod Piotrków. Dowiedziałem się o tym via Londyn, gdyż tą drogą podał Gienio przed kapitulacją punkt kontaktowy w Piotrkowie. Dotarli także do tej stacji Miecio i Pawińscy, których Niemcy wyewakuowali z zajętych przez siebie dzielnic Warszawy. Dojechali razem do Piotrkowa wynędzniali i bezdomni, spotkali tam przypadkiem na ulicy Gienia i ten ich przygarnął. Niestety, tuż przed odejściem Niemców, Miecio, nie wiadomo w jakich okolicznościach, wpadł w ręce Gestapo i stacja się rozbiegła na cztery strony świata. Jeśli chodzi o oddział, stanowiący jej osłonę, to został on przez Ściborka rozwiązany zaraz po zajęciu terenu przez wojska sowieckie.

Odnaczenia.

Nareszcie otrzymałem z Komendy Głównej A.K. wiadomość, że przedstawieni przeze mnie do odznaczeń jeszcze za życia, Ziutek i Władek, a poza tym Marcin, otrzymali Krzyże Walecznych. Ci pierwsi nie doczekali się tego wyróżnienia. Drugi, cały i zdrow, pracował nadal. Nie powiedziałem o tym nic świeżo upieczonemu kawalerowi orderu, tylko zamówiłem go na spotkanie w Parku Ujazdowskim. Przyszedłem tam nieco wcześniej z oficerem Komendy Głównej, majorem Frankiem. Była wiosna, piękna pogoda, wszystko w parku rozkwitało. Rozkoszowaliśmy się słońcem i zielonością, rozciągnięci wygodnie na ławce, wystawiając twarze pod ciepłe promienie. Nadszedł Marcin i przedstawiłem go Frankowi, który wstał i poważnie, ale naturalnie i bez zbędnego patosu zawi-

domił Marcina o odznaczeniu: „Panie Marcinie, Komendant A.K. nadał panu w uznaniu odwagi, wykazanej przy pracy telegrafisty, Krzyż Walecznych po raz pierwszy”. Po tych słowach, major wręczył Marcinowi wyciąg z rozkazu, napisany na papierowej wstążeczce i ucałował go w oba policzki. Marcin był niezmiernie zaskoczony tą niespodzianką. Odwzajemnił się majorowi dwoma siarczystymi pocałunkami i milczał wzruszony. Zresztą wszyscy byliśmy trochę wzruszeni i przez chwilę panowała cisza, przerywana tylko świergotem ptaków. Ja myślałem o Ziutku i Władku, którzy nie doczekali tej chwili. Stanęli mi obaj przed oczyma, tacy jakimi ich ostatnio widziałem. Nie chciałem się jednak dłużej roztkliwiać, uściśnałem więc Marcina i złożyłem mu gratulacje: „Moje serdeczne powinszowania, panie Marcinie. Zasłużył pan dobrze na ten Krzyż. Ziułek i Władek też dostali, ale możemy o tym zawiadomić tylko rodziny”. — „To bardzo dobrze, że nie zostali ci biedacy zapomniani” — pochwalił ze smutkiem Marcin — „krzyże na cmentarzu doszły ich pierwsze”. — „A teraz, panie Marcinie, głowa do góry i proszę na skromną zakąskę, którą chcemy uczcić dzisiejszą uroczystość”.

Machnęliśmy tym razem ręką na wszelkie środki ostrożności, boć to dzisiaj stacyjne święto i pośpieszyliśmy ulicami poprzez patrole niemieckie prosto do celu, to jest do lokalu, gdzie Zosia zorganizowała przyjęcie dla ludzi ze stacji Rafała. Była już na miejscu cała ekipa i wszyscy ściskali Marcina, który, rozpromieniony, korzystał z okazji i obcałowywał wszystkie obserwatorki. Znana była wśród nas jego wrażliwość na uroki płci pięknej. Nie krył się z nią wcale. Dziś prawil kobietom komplementy, przyjmowane przez nie lepiej niż zwykle.

Usiedliśmy do niezle zastawionego stołu. Marcin na honorowym miejscu, adorowany przez wszystkich, obok niego major Franek, z drugiej strony uwielbiana przez Marcina obserwatorka, Irena. Nastrój od początku dobry, poprawiał się coraz bardziej w miarę spełnianych toastów. Stale rozbrzmiewało: „Nieustające zdrowie Marcina!”

Roześmiany i zarumieniony Marcin dogadał się przy okazji z majorem, że obaj pochodzą ze Lwowa, a gdy się jeszcze okazało, że jeden był z Dolnego, a drugi z Górnego Łyczakowa, wspomnieniom nie było końca. Gniewało to

obserwatorkę Irene, która swoim gardłowym głosem żądała od Marcina, by jej poświęcał więcej uwagi.

Zosia pograżyła się w rozmowie z Kazią, która zakochana w mężu, Rafale, nie potrafiła o niczym innym mówić jak tylko o nim. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że Rafał ma piękny głos i jeszcze piękniej gra na mandolinie. Siedziałem właśnie obok niego. Był starannie ubrany, „sztywny, równy i z bukietem w ręku”. Po trzech głębszych, wypitych w milczeniu, wstrząsnęło nim nagle, podniósł palec do góry, popatrzył mi przenikliwie w oczy i uroczyście oznajmił: „O, dopiero teraz poczułem się lepiej!” Znałem dobrze tę reakcję i wiedziałem, że trzeba natychmiast nalać czwartą kolejkę. Wypiliśmy nie zwlekając, po czym utonęliśmy w rozmowie o stacji. Rafałowi nie zamykały się usta. Wspominał z przejęciem wszystkie przygody z gonią. Mówił o ludziach, o pracy, o lokalach, o rozmaitych kłopotach i pomysłach, a wszystko kręciło się koło jednego tematu — radiostacji. Wychodziła na jaw cała jego prosta i uczciwa natura, gdy mówił o swoim podejściu do naszej pracy. Słuchałem go z prawdziwą satysfakcją i, powiem otwarcie, podziwem. Rafał był robotnikiem, ale wielu ludzi wyżej postawionych w tak zwanej hierarchii społecznej mogłoby mu pozazdrościć głębi tego, co czuł i myślał.

W międzyczasie, towarzystwu zaczęło szumieć w głowie. Było głośno, ale ponad wszystkich wybijał się głos Marcina, który bawił sąsiadki opowiadaniem lwowskich dykteryjek i dowcipów.

Jednakże każda rzecz ma swój koniec i trzeba było wracać do codziennej pracy. Jeszcze raz wśród wesołego rozgwaru ściskano i żegnano Marcina. Przy wyjściu długo potrząsał moją ręką: „Pięknie było, panie szefie, nie myślałem, że przeżyję dzisiaj taki wielki dzień!”

Odbiór zrzutu.

Już dawno mieliśmy aparaty zrzutowe, ale nie w takiej ilości, by można było zaniechać własnej produkcji. Dążyłem do tego, aby w każdym lokalu był jeden aparat, gdyż w ten sposób unikaliśmy przenoszenia ich za każdym ra-

zem z jednego miejsca na drugie, co wśród ciągłych obław i łapanek zwiększało znacznie ryzyko.

Zdarzyło się np. Cesi, przewożącej z Zosią aparat na Pawią, że przegapiła właściwy przystanek tramwajowy, wyskoczyła w biegu i rozłożyła się z torbą, jak długa, u nóg żandarma, który ją najpierw skłął, a potem pomógł wstać, wymyślając ciągle po niemiecku. Żadna z kobiet nie знаła tego języka i były przekonane, że żandarm chce je aresztować. Dopiero konduktor z tramwaju, który się zatrzymał, pouczył je, że chodzi o zapłacenie kary, w kwocie 20 złotych. Oczywiście uczyniły to natychmiast, ciesząc się z takiego obrotu sprawy.

Sam przewoziłem któregoś dnia jakieś drobiazgi radiowe z jednego lokalu na drugi i wobec przepelnienia w tramwaju, stanąłem na stopniu. Na Nowym Świecie, na przystanku koło Świętokrzyskiej, ktoś brutalnie ściągnął mnie na chodnik. Obejrzałem się — żandarm. Oczy pod hełmem wybałuszone, gęba czerwona, wrzeszczy na całą ulicę. Stałem bez słowa, ale paczka w ręku zaczęła mnie palić. Wreszcie żandarm wyciągnął blok, wyrwał kwit i wręczył mi ze słowami: *Fünf zloty Strafe*.

Od zimy 1943 roku sytuacja bardzo się poprawiła. Przychodziły zrzuty jeden za drugim, prawie w każdym coś dla nas. Teraz już prawie na wszystkich lokalach mieliśmy oddzielne aparaty i przewoziło się je tylko do reperatury.

Zetknąłem się bezpośrednio z takim zrzutem, gdy mój znajomy z konspiracji, odbierający przesyłki, znalazł się w trudnościach lokalowych i poprosił mnie o pomoc. Dałem więc swój lokal i byłem przygotowany na pewne nieznanne dotychczas sensacje. Jednak zdziwiłem się, gdy zjechała przed nasz dom dorożka z mnóstwem waliz, a w niej starszy przodownik granatowej policji, tęgi bardzo mężczyzna i jakiś wynędzniały cywil. Gdy wnieśli pakunki, uginając się pod ich ciężarem, okazało się, że zajęły one pół pokoju. Taki transport wydawał mi się dość ryzykowny, więc podzieliłem się moimi wątpliwościami z grubym przodownikiem: „Nie boi się pan zatrzymania przez patrol? Wieciecie to wszystko przecież dorożką i to w biały dzień?” — „Nigdy mi się to nie wydarzyło, czego najlepszym dowodem jest, że mnie pan tu widzi. Głupie szko-

py myślą, że przewożę jakieś skonfiskowane towary do komisariatu i ani im przez głowę nie przejdzie, żeby mnie zatrzymać". — „A co będzie, jak zatrzymają?” — „No, to mamy jeszcze to” — i obaj pokazali wspianałe, nowiutkie rzutowe Colty. Jeszcze jedna rzecz mnie interesowała, więc zapytałem: „Czy panowie obaj z granatowej policji?” — „Ale gdzie tam!” — odparł gruby przodownik — „tylko się ubieram w ten mundur do przewozu zrzutów”.

Gdy rozpruliśmy płótna i zerwaliśmy klejki, wyłoniły się nowiuteńkie radiostacje, zarówno większe, tzw. przez nas „Minki”, jak i mniejsze, „Nelki”. Poza tym książki, filmy itp. Chłoniliśmy wszystko oczyma, bo to przecież przedmioty z innego, wolnego, wymarzonego świata! Oto plik fotografii naszych lotników. W mig rozchwytny! Przyglądamy się im z rozczuleniem. Łączniczka Irena wręcz ociera łzy: „Jacy oni piękni! Jacy oni wspaniali!” Oglądamy generała Sikorskiego, przemawiającego na Radzie Narodowej. Widzę także na zdjęciu znajome twarze i wskazuję nachylonej nade mną grupce tę czy inną osobę, z odpowiednim komentarzem.

Wreszcie wszystko rozpakowane, przeliczone, podzielone i pokwitowane. Żegnamy grubego policjanta i mizernego cywila, którzy na odchodnym bardzo chwalą lokal: „Bardzo nam się ta melina podoba i chętnie będziemy tu wszystko zwozić”. Musiałem ostudzić ich zapał: „Wolnego, panowie, wolnego. Co za dużo, to niezdrowo. Ten lokal służy do zupełnie czegoś innego”.

Jeden z aparatów specjalnie nas zainteresował. Była to mała, ręczna walizeczka, z jaką można bez obawy pokazać się na ulicy. Z instrukcji wynikało, że jest to radiostacja produkcji amerykańskiej, stąd dałem jej nazwę „Amerykanka”. Gdy Jan ją zobaczył, „zakochał się” od pierwszego wejrzenia. Chodził koło mnie, coś zagadywał i w ogóle marudził. — „O co chodzi, panie Janie? Bo widzę, że ma pan coś na wątrobie?” — „Czy mogę prosić, aby mi pan przydzielił tę „Amerykanke”? Bardzo mi się podoba!” — „Zrobione, weź ją pan dla siebie”.

Później na tym doskonałym aparacie Jan pracował przez całe Powstanie.

Nastroje przed Powstaniem.

Krążące po mieście opowiadania sprawiły, że wybrałem się z Zosią w piękne, lipcowe popołudnie na spacer na most Poniatowskiego. Tam, oczom naszym przedstawił się niebiański widok. Obraz, o jakim marzyliśmy od lat. Po jezdni ciągnął nieprzerwany sznur żołnierzy niemieckich, ale takich, jakich nigdy nie widzieliśmy. Obdarci, brudni, często bez broni i butów, pieszo, na rowerach i wozach, w nieładzie i rozsypce i często bez dowódców. A wśród nich ranni z obwiązanymi głowami i rękami na temblakach. O widoku niezapomniany! A tu w dodatku słońce lipcowe, jak gdyby chcąc tę nędzę lepiej wystawić na widok, wydobywało z mundurów każdą dziurę, każdą plamę z bandaża, każdą rdzę na karabinie.

Trzymając się za ręce i z trudem hamując radość, sygnalizowaliśmy sobie uściskiem dłoni ciekawsze widoki. Takich, jak my, przechodniów było na moście więcej. Wędrowała tam cała Warszawa. Ludzie, udając, że rozkoszują się pięknym, lipcowym popołudniem i Wisłą, połyskującą w potokach światła, w gruncie rzeczy paśli oczy widokiem pobitych Niemców. Wymienialiśmy z nimi ukradkiem rozradowane spojrzenia, a tłumy zdemoralizowanych Niemców płynęły bez końca, ścigane głuchym głosem armat, dolatujących od Radzymina i Otwocka.

Nie ulegało wątpliwości, że front zbliżał się do Warszawy. Już od dawna obserwowaliśmy wśród Niemców oznaki rozkładu i strachu. Wyprzedawali za bezcen ponabywane nieruchomości i wynosili się do Rzeszy, wraz ze skradzionymi meblami, obrazami, kosztownościami i futrami. Kto tego nie mógł zrobić, ten dawno szukał sobie na wszelki wypadek Polaka opiekuna. Od żołnierzy można było już kupić wszystko. Sanitariuszki niemieckie sprzedawały na targowiskach zegarki i cygarnice, skradzione w szpitalach rannym żołnierzom. Depeszą z 3 lipca 1944 doniosłem do Londynu o wyjątkowym wypadku, a mianowicie, o sprzedaży przez żołnierzy, na stacji pod Krakowem, wagonu nowiutkich spadochronów. Także wysłałem parę depesz o rozstrzeliwaniu po więzieniach w G.G. dezertersów niemieckich. Mój znajomy ze świata handlo-

wego opowiedział mi w tym czasie następującą historijkę:

— Skontaktowano mnie z sierżantem niemieckim, który zaproponował mi kupno ładunku trzech samochodów ciężarowych kocy, prześcieradeł i bielizny szpitalnej, ale pod warunkiem, że wezmę darmo też trzy ciężarówki, które jego szoferzy rozbiorą na części i pomogą mi ukryć. Zdziwiony, zapytałem, dlaczego chce się pozbyć i to za nic trzech samochodów. Odpowiedział, że przyczyna jest bardzo prosta. Otóż, jeśli transakcja dojdzie do skutku, to złożę, w porozumieniu ze swymi szoferami, meldunek, że samochody zostały ostrzelane przez lotników pociskami zapalającymi i spaliły się z całym ładunkiem. Aby ta rzecz się udała, samochody muszą zniknąć.

W lipcu 1944 roku gorączka wśród Niemców osiągnęła punkt szczytowy. Urzędy wyewakuowano, Volksdeutsche uciekły, patrole przemierzały ulice, podrażnione i zestrachane, strzelając do przechodniów z byle powodu i w ogóle bez powodu. Ofiarą takiej strzelaniny padła moja teściowa, jadąca na tylnej platformie tramwaju. Przejeżdżający samochodem patrol S.S. przeciągnął salwą z pistoletów maszynowych po przepełnionym tramwaju i starszą kobietę z przestrzelonym biodrem przewieziono do szpitala na Chałubińskiego.

W życiu podziemnym też zapanowało podniecenie. Czuliśmy, że zbliża się moment decydujący. W lipcu, wziąłem udział w paru rozmowach, na których był obecny Delegat Jankowski i wojskowi oraz cywilni przywódcy podziemia. Uczestnicy ich, przy tej czy innej okazji, wypowiadali się na temat aktualnej sytuacji i stawiali horoskopy na przyszłość. Wyłaniała się z tego zupełnie jasno koncepcja Powstania. Brali oni w rachubę po pierwsze konieczność wystąpienia zbrojnego w Warszawie, jako jeden z elementów „Burzy”. To, co się stało w Wilnie, Lwowie, Lublinie i Kowlu, należało powtórzyć w Warszawie. Po drugie, nie było do pomyslenia, by czterdziestotysięczna A.K. w Warszawie mogła wytrzymać bez końca i bez użycia broni widok cofających się, rozbitych Niemców. Po trzecie, duma i godność narodowa wymagały, by stolica była wyzwolona własnymi, polskimi rękoma i to było poza wszelką dyskusją. Po czwarte, co powiedziałyby świat zachodni, gdyby Rosjanie zdobyli Warszawę tylko

własnym wysiłkiem? Wtedy Stalin bez trudu przekonałby aliantów, że A.K., rząd podziemny i całe w ogóle polskie podziemie — to fikcja, gdyż co to za armia i rząd, które, znajdując się w stolicy, nie wzięły udziału w walce o jej wyzwolenie? Jedyne tłumaczenie tego, to chyba że nie istnieją wcale. Po piąte — Niemcy sami od dawna rozpuszczali wiadomości, że na rozkaz Hitlera Warszawa tak czy inaczej będzie zniszczona.

Obiektywnie muszę stwierdzić, że pierwsze trzy elementy przeważały nad pozostałymi. Sprawa wystąpienia w Warszawie, w momencie zbliżania się Rosjan, nie budziła wątpliwości. Nikomu wówczas nawet do głowy nie przyszło, że Rosjanie mogą umyślnie wstrzymać swój atak na stolicę w chwili wybuchu Powstania. O rozbrojeniu oddziałów A.K. po zdobyciu Wilna i Lwowa, dochodziły z Komendy Głównej jakieś głuche wieści, osobiście wątpię jednak, by nawet znajomość tych faktów mogła w ówczesnych warunkach spowodować decyzję o zaniechaniu Powstania. Dotychczas nie wymyślono nic takiego, co mogłoby zapobiec wybuchowi wulkanu. A takim wulkanem była Warszawa w lipcu 1944 roku.

O terminie Powstania zdecydowała jednak późniejsza, wewnętrzna narada Komendy Głównej A.K., która musiała wziąć pod rozwagę także czynnik szósty, a mianowicie rozlepienie przez Niemców plakatów, wzywających wszystkich mężczyzn w Warszawie, z wyjątkiem dzieci i starców, do stawienia się do robót fortyfikacyjnych. Niemcy chcieli w ten sposób zlikwidować w Warszawie całą A.K. Na naradzie w Komendzie Głównej A.K. ujawniły się już także przeciwne opinie. Jak wieść niesie, Oddział Drugi stanął na wysokości zadania i przestrzegał przed rozpoczęciem zbrojnej akcji. Niech o tym jednak piszą uczestnicy tej narady, do których nie należałem. Delegat jej końcowy wynik zaaprobował. Wszystko już teraz odbywało się tak szybko, że czy to przez pośpiech, czy też przez przesadną obawę przedwczesnego ujawnienia tajemnicy, nie poinformowano o wybuchu i terminie Powstania ani Delegatury, ani członków Jedności Narodowej. Ja o tym dowiedziałem się od... Zosi, w następujących okolicznościach.

XIX

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Wybuch.

Zosia szła Marszałkowską w moim kierunku, z miną nieomylnie oznaczającą, że coś się stało: „Mam fantastyczną nowinę! Przyszedł do mnie o jedenastej Ludwik, żeby się pożegnać. Mówi, że dziś o piątej po południu, rozpoczyna się Powstanie i on idzie do ataku na Koszary Szwoleżerów!“. Obruszyłem się: „Nie opowiadaj, Zosiu, takich głupstw! Przecież ja bym o tym wiedział!“

Sam nie byłem jednak tego tak pewny, więc zostawiłem Zosię na ulicy i pobiegłem na lokal centrali K.W.C. Jeśli to prawda, to powinni o tym w Centrali już wiedzieć. Tam powinno było nadejść zawiadomienie o terminie. Ale dlaczego tak późno? Niespodzianką był tylko termin. Że zanoszą się na szybki wybuch Powstania, wiedziałem. Przedtem, 30 i 31 lipca 1944 roku, wysłałem następujące depesze:

„Dnia 30 lipca, godz. 13. W Warszawie słychać huk armat. Niemcy cywilni wyjechali. Jest wojsko i Gestapo. Po paru dniach popłochu, u Niemców spokój. Wojska rosyjskie podobno o dwadzieścia kilometrów“.

„Dnia 31 lipca. Dziś w Warszawie ta sama sytuacja, co wczoraj. Przedmieścia nie są ostrzeliwane przez artylerię, wbrew temu, co podało B.B.C. W instytucjach, opuszczonych przez Niemców, zaczynają dyskretnie urządzać wła-

dze podziemne. „Nowy Kurier Warszawski” i „Warschauer Zeitung” nie wyszły”.

W lokalu siedział mój zastępca, Krajewski, i łączniczka. Wziąłem go na bok: „Czy słyszał pan coś o tym, że dziś Powstanie?” — „Na pewno! Właśnie chciałem o tym z panem pomówić. Wiem o Powstaniu od znajomych z „Baszty”. Cały pułk już od paru dni zmobilizowany i dziś rozpoczyna się akcja”. — „Czy przyszło do nas jakieś oficjalne zawiadomienie w tej sprawie?” — „Nie, przejrzałem właśnie dzisiejszą pocztę i nic nie ma. Ale niech pan mi wierzy, wiem na pewno, że dziś się zaczyna”. Spojrzałem na zegarek i zaczęło mi się palić pod nogami. Byłem wściekły, ale nikt jeszcze złością żadnej dziury nie zatkał. Dlaczego, do jasnej cholery, nas nie zawiadomiono?! Jakies okropne niedbalstwo! Co będzie z gonią?! Przecież uderzenie na nią jest gotowe, opracowane do drobiazgów, wszyscy ludzie wyznaczeni do akcji obejrżeli plac boju i samo uderzenie wyznaczone za kilka dni! Czyżby gonia miała wyjść z tego obronną ręką? Była już pierwsza, a ja nie miałem nic przygotowanego. Umówiłem się z Krajewskim na codzienne spotkania w lokalu K.W.C. i czym prędzej wybiegłem. Zosia czekała zdenerwowana na ulicy i już z daleka dałem jej znać, że prawda.

Natychmiast się rozbiegamy. Zosia alarmuje stację Rafała, ja szukam na gwałt Jana, który ma o czwartej pracować na Pawiej. Biegam za nim po mieście i łapię go dopiero o drugiej. Mówię, o co chodzi i Jan tylko błysnął oczyma. Wpadł do domu po worek i już jedzie na Pawią, by zabrać stamtąd stację. Umawiamy się o czwartej, na rogu Koszykowej i Marszałkowskiej, gdyż nie mogę się jeszcze zdecydować, gdzie się usadowimy, a chodzi przecież o to, by się znaleźć po polskiej stronie!

Wraca Zosia i mówi, że za parę minut będzie Rafał na rogu Hożej i Marszałkowskiej. Idę tam szybko i przychodzę w momencie, gdy Rafał nadjeżdża rikszą i płaci. Dałem znak ręką riksarzowi, aby poczekał. Byłem rozgorączkowany i zajęty Rafałem, ale uderzyło mnie zachowanie rikszarza, który mrugnął do mnie porozumiewawczo, nawrócił i stanął ze słowami: „Byle prędko, panowie!”

Odprowadziłem Rafała kilka kroków na bok: „Panie

Rafale, dziś o piątej zaczyna się Powstanie". Wiadomość ta robi na nim wstrząsające wrażenie. Oddycha głęboko, patrzy w niebo i mamrocze: „Chwała Bogu, chwała Bogu, że się już zaczyna...” Ustaliliśmy, że co dzień o dwunastej będę na niego wyczekiwał na rogu Hożej i Marszałkowskiej, a gdybyśmy zostali odcięci, skomunikujemy się przez Londyn.

Wróciłem na umówione miejsce, podniecony do ostateczności. Wybuchnie, czy nie wybuchnie? Uda się, czy nie uda?

Na ulicach panował niezwykły ruch i ożywienie. Tramwaje, oblepione młodymi chłopcami, którzy bez ceremonii pakują się także na przedni pomost *Nur für Deutsche*, na co Niemcy nie reagują. Po chodnikach, szybkim krokiem, z widocznym pośpiechem idą po dwie, trzy kobiety na raz, obciążone ciężkimi paczkami i torbami. Mówię do siebie po cichu: „Roznoszą broń na punkty zborne...” Ulicą mkną rowery jeden za drugim. Chłopcy w butach z cholewami i w wiatrówkach pedałuja co sił w nogach. Jednemu z plecaka wygląda coś, jakby kij okręcony gazetą i obwiązany sznurkiem. A to bezczelny smarkacz! Przecież każdy chyba widzi, że to lufa! Z rzadka, tu i owdzie, mundurowy Niemiec i patrol krążą, nic nie widząc i nic nie rozumiejąc, co się wokół nich dzieje.

Minąłem po drodze wielu mężczyzn, idących w różnych kierunkach. Mieli na twarzach wyraz powagi i skupienia. Wpatruję im się w oczy, odpowiadają spojrzeniem, pełnym cichego porozumienia.

Spaceruję na Koszykowej, blisko Marszałkowskiej. Z bramy wychodzą młody chłopiec i dziewczyna. Ona mu zarzuca ręce na szyję i całuje. Spoglądam na nich z rozczuleniem. Chłopak rzuca spojrzenie na moje buty z cholewami i pozdrawia mnie skinieniem głowy. Odpowiadam w ten sam sposób. Po chwili pokazuje mu zegarek i mówi: „Już czas!” Pocałował jeszcze raz dziewczynę, pobięł i wskoczył w przejeżdżający tramwaj.

Po przeciwnej stronie ulicy zauważyłem mego gimnazjalnego kolegę, Żyda z pochodzenia, z którym kilka razy spotkałem się przypadkowo na ulicy i rozmawiałem. Wiedziałem, że ukrywa się pod Warszawą. Szedł spokojnie pod rękę z młodą kobietą i ukłonił mi się. Tam do licha!

Trzeba go przecież zaraz ostrzec, bo w Warszawie zginie, jak się dostanie w ręce Niemców. Ale nie wolno mi zdradzić tajemnicy! Przystaję się jednak wahać i przywołuję go skinieniem. „Wiej natychmiast z Warszawy. Za kwadrans rozpoczyna się wielka akcja i nie wiadomo, co z tego wyjdzie”. Nie podał mi nawet ręki, krzyknął w biegu „dziękuję” i za chwilę widziałem, jak skręcali ostro riksą w Marszałkowską.

Po Powstaniu, spotkałem go w Milanówku. Rzucił mi się na szyję: „Uratowałeś mi życie! Nie mogłeś zginąć, bo ja, moja narzeczona i jej rodzice, co dzień modliliśmy się za ciebie. Ledwośmy zdążyli wsiąść w kolejkę na Nowogrodzkiej. Na granicy miasta już słyszeliśmy piekielną strzelaninę. Niemcy chcieli pociąg zatrzymać w polu, ale przytomny motorniczy udał, że ich nie widzi, wziął dużą szybkość i zdążyliśmy uciec. To był ostatni pociąg, jaki odszedł z Nowogrodzkiej. Ładnie bym wyglądał, gdybym się znalazł w dzielnicy, zajętej przez Niemców!”

Teraz dopiero przyszedł na róg spocony jak mysz Jan, z workiem na plecach. Zjawiła się także Zosia. Jan ledwo zipał, gdyż miał w worku stację i transformatory, które dużo waży, a w tramwajach straszny tłok. Młodzi chłopcy mu pomagali i całkiem otwarcie ostrzegali: „Panie starszy, śpiesz się pan, bo pewno pan z tym majdanem na czas nie zdąży!”

Już słysząc pierwsze strzały od Pola Mokotowskiego, więc szybko idziemy na Marszałkowską, gdzie mamy oddzielny pokoik na ostatnim piętrze, z wejściem ze schodów. Jest to moje i Zosi prywatne mieszkanie, którego nikt z konspiracji nie zna. Obok pokoiku jest spiżarka, o suficie wyższym, niż w pokoju. W spiżarce, tuż pod sufitem, jest wentylator prowadzący na strych. Przy pomocy zaufanego dozorczy wejście ze schodów na strych zostało zamurwane i w ten sposób powstała wspaniała kryjówka z wejściem ze spiżarki przez wentylator. Trzymałem w niej zapasowe stacje, mnóstwo lamp ze zrzutów i broń. Winduję się tam z Janem, który jeszcze nie ma wprawy w sztukach akrobatycznych, jakich wymaga przedostanie się do kryjówki. Wypada więc z wentylatora na strych, jak dojrzała gruszka. Natychmiast montuje stację, ja zaś wsłuchuję się w salwy karabinów maszynowych i rzadkie, bliskie, poje-

dyńcze wystrzały. Na podwórzu słyhać głoŝy przechodniów, którzy schronili się z ulicy. Pociuszają się, że strzelanina wnet minie i będą mogli jeszcze przed godziną policyjną zdążyć do domu. Wielu z nich czekać tak będzie w naszym domu na koniec strzelaniny przez dwa miesiące.

Wreszcie widok, którego nie zapomnę do końca życia. Słyhać tupot nóg po schodach, po drugiej stronie domu i na podwórzu wypada młody chłopak w cywilnym ubraniu, w wojskowej rogatywce z orłem i jedną gwiazdką podporucznika. Wygląda, jakby go kto wyciągnął z worka mąki, w ręce zaś trzyma karabin. Za nim kilku chłopców, dwóch z rewolwerami, reszta ma w rękach granaty. Rzucili się do bramy i za chwilę słyhać stamtąd pojedyncze, karabinowe strzały. Jak się okazało, była to drużyna A.K., która przez strychy przedostała się z Piusa na Marszałkowską.

Nagle, ogłuszający huk i wstrząs! Za nim drugi i trzeci. To czołg, który wyjechał z ulicy Piusa na Marszałkowską, pojedynkuje się z karabinem, strzelającym z naszej bramy. Ludzie z krzykiem uciekają do piwnic, a kurz zasłania wszystko.

Już nadeszła godzina pracy i przy świeczce, gdyż strych ma tylko szpary w dachu, Jan zaczyna wołać Londyn. Depesza o wybuchu Powstania gotowa, leży obok. Niestety, Londyn odpowiada: „*I am sorry, nie słyŝę was wcale*” i odracza rozmowę do jutra.

Jesteśmy skonsternowani. Strych, zagubiony wśród otaczających go wyższych murów i bardzo mały, ma widać złe warunki. Na razie jednak, dopóki polski stan posiadania jest płynny, nie możemy szukać innego lokalu i dekonspirować się. Do skromnej kolacji zasiedliśmy w złym humorze. Zosia zmartwiona, bo nie ma prawie żadnych zapasów i nie wiadomo, co będziemy jedli, ja zaś przygnębiony brakiem kontaktu z Delegatem i z resztą stacji. Nad wszystkim jednak górowała kwestia Powstania. Uda się, czy nie? Kiedy armia sowiecka dotrze do Warszawy? Nie zdążyłem przeorganizować naszego systemu, stosownie do przewidywanej sytuacji, i jeśli chodzi o łączność wszystko sprowadzało się do Jana i tego, co mieliśmy pod ręką, w schowku. Roztrząsaliśmy we trójkę te sprawy godzinami i dopiero późno w noc położyliśmy się spać.

Nasz dom był w rękach polskich, ale to dosłownie w rękach, gdyż dwaj młodzi chłopcy z białoczerwonymi opaskami, z którymi wieczorem rozmawiałem w bramie, nie mieli żadnej broni. Zapytałem ich o powód tego, ale odpowiedź nie zawierała w sobie nic pocieszającego: „Mielśmy granaty, ale oddaliśmy kolegom, którzy poszli do akcji”. Wyrzuciłem na ulicę. Ciemno i głucho. Cisza zupełna, tylko w bramach słychać szepty i gdzieś tam w głębi żarzy się papieros. Zapytałem chłopców o pozycje Niemców. „Siedzą, otoczeni przez nas w PASCIE na Piusa, skąd przychodzi czołg i wali w Marszałkowską, a dalej są za Placem Zbawiciela”.

Wróciliśmy do siebie na górę i Zosia zaniosiła chłopcom w bramie nowy belgijski rewolwer z dwoma magazynkami. Byli w siódmym niebie i wprost ją błogosławili.

Na drugi dzień zbudziła nas armata czołgu, który, chociaż zamknięty już barykadą, zbudowaną w nocy u wylotu Piusa do Marszałkowskiej, podjeżdżał do niej i strzelał gdzie się dało. Życie w kamienicy już się organizowało. Odcięci od domów przechodnie zostali rozdzieleni pomiędzy lokatorów i przez nich żywieni. Już wszyscy wiedzieli, że to nie jakaś akcja, lecz Powstanie i że trzeba będzie parę dni (!) poczekać, nim wejdą do Warszawy wojska sowieckie. W piwnicach słychać było uderzenia kilofów. To przebijano przejścia z domu do domu. Rodził się już ten niezwykły labirynt, którym później można było przejść z jednego krańca miasta na drugi.

Wyruszyłem na spotkanie z Rafałem. Piwnicami i podwórzami dostałem się na Kruczą, a stamtąd, poprzez wybudowane w nocy barykady, na Hożą. Doszedłem do rogu Marszałkowskiej i, ostrzegany przez wartowników, wyjrzałem zza barykady.

Pulsująca zazwyczaj życiem Marszałkowska przedstawiała niesamowity widok. Ani śladu człowieka i cisza taka, że aż w uszach dzwoni. Pozrywane druty, wywrócony tramwaj i pustka, przerażająca pustka. Z rzadka tylko rozlegają się strzały z gmachu poczty przy Nowogrodzkiej, potem ich echo i znów martwa cisza. Rafała nie widać, więc zacząłem wołać: „Rafał! Rafał!!!” Od Poznańskiej odpowiedziało echo: „Rafał! Rafał!!!!” Byłem tym odgłosem wprost przestraszony. Echo na Marszałkowskiej, za-

mienionej w pustynię, to już koniec świata! Rafał się jednak nie odzywał i wartownicy przy barykadzie zaczęli się denerwować: „Przestań się pan wydzierać! Widzi pan, że naokoło nie ma żywego ducha”.

Nie było go tego dnia, nie było i następnych. Pierwszy sierpnia 1944 roku, to koniec wspaniałej stacji Rafała. Wiele miesięcy później dowiedziałem się, że od pierwszego dnia znalazł się wraz z Marcinem w dzielnicy, obsadzonej przez Niemców, cudem uniknął rozstrzelania przez Ukraińców i został wywieziony przez Pruszków w głąb kraju.

Poszedłem stamtąd przygnębiony, na spotkanie z Krajewskim, do lokalu przy ulicy Wspólnej. Otworzyła mi drzwi zapłakana właścicielka: „Nie ma nikogo, proszę pana”. — „A czemu pani płacze?” — „Syn i córka poszli z A.K. i nie mam od nich żadnej wiadomości...” Patrzyła na mnie zażwawionymi oczyma i czekała na słowo pociechy. Cóż mogłem jej powiedzieć? Pocałowałem ją w rękę i zbiegłem ze schodów. Nie nawiązałem tego dnia ani kontaktu ze sztabem K.W.C., ani z Delegatem, ani z Komendą A.K. Znaleźli się oni na Starym Mieście, o czym jeszcze nie wiedziałem. Gdy w końcu kontakt został zorganizowany, otrzymałem od Delegata polecenie pozostania na miejscu.

Na drugi dzień Londyn nadal nie słyszał nas ze strychu, wobec czego przenieśliśmy się piętro niżej, do obszernego mieszkania i bez ceremonii przeciągnęliśmy antenę przez całe podwórce. Rezultat był natychmiastowy. Londyn odpowiedział, że słyszy nas niezłe i Jan z miejsca nadał depeszę, informującą o wybuchu i przebiegu Powstania (*).

Po skończonej pracy, przemykałem się z Janem pod ścianami Marszałkowskiej na Koszykową. Szliśmy do mieszkania Jana, w którym zostało trochę żywności. Znaleźliśmy parę funtów mąki i woreczek kartofli. Był to skarb prawdziwy. Jan patrzył ze smutkiem na wypieszczone, czystkiutkie mieszkanko. Miał minę, jakby się z nim żegnał na zawsze. W bramie stanęliśmy twarzą w twarz z... inżynierem Ryszardem, tak obrośniętym i obłoconym, że go

(*) Patrz *The Warsaw Rising*, Andrzeja Pomiana, wydane w Londynie w r. 1945, str. 53; depesze podane bez podpisu pochodzą ode mnie.

z trudem poznałem. Całujemy się z dubeltówki i poklepujemy po plecach. Co za miłe i niespodziewane spotkanie! Ryszard się rozejrzył: „A co z panią Zosią?” — „Cała i zdrowa, pracujemy normalnie i bardzo się pan przyda”. — „A ja już drugi dzień przemykam się do was z Mokotowa. Zaryzykowałem przejście przez Niemców, bo nie mogłem pogodzić się z myślą, że nie będziemy razem. Nie wiedziałem, gdzie was szukać, ale kiedyś dostałem adres Jana, więc na chybił trafił szedłem do niego, aby się czegoś dowiedzieć”. Zabraliśmy go ze sobą i już po kilku minutach witał się rozpromieniony z Zosią, którą bardzo lubił i traktował po ojcowsku. Wziął się natychmiast do roboty i poszedł z Janem szukać miejsca na stację o możliwie najlepszych warunkach. Ja znów powlokłem się na poszukiwanie kontaktu z Delegaturą i A.K.

Jeszcze tego samego dnia przeniesiliśmy się na Kruczą 7, do domu z wielkim podwórzem-placem. Jan umieścił „Amerykankę” przy oknie, a Ryszard wyciągnął antenę aż na szczyt sąsiedniej, znacznie wyższej kamienicy. Otrzymał przy tej okazji chrzest bojowy, bo gdy wychylił się z okna na ostatnim piętrze, by wypuścić sznurek, do którego przywiązałem kilkudziesięciometrową antenę, seria z kaemu uderzyła obok okna i odłamki tynku spadły nam na głowę. Ryszarda to wcale nie speszyło. Schował się za framugę i wciągnął sznurek do środka, ostrzeliwany zawzięcie przez cały czas. Teraz Jan zawołał Londyn i z westchnieniem ulgi zanotował na bloku: „Słyszymy was na trzy!”

Anglik w szeregach Powstańców.

Poznałem go na Kruczej w piękne, sierpniowe popołudnie. Bombardowanie już się skończyło i po ulicy wśród stłuczonego szkła i gruzu płynął strumień ludzi, zgęszczający się przy wąskich gardłach barykad. Część zdążyła do przejścia „na drugą stronę” przy Alejach Jerozolimskich, część po prostu korzystała z panującego spokoju i spacerowała. Z okien narożnej kamienicy, gdzie kwaterował oddział A.K., słychać było chóralny śpiew i śmiechy. Ktoś zawołał: „Jak się masz, Stefan!” Odwróciłem się i poznałem

mego znajomego, kapitana Tomka. Szedł w towarzystwie młodego człowieka średniego wzrostu, o zadartym nosie i miłej twarzy, wspierającego się na lasce. Na furazerce miał dwie gwiazdki porucznika: „Poznajcie się, panowie. Porucznik Ward, Anglik zbiegły z niewoli — pan Zieliński”. Ucisnąłem dłoń Warda i zapytałem po polsku, jak się znalazł w Warszawie. Odpowiedział dość poprawnie także po polsku, z wyraźną jednak cudzoziemską wymową. Jest lotnikiem brytyjskim i uciekł przeszło dwa lata temu z obozu jeńców w Poznańskim i jakoś rzemiennym dyszlem dotarł do Warszawy, gdzie się cały czas ukrywa pod opieką podziemia. Tutaj nauczył się po polsku. Rozstaliśmy się ze zdawkowymi uprzejmościami.

Następnego dnia zaczęły atakować czołgi niemieckie od Alei Ujazdowskich ulicą Piusa w kierunku Kruczej. Niemcy pędzili przed czołgami tłum kobiet, które, znalazłszy się w pobliżu barykady powstańczej, rzuciły się hurmem naprzód, na stronę polską, nie bacząc na ogień niemiecki. Ten nieprawdopodobny, a jednak zgodny z rzeczywistością i ogólnie znany wypadek okrucieństwa niemieckiego wstrząsnął ludnością dzielnic, zajętych przez A.K. i oddziałami Powstańców.

Przyszła mi wówczas do głowy myśl, aby Ward zredegował i podpisał depezę w tej sprawie, a my ją wyślemy do Londynu. Obawiałem się, że naszej depezy, podającej tak niepojęty dla cywilizowanego człowieka wypadek, alianci nie uwierzą i zapiszą ją na konto przesadnej polskiej propagandy, tak jak kiedyś depeze w sprawie likwidacji ghetta. Odszukałem więc Warda i powiedziałem, o co mi chodzi. Chętnie się zgodził i dodał, że całą rzecz widział, gdyż był przypadkiem na odcinku przy ulicy Piusa. Niemniej poszliśmy do szpitala na Mokotowskiej, by pomówić z umieszczonymi tam, nieszczęśliwymi kobietami. Siedziały właśnie za długimi stołami i piły kawę. Na twarzach jeszcze nie ostygł wyraz przerażenia. Ward, prowadzony przez lekarza, wypytywał o to co przeszły przed samym atakiem. Opowiadały rozdygotanymi głosami wstrząsające szczegóły.

Poszliśmy stamtąd na radiostację. Ward po drodze przeklinał Niemców w ojczystym języku. Na stacji szybko zredegował depezę po angielsku, podpisał swym nazwis-

kiem i podał swój numer ewidencyjny. Dla szybkości, Jan nadał ją otwartym tekstem.

Tego samego dnia, wieczorem, B.B.C. podało wiadomość, opartą na tekście depezy. Nazajutrz podała ją także cała prasa angielska, zaś dla Warda nadeszła depeza, podpisana przez pułkownika Perkinsa, w której żądał, by Ward podał szczegóły, dotyczące swych personali, a więc datę urodzenia, imiona rodziców, miejsce zamieszkania przed wojną itd. Widoczne było, że władze angielskie chciały sprawdzić identyczność Warda. Podał on niezwłocznie żądane dane i zapytał, czy może wysłać depeze, informując o Powstaniu, bo, jak zauważył filozoficznie, władza jest na całym świecie taka sama i trzeba ją zawsze pytać o zgodę. Wkrótce otrzymałem dla niego dwie depeze: jedną od rodziców, którzy wyrażali całą swą radość z odnalezienia syna, a druga zrobiła na Wardzie, na Zosi i na mnie duże wrażenie. Figurował na niej podpis brytyjskiego ministra lotnictwa, Sinclair'a, który komunikował Wardowi o swym zadowoleniu z tego powodu, że angielski lotnik walczy w Powstaniu, w szeregach A.K. Minister zezwalał na wysyłanie depez i stwierdzał nadto, mniej więcej dosłownie: „Pańska depeza przyczyniła się do utrwalenia w nas przekonania, że Warszawa jeszcze walczy”. Zdumiał nas ten ustęp, ale wkrótce stał się jasny. Wszak Niemcy już rozgłosili na cały świat, że „ruchawka bandycka” w Warszawie została stłumiona. Wtórowali im w ten sam sposób Rosjanie. Zapewnieniom polskim alianci uwierzyli w pełni dopiero wówczas, gdy je potwierdził autentyczny Brytyjczyk.

Oddałem teraz radiostację do dyspozycji Warda, który stał się jak gdyby kronikarzem Powstania. Depeszował o toczących się walkach, o polskim i niemieckim stanie posiadania w mieście, o masowych egzekucjach w zajętych przez Niemców dzielnicach, o paleniu Warszawy i żądał natarczywie pomocy i broni, broni i jeszcze raz broni! Na żądanie lotnictwa brytyjskiego określał miejsca zrzutów, wszędzie chodził, wszystko oglądał, zbierał informacje i pisał teksty (*). Szyfrantki ślęczały nad nimi bez przerwy, a Jan, jedyny telegrafista jaki nam został, nie odchodził

(*) Patrz *The Warsaw Rising*, str. 38.

prawie od aparatu, do którego mu donoszono nędzne jedzenie. Pracował po osiemnaście godzin na dobę i siłą go trzeba było zmuszać do krótkich wypoczynków. Wysłane depeşe powtarzało radio i prasa całego świata, razem z wiadomością, że pochodzą od Anglika, oficera Armii Krajowej.

Pewnego dnia odebraliśmy dla Warda depeşe od londyńskiego „Times'a”, proponującą mu stanowisko korespondenta, pod warunkiem, że będzie depeşował co dzień określoną ilość słów. Ward, ucieszony, kontynuował pracę i w tym charakterze — gdy nawiązałem już łączność z Delegaturą i Komendą A.K. — przeprowadził wywiady z Delegatem Jankowskim i generałem Borem.

Był on bardzo odważnym, prostym i miłym człowiekiem. Chodził stale niewyspany, gdyż po nocach włóczył się na różne wyprawy z oddziałami A.K., lub towarzyszył dowódcom przy inspekcjach odcinków frontu. U siebie częstował zawsze doskonałą herbatą, której pewien zapas uratował. Miał dwa rozkoszne, rasowe psiaki, z którymi się zawsze u niego bawiliśmy. Martwił się, bo nie miał im co dać jeść i chudły.

Któregoś dnia odwiedził Warda żołnierz angielski, który, tak jak on sam, uciekł z niewoli i ukrył się w Warszawie. Zgłosił się także zbiegły jeńiec Australijczyk. Doniosłem o tym i otrzymałem depeşe, że prasa australijska zainteresowała się tą wiadomością i prosi o korespondencję od Australijczyka. Moja odpowiedź na pewno sprawiła zawód: „Australijczyk, jak się schował do piwnicy na początku Powstania, tak jeszcze z niej nie wyszedł. Z tego względu korespondencji od niego przysyłać nie będziemy”.

Wizyty Warda na stacji nagle się urwały. Zaniepokojony, udałem się na poszukiwania i odnalazłem go w piwnicy, rannego w nogę. Leżał na nędznym pościaniu, ale pod troskliwą opieką. Dostał postrzał w nogę przy przejściu pod barykadą na Piusa, ale rana nie była ciężka i mógł nadal dostarczać mi teksty depeş.

Współpraca nasza trwała do końca Powstania. Po kapitulacji Ward nie chciał zgłaszać się do Niemców, mimo, że mu to groziło tylko niewielką karą i dalszą niewolą. Udało go się wywieźć, jako rannego, ze szpitalem A.K. w okolicy Warszawy, skąd po wyzdrowieniu dostał się do

naszych oddziałów na Kielecczyźnie. Po wypędzeniu Niemców z tego terenu przez wojska sowieckie, zgłosił się do mnie z powrotem w Leśnej Podkowie. Zawiadomiłem o tym Londyn i po paru dniach nadeszła depesza dla Warda, aby zgłosił się do władz sowieckich, które przyrzekły odesłać go do Anglii via ambasada angielska w Moskwie.

W czasie pożegnalnego śniadania, w maleńkiej, pół prywatnej restauracyjce w Leśnej Podkowie, na którym był obecny Ward, Zosia, ja i nowy Komendant A.K., generał Okulicki, ten ostatni wstał w pewnej chwili i oznajmił uroczysto: „Poruczniku John Ward. Nadaję panu za odwagę i zasługi bojowe Krzyż Walecznych”. Ward zerwał się na równe nogi i tak samo uroczysto podziękował za odznaczenie. Był jednak czegoś zakłopotany. Przyczyna szybko się wyjaśniła. Korzystając z tego, że generał Okulicki był zajęty rozmową z Zosią, Ward nachylił mi się do ucha: „Ja już dostałem Krzyż Walecznych od Bora, w czasie Powstania...” Gdy Zosia z kolei zajęła Warda rozmową, szepnąłem do generała: „On już dostał Krzyż Walecznych od Bora!” — „Psiakrew! Nic mi nie powiedzieli”, zmarszczył się generał. Ale jakby nigdy nic, zwrócił się do Warda: „Naturalnie, nadałem panu Krzyż Walecznych po raz drugi. Kiedyś założy sobie pan na wstążeczce odpowiednią oznakę”. Ward się uśmiechnął: „Dziękuję panu generałowi po raz drugi!” Zosia wyczuła w powietrzu pewne zakłopotanie i wesółym „wypijmy zdrowie Johna po raz trzeci” uratowała sytuację. Wybuchnęliśmy wszyscy zgodnym śmiechem i tak w niefrasobliwym nastroju zegnaliśmy miłego Anglika, który tyle przeszedł razem z nami.

Pobyt na Politechnice.

Pracowaliśmy na Wilczej już około dziesięciu dni, gdy nagle zabrakło prądu w sieci. Nie było wiadomo, czy to elektrownia przerwała pracę, czy też bomba zniszczyła jakiś węzeł. Dość, że prądu nie było. Gdy biegaliśmy gorączkowo po mieście, szukając jakiegoś źródła energii, Cesia zawiadomiła nas, że Politechnika posiada własną, niewielką elektrownię, z której możemy skorzystać.

Zebraliśmy się czym prędzej i objuczeni, jak karawana

wielbłądów, pobrnęliśmy gęsiego poprzez barykady i zasypane gruzem ulice. Przeskoczyliśmy jeszcze, pochyleni, przez poprzeczny rów na ulicy Noakowskiego i znaleźliśmy się na terenie Politechniki.

Najpierw poszliśmy z Cesią do pracowni politechnicznych, dla omówienia sprawy korzystania z prądu. Politechnika była wysuniętym bastionem i pod obstrzałem z trzech stron. Przemykaliśmy się piwnicami gmachów i serce mi rosło na widok tego, co oglądałem po drodze. Wszędzie warsztaty w ruchu i produkcja dla celów Powstania. Przyjął nas życzliwie profesor, niski, pochylony pan, spoglądający uprzejmie sponad okularów. Wraz z kilkoma asystentami zajmował się produkcją sprzętu radiowego dla A.K. Wszystko to teraz odbywało się w laboratoriach zupełnie jawnie. Patrzyłem na Zosię a ona na mnie i litowaliśmy się sami nad sobą. Ukrywaliśmy się prawie rok na Politechnice i nie wiedzieliśmy, że mamy tuż pod ręką takie pierwszorzędne urządzenia i możliwości. Rozpamiętywania przerwał nam młody, wysoki blondyn, przyglądający się naszemu towarzystwu od pewnego czasu: „My się przecież znamy dobrze z widzenia. Państwo mieszkali tutaj jakiś czas u pani profesorowej Broniewskiej”. — „Oczywiście. I zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, że panowie pracujecie w tej samej branży!” — „A tak, tutaj u nas wyprodukowaliśmy dla A.K. wiele aparatów nadawczych”. — „Co za szkoda, żeśmy się nie poznali wcześniej! Tak bardzo nam zawsze brakowało dobrego warsztatu”. Opowiedzieliśmy pokrótce wszystkie nasze i Ziułka perypetie, a wysoki inżynier, imieniem Roman, szczerze nam współczuł: „Gdybyśmy się byli wcześniej poznali, mógłby Ziułek pracować dla was tutaj u nas i to względnie bezpiecznie. Niemcy nieraz tu zaglądali, ale w tej masie przyrządów i laboratoriów nie mogli się zorientować”.

Wreszcie stacja została zmontowana przy pomocy inżyniera Romana i Jan już wystukiwał na kluczu codzienną melodię, my zaś odpoczywaliśmy nad miseczkami z kaszą, poczęstowani przez młode „Akaczki”, prowadzące kuchnię w piwnicy naszego budynku. Na Politechnice było dużo zieloności, słońce dobrze przygrzewało i czuliśmy się tutaj trochę jak na majówce. Naszemu sześćdziesięciokilkoltniemu „młodzikowi”, inż. Ryszardowi, zachciało się po-

midorów. Wyprawił się po nie na działki profesorskie, ale zamiast nich przyniósł w marynarce dziurę od kuli. Roman odwiedzał nas po kilka razy dziennie i pomagał we wszystkim. Bardzo się zaprzyjaźnił z inż. Ryszardem, który nie mógł go dość nachwalić. Mimo że Niemcy otaczali Politechnikę z trzech stron, było na razie spokojnie i trzeba było tylko uważać przy przejściach z gmachu do gmachu, gdzie od czasu do czasu dostawał ktoś kulą.

Nie mogliśmy pohamować ruchliwości Ryszarda, który weszły po wszystkich kątach. Kogo spotka, z tym się wdaje w rozmowę, a ponieważ ma za sobą przewagę siwych włosów, więc wszystkich traktuje trochę z góry i pobłaźliwie. Zajrzeliśmy razem do parterowego budynku na przeciw szpitala na ulicy 6-go Sierpnia, gdzie po drugiej stronie ulicy byli już Niemcy. Na nasze spotkanie podniósł się z tapczanu młody człowiek z oznakami porucznika. Ryszard zagadnął go dość obcesowo: „Kto pan jest?” Porucznik przyglądał mu się milcząco przez chwilę, wzrokiem nie wróżącym nic dobrego, ale odpowiedział grzecznie: „Niech i tak będzie. Ja jestem dowódcą odcinka”. — „Ale kim pan jest w cywilu?” — „Docentem biologii”. — „Eee, panie kochany, to szkoda żeśmy pana obudzili. Śpij pan dalej. My szukamy dobrego miejsca na radiostację, a pan przecież na radiu się nic nie zna”. — „No dobrze, dobrze. Ale kim pan jest?” — spytał już zły porucznik. „Ja? Inżynierem elektrotechnikiem”. — „No to pan się na biologii nic nie zna”. — „Oczywiście, że nie, ale śpij pan dalej, bo nam chodzi o radio...” Porucznik wzruszył ramionami, widać przekonany, że ma przed sobą starego oryginała i położył się z powrotem na tapczan.

Po jakimś czasie dano mi znać, że Delegat przeszedł ze Starego Miasta do Śródmieścia i wzywa mnie do siebie. Spakowaliśmy natychmiast nasze manatki i opuściliśmy Politechnikę, żegnani przez Romana, który obiecał od czasu do czasu do nas zaglądać.

Przejście do Śródmieścia.

Idziemy, obładowani sprzętem, jedno za drugim, w kierunku Alei Jerozolimskich. Jest już wieczór, gdy zanurzamy się w labirynt piwnic, z latarkami w rękach. Posuwa-

my się gęsiego, pochyleni w przejściach. Jest duszno i gorąco. Wszędzie ciemno, tylko gdzieniegdzie, w słabym blasku świeczek i kaganków, widać ludzi, układających się w piwnicach do snu. Wynurzamy się od czasu do czasu na ciemne podwórza, gdzie posterunki, ukryte w ciemnościach, pytają dokąd idziemy i kierują do właściwych przejść. W pobliżu Alei, w piwnicach tłok i zaduch. Stoi długi ogonek ludzi, obładowanych tłumokami, czekających na swoją kolej. Przejście przez Aleje Jerozolimskie ma tylko ubezpieczone barykadami wyjścia z piwnic, z obu stron. Środek jezdni jest otwarty na obstrzał czołgów i kamów, które stale biją od Dworca Głównego i z bunkru przy Banku Gospodarstwa Krajowego. Miałem przepustkę, uprawniającą do przejścia poza kolejką. Pokazuję ją posterunkom i przeciskamy się wzdłuż stłoczonych ludzi, którzy na słowa „droga dla radiostacji” usuwają się skwapliwie na boki. Wreszcie zatrzymują nas przed zamkniętymi drzwiami. Korytarz jest oświetlony słabo prądem z akumulatorów i w półmroku, na wychudłych i wymęczonych twarzach czekających ludzi widać napięcie i zdenerwowanie. Jest nieznośnie gorąco. Dotykam muru i czuję, że jest rozpalony. „Co to jest?”, pytam wartownika. — „Kamienica nad nami się pali”, odpowiada.

Nagle drzwi się otworzyły i człowiek w opasce i kaszkiecie krzyknął: „Następnych pięciu, ale szybko!” Rzuciliśmy się naprzód, drzwi się zatrasnęły za nami i znaleźliśmy się w zupełnie ciemnej piwnicy, z jasną plamą otworu w ścianie. To przejście w Aleje, wybite w murze.

Kierujący ruchem, od którego orientacji i wyczucia zależało życie dziesiątków ludzi, poucza nas: „Trzymajcie wszystkie paczki przy sobie. Jeden za drugim stać tuż przy dziurze. Na komendę „trzy!”, biegiem co sił na drugą stronę”. Ustawiamy się: ja pierwszy, Zosia za mną, dalej Jan, Ryszard na końcu. Na ulicy pękają kolejno trzy granaty. Kierujący ruchem podnosi rękę i woła: „Raz!” Teraz grzechocze długa seria z kaemu. W piwnicy rozlega się: „Dwa!”. Przerwa kilka sekund i dwie krótkie serie. „Trzy!” Wyskakuję z przejścia, jak z procy, za mną reszta. Biegnę wielkimi skokami, plecak przewala się z boku na bok. Wreszcie wpadam w cień między barykadami i leżę na ziemi, dysząc ciężko. Za sobą słyszę głośny oddech Zosi.

Ostatni wskakuje Ryszard i wali się obok Jana. Sekunda — i za nami biją po kolei trzy granaty i długa seria z kaemu podnosi kurz. Tuż obok rozległ się głos z ciemności: „Zwalniajcie przejście! Szybko!”. Wchodzimy do bramy wypalonego domu i widzimy skaczące cienie następnej piątki. I znów wybuch granatów i długa seria z kaemu rozdziera nam uszy.

Zanocowaliśmy u znajomych, a na drugi dzień każdy poszedł w swoją stronę. Ja do majora Franka, który urzędował w P.K.O., reszta na poszukiwania lokalu na stację. U Franka zaalarmował mnie jakiś zadyszany Akista: „Żandarmeria A.K. aresztowała na Szczygłej pańską żonę i jakiegoś Jana. Prowadzili ich na posterunek obok mnie i prosiła, żeby pana tu odszukać i powiedzieć”. Wybuchnęliśmy z Frankiem głośnym śmiechem, ale już w następnej chwili robimy się poważni. Żandarmeria słynie z szybkich decyzji i trzeba się śpieszyć. Na szczęście łapiemy szefa sztabu generała Montera i za pięć minut biegłem już z poleceniem zwolnienia naszej ekipy i z zezwoleniem na pracę radiostacji. Na posterunku żandarmerii trafiłem na jakiegoś uprzejmego oficera, który przeczytał kartkę, przedstawił się i uspokoił mnie: „Już zwolnieni. Dzwoniłem zaraz do Montera i wszystko wyjaśnione. Bardzo mi przykro, ale sam pan rozumie, że nie mogę winić moich ludzi, że ściągają z dachu osoby, rozpinające antenę, a nie mające żadnych dokumentów”. Rozumiałem to i starałem się być także uprzejmy, ale jakoś mi to nie wychodziło. Nie lubiłem żandarmerii. Po drodze zatrzymał mnie niezwykle widok. Dwaj żandarmi oprawiali wielką świnię, a kilku innych przyglądało się temu z upodobaniem. Ślina im po prostu z ust ciekła. Westchnąłem z zazdrością: „Kanařkom zawsze się dobrze powodzi. Ale gdzie oni ją ukradli?”

Nowa nominacja.

Delegat Jankowski był chudszy, niż zwykle, i robił wrażenie zmęczonego. Zapytałem go, jak było na Starówce. Opowiedział beznamiętnym tonem parę rzeczy, od których włosy stawały na głowie. Morze ognia i pocisków, rzucone na kilometr kwadratowy zmurzałych od starości budynków, w których tłoczyły się dziesiątki tysięcy ludzi

Olbrzymia chmura dymu od tygodni wisząca nad Starówką, znalazła swoje wytłumaczenie. Sam Delegat cudem wyszedł z tych opresji, przedostawszy się kanałami do Śródmieścia. Patrzyłem na niego ze współczuciem i podziwem. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, jak ten sześćdziesięcioletni człowiek brnął, zanurzony po szyję w obrzydliwej, gęstej, śmierdzącej mazi, w kanale pozbawionym powietrza, pełnym jęku i krzyków tonących w błocie ludzi. Zagadnąłem go, co myśli o braku sowieckiej pomocy. Odpowiedział w dwóch słowach: „Potworni zbrodniarze!”

Delegat miał jednak do mnie konkretną sprawę: „Pan Bagiński zrezygnował ze stanowiska Dyrektora Departamentu Spraw Wewnętrznych, gdyż wchodzi w skład Rady Jedności Narodowej. Chciałbym, aby pan zajął jego miejsce. Będzie to ciężka i odpowiedzialna praca, gdyż trzeba robić wszystko, by ulżyć doli ludności. Walka Cywilna nie będzie pana już tak absorbowała i może pan się zająć jednym i drugim”. Wyjaśniwszy parę dodatkowych kwestii, nominację przyjąłem i zabrałem się natychmiast do roboty.

Przede wszystkim odbyłem rozmowę z konspiracyjnym Prezydentem Miasta Warszawy, Sową, starym, doświadczonym urzędnikiem miejskim, któremu oświadczyłem, że w jego rękach leży administracja miasta Warszawy i odpowiedzialność za jej funkcjonowanie, a ja ograniczę się tylko do roli inspiratora, doradcy i kontrolera. Sowa przyjął to określenie kompetencji z dużym zadowoleniem, niemniej prosił o ścisłą i codzienną współpracę. Z naszej rozmowy wyłoniła się koncepcja regularnych, co dwa, trzy dni, spotkań z delegatami dzielnicowymi, na których będzie się omawiało i rozstrzygało bieżące problemy. W konsekwencji odbywały się one przez cały czas Powstania. Niestety, ani razu nie byli na nich obecni delegaci z dzielnic Żoliborz i Mokotów, wkrótce odciętych od Śródmieścia. Każdy delegat referował bolączki swej dzielnicy i w ten sposób zebrania te dawały dokładny obraz sytuacji, od początku ciężkiej, zaś w miarę upływu czasu tragicznej. Obradowaliśmy nie raz pod ogniem artyleryjskim i w czasie bombardowania, które jedni znosili psychicznie dość dobrze, a drudzy zdecydowanie źle. Zebraliśmy się pewnego razu na posiedzenie w domu firmy Ge-

bethner i Wolff, przy ulicy Zgoda. W tym samym czasie rozpoczął się nalot bombowy na ulicę Marszałkowską, a więc w odległości jakich stu metrów. Naszym domem wstrząsały bliskie wybuchy i raz po raz wylatywały z brzękiem szyby, a gdzieniegdzie futryny. Przed przyjściem Sowy i innych nie chciałem schodzić do piwnicy, bo to groziło zgubieniem się z tymi, którzy jeszcze nie nadeszli. Staliśmy więc grupkami po kątach pokoju, zabijając czekanie rozmową. Wyjątkiem był jeden z obecnych, przemierzający pokój nerwowymi krokami w jedną i drugą stronę, w widocznym strachu. Ktoś mnie zagadnął, co myślę o sytuacji wojennej. Ot tak, dla oderwania myśli od niebezpieczeństwa, zacząłem rozwodzić się (a bomby waliły i Marszałkowska już się paliła), że wkrótce Niemcy zostaną oskrzydleni przez armię sowiecką od północy i południa i będą musieli spod Warszawy uciekać. W tym momencie przyskoczył do mnie spacerowicz, który usłyszał tylko ostatnie słowo, i krzyknął ze złością: „Dobrze panu mówić „uciekać”, ale dokąd uciekać? Niech nam pan powie, dokąd mamy uciec?” Jak wszyscy byliśmy w nastroju nie do śmiechu, tak ryknęliśmy zgodnym chórem. Spacerowicz popatrzył na nas, jak na wariatów, stuknął parę razy palcem w czoło i podjął na nowo przerwany marsz.

No, ale Sowa wreszcie przyszedł, nalot się skończył i rozpoczęliśmy obrady wśród trzasku płonących na Marszałkowskiej domów i krzyku ludzi, ratujących resztki dobytku

Bolączki Powstańczej Warszawy.

Podziemny, powstańczy zarząd miejski, na którego czele stał Prezydent Sowa, zwany także Delegatem Stołecznym, dzielił się na delegatury dzielnicowe, czynne na terenach, znajdujących się w posiadaniu A.K., a więc na Mokotowie, Żoliborzu, Powiślu i trzy w śródmieściu. Na czele tych Delegatur, będących odpowiednikiem starostw grodzkich, stali Delegaci dzielnicowi, mający do pomocy odpowiednie biura. Następną niższą komórką administracyjną byli komendanci bloków, wreszcie ostatnią w dół — komendanci domów i zwykle komitet domowy. Kontakt

między tymi władzami był codzienny, jak również nieustanny był ich kontakt z władzami A.K., których kompetencje wielokrotnie się krzyżowały z zakresem działania władz cywilnych. Miasto było w walce, było frontem i troska np. o wyżywienie ludności tak samo interesowała generała Montera, jak operacje wojskowe w tej czy innej dzielnicy obchodziły Prezydenta Miasta i mnie. Oczywiście sam Delegat, jak i generał Bór trzymali także rękę na pulsie tych spraw. Bardzo się nimi również interesował przewodniczący R.J.N., Kazimierz Pużak, zawsze spokojny, opanowany i nieustraszony.

Problem żywności górował nad wszystkimi zagadnieniami. Niemcy zostawili cały szereg magazynów w różnych dzielnicach, opanowanych przez A.K. Znalazły się tam również wielkie składy spółdzielcze i miała pewne zapasy także sama ludność, ale to było nic w stosunku do potrzeb. W pierwszym rządzie zostały zabezpieczone zapasy dla A.K. i szpitali. W drugiej kolejności uwzględniono potrzeby ludności. A trzeba pamiętać o tym, że gdy o piątej popołudniu, pierwszego sierpnia, wybuchło Powstanie, dziesiątki tysięcy ludzi znalazło się poza domem. Pochowali się oni w bramach tam, gdzie się kto przypadkiem znalazł w momencie, gdy się rozpoczęła strzelanina. Ci, którzy zamieszkiwali dzielnice zajęte przez Niemców lub odcięte, nieraz przez całe Powstanie pozostali na miejscu, żywieni przez mieszkańców danego domu ze wspólnej kuchni. Ofiarność ludności była nadzwyczajna i kuchnie te były zaopatrywane z zapasów żywności danego domu, uzupełnianych tym, co kto zdobył na mieście.

Jednym ze sposobów zaradzenia brakiem, jaki dyskutowaliśmy, była rekwizycja, względnie upaństwowienie całej żywności, znajdującej się w rękach prywatnych, celem sprawiedliwszego jej podziału. Wiadomo nam było, że są liczne rodziny doskonale zaopatrzone w żywność i są takie, którym już głód zagląda w oczy. Stwierdziwszy jednak, że istnieje nadal duża ofiarność i wzajemna pomoc w obrębie prawie każdego domu pozostawiliśmy tę sprawę własnemu biegowi i nie sięgnęliśmy do tak drastycznego, może zresztą w praktyce niewykonalnego środka. Luki w tej ofiarności wypełniały różne kuchnie publiczne i przydziały kawy, cukru, pszenicy, jęczmienia ze składów niemieckich i spół-

dzielczych, między innymi z Browaru Hugera, dla rozmaitych zespołów ludzi, pracujących dla Powstania.

Sprawa wody była także bardzo ciężka. Wkrótce wodociągi opanowane przez Niemców przestały jej dostarczać i trzeba było kopać studnie w podwórzach domów. Przeprowadzono odpowiednie badania i wywiady i odkopano przede wszystkim stare studnie, od lat opuszczone i zasypane. Pracowali przy tym przeważnie żołnierze niemieccy, wzięci do niewoli przez A.K. Wokół tych studni stały przez cały dzień kolejki ludzi, nieraz po paręset osób, wypatrywane przez samoloty niemieckie i ostrzeliwane przez artylerię i granatniki. Niejedna osoba straciła życie, czekając na wodę. Mimo to kolejki stały bez przerwy. Studnie były wzięte pod straż. Ustalono kolejność brania wody. Szpitale i A.K. miały pierwszeństwo. Istniał też handel wodą, oczywiście zamienny, gdyż pieniądź stracił w czasie Powstania wartość, a jego miejsce zajął papieros i każdego rodzaju żywność.

Odbyłem kiedyś rozmówkę z jeńcami niemieckimi, odkopującymi taką studnię na Kruczej. Stanęli na baczność, gdy się do nich odezwałem po niemiecku. Zapytałem, jak się dostali do niewoli. Odpowiedzieli przypochlebnie, że młodzi chłopcy atakowali, jak szaleni. Widząc wśród nich, żołnierzy piechoty, jednego lotnika, zapytałem go skąd on się wziął tutaj. Jego historia była prostsza. „Szedłem ulicą o piątej, dostałem czymś twardym w łeb i ocknąłem się na tym podwórzu”. Któryś poprosił o pozwolenie zadania pytania. Skinąłem głową i usłyszałem: „Co będzie z nami?” — „Jak przyjdzie armia sowiecka, to albo zostanieie w naszej niewoli, albo pójdziecie do sowieckiej”. — „A nie będziemy rozstrzelani?” Wszystkie oczy zawisły na moich wargach. — „Nie. Gdybyście mieli być rozstrzelani, byłoby to już dawno zrobione”. To ich przekonało i podziękowali radośnie, stukając obcasami.

Najstarszego z nich widywałem później często, pogłębiającego prowizoryczny ustęp. Zapytałem go dla przypomnienia znajomości, czy ma dużo roboty. Wyprostował zgięty grzbiet, oparł się na łopacie i wskazując dramatycznym gestem pełny dół, jęknął: „Nie ma co jeść, a tu ciągle pełno! Kopię i kopię tak bez końca...”

Elektryczność była dostarczana stosunkowo długo, gdyż przez parę tygodni, dzięki bohaterskiej pracy Elektrowni Warszawskiej na Powiślu. Elektrownia ta nie tylko miała znaczenie jako zakład dostarczający prądu dla naszych dzielnic, ale była także bastionem obrony Powiśla, będącym stale pod ogniem. Ekipy pracowników Elektrowni dzień i noc pracowały nad łączeniem zerwanych przez granaty i bomby przewodów. Wielu z nich przy tym zginęło. Wreszcie, po ciężkich bombardowaniach Elektrowni, dostarczanie prądu ustało i wkrótce została ona wraz z Powiślem zdobyta przez Niemców. Pozostały tylko gdzieśgdzie akumulatory, ładowane w fabrykach powstańczych przy pomocy motorów samochodowych. Oświetlenie takie, to jest z akumulatorów, miały sale operacyjne w szpitalach, ważniejsze instytucje i takie przejścia, jak podziemny tunel pod Alejami Jerozolimskimi, wykopany pod koniec Powstania.

Stan sanitarny Warszawy był nadszpodziewanie dobry. Mimo upalnego lata, braku wody i mydła, mimo otwartych, prowizorycznych, nie opróżnianych nigdy ustępów, wykopanych wprost na ulicy, mimo że na każdym prawie podwórzu znajdowały się cmentarze o płytko wykopanych grobach, zaś tysiące trupów rozkładało się w ruinach zwalonych domów, nie wybuchła żadna większa epidemia. Lekarze z administracji powstańczej byli tym dodatnio zaskoczeni, gdyż spodziewali się czegoś znacznie gorszego. Pomoc lekarska funkcjonowała doskonale. Organizacja służby zdrowia obejmowała setki lekarzy i kilkanaście szpitali, położonych najczęściej w piwnicach. Po każdym nalocie bombowców lub nawale artyleryjskiej, do szpitali tych poprzez gruzy wędrowały całe karawany noszy z rannymi. Operacje odbywały się z reguły dwadzieścia cztery godziny na dobę, przy zmieniających się co jakiś czas chirurgach.

Obrona miasta przed pożarami była sprawą nadzwyczajnego znaczenia. W każdym domu zorganizowano dwudziestoczerogodzinną obserwację przeciwpożarową i stały przygotowane torby z piaskiem, siekiery i bosaki. Gdy wybuchł pożar, w ratowaniu domu brali udział wszyscy, a nie raz trzeba było gasić ogień w czasie trwającego nalotu, lub ognia artyleryjskiego. Także i przy tej pracy zginęły

setki ludzi, między innymi dyrektor Departamentu Opieki Społecznej Delegatury Rządu, sędzia Mateja, zastrzelony z karabinu maszynowego przez Niemców wraz z adwokatem Ignacym Grabskim gdy gasili pożar na dachu. Warszawiaci wykazywali dowody nadzwyczajnej odwagi i pogardy śmierci przy gaszeniu ognia i w pierwszej połowie Powstania większość pożarów została ugaszona. W drugiej, gdy jasne się stało, że Powstanie zostało pozostawione własnemu losowi, ludność ogarnęła rezygnacja i ilość nieugaszonych pożarów wzrosła.

Jeśli chodzi o stan bezpieczeństwa, to był on dobry dzięki samorzutnej, powszechnej dyscyplinie. Cudza własność była szanowana i jedynie opuszczone lub rozbite domy były starannie przetrząsane, przede wszystkim w poszukiwaniu żywności. Natomiast ani tak zwany Państwowy Korpus Bezpieczeństwa, czyli policja, ani żandarmeria A.K. nie zdały egzaminu. Zajmowały się wszystkim, między innymi bezprawnymi rekwizycjami, a nie tym, do czego były powołane.

Na jednym z posiedzeń postanowiliśmy wysłać depeşe do prezydentów miast New Yorku, Londynu i Moskwy z apelem o pomoc dla ginącej stolicy. Mayor La Guardia odpowiedział natychmiast, po nim Mayor Londynu, a Moskwa wcale. Naturalnie odpowiedzi wyrażały współczucie, uznanie i podziw, ale na tym koniec.

Spotkanie z generałem Borem i generałem Grzegorzem.

Do gmachu P.K.O., gdzie się mieściła Główna Komenda A.K., poszedłem z Zosią, która miała tam wśród łączniczek jakieś przyjaciółki. Idąc Jasną do rogu Świętokrzyskiej, zostaliśmy okrzyknięci przez znajomego, który, korzystając z przerwy w bombardowaniu, wyszedł na balkon, by łyknąć świeżego powietrza. Z zadartymi do góry głowami pytaliśmy się o tych i tamtych wspólnych przyjaciół. Odpowiedzi były na ogół smutne: zabity, zasypany, ranny... Gdyśmy wracali po dwóch godzinach, w tym miejscu były już tylko dymiące gruzy i znajomego ani śladu.

W P.K.O. trzeba było przejść przez cały szereg wart, tłumaczyć się, chodzić gdzieś po przepustki, a wreszcie otworzono nam wrota sezamu i wpuszczono do wielkiego

marmurowego hallu, skąd znajomy Akista miał nas zaprowadzić do Komendy, ułokowanej w ostatniej kondygnacji piwnic. Było dość ciemno; po chwili spostrzegłem w kącie jakieś światelko. Gdy się przyjrzałem dokładniej rozpoznałem sylwetkę starej kobiety, nisko pochylonej, siedzącej na podłodze i wpatrzonej w płomień świecy wzrokiem nie z tego świata. Było coś w tym widoku, co zmusiło mnie do niżenia głosu: „Kto jest ta kobieta?” Prowadzący nas Akista wiedział: — „To dość niezwykła historia. To Niemka z Rzeszy, która przyjechała do syna SSmana, służącego w Warszawie i tu ją przyłapał wybuch Powstania. SSman dostał się do niewoli i ta kobieta w poszukiwaniu syna przeszła jakimś cudem przez linię frontu i dotarła nawet tutaj”. — „Dlaczego tutaj? A co z synem?” — „Właśnie go sądzi obok nasz sąd wojskowy”. O dalszy ciąg nie pytałem. Żołnierze armii niemieckiej byli traktowani ściśle według prawa międzynarodowego, lecz wzięci w niewolę SSmani, których oddziały mordowały ludność na Woli, a na Starówce wystrzelały rannych w szpitalu razem z sanitariuszkami i lekarzami oraz żandarmami byli z reguły skazywani na śmierć. Przecież wystarczyło stwierdzić przynależność do oddziału, by wiedzieć w jakich masakrach brali udział. Najbardziej paradoksalny był fakt, że większość wziętych przez A.K. jeńców zginęła od niemieckich bomb. Lotnicy, widząc większe skupiska mężczyzn po podwórzach, zrzucali na nie całe ładunki bomb, w przekonaniu, że są to zgrupowania A.K.

Schodziliśmy w dół podziemi. Przez otwarte drzwi ze schodów widać było wielką salę, a na niej łóżka i setki rannych. Straszny zaduch i gorąco. Wszędzie biały kolor bandaży, prześcieradeł i kitłów szpitalnych, a na nim plamy krwi. Na łóżkach, stłoczonych jedno przy drugim, twarze młodych chłopców, jedne blade, drugie purpurowe, jedne spokojne, inne wykrzywione przez ból. W sieni ruch. W jedną stronę znoszą rannych, w drugą wynoszą trupy. Słowem — „Wielka Parada”.

Na samym dole jeszcze dodatkowe warty, znów znajomi chłopcy. Zosię zatrzymały natychmiast przyjaciółki, ja po chwili ścisnąłem rękę generała Bora i generała Grzegorza, rad że widzę ich całych i zdrowych. Generał Bór nic się nie zmienił, tyle że wychudł. Za to Grzegorz był wy-

rażnie odmłodzony i pełen energii. Obgadaliśmy te sprawy, w których stykały się zagadnienia wojskowe z administracyjnymi, a było ich mnóstwo.

Narzekałem na trudności w dostaniu się do obu generałów. Bór znalazł szybko radę: „Damy panu dokument, który otwiera wszystkie drzwi”. Gdy wychodziłem z piwnicy, byłem już zaopatrzony w legitymację porucznika żandarmerii A.K., która rzeczywiście uchroniła mnie później od paru nieprzyjemności.

Wpadłem jeszcze na chwilę do Przewodniczącego R.J.N., Pużaka, który też miał locum w sąsiedniej piwnicy. Pużak nic się nie zmienił. Te same opuszczone, siwe wąsy, grube szkła i niezmacony spokój. Człowiek z żelaza. Powitanie było bardzo serdeczne. Również i on przeszedł całą gehennę Starówki. Po chwili jednak tok rozmowy zaczął się mącić. W piwnicy było coś, co odrywało mój wzrok, a za nim uwagę od poważnej dyskusji. Były to trzy niewielkie, blaszane pudełka z mięsnymi konserwami. Nie jadłem nic takiego od początku Powstania, więc postanowiłem popróbować telepatii i hypnotyzując wzrokiem Pużaka, powtarzałem w duchu: „Daj mi jedną konserwę, daj mi konserwę”... i tak w kółko. Środek ten podziałał, ale nie na sto procent, bo przed odejściem Pużak wytłumaczył oczywisty brak gościnności: „Poczęstowałbym was konserwą, ale na zimno są one bardzo niebezpieczne, a nie ma gdzie odgrzać”. Przytaknąłem bez przekonania i pożegnałem się. Był to pierwszy i ostatni widok konserwy w czasie całego Powstania.

Byliśmy już chronicznie głodni, więc uganiał się za jedzeniem i chwytaliśmy każdą okazję, by włożyć coś do żołądka. Stąd ciągle nawrót do tego tematu i czarowne wspomnienia paru śledzi, na przykład podarowanych przez znajomego handlarza ryb, i tranu, wydzielanego po łyżce każdego rana przez tydzień, przez znajomego aktora z czołówki teatralnej A.K., grającej zresztą w czasie Powstania bez przerwy. Stąd też do dziś mile wspominam spotkania z papą R., prowizorem farmacji.

Pewnego ranka wpadłem po całonocnej pracy na znajomą kwaterę, na łyżkę tranu. W pokoju zastałem jakiegoś zasuszonego staruszka, wyglądającego bardzo schludnie w staromodnym żakiecie. Staruszek trzymał w ręku butel-

kę. Oszołomił mnie propozycją: „Panie szanowny, a nie wypiłby pan ze mną kieliszka?” — „Co, o ósmej rano?” — „A cóż to szkodzi? Czy panu lekarz zabronił pić rano, a pozwolił dopiero popołudniu?” Wszedł przyjaciel aktor: „Napij się, Stefan, zakąsisz tranem”. — „I skórką chleba”, dodał staruszek, „ja tu mam cały woreczek skórek od chleba, które zbierałem, bo mam słabe zęby i nie mogłem ich jeść. A teraz się przydają...” Usiedliśmy, i tak po kolei: kieliszek wódki, łyżeczka tranu i skórka chleba...

Papa R., gdyż tak go wszyscy nazywali, był niesłychanie miłym i pogodnym człowiekiem. Miał sporo pieniędzy i w chwilach wolnych od nalotów biegał po mieście w poszukiwaniu produktów monopolu spirytusowego i zawsze coś wykombinował. Prawie nic nie jadł. Nie mógł pić bez towarzystwa i lustro mu nie wystarczało. Zaskakiwał więc wszystkich propozycjami wypicia w najbardziej nieoczekiwanych porach i sytuacjach.

Po Powstaniu spotkałem go w Milanówku. Zrobiło mi się przyjemnie, gdy z boku usłyszałem znajomy głos: „O, drogi pan Stefan! A nie wpadłby pan ze mną tutaj na jednego?”

Ukoronowaniem wszystkiego była uczta 2 września 1944 roku. Przyszedłem na kwaterę do przyjaciół na Powiślu. Zostałem wszystkich bliskich podejrzenie uroczystych. Otworzyły się drzwi do jadalni i oczy moje ujrzały niebiański widok. Stół nakryty czystym obrusem, a w środku na honorowym miejscu butelka koniaku. Na stół wjechał półmisek, a na nim, o nieba! siekane końskie kotlety z cebulką, na które nasz przyjaciel Józio „z krzywą buzią” czekał w ogonku, pod bombami, od południa do późnego wieczoru. Powinszowania, uściski i wiele miłych słów przypomniały mi, że drugi września to moje imieniny. Siedzieliśmy przy stole do późna w nocy. Gdyby nie wybuchające przed domem regularnie co kwadrans pociski granatników, można by przypuszczać, że to co najmniej „normalne” okupacyjne czasy.

Nazajutrz otrzymałem alarmowe wezwanie, by się natchmiast stawić na spotkanie z Delegatem w Banku Związku Spółek Zarobkowych, na Jasnej. Wszedłem bez zwłoki i w drodze zastał mnie nalot. Wezwanie było naglące, więc skakałem naprzód od bramy do bramy i oglądałem

sceny, od których pamięć już się nigdy nie uwolni. Wycie silników, trzask, huk, walące się domy, kurz, dym i płomienie. Ludzie fruwali w powietrzu, jak piórka i obok mnie padł rozebrany do naga przez wybuch trup młodego chłopca, bez rąk i nóg. Pokryty jednolitą warstwą kurzu, dotarłem do Banku, gdzie w głębokich piwnicach toczyło się normalne powstańcze urzędowanie. Stałem przed Delegatem i wręczyłem mu wezwanie. Popatrzył na mnie współczująco: „Bardzo panu dziękuję, ale to jakaś omyłka sekretariatu. Ja pana wcale nie wzywałem. Ale niech pan siada, pogadamy sobie”.

Powrót na Kruczą.

Pracowaliśmy dość długo na Szczygłej, w ubogim mieszkanku jakiegoś samotnika, który rad był nam nieba przychylić i od rana do wieczora dotrzymywał Janowi towarzystwa. Robiło się jednak coraz goręcej. Co dzień kilkanaście nalotów i artyleria biła bez przerwy. Trudno było chodzić po mieście, bo cegły spadały na głowę, a kwas i kurz wygryzał oczy. Domy waliły się jeden po drugim. W piwnicy domu, gdzie kwaterowaliśmy, do której schodziło się podczas nalotów, jakaś bigotka przy słabym świetle małego kaganka, przygasającego za każdym wybuchem, histerycznie wykrzykiwała słowa litanii i doprowadzała wszystkich swym krzykiem do ostatniej rozpacz.

Martwiłem się też o Zosię, bo zasiadła raz tylko w wolnej chwili do brydża i wybuch bomby zrzucił ją z krzesła i mocno potłukł.

Instynkt mi mówił, że z Powiślem będzie to samo, co ze Starówką. Więc gdy Delegat postanowił przenieść się do Śródmieścia-Południe, zwołałem naszą czwórkę i zdecydowałem powrót na stare śmiecie. Dnia piątego września odbyliśmy drogę na drugą stronę bez przeszkód, ale w ciężkich warunkach. Istniało już jedno tylko przejście z Powiśla do Śródmieścia, przy ulicy Pierackiego, ostrzeliwane stale przez granatniki. Gdy doszliśmy do niego, natknęliśmy się na kilka trupów tych, którzy przy przejściu zginęli. Posuwaliśmy się dalej wśród płomieni, których morze buszowało wszędzie, gdzie tylko spojrzeć. Paliła się Warecka, Jasna, Sienkiewicza, Moniuszki i część Szpi-

talnej. W powietrzu fruwały płonące żagwie i raz po raz padała rozpalona blacha. Okopceni i zakurzeni, dotarliśmy wreszcie do przejścia i na drugą stronę Alei, gdzie panował jeszcze względny spokój.

Na Kruczej z punktu Niemcy zaczęli stację ostrzeliwać. Na szczęście Jan pracował w małym domku, osłoniętym przez sąsiednie wielkie kamienice i bezpośrednio pociski nie mogły go trafić. W każdym razie, po paru dniach, wszystkie drzwi i okna powypadały od nieustających wybuchów. Nie mieliśmy jednak wyjścia i siedzieliśmy tam nadal.

Odwiedził nas w tych gruzach major Franek i zaprosił ze stacją do siebie, na Koszykową. Był on z natury niepoprawnym optymistą i zaręczał nam, że kamienica, w której ma swoją siedzibę na Koszykowej, jest bezpieczna. Znałem ją dobrze, gdyż nieraz go tam odwiedzałem i przyrzekłem, że na drugi dzień przyjdziemy, by zbadać jej techniczne warunki.

Nazajutrz wybrałem się tam z Zosią. Przyszliśmy na Koszykową, ale jakoś nie bardzo mogliśmy trafić. Ale oto przez zwały gruzów brnie do nas we własnej osobie Franek. „Jak się masz, Franek. Idziemy właśnie do ciebie rozejrzeć się po kamienicy, ale nie możemy jej znaleźć”. Franek nieco się zawstydził: „Trochę żeście się spóźnili. Kamienicy już nie ma i szukam właśnie dla siebie jakiegoś dachu nad głową”. W rezultacie my przytuliliśmy u siebie Franka, a nie on nas.

W tym czasie wpadł do nas któregoś dnia inżynier Roman z Politechniki. Witaliśmy go owacyjnie, ale zauważyliśmy, że bardzo zmizerniał. Wiadomości przyniósł nie wesołe: „Politechnika zdobyta! Mielicie państwo nosa, żeście się z niej wynieśli. Zaskoczyli nas całkowicie i w ostatniej chwili uciekłem podziemnym przejściem. Jestem bezrobotny i jeśli chcecie, mogę przyłączyć się do was”. Przyjęliśmy go z radością do naszej ekipy i w ten sposób inżynier Ryszard uzyskał nie tylko pomocnika, ale powiernika i przyjaciela, z którym prowadził teraz nie kończące się rozmowy.

Prądu w sieci nie było już od dawna i radiostacja pracowała na akumulatorach, które nam ładowano w warsztatach A.K., przy pomocy motoru samochodowego. Działała

już dywersja i któregoś wieczoru uczynny kierownik warsztatu, Pomorzanie, szepnął mi do ucha: „Dziś w nocy do zbiornika w samochodzie ktoś nasypał cukru”.

Ostrzeliwanie naszej stacji na Kruczej wzmagало się z dnia na dzień i Jan pracował z coraz większym ryzykiem. Szukaliśmy więc znów nowego lokalu, gdzieś w spokojniejszym miejscu i wreszcie, na skutek informacji znajomego Akisty, Jana Kurowskiego (*), ulokowaliśmy się na samej linii frontu, w poselstwie bułgarskim w Alejach Ujazdowskich. Dowódca kompanii zgodził się chętnie na nasz pobyt i zapewnił, że to spokojny odcinek, wobec czego rozłożyliśmy tam nasze manatki i Jan rozpoczął pracę. Ale już na drugi dzień coś się zaczęło psuć w państwie duńskim. Bo oto spokojny dotychczas odcinek Niemcy zaczęli ostrzeliwać gwałtownie z granatników. Rozumieliśmy o co chodzi, ale nie podzieliliśmy się z otoczeniem naszymi uwagami. Jasne się stało, że nieboszczka gonia ożyła. Pociągi jednak nie robiły większej szkody i Jan, dobrze osłonięty, stukał na kluczu, jak zawsze.

Na tym miejscu odebraliśmy depeze o zrzutach, jakie miały być dokonane przez amerykańskie samoloty. Powstała przy tym huśtawka, która niszczyła wszystkim nerwy. Dwukrotnie otrzymałem depezę dla Delegata, mniej więcej tej treści: „Dziś wystartowały amerykańskie samoloty z pomocą dla Warszawy. Przypuszczalny przelot godzina czternasta waszego czasu”. Była to oczywiście tajemnica, ale ktoś nie był dyskretny i lotem błyskawicy obiegła całe obleżone miasto. O czternastej wszyscy chodzili z zadartymi głowami, a samolotów jak nie było, tak nie było. Po południu dwukrotnie czytałem, zgrzytając zębami: „Samoloty zawróciły z drogi z powodu złych warunków atmosferycznych”.

Wreszcie 18 września, podczas pięknej, słonecznej pogody, doszedł do umęczonego miasta jakiś inny, głęboki i potężny głos motorów. Nie było widać jeszcze nic, ale już się rozpoczął potworny ogień niemieckiej broni przeciwlotniczej. Nad płonącą Warszawę, nad głowy płaczących ze wzruszenia ludzi, którzy wyciągali ręce ku niebu, nadpływały wysoko — niestety za wysoko — ogromne,

(*) Obecnie w Stanach Zjednoczonych.

błyszczące srebrzyście ptaki i setki różnokolorowych spadochronów spływają w dół... w większości poza linie powstańcze! Ściskamy sobie ręce z Janem, który ma łzy w oczach. Schwyciłem za kod i za chwilę Jan depeszował: „W tej chwili samoloty amerykańskie dokonywują nad Warszawą zrzutu” (*). Przeszedł na odbiór i z radosnym uśmiechem notował: „O.K., O.K., dziękujemy!” Znad klucza podniosły się ku mnie zadowolone oczy: „Postawiliśmy dzisiaj nasz nowy rekord szybkości. Jeszcze zrzut się nie skończył, a już Londyn pokwitował wiadomość o nim!”

Śmierć Ryszarda.

Oddziały A.K. atakowały PASTĘ na ulicy Piusa, czemu się z bliska przyglądałem, pomagając montować pompę benzynową, tę może najstraszniejszą broń Powstania. Po oblaniu pozycji nieprzyjaciela benzyną, rzucono granat i wszystko spalało się, jak pudełko zapalek. Oblężonym Niemcom przyszły z pomocą „ryczące krowy”, które obrzucały pociskami okoliczne domy. Raz po raz słychać było zgrzyty wyrzutów i każdy chronił się gdzie mógł przed wybuchami.

Odszukał mnie tam Ryszard w momencie, gdy rozległ się charakterystyczny głos jak gdyby zardzewiałej sprężyny jakiegoś gigantycznego zegara. W tym właśnie zgrzycie było coś takiego, co zmusiło mnie do schwytania go za rękę i wskoczenia w drzwi garażu, obok którego staliśmy. Błysk, huk, smród benzolu i garaż oraz drzwi, przez które weszliśmy, wałą się w dół. Leżymy skuleni i oszołomieni w kącie, gdy wszystko wokół zaczyna się palić. Myśl, jak błyskawica: „Spalimy się żywcem!” Ujrzałem nagle u dołu promień światła. Ciągnę w jego kierunku, krztuszącego się od dymu Ryszarda i dwoma skokami wydostajemy się przez otwór na podwórze sąsiedniej kamienicy, podczas gdy garaż płonie za nami, jak pochodnia. Trzymaliśmy się, drżąc jeszcze, za ręce, gdy ludzie zaczęli wychodzić z piwnic i gromadzić się wokół nas. Otrzepywali nam ubrania i winszowali: „Macie szczęście, że przebiliśmy dziurę w ścianie garażu. Inaczej byłaby z was pieczeń!”

(*) Patrz *The Warsaw Rising*, depesze na str. 68.

Niezbyt długo cieszył się inżynier Ryszard szczęśliwym ocaleniem. Tym razem zwiastunem prawdziwego nieszczęścia był Roman, pokryty warstwą kurzu od stóp do głów. Wpadł niespodziewanie na lokal stacyjny i krzyknął: „Inżynier ciężko ranny pociskiem „krowy”. Leży w szpitalu na Mokotowskiej!” Zerwałem się natychmiast i pobiegłem z Zosią do szpitala. Zosia miała przy sobie dobrze wypakowaną torbę, z którą się nigdy nie rozstawała. Na Mokotowskiej zatrzymało nas wołanie: „Stać! Stać!” Przed nami sterczało dwóch żandarmów A.K. z groźnymi minami: „Prosimy do bramy na rewizję”... — „Panowie, dajcie spokój, śpieszymy się do ciężko rannego!” — „Tylko bez wykretów! Prosimy do bramy”. — „Ach tak! To ja proszę najpierw o okazanie waszych legitymacji!” Wyjeli i pewni siebie pokazali legitymację żandarmerii A.K., na co ja z wściekłością podsunąłem im pod nos moją z Komendy Głównej: „No i co? Rewizyjki nie będzie i szaberek się nie uda! Jakim prawem zaczepiacie spokojnych przechodniów?” — „A dlaczego pan nie nosi swoich odznak?” Nie było czasu na kłótnie, bo nam się śpieszyło do Ryszarda. Dyscyplina już wszędzie uległa rozluźnieniu i czułem, że był to zamach na torbę Zosi, w której zresztą nie było nic poza fotografiami i depeşami.

Dotarliśmy do piwnicy na Mokotowskiej. Na korytarzach słabe światła elektryczne z akumulatorów. Gorąco i zaduch, pod ścianami leżą na noszach ranni, jęczą i męczą w gorączce. Coraz to wnoszą nowych. Zaglądamy w twarze leżących, ale Ryszarda tu nie ma. Dopiero znajoma sanitariuszka wprowadziła nas na salę operacyjną, gdzie na podłodze leżał Ryszard. Ukląknęłam przy nim i patrzyłam w bladą twarz i szeroko otwarte oczy. Chwycił mnie za rękę i już nie wypuścił. Był zupełnie przytomny. Szeptał coś, więc nachyliłem się do ust: „Mam strzaskaną łopatkę i chcę mi odjąć rękę. Niech pan pomówi z chirurgiem, żeby tego nie robili, bo ręka jest zdrowa. Niech pan patrzy... ruszam palcami...” Rzeczywiście, palce się poruszały. Zostawiłem przy nim Zosię, która gładziła go po głowie i mówiła coś pocieszającego, a sam rozejrzałem się za chirurgiem.

Sala operacyjna mieściła się w słabo oświetlonej piwnicy bez podłogi. W kałużach krwi stały dwa duże, drew-

niane stoły, na których właśnie odbywały się operacje. Dwie postacie w okrwawionych fartuchach, nachylone nad stołami, manipulowały narzędziami, a sanitariuszki trzymały w rękach reflektory, ale nie wiele silniejsze od zwykłych lamp. Zapytałem jedną z nich: „Kto będzie operował tego rannego?” — wskazałem na Ryszarda. Odesłała mnie do śpiącego na leżaku mężczyzny w białym fartuchu: „Niech go pan obudzi, bo my już kończymy”. Potrząsnąłem za ramię lekarza, który natychmiast wstał na równe nogi, i powtórzyłem mu prośbę Ryszarda. Już go oglądał i nie chciał nawet słuchać tego, co mówiłem: „Panie drogi, szkoda mówić. Muszę nie tylko odjąć rękę, ale wyjąć całą łopatkę, bo zdruzgotana. Ma w niej pół cegły. To stary człowiek i jest tylko pięć procent szans, że wyżyje. Niech go pan rozbiera”. Pokazał mi wzrokiem na noszach młodego chłopca, który rozmawiał po cichu z pochylonymi nad nim dwoma żołnierzami A.K.: „Z tym to jest dopiero tragedia! Ma rozbity na kawałki wątrobę, ale jest zupełnie przytomny i dlatego wniesli go tutaj, niby na operację, żeby go zmylić. Za kilkanaście minut straci przytomność i umrze”.

Wróciłem do Ryszarda. Nie mówię mu nic, tylko ściągam porwaną marynarkę i resztę ubrania. Kładę go na stół i cały czas trzymam zdrową ręką moją i patrzy mi w oczy. Nie odwracam swoich i machinalnie powtarzam: „Będzie dobrze, będzie dobrze...” Ale już chirurg wypychał mnie za drzwi: „Nic tu po panu. Przyjdź pan wieczorem, to się pan dowie”. Zosia z Romanem czekali na korytarzu, a z nimi znajoma sanitariuszka. Poczęstowałem ją papierosami, — wzięła ich kilka bez ceremonii — i poprosiłem o opiekę nad Ryszardem. Przypomniał mi się jej mąż, więc na odchodnym zapytałem: „A co z Andrzejem?” Odpowiedziała, nie mrugnawszy okiem, z jakimś kamiennym spokojem: „Zginął w ataku na Gestapo w Alei Szucha. Jestem w ciąży. Dziecko nie będzie miało ojca” — i odeszła w głąb piwnicy.

Wieczorem przyszedliśmy odwiedzić Ryszarda. Leżał w końcu piwnicznego korytarza, już nieprzytomny i z wysoką gorączką. Utrzymała się ona przez następny dzień, a trzeciego dnia rano było po wszystkim. Sanitariuszka wzięła

znów parę papierosów i doradziła: „Zajmijcie się szybko pogrzebem, bo go położą do wspólnego dołu. Umarł dziś w nocy i leży w kostnicy” (*).

Pogrzeb Ryszarda.

Kopaliśmy z Janem dół na cmentarzu, w ogródku kamienicy przy ulicy Mokotowskiej. Naokoło nas mnóstwo grobów. Na oko ocenilem, że około trzystu. Zdziwiłem się ujrawszy na jednym sowiecką gwiazdę. Leżał w nim porucznik sowieckich wojsk tankowych, jeńiec niemiecki, który przyłączył się do A.K. Nie wyczuł, biedak, polityki batki Stalina w stosunku do Powstania i zapłacił życiem za to, że poszedł za słusznym impulsem.

Kopanie szło nam bardzo ciężko, bo ziemia twarda, słońce mocno przygrzewało, a my bardzo już wygłodzeni i słabi. Od czasu do czasu słyhać było głuchy warkot i potężny wybuch. To strzelało na Warszawę olbrzymie działo kolejowe. Ściągnęliśmy z grzbietów koszule i kopaliśmy sumiennie na głębokość, żadaną przez cmentarnego dozorcę. Znów słyhać głuchy warkot, ale jakiś ku nam. Kucamy więc w grobie, rozlega się bliski, potężny wybuch, uderza w nas fala powietrza i nad głowami coś łopoce i wali w ścianę pobliskiej kamienicy. Poszedł tam Jan i zawołał: „Niezły odłamek, długi na łokieć! Gdybyśmy nie usiedli w grobie, przecięłby nas w pół i grób byłby w sam raz dla nas!”

Pochowaliśmy Ryszarda, jak należy, w trumnie z desek. Stolarze nie chcieli pieniędzy, tylko litr wódki i sto papierosów. Wódkę kupiła Zosia za zegarek, papierosy jakimś cudem — bo były na wagę złota — dostałem darmo od znajomej pani z Komendy Szarych Szeregów. Ryszard leżał w kostnicy wśród poparzonych okropnie przez „krowy” trupów. Był żółty jak wosk, i chudy jak pasyjka. Nagiego zawinęliśmy w prześcieradło i włożyliśmy do drewnianego pudła. Przyszedł ksiądz i zaczął odmawiać modlitwy. Stałem obok niego i przyglądałem się zapadniętym twarzom i wychudzonym postaciom całej ekipy. Wszyscy strasznie zmizernieli. Rzuciliśmy ostatnie spojrze-

(*) Patrz *The Warsaw Rising*, depesza na str. 68.

nie na Ryszarda, zabiliśmy pudło gwoździami i ksiądz ruszył przodem. Z trumną na ramionach brnęliśmy przez zwały cegieł i gruzu, łącząc się wkrótce w jeden pochód z innymi pogrzebami. W przeciwnym kierunku ciągnął sznur ludzi, dźwigając do szpitala rannych, po świeżym nalocie. Położyliśmy Ryszarda na ostatni spoczynek wśród paruset żołnierzy A.K. Przed odejściem, zatknąłem na grobie krzyż z napisem :

„Inżynier Ryszard Pojawski, żołnierz A.K., poległ za Ojczyznę dnia 17 września 1944 roku”.

Sowiety a Powstanie.

Delegat już urzędował w Śródmieściu-Południe, przy ulicy Mokotowskiej, a później na Koszykowej. Zgromadziła się tu także Rada Jedności Narodowej, a gdy w dniu 4 września gmach P.K.O. został zbombardowany (przy czym szef sztabu, generał Grzegorz, został ciężko ranny), również Komenda Główna przeniosła się do Śródmieścia-Południe i ulokowała się w świeżo zdobytym gmachu PASTY na Piusa. W ten sposób wszystkie władze podziemia znalazły się razem. Wyjątkiem była kwatera generała Montera, która została w Śródmieściu-Północ, w kinie Paladium, na Złotej. Odwiedziłem go tam kiedyś i byłem przyjemnie zaskoczony, widząc przed sobą mężczyznę w dawno nie widzianym polowym mundurze generała, a nie w źle dopasowanym cywilnym ubraniu. Brałem teraz udział we wszystkich posiedzeniach R.J.N., odbywanych z reguły w obecności Delegata i generała Bora. Referowałem za każdym razem sprawy powstańczej administracji. Posiedzenia odbywały się co parę dni wprawdzie w nastroju przygnębienia, ale i zupełnego spokoju oraz obojętności na niebezpieczeństwo. Wszyscy wychudli i zbiednieli, ale na każdej twarzy widniała determinacja. Naturalnie dominował problem dalszego trwania Powstania i sowieckiej bezczynności. Delegat układał plany na przyszłość i w jednym z nich wyznaczył mi pewną rolę. Kiedyś wzięwszy mnie na rozmowę w cztery oczy i zastrzegłszy tajemnicę, poinformował, że jego zdaniem, mimo niewiary że Sowiety przyjdą na pomoc Powstaniu, nie należy kompletnie eliminować tej możliwości a to wobec ogromnego

nacisku aliantów zachodnich na Stalina. Na ten wypadek Delegat postanowił zostać po stronie sowieckiej wraz z ministrami, których nazwiska, jak i jego, zostały już ujawnione przez rząd w Londynie, mnie zaś upatrzył na tego, który będzie się cował z częścią Delegatury na zachód, wraz z wojskami niemieckimi i kierował w zastępstwie Delegata podziemiem na tych terenach, jakie pozostaną jeszcze w rękach niemieckich. Delegat nie przypuszczał wówczas, że odwrót Niemców będzie paniczny i liczył się w tym, że okupacja Ziem Zachodnich będzie jeszcze jakiś czas trwała. Prosił więc, abym przygotował i zreferował na R.J.N. odpowiedni projekt. Stało się to wkrótce i R.J.N. plan zaakceptowała, z tym, że nazwisko moje Delegat zachował nadal w tajemnicy. Nie było mu jednak dane kiedykolwiek się urzeczywistnić, gdyż pomoc sowiecka nie nadeszła. Były jednak w naszych na nią nadziejach pewne przyptywy i odpływy.

Od chwili wybuchu Powstania ludność Warszawy właściwie żyła uszami, nad słuchując odgłosu armat sowieckich. Gdy zamilkły i zapanowała martwa cisza, tłumaczono ją sobie przejściowymi trudnościami i nasłuchiowano dalej. Wszyscy przecież pamiętali audycje lipcowe sowieckiej stacji „Kościusko”, nawołujące ludność Warszawy do Powstania, a poza tym udział w walkach plutonów komunistycznej armii ludowej (A.L.-u) i pół-komunistycznej polskiej armii ludowej (P.A.L.-u) był dowodem pozytywnego stanowiska komunistów do Powstania. Nikomu w pierwszych dniach nawet na myśl nie przyszło, że sowiecka ofensywa została umyślnie wstrzymana, by umożliwić Niemcom zniszczenie Warszawy. Jeśli chodzi o siły A.L.-u, było to prawie nic. Interesowałem się tą sprawą i poprosiłem kiedyś znajomego oficera sztabu generała Montera o odpowiednie dane. Informacja brzmiała bardzo przekonująco: „A.L. zgłasza zapotrzebowanie na żywność i zaopatrzenie dla mniej więcej trzystu ludzi. Ponieważ jest wiadomo, że każda jednostka melduje dla przydziału żywności zawsze większe stany, by mieć nadwyżki, więc oceniamy ich liczebność na około dwustu, dwustu pięćdziesięciu ludzi”. Jeśli chodzi o P.A.L., to jakiś czas jego główna kwatera mieściła się w domu przy Marszałkowskiej, gdzie często gęsto nocowałem. Była to straszna

zbieranina, obsypana gwiazdkami gdzie się dało. Sami pułkownicy, majorzy itd. Jak się to bractwo orientowało w sprawach wojskowych, tego dowiodła mi rozmowa, prowadzona przez dwóch oficerów, której mimowoli wysłuchałem przez otwarte okno. Jakiś głos wykrzykiwał: „Panie poruczniku Wenecjanin!” (autentyczne) „już tyle razy panu tłumaczyłem, że wachmistrz a rotmistrz to nie to samo! Wachmistrz — to szarża podoficerska, a rotmistrz — oficerska. Ja jestem rotmistrzem P.A.L.-u, a pan, panie poruczniku, ciągle mnie nazywa wachmistrzem!” Wychyliłem się przez okno, żeby zobaczyć posiadacza romantycznego pseudo. Ujrzałem dwie gwiazdki na ramionach opryszka z gatunku tych, których lepiej po nocy nie spotykać.

Sensacją było ujawnienie się wobec dowództwa Powstania kapitana sowieckiego wywiadu, Konstantego Kaługina, który wysłał 5 sierpnia via Londyn depezę do Stalina, z prośbą o pomoc. Czytałem również jego odezwę-ulołkę do oddziałów niemieckich, złożonych z sowieckich żołnierzy wziętych do niewoli, nawołującą do nie brania udziału w walkach przeciw Powstaniu i grożącą karą śmierci za to w przyszłości. Depesza Kaługina pozostała bez odpowiedzi, a gdy on sam, pod koniec Powstania, przepłynął Wisłę i dotarł do Rokossowskiego, nikt nigdy więcej o nim nie słyszał. Pewno przyplacił gardłem wysłanie depeszy, przeciwnej planom Stalina.

Oczy nam się całkiem otworzyły dopiero wówczas, gdy napłynęły informacje od rządu o bezskutecznych interwencjach aliantów u Stalina o pomoc dla Warszawy. Do tego doszła odmowa Sowietów zezwolenia na lądowanie tym samolotom alianckim, które rozpoczęły nocne zrzuty nad Warszawą. Zamiast lądować na lotniskach sowieckich, odległych od Warszawy o kilkanaście minut lotu, musiały wracać z powrotem na oddalone o tysiące kilometrów lotniska alianckie, co ogromnie zwiększało ich straty.

Kiedyś z dachu przyglądałem się ceniom, sunącym po niebie wśród warkotu motorów i piekielnego ognia artylerii przeciwlotniczej. Zamarłem gdy na jednym z nich ukazało się światełko, w sekundzie zamieniło się w płomień i samolot poszybował nad Pragę, gdzie po chwili ukazał się

słup ognia i doszedł odgłos wybuchu. Ludzie na dachu płakali, odmawiając modlitwy za konających.

Przyszła w tym czasie depeusza, zawiadamiająca, że Sowiety aresztowały załogę samolotu angielskiego, który po zrzutach nad Warszawą musiał lądować przymusowo po stronie sowieckiej. Wprawdzie na interwencję brytyjską, załogę odesłano do Anglii, ale zapowiedziano, że następane pozostaną w Rosji, internowane do końca wojny. Gdy doręczyłem tę depeuszę Delegatowi, a ten okazał ją członkom R.J.N., pozbawiła ona wszystkich resztek nadziei na szybką pomoc.

Zmiana nastąpiła dopiero 9 września, późnym wieczorem. Otrzymaliśmy alarmową depeuszę: „Zawiadomcie Delegata, że marszałek Stalin przyrzekł dziś pomoc dla Warszawy”.

Wszystkich na stacji ogarnęła radość, ja zaś pobiegłem ciemnymi ulicami, potykając się o gruzy, na Mokotowską. Delegat Rządu, Jankowski, Pużak i otoczenie Delegata, — wszyscy leżeli pokotem pod kocami, na podłodze korytarza. Gdy odczytałem depeuszę, zapanowało duże ożywienie i każdy zaczął snuć swoje przypuszczenia. Ja po cichu wycofałem się, gdyż pragnąłem wrócić czym prędzej do najbliższych i z nimi pomarzyć o szybkim zwycięstwie nad Niemcami.

Na drugi dzień nie obudziły nas, jak zwykle, nurkowce niemieckie, lecz głos sowieckich myśliwców, które parami krążyły nad miastem. Odetchnęliśmy z ulgą. Przynajmniej bomby się skończyły. Niestety, 19 września, sowieckie myśliwce zniknęły z nieba i naloty bombowców rozpoczęły się na nowo. Tak wyglądała lotnicza pomoc sowiecka dla Powstania.

W nocy z 13 na 14 września rozpoczęły się sowieckie zrzuty żywności i broni ale, jak na urągowisko, bez spadochronów! Wszystko się tłukło i rozsypywało. Co ważniejsze jednak, były to tylko zrzuty propagandowe, obliczone na to, żeby móc powiedzieć zachodowi, że Sowiety dają pomoc Powstaniu, a w rzeczywistości jej nie dać.

Dnia 14 września Rokossowski zajął Pragę i jego wojska stanęły naprzeciw walczącego miasta, wzdłuż całego brzegu Wisły. Między 14 a 18 września dwa bataliony armii Berlinga, pozostającej pod dowództwem Rokossow-

skiego, przepравиły się przez Wisłę na Czerniaków, dowodząc tym, że przyjscie z pomocą przez rzekę było możliwe. Rozmawiałem później z oficerami A.K., którzy byli na Czerniakowie w tym czasie. Prawie z litością opowiadali oni, że bataliony dostały się natychmiast w ciężkie tarapaty i wyginęły, pozostawione bez dalszej pomocy. Żołnierz w nich był zupełnie świeży, chłopci z Małopolski zmobilizowani przed kilkunastoma dniami. Nie mieli doświadczenia bojowego, nie potrafili się kryć i ginęli jak muchy. Okazało się później, że Berling działał na własną rękę, rzekomo bez wiedzy Rokossowskiego i został za to aresztowany, na rok zniknął bez śladu i do dziś nie powrócił do łask. Bataliony zostały świadomie i umyślnie skazane przez Rokossowskiego na zagładę, co też się dokonało, gdyż tylko niewielka ilość rozbitków zdołała się wycofać z powrotem za Wisłę.

Jeśli Powstanie Warszawskie nazywa się często najbardziej bohaterskim epizodem minionej wojny, to zachowanie Sowietów w czasie Powstania powinno być nazwane największą zbrodnią minionej wojny, gorszą nawet od Katynia, bo za nią zapłaciło dwieście tysięcy ludzi swoim życiem.

Wracamy znów na Kruczą.

Granatniki waliły teraz w poselstwo bułgarskie coraz częściej i dłużej. Przyszedł do mnie dowódca kompanii, wziął mnie na bok i z zażenowaniem poprosił: „Nie ma żadnej wątpliwości, że Niemcy was wymierzili i dlatego nas tak naparząją. Bardzo mi przykro, ale muszę was prosić, abyście się stąd wynieśli. Boję się, że Niemcy zaatakują nasz odcinek, aby zniszczyć radiostację, a wtedy się nie obronimy. Mam wszystkiego na całą kompanię kilka karabinów i kilkanaście rewolwerów”. Zachnąłem się w pierwszym odruchu: „A więc tam, dokąd pójdziemy, będą ginąć od granatników cywile, bo wy, żołnierze, się boicie?” Kapitan się nie obraził: „Trudno, bardzo mi przykro, ale tu jest odcinek frontu, którego nie mogę z waszego powodu szczególnie narażać”. Odwróciłem się i odszedłem bez słowa, ale po namyśle musiałem mu przyznać rację i wobec tego wróciliśmy na Kruczą 7.

W sierpniu 1948 roku siedziałem w kawiarni w Paryżu w pobliżu ogrodu Luksemburskiego. Myślało się rozkosznie w słońcu i ciszy nad szklanką dobrej kawy. Niedaleko siedział jakiś pan, którego twarz wydała mi się znajoma. Nie mogłem sobie jednak w żaden sposób przypomnieć, gdzie ją widziałem. On również przyglądał mi się bacznie. Wreszcie wstał i podszedł do mego stolika ze słowami: „Nie poznaje mnie pan? Jestem Bereziński. Pamięta pan Powstanie i bułgarskie poselstwo? Trochę pokłóciliśmy się z panem o radiostację. Ale nie miał pan racji...” Podjąłem temat i w ten sposób w Paryżu, w cztery lata po Powstaniu, dokończyliśmy rozmowy, rozpoczętej w poselstwie bułgarskim w Alejach Ujazdowskich.

Przyjęcie u Antka.

Było coraz gorzej. Zupy z kaszy się skończyły i zaczęliśmy jadać u Pezetek (Pomoc Żeńska Powstania) rozgotowaną pszenicę, którą przynoszono z dalekiego składu, gdzieś na krańcach naszego frontu. Całymi dniami wędrowały przez piwnice sznury ludzi, obciążonych workami. Chleba nie widzieliśmy prawie od początku Powstania, a po wodę trzeba było stać w ogonku coraz dłużej.

Toteż niebywale zelektryzowało nas zaproszenie, otrzymane od pracownika podziemnej gazety, Antka, na obiad do mamy. Robił tajemniczą minę i zaręczał, że dostaniemy rozmaite smakołyki, niewidziane od wielu tygodni. Na drugi dzień, z Antkiem na czele kroczyliśmy w kierunku ulicy Pańskiej. Szli z nami także Tadeusz i Helenka, dziennikarze z prasy konspiracyjnej. Powstał spór co do drogi. Zosia, Helenka i ja chcieliśmy iść przepisowo, to jest dłuższą wytyczoną trasą, aby uniknąć obstrzału z hotelu Polonia, skąd Niemcy bili wzdłuż ulicy Wielkiej, natomiast Antek, znany „odważniak”, obstawał, by iść skrótem. Nie mogąc się pogodzić, podzieliliśmy się na dwie partie i Antek z Tadzkiem poszli krótszą drogą.

Byliśmy już w domu, na Pańskiej, gdy wbiegł zdyszany Antek, wołając: „Chodźcie prędko zabrać Tadka! Jest ranny!” Zbiegliśmy bez zbędnych pytań na dół, dopadli-

śmy Wielkiej i tam w gruzach, na ceglach, znaleźliśmy jęczącego z bólu Tadka. Miał przestrzelone... siedzenie.

Rana raną, a obiad stygnął. Wobec czego, po opatrunku założonym na punkcie sanitarnym, zabraliśmy Tadka na noszach ze sobą i zadygowaliśmy go na czwarte piętro. Tam został położony na kanapie, a sami zasiedliśmy do obiadu. Kpiliśmy niemilosiernie z Antka, który był naprawdę zmartwiony i starał się jakoś tłumaczyć, ale to pobudzało nas do jeszcze większych kpin. Tatkowi też się dostało. Miejsce, w które był trafiony, dawało okazję do łatwych dowcipów. Obiad był rzeczywiście, jak na głodowe stosunki, doskonały. Zupa z mąki, kluski i po dwa kartofle! Humory wszystkim dopisywały znakomicie. Nawet Tadek, leżący na brzuchu z wypiętą... raną, przyszedł do siebie. „A nie zjedzcie tam mojej porcji! Tylko niech to bydlę, Antek, nie pokazuje mi się na oczy!”

Oskarżeni o dywersję.

Co noc terkotały teraz nisko nad dachami sowieckie „kukuźniki” i zrzucały broń i żywność. Wszystko szło na dół po staremu bez spadochronów i rankiem widać było na ulicach rozsypaną kaszę lub makaron. Ludzie snuli się jak cienie szukając takich miejsc. Z zapadniętych oczu wycierał głód. Doniesiono mi już o pierwszym wypadku głodowej śmierci dwóch starszych kobiet, które nie miały sił, by wyjść z mieszkania i uprosić trochę pożywienia. Wszystkie konie zostały już dawno zjedzone, a teraz przyszła kolej na psy.

Przyszedł do nas Bolek, brat obserwatorki Jadzi, wysłany swego czasu do leśnej stacji. Dzień przed wybuchem Powstania przyjechał z listem do mnie i tak już został w Warszawie. Służy w oddziale A.K. i jest na linii frontu. Ale czuje się bardzo niepewnie, gdyż oddział jest prawie bez broni. Pod wieczór żołnierze rozchodzą się po mieście i pożyczają na noc karabiny od swych przyjaciół z innych oddziałów, wycofanych z frontu na wypoczynek. Bolek też ma takiego przyjaciela, który mu na noc pożycza karabin. Ale tak boi się jego utraty, że przychodzi spać do ich oddziału i rano karabin zabiera.

Bolek ma dobre serce i przyszedł do nas z zaproszeniem: „Bardzo państwa proszę dzisiaj do naszego oddziału na kolację. Zwabiliśmy od Niemców dużego doga i będzie dzisiaj podany w potrawce”. Jednak nie dojrzeliliśmy jeszcze do tego, żeby jadać biedne pieski, wobec czego pociągająca propozycja została odrzucona.

Nocowaliśmy teraz z Zosią w naszym „orlim gnieździe”, na ostatnim piętrze w domu przy Marszałkowskiej. Pewnej nocy zbudziło nas głucho uderzenie. Nadśluchiwaaliśmy pilnie, ale dochodził tylko terkot „kukuruźnika”. Zasnęliśmy na nowo, ale już po kilkunastu minutach zbudziłem się ponownie. Wyskoczyłem z tapczana na równe nogi. Ktoś chodził po naszym schowku!

Wdrapałem się do wentylatora i po wykonaniu przepiślowych akrobacji wysunąłem się na strych, oświetlony ostrym światłem elektrycznych latarek. Zapaliłem swoją i widzę dwóch mężczyzn, którzy przyglądają mi się podejrzliwie. Naokoło leży nasz sprzęt radiowy, lampy i narzędzia. „To jest mój schowek. Skąd panowie się tu wzięli?” — „Zrzut spadł na dach, przebił go i wpadł tutaj”. Oświeciłem latarką rozsypaną kaszę. — „No, to zbierajcie panowie to co tu leży, byle szybko i chodźmy spać”. Zebrali do worków kaszę z kurzem i piachem, ale wyszli niechętnie, z ociąganiem, mrużąc coś do siebie.

Byłem zły, że schowek został zdekonspirowany, a że nie bardzo dowierzałem nocnym gościom, natychmiast po ich wyjściu przez dziurę w dachu poznosiłem paczki do pokoju. Ze schowkiem trzeba się było pożegnać.

Położyliśmy się z powrotem zirytowani bardzo, ale nie dane nam było tej nocy zmrużyć oka. Ledwo zadrzemaliśmy, gdy ktoś zaczął walić we drzwi: „Kto tam?!” — wrzasnąłem wściekły. — „Żandarmeria na rewizję, otwierać!” Tam do diabła! Czyż nocne wizyty żandarmów należą rzeczywiście do normalnego trybu życia w każdej sytuacji? Zły nad wyraz, ubrałem się byle jak i otworzyłem drzwi. Stańło w nich trzech mężczyzn z opaskami na rękawach i rewolwerami w rękę, które natychmiast skierowali w naszą stronę: „Nie ruszać się, bo kula w łeb! Nareszcie mamy was, ptaszki! Zrewidować go...” — „Stać, panowie, żadnej rewizji nie będzie!” Nie zwracając uwagi na rewolwery, wyciągnąłem legitymację K.G. Przeczytali

ją, nie kryjąc swego zawodu. Pragnęli mi wzamian doku-
czyć: „Urządził pan sobie wspaniałą kwatere! I to z dziew-
czynką!” — „Wynoście się natychmiast, bo zaalarmuję od-
dział z parteru i was zatrzymają na mój rozkaz, a nie mnie
na wasz!” Wyszli klnąc pod nosem i trzaskając drzwiami.

Ułożyliśmy się ponownie i drzemiemy już tylko, wybici
ze snu. Ponowne pukanie doprowadza mnie do szału. Znow
wstaje i pytam przez drzwi: „Kto tam, do stu diabłów?!”
— „Żandarmeria na rewizję, otwierać!” — „Byli tu już
żandarmi. Idźcie do cholery i dajcie nam już nareszcie spo-
kój!” — „Nic o tym nie wiemy. Otwierać!” Wpuściłem
trzech młodych chłopców. Jednemu z nich z oznakami sier-
żanta wręczyłem bez słowa legitymację. Przeczytał ją
uważnie, zasalutował, wyprawił za drzwi pozostałych
i przeprosił mnie: „Bardzo mi przykro, to jakieś nieporo-
zumienie. Co tu się stało?” Opowiedziałem mu o wylądow-
waniu zrzutu w schowku. Śmiał się do rozpuku: „Prawie
cała żandarmeria postawiona na nogi! Przyszła informacja
o wykryciu składu u niemieckiego dywersanta. Przyszliśmy
z poleceniem zabrania was i rozwalenia, jeśli to prawda”.

Wyprawa po złote runo.

Pod koniec Powstania Delegat zwierzył mi się, że jed-
nym z kłopotów, które go dręczą, jest brak pieniędzy. Wie-
le schowków w Warszawie spaliło się, skarbnik Delega-
tury ranny, w szpitalu na terenie zdobytym przez Niem-
ców nie wiadomo czy żyje, jego zastępca zabity przez bom-
bę. Słowem źle. Wygadałem się z tego przed K., dawnym
urzędnikiem Biura Prezydialnego Delegatury, a ten ude-
rzył się w czoło i coś sobie przypominał: „Zakładałem
kiedyś ze skarbnikiem schowek na Mokotowskiej i umie-
ściłem tam parę pasów z dolarami ze zrzutów. Może tam
jeszcze leżą?” Zawiadomiłem o tym Delegata, a ten prosił
by pójść z K. na miejsce i rzecz całą sprawdzić.

Ruszyliśmy z Kruczej na Mokotowską blisko Pola Mo-
kotowskiego. Trzeba pecha, że Niemcy zaczęli okładać tę
właśnie część miasta gęstym ogniem granatników i o mało
nam się nie dostało po skórze. W każdym razie nie raz ro-
biliśmy padnij-powstań po rozmaitych podwórzach i zaka-
markach, aż wreszcie brudni i zakurzeni dotarliśmy do ka-

mienicy, leżącej na linii frontu. K. zapukał do znajomych drzwi i został powitany przez starszego, grubego pana, który zaprosił nas zaraz do kuchni. Tam, zza stołu podniosło się trzech panów z kartami w rękę. — „Cóż to, brydzyk?“, zapytał łakomie K., sam zawołany brydzyta. — „A tak, gramy tu sobie codziennie popołudniu“. — „A macie tu panowie chociaż spokój do gry?“ — „Naturalnie. My jesteśmy za blisko linii niemieckich, więc nie bombardują, bo mogliby trafić w swoich“. — „A gdzie są nasze pozycje?“ — „Tutaj, zaraz po przeciwnej stronie korytarza, we frontowym pokoju“, wyjaśnił spokojnie gospodarz. Weszliśmy do pokoju frontowego. Podłoga wysypana żwirem, a w oknie, za workami z piachem nieruchomy Akista z karabinem. Zerknąłem przez otwór na niemiecką stronę ulicy. Zupełnie martwa, ani śladu życia. — „Panie radco, ja tu kiedyś założyłem schowek“, zapytał K. — „A jest, tak jak go pan zostawił“. — „Nikt nic nie brał z niego?“ — „Nikt tu nie zaglądał od tego czasu“.

Weszliśmy do sąsiedniego pokoju, K. obliczył prostokąty posadzki, podważył jeden drutem i wyjął, a później wyciągnął po kolei z otworu dwa jedwabne, wypchane pasy, zalakowane i opieczętowane. — „Dziękuję, panie radco“. — „Bardzo panów proszę. A może by pan tak kiedy do nas na parę roberków?“ K. zaśmiały się oczy: „Z boczkami?“ — „Naturalnie!“ — „Postaram się...“

Rozpoczęliśmy powrotną drogę przy akompaniamencie pękających pocisków, smrodu benzolowego i trzasku płonących domów. Wreszcie wydostaliśmy się ze sfery ognia i odetchnęliśmy swobodniej. Osłoniliśmy pasy połami marynarek i zmierzaliśmy wprost do kwatery Delegata. Przechodząc przez jakieś podwórze, natknęliśmy się na biegącego drobnym kroczeniem z wypchaną teką p. Y. z Delegatury, mego adwersarza w sprawie „Świtu“. Wpadłem na pewien pomysł: „Zróbmy mu kawał. Nic nie mów, tylko potakuj“. Wysunąłem nieco pas spod marynarki i kroczyłem naprzód. Gdy wymieniliśmy „dzień dobry“, p. Y. obrzuciwszy ciekawym spojrzeniem zielony pas, tak jak przypuszczałem, nie omieszkał zapytać: „A co to pan niesie, panie dyrektorze?“ Odpowiedziałem niedbale: „A, to poczta z Londynu, zrzucona przez samolot na Pole Mokotowskie. Dowidzenia, panie dyrektorze“. Pan Y. chciał jeszcze

o coś zapytać, ale nie daliśmy mu na to czasu. Gdy wręczyliśmy pasy Delegatowi, był bardzo ucieszony i dziękował K. gorąco za wybawienie go z kłopotu.

Nazajutrz spotkałem znów Delegata. Popatrzył mi bawczo w oczy i zapytał: „Panie Zieliński, a jaką to pan pocztę odebrał wczoraj z Londynu?” — „Żadnej, panie Delegacie”. — „Jako żadnej?... Przecież powiedział pan wczoraj Ygrekowi, że ją pan właśnie niesie?” Nie mogłem ukryć uśmiechu. A więc chwyciło! — „Nie, panie Delegacie, to były te pasy, które przynieśliśmy panu. Ygrekowi powiedzieliśmy, że to poczta z Londynu, tak dla kawału”. Tym razem Delegat nie mógł powstrzymać śmiechu. W zmęczonych, niewyspanych oczach pokazały się iskierki wesołości: „Oj, panie Zieliński, panie Zieliński! Tutaj ludzie giną, domy się wałają, a pana trzymają się takie kawały... Ygrek od rana siedzi tu u mnie i suszy mi głowę, że przeglądanie poczty należy do niego, a nie do pana”. — „Co robić, panie Delegacie? Trzeba się jakoś ratować, żeby nie oszaleć w tym piekle”. Delegat się zastanowił: „Może pan ma rację... może...”

Widmo kapitulacji.

Jasne się stało już dla każdego, że Sowiety pragną, by Niemcy zniszczyli miasto i ludność. Podjęli oni na nowo bombardowanie i ogień artyleryjski. Naokoło pożary. Nad miastem zawisło widmo kapitulacji. Wysłałem teraz rządowi sprawozdanie końcowe o sytuacji, zawarte w trzech depe szach, które zasługują na to, by je przytoczyć dosłownie.

„Warszawa, 22 września 1944. Jako dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych odbywam regularne konferencje z lokalnymi delegatami. Poniżej podaję raport z wczorajszej konferencji. Nie obejmuje on Mokotowa i Żoliborza, ponieważ są one zupełnie odcięte od nas i jedyną formą wojskowej łączności jest tylko radio i przygodni kurierzy. W centrum miasta spośród 260 tysięcy ludności prawie połowę stanowią uciekinierzy z innych dzielnic Warszawy. Stan wojskowych i cywilnych rezerw żywności wynosi około stu ton jęczmienia i pięćdziesiąt ton

pszenicy. Tłuszcz kończy się jutro, cukier za cztery dni. Rekwirujemy żywność kupcom i z porzuconych mieszkań, ale rezultat jest bardzo nikły. Nie mamy elektryczności, gazu i wody z rurociągów od dłuższego czasu. Działają 92 studnie, około 80 jest w wierceniu. Panuje łagodna epidemia dezynтерии, lecz nic więcej. Obsługę lekarską stanowią czterej doktorzy na każdy komisariat, jeden doktor na każdy blok domów. Sześć szpitali użytkuje ludność cywilna wraz z wojskiem, dwanaście ma wyłącznie dla siebie, wszystko w piwnicach”.

„Warszawa, 23 września 1944. Uzupełniam wczorajszą depezę: Sprawy stoją lepiej na Żoliborzu i Mokotowie, które są mniej przeludnione i mają trochę jarzyn. W centrum miasta rozpoczął się handel wodą. Studnie wyczerpują się szybko i stają się nie do użytku. Od dzisiaj będziemy jedli gotowaną pszenicę i kawę z cukrem. Dzisiaj jesteśmy pod gęstym ogniem granatników”.

„Warszawa, 26 września 1944. Na podstawie konferencji, jaką miałem wczoraj z lokalnymi Delegatami, stwierdzam, iż wśród ludności szerzy się głód. Cała pszenica została już rozdzielona, a pozostałość z 60 ton jęczmienia rozdzielana jest obecnie. Nie ma żadnych innych rezerw. Ludność je już psy. I znów stoimy wobec widma kapitulacji lub konieczności wysłania ludności cywilnej na niemiecką stronę, tym razem z powodu głodu. Bez dużych i codziennych zrzutów żywności, możemy wytrzymać jeszcze tydzień, a najwyżej dziesięć dni. Stwierdziliśmy dwanaście wypadków szkarlatyny”.

Dnia 27 września został zdobyty Mokotów. 29 września Bór wysłała parlamentariuszy do generała von dem Bacha, a 30 września pada po bohaterskich, zażartych walkach Żolibórz.

Uczestniczyłem teraz w posiedzeniach R.J.N., poświęconych przygotowaniom do kapitulacji. Chodziło nam zarówno o A.K., jak o zabezpieczenie cywilnej ludności i jej mienia przed ewentualnymi represjami niemieckimi. Obrady toczyły się równoległe do rokowań z Niemcami, z których wynikało, że cywilna ludność będzie musiała

opuścić miasto tylko z tym, co kto uniesie, natomiast że miasto samo zostanie na łasce Niemców. Uzgodniono, że do niewoli pójdzie tylko A.K., natomiast polityczne podziemie i jego władze będą potraktowane tak, jak ludność. W tym okresie czasu Delegat troskał się bardzo o miasto i spędzał wiele godzin na rozmowach z byłym ministrem Wachowiakiem i ze mną, debatując nad tym, jakby przy pomocy Rady Głównej Opiekuńczej (R.G.O.) zorganizować opiekę nad opuszczoną Warszawą. Po kapitulacji wyraziło się to w bezskutecznych, niestety, interwencjach Wachowiaka, wiceprezydenta miasta Warszawy, Kulskiego i innych u gubernatora warszawskiego, Fischera, aby powstrzymał dziki rabunek i systematyczne palenie Warszawy.

Na zlecenie Delegata opracowałem również system, w jaki władze podziemia mają się odszukać po Powstaniu. Plan był prosty, coś w tym rodzaju: w pierwsze dwa tygodnie po Powstaniu, szukać się w dni nieparzyste, na pierwszej mszy świętej, w kościele w Leśnej Podkowie, w parzyste w Milanówku, dzielące się przez trzy — w Grodzisku. Po dwóch tygodniach szukamy się w Piotrkowie, a po dwóch następnych w Krakowie.

Delegat czuł się już chory i nieraz, gdy przychodziłem do niego, leżał w łóżku. Przyglądałem mu się ze współczuciem. Za dużo się na niego zważyło, jak na siły jednego człowieka.

Kapitulacja.

Dnia 2 października 1944 roku został podpisany w Ożarowie układ kapitulacyjny i strzelanina ustała całkowicie. Dziwna cisza ogarnęła miasto. Zanim ten fakt został ujawniony, otrzymałem od Delegata polecenie wydania i ogłoszenia zarządzenia, nakazującego ludności cywilnej opuszczenie miasta, jednakże bez poinformowania jej o tym, że A.K. składa broń i idzie do niewoli. Zwołałem natychmiast do siedziby Delegatury dzielnicowej, w nowym domu na Mokotowskiej naprzeciw wylotu Kruczej, zebranie delegatów dzielnicowych i Prezydenta Miasta i wydałem im stosowne instrukcje. Delegaci niezwłocznie zwołali zebrania komendantów bloków, jedno z nich do wspomnia-

nego już budynku. Gdy delegat dzielnicowy, adwokat Quirini, rozpoczął przemówienie do zgromadzonych na sali stu kilkudziesięciu komendantów bloków, wmieszany w tłum, obserwowałem reakcję zebranych. Delegat dzielnicowy umiejętnie i spokojnie poinformował obecnych o zawarciu układu z Niemcami, w wykonaniu którego ludność od jutra rana ma zacząć opuszczać miasto. Mimo że na Warszawę przesiąknęły już wiadomości o toczących się pertraktacjach, na twarzach zgromadzonych widać było przykre zaskoczenie. Na sali zapanowała martwa cisza. O kapitulacji A.K., zgodnie z instrukcją, delegat dzielnicowy nie wspominał ani słowa. Gdy na zakończenie poprosił o natychmiastowe poinformowanie ludności i dopilnowanie wykonania, na sali powstał szmer, który szybko zamienił się w hałas. Ktoś z tłumu krzyknął: „Proszę o głos!” Delegat poprosił o ciszę i zapytał, o co chodzi. Wśród ponownego milczenia rozległo się głośne pytanie: „A co będzie z A.K.?” Przygotowany na tę ewentualność delegat, odpowiedział, że prosi by nie mieszać spraw wojskowych, otoczonych tajemnicą, z cywilnymi, bo to są różne dziedziny. Na to wyskoczył z tłumu jakiś mężczyzna i zwróciwszy się do zebranych zawołał: „Koledzy! Jestem komendantem bloku z ulicy Marszałkowskiej. Powtórzę w moim bloku ściśle usłyszane zarządzenie. Ale dodam od siebie: nie wychodźcie z miasta, jeśli nie wyjdzie A.K.! Jeśli A.K. zostaje, zostamy i my! Jak ginąć, to razem!” Na sali wybuchła wrzawa i krzyki: „Racja! Tak jest! Nie wychodzić bez A.K.!” Nikt już nie słuchał perswazji delegata dzielnicowego. Wszyscy rozchodzili się w podnieceniu, krytykując brak informacji o A.K.

Udałem się natychmiast do chorego w dalszym ciągu Delegata Jankowskiego, by mu przedstawić przebieg zebrania. Nie było rady! Delegat polecił zwołać zaraz drugie zebranie, na którym komendanci bloków zostali poinformowani również o kapitulacji A.K. Wiadomość przyjęli ponurym milczeniem i natychmiast zajęli się wykonaniem zarządzenia o ewakuacji ludności. Nazajutrz szły już karawany wynędzniałych ludzi, obciążonych tłumokami, w kierunku punktów wyjściowych i powoli całe miasto pustoszało. Niemcy przy barykadach i przejściach przyglądali się temu jacyś inni, jak gdyby trochę onieśmieleni.

Teraz już prawie nie rozstawałem się z Delegatem, który znów miał ze mną rozmowę w cztery oczy. Wykazała ona całą jego dla mnie życzliwość: „Panie Zieliński, obawiam się, że mimo warunków kapitulacji, Niemcy pana będą szukać. Był pan członkiem K.W.P., a poza tym te sądy i wyroki śmierci... Umyśliłem sobie, żeby pan poszedł do niewoli jako adiutant Bora. Jak go poproszę, zgodzi się na pewno. Tak będzie dla pana lepiej”. Podziękowałem gorąco, ale oświadczyłem, że tylko ci, co muszą, powinni iść do niewoli, a reszta powinna nadal pozostać w podziemiu. Poza tym będę się starał wymknąć z Warszawy z radiostacją, podtrzymać nadal łączność z Londynem, co przecież jest bardzo ważne! Ten ostatni argument zrobił na Delegacie wrażenie i już więcej do tego tematu nie wracał. Wyraził tylko nadzieję, że się szybko odzyskamy pod Warszawą, czy gdzieś dalej.

Bór już był na rozmowach z generałem von dem Bachem i opowiadał na spotkaniu z R.J.N. o wrażeniach. Utkwił mi w pamięci jeden szczegół. Bach, wylewny i szczerzy, czy też udający szczerego, na początku rozmów twierdził z przejęciem: „Musimy razem uratować waszych wspaniałych żołnierzy A.K. Jest to naszym wspólnym przeznaczeniem, że kiedyś, w przyszłości, obojętnie pod jakim dowództwem, my, Niemcy, i wy, Polacy, będziemy walczyć przeciwko wspólnemu wrogowi... Wówczas ci bohaterscy żołnierze będą potrzebni”.

Piątego października poszedłem na ulicę Śniadeckich, żeby się pożegnać z Borem i Grzegorzem, idącymi do niewoli. Posuwając się wzdłuż długiej kolumny żołnierzy, coraz to byłem przez kogoś okrzykiwany. Ścisnąłem ręce na prawo i lewo, często gęsto odpowiadając „nie” na pytania, czy idę razem z nimi. Natknąłem się tak na mego szesnastoletniego bratanka, Andrzeja Korbońskiego: „Jak się masz, Andrzej? Idziesz więc do niewoli?” — „No tak, razem z moim oddziałem”. Pokręciłem głową: „A może chciałbyś zostać ze mną?” — „Nie, wujku, wolę iść do niewoli, a potem postaram się wyrwać na zachód, do ojca, do Anglii”. — „Daj ci Boże szczęście. Bywaj zdrowi!” Uścisnęliśmy sobie ręce po to, by się spotkać dopiero w roku 1947 w Londynie.

Na czele kolumny stał już Bór i Grzegorz, a obok sztab.

O kilkadziesiąt metrów, w kierunku ulicy 6-go Sierpnia, stali nieruchomi Niemcy z karabinami, przyglądając się spokojnie głębokim szeregom A.K. Było zimno w powietrzu, zimno w sercu. I znów ścisnąłem ręce na prawo i lewo, życząc wszystkim powodzenia i odbierałem podobne życzenia. Wreszcie cała kolumna obnażyła głowy i rozległy się dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła”. Oczy wilgotniały, głos się łamał. Szeregi ruszyły naprzód, a ja z powrotem. Patrzyłem ze wzruszeniem na setki młodych chłopców i dziewcząt, krocących sprawnie, z jakimś kamiennym spokojem na twarzach. Nad maszerującą kolumną unosiły się cienie Historii. Nie można jednak było sobie pozwolić na dalsze roztkliwianie się, bo przede mną stało jeszcze najcięższe zadanie. Jak się wymknąć z całą ekipą z Warszawy?

Zegnaj Warszawo!

Istotnie postanowiłem nie iść do niewoli i jakoś wy dostać się z Warszawy, by pracować w podziemiu dalej, a przede wszystkim utrzymać łączność radiową z Londynem. Ta decyzja zelektryzowała wszystkich i każdy kombinował, jakby ominąć obóz przejściowy w Pruszkowie, przez który musiała przejść cała ludność Warszawy. Wpadłem na pewien pomysł, ale nikomu o nim nie wspomniałem. Nie byłem pewny, czy uda mi się go zrealizować. Udało się jednak i pewnego dnia wpadłem do mieszkania, wołając: „Głowy do góry! Wszystko załatwione! Od dziś jesteśmy wszyscy pracownikami R.G.O. i wolno nam pozostać w mieście do końca ewakuacji. Mamy parę dni przed sobą i przez ten czas coś wymyślimy”.

Wręczyłem każdemu legitymację R.G.O. i opaskę z pieczęcią. Byliśmy już teraz pełni nadziei i podniesieni na duchu. Nadszedł czas na wysłanie i odebranie ostatnich depeesz. Otrzymaliśmy przede wszystkim depezę od premiera z podziękowaniem za kilkuletnią pracę, a także od kierownictwa oraz telegrafistów stacji londyńskiej. Treść ich była bardzo podniosła, ale zarazem bardzo ponura. Widać było, że się z nami żegnają na zawsze i uważają kapitulację za koniec pracy z nami. Patrzyliśmy na siebie trochę zgorszeni. Nikt z nas w tej chwili nie myślał ani

o śmierci, ani o niewoli. Przeciwnie, najgorsze już mieliśmy za sobą, a przed sobą perspektywę wydobycia się z Warszawy bądź to w charakterze pracowników R.G.O., bądź w inny sposób. Cała ekipa była pełna nowego zapału, do czego bez wątplenia przyczynił się fakt, że wyszliśmy z Powstania cało, a ostatnio nikt na to już nie liczył.

W tym nastroju, wśród ogólnego aplauzu, kazałem Janowi wysłać następującą depezę: „Postaramy się wymknąć z Warszawy i pracować dalej. Nasłuchujcie nas za pięć dni, co dzień o jedenastej, na dotychczasowych warunkach. Do usłyszenia!”

Skończyliśmy pracę doprawdy w szczęśliwym momencie, bo wyszedłszy na ulicę natknąłem się już na pierwszy patrol niemiecki, posuwający się ostrożnie naprzód, pod dowództwem oficera. Gdy im się przyglądałem z pewną ciekawością, zza węgła naprzeciw ukazał się patrol A.K., złożony z trzech ludzi w hełmach, z opaskami i pistoletami maszynowymi, przewieszonymi przez ramię. Widok śmiertelnych do niedawna wrogów, zbliżających się wolno ku sobie, był dość niezwykły, więc zatrzymałem się i przyglądałem się temu. Ciekaw byłem, co będzie dalej. Gdy patrol A.K. był już o kilka metrów od Niemców, dowodzący oficer niemiecki podniósł rękę do czapki, żołnierze ściągnęli pasy karabinów, wyprężyli się i uderzyli mocno butami w bruk. Patrol A.K. zwrócił, jak za pociągnięciem sznurka, trzy głowy w lewo i tak śmiertelni wrogowie, Polacy i Niemcy, oddali sobie honory. Odetchnąłem z ulgą.

Roman zaręczał, że pod Warszawą znajdzie jakąś stację A.K. lub w najgorszym razie materiały, z których zbuduje nową. Liczyłem się z tym, że znalezienie przy nas stacji to śmierć dla wszystkich, wobec czego zarządziłem, że „Amerykanki” Jana nie zabierzemy ze sobą z Warszawy, ale na wszelki wypadek schowamy ją i kilka innych stacji. Ukryliśmy natomiast przy sobie kilka kwarców, kody, parę zasadniczych lamp i byliśmy gotowi do wyruszenia z miasta przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Przed tym jednak odbyła się krótka ceremonia. Czterech panów o twarzach starannie przyobleczonych w smutek wzięło na swe barki skromną trumnę, skleconą z prostych desek sosnowych i w towarzystwie kilku pań, kroczących

w żałobnym pochodzie, udało się na jeden z pobliskich cmentarzy. Tam trumna została opuszczona do już wykopanego grobu, starannie zasypana, i po kilku minutach wyrósł nad mogiłą zwyczajowy kopczyk. Pochowaliśmy w ten sposób resztę naszych radiostacji. Po „uwolnieniu” Warszawy przez wojska sowieckie, odbyła się ich „ekshumacja” i bardzo się nam przydały.

Nie wiedzieliśmy, czy uda nam się wyślizgnąć z Warszawy i jak się to odbędzie, ale na wszelki wypadek przeniesliśmy się wszyscy do jednego mieszkania przy Mokotowskiej i odpoczywaliśmy po ciężkich przeżyciach.

Miasto przedstawiało widok, który trudno sobie wyobrazić. Wszyscy mieszkańcy już wywędrowali i panowała głucha cisza, przerywana tylko odgłosem naszych kroków. Gdy zrobiłem wyprawę z Mokotowskiej na Marszałkowską, wróciłem szybko w popłochu, przerażony pustką martwych ulic i domów, do niedawna wypełnionych po same brzegi. Pozostały tylko niezliczone groby, których nie brakowało na żadnym podwórzowym klombie. Po drodze przyczepił się do mnie jakiś opuszczony i głodny pies, Pekinczyk, i gdy go wziąłem na ręce, tulił się i kwilił jak małe dziecko.

Wreszcie któregoś dnia w R.G.O. poruszenie. Dwa niemieckie samochody ciężarowe, które przywiozły żywność dla szpitali A.K., jakie jeszcze pozostały w mieście, mają zabrać pracowników R.G.O. do Pruszkowa. Gdy nadbiegliśmy z plecakami i torbami do lokalu R.G.O., samochody były już pełne. Nikt o nas nie pomyślał, bo wszyscy byli zajęci sobą. Być może przyczynił się do tego fakt, że niektórzy z prawdziwych pracowników R.G.O. stronili od naszej ekipy, wiedząc, że dane nam legitymacje i opaski R.G.O. kryją jakąś niebezpieczną robotę. Dostrzegł mnie wreszcie dobrze zorientowany Władysław Czajkowski, kierownik podziemnego Biura Ziemi Odzyskanych, którego zadaniem było przygotowanie w przyszłości objęcia tych ziem i zaprosił do przepełnionego samochodu. Zrobiono więc nam trochę miejsca i załadowaliśmy się, chociaż z wielkim trudem. Stojąc stłoczeni jak śledzie, ruszyliśmy przez zniszczone ulice. Nigdzie ani żywej duszy, tylko tu i ówdzie posterunek niemiecki, wskazujący samochodom drogę i objazdy. Wszędzie porwane

druty tramwajowe, przewrócone latarnie, gdzieniegdzie samotny tramwaj, często leje od bomb, a wszędzie barykady i gruzy, gruzy... morze gruzów i szkielety spalonych domów.

Z tego krajobrazu wyjechaliśmy nagle w inny świat. Domy café, otwarte sklepy, ludzie spokojnie pracujący na polach, normalnie wyglądający przechodnie, przypatrujący się nam z ciekawością i współczuciem. Dojechaliśmy do Pruszkowa i z niepokojem czekaliśmy na dalszy ciąg. Czy nas zawiozą do obozu, czy nie? Czy będzie rewizja, czy uda się jej uniknąć? Cały wóz myślał o tym samym. Wreszcie skręciliśmy w lewo i ktoś znający Pruszków pocieszył nas: „Chwała Bogu! Droga do obozu jest na prawo”. Samochody skręciły ostro w jakieś obszerne podwórze i dwaj eskortujący Niemcy, przywróceniu ludzkim uczuciom przez sporą paczkę banknotów, zniknęli w jakichś drzwiach jak kamfora. Zawołałem półgłosem do naszej paczki: „A teraz w nogi!” Zeskoczyliśmy z wozu na łeb, na szyję. Każdy złapał swój pakunek, minęliśmy szybko bramę i nie zatrzymywani przez nikogo, pobiegliśmy prawie do pobliskiej stacji kolejki elektrycznej. Nadjechał właśnie pociąg, więc władowaliśmy się czym prędzej przy pomocy konduktorów, domysławających się, o co chodzi, i pociąg ruszył żwawo z miejsca. Byliśmy zgrzani i zmęczeni, ale przede wszystkim oszołomieni łatwością, z jaką wszystko poszło. Spoglądaliśmy po sobie ze zdumieniem, radośnie się uśmiechając.

Naokoło luksus! Czysta kolejka, światło elektryczne, dostatnio w porównaniu z nami ubrani ludzie. Wszędzie na przystankach kosze z chlebem, wędlinami, masłem, bułki i inne od przeszło dwóch miesięcy nie widziane specjalności. Po pół godziny siedzieliśmy już w Leśnej Podkowie Głównej w przygodnym barze i zajadaliśmy, mimo wzajemnych ostrzeżeń, wszystkie te smakołyki. Każdy z nas po tym srogo to odpokutował.

Łączność nawiązana.

Wróciliśmy do względnie normalnego życia. W Leśnej Podkowie, w Milanówku i w Grodzisku, a więc na linii elektrycznej kolejki dojazdowej (E.K.D.) tłumy. Cała

Warszawa, także i ta podziemna! Odżywialiśmy się już normalnie i mieszkaliśmy w domach, w których były szyby i światło. Wody też było pod dostatkiem i godzinami leżeliśmy w wannach. A gdy do tego doda się jeszcze czyste łóżka, no, to raj zapanował na ziemi! Powstanie powoli zaczęło odchodzić w przeszłość, jako straszny i wspaniały sen. Wszędzie naokoło kręcili się Niemcy, nie mogąc w żaden sposób opanować wędrówki wielkiego miasta.

Roman ulokował się z Janem w wsi, odległej od Podkopy o kilka kilometrów i wychodził ze siebie, by wybudować jak najszybciej nową stację, bo gotowej nigdzie, niestety, nie znalazł. Wreszcie coś skleił, kupił odpowiednie akumulatory i Jan zaczął wołać Londyn, gdyż pięć dni już minęło. Odwiedziłem ich na nowym lokalu w porządnym, murowanym domku. Pokoik nie duży i schowek tylko w piwnicy. Oglądałem wszystko dokładnie i byłem zdziwiony zauważywszy, że antena wychodzi za okno: „Czyście oszaleli? Jakto, antena na zewnątrz?!” Roman mnie uspokoił: „Niech się pan nie obawia. Z sąsiedztwa nic nie widać, bo daleko, a Jan już naszych gospodarzy wybadał. To morowe chłopcy i nic nikomu nie powiedzą. Antena jest na strychu i obcy jej nie zobaczą”. — „Jak pan sądzi, czy Niemcy mają tu gonić?” — „Tak, wojskową. Widziałem ją na stacji w Komorowie, ale to zupełny prymityw. Mundurowy Niemiec chodził po peronie z tornistrem na plecach i słuchawkami na uszach. Można go było poznać o kilometr”.

Była godzina jedenasta i Jan zasiadł do aparatu. Po paru minutach zwrócił się do mnie: „Nie słyszą nas wcale”. — „Panie Romanie, co pan sądzi? Jaka może być tego przyczyna?” — „Aparat jest bardzo prymitywny i uproszczony, gdyż nie mogłem dostać pewnych części. Będę go przerabiał, ale dobrze by było ściągnąć aparat Jana z Warszawy”.

Zacząłem badać możliwości i już na drugi dzień niefortunny przewodnik Tadeusza, Antek, odważny bardzo chłopak, pojechał do Warszawy przyłączywszy się do grupy robotników, uprzątających barykady pod nadzorem Niemców. Otrzymał ode mnie dokładny plan i polecenie, by starał się stację za wszelką cenę odnaleźć i przywieźć.

Nie bardzo liczyłem, że to się uda, byłem więc naprawdę zdumiony, gdy wieczorem spotkałem go w barze i usłyszałem: „Stację przywiozłem i oddałem już pani Zosi. Dotarłem według planu do zrujnowanego domu i tam, pod cegłami, znalazłem stację bez trudu „całą i zdrową”. Zawinałem ją w gazetę, owiązałem sznurkiem i podrzuciłem na spód wozu ze szpadlami. Niemcy dwa razy wóz przepatrywali, ale dość powierzchownie i stacji nie zauważyli”.

Na drugi dzień byłem znów przed jedenastą na stacji. Obliczyłem: był już dziesiąty dzień od naszej ostatniej depeszy z Warszawy. Aparat wypróbowany przez Romana, działał bez zarzutu. Roman i Jan bardzo podnieceni, mimo że zdawali sobie sprawę, że połączenie musi się udać. Ten nastrój udzielił się również i mnie.

Punkt o jedenastej Jan nałożył słuchawki, posłuchał i podsunął mi kartkę: „Wołają nas...” Po chwili nacisnął klucz i zaczął odpowiadać. Czekaliśmy, wpatrzeni w rękę, jak urzeczeni. Wreszcie przeszedł na odbiór i... na twarzy jego rozlał się błogi uśmiech. Złapał za ołówek i notował: „O.K., O.K., słyszymy was na trzy!” Ścisnąłem Romana, Roman mnie. Walimy Jana po plecach, ale odpędza nas ręką i wciąż notuje. Roman chwycił za kod, a ja sylabizuję: „Pozdrawiamy was serdecznie. Jesteście jedyną stacją, jaka się uratowała z Warszawy!!!”

KONIEC OKUPACJI NIEMIECKIEJ

„Mały Londyn”.

Rozejrzałem się lepiej w sytuacji wzdłuż linii E.K.D. Przeładowane do ostateczności wille, domy i chałupy przygarnęły wszystkich, nawet szpitale z rannymi. Na każdym stacyjnym płocie setki kartek z adresami, przy pomocy których mąż szukał żony, rodzice dzieci i każdy w ogóle dawał o sobie znak życia. Przed tymi „biurami adresowymi” stały od rana do wieczora tłumy ludzi. Na każdym rogu ulicy przekupki i postawione na prędcie stragany. Ludzie odjadali całą nędzę powstańczą. Ba, nawet pootwierano jakieś restauracyjki, a i nasze ukochane barki kawowe zjawiały się, jak grzyby po deszczu. Wszystko to ulokowane albo w domach, albo w budach, skleconych z desek, często urządzonych z dużym smakiem, jak np. barek „Pod Lipkami” lub „Pod Krzywą Brzozą”. Słowem, Warszawa i konspiracja odradzały się jak Feniks z popiołów. Górował instynkt życia. Ludzie cieszyli się, że wyszli cało z Powstania, używali lasu i powietrza i jedli, jedli bez końca.

Podziemie odnalazło się nadzwyczaj łatwo. Wystarczyło wyjść na ulicę, a co parę minut spotykało się kogoś znajomego i przez niego otrzymywało kontakt z innymi. Na prawo i lewo rozbrzmiewały powitania. Po paru dniach byliśmy powiązani na nowo, również z Delegatem, wywiezionym ze szpitalem w kierunku Krakowa i Komendą Główną A.K., która się znalazła na linii Częstochowa-Kraków. Jednak masa podziemia zdołała się umieścić pod

Warszawą i świadome tego Gestapo, idące w jego ślady, nazwało miejscowości wzdłuż E.K.D. „Małym Londynem”. Pełno też było wszędzie gestapowców i żandarmów, ale pozbawionych dawnej energii i gorliwości. Klęska Niemiec wisiała w powietrzu i tylko ślepy mózg tego nie widzieć.

Rozpoczął się już rabunek i palenie Warszawy. Kolumny robotnicze, liczące tysiące ludzi, szły każdego dnia do opuszczonego miasta, by wydobywać wszystko, co miało jakąś wartość. Tysiące wagonów, pełnych mebli, dywanów, obrazów, ubrań, szło do Rzeszy. Wszystkie muzea, biblioteki, zbiory, urządzenia fabryk, warsztatów, laboratoriów, zostały wywiezione do Niemiec. Rabunek przeprowadzano na gigantyczną skalę. Wysiłki Polaków, którzy za wiedzą podziemia pracowali w niemieckim zarządzie miasta Warszawy, pod burmistrzem Leistem, by uratować co się da, nie przyniosły żadnego wyniku. Interweniowano stale u gubernatora Fischera, który osiadł bodajże w Sochaczewie, ale bez rezultatu.

Tam, gdzie się rabunek skończył, przystępowało do dzieła *Vernichtungskommando* i nad Warszawą zawisły znów chmury dymu. Niemcy systematycznie palili teraz dom po domu, całe miasto, i tysiące warszawiaków, ze ściśniętym sercem patrzyło w dzień na dymy, a wieczorem na łunę nad ukochanym miastem.

Że Niemcy działali według z dawna przygotowanego planu, miałem tego dowód w ręku w roku 1945. Ktoś z dawnego podziemia dostarczył mi fotokopię czterech planów miasta Warszawy, przygotowanych przez urbanistów niemieckich, sprowadzonych do Warszawy. Jedna był to plan Warszawy bodajże z XVI wieku, druga z XVIII, trzecia tuż sprzed wojny, a czwarta — Warszawy w przyszłości, to jest pod panowaniem niemieckim. Według tego ostatniego, miało to być małe miasto, rozlokowane wzdłuż Wisły, zamknięte między mostem Poniatowskiego i Kierbedzia. Nic więcej.

Postarałem się, by te fotokopie zostały przedstawione na procesie norymberskim. Było to bardzo łatwe, gdyż reżymowi prokuratorzy z ministerstwa sprawiedliwości, Siewierski i Sawicki, przesłuchiwali mnie kilkakrotnie, nie tając tego, że mam być koronnym polskim świadkiem na tym

procesie. Jednak w grę weszła polityka w osobie przewodniczącego delegacji reżymowej w Norymberdze, przedwojennego komunistycznego adwokata o nazwisku Warszawski, który w roku 1945 paradował już w mundurze, jako pułkownik Kurowski. „Pan pułkownik” sprzeciwił się temu i do Norymbergi mnie nie wezwano. Moje zeznania jednak nie poszły na marne, bo któregoś dnia wpadł do mnie zaferowany znajomy i z okrzykiem „patrz!” podsunął pod nos numer moskiewskiej „Prawdy”. Stało w niej czarno na białym, że sowiecki prokurator odczytał na procesie w Norymberdze zeznania „jednego z przywódców narodu polskiego w walce z Niemcami”, Stefana Korbońskiego, i złożył je sądowi, jako dowód.

Znajomy był ciekaw wrażenia, jakie to na mnie zrobiło. Oceeniłem rzecz bardzo realnie: „To odroczy moje aresztowanie o sześć do dwunastu miesięcy”.

Wyjazd do Krakowa.

Zaszła potrzeba widzenia się z Delegatem, więc wzmocniwszy „lewe” papiery jakimiś dodatkowymi zaświadczeniami, naturalnie fałszywymi, wsiadłem przez okno (dosłownie!) do pociągu w Skierniewicach i w zatłoczonym do niemożliwości przedziale dojechałem do Krakowa. Po drodze nasłuchiwałem się mnóstwa rzeczy. Jeśli kto kiedy pod wpływem takich np. historycznych powiedzeń, jak „naród idiotów”, zważył w inteligencję Polaków, dobrze by mu taka podróż zrobiła. Omawiano bez ceremonii wszystko: porażkę Niemców, Powstanie Warszawskie (na ogół krytycznie) i zbliżanie się Sowietów. Ten ostatni temat dominował. Z wszystkiego, co mówili jacyś prości ludzie, przeważnie szmuglerzy, biła mądrość życiowa, realizm, zdrowy rozsądek i spokojny, rzetelny patriotyzm, bez krzty tromtadactwa.

Kraków, rywal Warszawy, oszołomił mnie. Trzeba żyć dłuższy czas w gruzach, żeby zrozumieć uczucia, jakie budzi widok pięknego, nietkniętego miasta, czystego, oświetlonego, z wodą w kranie itp. luksusami; z rozkoszą chodziłem po ulicach, przyglądając się wszystkiemu, jakbym przyjechał z innego świata. Cieszyłem się, że te wszystkie narodowe skarby i cuda zostały nietknięte. Ale gdzieś na

dnie duszy czało się trochę zazdrości. Bohaterska, uroczą i żywą Warszawa w gruzach, a to śpiące, zastygłe w przeszłości miasto, całe i nietknięte. „Krakowiacy i górale”, psiakość! Żywy dowód tego, że „lepiej się nie wychylać”.

Kraków był zapchany uciekinierami z Warszawy, przyjętymi bardzo gościnnie, ale tak, jak się przyjmuje krewnych, których się dwadzieścia lat nie widziało. Wie się, że to krewni, ale nie ma z nimi o czym mówić. Ożywiały gospodarzy tylko jeden temat: czy nie planujecie, broń Boże, powstania w Krakowie?

Wiech, w jednym ze swoich powojennych opowiadań, żartobliwie, ale ze szczyptą prawdy pisał na ten temat. Pamiętam jedną taką historyjkę. W czasie wieszki w 1944 roku w Krakowie, przerażony gospodarz zwrócił uwagę wysiedleńcom z Warszawy, że ich dziecko bawi się pod choinką żelaznym jajkiem, ręcznym granatem. Warszawiak go uspokoił: „Nie bój się pan, nic się nie stanie. Po pierwsze to dziecko jest lepszym specjalistą od granatów, niż pan i ja razem wzięci; po drugie nie mogą przecież dziecku w Wilię, pod choinką, odbierać zabawki!”

Delegat był już zdrowszy i ucieszył się ze spotkania. Ja również. On mnie lubił, a ja go bardzo ceniłem i szanowałem. Wymieniliśmy informacje i omówiliśmy bieżące sprawy. Delegat nie żądał mego przyjazdu do Krakowa, przeciwnie, myślał sam o przeniesieniu się pod Warszawę. Był zadowolony, że nawiązałem już przy pomocy dwóch inspektorów łączność ze wszystkimi delegatami okręgowymi pod okupacją niemiecką i mogłem mu powiedzieć, co się w kraju dzieje. Głównie zajmował nas wtedy los tysięcy warszawiaków, rozsypanych po całej G.G., a tylko w pewnej części wywiezionych do Rzeszy. Ze swej strony poinformował mnie, że na odcinku sowiecko-polskim wszystko wygląda źle. Dzisiaj mogę ocenić, że wyglądało znacznie gorzej, niż Delegat sądził. I on i my wszyscy nie byliśmy przez rząd w Londynie należycie i rzetelnie informowani.

Spotkałem się w Krakowie z delegacją Ślązaków ze Śląska Opolskiego. Była to chyba najlepiej zorganizowana rozmowa, jaką miałem w podziemiu. Trzej inteligentni ludzie, pracujący w podziemnym Biurze Ziemi Odzyskanych,

słusznie przypuszczali, że nie znany im nawet z prawdziwego nazwiska dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych nie posiada odpowiednich wiadomości o Śląsku niemieckim. Podzieliwszy między sobą tematy, w trzech referatach, po dwadzieścia minut każdy, nauczyli mnie o Śląsku więcej, niżby dało przeczytanie kilku książek. Rozmowa była oparta na założeniu, że Śląsk niemiecki będzie należał do Polski i że już obecnie należy omówić problemy, związane z objęciem go przez naszą administrację.

Gdy tak słuchałem tych śląskich historii, przypominał mi się Mińczuk i orędzie z jakim przyjechał do Warszawy. Tam Ziemia Mińska — tu Śląsk Opolski. Rozdzielone z Matką dzieci, wyciągały do niej ręce.

Zjazd w Piotrkowie Trybunalskim.

W jakiś czas później, znów ze Skierniewic, wyjechałem koleją do Piotrkowa. Tam, minawszy na dworcu bez trudności posterunki żandarmerii i agentów Gestapo, myślnikujących na każdej stacji kolejowej, wydostałem się na miasto. Miałem dobrze wbite w pamięć, dokąd pójść i jak się zgłosić. Pokluczywszy trochę po ulicach i stwierdziwszy, że nikt mnie nie śledzi, znalazłem się wkrótce w klasztorze, położonym w sercu miasta. Tutaj złapałem się za głowę! Co za zgromadzenie! Delegat i Krajowa Rada Ministrów, nowy Komendant A.K. generał Okulicki (pseudo „Niedźwiadek”, „Kobra”), Rada Jedności Narodowej w komplecie i prawie wszyscy dyrektorzy Departamentów. Gdyby tak teraz naleciało Gestapo, połów byłby obfity. Niemcy nie mieli głów zaprzątniętych na tyle porażką, by nie skorzystać z takiej okazji. Dziwne wprost było, że nic się nie stało. Może to był łut szczęścia, a może większa niż sądziłem dezorganizacja Gestapo.

Gwoździem zebrań były posiedzenia R.J.N., z udziałem wszystkich pozostałych. Przedmiot obrad: sytuacja międzynarodowa, zbliżająca się okupacja przez Sowiety, stosunek do rządu w Londynie, gdzie napięcie polityczne miało się wkrótce wyładować w dymisji rządu Mikołajczyka, wreszcie sprawy wewnętrzne, krajowe. Nic szczególnego nie zostało mi w pamięci z tych obrad, poza atmo-

sferą pewnej beznadziejności z jednej strony, a determinacją by trwać i walczyć z drugiej.

Wieczorem uległem urokowi starego klasztoru. Chodziłem po ledwo oświetlonych, cichych korytarzach, pełnych spokoju i powagi. Podnosiłem latarkę ku jakimś portretom, starałem się odczytać jakieś napisy i wałęsałem się, ot tak, bez celu, myśląc o tym i owym.

Na noc ulokowano mnie w zatłoczonej celi ze znanym polskim lekarzem oraz z dyplomata, p. Wielowieyskim, obydwoma z Polskiego Czerwonego Krzyża. Przypadło mi miejsce na górnej pryczy. Gdy już leżałem w półmroku, przyszedł zakonnik, który szukał „pana w butach z cholewami, bo on ma kontakt ze światem i najwięcej wie, co się tam dzieje”. Smutnie załamane cholewy stały przy mojej pryczy, więc wespół leżąc, zacząłem dzielić się z księdzem i towarzyszymi klasztornej celi, którzy popodnosili głowy sponad sienników, tym co słyszałem z B.B.C. Zakonnik nie przyszedł z próżnymi rękoma, więc przepijaliśmy do siebie klasztorną starką z jednego kieliszka i opowiadałem.

Pod koniec zabrał głos przybysz i wyciągnąwszy spod brązowego habitu spłowiałą, dużą fotografię z dwoma na niej rzędami zakonników, zaczął wskazywać z wyraźną dumą w głosie: „Ten i ten ksiądz byli w Powstaniu w 1863 roku, a poza tym chcę panom powiedzieć, że i wówczas w naszym klasztorze ukrywali się emisariusze i członkowie Rządu Narodowego. Jesteśmy ogromnie dumni z tego, że obecnie spotkał nasz klasztor ten zaszczyt, że gościmy w jego murach rząd podziemny i podtrzymujemy starą i piękną tradycję”. Te i inne rzeczy mówił gościnnie zakonnik. Gdy wyszedł, jakoś sen pierzchnął. Myśli się pchały jedna za drugą i jedna gorsza od drugiej. Jedna fala wrogów ustępuje, druga nadchodzi. Stary klasztor, w nim rząd podziemny i wódz, a naokoło burza, z której wyłania się ponura przyszłość. To wszystko już było, ten widok jest znany. Widocznie mechanizm obrotowy w narodowym teatrze źle funkcjonuje, bo ta scena powtarza się co pewien czas z zaskazującą regularnością i widzowie są już zmęczeni. Po raz pierwszy poczułem się jednym z nich i długo w noc przewracałem się z boku na bok na pryczy. Sen nie przychodził.

Przejsie frontu.

Siedzibą Departamentu Spraw Wewnętrznych był Milanówek, podczas gdy ja ukrywałem się w Leśnej Podkowie. Jeździłem do Milanówka na rowerze, wzdłuż toru E.K.D., lub chodziłem polami wzdłuż linii wysokiego napięcia. Ta droga miała pewien związek z moimi „lewymi” papierami, według których byłem teraz kontrolerem sieci elektrycznej na trzy powiaty i w obrębie ich miałem pełną swobodę poruszania się. Dwa razy trafiłem na obławę żandarmów i dzięki tym papierom, wyszedłem obronną ręką.

Któregoś dnia, w styczniu 1945 roku, odezwały się znów sowieckie armaty. Od wschodu bębniło i dudniło bez przerwy. Ruszyła ofensywa rosyjska. Byłem z Zosią w Brwinowie kiedy wielki wybuch wstrząsnął powietrzem. To Niemcy wysadzili skład amunicji w lesie, w Komorowie. Gdy wracaliśmy śpiesznie polnymi drogami do Leśnej Podkowy, już się rozpoczął ruch konnych taborów niemieckich na zachód. Zagadnąłem z głupia frant jednego ze starszych taborytów, co się stało. Odpowiedział krótko: „Iwan idzie naprzód! ”

Nazajutrz poszedłem pieszo do Milanówka, nasłuchując odgłosów ognia artylerii, dochodzących z lewej strony. Milanówek był jak wymarły. Nigdzie żywej duszy. Tylko środkiem osiedla, drogą na Błonie, płynął nieprzerwany strumień samochodów, wozów i żołnierzy. Od Błonia dochodził dźwięk motorów lotniczych i grzechot karabinów maszynowych. To myśliwce sowieckie biły w cofających się Niemców.

Na kwaterze zastałem tylko przestraszoną łączniczkę, która zdziwiła się że przyszedłem: „Nikogo nie ma, proszę pana. Niemcy się cofają! Pili u nas wodę żołnierze i mówili, że Iwan będzie tu już popołudniu...”

Źle się wybrałem. Trzeba wracać natychmiast, by się nie dać odciąć od radiostacji w Leśnej Podkowie, gdyby front przypadkiem zatrzymał się między Podkową a Milanówkiem. Poszedłem wzdłuż kolumny niemieckiej, w przeciwnym niż ona kierunku. Byłem sam na ulicy. Niemcy cofali się śpiesznie, ale bez popłochu. Idący chodnikiem

sierżant o twarzy inteligenta, poprosił o ogień. Podniosłem mu zapalkę do twarzy. Zapalając, spojrział mi głęboko w oczy, podziękował i poszedł dalej. W tym spojrzeniu było wszystko. Strach o siebie, świadomość klęski i wizja pobitych Niemiec.

Kolumna się skończyła. Ostatnie przejechały dwa samochody pancerne i ciężkie działo przeciwczołgowe. Zapanowała względna cisza, tylko od Błonia dochodziło młotnienie karabinów maszynowych. Skręciłem w lewo, w opłotki, i tam natknąłem się na żołnierza niemieckiego już bez broni. Wyglądał na zagubionego, chciał coś powiedzieć gdy go mijałem, ale się na to nie zdobył. Widać dezerterski, który szukał niewoli. Gdzieś w drzewach zaczęły wybuchać pociski i z prawa już blisko rozległ się głos kaemu. Pochyliłem się i biegnąc wydostałem się na krańce Milanówka, o paręset metrów na lewo od toru kolejki do Leśnej Podkowy. Rozejrzałem się uważnie dookoła. Przede mną daleko na lewo błyszcząły w jasnym słońcu okna Brwinowa. Po drodze stamtąd kroczyły środkiem trzy szare postacie, z karabinami w pogotowiu. Serce zabiło mi żywiej. Po sześciu latach zobaczyłem znów żołnierzy sowieckich! Położyłem się w rowie i czekałem aż przejdą. Nadpłynęły zaraz wspomnienia.

Wrzesień 1939 roku, wieś Werby pod Włodzimierzem Wołyńskim. Nasza kolumna obudziła się rano, otoczona przez tanki sowieckie i piechotę. Po dwóch dniach pertraktacji, kapitulacja i zdawanie broni. Zaciąłem się, by nie iść do niewoli. Wystarałem się więc o marynarkę i złapawszy za luźną drabiniastego wozu, przejeżdżającego obok naszej kolumny i udając członka rodziny uchodźcy, który nim jechał, minąłem sowieckie posterunki. Nie interesowały się one zupełnie uchodźcami wracającymi do swoich siedzib. Nikt nas nie zatrzymał. Dotarliśmy do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie uchodźca zaproponował, by jechać z nim w siedleckie. Odmówiłem, postanowiłem dotrzeć do Kowla, gdyż wiedziałem, że Zosia jest tam u babki. Wsiadłem więc na stacji w towarowy pociąg o otwartych wagonach, mający iść do Kowla. Jakaż była moja wściekłość, gdy po paru godzinach sowieccy żołnierze otoczyli dworzec i przyszła pod eskortą... nasza kolumna, ale już jako jeńcy wojenni. Do mego pociągu

załadowano szeregowych, do innego — na sąsiednim torze — oficerów. Byłem znów w niewoli, gdyż to co się udało na drodze, nie mogło się udać w pociągu. Instykt mi tylko mówił, że nie warto przenosić się do transportu oficerskiego. Dopiero w nocy dotarliśmy do Kowla. Tam już po każdej stronie wagonu stały posterunki wojsk N.K.W.D. Próbowałem w nocy tłumaczyć takiemu chłystkowi, że jestem „bieżeniec” i że mam żonę w Kowlu. Odpowiadał z niezmaconym spokojem: — *Pajediesz w Szepietowku, a tam twoje dielo razsmotriat...*

Nie było co robić, więc nakryłem głowę kocem i zasnąłem. Obudziło mnie szarpanie i głos znajomego żołnierza: „Panie poruczniku, Sowietów nie ma! Co robić?” Skoczyłem na równe nogi! Było już widno. Staliśmy na stacji Hołoby, pod Kowlem. Setki żołnierzy zeskakiwały z wagonów na peron. Dwa ukraińskie wyrostki z czerwonymi opaskami i karabinami w ręku bały się nawet ruszyć. Sowieckich straży ani śladu! Co się stało? Otoczony gromadką żołnierzy, ruszyłem do zawiadowcy stacji po wyjaśnienie. Zawiadowca, Polak, chętnie poinformował, że straż sowiecka wysiadła na poprzednim przystanku, gdyż stamtąd mieliśmy jechać już bez zatrzymania do sowieckiej granicy. W międzyczasie jednak dostał rozkaz zatrzymania naszego transportu, by przepuścić pociąg ze sztabem sowieckim. Gdy ten przejedzie, wyekspediuje nas dalej. To wystarczyło, by powziąć decyzję. Wskoczyłem na ławkę i poinformowałem żołnierzy jak sprawy stoją. Zakończyłem przemówienie uwagą, że jest to na pewno ostatnia szansa ucieczki i kto nie chce iść do niewoli, to niech z niej korzysta.

Po mnie wskoczył na ławkę jakiś podoficer i krzyknął: „Kto na Pomorze, zbiórka koło mnie!” Po nim skakali inni i słychać było: „Lwowiacy tutaj... Warszawiacy tam...”

W trakcie tego przejechał przez stację pociąg osobowy z oficerami sowieckimi w oknach, ciekawie nam się przyglądającymi, z samochodami osobowymi na platformach, słowem — oczekiwany sztab.

Ruszyłem ze stacji jeden z ostatnich i o paręset metrów natknąłem się na kawalerzystę sowieckiego, który zagadnął mnie pogodnym: *Damoj idiosz? Szczęśliwoj darog!*...

Nabrawszy dobrego tempa, maszerowałem uparcie do Kowla. Po drodze zniszczyłem wojskową książeczkę oficerską, pozbywając się w ten sposób wszystkiego, co mogło wskazywać, że jestem oficerem rezerwy. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że wchodząc do jakiejś wsi, wlałem wprost na uzbrojonych, zaczajonych ukraińskich chłopów. Krzyknęli: „Stój!” i ustawili karabiny. Zbliżył się do mnie starszy chłop i zapytał: „Ty podoficer?” To znacznie ułatwiało odpowiedź, więc pewnym głosem potwierdziłem: „Tak jest”. — „A dokąd idziesz?” — „Wracam z wojny do domu, do Warszawy”. — „Otwórz plecak”. Otworzyłem i zaraz jakaś brudna łapa chwyciła za suchary. Staremu Ukraińcowi to się nie spodobało. — „Nie rusz, on ma daleką drogę przed sobą. Chyba, że ci sam da”. Pomyślałem sobie „a udław się” i dałem młodemu chłopu garść naszych wspianiałych, pszennych sucharów.

Chłopi mnie puścili wolno i za godzinę wszedłem w znajome opłotki kowelskie. Nim zapukałem do drzwi, otworzyły się same, a w nich stanęła zdumiona Zosia. Po kilkunastu minutach dowiedziałem się, że we wsi gdzie mnie zatrzymano chłopci ukraińscy rozstrzelali wielu naszych oficerów.

Żołnierze sowieccy idący z Brwinowa już mnie minęli. Przeskoczyłem przez drogę i znajomymi ścieżkami ruszyłem do Leśnej Podkowy. Artyleria teraz była już pod Grodziskiem. Daleko na prawo polami szły czołgi. Do pierwszych drzew i domów Leśnej Podkowy dotarłem bez przygód i przekroczywszy tor, odetchnąłem z ulgą. Nagle tupot kroków i wychodzi na mnie z parku oddział Niemców z bronią w pogotowiu, czujnych i rozglądających się naokoło. Minęli mnie nie zaczepiając i poszli w pole na Grodzisk. Zdenerwowało mnie to jednak, bo przecież spacer wpoprzek frontu nie jest rzeczą zdrową i tak długo dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Raz Niemcy, raz Rosjanie, znów Niemcy, a teraz kogo znów spotkam? Ale już byłem na drodze do stacji w Podkowie Głównej, wśród znajomych domów i ludzi. Od strony Zarybia waliła galopem linijka, zaprzężona w jednego konia, a na niej dwaj żołnierze sowieccy. Jeden bez broni powoził i okładał konia lejcami, drugi manipulował pistoletem maszynowym. Zdarli

konia w biegu, wołając: „Gdzie tu jest park? Tam są Germańcy!” Byli zupełnie pijani. Ostrzegłem ich: „Wyszli z parku w pole, ale bądźcie ostrożni, bo jest ich koło dwudziestu”. Tyle, że krzyknęli: *spasibo!* i na łeb, na szyję pognali w tamtym kierunku. Zrobiło to na mnie wrażenie. W dwóch na dwudziestu, to całkiem niezłe!

XXI

POCZĄTKI OKUPACJI SOWIECKIEJ

Pierwsze wrażenia

W naszej willi stanął sztab dywizji. General, paru oficerów i sporo żołnierzy w kożuchach i czapkach barankowych z nausznikami. Byli na ogół milczący i zażenowani. Polskie otoczenie zimne, lecz poprawne. U oficerów rzucał się w oczy brak zainteresowania żołnierzami. Gdy właściciel willi zaproponował, że rozłoży na noc w hallu trochę słomy, by żołnierze mieli na czym spać, adiutant dowódcy dywizji, ulokowany wraz z nim w wygodnym pokoju, wzruszył ramionami: *Nie nada*. Zajrzałem do hallu w nocy. Żołnierze chrapali w ciepłym zaduchu leżąc pokotem na parkiecie, w kożuchach. Nawet skórzanych pasów nie poodpinali. W przedpokoju siedział przy radiostacji telegrafista sowiecki i coś tam wystukiwał na kluczu. To mnie więcej zainteresowało. Gdy zbliżyłem się do niego, podniósł pytająco oczy i zesunął z ucha jedną słuchawkę. Powitałem go znanym mi z dziecińczych lat: *Kak pażiwasz, ziemiak?* Odpowiedział: *Zdrastwuj*, i pograżył się dalej w robocie. Obejrzałem okiem rywała aparat. Skrzynka z białego metalu, ze skośnymi ściankami. Wyglądała dość prymitywnie, ale aparat funkcjonował, a to grunt. Gdybym mu tak pokazał naszą zapasową „Amerykankę”, schowaną na strychu, to by mu dopiero oko zbieleło! Dostaliśmy już po Powstaniu parę nowych aparatów ze zrzutu i jeden taki miałem u siebie, używając tylko odbiornika dla słuchania B.B.C. Zagadnąłem go jeszcze, by uspra-

wiedliwić przedłużające się oględziny: „Co słyszeć w domu? Kiedy byłeś na urlopie?” To pytanie go poruszyło. Podniósł głowę do góry i spojrział na mnie z pewnym zdziwieniem: „To ty nie wiesz, że u nas w czasie wojny nie ma urlopów? Nie widziałem swoich od 1938 roku, bo już wtedy wzięli mnie do wojska”. Rozmowa się nie kleiła, więc poszedłem spać.

Nazajutrz rano adiutant poprosił gospodarza o szklankę wódki dla generała. Dostał dwie, drugą dla siebie. Wypili je duszkiem, zakąsili kromką chleba z czymś tam i całe towarzystwo wyniosło się dalej w ślad za posuwającą się naprzód dywizją.

Wsiadłem teraz na rower i pojechałem ścieżkami wzdłuż toru pod Komorów, do Kazimierza Bagińskiego, który odnalazłszy po Powstaniu żonę i córeczkę, ogarnięte na Powieślu przez atakujących Niemców, mieszkał tam w chłopskiej chałupie. Jego obserwacje o żołnierzach sowieckich były podobne do moich: „Przyszli, usiedli na śniegu pod chałupą z karabinami między nogami i tak drzemali. Gdy ich mój gospodarz zapraszał do środka, zbyli go krótkim „nie warto” i drzemali dalej...”

Teraz dzień po dniu przynosił coś nowego. W dużej willi w Podkowie Główniej, w dawnym lokalu Gestapo, zainstalował się najpierw urząd bezpieczeństwa, później pokazały się ałisze, nakazujące rejestrację członków podziemia i wydawanie broni, wreszcie zakazujące słuchania radia zachodniego. Z kolei przyszły pierwsze aresztowania i strach rozpoczął swoje rządy na nowo.

Któregoś dnia gruchnęła wiadomość, że wolno już jeździć do Warszawy. Wsiadłem na rower i pogałem tam co tchu. Później żałowałem tego. Zobaczyłem okropne cmentarzysko, kamienną pustynię tam, gdzie było przed tym piękne, pulsujące życiem, milionowe miasto. Tylko na Marszałkowskiej i w Alejach Jerozolimskich spotkałem ludzi, straż przednią tych tysięcy warszawiaków, którzy wkrótce zaczęli wracać do gruzów, by zamieszkać w nich po piwnicach, lub w jakichś podniebnych pokoikach, ocalonych w wypalonych do gruntu kamienicach, do których można się było dostać, jak do gołębnika, tylko po drabinach lub deskach z poprzecznymi listwami. Już wtedy na wielu kamienicach widać było napis robiony smołą przez człowie-

ka, który pierwszy rozpoczął odbudowę Warszawy. Napis ten był i jest dla mnie symbolem żywiołowego, narodowego pędu do odbudowy stolicy, który do dziś dnia trwa. Zrobiła go niewprawna ręka nieznanego żołnierza z armii Żymierskiego, który chciał, by ludzie wiedzieli, że to on właśnie utorował im drogę do porzuconych domów i mieszkań. Napis głosił lakonicznie: „Odminował Kuś saper”.

Podziemie z terenu po prawym brzegu Wisły nawiązało już z nami kontakt i przysłało pierwsze raporty, jakże szablonowe w swej przygnębiającej treści! Wszędzie to samo: najpierw oddziały A.K. uderzały na tyły cofających się Niemców i umożliwiały zdobycie miasta przez wojska sowieckie, później ujawniały się podziemne władze i rozpoczynały rozmowy z dowództwem sowieckim, przeplatane często gęsto przyjęciami, w końcu zjawiało się N.K.W.D., żądało podporządkowania się komunistycznemu Związkowi Patriotów Polskich, czy później Komitetowi Lubelskiemu i w razie odmowy wszyscy szli za kraty, a potem byli deportowani do Rosji.

Problem aresztowanych i wywiezionych do Sowietów żołnierzy A.K., był raną, która krwawiła w latach 1945-1947 bardzo mocno. Gdy w roku 1946, jako przewodniczący komisji prawniczej Polskiego Stronnictwa Ludowego, udałem się do ministerstwa bezpieczeństwa z listą aresztowanych żołnierzy A.K. i B.CH., by interweniować o ich zwolnienie i powrót do kraju, dyrektor gabinetu „ministra” Radkiewicza, jakiś pułkownik U.B., wziął na szczerokość i krótko wyjaśnił: „Niech pan sobie i nam nie zawraca głowy tą sprawą. Ani pan, ani my nie mamy w niej nic do gadania. Ona jest w wyłącznej kompetencji N.K.W.D.”. Doszła do mnie również wersja rozmowy na ten temat komunisty nr 1, Jakuba Bermana, z legendarnym generałem N.K.W.D., Malinowem. Gdy Berman starał się go przekonać, że leżałoby to w interesie uspokojenia kraju, by żołnierze A.K. byli przysłani z Rosji chociażby do obozów w Polsce, ten zamknął mu usta groźbą: „Dziwię się, towarzyszu Berman, że wy upominacie się o ludzi, którzy na pewno nie przyczynią się do budowy demokracji ludowej w Polsce, lecz przeciwnie, będą jej przeszkadzali. Zresztą są oni w obozach w dobrych warunkach i jeśli chcecie... to możecie to sami na miejscu sprawdzić”. Po tej

niedwuznacznej aluzji, Berman nabrał wody w usta i więcej do tego tematu nie wracał. Z czasem jednak większość żołnierzy A.K. i B.C.H. wróciła z Rosji do kraju.

Klasycznym przykładem stosunku Sowietów do ujawniającego się podziemia był Lublin, gdzie delegat okręgowy wystąpił oficjalnie wobec dowództwa sowieckiego i administracja podziemna objęła rządy nad miastem i województwem. Urzędnicy zajęli gmachy państwowe i podziemna policja objęła służbę bezpieczeństwa. No, ale zaczęły się rozmowy i wynik ich był wiadomy. Wszyscy aresztowani i wywiezieni do Rosji.

Zamość był miejscem, gdzie zdała egzamin podziemna administracja. Tak się złożyło, że wojska niemieckie opuściły to miasto, a wojska sowieckie nie zajęły go przez jakiś tydzień, czy więcej. Nastąpiło to samo co w Lublinie, lecz miało czas się rozwinąć. Po kilku dniach wydawało się, że wróciły przedwojenne czasy. Wszystkie agendy administracyjne i miejskie zostały objęte przez ludzi, wyznaczonych do tego w podziemiu i miasto zaczęło wracać do normalnego życia. Któregoś dnia jednak wkroczyły wojska sowieckie, a potem już wszystko potoczyło się według znanego szablonu, którego kresem był dla wielu obóz w Rosji.

Zarówno Delegat jak i Niedźwiadek, znaleźli się wkrótce pod Warszawą. Delegat ulokował się najpierw w Milanówku, później w pobliżu Leśnej Podkowy, zaś Niedźwiadek koło Grodziska. Odwiedzałem teraz co dzień Delegata, gdyż obsługa i redakcja nasłuchów radiowych została zdeorganizowana przez Powstanie i musiałem go codziennie informować, co się w świecie dzieje, na podstawie tego, co sam usłyszałem przez radio. Zostało zrzuconych paru emisariuszy wojskowych i cywilnych. Wiadomości, jakie przywieźli, nie były pocieszające. Rosja nie tylko dominowała na froncie, lecz także w polityce światowej. W powietrzu unosiło się już widmo Jałty.

Przygody Niedźwiadka.

Jakiegoś wieczoru, z racji pewnej uroczystości, przyszli do nas na kolację z noclegiem Niedźwiadek i minister Jasiukowicz. Zapowiadał się miły wieczór gdyż z Niedź-

wiadkiem zdążyłem się już zaprzyjaźnić, a i z Jasiukowiczem bardzo mnie zbliżyło kilka dni przegadanych razem po kapitulacji, na Mokotowskiej. Niedźwiadek przyszedł jakiś bez humoru. Zapytałem, co mu dolega. Odpowiedział, że ma przerwana łączność radiową z Londynem. Zaproponowałem wysłanie jego depech przez moją stację. Ucieszył się ogromnie, szczególnie gdy się dowiedział, że mogę to zrobić już nazajutrz rano. Napisał od razu odpowiednie teksty do zaszyfrowania i dobry humor mu wrócił.

Usiedliśmy do kolacji w przyjemnym nastroju, na który składało się lubiące się wzajemnie towarzystwo, niezłe jedzenie i także nalewka. Niedźwiadekowi rozwiązał się język i opowiadał bez końca. A my słuchaliśmy, bo rzeczywiście było czego:

„Gdy w czterdziestym roku kierowałem podziemiem pod okupacją sowiecką, pewnego wieczoru podjechało pod dom, gdzie się ukrywałem, we Lwowie, auto sowieckiej milicji. Nie sądziłem, by chodziło o mnie, ale na wszelki wypadek spaliłem dwa karteluski i czekałem. Papiery miałem bardzo dobre, więc nie było powodu do obaw. Jednak wbrew oczekiwaniom zapukano właśnie do moich drzwi i na pytanie: „Kto tam?” usłyszałem: „Milicja, otworzyć!”

„Gdy otworzyłem drzwi, ujrzałem dziwną procesję. Naprzód weszło dwóch ludzi z podniesionymi rękoma, a za nimi milicjant. Ten, wskazując mnie, zapytał: „Czy to od niego kupiliście cukier?” — „Tak jest”, odpowiedzieli dwaj mężczyźni. Uspokoilem się od razu. Mężczyzn tych nigdy w życiu nie widziałem, cukru nikomu nie sprzedawałem. To jakieś nieporozumienie, które się szybko wyjaśni. Zwróciłem się do milicjanta: „To jakaś omyłka. Ja tych ludzi w ogóle nie znam, a poza tym cukrem nie handluję”. Milicjant zwrócił się ponownie do mężczyzn: „Przyjrzyjcie mu się uważnie i powiedzcie: on, czy nie on sprzedał wam cukier?” Mężczyźni, trzymając ciągle ręce w górze, odpowiedzieli unisono: „Tak, to jest on!”. Wówczas milicjant rozstrzygnął: „Jeśli tak, to zbierajcie się, obywatelu. Pojedziemy na milicję, a tam już sprawę rozpatrzą wy, czy nie wy”. Wyszliśmy z domu, ja już nieco speszony. Ki diabła! Co za cukier i skąd to wszystko? Milicjant otworzył tylne drzwi karetki, wpuścił mężczyzn i mnie do

środką, zamknął drzwi od zewnątrz i auto ruszyło. Wówczas jeden z mężczyzn zwrócił się do mnie: „Pułkowniku Okulicki, pozwoli pan, że się przedstawię: jestem pułkownik N.K.W.D., ten a ten”. Za nim w ślad poszedł drugi: „Jestem major N.K.W.D....” Gdy zaprzeczyłem ze śmiechem, bym był Okulickim, odpowiedzieli zgodnym chórem: *Dawolno szutić* („Dość tych żartów”). Ten zwrot słyszałem później przez wiele miesięcy, w czasie każdego badania, gdy zaprzeczałem, że jestem Okulicki. Wyjaśniono mi też kiedyś, że całą tę hecę zorganizowano chytrze po to, bym się nie otruł, lub nie broniał widząc że to aresztowanie. Zorganizowano więc wszystko tak, by wyglądało niewinnie...”

W trakcie opowiadania Niedźwiadek się rozpalił, oczy mu błyszczały, widać, że przeżywał wszystko na nowo. Słuchaliśmy tej opowieści z zapartym tchem. My byliśmy weteranami okupacji niemieckiej i dla nas Sowiety to była groźba, której nikt nie znał z własnego doświadczenia. To też łykaliśmy każde słowo, a Okulicki ciągnął dalej swoją historię: o badaniach, o torturach, o nocach bezsennych, o tym, jak ciało słabło i duch się łamał. Wreszcie nastąpił przełom:

„Wybuchła wojna niemiecko-sowiecka, wypuścili mnie ledwo żywego z więzienia i z dnia na dzień znalazłem się z polską misją wojskową na przyjęciu na Kremlu. Luksus wschodni, złote nakrycia, miski z kawiozem, nie kończący się łańcuch potraw i dziesiątki toastów. Przy stole królował Stalin, a obok niego cała rządząca góra.

„Już po północy wstał Mołotow i w kolei niezliczonych toastów wznosił kieliszek na cześć obecnego przy stole przywódcy polskiego podziemia, które tak wspinał walczy z Niemcami — pułkownika Okulickiego. Nie byłem na to przygotowany, jednak wypadało się odwzajemnić. Poprosiłem o głos i odpowiedziałem: „Z Łubianki na Kreml jest niedaleko. Dla mnie jednak ta droga była bardzo długa i trwała wiele miesięcy. Jeśli jednak dobro Polski wymagało bym ją odbył, nigdy nie będę tego żałował”. Gdy skończyłem wśród grzmotu oklasków, Stalin zerwał się z miejsca i obchodząc stół dookoła, zbliżył się do mnie z kieliszkiem wódki i trącił: „Dobrze pan to powiedział. Gratuluje”.

Słuchaliśmy tych opowiadań do późna w nocy, coraz to popadając w zadumę. Jaka teraz przyszłość nas czeka, a z nami Okulickiego? Czy więzienie, czy uczta na Kremlu, czy jedno i drugie i w jakiej kolejności? Wypadło, że więzienie, gdyż już po paru tygodniach Niedźwiadek, przeklętym zrządzeniem losu, znalazł się znów na Łubiance, a z nim Jasiukowicz. Ja zaś, w kilka miesięcy po tym wieczorze, byłem już za kratami, pod czułą opieką Bezpieki. Ale nie uprzedzajmy wypadków!

Nad ranem goście poszli spać, Zosia usiadła do szyrowania, a ja zdrzemnąłem się przez godzinę. Gdy depesze były gotowe, wsiadłem na rower i pogałem ścieżkami parę kilometrów na stację. Roman i Jan byli już na nogach, szykując się do pracy. Usiadłem na łóżku i nim wypaliłem parę papierosów, Londyn pokwitował odbiór depesz. Niedźwiadek znalazł je na tacy ze śniadaniem, zaopatrzone już w adnotację o nadaniu. Był uszczęśliwiony i chciał dać temu jakiś wyraz: „Podajcie waszych ludzi ze stacji do odznaczeń. Dam im Krzyże Walecznych, bo na to zasłużyli”.

Jałta.

Radio londyńskie ogłosiło komunikat oficjalny o rezultatach konferencji w Jałcie i równocześnie nadeszły depesze rządowe, oświetlające jej wynik. Nawet najbardziej zagorzali optymiści pospuszczali głowy. Zwycięstwo polityczne Sowietów było niewątpliwe. Rdzeniem nowego rządu miał być Komitet Lubelski, już dawniej uznany przez Sowiety za rząd, a włączenie paru Polaków z zagranicy istoty tego nie mogło w niczym zmienić.

W związku z tym Rada Jedności Narodowej schodziła się w dniu 21 lutego 1945 na swe dwudniowe posiedzenie w Leśnej Podkowie, w nastroju zupełnego przygnębienia. Byłem na samym początku sesji i miałem okazję wysłuchania wielu uwag na temat tego co się stało w Jałcie. Wszyscy oceniali sytuację trzeźwo i krytycznie, niemniej każdy myślał o tym, co by się dało zrobić w granicach przyszłych możliwości, przede wszystkim czy uda się uratować coś z niepodległości, a poza tym, czy można będzie wprowadzić do przyszłego rządu ludzi z podziemia. Naj-

bardziej pesymistycznie był nastrojony Pużak, najlepszy spośród obecnych znawca Rosji i Sowietów. Ale i on także był nastawiony na to, by ratować, co się da.

Gdy się dyskusja rozwinęła opuściłem sesję, zajęty innymi sprawami. Wróciłem pod sam jej koniec, by się zapoznać z uchwałami, jakie zapadły. Istnieje co do nich spór na emigracji, mianowicie, czy R.J.N. zaakceptowała Jałtę, czy też ją odrzuciła. Jeśli spojrzeć prawdzie odważnie w oczy, to należy stwierdzić, że R.J.N. oświadczyła gotowość wzięcia za podstawę do rozmów, mających na celu uregulowanie stosunków polsko-sowieckich, postanowień konferencji krymskiej, wypowiedziała się za ujawnieniem podziemia i za jak najspieszniejszym utworzeniem Rządu Jedności Narodowej. Uznano Jałtę za zło konieczne, które Polskę krzywdzi, ale do którego kraj musi się zastosować. Naturalnie przy takim podejściu R.J.N. do Jałty, nie może być mowy ani o jej akceptacji, ani o odrzuceniu. Odpowiedź leży pośrodku.

Stanowisko R.J.N., zajęte w dniu 22 lutego 1945, zostało w pełni potwierdzone przez ostatnią odezwę jaką R.J.N. wydała w dniu 1 lipca 1945, w związku z decyzją o rozwiązaniu się. Zawierała ona następujące stwierdzenia:

„W tym stanie rzeczy polityka nieustępliwości wobec uchwał krymskich, prowadzona przez rząd polski w Londynie, zaczęła się rozmijać z faktami dokonanymi, stworzonymi przez Rosję w kraju. Szczególnie konferencja w Moskwie i wynikiły z niej kompromis między grupą Mikołajczyka i kilku polskimi działaczami demokratycznymi a Komitetem Lubelskim, stworzyły warunki, z którymi Polska Walcząca musi się liczyć.

„Z chwilą powstania nowego rządu i uznania go przez mocarstwa zachodnie, kończy się dla nas możliwość legalnej walki konspiracyjnej, opartej o uznawany powszechnie rząd w Londynie, a powstaje problem jawnej walki stronnictw demokratycznych w Polsce o cele narodu i o swe programy.

„W tej jawnej walce Polska Podziemna nie chce stwarzać trudności ludziom dobrej woli, którzy znaleźli się w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej. Nie chce też ona krępować poszczególnych stronnictw w wybo-

rze dróg i linii taktycznej, którą w tej walce pójść będą chciały czy musiały.

„Na sesji w dniu 1 lipca br. wszystkie stronnictwa demokratyczne Polski Podziemnej, reprezentowane w R.J.N., powzięły jednomyślnie uchwałę rozwiązania Rady i podania tego faktu do wiadomości Kraju i zagranicy.

„Zdobywając się na ten krok samozaparcia, R.J.N. daje raz jeszcze dowód najwyższej dobrej woli, podobnie jak w deklaracji z dnia 22 lutego br. i w podjęciu rozmów pruszkowskich”.

Tak brzmiał „łabędzi śpiew” jedyne w swoim rodzaju podziemnego parlamentu, jaki zna historia Polski, a może całego świata. Jeśli kiedyś przyszedł historyk będzie pisał jego dzieje, zatrzymają jego uwagę dwa orzędzia: z dnia 15 sierpnia 1943 i 15 marca 1944 roku. Szczególnie to ostatnie było bardzo znamienne. Żegnało ono miniony przedwojenny okres niepodległości i starało się stworzyć fundamenty pod przyszłą, lepszą, uspołecznioną i demokratyczną Polskę. Niewiele przesadzę jeśli powiem, że było to coś w rodzaju Konstytucji Trzeciego Maja, przeniesionej na próg epoki, jaka się wkrótce miała zrodzić w krwawych oparach Hiroszimy.

Wizyta Bezpieki.

Przestaliśmy się czuć bezpieczni w naszej dotychczasowej kryjówce. Niby nic się na horyzoncie nie pokazało specjalnego, ale czuliśmy się już źle i trzeba się było wyprowadzić. Poza tym za dużo ludzi znało już nasz adres. Znaleźliśmy sobie pokoik na krańcach Podkowy w nowej, pachnącej, czystutkiej willi. Gospodarze, samotna starsza para, radzi byli, że ktoś prócz nich zamieszka w pustym domu i szybko doszliśmy do porozumienia. Nie mieli, naturalnie, pojęcia, że byliśmy „nielegalni”, przeciwnie, obejrzawszy nasze prawdziwe Kennkarty na fałszywe nazwiska, to jest wystawione prawidłowo przez *Kreishauptmana* na podstawie podrobionych metryk, uznali nas za parę małżeńską, wyrzuconą przez Powstanie z Warszawy, która teraz, tak jak oni, chce przeczeć nowy kryzys.

Wieczorem załadowaliśmy nasz skromny dobytek i „Amerykankę” na ręczne sanki i przewieźliśmy wszystko

sami okrężną drogą przez las, po świeżo spadłym puszystym śniegu, na nowe mieszkanie.

Zaczęliśmy żyć w tej willi cicho, przyjemnie i samotnie gdyż nikt, nawet dobrzy znajomi, nie dostali nowego adresu. Rano wyjeżdżałem za swoimi sprawami w jedną stronę, Zosia w drugą. Wieczory spędzaliśmy w domu, czytając dużo i słuchając zakazanego radia londyńskiego. Samopoczucie nam się poprawiło. Nareszcie osiedliśmy w spokojnym miejscu!

W parę dni po przeprowadzce, wśród głębokiej już nocy, rozległo się ujadanie wielkich psów gospodarza, a po nim głosy męskie w ogrodzie i dzwonek. Nie zapalając światła, uchyliłem drzwi i nasłuchiwałem, a Zosia czym prędzej wyciągnęła z tapczana „Amerykankę”, wyniosła na balkon i przewiesiła na pasku na zewnątrz balustrady. Już po kilku słowach, wypowiedzianych w hallu nieznanym męskim głosem, zorientowałem się, że to Bezpieka przyszła na rewizję. Serce we mnie zamarło. Czyżby po nas? Głos wypytywał, kto jeszcze mieszka w willi. Usłyszałem odpowiedź: „Małżeństwo, państwo Bujniccy, na pierwszym piętrze”. Zamknąłem cichutko drzwi i ułożyłem się z powrotem na tapczanie. Po minucie rozległo się pukanie. Zapytałem śpiącym głosem: „Kto tam?” — „Policja. Proszę otworzyć!” Przekręcając kontakt, odpowiedziałem: „Drzwi otwarte, proszę wejść”.

Stała przed nami postać, powiedziałbym uosobienie bojowca-rewolucjonisty z sowieckich malowideł propagandowych. Wysoki, szczupły mężczyzna w butach z cholewami, palto cywilne, przepasane skórzanym pasem, na głowie cyklistówka, a w ręku pistolet maszynowy. Przyjrzał nam się uważnie, świdrując ostrym, badawczym wzrokiem. Leżeliśmy na tapczanie nieruchomo, jak dwie kłody, oświetleni lampką ze stolika i patrzyliśmy mu prosto w twarz. Pierwszy raz dopiero widzieliśmy z bliska ubekę i ten widok nowej władzy był dla nas przeżyciem, nie mówiąc już o strachu. Poprosił o papiery i przejrzał je uważnie. Zwracając je, patrzył już łagodniej. Rozejrzał się jeszcze po pokoju i, zabierając się do wyjścia, zaproponował budzenie nas w nocy. To mnie ośmieliło i zapytałem: „A kogo pan szuka? O co chodzi?” — „Mamy doniesienie, że ukrył się tu jakiś *Volksdeutsch*”. Roześmia-

łem się z ulgą: „No, to nie my!” — „Na pewno nie wy... Dobranoc!”

Wszystko byłoby dobrze, gdyby ta sama wizyta, tylko z innym przedstawicielem Bezpieki, nie powtórzyła się trzy dni później. Tego było za wiele! Przeklinając „spokojne miejsce”, wynieśliśmy się pod Brwinów. Później dowiedziałem się, że powodem nocnych rewizji był nie kto inny, a para naszych gospodarzy. To spokojnie wyglądające, starsze małżeństwo było w istocie parą dość niezwykłą. Ona, pochodzenia niemieckiego, wykorzystywała to, by chronić przed śmiercią starszego od siebie męża, Żyda. I tak przemęczyli się prawie pięć lat. Gdy się to wyjaśniło, U.B. zostawiło ich w spokoju.

Aresztowanie Piętnastu.

Był marzec 1945 roku, zimno, ale błoto już obeschło i mogłem rozbijać się wszędzie na rowerze. Gdy przyjechałem do Delegata i wszedłem na pierwsze piętro willi, gdzie się ukrywał, spostrzegłem, że jest czymś zaaferowany. Zdawał się być myślami gdzie indziej. Pod koniec rozmowy powód się wyjaśnił. Zbierałem się już do wyjścia, kiedy wręczył mi jakiś papier z krótkim: „Niech pan przeczyta i powie, co o tym sądzi”.

Zacząłem czytać i naprawdę zdumiałem się. Papier, który trzymałem w ręku, był listem pułkownika gwardii, Pimienowa, zapraszającym Delegata i władze podziemia na rozmowy z reprezentantami władz sowieckich, celem znalezienia wyjścia z sytuacji stworzonej z jednej strony przez zajęcie Polski przez wojska sowieckie, z drugiej przez fakt, że władze podziemne pozostają i działają w ukryciu. Taki był mniej więcej sens tego listu. Na zakończenie pułkownik Pimienow poręczał słowem honoru oficera gwardii bezpieczeństwo i wolność polskich uczestników rozmów.

Przeczytałem list, pisany po rosyjsku, raz i drugi po czym zacząłem głośno myśleć. Naturalnie najpierw narzuciło się podejrzenie, że jest to podstęp. No, ale jeśli to nie jest podstęp, to jak się zachować? Na ten wypadek doradzałem propozycji nie ignorować, gdyż Sowiety oskarżyłyby nas wobec sojuszników o odrzucenie wyciągniętej dłoni. Rozmowy trzeba podjąć w porozumieniu z rządem

w Londynie. Może co z nich wyjdzie. No, ale jak rozstrzygnąć pytanie, czy propozycja jest szczerą, czy też za nią kryje się zasadzka? Byłem zdania, że nigdy tego nie wyjaśnimy ze stuprocentową pewnością, zatem przed ewentualnością zasadzki należy się zabezpieczyć w ten sposób, że ani Delegat, ani Niedźwiadek nie powinni brać bezpośrednio udziału w rozmowach, a tylko wyznaczyć do tego pełnomocników. Przeciwnie, sami powinni się teraz jeszcze lepiej ukryć i bardzo ostrożnie komunikować się ze swymi wysłannikami.

Delegat zareagował na moje uwagi bardzo żywo: „Ma pan zupełną rację, ale oni nie chcą mówić z pełnomocnikami, a tylko wprost ze mną i z Niedźwiadkiem. Już to powiedzieli przez pośredników. Nalegają specjalnie na obecność Niedźwiadka. Oświadczyli brutalnie, że znają nasze wewnętrzne stosunki i wiedzą, że jeśli Komendant A.K. nie weźmie sam udziału w rozmowach, to ich wyniku nie uzna. Nie ma innej rady, tylko trzeba się wybrać razem”.

Nie byłem przekonany, ale co było robić! Sprawy jak widziałem, były już zaawansowane i prawie zdecydowane. Nie pozostawało nic innego, tylko się z tym pogodzić. Szykowałem się znów do wyjścia, gdy Delegat ponownie mnie zatrzymał: „Ponieważ pan ma w ręku naszą łączność ze światem, więc na wszelki wypadek niech pan się oderwie ode mnie i tych, co będą brali udział w rozmowach i ukryje jeszcze lepiej. Niech pan pilnie obserwuje wszystko i w razie gdyby się stało coś złego, doniesie o tym rządowi. Dopóki pana nie wezwę, niech pan tu więcej nie przychodzi. Dobrze?” — „Dobrze, panie Delegacie”. — „I jeszcze jedno. W rozmowach będą brali udział także przedstawiciele pańskiego stronnictwa. Czy może się zdarzyć, by zażądali od pana, by pan także w nich uczestniczył?” — „Na pewno nie. Od czasu, gdy zostałem Kierownikiem Walki Cywilnej, uważa się w stronnictwie, że jestem więcej w dyspozycji Delegata, niż stronnictwa”. — „To bardzo dobrze, bo właśnie chciałem pana prosić, by i od rozmów trzymał się pan także jak najdalej”.

Z kolei miałem na ten temat rozmowę z Niedźwiadkiem, ukrywającym się pod Grodziskiem. Rower mi się zepsuł, więc poszedłem pieszo, ścieżką wzdłuż toru E.K.D.

Muszę się przyznać, że ogromnie lubiłem jeździć na rowerze i chodzić po tych wąskich, doskonale przez tysiące nóg ubitych ścieżkach, suchych, elastycznych i nie mających w sobie nic z nieprzyjemnej twardości bruku. Było chłodno i nogi same niosły. Z Niedźwiadkiem, idącym mi naprzeciw, spotkaliśmy się w szczerym polu. Nie było gdzie się schronić a i nie chcieliśmy mówić przy świadkach, więc skręciliśmy w bok w piaszczyste wydmy i tam zapadliśmy w jakimś wgłębieniu. Było pochmurno i wietrzno, więc otuliliśmy się szczelnie w jakieś nabyte po Powstaniu kubraki i rozmawialiśmy. Przed nami były podmokłe łączki i rzadkie brzoźki, nad którymi unosiły się wrony. Z boku, mokre oziminy. Taki sobie typowy mazowiecki krajobraz.

Przebieg rozmowy był taki sam, jak z delegatem. Ale wynik jej inny. Niedźwiadek był nastawiony na to, że list jest podstępem, ale godził się, że oferty nie należy odrzucać i trzeba rozmowy podjąć przez pełnomocników. Byłem uspokojony, gdy na pożegnanie, ściskając mi rękę, powiedział: „A więc stoi, Zieliński. Ja nie idę”.

Skostnieliśmy na wydmie, więc wpadliśmy jeszcze do drewnianej budki przy torze pod Grodziskiem „na rozgrzewkę”. Dwie młode dziewczyny powitały Niedźwiadka jak dobrego znajomego i zaczęły się z nim przekomarzać. Kielich bimbru, kawał kiełbasy i każdy z nas poszedł w swoją stronę.

Wbrew oczekiwaniom, zostałem wezwany przez Delegata już po paru dniach. Był w dobrym nastroju: „Może pan znów do mnie przychodzić. Już wstępne rozmowy zostały przeprowadzone, między innymi także przez delegacje stronnictw, każdą oddzielnie i wszyscy wrócili bez żadnych przeszkód. Nikt ich nie śledził ani przedtem, ani potem. Najważniejsza rzecz, że przyjęli nasz wstępny warunek, a mianowicie, że przede wszystkim zawiozą naszą delegację do Londynu, a później dopiero stamtąd pojedziemy na rozmowy”.

Muszę się przyznać, że mnie to bardzo uspokoiło i zacząłem na całą rzecz patrzeć innym okiem. Nie była jednak tego zdania moja lepsza połowa, Zosia, która z całą stanowczością twierdziła, że to pułapka. Doszło na tym tle do „wojny domowej”, w czasie której cały ród męski został wielokrotnie i ciężko spostonowany i odsądzony nie tyle

od czci i wiary, ile od rozumu. Moje, typowo męzowskie zalecenia „nie wtrącania się w nieswoje sprawy”, nie skutkowały i nawet takie żalosne i budzące litość powiedzonka, że „tutaj człowiek tyra latami, a do Londynu jadą inni...” były przyjmowane wybuchami sarkastycznego śmiechu.

W podobny sposób reagowała żona naszego przyjaciela, członka formującej się delegacji. Ta tylko monotonnie powtarzała: „Ale zegarka to ty, tatuńciu, ze sobą nie bierz, bo ci go w tym Londynie ruskie zabiorą...”

W międzyczasie wypadki rozwijały się bardzo szybko. Rząd zawiadomiony o wszystkim, nie zgłosił zastrzeżeń. Rodziła się koncepcja pośredniczenia między nim a Sowietami, przedstawiciele których nie kryli pogardy dla lubelskich marionetek. Zgłoszono stronie sowieckiej, tak zwanym „delegatom marszałka Żukowa”, personalia osób, które miały polecieć do Londynu, dla wystawienia im odpowiednich dokumentów. Nasi delegaci szykowali się śpiesznie do podróży. Mimo cech niewątpliwej tragedii, w jaką cała ta ekspedycja później się zamieniła, nie sposób przemilczeć pewnych lżejszych jej stron. Do takich należały zażarte wewnętrzne walki o udział w delegacji, przygotowywanie zawczasu mów, jakie po wizycie w Londynie zostaną wygłoszone na Kremlu, ba, nawet głośno snute wizje przyjęcia, na którym zostaną wypowiedziane! Ujawniły się przy tym pewne różnice w poglądach na protokół, jaki obowiązuje na Kremlu. Jedni uważali, że zamiszowe trzewiki będą w sam raz, drudzy na gwałt zamawiali „łowickie” spodnie w paski.

Dnia 26 marca 1945 roku, to jest w przeddzień przedwyjazdowego spotkania z Rosjanami Delegata Jankowskiego, Pużaka i Okulickiego, widziałem się z Okulickim w kawiarence na Koszykowej. Gdy się rozejrzałem po usługujących paniach i otoczeniu, zrozumiałem, że jestem w lokalu założonym przez konspirację. Piliśmy herbatę i pochyleni ku sobie rozmawialiśmy o jutrzejszym spotkaniu ze stroną sowiecką. Okulicki, zwykle pogodny, o jasnym, zdecydowanym sądzie, tym razem był przygnębiony i wytrącony z równowagi: „Zdecydowałem się pod naciskiem Delegata iść na rozmowy, ale czuję, że robię źle. Gdyby to był podstęp i byłbym aresztowany, następcą moim mia-

nowałem pułkownika Rzepeckiego, którego dobrze znacie. Po rozmowie wracam do Warszawy i chętnie się z wami spotkam, jeśli tu będziecie". Umówiliśmy się, że zjemy kolację i spędzimy noc razem na moim podziemnym lokalu w Warszawie. Nazajutrz wieczorem czekałem na Niedźwiadka przed bramą na wprost zrujnowanego domu. Zbliżała się godzina policyjna, a Niedźwiadek nie nadchodził. Niepokoiłem się coraz bardziej. Ale usłużne myśli pocieszały, że z pewnością rozmowy się przeciągnęły, że może pojechał do Delegata, aby omówić jakieś sprawy, które się wyłoniły w toku rozmów... Nasłuchiwałem w mieszkaniu wraz z Zosią do późnej nocy, ale Niedźwiadek nie przyszedł.

Dnia 28 marca 1945 roku, udała się do Pruszkowa reszta naszych delegatów. W ośrodkach podziemnych panował nastrój wyczekiwania. Dziwiło wprawdzie wszystkich, że obserwacje, przeprowadzone w Pruszkowie, stwierdzały zgodnie, że żaden z polskich uczestników konferencji ani na chwilę nie wyszedł z willi, do której się wszyscy udali, ale tłumaczono to sobie w ten sposób, że władze sowieckie z pewnością przygotowały noclegi i żywność, że lubią one bardzo stosować izolację rozmówców od świata zewnętrznego, bo to ułatwia nacisk, itd., itd.

W następnych dniach przyszły jednak wiadomości, że wieczorem w dniu rozmów budynki sąsiadujące z willą zostały obsadzone przez N.K.W.D. i że z podwórza willi wyjechały jakieś auta.

Dawne podejrzenia odżyły na nowo i zaczęła kietkować potworna myśl, że wstępne rozmowy miały tylko na celu uspienie czujności i zgromadzenie wszystkich razem, a przede wszystkim zwabienie nieufnego Niedźwiadka, i gdy to się udało, wszyscy zostali naraz aresztowani. Z drugiej strony nie brakło opinii, że rozmowy toczą się nadal, że polscy przedstawiciele zostali przewiezieni do kwatery marszałka Żukowa, że stosuje się wobec nich rozmaite tricki, np. w dalszym ciągu izolację, co wszystko jest obliczone na osłabienie odporności, że są to jednak ludzie twardzi i nie ulegną naciskowi, itd...

Dzień po dniu w tym czasie jeździłem pod Otrębusy do samotnej, wiejskiej chaty, gdzie p. Bagińska oczekiwała na męża. Ledwo zeskokczyłem z roweru i zajrzałem w okno,

a już wiedziałem, że Bagiński nie wrócił. Gdy pomyślałem sobie, że może jest aresztowany, robiło mi się piekielnie żal tego zasłużonego człowieka, który był mi najbliższym w Stronnictwie Ludowym. Widocznie jego przeznaczeniem było wędrować przez całe życie z jednego więzienia do drugiego. Począwszy od carskiej turmy i sanacyjnego Brześcia, a skończywszy na Bezpiece w 1946 roku. Bezkompromisowe służenie własnym przekonaniom i walka o nie stwarzały konflikty, których ofiarą padała strona słabsza, Bagiński.

Czas jednak płynął, a po delegatach ślad zaginął. Nie mogłem już więcej zwlekać i w pierwszy dzień Wielkanocy zawiadomiłem o tym Londyn. Jak dalece sam nie miałem jeszcze wyrobionego sądu na temat tego, co się stało, dowodzi zakończenie tej depechy: „...Przypuszczamy, że rozmowy toczą się dalej, lub że wyjechali do Moskwy, lub że są w drodze do was, lub że są aresztowani. Oceńcie to sami”.

Gdy w kilka dni później B.B.C. nadało komunikat rządu polskiego w Londynie, oparty na wymienionej i dalszych depechach, zakończony stwierdzeniem, że polscy uczestnicy konferencji w Pruszkowie zostali aresztowani (co sądząc z odgłosów radia zrobiło w całym świecie wielkie wrażenie), jeszcze wówczas to ostatnie oświadczenie wydawało się zbyt pochopne. Wszelkie jednak wątpliwości rozwiązało nie tyle brak dementi sowieckiego, ile pewne wiadomości, otrzymane z kół lubelskich, które stwierdzały kategorycznie i, trzeba przyznać, z pewnym zakłopotaniem, że przywódcy polskiego podziemia zostali aresztowani. U samej góry lubelskiej panowała jednak *Schadenfreude*: „Nie chcieli z nami, Polakami, rozmawiać, tylko z obcymi, mają teraz rozmowy” — wyraził się Bierut do najbliższego otoczenia.

Po aresztowaniu.

Fakt aresztowania przywódców podziemia rozniósł się po całym kraju z niezwykłą szybkością i podzielał, jak piorun z jasnego nieba. Wprawdzie nikt nie miał żadnych złudzeń co do zasadniczych celów polityki sowieckiej, a już najmniej ci, którzy przeszli przez Powstanie Warszawskie i na własne oczy zobaczyli oraz na własnej

skórze mieli wypisane „wyzwolenie”, jednak prawie nikt nie przypuszczał, by Sowiety mogły użyć tak podłego i cynicznego podstępu, przede wszystkim w stosunku do czterech ministrów z Krajowej Rady Ministrów, którzy na żądanie aliantów zachodnich opublikowali dla użytku strony sowieckiej swoje funkcje i nazwiska. Wrażenie było tym bardziej silne, że o wstępnych rozmowach wiedziała tylko góra konspiracyjna. Kraj natomiast i masa podziemia dowiedziały się z radia zagranicznego, z prasy podziemnej i z wieści szeptanych, które się rozchodziły z szybkością błyskawicy, tylko o epilogu. Nastąpił wybuch rozpaczki i wściekłości, co doprowadziło do stanu silnego wrzenia. Rodziły się plany dokonania jakiegoś zamachu o dużym zasięgu, jakiegoś mocnego odwetu, który by zaspokoił pragnienie zemsty i pokazał, że podziemie w dalszym ciągu istnieje i potrafi jeszcze karać. Wszyscy z napięciem i nadzieją oczekiwali na reakcję aliantów. Przyszła, ale jakżeż słaba i bez widoków na dobry skutek. Miejsce podniecenia i oczekiwania zaczęło zajmować rozczarowanie i bezgraniczne przygnębienie.

Na tle porwania przywódców i kompromitująco bezskutecznej interwencji aliantów, ludzie zaczęli dopiero się domyślać, że w Teheranie i Jałcie nie tylko dokonano czwartego rozbioru Polski, ale stało się jeszcze coś gorszego, coś, co najśmielsi i najdalej myślący ludzie bali się jeszcze definiować. Jednak wiara w aliantów, aczkolwiek zachwiana, trwała nadal. Przykładem tego niech będzie następujący fakt. Dnia 12 kwietnia 1945 roku umarł Prezydent Roosevelt. Był on niezwykle w Polsce popularny i cały kraj odczuł jego zgon, jako wielką stratę. Nikt jeszcze w tym czasie nie orientował się jaką krzywdę wyrządziła Polsce polityka tego amerykańskiego męża stanu. Żadne trzeźwe i jasne informacje o tym do kraju jeszcze nie dotarły. Było rzeczą naturalną, że wysłałem na ręce następcy zmarłego, Prezydenta Trumana, imieniem Delegatury Rządu depeszę kondolencyjną. Natomiast było dowodem niebezpiecznych złudzeń zakończenie tej depeszy, w którym oświadczyliśmy nowemu prezydentowi, że naród polski całe zaufanie i nadzieję, jaką pokładał w osobie zmarłego prezydenta, przelewa na jego następcę.

Jeśli zostali porwani i wywiezieni czołowi przywódcy

narodu polskiego, walczącego w podziemiu, którzy z natury rzeczy powinni byli reprezentować kraj przy rozwiązywaniu sytuacji narzuconej przez układ w Jałcie, to w jaki sposób zostanie ona rozwiązana? To pytanie zaczyna niepokoić wszystkich. Dominuje w nastrojach niepewność jutra i w zakamarkach mózgu zaczyna powoli narastać obawa, nie dopuszczana jeszcze do świadomości: czyżby znów powrót niewoli rosyjskiej?

Kierownictwo polskiego podziemia zostało rozbite. Cała Krajowa Rada Ministrów, Prezydium R.J.N., główni przywódcy stronnictw — aresztowani. Armia Krajowa straciła swego dowódcę. Przed krajem i podziemiem powstają obok dawnych dodatkowe pytania, zrodzone przez zbrodnie pruszkowską. Jak zostanie rozwiązana sprawa polska wobec dominującej roli Sowietów w kształtowaniu sytuacji we wschodniej Europie? Jaką drogą powinno pójść polskie podziemie? Czy po aresztowaniu przywódców jest ono zdolne do działania? Czy przeprowadzać zbrojne demonstracje przy pomocy oddziałów partyzanckich, operujących nadal w terenie? Czy jest sens dalszego istnienia tych oddziałów? Jakie zasady Walki Cywilnej obowiązują wobec nowego okupanta? Jakie zająć stanowisko wobec problemów odbudowy kraju i udziału w administracji lubelskiej? Czy utrzymać dotychczasową organizację i metody działania podziemia, czy przejść na inne i jakie? Życie nagliło i domagało się wyraźnej odpowiedzi.

Wysyłałem teraz depezę za depezą, informując rząd o najdrobniejszych szczegółach porwania. Prztelegrafowałem także pełny tekst pisma pułkownika Pimienowa. Depesze te stanowiły podstawę do oświadczeń rządu, które B.B.C. rozpowszechniało na cały świat. Oświadczenia te rozeszły się także po całej Polsce, pilnie kolportowane przez powielane nasłuch radiowe i prasę podziemną. Największe wrażenie zrobiły na społeczeństwie deklaracje ministra Edena na konferencji w San Francisco, gdzie mimochodem złożone w dniu 4 maja 1945 wyjaśnienie Mołotowa postawiło kropkę nad „i” i usunęło wszelkie wątpliwości co do losu polskich przywódców.

XXII

OSTATNIE MIESIĄCE DELEGATURY RZĄDU I RADY JEDNOŚCI NARODOWEJ

Posiedzenie w Warszawie.

Rozpoczął się najcięższy okres w moim życiu. Włączyłem się godzinami po zagajnikach i dąbrowach Leśnej Podkowy, rozmyślając nad sytuacją i szukając z niej wyjścia. Robiła się wiosna i było coraz jaśniej na świecie, a coraz czarniej u mnie na duszy. Rozumiałem, że jako Kierownik Walki Cywilnej i dyrektor departamentu spraw wewnętrznych w jednej osobie, jestem najstarszym funkcją członkiem Delegatury Rządu. Zastępcami aresztowanego delegata byli ministrowie, ale i oni również zostali aresztowani, sami zaś nie mieli zastępców. Czułem, że w tej sytuacji powinienem wziąć inicjatywę w swoje ręce. Widocznie i inni myśleli podobnie, chociaż nie tak jak ja, gdyż zbliżył się do mnie dyrektor Biura Prezydialnego Delegatury, Miklaszewski, dawny naczelnik wydziału bezpieczeństwa w departamencie spraw wewnętrznych, z propozycją, która chociaż miała już precedensy w historii i stąd wyglądała bardzo pociągająco, dla mnie jednakże była nową odmianą walki o „pierwsze miejsce pod szubienicą”. Miklaszewski mówił: „Po aresztowaniu Delegata, władzę nad podziemiem powinien objąć triumwirat składający się z pana, jako przewodniczącego, dyrektora departamentu prasy i informacji i mnie. Weźmiemy wszystko w swoje ręce i poprowadzimy sprawy dalej”.

Propozycję tę postanowiłem z miejsca odrzucić, ale przedtem chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, więc zapytałem: „Ale skąd weźmiemy mandat do tego?” — „Z faktu, że zajmujemy nasze stanowiska”, odparł Miklaszewski. Odmówiłem udziału w tej imprezie i żeby położyć kres podobnym pomysłom, powiadomiłem jako pierwszego Miklaszewskiego o moim zamiarze: „Wobec tego, że R.J.N. została zdekompletowana, postanowiłem jako najstarszy rangą członek Delegatury zwołać upoważnionych przedstawicieli stronnictw, które utworzyły Radę Jedności Narodowej, i niech one zadecydują o dalszym biegu spraw”.

Spotkanie doszło do skutku w Warszawie, w połowie kwietnia 1945 roku. Przyjechałem na nie z Leśnej Podkowy na rowerze. Była to już moja druga bytność w Warszawie po „wyzwoleniu”. Warszawiacy wracali już do miasta ze wszystkich stron Polski. Stolica miała taką dziwną siłę przyciągającą, że ludzie opuszczali nieraz nietknięte przez wojnę osiedla i miasteczka, w których się już zadowolili, by zamieszkać w gruzach i ruinach. Najlepszym dowodem tej siły był w późniejszych latach masowy powrót do Warszawy tych, którzy się osiedlili na Ziemiach Odzyskanych. Wracali po roku czy dwóch, bo, jak mówili, „życie poza Warszawą nie ma dla nich uroku”.

Do wyznaczonego miejsca nie mogłem trafić. Naokoło, jak okiem sięgnąć, ruiny i zwały cegieł, a wśród nich wydeptane ścieżki. Znalazłem wreszcie właściwą i dostałem się do na wpół wypalonego domu. Delegaci schodzili się jeden po drugim. Pierwszy raz od aresztowania w Pruszkowie spotkaliśmy się wszyscy w takiej liczbie. Było nas około dziesięciu, większość członkowie R.J.N. Na twarzach wypisane ostatnie przejścia. Na atmosferze narad ciąży od początku do końca zbrodnia pruszkowska. Wśród zebranych nastrojów powagi i ponurej determinacji.

Przewodnictwo objął jeden z obecnych i udzielił mi głosu dla przedstawienia całokształtu spraw, a przede wszystkim wyjaśnienia, w jakim celu zebranie zostało zwołane. Wiedzano wprawdzie w stronnictwach z grubsza o co chodzi, gdyż prosiłem o przysłanie upoważnionych przedstawicieli, władnych podejmować decyzję imieniem

stronnictw. Jednak chciano na ten temat usłyszeć coś więcej. Zreferowałem drobiazgowo cały materiał, odnoszący się do rozmów pruszkowskich, odczytałem teksty wysłanych i otrzymanych depeesz, zanalizowałem sytuację i w konkluzji wypowiedziałem się za kontynuowaniem roboty podziemnej, za odbudową Rady Jedności w zmniejszonym składzie i za utrzymaniem przy życiu głównych agend Delegatury. Dyskusja nie wykazała żadnych zasadniczych różnic. Wszyscy widzieli jasno i w ten sam sposób sytuację i nowe problemy. Opinie były wypowiedzane w sposób konkretny i bez uciekania od odpowiedzialności. Nie padł ani jeden głos za likwidacją podziemia. Wszyscy byli zgodni, iż utrzymanie polskiego państwa podziemnego to kardynalny warunek odzyskania niepodległości, że podziemie krajowe to fundament, na którym opiera się rząd w Londynie i cała jego działalność, że likwidacja podziemia otworzyłaby drogę do uznania przez aliantów rządu lubelskiego, a w każdym razie dałaby monopol polityczny w kraju komunistom. Aby sparaliżować skutki aresztowania, którego celem było rozbicie i zdeorganizowanie polskiego podziemia, należy zewrzeć szeregi i trwać oraz manifestować wobec kraju i świata swoje istnienie. W zakresie organizacyjnym górowała opinia, że R.J.N. istnieje nadal, choć w zmniejszonym składzie. Co do następstwa po Delegacie, postanowiono jednogłośnie, na wniosek przedstawiciela Stronnictwa Narodowego, zaproponować rządowi w Londynie, by do wyjaśnienia sytuacji porwanych, kierownictwo sprawami Delegatury powierzył mnie. Narada wykazała całkowitą jednomyślność co do utrzymania porwanych przywódców na ich dotychczasowych stanowiskach: Delegata, ministrów, członków Rady i że wszyscy ich następcy będą działali tylko w charakterze pełniących ich obowiązki. Słusznie mniemaliśmy, że będzie to bardziej krępowało władze sowieckie, podczas gdy zwolnienie ich z piastowanych funkcji osłabiłoby pozycję aresztowanych i zwięziło podstawy interwencji alianckiej, co do której łudziliśmy się, że doprowadzi do zwolnienia aresztowanych. Nikt wówczas jeszcze nie przewidywał, że nie da ona absolutnie żadnego rezultatu, a tylko zademonstruje bezsilność aliantów i że dojdzie do pokazowego procesu w Moskwie.

Narada natomiast nie wypowiedziała się za odbudową Krajowej Rady Ministrów, w której to instytucji, z odstępstwem od reguł konspiracji, nie istniała funkcja zastępców, automatycznie zajmujących stanowisko aresztowanego. Odegrało tu może pewną rolę przeświadczenie, że poza politycznym znaczeniem, jakie miało samo istnienie w kraju Rady Ministrów, instytucja ta w życiu organizacyjnym podziemia nie zaznaczyła niczym poważnym swego istnienia. Ministrowie nie kierowali poszczególnymi departamentami, lecz je tytułarnie nadzorowali, przy czym departament prasy i informacji, kierowany przez Dołęgę, oraz departament spraw wewnętrznych i Kierownictwo Walki Cywilnej, prowadzone przeze mnie, nie podlegały kontroli żadnego z ministrów a były zależne wprost od Delegata. W praktyce, Krajowa Rada Ministrów dublowała Prezydium Rady Jedności, odgrywając przy Delegacie Rządu rolę doradczą i opiniodawczą.

To doraźne uregulowanie bieżących zagadnień, zaaprobowane szybko przez rząd w Londynie, było bardzo na czasie i zapobiegło swego rodzaju „zamachom stanu”, sygnalizowanym przede wszystkim ze strony Narodowych Sił Zbrojnych (N.S.Z.), które wychodząc z założenia że rządowe centra konspiracji zostały rozbite, pragnęły opanować polskie podziemie i poprowadzić je pod własnymi hasłami i sztandarami. Te zamiary, jak również potrzeba wyjaśnienia krajowi sytuacji, były między innymi przyczyną oświadczeń rządowych, rozpowszechnionych przez B.B.C. informujących, że w kraju sprawują nadal władzę nowy Delegat Rządu i Rada Jedności Narodowej. Te komunikaty, powtórzone kilkakrotnie przez radio i rozkolportowane przez podziemną prasę i nasłuchy radiowe, ułatwiły opanowanie sytuacji na zewnątrz i na wewnątrz.

Mając wyraźne już do tego upoważnienie, przystąpiłem do szybkiej reorganizacji Delegatury, zamierzonej zresztą już poprzednio przez wicepremiera Jankowskiego. W przeciągu kilku tygodni została zlikwidowana większość departamentów Delegatury. Cała konspiracyjna administracja skoncentrowała się obecnie w departamencie spraw wewnętrznych, w departamencie informacji i prasy oraz departamencie opieki społecznej, prowadzonym od czasu Powstania w szerokim zakresie przez Fr. Białasa, który objął

to stanowisko po zabitym w czasie Powstania sędzi Mateji. Wychodziły kolejne numery „Rzeczpospolitej”, sprawozdania informacyjne, biuletyny i depesze. Departament opieki społecznej kontynuował pracę w ośrodkach, zajmujących się chorymi dziećmi i ludnością, wysiedloną po Powstaniu z Warszawy. Kontakt z delegaturami okręgowymi istniał nadal. Prowadziły one swą działalność w ograniczonym tak jak w centrali zakresie, ale i w tych skromnych ramach działały „na małych obrotach”, z uwagi na coraz głębszą penetrację terenu przez Bezpiekę i wzmagające się aresztowania. Zapełniły one szybko pierwszy obóz koncentracyjny na centralną Polskę, założony w Rembertowie.

Z rządem w Londynie istniała nieprzerwana łączność radiotelegraficzna, ograniczona z natury rzeczy przelotnością radiostacji. Niestety, od chwili aresztowania przywódców do chwili rozwiązania Delegatury i R.J.N. w dniu 1 lipca 1945, żaden emisariusz rządowy ani też żadne obszerniejsze informacje, poza depeszami, od rządu do Delegatury nie nadeszły.

Szpieg na tropie.

Zajęty reorganizacją Delegatury, byłem teraz więcej niż zwykle ruchliwy i częściej krążyłem po Leśnej Podkowie, Milanówku, Brwinowie i Grodzisku. Rozpoczęło się od tego, że w krótkich odstępach czasu moi dwaj znajomi, orientujący się, że jestem w podziemiu, ostrzegli mnie, że krążący nieustannie w Leśnej Podkowie mężczyzna średniego wzrostu, o wyglądzie inteligenta, lat około czterdziestu, gdzie tylko mnie spostrzeże, wypytuje się zaraz, jakie jest moje nazwisko. Ich zaczepił o to widząc, że mi się kłaniają. Naturalnie, że zbyli go czymś tam i nazwiska nie powiedzieli. Prawie równocześnie doniósł mi o tym także ktoś z wydziału bezpieczeństwa warszawskiej delegatury okręgowej. Zaczęliśmy się zastanawiać, co to może być? Agent Bezpieki lub N.K.W.D.? Ale czyżby używał tak prymitywnych sposobów? Jednak nie można było sprawy lekceważyć i osoby, do których to należało, roztoczyły nad tajemniczym mężczyzną obserwację. Wykazała ona rzeczywiście, że „podejrzany osobnik”, mówiąc stylem notatek

informacyjnych, kręci się po całej linii E.K.D., spotyka jakieś osoby, z którymi ma tajemnicze konszachty, słowem — coś w trawie piszczy. Zajęty innymi sprawami, nie miałem czasu tym się przejmować, ale byłem ciekaw, co dalej i zażądałem odpowiednich informacji. Wyglądały one jak wyrok sądowy:

„Ponieważ fakt wypytywania o nazwisko Delegata został wielokrotnie i ponad wszelką wątpliwość ustalony, zatem zważywszy:

że istnieje uzasadnione podejrzenie, iż wiadomy osobnik, starając się dowiedzieć o wspomniane nazwisko, działa na rzecz i zlecenie Bezpieki, co zagraża bezpieczeństwu i osobie Delegata;

że sądy specjalne zaniechały swej działalności z chwilą zajęcia kraju przez wojska sowieckie;

że zadaniem organów bezpieczeństwa jest ochrona aparatu i funkcjonowania władz podziemnych;

że;

że

Postanowiono: mężczyznę lat czterdziestu, średniego wzrostu, blondyna, używającego nazwiska... usunąć...”

Tak mniej więcej wyglądała treść i sformułowanie ponurego dokumentu.

Zażądałem teraz, by mi tego mężczyznę w jakikolwiek sposób pokazano. Z wielkim trudem udało się to zrobić i obejrzałem w locie z roweru indywiduum o nic nie mówiącym wyglądzie, którego natomiast mój widok wyraźnie zelektryzował. I ja doszedłem do wniosku, że musi to być agent U.B.

W kilka dni później, wieczorem, nie mogąc sobie odmówić w żaden sposób przyjemności wypicia szklanki kawy, wpadłem do barku „Pod Lipkami” i pierwszą twarzą, jaką spostrzegłem, był „podejrzany osobnik”. Cofnąłbym się z przyjemnością, gdybym nie zauważył, że siedzi on pograżony w przyjacielskiej rozmowie z moim znajomym z podziemia. Naturalnie zaraz po moim wejściu wlepił we mnie wzrok i więcej go nie spuszczał. Poszedłem w drugi kąt rozkosznej, pachnącej sosną i kawą, drewnianej budy, wspartej o lipy, których pnie obudowane naokoło dodawały wnętrzu uroku, i po chwili kiwnąłem na znajomego. Przybiegł natychmiast i przysiadł na ławce. Spytałem go

bez żadnych obsłonek: „Kto jest ten człowiek, z którym siedzicie?” Odpowiedź niczego nie wyjaśniła. Usłyszałem jakieś pospolicie brzmiące nazwisko i nic więcej. Pytałem więc dalej: „Czy go dobrze znacie?” — „Ani dobrze, ani źle. Tak sobie”. Zdenerwowałem się: „Nie o to chodzi. Powiedzcie mi krótko, czy to jest pewny człowiek, czy też...” Mój towarzysz podniósł na mnie oczy już trochę obrażone: „Jak ja mógłbym siedzieć z człowiekiem niepewnym? Ten facet pracuje w podziemiu od dawna i stąd go znam trochę”. — „W podziemiu?! Gdzie?!” — „A w dziale finansowym Delegatury. On zajmuje się wymianą dolarów na młynarki. Pod względem konspiracji to człowiek zupełnie pewny”. Opowiedziałem wówczas znajomemu, o co chodzi. Był zdumiony i przerażony: „I mnie też się spytał, kto pan jest, jak pan tu wszedł, ale go zbyłem, że nie pamiętam nazwiska”. — „Wróćcie do niego, powtórzcie mu wszystko i powiedzcie, że każdej chwili, tu „Pod Lipkami”, zaraz za progiem lub po drodze do domu może być zastrzelony. Radzę mu, aby natychmiast ukrył się chociażby w lesie, co najmniej na 24 godziny, bo tyle czasu trzeba, by zawiadomić kogo należy”. — „Dobrze, już ja mu tak powiem, że się ze strachu!” Odszedł i za chwilę brałem odwet za wszystkie niepokoje. „Podejrzany osobnik” zbladł jak ściana, coś gorączkowo tłumaczył, wymachując rękami i prosił o coś. Wyszedłem, nie czekając na koniec ich rozmowy, by wysłać jeszcze tego wieczoru łączniczkę.

Wkrótce otrzymałem wyczerpujące wyjaśnienia. Nieznajomy mężczyzna dowiedział się od kogoś, że mam wysoką funkcję w podziemiu i tak po prostu, z ludzkiej ciekawości, chciał się dowiedzieć o moje nazwisko. Zrozumiałem, że należał on do tej kategorii podziemnych ludzi, którym ciekawość nie pozwalała zasnąć, dopóki nie dowiedzieli się wszystkiego np. o współpracownikach ze swej komórki. Znałem dobrze ten typ ludzi. Należała do niego jedna z moich łączniczek, która godzinami mogła wypytywać inne, jak się nazywam, kim jestem, gdzie mieszkam itp. Żadne zwracanie jej uwagi nie pomagało. Widząc, że ta jej pasja ma cechy wprost chorobowe, odsuwaliśmy ją od pracy pod różnymi pretekstami coraz dalej, a wreszcie zerwaliśmy z nią kontakt pod pretekstem zmyślonej wyspy.

Ciekawskiego widywałem w dalszym ciągu. Ale gdy mnie spostrzegął, odwracał twarz i albo przechodził na drugą stronę ulicy, albo skręcał w jakieś opłotki. Ten już na pewno dwa razy się namyślił, nim się spyta o czyjeś nazwisko! ;

Nowy dowódca A.K.

Pułkownik Rzepecki, rosły, krępy, łysawy szatyn, lat około czterdziestu siedmiu, który po Powstaniu poszedł do niewoli niemieckiej, ale po uwolnieniu z niej wrócił do Polski, objął po Okulickim funkcję Dowódcy A.K. Przyjechał on wprost do mojej kryjówki i przesiedział ze mną w zamknięciu dwa dni. Rozmawialiśmy w dzień i noc. W tych „nocnych rodaków rozmowach” przewinęło się wszystko: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Grzebaliśmy po łokcie w historii, szukając tam pomocy i wskazówki, bo przecież *historia magistra vitae*. Droga, jaką wskazywała, była ciężka i długa. Trzeba było jednak na nią wkroczyć. Obaj wielbiciele kawy, odświeżaliśmy umysł tym napojem. Rzepeckiego znałem dobrze i byliśmy ze sobą na ty, co odejmowało rozmowom wszelkie cechy urzędowości. Przy całym współczuciu dla Niedźwiadka, winił go za złamanie rozkazu Godziemby (Sosnkowskiego), zabraniającego udziału w rozmowach z Rosjanami i miał za złe Delegatowi, że wywarł na Niedźwiadku tak silną presję. Ukształtowany politycznie umysł Rzepeckiego ułatwiał porozumienie i byliśmy we wszystkich prawie sprawach wyjątkowo zgodni.

Rozmowa rozpoczęła się od przesadnie uroczystej i „na stojąco” deklaracji Rzepeckiego, że uznaje moje nad sobą polityczne zwierzchnictwo, po czym, po wyczerpującej i obustronnej wymianie informacji, przystąpiliśmy do oceny sytuacji. Wypadła ona identycznie, jak na naradzie ze stronnictwami i wnioski z niej wypływały te same. Przede wszystkim konieczność kontynuowania podziemia.

Jako pierwszą wzięliśmy na warsztat sprawę organizacji „Nie”, która została założona przez A.K. w słusznym przekonaniu, że podziemna akcja antysowiecka musi się odebrać od macierzystej organizacji. Według mojej opinii, była ona całkowicie rozszyfrowana przez N.K.W.D., na co

wskazywał cały szereg aresztowań i poufnych wiadomości, poza tym przyjęte dla niej metody działania już nie miały w obecnej fazie politycznego uzasadnienia. Uważałem, że podziemie musi znaleźć nowe formy dla manifestowania dążeń niepodległościowych narodu polskiego, formy, uwzględniające metody działania N.K.W.D. i zapewniające szanse przetrwania. Podkreśliłem wobec Rzepeckiego okoliczność, że organizacja „Nie” została zawiązana w tajemnicy przed Delegatem Rządu, którego ja dopiero na prośbę kompetentnych osób, miałem poinformować o jej istnieniu na posiedzeniu Krajowej Rady Ministrów i R.J.N. w Piotrkowie Trybunalskim w zimie 1944 roku, do czego jednak ze względów technicznych nie doszło.

Rzepecki był tego samego zdania i postanowiliśmy zgodnie zwrócić się każdy własną drogą do swoich władz w Londynie z propozycją rozwiązania „Nie”. Nie wiem, czy na skutek tej inicjatywy, czy też opinii jaka się ukształtowała w międzyczasie w Londynie, organizacja „Nie” została rozwiązana, o czym zostaliśmy powiadomieni depeszą rządu w maju 1945 roku. Wszystko to się działo na kilka tygodni przed procesem moskiewskim przywódców podziemia, który potwierdził wszystkie nasze obawy.

W związku z pewnymi możliwościami i sugestiami, wypowiedziałem także wobec Rzepeckiego opinię, że jakiegokolwiek zamachy na czołowe osobistości lubelskie lub sowieckie w odwet za porwanie przywódców nie są wskazane i na nie się nie zgodzę. Pogorszyłyby one los aresztowanych i doprowadziłyby niewątpliwie do wzmożenia represji. Byłyby one z pewnością na rękę N.K.W.D. i U.B., które znalazłyby w ten sposób łatwe uzasadnienie dla zwiększenia aresztowań przede wszystkim niewygodnych dla siebie ludzi. Pewne plusy za jakie należałoby uznać odwet jako taki, manifestację siły podziemia, zahamowanie gorliwości agentów lubelskich i sowieckich, propaganda na kraj i zagranicę, muszą ustąpić przed przewagą minusów.

Rzepecki podzielił tę opinię, zobowiązał się wydać odpowiednie zarządzenia, nie krył się jednak z tym, że ma rozluźnioną łączność z terenem a i dyscyplina także zawodzi. Niezależnie jednak od tego, ustaliliśmy, że wyjątk-

kowo okrutni i gorliwi funkcjonariusze U.B. będą przez podziemie surowo karani.

Wreszcie najważniejszą sprawą, jaką uzgodniliśmy, był problem oddziałów leśnych Armii Krajowej, które pozostając nadal w terenie, toczyły nieraz walki z okrażającymi je i atakującymi wojskami N.K.W.D. i U.B., poza tym podejmowały akcje specjalnego charakteru, jak uwalnianie więźniów, likwidację agentów U.B. itp. I w tej sprawie panowała między nami ponura zgoda. Widzieliśmy jasno beznadziejność dalszego tkwienia po lasach, gdzie czekało te bohaterские oddziały niechybne wyniszczenie. Po Teheranie i Jałcie, w obliczu *appeasementu* dostrzegalnego już teraz nawet w odciętych od zagranicy kraju, wobec widocznej dominującej roli przyznanej Sowietom w Europie Wschodniej, uważaliśmy zdążanie ku niepodległości drogą demonstracji zbrojnych (bo trudno było mówić nawet o walce), podejmowanych przez oddziały partyzanckie, za bezcelowe i nie mające nie tylko szans militarnych, ale i politycznego sensu. Uzgodniliśmy więc potrzebę wydania tym oddziałom zarządzeń likwidacyjnych, co z natury rzeczy wziął na siebie Rzepecki. Dla nadania im większego autorytetu, postanowiliśmy wydać wspólną odezwę do oddziałów leśnych w sprawie ich likwidacji.

Na zakończenie Rzepecki poinformował mnie o wyznaczeniu na swego następcę płk. Bokszczanina, o którego żołnierskich cnotach wypowiadał się w superlatywach. Ja ze swej strony na uwagę Rzepeckiego, że jego ranga nie zapewnia mu dostatecznego autorytetu, przyrzekłem odnieść się do rządu, by został mianowany generałem brygady. Odpowiednia depeza została wysłana, lecz nie osiągnęła pożądanego rezultatu. Przeciwnie, Rzepecki otrzymał z punktu widzenia wojskowego mało przekonywujący tytuł „Delegata Sił Zbrojnych na Kraj”.

Urządził mi on kolejno spotkania z dowódcami obszaru, płk. Radosławem, którego znałem dobrze i od dawna i z płk. Mścisławem (*), dowódcą okręgu Białostockiego, którego nie znałem wcale. Z tym ostatnim widzieliśmy się w trójkę, w małym pokoiczku w zburzonej przez bombę kamienicy,

(*) Ppłk. Władysław Liniarski. (Patrz tom III. *Armia Krajowa*, str. 960).

który tak wyglądał w wypalonych murach, jakby kto zawiesił klatkę na drzewie. Tyle, że nie był widoczny z ulicy.

Przyglądałem się Mścisławowi z dużym zainteresowaniem. Miał opinię świetnego dowódcy i o jego akcjach w Białostockim krążyły legendy. Był już od dawna w walce z wojskami N.K.W.D. i U.B., które starały się go okrążyć i zlikwidować, ale jak dotychczas szczęśliwie im się wymykał. W ogóle Białostockie pod względem partyzantki miało dobrą opinię. Jeszcze Rowecki mówił mi dużo pochlebnych rzeczy o bardziej bojowej niż gdzie indziej postawie tamtejszej ludności i pytał mnie, jako prezesa Str. Ludowego na okręg Białostocki, czym mogę to wytłumaczyć. Byłem zdania, że ludność na terenach kresowych silniej czuje swoją polskość i przez to jest bardziej aktywna w krytycznych czasach, jakie nastąpiły.

Zapytałem Mścisławę, jaką stosuje taktykę, by uniknąć otoczenia przez wojska sowieckie. Wyjaśnienie było dość proste i przypomniało mi rozmowę, prowadzoną parę lat temu z Jędrusiem: „Przeszliśmy na inny system. W lesie są tylko nieliczne grupy, które potrafią się kryć i wyslizgiwać, podczas gdy cała organizacja oddziałów została oparta o element osiadły i prowadzący życie normalne. Mobilizują takich ludzi od czasu do czasu do akcji, a później wracają do domów”.

Mścisław nie uniknął losu innych i został z czasem schwytany. O ile pamiętam, dostał tylko (!) dziesięć lat więzienia, gdyż reżymowy sąd wojskowy przyjął za okoliczność łagodzącą fakt, że Mścisław był parę razy wyróżniony w rozkazach sowieckiego dowódcy frontu za doskonałe współdziałanie z jego oddziałami partyzanckimi.

Posiedzenie Rady Jedności Narodowej.

W maju i początkach czerwca 1945 roku, doszło w okolicach Warszawy do paru zebrań w zmniejszonym składzie (np. 3 i 30 maja i 3 czerwca 1945). Wzięli w nich udział między innymi Zygmunt Zaremba z P.P.S., Małachowski ze Str. Narodowego, Stanisław Wójcik ze Str. Ludowego. Byli także obecni dyrektorzy departamentów, Białas i Dołęga.

Była wiosna, naokoło morze zieloności, gdy ścieżkami, w pojedynkę, przez zboża i las schodzili się uczestnicy obrad w zakonspirowanym domku, w lesie. Obradowaliśmy tam przez wiele godzin, posilając się w krótkich przerwach.

Przeprowadzana na każdym posiedzeniu analiza sytuacji międzynarodowej nie wносиła nic pocieszającego. Rada w dalszym ciągu stała na gruncie uchwał lutowych, godząc jednak to stanowisko z dalszym uznawaniem rządu polskiego w Londynie. Rada nie widziała dla siebie żadnych możliwości działania, poza oczekiwaniem na dalszy rozwój sytuacji, stworzonej przez Teheran i Jałtę. Zajmowała jednak wobec Komitetu Lubelskiego stanowisko nieprzejednane.

Zaznaczyła się w toku posiedzeń ostra opozycja wobec rządu premiera Arciszewskiego ze strony Str. Ludowego („Trójkąta”). „Trójkąt” odmówił poparcia rządowi, domagał się ostro jego ustąpienia i zapowiedział opuszczenie Rady i Delegatury, o ile te postulaty nie zostaną uwzględnione. W ciągu kilku debat na ten temat, wszystkie stronnictwa wypowiedziały się tylko za koniecznością powrotu do rządu „Trójkąta”, bez udziału którego nie będzie on dostatecznie reprezentatywny. Na jednym z dalszych posiedzeń Stanisław Wójcik złożył deklarację, uzasadniającą opozycyjne stanowisko wobec rządu premiera Arciszewskiego i zgodnie z zapowiedzią oświadczył, że opuszcza R.J.N. To oświadczenie wprowadziło Radę w stan ciężkiego przygnębienia. Członkowie Rady apelowali do „Trójkąta”, by zmienił względnie odroczył zakomunikowaną decyzję, ale bezskutecznie.

W toku omawianych posiedzeń referowałem sytuację międzynarodową i wewnętrzną. Przekazywałem Radzie informacje, nadesłane przez terenowe komórki Delegatury, komunikowałem treść wysłanych i otrzymanych depeesz, przedstawiłem przebieg rozmów i osiągnięte porozumienie z Delegatem Sił Zbrojnych na Kraj w sprawie organizacji „Nie” i oddziałów leśnych. W obu tych sprawach uzyskaliśmy pełną aprobatę Rady, która się zresztą zbiegła z depeeszą rządu, zawiadamiającą o rozwiązaniu „Nie”.

Wreszcie, rozpatrując sprawy organizacyjne, Rada określiła szeroko moje kompetencje, stwierdzając, że kie-

rowanie Delegaturą obejmuje całokształt spraw i obowiązków Delegata i wicepremiera rządu. Licząc się z niebezpieczeństwem mego aresztowania, Rada wyznaczyła na ten tylko wypadek dwóch tymczasowych zastępców, z których pierwszym był Franciszek Białas. W razie aresztowania, miałby on pełnić funkcje aż do czasu wyznaczenia przez rząd nowego następcy.

Ostatnie posiedzenie Rady zostało zamknięte bez wyznaczenia ponownego terminu zebrania. O przebiegu wszystkich posiedzeń rząd został poinformowany drogą radiową.

Odezwy.

Trwaliśmy nadal w nastroju wyczekiwania i niepewności. Umowa w Jałcie, negatywne wobec niej stanowisko rządu w Londynie, uchwały lutowe Rady, uznające zastosowanie się do jej postanowień za konieczność, porwanie przywódców, pełnych dobrej woli o ile chodzi o nawiązanie współpracy z Sowietami i pośredniczenie między nimi a rządem, wszystko to składało się na zupełnie beznadziejny obraz. Jednak pewne zagadnienia w kraju wymagały rozwiązania. Społeczeństwo, nastrojone zdecydowanie wrogo wobec nowego okupanta, którego z całego serca nienawidziło, pragnęło dochować wierności i posłuszeństwa władzom podziemnym, których wskazówek i instrukcji w czasie okupacji niemieckiej przywykło słuchać. Zewsząd dochodziły głosy, domagające się opinii władz podziemnych w sprawie wstępowania na urzędy w administracji lubelskiej, współpracy na odcinku gospodarczym, przede wszystkim odbudowy kraju, w szkołach itd. Powstała także konieczność wyraźnego określenia stosunku do stronnictw i władz lubelskich oraz partii komunistycznej (P.P.R.).

Potrzebom tym starała się zadość uczynić odezwa z 17 maja 1945 roku podpisana przeze mnie jako p.o. Delegata Rządu i przez R.J.N. Projektowałem ją chodząc po pięknym ogrodzie willi w Leśnej Podkowie, pełnym starych sosen, krzewów i kwiatów. Wiosna już była w rozkwicie. Pełno ptaków, owadów, żaby w małym stawie, słowem to wszyst-

ko, co nie taki amator jak ja, ale prawdziwi mistrzowie pióra wymieniają, gdy chcą odmalować tło i nastroje. Naokoło inne ogrody, co razem dawało wrażenie lasu z rozsiazanymi gdzieniegdzie domkami. A wśród tej sielanki Bezpieka, węsząca za nowym Delegatem i członkami R.J.N. Prowadziłem już życie dobrowolnego więźnia, nie ukazując się pieszo ani na drogach, ani na ulicach, a tym bardziej na linii E.K.D., stacjach czy barkach kawowych. Przemykałem się tylko jak cień bocznymi ścieżkami na rowerze, zdążając do Warszawy lub kilku konspiracyjnych lokali w okolicy, gdzie spotykałem ludzi z podziemia. Odbudowany, mały ale mający doskonałe dojścia własny wywiad Delegatury doniósł już, że Bezpieka wie, kto jest nowym Delegatem oraz to, że ukrywa się on na linii E.K.D., i wychodzi ze skóry, by mnie schwytać. Nałożyłem na siebie i bliskich surową dyscyplinę i zlikwidowaliśmy wszystkie zbędne kontakty. Nawet przestałem jeździć na radiostację, która pracowała doskonale i w porównaniu z niemiecką okupacją względnie bezpiecznie, mimo że mi już brakowało towarzystwa Romana i Jana. W czterech ścianach żywoplotu łamałem sobie głowę nad ciężkimi zagadnieniami, które zrzędzeniem losu na nią spadły. Gdy tekst odezwy był gotowy, uzgodniłem go z R.J.N. i została ona opublikowana w dniu 17 maja 1945 roku. Oto jej treść:

„Do Narodu Polskiego.

Wojna w Europie skończyła się. Bestia hitlerowska leży pokonana u stóp zwycięskich sprzymierzeńców. Wojna na Dalekim Wschodzie pośrednio tylko oddziaływać będzie na tok spraw europejskich. Opinia światowa zwróciła swe zainteresowanie ku zagadnieniu sprawiedliwego pokoju i wolności, rządy zaś przystąpiły do ich uregulowania.

Wojna skończyła się, lecz walka trwa. Walka o realizację ideałów, sformułowanych w Karcie Atlantycznej, walka o prawdziwą wolność, demokrację i sprawiedliwy pokój.

Polska stała się głównym zagadnieniem tej walki i próbą ogniową dla zwycięzców. Od rozstrzygnięcia naszej sprawy zależeć będzie, czy przyszedł świat będzie lepszy i czy zapanuje w nim pokój, czy też zostanie wepchnięty w nowy odmet jeszcze straszniejszej wojny.

Czego oczekujemy? W co wierzymy?

Wierzmy w to, że cała uczciwa opinia światowa została przez nas przekonana, że oświadczając w uchwałach Rady Jedności Narodowej z dnia 22 lutego 1945 roku gotowość do wzięcia za podstawę do rozmów, mających na celu uregulowanie stosunków polsko-sowieckich, postanowienia Konferencji Krymskiej, poszliśmy tak daleko w ustępstwach na rzecz Rosji z najdroższych dla każdego Polaka wartości, że dalszym ustępstwem byłoby chyba narodowe samobójstwo. Jednakże dziś stało się jasne dla wszystkich, a przede wszystkim dla aliantów zachodnich, że Rosja zuleka z wykonaniem postanowień Konferencji Krymskiej, dotyczących Polski, i sprawa pozostaje nadal otwarta i nieuregulowana.

Wierzmy w to, że cały świat nabral przekonania o szczerej naszej chęci nawiązania z Rosją przyjaznych stosunków, z Rosją, której wielką potęgę i pozycję należycie oceniamy, z Rosją, z którą po wsze czasy sąsiadami będziemy i walczyć w przyszłości nigdy nie pragniemy. Te nasze szczere zapewnienia mają większą wagę, niż hulaśliwe i służalcze przysięgi nieznanym nikomu samozwańców z Lublina.

Oczekujemy, że mimo wszystko utworzony zostanie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, w oparciu o przedstawicieli naszej prawdziwej demokracji, tak jak my to słowo rozumiemy, a nie z figurynek lubelskich, które zwalczają zażarcie tę koncepcję, nie z despotów z Komitetu, którzy ze słowem „wolność” na ustach, skuli ręce Narodu Polskiego, a teraz kłębują Mu usta i zawiązują oczy, nie z samozwańców lubelskich, na których spada odpowiedzialność za to, że ręka, która odrzuciła naszą przyjazną dłoń, rozstrzeluje i kieruje na wygnanie najlepszych synów Ojczyzny, żołnierzy Armii Krajowej, podziwianej przez cały świat. Doczekaliśmy się również tej hańby, że lubelskie władze bezpieczeństwa starają się przelicytować Gestapo, że słowo Rembertów budzi nie mniejszą grozę, niż Oświęcim.

Ukoronowaniem haniebnej działalności Komitetu, „rządzącego” naszym krajem, jest podstępne, bo drogą zaproszenia na konferencję z pełnomocnikiem marszałka Stalina gen. płk. Iwanowem, w sprawie jawnego wzięcia udziału w życiu politycznym kraju, zwabienie w dniach 27 i 28 marca br. do Pruszkowa piętnastu czołowych przedstawicieli Polski Podziemnej a następnie aresztowanie ich i wywiezienie w nieznanym kierunku. Byli wśród nich: wicepremier rządu polskiego w Londynie, Jan Jankowski, były wielokrotny minister i poseł na sejm; przewodniczący Rady Jedności Narodowej w Kraju, Kazimierz Pużak, skazany na śmierć przez sąd carski, któremu w drodze łaski zamieniono karę na osiem lat twierdzy, którą to karę odbył w Schlüsselburgu — i generał Leopold Okulicki, ostatni Komendant rozwiązanej Armii Krajowej, były szef sztabu armii generała Andersa. W ten sposób Komitet Lubelski postarał się o usunięcie konkurentów.

Oczekujemy, że w utworzeniu Tymczasowego Rządu Jedności

Narodowej weźmie udział piętnastu aresztowanych przedstawicieli Polskiej Podziemnej, że z tą chwilą przywrócona będzie wolność słowa, prasy, zgromadzeń i stowarzyszeń; że hitlerowski zakaz słuchania radia zostanie uchylony; że nastąpi powrót bohaterskiej armii naszej z Zachodu, jeńców, więźniów, robotników i emigracji polskiej z całego świata; że wybory do sejmu, który wyłoni pierwszy normalny rząd polski, odbędą się w atmosferze pełnej swobody i całkowitego uspokojenia, po wyjściu z Polski armii sowieckiej, która przy naszym skromnym udziale wyswobodziła kraj od najeźdźcy hitlerowskiego i wdzięczność dla której nie będzie wówczas tamowana żadną obawą i wspomnieniami gwałtów, które nas tak zaskoczyły; że słuszne dzieło reformy rolnej, uspołecznienie środków produkcji, demokratyzacja armii i inne zamierzenia, wymienione w orędziu Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 roku, zostaną poprowadzone w kierunku trwałej przebudowy naszego ustroju a nie dla celów agitacyjno-politycznych. Ze obok przyjaznych stosunków z Rosją, zachowamy również jak najbliższe stosunki z aliantami zachodnimi.

Oczekujemy, że wielcy sprzymierzeńcy doprowadzą dzieło do takiego właśnie końca. Ostatnie wydarzenia na terenie międzynarodowym, zwłaszcza czterokrotne odrzucenie kandydatury Komitetu Lubelskiego na Konferencji w San Francisco i mowa premiera Churchilla z dnia 13 maja br. usprawiedliwiają te nasze nadzieje i oczekiwania.

Wreszcie wierzymy, że w przyszłości, w rezultacie pokojowych i przyjaznych stosunków, będzie można za zgodą Rosji Sowieckiej, w atmosferze wzajemnego zaufania, podjąć na nowo próby chociażby częściowego naprawienia tych krzywd, jakie umowa w Jalcie wyrządziła Narodowi Polskiemu.

Takie są nasze nadzieje na najbliższą przyszłość. Jeżeli nas zawiodą, czego się nie spodziewamy, pozostaje nam tylko dalsza walka o odzyskanie rzeczywistej niepodległości, której nigdy nie wyrzekniemy się.

Rodacy !

Bez względu na to, co przyszłość nam przyniesie, teraźniejszość wymaga od Was jednego : wytrwajcie w tej opornej postawie, jaką zajęły wszystkie warstwy naszego narodu. Nieszczęścia nas zjednoczyły, jak nigdy. Jednakże dziś czynimy i myślimy. Jednakże odróżniamy ziarno od plew, jednakże odróżniamy fałsz i kłamstwo samozwańców z Lublina, choć ubrane w piękne słowa, od prawdy i rzeczywistości. Powódź fałszów lubelskich nie daje żadnego rezultatu. Jednakże zwarci, przeciwstawmy się próbom pozbawienia nas wolności i niepodległości.

Nasza jednolita negatywna postawa w stosunku do obecnej polityki samozwańczego „rządu” lubelskiego nie powinna hamować dzieła odbudowy Kraju. Widzimy chaos i anarchię, panującą na każdym

polu, co przynosi szkodę interesowi narodowemu. Zakłamyany Komitet Lubelski, dążący do innych, ukrytych politycznych celów, nie jest w stanie tego opanować. Toteż wzywamy Was do powszechnej społecznej inicjatywy przy dziele odbudowy kraju. Stańcie samorzutnie do pracy konstruktywnej na wszystkich odcinkach odbudowy, w przemyśle, handlu, rolnictwie, komunikacji, oświacie itp. — słowem wszędzie, gdzie możecie pracować bez naginania swych poglądów i bez współdziałania z upadającą polityką Komitetu Lubelskiego. Ta ostatnia zasada wymaga od Was pełnego bojkotu pracy w administracji politycznej, propagandzie i w służbie bezpieczeństwa, której organizacja i wstrętne metody tak są obce ustrojowi prawdziwie wolnościowemu, do którego dążymy.

Urzędnicy nie politycznej administracji lubelskiej!

Pamiętajcie o tym, że jedyną waszą prawowitą, konstytucyjną władzą jest rząd Rzplitej w Londynie, uznawany za taki przez cały świat, z wyjątkiem Rosji i państw wasalnych, i jego przedstawicielstwo w Kraju. To przedstawicielstwo wymaga od Was działania, zgodnego z interesem narodowym. Służąc samozwańcom, z których niektórzy nie są nawet obywatelami polskimi, dbajcie o zachowanie naszych dóbr duchowych i materialnych, nie bierzcie udziału w machinacjach politycznych obcych agentur w Komitecie Lubelskim, godzących w naszą niepodległość i przeciwstawiajcie się im.

Rodacy!

Nie dajcie się sprowokować do zbrojnej walki. Nie może ona obecnie przynieść żadnej korzyści celom, do których zmierzamy, a narażać zapalne, a niekiedy najbardziej wartościowe jednostki spośród nas, na zgubę. Wzywamy młodzież, która przed masowymi prześladowaniami i aresztowaniami schroniła się do lasu, by starała się wrócić do normalnego życia i produktywnej pracy tam, gdzie może. Pobyt Wasz w lesie stał się już powodem do krwawych pacyfikacji. Czekajcie Wasz zguba, a Waszym głównym przeznaczeniem jest żyć i pracować dla Ojczyzny, a nie ginąć bez żadnej dla Niej korzyści. Jeśli zostaniecie przymusowo wcieleni do wojska, zachowajcie postawę dobrego Polaka, nie dajcie się użyć do akcji przeciw rodakom i do walki w obcej sprawie, unikajcie również wysyłki na wschód, poza granice Polski.

Rada Jedności Narodowej
p. o. Pełnomocnika na Kraj Rządu
Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie.

Dnia 17 maja 1945 roku.”

W związku z powyższym tekstem odezwy, należy zwrócić uwagę na następujące momenty:

Określiła ona uchwały R.J.N. w Kraju z 22 lutego 1945 roku, zapadłe w stosunku do postanowień konferencji w Jałcie, jako wyrażenie „gotowości do wzięcia za podstawę do rozmów, mających na celu uregulowanie stosunków polsko-sowieckich, postanowień konferencji Krymskiej”. Pomiedzy tym sformułowaniem a rzekomą zgodą R.J.N. na postanowienia konferencji w Jałcie jest wielka różnica, której nie ma potrzeby uwypuklać. Co zaś ważniejsze, odezwa ta zapowiadała już z góry żądanie rewizji postanowień jałtańskich, wyrażając je w formie, odpowiadającej sytuacji kraju, znajdującego się całkowicie we władzy sowieckiej, w którego imieniu odezwa formułowała powyższy postulat. Kto zaś z góry zapowiada rewizję postanowień pewnej umowy, ten nie tylko zostawia furtkę otwartą dla siebie dla rozmów odnośnie spornego problemu, ale także wyraźnie zaznacza, że się z jej postanowieniami nie godzi. Na odnośny ustęp odezwy powinni zwrócić baczną uwagę wszyscy ci, którzy starają się możliwie dokładnie odtworzyć stanowisko władz podziemnych w stosunku do Jałty.

Odezwa wymieniła także warunki Podziemia co do utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wysuwając na czoło oparcie go o czynniki prawdziwie demokratyczne, a nie o samozwańczy komitet lubelski i żądając udziału w nim aresztowanych piętnastu przedstawicieli Polski Podziemnej, czemu rzeczywistość zaprzeczyła w brutalny i tragiczny sposób.

Odezwa wysunęła żądanie opuszczenia Kraju przez wojska sowieckie jeszcze przed wyborami. Nie przypuszczałem wówczas, że to żądanie stanie się w przyszłości podstawowym postulatem, wysuwany przez państwa zachodnie wobec Rosji w odniesieniu do rozdzielonych Niemiec i okupowanych krajów wschodniej Europy. Zakazywała ona ponadto walki zbrojnej i wzywała młodzież do powrotu do normalnego życia i produktywnej pracy „tam gdzie może”, a więc bez „ujawniania się”. Przyczyniło się to do znacznego odpływu młodzieży z lasu i podziemia, oraz do ugruntowania w społeczeństwie w stosunku do

konspiracji stanowiska, które do dziś dnia dominuje w polskiej opinii publicznej.

Wreszcie, odezwa wypowiedziała się obszernie w sprawie pracy nad odbudową kraju, wzywając wszystkich do „powszechnej, społecznej inicjatywy przy dziele odbudowy”, mimo czy też nawet wbrew komitetowi lubelskiemu. Zakazała natomiast kategorycznie pracy w administracji politycznej, propagandzie i służbie bezpieczeństwa. Ta część odezwy odegrała bez wątpienia dużą rolę przy układaniu się stosunków w nowej krajowej rzeczywistości. Wpłynęła ona na to, że masa ludzi-fachowców, przyglądających się biernie temu co się dzieje i czekających na wskazówki władz podziemnych, rzuciła się do pracy nad odbudową i temu też komuniści mogą zawdzięczać duże na tym polu sukcesy. Cały ogromny zespół inżynierów, urzędników i techników, przygotowany przez nasze Biuro Ziem Odzyskanych, znalazł się wkrótce w Ministerstwie Ziem Odzyskanych i w zagospodarowaniu tych terenów odegrał dużą rolę. Jeśli więc rządy komunistyczne w Polsce podnosiły zarzut, że polskie podziemie nakazało sabotażowanie akcji odbudowy kraju i było przyczyną tak zwanej „emigracji wewnętrznej” na tym odcinku, to był to jeden z licznych fałszów komunistycznych, bowiem wspomniana odezwa musiała być znana komunistom, gdyż została rozkolportowana szeroko po kraju przez prasę podziemną, a przede wszystkim przez tysiące ulotek. A ponieważ dotyczyła sprawy żywotnej, interesującej szerokie masy ludności, zatem i wieść szeptana rozniosła ją po całym kraju. To stanowisko władz podziemnych było też może jedną z przyczyn, dla których naród polski wykazał się w zakresie odbudowy natychmiastowym i wielkim wysiłkiem. W wysiłku tym jednak nie było ani krzty zaufania do rządów komunistycznych. Przyczyną jego było przede wszystkim głębokie przeświadczenie, że co się w kraju naprawi i zbuduje, to w nim pozostanie i będzie mu służyło także w lepszych czasach, w których nadejście każdy Polak wówczas wierzył.

W tym czasie uzgodniłem także z Rzepeckim tekst odezwy do żołnierzy polskich oddziałów leśnych, która wydana 27 maja 1945 roku i podpisana przeze mnie i Rze-

peckiego, została rozkolportowana przez prasę i ulotki. Oto jej treść:

„Żołnierze Polskich Oddziałów Leśnych!

Całemu światu znane są już Wasze pięcioletnie ofiarne walki z najeźdźcą niemieckim, walki, których natężenie tak wzrosło, gdy front rosyjsko-niemiecki wtoczył się na ziemię Polski, na Wołyń i na Wileńszczyznę. Nie jest już dziś dla świata tajemnicą, że sprzymierzeniec rosyjski skwapliwie korzystał z bojowej pomocy Armii Krajowej, a potem żołnierzy jej brutalnie i cynicznie, stosując najobrzydliwsze podstępny, rozbrajał, więził, wcielał do swego wojska, lub nawet rozstrzeliwał.

W tych potwornych moralnie warunkach walczyliście jednak, bo tego wymagał interes Polski, bo tak kazał legalny polski Rząd, bo rozumielście, że wysiłek żołnierski musi służyć celom politycznym Narodu i one usprawiedliwiają największą żołnierską ofiarę. Tą Waszą postawą wykazaliście najwyższe wartości, jakich od żołnierza można oczekiwać. Dziś wiemy, że ofiara Wasza zmarnowana nie była.

W oswoobodzonej od niemieckiej zarazy części Polski, „sprzymierzeniec” rosyjski i wysługujący mu się zdrajcy z komitetu lubelskiego wytworzyli tak ohydne warunki, że niemożliwe stało się to, o czym marzyliśmy, by Wasze okryte chwałą oddziały, rozwinięte w dywizję i korpusy, poszły na zachód uwalniać resztę Ojczyzny i brać odwet na odwiecznym wrogu Polski.

Wówczas naczelne władze państwowe zażądały od Was nowej, poważnej ofiary, jakby żołnierskiego samounicestwienia się. Dekret Prezydenta Rzplitej zarządził rozwiązanie Armii Krajowej i zwolnił Was z przysięgi, ze służbą w tej jednostce związanej, a rozkaz Dowódcy zalecił Wam powrót do twórczej pracy obywatelskiej nad odbudową Kraju.

I tę szczerą żołnierską drogę zagroziła niejednemu z Was przewrotna polityka Sowietów i ich służalców, stwarzająca nam warunki równie dotkliwe, jak poprzednia okupacja. Wiemy, że nie tylko wielu z Was pozostało w ukryciu w lesie, ale też że szeregi Wasze często bywają zasilane przez chroniących się przed terrorem N.K.W.D. i „polskiej” służby bezpieczeństwa. Niestety, tak jest dziś w Polsce, którą uzurpatorzy jak na urągowisko „demokratyczną” nazywają, że najlepsi obywatele, chcący swą pracą Ojczyźnie służyć, muszą w ukryciu szukać ocalenia przed zjadłością rękomych „sprzymierzeńców” i zdrajców.

W tym swoim tragicznym położeniu musicie jednak jasno zdawać sobie sprawę, że nie jest dziś czas na walkę zbrojną, że Rząd Rzeczypospolitej wyraźnie nakazał rozwiązanie A.K., że walki zbrojnej prze-

ciw obecnej okupacji nie zarządził i nie zalecił, oceniając ją jako szkodliwą, a do regulowania innych spraw wojskowych ustanowił Delegata Sił Zbrojnych na Kraj. Nie dawajcie więc wiary ani prowokatorom niemieckim, ani prowokatorom z N.K.W.D., którzy — ostrzegamy — usiłują wcisnąć się w Wasze szeregi, choćby pokazywali Wam drukowane rozkazy Rządu i Naczelnego Wodza. Nie wiercie też działającym samowolnie Polakom, lekkomyślnym choć patriotycznie nastawionym, jeśli namawiają Was na partyzantkę, powołując się na takie rozkazy władz polskich. Pamiętajcie, że najpiękniejsze czyny żołnierskie są bezcelowe jeśli nie są dokonane w właściwym czasie i jeśli nie służą celowi wskazanemu przez właściwe władze. A dziś, właściwą władzą w Polsce jest Pełnomocnik Rządu i Delegat Naczelnego Wodza na Kraj.

Więc, jak przystało najlepszemu i najkarniejszemu żołnierzowi, wykonajcie trudny rozkaz Prezydenta Rzplitej i Naczelnego Wodza, wracajcie do pracy nad odbudową Kraju, zachowując ostrożności potrzebne, by nie narazić się na zdrazieckie prześladowania.

p. o. Pełnomocnika Rządu na Kraj
Delegat Sił Zbrojnych na Kraj.

27 maja 1945 roku."

Po rozpowszechnieniu tej odezwy drogą służbową A.K. i wszystkimi innymi kanałami konspiracyjnymi, odpływ z lasu się wzmógł, niemniej w toku procesu, jaki Bezpieka wytoczyła później Rzepeckiemu, po jego aresztowaniu, spotkał się on z zarzutem, że odezwa nie zawierała wezwania do ujawnienia się żołnierzy wobec Bezpieki i do wydania broni. Istotnie, tego wezwania odezwa nie zawierała, bo co za dużo, to niezdrowo. Przeciwnie, odezwa z 27 maja 1945 r. wzywała do zachowania ostrożności, w celu uniknięcia zdrazieckich prześladowań, czyli wyraźnie wskazywała na to, iż nie należy się ujawniać wobec policji bezpieczeństwa.

Nie mogę się powstrzymać w tym miejscu od opowiedzenia, w jaki sposób sprawa oddziałów leśnych powróciła do mnie w roku 1947.

Wybrany posłem do sejmu z miasta Warszawy, wygłosiłem w nim jedno jedyne przemówienie, poświęcone amnestii dla uczestników Ruchu Podziemnego. I oto po

wygłoszeniu wspomnianego przemówienia, zjawilo się kolejno w siedzibie Stronnictwa Ludowego, gdzie urzędowałem, w Alejach Jerozolimskich 85, kilku młodych ludzi i każdy z nich, biorąc mnie tajemniczo na bok i podając się za wysłannika oddziałów leśnych, zapytywał, czy przemówienie moje w sejmie było powiedziane na serio, czy też „na lipę” i czy naprawdę należy korzystać z amnestii. Na szczęście, zaraz w pierwszym rozpoznałem ubeka i zorientowałem się, że jest to zwykła, ordynarna prowokacja. Toteż z całą powagą odpowiadałem pytającym, że przemówienie powiedziane było najzupełniej na serio i z satysfakcją obserwowałem na twarzach podejrzanych młodzieńców wyraz wielkiego zawodu.

Niezależnie jednak od tego, miałem także kilka wizyt prawdziwych wysłanników podziemia, proszących o informacje i wskazówki.

Emisariusz z Węgier.

Otrzymałem wiadomość, że przybył wysłannik placówki rządowej na Węgrzech i pragnie się ze mną widzieć. Było już wyjątkowo krucho z lokalami, no i Bezpieka na linii E.K.D. była coraz aktywniejsza. Zdecydowałem więc, że z wysłannikiem spotkam się... w lesie, w dobrze mi znanym punkcie, dokąd go przyprowadzi zaufana łączniczka. Poszedłem zawczasu na miejsce i siedząc na kamieniu, czekałem na emisariusza. Zrobiło się nagle ciemno i zaczął padać ulewny deszcz. Wyłoniły się z niego dwie przemoczone postacie i rozmowa się rozpoczęła przy akompaniamencie ulewy.

Emisariusz, młody człowiek, przedstawił mi całą historię polskiej emigracji na Węgrzech. Gościnne przyjęcie przez Węgrów, późniejsze aresztowania przez Niemców, wreszcie rozpaczliwą sytuację po zajęciu Węgier przez Sowiety. Placówka ma przerwaną łączność z rządem w Londynie, zaś emigracja tamtejsza pragnie wiedzieć, czy ma wracać do kraju, czy czekać na dalszy rozwój wypadków, więc dlatego go wysłano do Polski, do władz podziemnych.

Mówił o tym obszernie, a deszcz spływał po jego zmęczonej twarzy. Można mu było wyczytać w oczach, jak

przygnębiał go fakt, że spotyka się ze mną w lesie i nie mamy nawet dachu nad głową, by się ukryć przed deszczem. Gdy przez rzadkie drzewa zobaczyłem w dodatku auto, jadące połą drogą, poszliśmy jeszcze głębiej w las, a deszcz, jakby czekając na to, zaczął lać z podwójną siłą. Zgadując jego myśli, zapytałem: „Nie sądziliście tam, na Węgrzech, że z nami tutaj jest tak źle?” Trafiłem celnie. Współczucie ożywiło mu twarz i potaknął: „Domyślaliśmy się, że musi być ciężko, ale nie sądziliśmy, że tak bardzo”.

Wyjaśniłem emisariuszowi dokładnie jak sprawy stoją i omówiłem wszystkie za i przeciw powrotowi do kraju. Zakończyłem w sposób, który na pewno mocodawców emisariusza nie zadowolił: „Nie widzę sensu siedzenia w obcym kraju, który jest i będzie okupowany. Jak cierpieć, to na własnych śmieciach. Ale czy już wracać do Polski, czy jeszcze czekać, czy też przemykać się od razu na zachód, to musicie sami zdecydować. To będzie postanowienie na całe życie i każdy musi powziąć decyzję sam za siebie. Od rządu w tej sprawie nie mamy żadnej instrukcji, ale zapytamy go i poprosimy by przekazał wam wprost swój pogląd”.

Zapewniłem go, że wszystkie wiadomości jakie przywiózł, będą przetelegrafowane do Londynu, poza tym umówiliśmy jeszcze sposób połączenia via Londyn drogi lądowej między krajem a placówką na Węgrzech i placówkami w Rumunii.

Na pożegnanie życzyłem młodzieńcowi szczęśliwej podróży, uściśnałem mu rękę i poszedłem okrężną drogą do kryjówki, pędząc precz od siebie czarne myśli, jakie mnie obległy po rozmowie. Nowy problem, nowe zmartwienie i nowa zwłoka. A tam, tysiące tułaczy będzie czekało, jak Żydzi na pustyni na krzak ognisty, by im wskazał drogę i wyjście.

Teraz, jak na złość, deszcz przestał padać i wyjrzało słońce. Wszedłem w ulubiony zagajnik sosnowy. Każde drzewko wyglądało tutaj jak obsypane milionami brylantów. Na niebie ukazała się wspaniała tęcza. Tym razem nie wierzyłem, że to jest dobry znak.

Zamach na Delegaturę.

W czerwcu 1945 roku otrzymałem niespodziewanie propozycję spotkania od Józefa Nieckiego z „Trójkąta”. Byłem tym nieco zdziwiony gdyż Niećko, tchórz skończony, który w czasie Powstania przesiedział w piwnicy dwadzieścia trzy dni, nim dał znać o sobie, że jest w Warszawie, krył się niezwykle starannie i musiało to być coś ważnego, że zdecydował się opuścić kryjówkę.

W czasie rozmowy Niećko był bardzo miły i układowy. Obsypał mnie komplementami, mówił coś o zasługach, słowem stosował różne przyprawy do czegoś, co w swej głowie wysmażył. Jak zwykle milczałem, wiedząc, że Niećko lubi się „chować za płotem” i czasami zza niego strzelać. Niećkę to peszyło, wymowa zaczęła mu się mącić, wreszcie widząc, że nie wychodzę naprzeciw, wyłożył, o co mu chodzi: „Jak wicie jesteśmy w opozycji do rządu Arciszewskiego. Nie doprowadziło to do żadnych zmian w Londynie, więc postanowiliśmy w stronnictwie opozycję wzmocnić. Gdy zastanawialiśmy się jak to zrobić, doszliśmy do wniosku, że trzeba wycofać członków stronnictwa z Delegatury. W związku z tym chciałem was prosić, abyście się podali do dymisji. Ciężko mi bardzo przedstawiać wam tę prośbę, bo...” — tu Niećko powtórzył komplementy jeszcze raz, wreszcie zaapelował do mnie, bym to uczynił dla dobra ruchu, do którego tak wiele lat należę i któremu tak się w czasie wojny zasłużyłem...

Wbrew przypuszczeniom „Taty” (jak go popularnie zwano w stronnictwie), nie byłem tym żądaniem zaskoczony. Doszły mnie już słuchy od przyjaciół z „Trójkąta” o zamiarze zaostrożenia opozycji, poza tym sam uważałem, że po wyjściu mego stronnictwa z rządu i R.J.N., wytworzyła się dość niezdrowa sytuacja, gdyż członek stronnictwa opozycyjnego stał na czele Delegatury Rządu. Uważałem, że z tego punktu widzenia żądanie Nieckiego było słuszne. Tyle, jeśli chodzi o stronę polityczną zagadnienia. Co się tyczy innych, to wydawało mi się, że decyzja wycofania członków stronnictwa z Delegatury nie była męska i lojalna wobec partnerów z podziemia. Trochę wyglądało to na ucieczkę z tonącego okrętu. Zapewniwszy Niećkę, że za-

stosuję się bezwarunkowo i natychmiast do uchwały władz stronnictwa i zgłoszę dymisję, zwróciłem mu jednak uwagę na tę ostatnią okoliczność.

I tu czekała mnie niespodzianka. Niećko pomyślał, przeszedł się po pokoju i stanął przede mną: „Ja nie myślę o ucieczce z tonącego okrętu. Przeciwnie, myślę jak ten okręt uratować i widzę pewne wyjście. Jak wasza dymisja zostanie przyjęta, to wy nie przekazujcie swych funkcji ani Delegatury, a przede wszystkim łączności radiowej, żadnemu nowemu Delegatowi, którego rząd wyznaczy, a tylko oddajcie to wszystko nowemu ośrodkowi, który ja razem z wami i innymi naszymi ludźmi zorganizuję. Rząd Arciszewskiego idzie po fałszywej drodze i my musimy go w kraju wykończyć”.

Wszystko co było lepszego w mej naturze zbuntowało się przeciwko tej cynicznej propozycji. Dzisiaj, gdy po upływie paru lat piszę o niej, dochodzę do wniosku, że Niećką mogły kierować wówczas dwie koncepcje. Jedna, tą którą wspominał, to jest utworzenie w kraju ośrodka, niezależnego od rządu. Druga, bardziej prawdopodobna, to oddanie wszystkiego komunistom i wkupienie się w ten sposób w nowe środowisko rządzące w Polsce. Delegatura miała być wianem, jakie Niećko pragnął wnieść ze sobą. Patrzyłem na Niećkę z zaciekawieniem i z trudem ukrywającą niechęcią, myśląc, że ruch ludowy, który stworzył pod okupacją największą organizację podziemną, w tym sto kilkadziesiąt tysięcy Batalionów Chłopskich, będących filarem Walki Cywilnej na wsi, a do Delegatury delegował pięciu ludzi na kierownicze stanowiska, zasługiwał na lepszego niż Niećko przywódcę.

Na samej propozycji nie zostawiłem suchej nitki. Jeszcze raz potwierdziłem, że natychmiast podam się do dymisji, co też następnego dnia zostało dokonane drogą telefoniczną, poza tym oświadczyłem Niećce kategorycznie, że po przyjęciu dymisji oddam wszystko wyznaczonemu przez rząd następcy i nikomu innemu.

Rozstaliśmy się we wrogim nastroju, którego do końca mego pobytu w Polsce nic nie zdołało już zmienić.

Proces i konferencja w Moskwie.

Dnia 17 czerwca 1945 roku rozpoczęły się rozmowy w Moskwie z udziałem przybyłych z Anglii Mikołajczwka, Grabskiego i Stańczyka, zaś z kraju prof. Stanisława Kutrzeby, Zygmunta Żuławskiego, prof. Adama Krzyżanowskiego, dr Henryka Kołodziejskiego i Władysława Kiernika, zastępującego prezesa Witosa, który odmówił przybycia pod pretekstem choroby. Stary, doświadczony polityk wyczuwał, że z konferencji tej nie może wyjść nic dobrego i wolał w niej nie brać udziału. Ze strony przeciwnej przybyli Bierut, Osóbka, Kowalski i Gomułka.

Gdy prasa reżymowa ogłosiła ten skład krajowej delegacji, serca w nas upadły. Prócz Żuławskiego, wyglądała bardzo słabo. Nie zorientowani i nie mający nic wspólnego z konspiracją i polityką, Krzyżanowski i Kutrzeba, dalej Kołodziejski, nad którego dużą inteligencją panował niepodzielnie strach o własną skórę, wreszcie Kiernik z chorą ambicją, który będzie się przede wszystkim starał o odpowiednie stanowisko dla siebie, zgodnie z opinią sformułowaną o nim przez Witosa, że „gdyby zawakowało biskupstwo, to Kiernik też by zgłosił na nie swą kandydaturę”. Mikołajczyk mógł liczyć w delegacji krajowej tylko na Żuławskiego.

Pesymistyczne przewidywania potwierdził wkrótce człowiek z podziemia, utrzymujący kontakt z reżymowym ministerstwem spraw zagranicznych, dla celów informacyjnych: „W ministerstwie ogólna wesołość i zadowolenie. Przyszła z Moskwy depeza, że lubelscy delegaci przyrzekli Stańczykowi tekę w przyszłym rządzie i zgodził się popierać bez zastrzeżeń ich stanowisko”.

A więc zdrada na odcinku delegacji londyńskiej i to członka P.P.S.! Wyobrażałem sobie z przykrością, jakie wrażenie zrobi wiadomość o odstępcstwie Stańczyka na Tomaszu Arciszewskim, tej tak polskiej, pięknej i romantycznej postaci naszego życia publicznego.

Wszystko to było nic w porównaniu z wrażeniem, jakie zrobiło w kraju równoczesne rozpoczęcie się w Moskwie

procesu szesnastu (*). Jak to?! Więc z jednej strony **per-**traktuje się formalnie z Bierutem, a faktycznie z **Sowie-**tami, o utworzenie rządu jedności narodowej, a **równocześ-**nie te same Sowiety sądzą członków konstytucyjnego, istniejącego rządu, którzy są więcej od wszystkich innych powołani, by znaleźć się w nowym?! Życie zdystansowało tu najbujniejszą wyobraźnię i oczom zdumionego kraju ukazało dramat, którego akcję i aktorów dopiero ostatecznie oceni historia. Dziś na to jeszcze zawcześnie. **Dramat trwa,** kurtyna jeszcze nie zapadła.

Posypały się w podziemiu oskarżenia na Mikołajczyka, że nie powinien był siadać do stołu obrad, dopóki nie zwolniono aresztowanych. Nie brakło głosów przeciwnych, twierdzących, że „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą”. Jak tę sprawę oceni potomność? Gdyby kosztem poświęcenia szesnastu, udało się Mikołajczykowi uratować coś z polskiej niepodległości, historia może rozstrzygnęłaby ten spór na jego korzyść. Ponieważ wypadki potoczyły się w przeciwnym kierunku, można mieć co do tego wątpliwości. W każdym razie „wióry”, z wyrokami w kieszeni, powędrowały z powrotem za kraty, a nowy rząd 27 czerwca 1945 roku wylądował na Okęciu w Warszawie.

Pożegnanie z podziemiem.

Na tenże sam dzień 27 czerwca 1945 roku zostało zwołane do Krakowa posiedzenie R.J.N. Miałem na nim ustąpić definitywnie, mimo, że depesza rządu przyjmująca dymisję i ewentualnie wyznaczająca następcę, jeszcze nie nadeszła. Zdecydowałem się tak postąpić, aby uniemożliwić Józefowi Niećce likwidację Delegatury, co łatwo mogłoby mu się udać, gdybym nadal pozostał w podziemiu wtedy kiedy „Trójkąt” po przyjeździe Miłojajczyka się ujawni. Byliśmy za silnie między sobą powiązani, by taki stan mógł się bezkarnie utrzymać. Rzecz oczywista, ujawnienie się w charakterze Delegata Rządu tym bardziej, bo automatycznie, groziło likwidacją Delegatury. Aby uniknąć

(*) Do aresztowanych w dniach 27 i 28 marca 1945 roku piętnastu osób dołączono szesnastą, aresztowaną wcześniej.

tych dwóch ewentualności, postanowiłem złożyć swoje funkcje wcześniej i oderwać się od podziemia.

Wyjechałem wcześniej rano z Warszawy samochodem z konspiracji, w towarzystwie Zosi, której chciałem dać możliwość odetchnięcia innym powietrzem i odwiedzenia Krakowa, w którym nie była tyle lat. Dzień był wyjątkowo pogodny i słoneczny i podróż samochodem prawdziwą rozkoszą. Rozglądaliśmy się po polach i lasach radzi, że widzimy nareszcie coś więcej, niż Leśną Podkowę i cztery ściany naszych żywopłotów. Zatrzymaliśmy się na obiad w Kielcach i później popędziliśmy dalej. Do Krakowa dojechaliśmy pod wieczór 26 czerwca 1945 i zostaliśmy ulokowani w prywatnym mieszkaniu u miłej, starszej pani.

Następnego dnia poszedłem na posiedzenie, a Zosia oglądać Wawel i miasto. W konspiracyjnym lokalu te same dobrze znane, przyjazne twarze. Dominował nastrój oczekiwania i pewnej nadziei. Przewidywało się walkę z komunistami, ale raczej w złagodzonej formie. Spodziewano się, że kompromis, do jakiego doszło w Moskwie, doprowadzi do kompromisu także w kraju. Grupa wicepremiera Mikołajczyka w rządzie będzie miała „potężne poparcie wielkich mocarstw zachodnich”, które dopilnują wolnych wyborów. Widać w tym wszystkim pewne możliwości.

Co do podziemia przeważało zdanie, że należy je zlikwidować i przejść do legalnego i jawnego działania politycznego. Podzielałem tę opinię, bo chociaż nie malowałem sobie zbyt różowo przyszłości i nie wykluczałem potrzeby nowej konspiracji, to jednak uważałem, że dotychczasowe jej formy są przestarzałe, zarówno co do strony organizacyjnej, jak i metod działania, a poza tym całkowicie rozpracowane najpierw w podziemiu przez komórki wywiadowcze P.P.R. i N.K.W.D., a obecnie przez Bezpiekę.

I znów, według ustalonego porządku, referowałem przed Radą sytuację międzynarodową i wewnętrzną, składałem sprawozdanie organizacyjne, tym razem ostatnie, odczytałem teksty depeš itd. Wszyscy słuchali wyjątkowo uważnie, z domieszką pewnego smutku i może odrobiną zazdrości, że oto odchodzi do innego życia jeden z nas, a my musimy trwać nadal w dawnym, aż nie rozwiążą się istniejące trudności. Sprawozdanie zostało przyjęte i nadeszła

chwila złożenia funkcji Delegata i pożegnania się z R.J.N. Ponieważ ówczesny przewodniczący Rady, Jerzy Braun, przypomniał, że moi dwaj zastępcy zostali wyznaczeni tylko na wypadek aresztowania, który nie zaszedł, więc, na życzenie Rady złożyłem funkcje Delegata w jego ręce, jako jej przewodniczącego. Braun w kilku zdaniach podziękował mi za współpracę i obaj, naprawdę wzruszeni, rzuciliśmy się sobie w objęcia, całując się serdecznie. Z mgiełką na oczach ścisnąłem wyciągnięte do mnie ręce i czując złe wróżący ucisk w gardle, wybiegłem szybko za drzwi.

W następnych dniach R.J.N., kontynuując w dalszym ciągu swą sesję, postanowiła rozwiązać Delegaturę Rządu oraz R.J.N. i wydała swą ostatnią odezwę „Do Narodu Polskiego”, z 1 lipca 1945, którą już uprzednio cytowałem. Dla likwidacji spraw bieżących i agend Delegatury została wyłoniona kilkusobowa komisja, która w krótkim czasie doprowadziła swe prace do końca i postawiła nad konspiracją z lat 1939-1945 nie tyle krzyżyk, ile krzyż z cieniową koroną.

Z niedobitków wojennego podziemia, z terroru i prześladowań nowych władców i z wiecznie żywego, niepokonanego polskiego ducha, zaczęło się rodzić nowe podziemie, które trwa do dziś dnia i mam przekonanie będzie trwało tak długo, dopóki, mówiąc słowami partyzanta polskiego, spotkanego w roku 1946 na szosie w lasach koło Połtuska, „ostatni sowiecki żołnierz Polski nie opuści”.

XXIII.

POBYT W BEZPIECE

Aresztowani.

Z posiedzenia wyszedłem w złym nastroju. Jeszcze jeden rozdział życia zamknięty, a perspektywy nowego niezbyt różowe. Nie miałem co do tego większych złudzeń. Myśl wracała do tylko co przeżytych chwil. Smutne twarze towarzyszy kilkuletniej walki i pracy, pożegnalne słowa, uściski, wszystko to sprawiło, że do mieszkania, gdzie czekała Zosia, wróciłem zupełnie rozstrojony.

Nazajutrz rano mieliśmy wracać do Warszawy, więc wybraliśmy się jeszcze na wieczorną wólczugę po Krakowie, by nasycić oczy jego urokiem przed powrotem do ruin Warszawy. Do domu wróciliśmy dość późno. Było to w nocy z 28 na 29 czerwca 1945 roku.

Już byliśmy w łózkach i zasypialiśmy, gdy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Otrzeźwiałem momentalnie, Zosia również i cali zamieniliśmy się w słuch. Złe przecucie ścisnęło mi serce. Spojrzałem na Zosię. Ona odczuła to samo. Po chwili usłyszałem na korytarzu głos właścicielki mieszkania, rozmawiającej z kimś, trzask otwieranych drzwi i jacyś ludzie weszli do środka. Teraz z kolei zapukano do naszych drzwi i gospodyni, wsunawszy głowę, zawiadomiła, że to nic ważnego, tylko sprawdzanie dokumentów. Głowa zniknęła i do pokoju weszło trzech cywilów, na czele z wysokim, młodym i przystojnym blondynem, ubranym w letni gumowy, przybrudzony płaszcz. Jego towarzysze trzymali w pogotowiu pistolety maszynowe.

Blondyn zbliżył się do łóżka, zapytał o nazwiska i poprosił o dokumenty. Te były w zupełnym porządku, więc wręczyłem je z dużą pewnością siebie. Byłem jednak daleki od tego, by przypuszczać, że chodzi tylko o ich kontrolę. Czekałem na dalszy ciąg. Blondyn przysiadł na krawędzi łóżka i nawet dość uprzejmie zaczął wypytywać o cel przyjazdu do Krakowa. Recytowałem spokojnie, leżąc w łóżku, starannie na taki wypadek przygotowane odpowiedzi. Blondyn słuchał, oglądał nasze Kennkarty, kręcił głową, w końcu westchnął i stwierdził z ubolewaniem, że sprawa wymaga zbadania, wobec czego musimy się ubrać i pójść z nim na policję. Teraz skinieniem wyprawił pozostałych na korytarz, a sam odwrócił się do nas tyłem.

Ubieraliśmy się się machinalnie, wymieniając ukradkiem spojrzenia, które mówiły krótko: „kaput”. Szok był za nagły i za silny, by można było myśleć. Byliśmy aresztowani, ale świadomość tego pozostawała jeszcze daleko w tyle. Niespodzianie napłynęła mi do gardła fala wściekłości i zrobiłem głośną uwagę, że obecne czasy nie różnią się niczym od hitlerowskich, kiedy Gestapo budziło ludzi po nocy i porywało ich. Blondyn zdawał się nie zwracać na to obraźliwe porównanie żadnej uwagi. Gdy byliśmy ubrani, przeprowadził jeszcze z przywołanymi z powrotem do pokoju cywilami dokładną rewizję. Po pół godzinie opuściliśmy mieszkanie i pomaszerowaliśmy pieszo po pustych ulicach, otoczeni przez grupę ludzi z pistoletami maszynowymi. Paru ich czekało przed domem, który widocznie został z góry obstawiony. Droga trwała bardzo krótko, gdyż okazało się, że zostaliśmy umieszczeni w domu odległym tylko o jakieś dwieście metrów od wojewódzkiego urzędu bezpieczeństwa.

Gdy wkroczyliśmy do jaskrawo oświetlonego budynku, pełnego uzbrojonych ludzi, nim mogłem się zorientować, oddzielono ode mnie Zosię tak szybko, że nie zdążyłem jej nawet powiedzieć do widzenia. Teraz z kolei wprowadzono mnie do biurowego pokoju, w którym za biurkiem siedziało dwóch młodych ludzi, jeden cywil, drugi w mundurze porucznika. Blondyn i jego towarzysze zniknęli bez śladu.

Rozpoczęło się parogodzinne badanie, w czasie którego młodzieniec w cywili okazał się krzykliwym pół-inteligen-

tem, zaś mundurowy tępym stupajką. Nie umieli pytać i, mimo że szok jeszcze trwał, panowałem nad sytuacją całkowicie. Żądali podania prawdziwego nazwiska, twierdząc, że Kennkarta, wystawiona na nazwisko Bujnicki nie jest prawdziwa. Robili aluzje, że wiedzą kim jestem, że nie ma sensu cośkolwiek ukrywać i stosowali tym podobne chwytły.

W czasie badań dokonało się we mnie coś w rodzaju pewnego „rozdwojenia jaźni”. Jeden „ja” odpowiadał na pytania, drugi „ja” kontrolował pierwszego, podszeptował rady, ganił lub chwalił, a nawet starał się przewidzieć przyszłe pytania. Ta współpraca obu „ja” trwała przez cały czas pobytu w więzieniu.

Po paru godzinach powtarzania tych samych odpowiedzi, a mianowicie, że jestem Bujnicki, że mieszkam z żoną w Leśnej Podkowie, że jestem tam zameldowany (oto dowód!), że przyjechałem do Krakowa, bo chciałem się tu osiedlić, że nie mam tutaj żadnych znajomych itd., zrezygnowali z dalszych badań. Nawet najdrażliwszy punkt, jak dostałem pokój w prywatnym mieszkaniu, udało się wyjaśnić, podając fikcyjne nazwisko, pod jakim człowiek z podziemia, który to załatwiał, był znany właścicielce mieszkania. Mogli go pod tym nazwiskiem szukać do sądnego dnia.

Zostałem w pokoju pod strażą milczącego wartownika z pistoletem w ręku. Nadszedł czas, by pomyśleć nad sytuacją i doprowadzić się do jakiejś takiej równowagi. Rozłożyłem więc płaszcz na podłodze i udając, że chcę spać, położyłem się na nim.

Obydwa „ja” natychmiast przystąpiły do dyskusji. Pierwszy postawił pytanie: „Czy wiedzą kim jestem?” Drugi odpowiedział: „Obstawienie domu wskazuje, że przyszli na upatrzonego, właśnie po ciebie. Potwierdzają to aluzje młokosów z U.B.”. Pierwszy: „Tak, to racja. Ale dlaczego w takim razie nie powiedzieli od razu kim jestem?” Drugi: „To są już jakieś ich chwytły, których nie znasz”. Pierwszy: „Niech i tak będzie. Ale teraz kwestia, czy się przyznać do funkcji w podziemiu i nazwiska, jeśli się zapytają wyraźnie, czy nie?” Drugi: „Ja nie jestem wcale nieomylny i nie wykluczam zupełne tego, że nie

wiedzą dokładnie, kim jesteś. Toteż radzę nie przyznawać się tak długo, aż oni pierwsi tego nie powiedzą. Jeśli jednak powiedzą, nie ma żadnego sensu się wypierać i nawet nie wypada. Nie wyglądałoby to poważnie". Pierwszy: „Jeśli wiedzą, czy są jakieś szanse na uratowanie?" Drugi: „Zadnych. Pamiętaj o procesie szesnastu. Wywiozą do Rosji i tam koniec. Zosi też dadzą parę lat. Nie miej żadnych złudzeń. Twoja przyszłość jest przesądzona i myśl tylko o tym, by zachować się w sposób godny stanowiska na którym cię los postawił. Przede wszystkim nie sygnąć nikogo. Pamiętaj, że nie wolno wspomnieć o wczorajszym posiedzeniu Rady i dymisji". Pierwszy się z tym zgodził bez zastrzeżeń i na tym się „rozmowa" skończyła. Zapadłem w niespokojną drzemkę.

Pułkownik N.K.W.D. Woroncow.

Rano dostałem kubek kawy i kawałek chleba ze smalcem. Wyglądałem chciwie przez okno, żegnając się z widokiem drzew i trawników, gdy zjawił się znany mi już porucznik U.B. i poprowadził gdzieś długimi korytarzami. Raz schodziliśmy schodkami w dół, drugi raz pieliśmy się w górę. Orientowałem się, że weszliśmy w skrzydło gmachu U.B. W końcu drzwi się otworzyły i zobaczyłem młodzieńca, który nas wczoraj aresztował... w mundurze kapitana N.K.W.D. Stał za biurkiem obok mężczyzny lat około 50, w mundurze pułkownika N.K.W.D. Pułkownik ręką wskazał mi krzesło, mówiąc równocześnie po rosyjsku: „Dzień dobry, panie Delegacie Zieliński. Proszę siadać". Odpowiedziałem uprzejmie: „Dzień dobry, panie pułkowniku". „Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem pułkownik Woroncow. A jak pana nazwisko?" Odwzajemniłem się bez chwili wahania: „Moje nazwisko Stefan Korboński". Ubeckiem wstrząsnęło, jakby po nim przebiegł prąd elektryczny. Ten widać jeszcze nie wiedział, kim jestem. Za to pułkownik wyraźnie się ucieszył: „A to bardzo dobrze, tak właśnie trzeba, panie premierze. To nam bardzo sprawę ułatwi". — „Nie jestem premierem, a tylko pełniącym obowiązki Delegata Rządu, który jest w waszym więzieniu", sprostowałem. Pułkownik zaoponował: „Niech pan nie będzie taki skromny, my wiemy bardzo dobrze, kim jest De-

legat Rządu. A i o panu wiemy dość dużo, no i szukaliśmy pana też już parę miesięcy. A teraz, dopiero tutaj przyszło zrobić znajomość". W tym miejscu, kręcący się niespokojnie Ubek wtrącił: „A dlaczego pan nie powiedział mi tego wczoraj?” Ulżyłem sobie: „Jest pan za młody, by słuchać takich zeznań”. Ubek chciał jeszcze coś powiedzieć, ale pułkownik uciszył go spojrzeniem, w którym była wyraźna nagana i pytał dalej: „Czy pan mówi po rosyjsku?” — „Słabo, ale rozumiem dobrze”. Pułkownik znów się ucieszył: „A to właśnie tak, jak ze mną! Słabo mówię po polsku, ale dobrze rozumiem. Proponuję więc, że ja będę mówił po rosyjsku, a pan po polsku”.

W ten sposób rozpoczęło się badanie, które trwało kilka godzin. Pułkownik, z dużą znajomością rzeczy, pytał o przeszłość, o akcję Walki Cywilnej, o Powstanie, o odezwy, jakie podpisałem w charakterze Delegata Rządu, nawet mimochodem zapytał, jak się miewa pułkownik Rzepecki.

W trakcie badania poprosiłem o przyprowadzenie Zosi. Pułkownik dał znak kapitanowi i za chwilę do pokoju weszła blada, ale bardzo opanowana Zosia, a z nią inny pułkownik N.K.W.D. Jasne było, że ją badali tuż obok. Zosia patrzyła na mnie pytająco. Całe życie było w tym spojrzeniu. Poinformowałem ją lakonicznie: „Panowie wiedzą, kim jestem. Nie ma sensu się zapierać”. A teraz, spojrzawszy na nią znacząco, dodałem: „Wiedzą, że pełnię funkcje Delegata”. W jakikolwiek sposób chciałem dać poznać Zosi, że nie wiedzą, iż bezpośrednio sam kieruję łącznością radiową, o której Woroncow nie wspominał ani słowem. Zosia przyjęła moje oświadczenie spokojnie i zaraz ją wyprowadzili.

Jak się później okazało, odmawiała ona uporczywie przyznania się kim jest, tak że badający już zaczęli tracić cierpliwość. Moje spojrzenie i dodatkowe słowa zrozumiała doskonale.

Po zwolnieniu okazało się że droga, którą obrałem, była słuszna. Wbrew początkowym moim przypuszczeniom, wiadomość o aresztowaniu rozeszła się po Krakowie natychmiast i dotarła do Zygmunta Żuławskiego w tym czasie, kiedy mnie badał Woroncow. Żuławski zaraz zawiadomił o tym Mikołajczyka, który właśnie przyjechał do

Krakowa, do Wincentego Witosa, a Mikołajczyk z miejsca rozpoczął starania o moje zwolnienie, słusznie wymieniając prawdziwe nazwisko i funkcję w podziemiu. W toku dalszych badań okazało się także, że N.K.W.D. miało poufną wiadomość, że przyjadę do Krakowa, że nawet agenci U.B. jechali w ślad za moim samochodem, tylko go zgubili przy wjeździe do miasta, a wreszcie, że we wszystkich domach, w pewnym promieniu od gmachu U.B., są ulokowani konfidenci i taki właśnie doniósł, że tak a tak wyglądająca para mieszka już dwa dni w jego domu bez meldowania. W ten sposób zgubiony ślad schwycili z powrotem. Moje własne późniejsze badania wykazały, że nici, prowadzące do mego aresztowania, szły przez... grupę Bolesława Piaseckiego. To samo, jeśli chodzi o znacznie późniejsze aresztowanie płk. Radosława. Niech chociaż ślad tego pozostanie w moich wspomnieniach.

Teraz padło pytanie, na które od dawna czekałem: „Po co pan przyjechał do Krakowa?” Odparłem bez zająknięcia: „Na spotkanie z Mikołajczykiem. Byłem przekonany, że najpierw będzie się chciał spotkać z Prezesem Witossem i z Moskwy przyleci prosto do Krakowa, wobec czego z góry przyjechałem tutaj, by się z nim natychmiast zobaczyć”. To pułkownika zaskoczyło, gdyż miało pewne cechy prawdopodobieństwa. Ale nie zrezygnował z podejrzeń: „My mamy inne wiadomości o celu pańskiego przyjazdu. Pan tu przybył na spotkanie z ludźmi z podziemia”. Teraz trzeba było okazać spokój i stanowczość. Ani kroku dalej, bo grozi wsypa. „To nieprawda. Jakie spotkania i rozmowy, skoro z chwilą przyjazdu Mikołajczyka nasze stronnictwo rozpoczyna legalną działalność? Nie widziałem się tutaj z nikim. Oglądałem z żoną zabytki, chodziliśmy do restauracji, do kina i to wszystko”. Pułkownik Woroncow kręcił głową z niewiarą, ale powziął jakąś decyzję, gdyż przerwał badanie słowami: „Na dziś skończymy”.

Zaprowadzono mnie z powrotem, ale już do innego pokoju-celi, w którym było łóżko, stół i dwa krzesła. Pod drzwiami, na korytarzu, stała warta. Zacząłem chodzić po pokoju w tę i z powrotem i analizować przebieg pierwszego badania. Nie wypadło źle, chociaż sytuacja na dalszą metę wyglądała beznadziejnie. Przyszła jednak dziwna

reakcja, jak gdyby potwierdzenie zasady, że niepewność losu może być czasami gorsza od świadomości złego losu. Sprowadzało się to do tego, że się uspokoiłem i opanowałem. Kismet! Martwienie się nic nie pomoże. Perspektywa jasna jak słońce, chociaż ciemna jak noc. Dręczyła tylko myśl, jak ratować Zosię, która miała jednak pewną szansę.

Pod wieczór jakaś kobieta przyniosła mi kolację. Obejrzawszy się na zamknięte drzwi, szepnęła: „Ja jestem też więzień. Zniosłam kolację pana żonie i ta mi powiedziała, że jeśli pana zobaczę, to mam od niej pozdrowić”. Przyszła mi do głowy pewna myśl: „A jutro wieczór, też pani jej zanieś jedzenie?” — „Tak”. — „A może pani zabrać dla niej gryps?” — „Mogę”. — „To pani dam jutro w południe”.

Natychmiast zasiadłem do spisywania moich zeznań. Jeśli kobieta jest podstawiona przez U.B., to co najwyżej Zosia grypsu nie dostanie. Szkoda stąd żadna nie może powstać, jeśli przejmą tylko streszczenie tego, co powiedziałem.

Gdy tak pisałem zawzięcie, zwróciła moją uwagę rozmowa pod drzwiami z wartownikiem. Nadstawiłem ucha i podchwyciłem w języku rosyjskim: „Gdyby próbował uciekać, nie zabijaj. Pamiętaj, nie wolno zabijać. Strzelaj po nogach”.

Z takim „dobranoc” położyłem się na łóżku i zasnąłem.

Nocna wizyta.

Na drugi dzień koło południa, gryps pisany drobnym maczkiem był gotów. Gdy kobieta przyniosła obiad, zdejmując z tacy chleb i zupę, położyłem zwitek i wskazałem go oczyma. Zerknęła na drzwi i schowała go za dekollet. Po paru godzinach, razem z kolacją przyniosła kilka słów od Zosi. Odetchnąłem z ulgą. Gryps otrzymała. Łączność z Zosią została nawiązana.

Coraz bardziej pogodzony z losem, położyłem się spać. W ciągu całego dnia nie wezwano mnie na badania i dało mi to wiele do myślenia. Doszedłem do wniosku, że naradzają się z Warszawą, a może z Moskwą. W nocy

drzwi skrzypnęły i w szparze ukazała się czyjaś twarz. Natychmiast otrzeźwiony, patrzyłem bez słowa w cudze oczy. Twarz spostrzegła, że nie śpię, i za chwilę wsunęła się do mego pokoju postać mężczyzny. Ktoś, kogo w mych wspomnieniach nazwałem Konradem (Wallenrodem), przysiadł na łóżku i zaczął gorączkowo szeptać: „Co za nieszczęście, że pana schwyтали! Boże, co za nieszczęście! Jankowski skazany na osiem lat, a teraz pan!” Ja byłem dość nieufny: „Kto pan jest i po co pan tu przyszedł?”

I rozpoczęła się jedna z najdziwniejszych rozmów, jaką prowadziłem w swym życiu. Ciemny pokój, oświetlony tylko blaskiem, bijącym z korytarza przez oszklone drzwi, ja leżący na łóżku, a obok spowiadający się człowiek. Konrad był ubekiem, byłym partyzantem, który dostał się do A.L.'u tak jak wielu innych, to jest przyłączył się do pierwszej uzbrojonej grupy, jaką spotkał, by walczyć z Niemcami. Już w partyzantce zaczęły mu się otwierać oczy, ale otwierały się na wszystko, a więc i na to, że ludzie, podający w wątpliwość zachowanie Rosji wobec Polski, czy lekceważący wykłady o komunizmie, ginęli po pewnym czasie bez śladu. Zaciął się w sobie i milczał, jak grób. Uznano go za swojego, stał się członkiem partii, przydzielono go jako zaufanego do U.B. Ale nie może już dłużej wytrzymać i palnie sobie chyba w łeb. Tu rządzą wszystkim Moskale i nikt z Polaków nie ma nic do gadania. Nawet ubecy, komuniści z przekonania, przykro to odczuwają, ale każdy to gryzie w sobie, bo inaczej śmierć.

Pierwszy „ja” rozmawiał z nim parę godzin, drugi rozmyślał nad tym, czy można ubekowi zaufać i doszedł do wniosku, że tak. Taka szczerłość biła z każdego jego słowa, tak proste i przekonywujące było to co mówił i tyle w tym było prawdziwego cierpienia, że intuicja rozstrzygnęła na jego korzyść. Postawiłem wszystko na jedną kartę i zapytałem: „Może pan zanieść gryps na miasto?” — „Mogę bardzo łatwo”. Zesunąłem się z łóżka i w świetle z korytarza skreśliłem na skrawku papieru: „Kochani. Jestem aresztowany wraz z żoną. Nie sypnąłem ani ludzi ani adresów i nie sypnę. Bądźcie spokojni”.

Konrad wziął paperek, szepnął dobranoc i zniknął tak jak przyszedł.

Trzeci dzień.

Zobaczyłem go znów w nocy. Wsunął się jak cień, znów przysiadł na łóżku i szepnął: „Kartkę zaniósłem. Ktoś mi otworzył drzwi i przestraszył się munduru. Położyłem kartkę na jakimś stoliku i wyszedłem”. Podziękowałem gorąco i zapytałem, czy wie coś w mojej sprawie. Nachylił się do samego ucha: „Pojutrze wyślą was ciężarówką do ministerstwa bezpieczeństwa, do Warszawy. Może to dla was lepiej. Jeśli ja i mój przyjaciel będziemy prowadzili konwój, wystrzelamy resztę i uciekniemy do lasu”. Popatrzyłem na niego zdumiony. Z oczu biła mu zimna determinacja, gdy mnie pouczał: „W konwoju niech pan uważa na mnie. Będę strzelał do najbliższego człowieka koło pana. Niech pan łapie zaraz za jego pistolet i bije do innych”.

Gdy wyszedł, popadłem w rozterkę: „Patriota, czy provokator? Jak przechodzi przez wartę, która stoi na korytarzu? Może to jest stary trick, by mnie w czasie drogi zastrzelić przy próbie ucieczki?” Zasnąłem, nie mogąc się zdecydować, ani na jedno, ani na drugie. Postanowiłem jednak trzymać się na wodzy i nie dopuścić do marzeń o ucieczce. W dzień nie chciało mi się po prostu wierzyć, że Konrad w ogóle istnieje.

Transport do Warszawy.

Następnego dnia zaprowadzono mnie znów do płk. Woroncowa. Rozmowa była krótka, pułkownik sztywny i formalny. Oznajmił mi lakonicznie ważną decyzję: *Wasze dzieło dla nas nie interesno. My was zdajom waszemu polskomu* (tu się pułkownik uśmiechnął sardonicznie) *ministru Radkiewiczzu*. (Pana sprawa nas nie interesuje. Oddajemy pana waszemu polskiemu ministrowi, Radkiewiczowi). Zapytał mnie jeszcze, czy mam jakie zażalenia, lub coś do powiedzenia. Usłyszawszy, że nie, życzył ironicznie „szczęśliwej drogi”, po czym gestem nakazał straży, by mnie wyprowadziła.

Wracając pogrążyłem się w kalkulacjach. Sprawa, oglądana ze wszystkich stron, przedstawiała się trochę lepiej.

Trzeba oceniać sytuację w ten sposób, że nas nie wysła do Rosji, a to już duże polepszenie w naszym losie. Zacząłem się domyślać, że proces szesnastu dał Sowiетom wszystko, czego pragnęli i nie było sensu powtarzać go i to w miniaturze. Poza tym, informacje nocnego gościa zaczęły się sprawdzać. Oby reszta także się sprawdziła! Tu drugi „ja” wtrącił swoje „nie” i doradził, by myśleć, co może się zdarzyć w ministerstwie bezpieczeństwa, a nie o ratunku. Ucieczka i wolność, to byłoby już za dobrze!

Piątego dnia, licząc od aresztowania, wyprowadzono mnie rano przed budynek Bezpieki i wsadzono do krytej ciężarówki, gdzie już na słomie siedziała Zosia i jakiś młody, nieznajomy człowiek, który w ciągu drogi zdążył nam szepnąć, że się nazywa Korwin-Piotrowski. Później go podobno rozstrzelano. Razem z nami wszedł sierżant i trzech żołnierzy z pistoletami maszynowymi. Serce we mnie upadło. Konrada w konwoju nie było. Jak to dobrze, że nie pozwoliłem nadziei wyrósć za wysoko. Transportem dowodził kapitan U.B., który najsurowiej zakazał nam rozmowy ze sobą i polecił sierżantowi, by tego pilnował. Wszedł wreszcie do szoferki i ruszyliśmy.

Przysunąłem się jak najbliżej Zosi rad bardzo, że jesteśmy razem. Mineliśmy szybko ulice Krakowa, a później wjechaliśmy na autostradę. Starąłem się coś zobaczyć, ale przez tył ciężarówki widać było tylko wierzchołki kamienic, a później niebo. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale udało mi się wsunąć Zosi do ręki z góry przygotowany, obszerny gryps z dalszymi wskazówkami, czego się trzymać. Odczytała go sobie później w Warszawie. Zatrzymaliśmy się po drodze na pół godziny w Częstochowie, dobrze mi znanej z czasów uczniowskich, a potem pognaliśmy dalej. Pod wieczór wjechaliśmy na przedmieścia Warszawy, a po pół godziny stanęliśmy przed budynkiem ministerstwa bezpieczeństwa na Pradze, przy ulicy Brukowej 6.

Pierwsze badanie w Warszawie.

Wprowadzono nas, już pod nową strażą, na trzecie piętro i tam staliśmy przez jakiś czas na korytarzu pełnym ubeków, którzy nam się ciekawie przyglądali. Widać, że byliśmy sensacją dnia. W pewnej chwili otworzyły się

drzwi i pod eskortą wyprowadzono z nich dobrze mi znanego człowieka z podziemia. Rzucił na mnie spojrzenie i stanął jak wryty. Rozpoznał mnie i przeraził się, widząc że jestem aresztowany. Ale ubek popchnął go z tyłu i poszli dalej. Znow z innych drzwi wyprowadzono jakąś kobietę. Gdy zaczęła schodzić po schodach, rozległ się przeraźliwy krzyk, bieganina i po chwili wnoszono ją zemdloną na piętro z powrotem. Przypomniała mi się zaraz moja wizyta w Gestapo, po aresztowaniu Rataja, no i także to, gdzie jesteśmy. Pewne zadowolenie na myśl, że jednak znow znaleźliśmy się w Warszawie, szybko zniknęło.

Teraz zjawił się na korytarzu wysoki oficer z oznakami kapitana, w rogatywce, nasuniętej głęboko na czoło, o twarzy śniadej i wpadniętych, płonących nieprzyjemnym ogniem oczach. Ten szybko nas rozdzielił i wzięwszy mnie za ramię, zaprowadził do jasno oświetlonego, małego pokoiku, pełnego oficerów Bezpieki. Było to coś w rodzaju wartowni, czy poczekalni i jak się okazało, miałem w niej spędzić parę tygodni. Młodzi ubecy przyglądali mi się z zaciekawieniem, szeptem wymieniając między sobą jakieś uwagi.

Po pół godzinie przyszedł znow kapitan i, zabrawszy mnie do swego gabinetu, rozpoczął badanie. W ciągu następnych paru godzin przyjrzałem mu się dokładnie. Chuda, ascetyczna twarz, nos ostry, a przede wszystkim narzucające się w twarzy oczy o zimnym spojrzeniu. Los chciał, że musiałem patrzeć w nie przez wiele dni i nocy i dobrze pamiętam każdy ich wyraz. Ówczesny kapitan U.B., Różański, już pułkownik gdy uciekałem z kraju w 1947 roku, kierował wydziałem śledczym ministerstwa bezpieczeństwa i wyznaczenie go na referenta mojej sprawy mogłem uważać za wyróżnienie, nie wróżące nic dobrego. Był on bratem znanego i wpływowego komunisty, Jerzego Borejszy, a obu ich prawdziwe nazwisko brzmiało Goldberg.

Badanie rozpoczęło się od tych samych pytań, które mi postawiono w Krakowie. Gdy zrobiłem uwagę, że te sprawy już wyjaśniłem w czasie poprzednich zeznań, które zostały zaprotokółowane, Różański rzucił ostro: „Niech pan zapomni o wszystkim, co się działo w Krakowie. Im pan

mógł opowiadać różne hocki-klocki, ale nie mnie. Proszę odpowiadać na pytanie, po co pan pojechał do Krakowa i z kim pan się tam widział!" I teraz, przez wiele godzin, powtarzałem te same odpowiedzi, co w Krakowie, a Róžański kpił z nich w żywe oczy. Zauważyłem, że mam przed sobą inteligenta, świetnie zorientowanego w sprawach podziemia i posiadającego mnóstwo o nim wiadomości, którymi mnie często gęsto zaskakiwał. Jednak trwałem przy pierwszej wersji i nie zmieniłem ani na jotę poprzednich zeznań. Ta część badania została zamknięta przez Róžańskiego ironiczną uwagą: „Rozumiem dobrze, że pan się nastawił na to, aby nikogo w Krakowie nie sypnąć, ale na razie damy temu spokój, bo mamy ważniejszą sprawę do omówienia. Kiedy i gdzie widział pan ostatni raz pułkownika Rzepeckiego?" Odpowiedziałem, że przed miesiącem, w Alei Niepodległości. Róžański spojrział na mnie z aprobatą: „Jaki numer?" — „Na Polu Mokotowskim. Łączniczka spotykała mnie pod pomnikiem Saperas, a później prowadziła na Pole Mokotowskie, gdzie czekał Rzepecki". Róžański wpadł we wściekłość: „Niech pan nie opowiada głupstw! Spotykał się pan z nim..." — spojrział na kartkę i wyrecytował dokładnie kilka adresów lokali Rzepeckiego. To mnie ogromnie zaskoczyło. Nigdy nie myślałem, że dotarli tak blisko Rzepeckiego. Żle, bardzo źle!

Świtało już, gdy Róžański wyszedł wraz z protokolantem, a jego miejsce zajął porucznik U.B. Młody, krępy blondyn trzymał przed sobą kartkę z pytaniami, pozostawioną przez Róžańskiego, i zaczął badanie znów od pytania, po co pojechałem do Krakowa i z kim się tam widziałem. Był to kompletny osioł, jak przypuszczam pół-analfabeta, który miał widoczne trudności z pisaniem protokołu, do czego sam się zabrał. Postanowiłem sobie przy nim trochę odpocząć, rozumiejąc, że będę badany bez przerwy przez dłuższy czas. Odpowiadałem na wszystko, jak dotychczas, starając się jak najmniej męczyć. Byłem śpiący, ale do zupełnego wyczerpania fizycznego było jeszcze bardzo daleko. Co jakiś czas piłem wodę, której mi nie odmawiał i, by wyprostować nogi, chodziłem z porucznikiem do ustępu, trzeba czy nie trzeba. Niewiele mi dokuczał, miał widoczną tremę i sam był śpiący. Wydaje mi się, że jego jedynym zadaniem było nie pozwolić mi zasnąć.

Koło południa zjawił się wyświeżony Różański i rozpoczął znów od tego samego. Ale teraz już wprowadził nowy ton, gdyż groził: „Radzę panu powiedzieć całą prawdę i nie zmuszać mnie do stosowania środków, które nie takim, jak pan, otwierały usta”.

Obstawałem konsekwentnie przy poprzednich odpowiedziach, zdecydowany nie dać za żadną cenę ani nazwisk, ani adresów. Różański był wściekły, ale do realizowania gróźb się nie posunął i o ósmej wieczór, to jest po dwudziestu czterech godzinach, przerwał badanie.

Teraz już byłem piekielnie zmęczony, wobec czego, zjadłszy jakąś zupę i chleb, zapytałem obecnego w wartowni ubeka, gdzie mam spać. Pokazał mi biurko, więc zwinąwszy palto, podłożyłem je pod głowę i zasnąłem natychmiast na blacie, mimo iż mocna żarówka świeciła mi prosto w oczy. Ubek z pistoletem maszynowym na kolanach ulokował się tuż obok w fotelu. Ledwo zamknąłem oczy, gdy ktoś mnie zaczął szarpać za ramię. Nade mną stał Różański: „Niech pan wstaje. Porozmawiamy sobie trochę”. Podniosłem się bez słowa, zgrzytając zębami i za chwilę znów siedziałem przed Różańskim w jego gabinecie. Był tam zegar, więc obliczyłem, że jednak dał mi spać około dwóch godzin. Postanowiłem zamienić role z Różańskim i zagadnąłem go pierwszy: „Jak pan tak nie będzie sypiał po nocach, to długo pan nie pociągnie”. Trafiłem widocznie w czułe miejsce, bo Różański otarł twarz chustką i zaczął obszernie opowiadać ile to ma pracy i jak jest wyczerpany. Ostry ton gdzieś zniknął i zaczęła się raczej pogawędka. Powiedział mi, że mnie zna sprzed wojny, gdyż był aplikantem adwokackim w Warszawie, że miałem opinię dobrego demokraty, więc dziwi się, że zostałem w podziemiu, gdy demokracja doszła do władzy itp. brednie. Ton tego wszystkiego był jakiś fałszywie układny. Nie wracał do dawnych pytań, nie groził, słowem siedział przede mną zupełnie inny człowiek. Wkrótce jednak wyszło szydło z worka. Po dłuższym wywodzie na temat nowej Polski i jej perspektyw, Różański przeszedł do wyliczania wszystkich błędów podziemia wobec rządu komunistycznego i Sowietów i zakończył olśniewającą propozycją: „Powinien pan przyznać, że to był błąd z pana strony, że pan pozostał w podziemiu po oswobodzeniu i podpisać odpowied-

nie oświadczenie. Jeśli pan to robi, wyjdzie pan natychmiast na wolność, a co więcej otrzyma pan tak wysokie stanowisko, że ja w przyszłości będę stawał na baczność przed panem. Znam wszystkie plany co do pana osoby”.

Trudno byłoby opisać szczegóły dyskusji, jaka się na ten temat wywiązała. A i temat sam zbyt jest znany i, że tak powiem, oklepany. Potępianie własnych błędów należy do elementarza sowieckiego systemu łamania charakterów i zastosowano go właśnie wobec mnie. Odpowiedzi moje sprowadzały się do tego, że chociaż jestem zwykłym człowiekiem i nie czuję w sobie kwalifikacji na męczennika, to jednak nie chcę uratować się za cenę potępienia tego, co uważam za najbardziej wartościowe w moim życiu. **Wolę zostać w więzieniu, niż wyjść na wolność i nie śmieć spojrzeć ludziom prosto w oczy.**

Różański kręcił głową z dezaprobatą, cytując jako przykład sowieckich marszałków, między innymi Rokossowskiego, którzy siedzieli w więzieniu, przyznawali się do win, a dzisiaj są uwielbiani przez cały naród rosyjski. Wreszcie zniecierpliwiony, wygadał się nieprawdopodobnie, rzucając uwagę, która mi rozwiązała zagadkę, dlaczego właściwie jestem traktowany tak w rękawiczkach: „Gdyby pan był aresztowany parę miesięcy temu, to jabym się z panem tak nie cackał, ani pana nie namawiał na jakieś oświadczenia. Dostałby pan kulą w łeb, lub zgniłby pan w piwnicy. Pana szczęście, że został pan aresztowany zaraz po powstaniu Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Dzisiaj jest sielanka i próba współpracy i dlatego tak z panem rozmawiam! Gdyby nie to, to ho, ho!”

Tu Różański przeszył mnie swym sławnym spojrzeniem, jak dwoma sztyletami i wstał za biurka. Na dworze było już zupełnie widno.

Dalsze kuszenie.

Różański nękał mnie teraz dzień po dniu, noc po nocy. Sprawa obracała się obecnie już tylko około jednego tematu, a mianowicie, potępienia mojej podziemnej działalności pod okupacją sowiecką. Różański chwycił się coraz to innych środków nacisku, nie uciekając się jednak do tortur. Obudził mnie np. w środku nocy, zaprowadził do

siebie i kazał pokwitować odbiór formalnej decyzji o aresztowaniu wraz z zawiadomieniem o przeniesieniu do więzienia na Mokotowie, gdzie, jak twierdził, nie będzie tak wygodnie, jak w ministerstwie. Którejś nocy użył najmocniejszej groźby. Obudziwszy mnie znów z głębokiego snu na twardym biurku, odczytał mi sumaryczną listę oficerów i żołnierzy sowieckich oraz ubeków i milicjantów „zamordowanych przez reakcyjne podziemie za czasów sprawowania funkcji tak zwanego Delegata rządu londyńskiego przez Stefana Korbońskiego, pseudo Nowak lub Zieliński” i zapytał, czy uznaję swoją odpowiedzialność za śmierć około tysiąca pięciuset ludzi, gdyż taką cyfrą kończyło się zestawienie. Największa liczba rzekomo zabitych przypadała na województwo Białostockie. Wzruszywszy ramionami, odparłem, że bezpośrednio za to odpowiedzialności nie mogę ponosić, bo nie tylko że nie kazałem ich zabijać, ale przeciwnie, w odezwie z dnia 27 maja 1945 do oddziałów leśnych nakazałem zaprzestania walki. Jeśli jednak w czasie mego urzędowania padły jakieś ofiary, to co najwyżej można mówić o politycznej odpowiedzialności, a ta jest już bardzo skomplikowanym zagadnieniem. Różański z takim rozróżnieniem nie chciał się zgodzić, ale w końcu zaprotokołował moje słowa tak, jak je podyktowałem, i uroczyście oświadczył, że to również wystarcza, by mnie skazać na śmierć, wobec czego na tym przerywa na razie badania oraz śledztwo i przedkłada akta władzy wyższej do decyzji. Gdy to nie poskutkowało, na drugi dzień wrócił znów do badań i tym razem straszyl mnie losem Zosi, twierdząc, że ją gubię swoim uporem, a dałoby się ją uratować.

W przerwach między badaniami albo spałem na biurku, albo siedziałem na ławce obok zlewu, czytając Historię Powszechną Zakrzewskiego, która jakimś cudem znalazła się na wartowni. W dzień i w nocy siedział przy mnie oficer U.B. z pistoletem pod ręką. Czasami wieczorem, jak nie było badań i w budynku trochę było spokojniej, rozmawiałem z wartownikiem dla zabicia czasu. Niektórzy z nich byli dość rozmowni, a jeden wręcz nastawiony życzliwie. Temu powiedziałem kiedyś, że Sowiety przestały się interesować moją sprawą, bo nikogo z Rosjan od czasu przewiezienia mnie do Bezpieki w Warszawie nie widzia-

łem. Odpowiedź była dość nieoczekiwana: „Každy protokół, spisany z panem, idzie do sowieckiego doradcy, który tu siedzi na tym samym piętrze. On daje wskazówki i wszystkim kieruje, a nie Róžański”. Zapytałem go także przy okazji, co się stało Róžańskiemu w rękę, bo ma dłoń obandażowaną. Odpowiedział ze złością: „Czego mu nie wolno robić z panem, to sobie odbija na innych. Bił pięścią więźnia przy badaniu tak mocno, że sobie ją pokaleczył”.

Ten sam ubek, pilnując mnie w nocy, opowiadał historię, podobną do Konradowych. Tym wszystkim, którzy słusznie z oddalenia nie wyobrażają sobie jak Polak może służyć w Bezpiece, mogłyby one sporo wyjaśnić. Poza elitą U.B. w rodzaju Róžańskiego i nielicznych komunistów z przekonania lub cynicznych karierowiczów, niższe stopnie były obsadzone przez młodych, dwudziestoletnich chłopców dwóch kategorii. Jedni z nich stracili lub zagubili rodziców w Rosji, poszli do łagrów i więzień, a stamtąd za cenę wolności na przeszkolenie do policji. Zostali później przysłani do Polski już jako oficerowie U.B. i byli tak zrusyfikowani, że nieraz brakowało im polskich słów. Drugi byli to chłopcy, którzy przez przypadek poszli do Armii Ludowej i stamtąd zostali przydzieleni do policji bezpieczeństwa, o której nie mieli żadnego pojęcia. Gdy się zorientowali, było już za późno. Już wówczas usłyszałem popularne wśród ubeków powiedzenie: „Ze służby w Bezpiece można odejść tylko do grobu”. Ci wszyscy przeszli kilkumiesięczny kurs N.K.W.D. w Kałudze. Jeden z takich właśnie zapytał mnie kiedyś, odwróciwszy twarz do okna, bym jej nie mógł widzieć, co myślę o pakcie międzyaliamckim, dotyczącym pięćdziesięcioletniej okupacji Niemiec. Czy go rozumiem w ten sposób, że Niemcy będą okupowane przez pięćdziesiąt lat? Odpowiedziałem, że tak go trzeba pojmować. Reakcja ubeka była nieoczekiwana: „To przez pięćdziesiąt lat będziemy otoczeni przez Ruskich? To bardzo źle, bardzo źle...”

Dla niektórych czytelników, przyzwyczajonych do słuchania strasznych opowieści o Bezpiece, to, co piszę, może się wydawać ujęciem nieco sielankowym. Trzeba jednak pamiętać, że był to lipiec 1945 roku i policja bezpieczeństwa była dopiero w stadium organizowania się i selekcji. Poza tym był to okres, w którym komuniści mieli

jeszcze nadzieję na porozumienie z Witosem i Mikołajczykiem. Ci sami ubecy, którzy ze mną rozmawiali względnie szczerze, gdyby otrzymali rozkaz zamordowania mnie, wykonaliby go bez zmruczenia oka, tak jak jeden z nich przyznał mi się do postrzelenia uciekającego wyższego oficera A.K. W czasie jednego z badań, a właściwie nocnej dyskusji z Różańskim, kiedy zarzuciłem, że do Bezpieki nabrali morderców i rzeźmieszków, ten dorzucił jednym tchem: „I reakcjonistów. Właśnie sam brałem udział w rozstrzelaniu ośmiu takich opryszków, którzy się wkradli w nasze szeregi...” W roku 1946 miałem wiadomość, że z krakowskiej Bezpieki nie pozostał kamień na kamieniu. Wszyscy zostali albo poprzenoszeni, albo wręcz zaaresztowani i zgładzeni.

W ministerstwie panowała atmosfera gorączkowej pracy. Gmach i biura oświetlone przez całą noc. W dzień i w nocy ruch na korytarzach. Większość badań w nocy. Wszędzie uzbrojone w pistolety warty wewnętrzne, szczególnie gęsto rozstawione na klatkach schodowych i przy wejściu do budynku. Ruch samochodów przez całą dobę.

Młodzi oficerowie U.B. praktycznie byli na służbie przez dwadzieścia cztery godziny. Dopiero około ósmej wieczór niektórzy z nich dowiadawali się, że mogą iść spać do domu. Ciągłe ich szkolono i każdego dnia chodzili na wykłady. Terror wśród nich panował absolutny i nigdy żaden nie odważył się ze mną rozmawiać, gdy drugi był w pokoju. Tylko w pojedynkę i w czasie małego ruchu na korytarzach, a więc późnym wieczorem, puszczała się na rozmówki i nawet zwierzenia.

Podobnie było z Zosią, która przy jakiejś okazji wygadała się przed strażnikiem, że umie stawiać kabałę. Przyniósł jej karty, a później jeden po drugim prosili, by im wróżyła. Przy takich nawrotach do przeszłości, jak „...widzę pana dość dawno temu przy ciężkiej pracy”, ubecy potwierdzali: „a tak, byłem wówczas w łagrze, na północy...” Jeden z nich, opowiadając o swym ciężkim losie w Rosji, zdradził rzecz ogólnie w ministerstwie znaną, ale dla niej będącą prawdziwą niespodzianką: „Pani wie, nawet kapitan Różański był w łagrze i pracował przez rok w kopalni!”

„Od łągiernika do pułkownika” — byłby to ładny tytuł dla książki, gdyby ją kiedykolwiek Różański chciał napisać.

Widzenie z Mikołajczykiem.

Wieczorem wszedł kapitan i zaprowadził mnie do fryzjera, który ostrzygł mi włosy i ogolił wielodniowy zarost. W czasie tego chodziły mi po głowie różne myśli, między innymi, że według dobrych, przedwojennych obyczajów, skazańcowi przed śmiercią dają dobrze zjeść i wypić, a nie tylko mu podstrzygają włosy na szyi i golą brodę. Tymczasem dostałem dzisiaj tylko zwykłą kolację, bez żadnych dodatków. Kapitan, zapytany wprost o przyczynę tych zabiegów kosmetycznych, odpowiedział, że nie może nic powiedzieć i po opuszczeniu fryzjera poprowadził mnie do wyjścia na parterze, zamiast na piętro do wartowni. Zachodziłem w głowę, co to może być. Przy wyjściu stało piękne, nowe czarne auto amerykańskie, z gatunku tych, które nazywano „demokratkami”, a obok niego dwaj uzbrojeni ubecy. Kapitan otworzył drzwi i gestem zaprosił do środka. Wsiadłem z nim razem, dwaj pozostali również i ruszyliśmy. Z przodu widać było czerwone światelka auta, które nas poprzedzało, a z tyłu przez szybę świeciły reflektory drugiego. Jechałem w dobrej obsadzie. Ubecy milczeli jak zakłęci. Byłem niespokojny, ale to wszystko nie wyglądało na jazdę na plac straceń. Nie trwała ona zresztą długo, gdyż po kilkunastu minutach zatrzymaliśmy się przed jasno oświetlonym budynkiem na Pradze. Wysiedliśmy i otoczony wciąż zgrają ubeków, wkroczyłem na schody. Tutaj dopiero kapitan puścił farbę: „Idzie pan na spotkanie z premierem Mikołajczykiem”. Byłem fantastycznie zaskoczony. Najpierw jazda pięknym autem, później cały, nowy budynek, wszędzie jasne światło, czyste korytarze, a teraz spotkanie z człowiekiem, który przyjechał z wymarzonego wolnego świata. Czyżby to oznaczało wolność? Zapytałem więc przezornie ubeka: „Ale co po spotkaniu?” Rozkazy, jakie otrzymał, były dokładne: „Po widzeniu z powrotem do ministerstwa”.

Ale już drzwi się otworzyły i znalazłem się w dużym, pięknym pokoju z wielkim dywanem pośrodku, w objęciach

Pawła Siudaka, sekretarza Mikołajczyka. Ubecy zatrzymali się na korytarzu przy otwartych drzwiach, skąd widać było tylko ich ciekawe twarze i lufy pistoletów.

Z bocznych drzwi wyszedł Mikołajczyk, chwycił mnie za rękę i, widząc ubeków, wciągnął do swego gabinetu. Rozmawialiśmy dwie godziny. Byłem oszołomiony tą nagłą zmianą. Tam więzienie, a tu gabinet wicepremiera. Skok był dość nagły i nie byłem nań przygotowany. Nie starałem się Mikołajczyka pytać o jego plany. Wiedziałem, że wracam do więzienia, a tam czekał Różański. Poza tym odpowiedź na pierwsze pytanie, jakie zadałem, była dla mnie ciężkim ciosem, który mnie całkowicie zaabsorbował. Dowiedziałem się, że mój brat, Stanisław, został zabity w Londynie przez V-1. Nikt mi o tym dotychczas nie doniósł, więc wiadomość spadła nagle. Dopiero po zwolnieniu dowiedziałem się, że rząd zawiadomił o tym Delegata Jankowskiego, ale ten najsurowiej zakazał powtórzenia mi złej wieści: „Zieliński ma dosyć zmartwień i kłopotów, po co mu dodawać jeszcze jedno...”

Mikołajczyk niewiele mnie pocieszył, gdy powiedział, że na skutek jego starań Rada Ministrów powzięła uchwałę o uwolnieniu mnie z więzienia i za parę dni powinienem być wolny. Wróciłem do ministerstwa ogromnie przygnębiony. Położyłem się zaraz, swoim zwyczajem, na biurku, by wszystko przetrawić i przemyśleć. Ale zaledwie zamknąłem oczy, gdy zjawił się Różański: „Niech pan wstaje. Pogadamy sobie”.

Rozpoczęło się na nowo badanie na dobrze znane tematy. Różański nie chciał widocznie, aby wizyta u Mikołajczyka zawróciła mi w głowie i pragnął przywrócić mnie rzeczywistości. Tym razem jednak byłem wyjątkowo źle usposobiony do nocnych badań i powtórzyłem Różańskiemu smutną nowinę o śmierci brata, w przekonaniu, że na tę noc śledztwa zaniecha. Zareagował wyrażeniem współczucia, zadał kilka zdawkowych pytań o brata, a wreszcie wypuścił przez zęby pytanie, które od początku wisiało w powietrzu: „O czym pan rozmawiał z Mikołajczykiem?” Moje przypuszczenia były słuszne. Ten bydlak chciał natychmiast wiedzieć o tym, co mi Mikołajczyk powiedział i nawet nieszczęście, jakie na mnie spadło, nie powstrzymało go od tego. Wpadłem w wewnętrzną furię i, cokol-

wiek będzie, postanowiłem Różańskiego nastraszyć. Ze-
wnętrznie jednak panując nad sobą, zaimprovizowałem
z ogromną pewnością siebie: „Wychodzę za parę dni na
wolność, a wówczas zobaczymy... Dowiedziałem się, że
pod naciskiem aliantów nastąpi lada dzień przestawienie
się na ludowców i oddanie im władzy, a wtedy pogada-
my!” Tego rodzaju bzdurne powiedzonka i groźby płynęły
mi z ust przez dłuższy czas nieprzerwanym strumieniem.
Na Różańskim zrobiło to wrażenie i skutek był natychmia-
stowy. Zaskoczony ogromnie dziwną we mnie zmianą
i pewnością z jaką mówiłem, patrzył tylko i milczał. Gdy
skończyłem, zamknął zaraz badanie przypomnieniem: „A
pamięta pan, co panu mówiłem? Jeszcze będę stawał przed
panem na bacność”.

Wróciłem na swoje madejowe łóżko, ale pierwszy raz
od aresztowania nie zmrużyłem tej nocy oka ani przez
chwilę.

General N.K.W.D. Malinow.

Uchwała Rady Ministrów uchwała, a ja siedziałem
nadal i badania trwały nadal. Zjawiło się nowe żądanie,
a mianowicie, bym jako Delegat Rządu wydał odezwę do
podziemia, wzywającą do ujawnienia się wobec „władz
państwowych”, czyli w praktyce — Bezpieki. Odmawiałem
kategorycznie, twierdząc po pierwsze, że odezwa z więzie-
nia nie ma żadnej wartości, po drugie, że moje stronnictwo
się ujawniło i z tą chwilą nie mogę podjąć żadnego
kroku, bez porozumienia się z prezesem Wincentym Wito-
sem. Różański się wściekał, groził, namawiał, przekonywał,
ale nie zdało się to na nic. Było to nowe posunięcie prze-
ciw podziemiu, do którego nie mogłem dać się skłonić.
Nie można tego powiedzieć o później aresztowanych płk.
Radosławie i płk. Rzepeckim. Każdy z nich wydał z wię-
zienia odezwę o ujawnieniu. Poza przykrym faktem, że
ulegli przymusowi, osobiście oceniam te odezwy raczej po-
zytywnie. Podziemie wojenne było tak rozpracowane przez
wywiad komunistyczny, że powrót do normalnego życia
bez ujawnienia się był niemożliwy. Niezależnie od tego,
jakie będą tego skutki w przyszłości, dało ono ludziom
ujawnionym ładnych parę lat tej „wolności”, jaka jest moż-

liwa w obecnej Polsce. W każdym razie jest ona lepsza od więzienia czy łagru.

I znów zjawił się kapitan U.B., tym razem rano i znów zaprowadził do fryzjera, który mnie oporządził jak pana młodego do ślubu. Pomaszerowaliśmy tym razem korytarzami ministerstwa, prowadzeni przez Różańskiego i wkrótce stanąłem przed obliczem trzydziestoparoletniego blondyna, o suchej, szczupłej i nieprzyjemnej twarzy, siedzącego za wielkim biurkiem. W pokoju był również major U.B., ulokowany w krzesle obok blondyna. Rozejrzałem się dookoła. Gabinet miał fotele i dywany, czego nie było w pokoju Różańskiego, oceniłem więc na oko szarżę blondyna na pułkownika i nie omyliłem się. Przyprawiono mnie do pułkownika U.B., Romkowskiego, w 1947 już generała, a obok niego siedział major Czaplicki, zwany przez ludzi z podziemia „Akower” raz dlatego, że był żydowskiego pochodzenia i nazwisko Czaplicki było przybrane, a po drugie, że był w Bezpiece kierownikiem Wydziału likwidacji A.K.

Blondyn energicznym gestem wskazał mi fotel, Różańskiemu polecił pisać protokół, a sam przystąpił do badań. I znów to samo od Adama i Ewy. Powtarzałem machinalnie wyuczony na pamięć odpowiedzi, Różański z wyrazem znużenia na twarzy protokółował, Czaplicki słuchał. Ale Romkowski był bardziej agresywny niż Różański i atakował mnie ostro, jak gdyby uchwała o moim zwolnieniu zapadła na innej planecie. Żądał bezwzględnie wydania odezwy. Ja po starym trzymałem się stereotypowych już dla mnie odpowiedzi, zdecydowany nie płacić tej ceny za wolność.

W czasie tego słownego pojedynku otworzyły się cicho boczne drzwi i do gabinetu wszedł mężczyzna lat około pięćdziesięciu, w czarnym cywilnym ubraniu, z jakąś odznaką sowiecką w klapie. Wszyscy, prócz mnie, zerwali się z miejsc i przyjęli postawę na bacność. Nowoprzybyły skinął niedbale ręką, obecni usiedli i wrócili do badań. On sam, bez słowa przysiadł na poręczu nie zajętego fotelu i słuchał tak moich zeznań przez godzinę. Przyjrzałem mu się, choć końcem oka, gdyż siedział z boku, ale dość dokładnie. Włosy ciemne, twarz czerstwa „bez szczególnych znaków”, natomiast władcze spojrzenie i ogromna pewność siebie w najdrobniejszym ruchu. Widać było,

że jego obecność krępuje wszystkich i badanie kulało. Po godzinie wstał, wszyscy się zerwali, i wyszedł nie wypowiedziawszy do nikogo ani jednego słowa.

Odprowadzał mnie z powrotem najbardziej rozmowny z ubeków. Byłem ciekaw kim był niezajomy szatyn, więc go zapytałem o to. Ubek obejrzał się dookoła. Na korytarzu w pobliżu nie było nikogo. Zbliżył się do mnie i szepnął do ucha: „To największa figura w Bezpieczeństwie, generał N.K., W.D., który rozkazuje samemu ministrowi!”

Jak się później zorientowałem, los mnie zetknął z wielkorządcą Polski, szarą eminencją sowiecką, generałem N.K.W.D., znanym wtajemniczonym pod nazwiskiem Malinow. Czy to było jego prawdziwe nazwisko, Bóg raczy wiedzieć. Chodził tylko w cywilnym ubraniu, jeździł starym jeepem, nie bywał na żadnych uroczystościach ani przyjęciach, natomiast na poufnych zebraniach czwartkowych w mieszkaniu Gomułki, w Alei Szucha, on a nie kto inny dyktował Bierutowi, Bermanowi i całej górze, co mają robić.

Z Romkowskim, już generałem, zetknąłem się jeszcze w 1947 roku. W dniu 19 stycznia 1947 roku, mimo nieopisanych fałszerstw wyborczych, zostałem wybrany do sejmu, jako poseł miasta Warszawy. Ludność stolicy, jak i całego kraju, poszła masowo do urn wyborczych i głosowała, uważając wybory za ostatnią szansę, której nie należy tracić. Jako poseł wszedłem w skład komisji, która miała opracować nową ustawę amnestyjną dla antysowieckiego podziemia. Była ona pomyślana dość szeroko, ale zawierała jeden zasadniczy wyjątek, mianowicie nie obejmowała tych żołnierzy armii Żymierskiego, którzy zdezerterowali do lasu. Uważałem za swój obowiązek zajmowanie się tą sprawą, aby chronić wszystkich ludzi z podziemia przed więzieniem i łagrami. Toteż, hamując odrazę, wziąłem Romkowskiego na bok i przekonałem go, że jeśli kogokolwiek w lesie wyłączy się spod amnestii to tak, jakby się zostawiło narybek pod nową partyzantkę. Zgodził się po pewnej dyskusji i odpowiednia zmiana przeszła bez trudności. Wszyscy członkowie komisji, którzy dotychczas w nieprzyjemny i ostry sposób atakowali mój wniosek, usłyszawszy od Romkowskiego, że go uznaje za uzasadniony, natychmiast zmienili stanowisko i głosowali za nim.

W związku z tą ustawą wygłosiłem w sejmie jedyne moje przemówienie, w którym przede wszystkim żądałem natychmiastowego zwolnienia wszystkich aresztowanych członków podziemia. Gdy wszedłem na mównicę, sala z nagłą ucichła i w powietrzu dało się wyczuć napięcie i nastrój pewnej sensacji. Rozejrzałem się po sali. Na prawo ode mnie, w ławach rządowych, widniała w pierwszym rzędzie łysa głowa „premiera” Cyrankiewicza. Podniosłem oczy do góry. W łóżej majaczyła nalana twarz ambasadora Lebediewa. Sowieckie wydanie Repnina przyglądało mi się uważnie. Na galeriach pełno ubeków, przede mną w dole zimne i wrogie twarze Bermiana, Mazura, Chełchowskiego, Zambrowskiego i innych. Jedyne pod ławami rządowymi, w dole, znajome i przyjazne twarze posłów z P.S.L.

Zaatakowałem gwałtownie rząd. Zarzuciłem, że likwidując jedno podziemie, tworzy już drugie. Do tego ostatniego należą ci wszyscy, którzy przeszli przez więzienia, represje i terror Bezpieki, te setki tysięcy dobrych Polaków, których skreślono z list wyborczych, pod obelżywym pretekstem współpracy z Niemcami, ci wszyscy, których się nęka i prześladuje...

Sala wyła z wściekłości. Dwudziestu kilku posłów z P.S.L. biło oklaski. Widziałem tylko klaszczące dłonie, bo głos ginął w krzyku i hałasie. Przybliżywszy usta do mikrofonu i, górując nad wrzaskiem, wykrzyczałem przemówienie do końca.

Po mnie wszedł na trybunę reżymowy Cycero, Zambrowski i rozpoczął kontratak. Ktoś musiał zniwelować wrażenie, jakie pozostawiło moje przemówienie, usunięte zresztą w dwóch trzecich nawet ze stenogramu sejmowego. Po paru dniach doszła mnie z kół reżymowych opinia, że przemówieniem tym przypieczetowałem swój los.

Zwolnienie Zosi.

Zaprowadzono mnie w południe do pokoju Różańskiego. Ledwo ubek otworzył drzwi, gdy w siedzącej na krześle tyłem do mnie postaci kobiecej rozpoznałem Zosię. Różański zza biurka wskazywał mi drugie krzesło. Usiadłem i przyjrzałem się jej uważnie. Zbladła mocno i wychudła. Widać było na twarzy nocne badania i wszystkie niepo-

koje i zmartwienia. Ona ze swej strony przyglądała mi się również pilnie. Wymienialiśmy spojrzenia i uśmiechy, radowi, że się znów widzimy. Ciszę przerwał Różański, mówiąc bardzo uprzejmie: „Żona pana idzie na wolność i chciałem panu umożliwić spotkanie i pożegnanie”. Wytrzymał pewną pauzę i dokończył z przekąsem: „Nie jesteśmy znów takimi zwierzętami, za jakie nas macie. Teraz proszę się pożegnać i wróci pan do siebie”.

W tym momencie zadzwonił telefon. Różański skrzywił się, ale rzuciwszy groźnie: „Zabraniam teraz rozmawiać!” — chwycił słuchawkę. Olśniła mnie nagle myśl, że Zosia może wypełnić ważne zlecenie, które przez cały czas leżało mi na sercu. Nachyliłem się szybko do niej i całując w policzek, wyszeptalem wszystko do ucha. Skinieniem głowy potwierdziła, że rozumie. Gdy podniosłem wzrok na Różańskiego, ujrzałem uosobienie furii. Pięść wzniesiona do góry, oczy rzucały błyskawice. Ale usta jego w dalszym ciągu meldowały po rosyjsku tonem podwładnego, mówiącego do zwierzchnika, że „wiadomej osoby nie można jeszcze badać, bo rana jest ciężka i trzeba poczekać parę tygodni...”

Gdy położył słuchawkę, był błydy ze wściekłości: „Co pan powiedział pani do ucha?! Proszę powiedzieć natychmiast, bo jeśli nie, to pójdzie pan do ciemnicy, a pani wstrzymam zwolnienie!” Przettrzymałem pierwszą burzę i wyjaśniłem spokojnie, że żegnałem się tylko z Zosią i powiedziałem jej parę czułości, więc po co ten krzyk? Jednak uprzejmość Różańskiego zniknęła bez śladu i ledwo zdążyłem uściskać Zosię, tak szybko ubek zaciągnął mnie „do siebie”.

Rozmowa z ministrem Bezpieki, Radkiewiczem.

Tym razem wszystko wyglądało bardziej okazale, niż poprzednio. Nie tylko zostałem ostrzyżony i ogolony, ale nawet przyniesiono mi szczotki do ubrania i butów, bym się mógł doprowadzić do całkowitego porządku. Zapytałem ironicznie ubeków, czy to może bal dzisiaj w ministerstwie, ale zbyli mnie milczeniem. Teraz po kolei odwiedziłem w ich towarzystwie wszystkich starych znajomych,

a więc Różańskiego, który się do nas przyłączył i poprowadził do Romkowskiego. Ten także powiększył nasze grono i poprowadził dalej, tak że w końcu maszerowało nas pięciu po korytarzach Bezpieki do nieznanego dla mnie miejsca przeznaczenia.

Cały ten pochód wszedł do dobrze umeblowanego i udawanego pokoju, który łącznie z paroma młodymi ubekami o bardziej ludzkich twarzach zrobił na mnie wrażenie adiutantury, którą istotnie był. Tutaj dwaj strażnicy ubecy zostali w tyle, a mnie wprowadzono do wielkiego gabinetu, gdzie za biurkiem zasiadał mężczyzna lat czterdziestu, o przystojnej, lekko oliwkowej twarzy i ciemnych włosach. Mężczyzna wpatrywał się we mnie przez kilka chwil zimnymi bez wyrazu oczyma, po czym gestem wskazał fotel naprzeciwko siebie. (Wszyscy ubecy używali w takich razach tej samej manieri: władcze, energiczne, krótkie machnięcie ręką). Usiadłem i milczałem, czekając na dalszy ciąg. Romkowski i Różański umieścili się skromnie pod ścianą. Wreszcie, mężczyzna przerwał milczenie, które już zaczęło mi ciążyć: „Idziecie na wolność. Czy macie jakieś zażalenia?” Głos miał czysty, powiedziałbym jasny. Akcent, coś pośredniego między kresowym a rosyjskim. Mimo, że mi serce żywiej zabiło, odpowiedziałem powściągliwie, nie zdradzając emocji: „Nie mam żadnych zażaleń”. Mężczyzna poprawił się w fotelu i ciągnął dalej: „Przed wyjściem chciałem z wami porozmawiać na aktualne tematy”. Wprawdzie domyśliłem się od razu z kim rozmawiam, ale pragnąłem mieć pewność, przerwałem więc: „Czy mówię z ministrem Radkiewiczem?” — „Tak jest”, odpowiedział szatyn i w dłuższym wywodzie zaczął krytykować przeszłe nasze antyniemieckie podziemie, brak jego współpracy z podziemiem komunistycznym, „zdradziecką” politykę rządu w Londynie, „reakcyjność” Komendy Głównej A.K., mordy rzekomo popełnione przez nasze podziemie na komunistach i wreszcie przeszedł do „zbrodniczego” pozostania przez nas w podziemiu, po „wyzwoleniu” Polski przez „sprzymierzoną” armię sowiecką. Słuchałem tego uważnie, ciekaw do czego Radkiewicz zmierza. To co mówił, były to rzeczy dobrze mi znane. Wystarczyło czytać prasę komunistyczną, by wiedzieć, jakie oskarżenia i zarzuty zostały spreparowane. Ciekawe natomiast było ob-

serwowanie samego Radkiewicza. Mówił wolno, spokojnym głosem człowieka, przyzwyczajonego do kontrolowania każdego swego słowa. Język polski, jakiego używał bez żadnych trudności, był poprawny, ale wyraźny akcent zdradzał co najmniej dłuższy pobyt w Rosji. Nie unosił się, ale wszystko mówił z dużym przekonaniem, zdradzającym albo komunistę-fanatyka, lub idealny wprost trening.

Podziemiu antysowieckiemu zarzucał krótkowzroczność i nie liczenie się z faktem, że sąsiadem Polski są Sowiety, które w dodatku Polskę wyzwoliły spod najstraszniejszej okupacji. Stawianie na zachód i wrogość wobec Rosji są ciężkim błędem. Istnienie podziemia przeciw Rosji, które nawet wdało się w walkę z „wyzwoleńczą” armią radziecką, psuło całą robotę rządowi w Lublinie i psuje obecnemu rządowi jedności narodowej. Ustrój przedwojenny skończył się na zawsze i nigdy nie wróci. W nowej Polsce doszły do głosu żywioły prawdziwie demokratyczne, które w oparciu o przyjazną Rosję, zapewnią nareszcie krajowi spokój, rozwój i demokrację.

Tyrada trwała bez przerwy około pół godziny. Wreszcie skończył i czułem, że czeka na odpowiedź. Zabrałem głos i wygłosiłem coś w rodzaju politycznej obrony antyniemieckiego i antysowieckiego podziemia. Gdy poruszyłem sprawę Powstania Warszawskiego i zatrzymania ataku sowieckiego na stolicę, Radkiewicz pierwszy i jedyny raz w czasie rozmowy wypadł z równowagi, przerwał mi i w gwałtowny sposób przedstawił znaną komunistyczną tezę, że Powstanie, chociaż wojskowo zwracało się przeciw Niemcom, politycznie było skierowane przeciw Sowiетom. Romkowski i Różański żywo, choć milcząco, potakiwali. Wyczułem jednak, że ta sprawa jest w środowisku komunistycznym dość drażliwa i że trafiłem w pewną bolączkę. Dało mi to w pewnym momencie uczucie przewagi w dyskusji. Gdy zaatakowałem z kolei rozbrajanie oddziałów A.K. i późniejsze masowe aresztowania i zabójstwa, wobec których pozostanie w podziemiu może nawet być uważane za akt samoobrony, Radkiewicz replikował energicznie, ale tym razem przyznał jeden „błąd”, a mianowicie stwierdził, że zamordowanie, na plantach krakowskich Narcyza-Zawojny, Komendanta Batalionów Chłopskich na Małopolskę oraz działacza ludowego, Kojdera, było zbrod-

nią i zapewnił mnie, że winni ubecy zostali surowo ukarani. Przy tej okazji tłumaczył, że powodem tego rodzaju „uchybień” jest niewykształcenie personelu U.B., który trzeba kształcić od początku, „bo w żadnym razie nie weźmiemy do naszej służby kanalii z policji granatowej”.

W dalszym ciągu nie było dla mnie jasne, do czego Radkiewicz zmierza. Dyskutując z nim, wróciłem do dawnego systemu. Jeden „ja” argumentował, replikował i tłumaczył, drugi starał się odgadnąć cel rozmowy i ewentualne zasady. Dopiero w drugiej godzinie wyszło na jaw, o co Radkiewiczowi chodzi: „Za pierwszy głos rozsądku podziemia uznaliśmy odezwy z 17 i 27 maja. Choć odsądziście w nich U.B. i P.P.R. od czci i wiary, to w każdym razie wezwaliście naród do pracy nad odbudową kraju, a partyzantów do zaniechania walki”. Tutaj Romkowski nie wytrzymał i wtrącił: „Ale odezwa z 17 maja zachęca do dezercji z naszego wojska. Podziemna szmata N.S.Z. wyraźnie ją cytuje jeszcze w ostatnim numerze...” Radkiewiczowi musiała ta trafna uwaga być nie na rękę, bo zbył Romkowskiego kilku słowami: „Každy może sobie wybrać w odezwie jedno zdanie i je wykorzystać”, po czym, kontynuując przerwany wywód, zmierzał już prosto do celu: „Sądzę, że te dwie wasze odezwy powinny być uzupełnione jeszcze trzecią, w której jako Delegat Rządu wezwalibyście podziemie do ujawnienia się wobec władz bezpieczeństwa, złożenia broni i podporządkowania się rządowi”.

Tutaj był pies pogrzebany! A zatem żądanie wysunięte pod koniec badań przez Różańskiego, powtórzone przez Romkowskiego, finalizował teraz Radkiewicz i spełnienie tego żądania jest z pewnością milczącym warunkiem zwolnienia, który dopiero teraz został ujawniony!

Zapadłem na chwilę głęboko w siebie. W błyskawicznym przeglądzie oceniłem jeszcze raz wszystkie elementy. Z jednej strony wolność za cenę kapitulacji, z drugiej strony więzienie bez perspektywy wyjścia. Miałem czas te sprawy już przetrwać do gruntu w czasie poprzednich badań. Postanowiłem wytrwać przy dotychczasowym stanowisku i odmówić wydania odezwy. Powiedziałem sobie po raz nie wiem który, że jeśli wyjść na wolność to tak, aby każdemu móc spojrzeć prosto w oczy. Ina-

czej lepiej siedzieć. Wolność za cenę, której żądał Radkiewicz, nie miała dla mnie uroku. Dopiero wiele później doszedłem do wniosku, że ujawnienie się podziemia jest nieuniknione, ale w ówczesnej sytuacji i w warunkach, w jakich się znajdowałem, uważałem uległość w stosunku do żądań Bezpieki za zdradę sprawy, której się służyło. Możliwie najspokojniejszym tonem powtórzyłem Radkiewiczowi to samo, co powiedziałem Różańskiemu i Romkowskiemu na poprzednich badaniach. Kładłem specjalny nacisk na to, że fakt mego aresztowania musi być powszechnie znany i odezwy nikt się nie posłucha, gdyż wszyscy będą ją uważali za wymuszoną i przeciwną moim rzeczywistym poglądom. Poza tym, będzie traktowana jako dość prostacki podstęp Bezpieki w stosunku do podziemia. Natomiast wyraziłem przekonanie, że sprawa podziemia będzie przedmiotem narad Prezesa Witosa ze mną i z innymi i z pewnością zajmiemy wobec niej stanowisko.

Radkiewicz nie dawał za wygraną i ponawiał żądanie, wysuwając coraz to nowe argumenty, ja zaś możliwie beznamyślnie odmawiałem, wynajdując zawsze jakieś dodatkowe argumenty za „nie”. Romkowski i Różański słuchając tego pojedynku ciskali na mnie groźne spojrzenia, wyraźnie się niecierpliwiąc i widocznie krytykując w duchu układność Radkiewicza.

Były jednak jakieś powody, dla których moje zwolnienie zostało zdecydowane gdzieś wysoko, bez warunków, gdyż w końcu Radkiewicz wstał i westchnął: „Szkoda, że nie idziecie za dobrą radą. No, ale trudno! Myślę jednak, że nie będziemy żałowali waszego zwolnienia i że wasza działalność będzie dla kraju pożyteczna”. Wstał, podał mi rękę i w otoczeniu świty opuściłem ministerialny gabinet. Teraz wszystko potoczyło się w szybkim tempie. W pokoju Różańskiego wydano mi jakieś drobiazgi i zaświadczenie, że od tego dnia do tego byłem „w dyspozycji ministerstwa bezpieczeństwa”, po czym Różański, jakiś bez humoru, polecił ubekowi, by mnie przeprowadził przez posterunki na ulicę. Zbiegłem szybko po schodach i za chwilę byłem na Brukowej, już wolny i sam.

Przystanąłem za drewnianą barierą, oddzielającą wjazd do Bezpieki od ulicy i rozejrzałem się. Dość dziwne uczucie, gdy po paru tygodniach ma się przed sobą przestrzeń,

nie ograniczoną czterema ścianami. Co za niespodzianka! Zosia biegła ulicą w moim kierunku! Wzięliśmy się pod rękę i ruszyliśmy w stronę mostu na Wiśle, byle dalej od przeklętej Bezpieki. Na moście ruch ogromny, ale nie przeszkadzało nam to w gorączkowej rozmowie. Zosia opowiadała o swoich przeżyciach i trickach, jakie wobec niej stosowano w Krakowie, by ją nastraszyć i zmusić do „wyznań”. W czasie badania wchodzili np. dwaj ubecy bez mundurów, siadali na krzesłach po obu jej stronach i bez jednego słowa zakasywali rękawy koszul. Zanosiło się wyraźnie na bicie. Zosia nie dała się jednak nastraszyć i albo skromnie zasłaniała się nieznaną ważnych spraw mężowskich, lub zeznawała zgodnie z tym, co podrzuciłem w grypsach. Innym razem w czasie badań wskoczyła do pokoju z korytarza krzycząca kobieta i pobiegła do okna z widocznym zamiarem wyskoczenia. Dwaj ubecy, pędzący za nią, chwycili ją „w ostatniej chwili”, już na parapecie. I ten chwyt także nie dał rezultatu i Zosia nie sygnęła nic, ani nikogo. Dowiedziałem się także od niej, że zastała w domu depeszę od rządu w Londynie, zawiadamiającą o przyjęciu mojej dymisji i wyrażającą podziękowanie za pełnienie obowiązków Delegata Rządu w tak ciężkim okresie czasu.

Zrobiłem bilans mego pobytu w Bezpiece. Wyglądał nie najgorzej. Nie powiedziałem ani jednego nazwiska ani adresu i odmówiłem potępienia mej działalności w podziemiu oraz wydania odezwy. Byłem zadowolony. Ale co przyszłość przyniesie? To pytanie już się narzucało i mąciło radość, że się jest wolnym.

Dlaczego mnie zwolnili? Zosia, która już zdążyła widzieć Mikołajczyka i Kiernika, przyniosła dodatkowe wyjaśnienie. Zostałem zwolniony między innymi po to, by na drugi dzień wejść w skład Krajowej Rady Narodowej. Ta wiadomość, przetłumaczona na język polityczny, potwierdziła „wygadanie się” Róžańskiego i oznaczała, że komuniści istotnie dążą do pozyskania sobie Stronnictwa Ludowego.

Ale weszliśmy już na Krakowskie Przedmieście i z miłością patrzyłem na znajome widoki. Jezdnia była już oczyszczona, ale z jednej i drugiej strony stały rzędami upiory, wypalone i zrujnowane warszawskie kamienice,

które tyle lat okupacji kryły nas w swym wnętrzu i którym tyle zawdzięczaliśmy. Po ulicy snuli się szarzy i wynędzniali ludzie, bez cienia uśmiechu na twarzy. Uderzyło mnie pewne podobieństwo z tym, co już dawniej widziałem. Prawda, tak wyglądali ludzie w Warszawie w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej! Ten sam wygląd, ten sam wyraz twarzy. Ten widok mówił więcej, niż wszystko inne. Z jednej okupacji weszliśmy w drugą.

W zgiełku gorączkowych pytań i odpowiedzi powróciło pytanie, co będzie dalej? Jaka przyszłość nas czeka? Rozdział życia, któremu na imię „konspiracja”, zamknięty. Otwierał się następny.

Słuchałem uważnie informacji, pozbieranych przez Zosię i robiłem na poczekaniu ocenę i obliczenia. Wreszcie zaryzykowałem prorocstwo: „Ten okres może się przeciągnąć jakies dwa lata, a potem znów więzienie albo ucieczka zagranicę”.

Omyliłem się w obliczeniach o trzy miesiące.

Epilog.

Wypadki rozwijały się szybko jeden za drugim. Los oszczędził mi zaszczytu należenia do Krajowej Rady Narodowej, gdyż nazajutrz sprawa wejścia w jej skład przedstawicieli Stronnictwa Ludowego została odroczone. Gdy wreszcie to stronnictwo ich delegowało, sam Bolesław Bierut własną „dostojną” ręką skreślił mnie, Bagińskiego i Mierzwę z przedstawionej przez Stronnictwo Ludowe listy, za co mu będę wdzięczny do końca życia, gdyż w ten sposób nie stałem się członkiem tej instytucji. Jednak wówczas eksperci polityczni ocenili skreślenie bardzo pesymistycznie. Widzieli w nim zapowiedź rychłego aresztowania, które szybko dotknęło w pierwszym rządzie Bagińskiego i Mierzwę. Ja byłem w rozkładzie na końcu. Później, zamiast planowanej przez komunistów współpracy, rozwinęła się między nimi a Stronnictwem Ludowym zażarta walka. Po raz pierwszy w historii Polski chłopci stanęli na czele narodu, walcząc zażarcie z nową okupacją, wspierani w tej walce przez wszystkie warstwy społeczeństwa. Próba sił w „referendum” („Tylko kaczką, głupi ptak, wo-

ła zawsze tak, tak, tak. Mądry człowiek wie co chce i na pierwsze mówi „nie”) dała w rzeczywistości olbrzymią wygraną Polskiemu Stronnictwu Ludowemu (*). Później z kolei nastąpiła odmowa utworzenia z komunistami bloku wyborczego i wybory same, w czasie których dziesiątki tysięcy członków Polskiego Stronnictwa Ludowego przeszło przez więzienie, w tym około stu kandydatów na posłów. Tylko człowiek zły woli lub głupiec, oceniający te sprawy z bezpiecznego oddalenia, może nazwać to współpracą z komunistami. Ładna współpraca, w której w latach 1945-1947 stu kilkudziesięciu działaczy ludowych zostało zamordowanych przez Bezpiekę.

Siedząc na ławie poselskiej we wspaniale odnowionym sejmie formalnie chroniony immunitetem poselskim, czułem od początku, że grunt mi się pali pod nogami. Pocięchą dla mnie był fakt, że niebezpieczeństwo ograniczało się tylko do mnie, gdyż nasza rodzina radiowa, po moim powrocie do legalnego życia, gremialnie mnie naśladowała, a po wyjściu ustawy amnestyjnej ujawniła się. O nich mogłem być spokojny. Co do siebie, to wkrótce już wiedziałem, że w zacisznych gabinetach Bezpieki, po których tak niedawno mnie prowadzano, planuje się oskarżenie mnie o mordowanie komunistów w czasie okupacji niemieckiej przy pomocy sądów podziemnych i o przynależność do nowego podziemia. Wszystkie te zarzuty Bezpieka ujawniła później, po mojej ucieczce, w dwóch procesach pokazowych odegranych w roku 1948 i jednym w 1951.

Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę i życie nie było lekkie. Gdy wreszcie w Bezpiece zapadła decyzja aresztowania, zawiadomiłem lojalnie Mikołajczyka o terminie mej ucieczki. Mikołajczyk, nie rzekłszy na to ani słowa, przyspieszył swoje wywiezienie, przepraszam ucieczkę, i gdy w dniu 5 listopada 1947 roku uciekłem wraz z Zosią do Szwecji, Mikołajczyk był już od dziesięciu dni w Londynie.

W dniu 26 listopada 1947 roku wylądowałem na lotnisku La Guardia, w Nowym Jorku i rozpoczął się znów

(*) Na kongresie Stronnictwa Ludowego w dniach 19-21 stycznia 1946 zmieniono nazwę przez dodanie słowa „Polskie”.

nowy okres w mym życiu, który jeszcze trwa. Chętnie bym go nazwał: „Dookoła świata, w drodze do wolnej Polski”

Na zakończenie zadam Bezpiece i starym znajomym, Radkiewiczowi, Romkowskiemu i Różańskiemu, do których ta książka z pewnością dotrze, następującą zagadkę: „W jaki sposób dowiedziałem się o waszych zbożnych zamiarach?” — „Zgaduj zgadula, gdzie złota kula?”. Nagroda za trafną odpowiedź: pomoc w ucieczce z Polski na wypadek „wybrania wolności”!

K O N I E C



SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA 9

I. — POCZĄTKI POLSKIEGO PAŃSTWA
PODZIEMNEGO 11—65

Warszawa w październiku roku 1939 — 11;
Spotkanie z byłym Marszałkiem Sejmu Ma-
ciejem Ratajem — 12; *Zakładnicy* — 18;
Pierwsze aresztowanie Marszałka Rataja —
19; *Spotkanie z Niedziałkowskim* — 22; *Spot-*
kanie z Roweckim — 24; *Kontakt z Tokarzew-*
skim — 25; *Organizacja partyjna* — 26; *Aresz-*
towanie Niedziałkowskiego — 27; *Pierwsze*
posiedzenie Politycznego Komitetu Porozu-
miewawczego — 29; *Pobył na Pawiaku* — 33;
Organizacja Politycznego Komitetu Porozu-
miewawczego — 37; *Charakter P.K.P. i jego*
dalsze prace — 39; *Odejście Tokarzewskiego*
— 41; *Pierwsi emisariusze rządu* — 42; *Po-*
wrót Rataja z więzienia i ponowne aresztowa-
nie — 43; *Akcja Świętochowskiego* — 49;
Projekt mianowania Komisarza Cywilnego —
50; *Przyjazd Tymczasowego Delegata* — 52;
Łapanka wrześniowa — 54; *Nominacja Dele-*
gata Ratajskiego — 57; *Sojusz z P.P.S.* —
58; *Delegat Ratajski* — 60; *Wsypa* — 61;
Sytuacja w kraju — 62; *Opuszczam P.K.P.*
— 62.

II. — PODZIEMNA ŁĄCZNOŚĆ RADIO-
WA WARSZAWA-LONDYN 66—116

Spotkanie z Ziułkiem — 66; *Emisariusz Wojtek* — 67; *Aparat gotów* — 69; *Pierwsza próba* — 70; *Pomoc* — 72; *Pierwsza rozmowa* — 74; *Nareszcie!* — 77; *Pierwszy etap* — 79; *Pierwsze niepokoje* — 81; *Spotkanie z Zarembami* — 84; *Audycja foniczna* — 85; *Zwolnienie Janka* — 89; *Telegrafista Władek* — 91; *Wsypa na Nowym Zjeździe* — 92; *Przygoda Ziułka w Brwinowie* — 96; *Nowi ludzie* — 98; *Niebezpieczne próby* — 99; *Audycja ze Skolimowa* — 106; *Aparat znikł* — 109; *Nalot na Czeskiej* — 111; *Transmisja caput!* — 114.

III. — PODZIEMNY WYMIAR SPRAWIE-
DLIWOŚCI 117—148

Nominacja — 117; *Spotkanie z komisją* — 110; *Przepisy Walki Cywilnej* — 119; *Odezwia Delegata Rządu* — 122; *Rozmowa z Leonem Nowodworskim* — 122; *Spotkanie z Bukowieckim* — 124; *Sądy Specjalne* — 126; *Wykonanie wyroków* — 128; *Pierwsze wyroki śmierci* — 132; *Dalsze wyroki* — 135; *Sprawa „księcia góralskiego” Wacława Krzeptowskiego* — 137; *Samosądy* — 139; *Komisje Sądzące Walki Cywilnej* — 140; *Kolaboracjonizm* — 143; *Kara chłosty i strzyżenia włosów* — 144; *Pokazowy proces warszawski* — 146.

IV. — WALKA O UTRZYMANIE ŁĄCZ-
NOŚCI 149—168

Warsztat na Muranowskiej — 149; *Warsztat na Marszałkowskiej* — 152; *Pierwsze aresztowanie* — 154; *Wpadka na E.K.D.* — 155;

Powrót Franka — 158; *Przygoda na Szopena* — 160; *Nasze prywatne życie* — 162; *Podziemna Warszawa* — 165.

V. — KIEROWNICTWO WALKI CYWILNEJ 169—202

Organizacja K.W.C. — 169; *Komisja Główna W.C.* — 172; *Komisja duchownych* — 173; *Komisja kobiet* — 174; *Komisja młodzieżowa* — 177; *Spółeczna Organizacja Samoobrony* — 179; *Agent Gestapo w Centrali Podziemia* — 180; *Uderzenie na kina i loterię niemiecką* — 184; *Socjalistyczna Organizacja Bojowa* — 187; *Stanisław Dubois* — 194; *Śmierć Adama Próchnika* — 197; *Emisariusz Michał Strzelecki* — 199.

VI. — „ŚWIT” — TAJEMNICA NACZELNEGO WODZA 203—216

Tajemnicza depesza — 203; *Praca i pomysły* — 205; *Pogróżki i komunikaty* — 208; *Emisariusz Nowak* — 209; *Pretensje* — 211; *Zbrodnia w Zbydniowie* — 213; *Alarmy* — 214; *Tajemnica „Świtu”* — 215.

VII. — WALKA CYWILNA 217—236

Sabotaż kontyngentów — 217; *Zaopatrywanie miast* — 222; *Sabotaż przymusu pracy* — 226; *Spotkanie z Jędrusem Nr 2* — 230; *Delegat Rządu Profesor Jan Piekalkiewicz* — 233.

VIII. — ŚMIERĆ ZIUTKA 237—244

Cios w samo serce — 237; *Pogrzeb Ziutka* — 243.

IX. — WÓDA! WÓDA! GORZAŁA! 245—252

- X. — ŻYDZI POD OKUPACJĄ 253—264
Depesze i ostrzeżenia — 253; *Odezwy KWC i wyroki* — 255; *Znajomy z ghetta* — 257; *Dzieci żydowskie* — 259; *Powstanie w ghetcie* — 261.
- XI. — P.P.R.— PŁATNE PACHOŁKI ROSJI 265—274
Hitler-Stalin dwa bratanki — 265; *Spotkanie z „marszałkiem” Żymierskim* — 268; *Katyń* — 269; *N.K.W.D. w Warszawie* — 272; *Komórka „A”* — 273.
- XII. — NOWI LUDZIE I PRACA 275—283
Konstruktor Ryszard — 275; *Praca na stacji* — 278; *Depesze* — 281.
- XIII. — JEDNOŚĆ W WALCE 284—293
Kierownictwo Walki Podziemnej — 284; *Działalność K.W.P.* — 287; *Zjazd K.W.C.* — 291.
- XIV. — EMISARIUSZ SALAMANDRA 294—299
- XV. — UDERZENIE W ŁĄCZNOŚĆ 300—310
Ostatnia przygoda Władka — 300; *Wpadka na Dolnej* — 303.
- XVI. — SPOTKANIE Z MIŃCZUKIEM 311—312
- XVII. — WSYPA W K.W.C. 313—315
- XVIII. — ZABAWA W CHOWANEGO .. 316—342
Alfred i Emilka — 316; *Spotkanie ze „znajomymi”* — 317; *Rozpracowanie gonii* — 319; *Gra w ciuciubabkę* — 322; *Pojedynek Rafała z gonią* — 325; *Skarb Państwa płaci długi*

— 329; *Tragedia w Piasecznie* — 331; *Stacja leśna* — 333; *Odnaczenia* — 335; *Odbiór zrzutu* — 337; *Nastroje przed Powstaniem* — 340.

XIX. — POWSTANIE WARSZAWSKIE .. 343—395

Wybuch — 343; *Anglik w szeregach Powstańców* — 350; *Pobyt na Politechnice* — 354; *Przejście do Śródmieścia* — 356; *Nowa nominacja* — 358; *Bolączki Powstańczej Warszawy* — 360; *Spotkanie z generałem Borem i gen. Grzegorzem* — 364; *Powrót na Kruczą* — 368; *Śmierć Ryszarda* — 371; *Pogrzeb Ryszarda* — 374; *Sowiety a Powstanie* — 375; *Wracamy znów na Kruczą* — 379; *Przyjęcie u Antka* — 380; *Oskarżeni o dywersję* — 381; *Wyprawa po złote runo* — 383; *Widmo kapitulacji* — 385; *Kapitulacja* — 387; *Zegnaj Warszawo!* — 390; *Łączność nawiązana* — 393.

XX. — KONIEC OKUPACJI NIEMIECKIEJ 396—406

„*Mały Londyn*” — 396; *Wyjazd do Krakowa* — 398; *Zjazd w Piotrkowie Trybunalskim* — 400; *Przejście frontu* — 402.

XXI. — POCZĄTKI OKUPACJI SOWIECKIEJ 407—424

Pierwsze wrażenia — 407; *Przygody Niedźwiadka* — 410; *Jałta* — 413; *Wizyta Bezpieki* — 415; *Aresztowanie piętnastu* — 417; *Po aresztowaniu* — 422.

XXII. — OSTATNIE MIESIĄCE DELEGATURY RZĄDU I R.J.N. 425—453

Posiedzenie w Warszawie — 425; *Szpieg na tropie* — 429; *Nowy dowódca A.K.* —

432; *Posiedzenie R.J.N.* — 435; *Odezwy* — 437; *Emisariusz z Węgier* — 446; *Zamach na Delegaturę* — 448; *Proces i konferencja w Moskwie* — 450; *Pożegnanie z Podziemiem* — 451.

XXIII. — POBYT W BEZPIECIE 454—485

Aresztowani! — 454; *Pułkownik N.K.W.D. Woroncow* — 457; *Nocna wizyta* — 460; *Trzeci dzień* — 462; *Transport do Warszawy* — 462; *Pierwsze badanie w Warszawie* — 463; *Dalsze kuszenie* — 467; *Widzenie z Mikołajczykiem* — 471; *Generał N.K.W.D. Malinow* — 473; *Zwolnienie Zosi* — 476; *Rozmowa z ministrem Bezpieki Radkiewiczem* — 477; *Epilog* — 483.

SPIS TREŚCI 487—492

ACHEVÉ D'IMPRIMER LE
20 MAI 1954 SUR LES PRESSES
DE L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STÉPHENSON, PARIS-18^e

Dépôt légal: 2^e trimestre 1954

